

# Artysta zbrodni

## Case John



calibre 0.9.43

**JOHN CASE**

**ARTYSTA ZBRODNI**

**Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ ROBERT GINALSKI**

## Rozdział 1

Pięć godzin snu. Przecieram oczy, wychodzę na dwór i schylam się po zwinięty w rulon egzemplarz „Washington Post”, leżący pod krzakiem azalii. Nigdy nie wiem, gdzie znajdę gazetę - ten, kto ją rozwozi, nie wyszedł poza etap trenowania rzutów szmacianką.

- Dzień dobry! Piękny dzień zawitał w nasze strony, prawda? - To Yasmin Siegel, moja ponad osiemdziesięcioletnia sąsiadka z naprzeciwka, i jej czarna labradorka, Cookie.

- Pewnie tak. - Wysuwam gazetę z przezroczystej plastikowej koszulki.

- Poważnie, Alex, taki dzień w Waszyngtonie to dar od Boga. - Z niedowierzaniem potrząsa głową. - I to pod koniec maja! Normalnie o tej porze pogoda jest pod psem. - Celuje we mnie palcem. - Bawcie się dobrze, ty i te twoje urwisy.

- Liczyłem na deszcz - odpowiadam, spoglądając na bezchmurny błękit nieba.

- Tak, jaaasne. - Yasmin chichocze. - Cookie, do nogi. Już ja cię znam. - Beztróska macha mi ręką i oddala się do parku.

Naprawdę liczyłem na deszcz. Na wszelki wypadek sprawdzam prognozę pogody na ostatniej kolumnie działu miejskiego.

Niestety. Nie zbliża się żaden front, nad stolicę nie pędzą burze ani z Kanady, ani od południa. Piękny dzień.

Wracam do domu i włączam ekspres do kawy. Czekając, aż zrobi swoje, wyciągam dla chłopaków głębokie talerze, nalewam dwie szklanki soku pomarańczowego, odrywam dwa banany z kiści, kładę je na stole, wydaję z szafki olbrzymi karton Cheerios.

Kłopot z pięknym dniem polega na tym, że czeka mnie praca - w ostatniej chwili wyskoczyły zmiany do materiału, który ma być emitowany dziś wieczorem, i muszę go przyciąć. Ale praca, nie praca, obiecałem synom - sześciolatni bliźniakom - że w każdą sobotę mogą sami wybrać, dokąd się wypuścimy. A oni uparli się jak głupi na ten renesansowy festyn, który oczywiście odbywa się Bóg raczy wiedzieć gdzie, kawał drogi za Annapolis. Sam dojazd zabierze ponad godzinę w jedną stronę. Czyli że cały dzień szlag trafi.

A ponieważ jest to pierwsza wizyta chłopaków od Gwiazdki - a druga od czasu, gdy jesteśmy z Liz w separacji - dzisiejsza wyprawa ma być pierwszą z obiecanych. Nie mogę nawalić, choćby nie wiem co.

Tłumaczę sobie, że nic takiego się nie stało. Trzeba się brać do roboty. Muszę tylko przemontować materiał na tyle szybko, żeby podrzucić go do stacji, gdy będziemy wyjeżdżać z miasta.

Jak dotąd chłopaki i ja radzimy sobie świetnie, chociaż po zaledwie sześciu dniach jestem już kompletnie padnięty, a w stacji wszystko robię na ostatnią chwilę. Liz byłaby zachwycona - zarówno tym, że nie dosypiam, jak i faktem, że nie minął jeszcze tydzień, a ja już nie wyrabiam się w pracy. Ustalając warunki wizyty dzieci, podeszła do tego jak do operacji wojskowej. Na przykład nie pozwoliła mi z nimi nigdzie wyjechać, nawet na część miesiąca. „Jak mam z tobą konkurować, jeżeli każde wasze spotkanie to dla nich wakacje?” - powiedziała. (Kiedy miałem chłopaków przez cztery dni podczas świąt, zabrałem ich na narty do Utah).

Liz chodzi o to, żebym spędził z synami miesiąc „normalnego życia”, jak to ujęła. Sama pracuje na pełny etat w Muzeum Dziecięcym w Portland. Chce, żebym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, doświadczał tego, jak to jest mieć dzieci i pracować; żebym pilnował, kiedy kładą się spać i co jedzą, żebym zmagął się z dowożeniem chłopaków i ich kolegów do szkoły, z praniem, z ich przyjaciółmi i rodzicami ich przyjaciół. Jeżeli w ogóle mamy jakąś szansę na pojednanie, muszę zrozumieć, że posiadanie żony i dzieci to nie audycja z telefonicznym udziałem słuchaczy. Miesiąc zajmowania się synami powinien mnie nauczyć, żeby na pierwszym miejscu stawiać rodzinę.

A nie pracę. W oficjalnym biogramie stacji jestem facetem, który „zdobywa najostrzejsze materiały w najbardziej niebezpiecznych miejscach”. Dostałem za nie kilka nagród, wyszło jednak na to, że za sukces zapłaciłem rozbiciem małżeństwa. I utratą rodziny. Kiedy bliźniaki zaczęły stawiać pierwsze kroki, byłem w Moskwie; w Kosowie, gdy Kev złamał rękę; a kiedy poszły do przedszkola, przebywałem w Mazari-Szarif.

- Każda chwila w ciągu tego miesiąca da ci okazję poznać chłopców lepiej, niż ci się to udało przez ostatnie dwa lata - oświadczyła Liz. - Kto wie, może ci się to nawet spodoba?

Kawa się zaparzyła. Dolewam odrobinę mleka i już mam zostawić dzieciom plastikową butelkę na stole, kiedy przypominam sobie, że Kevin nie tknie mleka, jeśli jest choćby letnie. Chowam ją więc z powrotem do lodówki.

Prawdę mówiąc, faktycznie mi się podoba całe to zajmowanie się chłopakami, nawet pomimo urwania głowy. Liz miała rację. Przypuszczam, że po prostu łatwiej było zrzucić na nią matkowanie. Nazywajcie to sobie zresztą, jak chcecie. A jednak okazuje się, że dzieciaki najlepiej się poznaje w trakcie codziennych domowych zajęć. Zapomniałem już, jakie są zabawne, jak potrafią być dociekliwe, z jakim niesamowitym skupieniem podchodzą do niektórych czynności. Jak bardzo za nimi tęskniłem.

Ale cały ten festyn... nie, na to nie mam najmniejszej ochoty. Przewiduję, że po długiej jeździe zakorkowanymi drogami skończy się na ckliwym i stanowczo za drogim zwiedzaniu lunaparku imitującego realia z epoki elżbietańskiej. Rycerze i ich damy w kostiumach. Turnieje i udawane pojedynki na miecze. Kuglarze i magicy. Nie, to nie moje klimaty. Nic z tych rzeczy.

Próbuję namówić ich na mecz Oriolesów, wycieczkę do zoo, kino i pizzę, ale chłopcy nawet nie chcą o tym słyszeć. Upierają się przy festynie, odkąd zobaczyli reklamówkę w telewizji.

Ja też ją widziałem, bo nagrali ją na taśmę i zmusili mnie, żebym obejrzał. Na pierwszym planie galopuje rycerz w błyszczącej zbroi. Na wpeł drewniana fasada w tle najeżona jest powiewającymi na wietrze proporcami. Rycerz, z wielką kopią w ręku, ściąga cugle, zatrzymuje konia, podnosi przyłbicę i w średniowiecznej angielszczyźnie dziarskim głosem zaprasza wszystkich razem i każdego z osobna: „Przybywajcie na Jarmark Renesansowy do Marylandu!”.

Moim zdaniem było to jakieś mało przekonujące i popełniłem ten błąd, że któregoś wieczoru powiedziałem o tym Liz przez telefon, w nadziei, że ponarzekamy sobie wspólnie na temat uciążliwości bycia rodzicem. Tymczasem żona lodowatym tonem palnęła mi wykład.

Czyja naprawdę nie rozumiem, że rodziców powinno cieszyć to, co sprawia frajdę ich dzieciom? Co ja sobie wyobrażam, że ona szaleje na punkcie Barneya? Teletubisiów? Kolejnej części *Gwiezdnych wojen!*

- A już miałam ci pogratulować, że znalazłeś coś, co tak świetnie pasuje do ich programu zajęć pozalekcyjnych - powiedziała. - No ale mogłam się tego spodziewać.

Nie miałem pojęcia o żadnym programie zajęć pozalekcyjnych, co - niestety - wyszło na jaw w całej okazałości. Wyjaśniła mi więc, że chłopcy mają bzika na punkcie legend arturiańskich.

Jakoś mi to umknęło. Choć kiedy już Liz o tym wspomniała, uświadomiłem sobie, że wciąż paplali jak najęci o rycerzach Okrągłego Stołu i Merlinie. I że godzinami pojedynkowali się na podwórku na plastikowe miecze. Plastikowe miecze, które - no jasne! - przywieźli ze sobą w walizkach.

No i dobrze, okazałem brak zainteresowania plastikowymi mieczami... i co w tym złego? A może Liz ma rację i jestem najbardziej zajęтым sobą ojcem pod słońcem? W przeciwieństwie do stale wyczulonej na potrzeby dzieci matki, przebywającej gdzieś w Maine.

Maine... Siadam na krześle przed komputerem w gabinecie. Czy mogła przeprowadzić się jeszcze dalej? Pomijając emigrację? Jasne, że tak... mogła wyjechać na Alaskę, na Hawaje, do Los Angeles. Do wyboru miała wiele innych miejsc. Mimo to...

Wciskam klawisz i czekam, aż ekran otrząśnie się z trybu uśpienia. Mój kawałek - *Afgański ślub* - był zmontowany i gotowy do emisji, lecz wczoraj wieczorem dali mi znać, że wchodzi jakaś dodatkowa reklama, w związku z czym muszę wyciąć dwie minuty. W nocy zrobiłem wszystkie logiczne skróty, wciąż jednak musiałem zgubić czterdzieści cztery sekundy. Teraz materiał ma już tylko siedem minut, więc skracanie go jest coraz trudniejsze. Na tym etapie nie zostało już nic, z czego miałbym ochotę zrezygnować.

*Fierwotnie Afgański ślub* wchodził w skład godzinnego raportu specjalnego z okazji wizyty Donalda Rumsfelda (w duchu „Nie zapomnieliśmy o was”) w tym obleżonym kraju. Przeprowadziłem długi wywiad z sekretarzem obrony na temat stanu odbudowy zniszczeń wojennych. Rozmawiałem z Karzajem. Nakręciliśmy świetny materiał o ekipie naprawiającej drogę z Kandaharu do Kabulu. Potem zaś wchodził pastisz sielskiego życia w wyzwolonym Kabulu i Kandaharze. Dziewczynki idą do szkoły. Otwarcie kliniki dla kobiet. Rozradowani Afgańczycy słuchają muzyki. Tańce. Ukoronowaniem tej części programu miało być wesele. Afgańska para świętuje od dawna odkładane zaślubiny.

Ślub zaplanowano w wiosce położonej koło Kandaharu. W bezpiecznej strefie, tak nam przynajmniej powiedziano. Dotarłem tam z ekipą i sprzętem bez problemu. Nawet pomimo kamer ceremonia zaczęła się o czasie. I nagle radosna uroczystość zamieniła się w koszmar, kiedy załoga amerykańskiego F-16, który zboczył z kursu w poszukiwaniu rzekomego zgromadzenia talibów, źle zrozumiała rozgrywającą się na ziemi scenę.

Czterech zabitych, piętnastu rannych.

Materiał ten usunięto z godzinnego raportu o postępach w Afganistanie. Teraz sekwencja ze ślubu miała wejść do ambitnego programu o skutkach ubocznych - Zatoka I (Saddam i Kurdowie), Mostar (most), Gaza i Jerozolima (cywile, którzy zginęli po obu stronach), Afganistan (mój materiał ze ślubu), Liberia (odcięte dłonie i stopy), Zatoka II (ofiary ostrzału przez siły sojusznika). Całość - Wielki Dave liczył na nagrodę Emmy za ten program - miała się kończyć materiałem o matce wszystkich skutków ubocznych: o masakrze z jedenastego września.

Otwieram film na komputerze. Na ekranie koszmar jeszcze się nie zaczął. Krótkie ujęcia rozpromienionych twarzy panny młodej i narzeczonego, a potem zbliżenie maleńkich amerykańskich flag, przypiętych do ich ślubnych strojów.

- Tato, możemy zjeść przed telewizorem i obejrzeć kreskówki?

Podskakuję. Liz odeszła z dziećmi ponad pół roku temu i tydzień po przyjeździe synów wciąż

jeszcze nie mogę przywyknąć do tego, że materializują się nie wiadomo jak i skąd.

- Jezu, chłopaki, chyba zawieszę wam dzwonki. Kevin wybucha śmiechem.

- Możemy? - pyta Sean.

- Zjeść śniadanie przed telewizorem? Prosimy! Wzruszam ramionami.

- Czemu nie?

- Hura! Chodź, Kev!

Ale Kevin nie rusza się z miejsca.

- Kiedy jedziemy na Jarmark Renesansowy? Zastanawiam się, co mi ujdzie na sucho.

- Niech no pomyślę... w południe?

- Nie ma mowy! - protestuje Kevin. - Nie zdążymy.

- Kevin, to się zaczyna dopiero o jedenastej - tłumaczy mu Sean. - I trwa do siódmej. - A ponieważ właśnie nauczył się posługiwać zegarkiem, precyzuje: - Do dziewiętnastej.

Kevin łypie na brata podejrzliwie.

- Nie zalewasz z tą dziewiętnastą? - Odwraca się do mnie. - W południe? Dajesz słowo?

Udaję, że się namyślam.

- No nie... słowa dać nie mogę.

Sean parska śmiechem, po czym obaj zawodzą jednym głosem:

- Taaato!!!

Po tygodniu przynajmniej już wiedzą, kiedy żartuję. Przez pierwsze dwa dni wciąż wymieniali zaniepokojone spojrzenia. Twierdzenie, że zapomnieli, jakie mam poczucie humoru, byłoby grubym nieporozumieniem. Oni w ogóle zapomnieli, jaki jestem - co w przygnębiający sposób przypomina mi, że i wystarczyło zaledwie pięć miesięcy, bym stał się kimś obcym dla własnych dzieci.

Kiedy znikają, otwieram tę część materiału, którą wydzieliłem w nocy do dokonania skrótów. Wyłączam dźwięk, odchylam się na krzesło i oglądam film. Bez pośpiechu sprawdzam, w jaki sposób ewentualne cięcia wpłyną na całość.

W końcu postanawiam wyrzucić sekwencję z ciemnoskórym mężczyzną. Trwa trzydzieści sekund i jeśli uda mi się bez niej obejść, będę prawie w domu.

Ostatni rzut oka.

Ciemnoskóry mężczyzna jest jednym z braci panny młodej. Gdy uroczystość dobiega końca, podnosi w wyprostowanej ręce broń - AK 47. Szcherząc zęby w uśmiechu szaleńca, posyła w niebo kilka serii na wiwat. Podoba mi się to, ta ironia faktu, że w kraju, w którym odgłosy wojny nigdy nie milkną, dla uczczenia czegoś strzela się z karabinu. Kiedy kamera robi najazd na rozradowaną twarz, obraz na ekranie podskakuje.

Podskakuje w rezultacie wybuchu pierwszej bomby zrzuconej z F-16.

Uśmiech ciemnoskórego gaśnie, ze zdumienia opada mu szczęka. Mężczyzna przenosi zdziwione spojrzenie na swój karabin, jakby to on ponosił winę za to, co się stało. Wciąż próbuje połączyć fakty, gdy nagle eksploduje druga bomba, tym razem tak blisko, że ekran wypełnia się kurzem i odłamkami. Ledwie widoczna sylwetka wyskakuje w górę, ciało śmiga w powietrzu. Potem mężczyzna leży wsparty o kamień, cały w kurzu, z nieprzytomnym wzrokiem; z jego ucha sączy się krew.

Kamera przesuwa się na mnie. Ja też jestem cały zakurzony - stoję przed usypiskiem kamieni i mówię do mikrofonu. Następnie widzimy grupę zawodzących kobiet, wskazujących w niebo. Znów ja. A potem panna młoda z niedowierzaniem patrzy w twarz śmiertelnie ранego, świeżo

poślubionego męża.

Cofam film, sprawdzam licznik czasu. Sekwencja jest dobra, ale drugorzędna. Stukam w kilka klawiszy i... już jej nie ma.

Majstruję trochę przy skrócie, który zrobiłem w nocy, usuwam ostatnie kilka sekund, po czym puszczam całość. Wciskam stop, gdy na ekranie pokazuje się twarz ciemnoskórego - jakimś cudem po montażu ostało się kilka klatek. Usuwam je i puszczam film dalej, by sprawdzić, czy przejścia są czyste. Zatrzymuję obraz, bo chłopaki - pewnie już po raz dziesiąty - wchodzą, by mi przypomnieć, że czas jechać.

- Już daaawno powinniśmy być w drodze - narzeka Kev. - Jest prawie dwunasta trzydzieści.

- Jedźmy juuuuż!

- Ruszajmy - mówi Kev zabawnym, napszonym tonem. Uświadamiam sobie, że to „głos rycerza”.

- Tak! Twój lojalni słudzy, Sean i Kevin, błagają cię, panie! I nagle jestem przez nich otoczony - przez jasnoblond paniczka Kevina i jego lustrzane odbicie, Seana. Szarpią mnie za rękawy i przestępują z nogi na nogę, jakby chcieli siusiu.

- Zaczekajcie, niech tylko...

- Prosiiiiimy!

Wzdycham i sięgam po myszkę.

- Niech wam będzie.

- Kto to jest? - pyta Sean, wskazując na ekran. Zatrzymałem film na klatce przedstawiającej zbliżenie pana młodego - jego dzikie oczy i zalaną strugami krwi twarz.

- Taki jeden - odpowiadam.

- Co mu się stało? - pyta Kevin, gdy zaszczuta, zmasakrowana twarz pana młodego znika z ekranu. Na szczęście chłopcy nie widzieli, że bomba urwała mu nogi. Zobaczyli jednak przerażenie na jego twarzy.

Klikam kilka razy, by wyjść z programu, i wysuwam nagraną płytę.

- Przestraszył się - odpowiadam.

- Czego?

- Tego, że był na wojnie, został ranny, a to... to jest straszne.

- Chcę to zobaczyć - nalega Sean.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo musimy jeeechać - mówię, wstając od biurka. Sean pędzi do drzwi, lecz Kevin nie rusza się z miejsca, tylko patrzy na mnie wielkimi niebieskimi oczami.

- Czy ten pan umrze? Waham się.

- Tak - przyznaję w końcu.

Kładę mu dłoń na ramieniu i próbuję go popychać do drzwi, lecz Kevin nie ustępuje.

- Tatusiu?

- Co?

- Ty tam byłeś... z tym panem?

- Tak.

- I nie mogłeś mu pomóc? Oddycham głęboko.

- Nie. Nikt mu nie mógł pomóc.

To szczerą prawdą - Afgańczyk zmarł niecałe trzy minuty po nakręceniu tej sceny - a jednak pytanie Kevina nie daje mi spokoju. Faktycznie, panu młodemu nikt nie mógł pomóc. Mogłem natomiast pomóc innym. Mimo to dalej kręciliśmy film.

Kevin kiwa głową, a po chwili odzywa się:

- Tatusiu?

- Tak?

- Ja myślę, że ten pan nie chciał, żeby go filmować. Przysiadam na piętach, żeby mieć twarz na tym samym poziomie co syn.

- Czasami pokazuje się okropne rzeczy, na przykład wojnę, żeby ludzie na całym świecie na własne oczy zobaczyli, jakie to straszne, i próbowali położyć temu kres. Ja myślę, że ten pan...

- Hej, co wy tam robicie? - Zniecierpliwiony Sean wpada do pokoju i wypada z powrotem. - Chodźcie!

- Tak - mówi Kevin, puszczając się w ślad za bratem. - jedziemy!

Jestem wdzięczny Seanowi, że nam przerwał, natomiast nie jestem pewien, czy wierzę we własne słowa. Czym jest szczerzy do bólu, bezkompromisowy reportaż? I jak się ma do wyzysku człowieka przez człowieka?

W Kandaharze kamerzyści po prostu zwiali. Ja kręciłem dalej. Wciąż mnie to gnębi. Czasami dopadają mnie wyrzuty sumienia. W gruncie rzeczy utrzymuję się z cudzego cierpienia i śmierci; do licha, nawet dostaję za to nagrody!

- Taaatooo! - wrzeszczą chłopaki od drzwi, kiedy wkładam płytę do plastikowej koszulki. - Jedźmy już!

„Łzy są dobre - mawiał Jerry Tumolo, pierwszy producent, z jakim pracowałem. - Łzy są dobre, ale krew jest lepsza. Trochę krwi naprawdę przyciąga uwagę”. **Rozdział 2**

W stacji telewizyjnej, gdzie zostawiam materiał Kathy Straight z kontroli technicznej, Kevin i Sean są grzeczni jak aniołki.

Po powrocie do samochodu pokazują palcami mijane pomniki.

- Lincoln Memoriał! - krzyczą, gdy wyjeżdżamy z parkingu.

Kilka minut później wrzeszczą:

- Wielka frytka!

Ten przejaw dziecięcego dowcipu przechowujemy w pamięci, odkąd Sean, w wieku dwóch lat, trafnie zwrócił uwagę na podobieństwo kształtów ikony dania barowego do pomnika Waszyngtona. Za każdym razem określenie to wywołuje u nas salwy śmiechu.

Potem mijamy obiekt, którego nazwy zapomnieli, więc przypominam im: Jefferson Memoriał.

- Jefferson, Jefferson, Jefferson - podśpiewują, kiedy jedziemy jeepem wzdłuż Tidal Basin.

- Możemy kiedyś nimi popływać? - pyta Kevin, wskazując flotyllę biało-niebieskich rowerów wodnych.

- A może teraz? Darujemy sobie ten cały festyn?

- Taaatooo!

Mój brak zapалу wcale im nie przeszkadza. Kiedyś udawałem i siliłem się na fałszywy entuzjazm, gdy Liz, grając na moim poczuciu winy, wyciągała mnie na jakąś wyprawę, której jedynym celem było sprawienie przyjemności dzieciakom. Wychodziło mi to jednak nieszczególnie, więc teraz z ulgą stwierdzam, że chłopcy mają gdzieś, czy tata dobrze się bawi. Świat ma się kręcić wokół nich, są przecież dziećmi.



Ponieważ musiałem wstąpić do stacji, wyjeżdżamy z miasta okrężną drogą, wzdłuż zakola rzeki, a potem South Freeway do Kew York Avenue. Mijamy siatkarzy grających na Mail, potem mennicę. Pięć minut później jedziemy kanionem sypiących się szeregowców i spalonych sklepów.

- Czy to jest zakazana dzielnica? - pyta Sean.

- Tak.

- Super!

Wkrótce okolica się zmienia - opanowane przez gangi tereny mieszkalne ustępują przemysłowym. Opuśczone magazyny z powybijanymi szybami, bary szybkiej obsługi i schroniska dla ludzi na zasiłku, z zasłoniętymi oknami. Sean nie może się napatrzeć.

Natomiast Kevina guzik to obchodzi.

- Czy już jesteśmy na miejscu? - pyta i wybucha śmiechem. - To taki żart, czaicie? Bo przecież dopiero co wyjechaliśmy!

Półtorej godziny później jesteśmy na miejscu. Parkuję jeepa pośród tysięcy innych samochodów, smażących się pod gołym niebem w maleńkim Cromwell, w stanie Maryland. Podnieceni chłopcy biegną ku dwóm wieżom z blankami (lepiej nie przyglądać im się z bliska, są sklecone z dykty). Na wałach obronnych, po obu stronach zwodzonego mostu nad świeżo wykopaną „fosą”, powiewają proporce. Przed wypożyczalnią kostiumów stoi zabłocona koparka.

- Nie pędźcie tak - mówię chłopakom i wtapiamy się w rzekę rodzin, gotowych przekroczyć most i wejść do innego świata.

- Jeden rycerz i dwóch giermków? - pyta na bramce kobieta w kostiumie, biorąc ode mnie kartę kredytową. - Płatne królewską Visą Jej Królewskiej Mości.

Po chwili jesteśmy w środku.

Nagle cofamy się w czasie o czterysta lat. Ogrodzone deskami ścieżki wiją się po zalesionym terenie, między elżbietańskimi straganami z pamiątkami i jedzeniem, otwartymi amfiteatrami i szachownicami, na których figurami i pionkami są ludzie. Linia graniczna pomiędzy światem wyobraźni a rzeczywistym jest w najlepszym wypadku nieostra, bo wielu odwiedzających także nosi kostiumy - jedni proste, własnej roboty, inni zaś wyszukane, takie jakie mają aktorzy, pochodzące prawdopodobnie z wypożyczalni przy wejściu. Dochodzę do wniosku, że to coś w rodzaju imprez, na których odgrywa się sceny z wojny secesyjnej, i myślę sobie, że może warto by nakręcić film o ludziach z całego serca oddanych innej epoce.

Tymczasem chłopcy miotają się to tu, to tam, kreśląc w powietrzu coś w rodzaju pięcioramiennej gwiazdy - od sokolnika do straganu ze zbrojami, potem do magika pokazującego sztuczki karciane, błazna, grupy śpiewającej madrygały i wreszcie do człowieka wyrabiającego świece. Wszyscy, nawet przekupki zjedzeniem, są przebrani w kostiumy i przemawiają językiem stylizowanym na średniowieczny angielski, pełnym „azali”, „jaśnie pań” i „waszmościów”.

Podniecenie chłopców jest zaraźliwe i wkrótce stwierdzam, że sam też świetnie się bawię. Jarmark jest naprawdę ciekawy i robi wrażenie - ni to park rozrywki, ni to wehikuł czasu. No i spełnia funkcję edukacyjną. Liz tylko by przyklasnęła. Miała zresztą rację - wspaniale jest przebywać z dziećmi, kiedy mają taki ubaw.

Liz, słodka Liz. Powinna być tu z nami; byłaby zachwycona. Przez chwilę tęsknota za żoną nie daje mi spokoju. Liz odeszła dopiero po tym, jak wielokrotnie złamałem obietnicę, że skończę z pracoholizmem, a mimo to jej odejście spadło na mnie jak grom, z jasnego nieba. Oczywiście, wiedziałem, że ma rację... ale jakoś nigdy nie zdobyłem się na zmianę trybu życia, tak jak

obiecowałem. Praca w programie informacyjnym potrafi pochłonąć człowieka bez reszty. Zawsze można zrobić coś więcej - lepiej zmontować materiał, napisać ciekawszy komentarz, sprawdzić jeszcze jedno źródło... wszystko to jednak musi być gotowe na już, a najlepiej na wczoraj, bo stale pracuje się pod presją czasu!

No dobrze, zgoda, Liz miała rację. Jestem pracoholikiem. Zaniedbywałem rodzinę. Przyznałem się do tego podczas sesji terapii rodzinnej. Myślałem jednak, że mamy czas, że robimy postępy. Chyba nigdy nie przypuszczałem, że Liz naprawdę odejdzie. Aż tu nagle ona i chłopcy zniknęli, pozostawiając! w moim życiu dziurę ogromną jak Wielki Kanion.

Kampania, żeby ich ściągnąć z powrotem, też nie przebiega zbyt pomyślnie. Na dobrą sprawę zostało mi już tylko jedno, ostatnie podejście - właśnie tego lata.

A tymczasem martwię się, że Liz znajdzie sobie kogoś innego, jakiegoś nowoczesnego gościa, wrażliwego, dbającego o potrzeby innych, jednego z tych, co to paradują w podkoszulkach z napisem: JESTEM TATUSIEM. Faceta, który gotów jest chodzić z dzieckiem w nosidełku, jak kangur. Na samą myśl, że Liz może mieć dziecko z kim innym, robi mi się niedobrze, więc wybijam to sobie z głowy.

- Zjedźmy coś - proponuję.

- Tak!

Stajemy w kolejce do straganu z hot dogami.

- Czy młodzi giermkowie życzą sobie, żeby udekorować ich płonące kundle królewską musztardą?

Chłopców zatyka ze zdumienia, ale po chwili pokładają się ze śmiechu. „Czaisz? Kundle. Psy. Hot dogi. Gorące psy. Płonące kundle!”.

Ja z kolei jestem zaskoczony, że wiedzą już, co to kundel.

Spędzamy popołudnie, przeskakując od zdziwienia do zachwyty. Kevin i Sean z zapartym tchem obserwują popisy połykacza mieczy - przystojnego spoconego człowieka w skórzanym kaftanie, który odchyła głowę do tyłu i wsuwa w gardło niewiarygodnie wielką, zakrzywioną turecką szablę. Podobnie jak inne dzieciaki, nie mogą się zdecydować, czy budzi to ich podziw czy raczej niesmak. Uliczny kuglarz drze na strzępy kartę wybraną przez jednego z widzów, tasuje talię na kilka wyszukanych sposobów, po czym z włosów jakiejś kobiety wyciąga kartę, która cudownym sposobem jest z powrotem cała. Kevin z rozdziawioną buzią patrzy na Seana („Jak on to zrobił?”). Obaj z wytrzeszczonymi oczami przyglądają się zmaganiom zapaśników, którzy taplają się w błocie, i obserwują, jak kropla szkła rośnie na końcu piszczeli szklarskiej wydmuchiawca.

We trójkę patrzymy, jak widzowie, zarówno dzieci, jak dorośli, próbują się wspiąć na drabinę Jakubowa. Nikomu nie udaje się pokonać więcej niż dwóch szczebli chwiejnej konstrukcji - prędzej czy później tracą równowagę i całe urządzenie zaczyna wirować wściekle. Spadający śmiałkowie lądują na wielkim stogu miękkiego siana, przeważnie chichocząc ze zdumienia. Niektórzy próbują dwa albo i trzy razy, nim ruszają dalej. Każde podejście kosztuje dolara i chociaż bliźniaki są silne i wysportowane jak na swój wiek, jest oczywiste, że nie mają najmniejszej szansy. Mimo to chcą spróbować, więc ulegam. Najwyraźniej frajda polega na tym, żeby się wykopyrtnąć.

Obaj spadają dopiero z trzeciego szczebla i natychmiast błagają mnie, żebym jeszcze raz pozwolił im spróbować. Waham się, bo dolar za trzydzieści sekund to kosztowna rozrywka.

- Ostatni raz - zapowiadam im i chłopcy znów ustawiają się w kolejce. Kevin zlatuje natychmiast, lecz Sean radzi sobie z rozbujanymi pętlami liny i dociera na sam szczyt. Tłum, który obserwował

porażki wszystkich poprzednich śmiałków, szaleje. Kevin jest trochę zazdrosny, a zarazem szczęśliwy i dumny z brata.

- Niesamowity wyczyn, po prostu niesamowity! - Straganiarz z wielką pompą wręcza Seanowi nagrodę - olbrzymi „srebrny” medal z wytłoczonym *fleur-de-lis*, heraldycznym wizerunkiem irysa. Skracam skórzany rzemyk tak, żeby medalion spoczywał na piersi Seana. Sukces mojego syna zachęcił innych widzów i kilku gapiów dołączyło do coraz dłuższej kolejki.

Obserwujemy ich przez chwilę, po czym ruszamy dalej. Wszyscy próbujemy sił w zonglerce i strzelaniu z łuku (bez większego powodzenia) i paćkami się, wykuwając mosiężne kopie rycerzy w koleczugach. Chłopcy są nakręceni. Chłopcy się nudzą. Znów są podekscytowani. A już całkiem wariują, kiedy jakiś człowiek w łachmanach, który przedstawia się jako Lizus, pada mi do stóp, błagając „jaśnie pana” o „sztukę srebra”. Szalony aktor doprowadza chłopców do paroksyzmów śmiechu, chwytając mnie za kostkę i - dosłownie - liżąc moje zakurzone sandały. Potem oblizuje usta, jakby napawał się smakiem pyłu.

Tak więc bawimy się wyśmienicie, przynajmniej do chwili, gdy sięgam po portfel, by zapłacić za lody, i stwierdzam, że go nie ma. Humor opuszcza mnie natychmiast, myślę o wszystkich związanych z tym upierdliwościach. Będę musiał wyrobić nowe dokumenty, prawo jazdy, karty kredytowe. Czy wystarczy nam benzyny na powrót do domu? Na wszelki wypadek zawsze wożę w schowku dwudziestkę, ale wydałem ją dwa dni temu w pizzerii, w której nie przyjmowali kart. Nie mam nawet drobnych - wszystkie dałem Lizusowi.

Wracamy po własnych śladach. Nagle idący za mną Kev spostrzega mój portfel.

- Tatusiu, masz go w kieszeni - mówi, a kiedy sięgam za siebie, dorzuca: - Nie w tej, w tej drugiej.

Ma rację. Portfel się znalazł. Wyciągam go.

- Hm. W kieszeni. Dlaczego sam na to nie wpadłem? Chłopcy reagują nerwowym śmiechem. Ja zaś kręcę głową.

- Zawsze trzymam portfel tutaj. - Klepię się po tylnej kieszeni spodni. Lewej.

- Pewnie nie tym razem - bąka Sean.

- Pewnie nie.

Nagła zmiana długoletniego nawyku wydaje mi się dziwna, do tego stopnia dziwna, że otwieram portfel i sprawdzam zawartość.

- Wygląda na to, że niczego nie brakuje - uspokajam chłopców. - Wiecie co, kiedy myślałem, że go zgubiłem, czułem się jak ostatni głupek.

- No to chooodźmy! - ryczy Kevin.

- Na turniej, wielmożny panie - dodaje Sean. Idziemy więc na główny punkt programu dobiegającego schyłku popołudnia. Chłopcy męczą mnie o to od godziny; Kevin co dziesięć minut sprawdza czas. Turniej ma się rozpocząć o czwartej trzydzięci. Skręcając z alejki do amfiteatru, dochodzę do wniosku, że dobrze zrobiliśmy, przychodząc nieco wcześniej. Zebrał się już nielichy tłum i musimy usiąść spory kawałek od sceny. Za ławki służą bele siana, ułożone w ciasnych kręgach wokół centralnej areny.

Siedzimy w strefie zielonej. W każdym sektorze giennkowie zachęcają tłum do aplauzu i miotania obelg na przeciwnika.

- Czarny Rycerz to nieguła i pokraka! Wszyscy razem... Żeby zwiększyć poparcie, młodzi kibice każdego rycerza proszeni są o podejście do przodu, do siatki otaczającej ring.

Chłopcy głośno domagają się, żebym pozwolił im dołączyć do Zielonej Maszyny - grupki dzieciaków, które mają zagrzewać do walki Zielonego Rycerza. Waham się.

Liz by ich nie puściła. Zdaje sobie sprawę, że jest nadopiekuńcza, nawet martwi się z tego powodu. „Wiem, że mogę w nich zasiać poczucie niepewności - przyznaje. - Wysyłam sygnał, że wszędzie czyhają niebezpieczeństwa”. Ale to jest silniejsze od niej. Nawet o mnie się niepokoiła. Uwielbiałem, na przykład, wspinaczkę skałkową, lecz Liz tego nie znosiła. Po narodzinach chłopców błagała mnie, żebym z tym skończył. Nie opierałem się zbyt. Z jednej strony rozumiałem jej punkt widzenia, z drugiej zaś praca pochłaniała mnie już tak bardzo, że właściwie nie miałem czasu się wspiąć.

Ale z chłopcami wygląda to jeszcze gorzej. Kiedy odwożenie dzieci do szkoły przypada na inną matkę, Liz nie pozwala synom wsiąść do samochodu, dopóki nie zbada pasów bezpieczeństwa i foteli, nie sprawdzi, czy wóz aby nie jest powypadkowy, i nie oceni umiejętności kierowcy.

- Taaato, prosimy! - Przed nami, na dole, odziany na zielono giermek rozdaje szmaragdowe proporce i zielone balony. Dzieciaki z Zielonej Maszyny wymachują nimi i podskakują. Tłumaczę sobie, że na coś takiego absolutnie powinno się dzieciom pozwolić. W końcu jestem tu przecież z nimi, prawda? Cały czas będę miał ich na oku. Co złego może się stać?

Zgadzam się i z przyjemnością patrzę, jak szaleją z radości.

- Chodź! Lecimy!

- Taaak!

Śledzę wzrokiem podskakujące jasnowłose główki, kiedy chłopcy zbiegają przejściem do wiwatujących dzieci. Giermek podaje każdemu z nich zielony proporzec. Rozpoczyna się turniej i ku swemu zdziwieniu stwierdzam, że konie są nie tylko wielkie, ale i pełne animuszu. Czuje się ich moc. Ziemia drży pod kopytami, gdy rycerze Czerwony i Biały szarżują na siebie z pochylonymi kopiami i wzrokiem wbitym w serce przeciwnika. Ich zderzenie jest gwałtowne, słychać szczęk zbroi. Przez widownię przetacza się ryk, kiedy Czerwony Rycerz pada na ziemię, wysadzony z siodła. Biały Rycerz całuje kopię i unosi ją. Sektor białych szaleje z radości. Szukam wzrokiem swoich synów i spostrzegam ich po prawej stronie wiwatujących. Razem z kilkoma innymi dziećmi głaszczą małego psiaka. Pies też ma na sobie kostium, z elżbietańską krezą.

Oczy wszystkich zwracają się ku arenie, gdy trąbka herolda zapowiada kolejny pojedynek. Naprzeciwko siebie stają rycerze Zielony i Czarny. Następuje straszliwe zderzenie i Czarny Rycerz pada na ziemię. Nawet ja muszę przyznać, że widowisko jest naprawdę emocjonujące. Oglądamy prawdziwe pojedynki i byłbym zdziwiony, gdyby jeźdźcy nie prowadzili rachuby swoich zwycięstw i porażek. Kiedy Czarny Rycerz podnosi się i umyka chyłkiem, masując zadek, nie sposób nie żegnać go brawami.

Świetnie zrobione, myślę sobie i odwracam się, by sprawdzić, jak się to podoba chłopakom. Mój wzrok wędruje do siatki, gdzie zebrała się Zielona Maszyna, ale w tłumie dzieci nie dostrzegam Kevina ani Seana. Przynajmniej nie od razu.

Ale potem też nigdzie ich nie widzę.

Wstaję i wychylam się, by mieć lepszy widok. Za mną ludzie krzyczą: „Siadaj pan!”. Nie zwracam na nich uwagi i szukam dalej. Ale chłopcy... zniknęli. Paniczny strach ścisza mnie za gardło. Próbuję go zdusić.

Na arenie zwycięscy rycerze szykują się po przeciwnych stronach do finałowego starcia. Ich konie grzebią kopytami w ziemi i potrzęsają potężnymi łbami. Zielony giermek każe swoim

podopiecznym skandować: „Zie-lo-ny! Zie-lo-ny! Zie-lo-ny! Zie-lo-ny!”.

- Kevin?

Tłumaczę sobie, że oni gdzieś tam są, gdzieś przede mną, schowani za starszymi, wyższymi dziećmi.

- Sean!

Gdy przeciskam się przez tłum do siatki, giermek podaje nowy tekst:

- Zie-lo-ny a-ta-kuj!

- Kevin?! - Podnoszę głos tak, że przekrzykuję aplauz widowni.

Kiedy Zielony Rycerz rusza z kopyta na przeciwnika, docieram do ogrodzenia i uświadamiam sobie, że na żadnej wojnie nie bałem się tak jak teraz.

- Sean?!

Teraz już krzyczę ile tchu w piersiach, rozglądając się w popłochu. I widzę dzieci... cudze. Całe mnóstwo dzieciaków. Zielony Rycerz pada na ziemię i w naszym sektorze rozlega się jęk zawodu, a po przeciwnej stronie areny widownia wybucha rykiem. Na znak giermków w powietrze wzlatają balony. Przeciskam się do samej siatki i lustruję wzrokiem tłum, gorączkowo szukając jasnych włosów i żółtej koszulki. Ale nie widzę ich. Dzieci zaczynają się rozchodzić, wracają do rodziców.

Po chwili cofam się w okolice beli siana, na której siedzieliśmy. Nie spuszczam wzroku z rozchodzącego się tłumy, licząc na to, że ujrzę swoich synów, ale po pewnym czasie zostaję na widowni sam, jeśli nie liczyć kobiety kilka rzędów niżej, która pociesza drącego się wniebogłose kilkuletniego brzdąca.

Dwadzieścia dwie minuty po siedemnastej, a bliźniaków jak nie było, tak nie ma. Zniknęły! Siedzę tam z nadzieją, że chłopcy musieli iść do ubikacji i zaraz wrócą, lecz ucisk w piersi mówi mi co innego. Nie poszli do kibla. Nie zrobiliby tego, nic mi nie mówiąc. Nie wyszliby w samym środku turnieju.

No to gdzie są?!

Zdaję sobie sprawę, że postępuję irracjonalnie, a jednak przez kilka minut nie mogę się zmusić, by opuścić widownię. To tutaj widziałem ich po raz ostatni, to tu by wrócili, gdyby... gdyby się gdzieś oddalili. Wyrzucam z głowy to określenie, bo kojarzy mi się z telewizyjnymi relacjami o zaginionych dzieciach, których nikt nigdy więcej nie widzi, które kończą jako portrety na kartonach mleka.

Siedzę na sianie dłużej, niż powinienem, bo uświadamiam sobie, że jeśli wstanę i wyjdę z amfiteatru, tym samym przyznam, że moi synowie rzeczywiście zniknęli, że dzieje się coś strasznego, że należy wezwać policję. Ot, zwierzęcy strach owinięty w desperacką nadzieję, a jednak mijają minuty, a ja tkwię tam jak sparaliżowany we mgle przesądów.

W końcu otrząsam się z bezruchu i wstaję, czując, jak śmiertelne przerażenie przeszywa moje ciało niczym prąd. Dziesięć sekund później pędzę już przed siebie na oślep, nie zważając ani na rozstępujący się przede mną wystraszony tłum ani na ścigające mnie zirytowane i rozgniewane głosy.

- A temu co się stało?

- Hej!

- Panie, tu są małe dzieci!

- Uważaj no, kolego!

Mija trochę czasu, zanim znajduję kogoś z ochrony jarmarku.

- Słuchamy cię, przybyszu.

- Nie mogę znaleźć dzieci. - Napięcie w moim głosie przebija barierę wieków. Nagle znów mamy rok 2003.

- Normalka - uspokaja mnie facet. - Ludzie są roztargnieni. Wystarczy, że obok nich przejdzie kuglarz... wie pan, że mamy tu tuzin kuglarzy? Łatwo stracić dzieciaki z oczu.

- Nie straciłem ich z oczu - upieram się. - Oglądaliśmy turniej...

Wszyscy mnie pocieszają. Przez megafony podają komunikat, informujący „księcia Kevina i jaśnie pana Seana”, że ich ojciec się zgubił. Czy panicze byliby łaskawi pojawić się przy którejś z budek?

Czekam, powtarzając sobie, że chłopcy zjawią się lada chwila. Ale sam w to nie wierzę.

### Rozdział 3

Siedzę sam jak palec na ławie przed wiejską chatą, w której ulokowano kwaterę główną Jej Królewskiej Mości. Wnętrze budynku nie ma w sobie nic ze średniowiecza. W przestronnym, nowocześnie urządzonym pomieszczeniu pracuje pół tuzina osób z obsługi jarmarku. Część przeznaczona dla ochrony wyposażona jest w biurka, komputery i wyrafinowany system łączności. W budynku mieszczą się także ambulatorium i biuro rzeczy znalezionych.

Siwowłosa mężczyzna wychyla się zza drzwi.

- Przynieść panu jakiś napój? - pyta. - Kawę? Coś zimnego?

Odmawiam ruchem głowy, nie spuszczając wzroku z tłumu. Tłumaczę sobie, że w każdej chwili chłopcy mogą wyjść zza rogu.

- Jak pan chce.

Siwowłosym jest Gary Prebble, szef ochrony jarmarku. Ma na sobie typowy bladoniebieski mundur i spodnie ze złotymi lampasami, a do tego odznakę, przypiętą do kieszeni koszuli. Do pasa ma przytroczoną pałkę policyjną, gaz obezwładniający w aerozolu oraz krótkofalówkę. Innymi słowy, gliniarz do wynajęcia, który podczas weekendów dorabia sobie na jarmarku.

Użycie słowa „napój” wskazuje, że Prebble należy do ludzi wykonujących szczególną pracę; pracę, w której królują pojęcia nieznanne mowie potocznej: „napój”, „zawód”, „pojazd” czy „broń palna” zamiast „coś do picia”, „praca”, „samochód” czy „pistolet”.

Kiedy dotarłem tam i powiedziałem Prebble’owi, że nie mogę znaleźć dzieci, wysłał korpulentną kobietę z włosami zaplecionymi w warkoczyki, by odczytała komunikat przez megafony, po czym metodycznie zaczął wypełniać, jak to określił, „formularz okoliczności zdarzenia”.

- Kiedy dzieciaki się urywają (z czym mamy do czynienia cały czas, dzień w dzień), w zasadzie ogłaszamy komunikat i czekamy, aż się pojawią - tłumaczył mi. - One zawsze wracają, prędzej czy później. - Poradził mi, żebym „wziął na wstrzymanie”. - Siedzę w tym nie od dzisiaj. - W geście pociechy położył mi dłoń na ramieniu. - Kiedy ludzie się zgubią, najlepiej czekać w ustalonym miejscu, wie pan, o co chodzi?

To było dziesięć minut temu. Teraz Prebble siada koło mnie na ławie i popija kawę ze styropianowego kubka. Nie potrafię wydusić słowa. Usta mam suche jak pieprz.

Prebble lubi sobie pogadać.

- Brakuje mi noszenia broni - mówi, klepiąc się po pasku. - Przez trzydzieści lat służyłem w policji hrabstwa Prince William... wie pan, w Wirginii. Pięć lat temu przeszedłem na emeryturę. Przeniosłem się tutaj, żeby być blisko wnuków. - Uśmiecha się pokrępijając. - Niech pan się tak nie martwi o chłopaków. Oni wrócą. Może mi pan wierzyć.

Z jego oczu bije ciepło, całą swą postawą dodaje mi otuchy - umiejętność wyniesiona z długich lat pracy w charakterze kogoś, do kogo ludzie zwracali się ze swoimi kłopotami. Jego pewność

siebie podnosi mnie nieco na duchu... ale tylko nieco.

Gdzie oni się mogli podziać?

Ludzie wchodzą do budynku, wychodzą. Małżeństwo prowadzi wrzeszczącego kilkulatka ze skaleczonym kolaniem. Para nerwowych nastolatków pomaga utykającej dziewczynie, którą użądliła osa. Zmęczony mężczyzna wyjaśnia, że zgubił kluczyki do samochodu. Jakaś kobieta skarży się, że na straganie zjedzeniem przy wydawaniu reszty oszukano ją na dziesięć dolarów.

Z całych sił staram się uwierzyć, że zaginięcie chłopców jest kolejnym z takich drobnych incydentów, że lada chwila zza rogu wyjdzie ktoś dorosły, prowadząc Kevina i Seana. Ale po chwili nie potrafię dłużej tam wysiedzieć.

- Wie pan co, gdyby się pojawili... - zwracam się do Prebble'a.

- Pojawią się, panie Callahan. Sam pan chce ich poszukać? No to śmiało. Kiedy przyjdą, zatrzymamy ich tu i wezwiemy pana przez megafony. Obiecuję.

Cóż to za ulga być znowu w ruchu! Lepiej coś robić, cokolwiek, niż tylko siedzieć i czekać. Najpierw kieruję się do jeepa, myśląc, że może kiedy straciliśmy kontakt, chłopcy poszli do samochodu. Czy właśnie tak by zrobili? Mnie się to wydaje logiczne, ale przez ostatnie pół roku spędziłem z nimi zbyt mało czasu i nie potrafię przewidzieć ich reakcji. No ale przynajmniej wezmę telefon komórkowy. Chłopcy znają numer. Przed wyjazdem z Maine Liz kazała im wykuć na pamięć wszystkie numery moich telefonów. Być może dzwoniли.

- Dokąd to waszmość zmierza w takim pośpiechu? - zwraca się do mnie zalotnie jakaś wypacykowana kobieta i chwyta mnie za rękę. - Nie lepiej zabawić tu...

Dobre wychowanie nie pozwala mi po prostu minąć jej bez słowa.

- Szukam dzieci.

- Ostempluję panu dłoń - mówi, już bez udawanego akcentu. - Inaczej znów każą panu płacić na bramce... choćby chciał pan wejść tylko na dziesięć minut.

Nie dając mi szansy na odpowiedź, przystawia mi na grzbiecie dłoni różowy stempel - fosforyzującą różę.

Sadzę długimi susami między hektarami lśniących samo^ chodów i zauważam, że w pobliżu wjazdu widać już spora wolnych miejsc. Olbrzymi parking otoczony jest przez gęsty i bujny las, z którego dochodzi namiętny harmider cykad - j wznosząca się i opadająca kaskada dźwięków, która przyprawia mnie nieomal o zawrót głowy. Mija mnie z łoskotem jasnon zielony traktor marki John Deere, z przyczepą wyładowana odblaskowymi kurtkami i jaskrawopomarańczowymi pałecz-1 kami, używanymi do kierowania ruchem drogowym. Służb)j pomocnicze jarmarku szykują się na masowy exodus.

Odszukanie jeepa zabiera mi trochę czasu. W końcu znajdują go, ale chłopców nie ma. Właściwie nie liczyłem na to, że tam będą, a jednak jestem rozczarowany. Otwieram zdalnie zamykane drzwi i chwytam komórkę, z przelotną nadzieją, że zastana wiadomość od synów.

Ale nic z tego. Chowam komórkę do kieszeni, lecz zaraa wyjmuję ją z powrotem, by sprawdzić wiadomości na automatycznej sekretarce w domu. Tam też nic dla mnie nie ma, jedynie pytanie od Kathy ze stacji („Czy masz zajawkę do materiału?”).

Wracam truchtem do bramy i znów wchodzę na teren jarmarku, w przelocie pokazując różę na dłoni bramkarzowi, który przepuszcza mnie przez kołowrót. Chwytam plan jarmarku i kierując się nim, zaczynam poszukiwania.

Mam zamiar robić to systematycznie - sprawdzić po kolei wszystkie stragany i stoiska, amfiteatry,

obojętnie duże czy małe, każdą przenośną ubikację i każdy, nawet najmniejszy sklepik. Krążąc po terenie, wykrzykuję imiona chłopców. Z całych sił staram się nie wpadać w panikę, jednak od czasu do czasu głos mi się łamie i pobrzmiwająca w nim desperacja udziela się ludziom wokół mnie. Widzę to w ich spojrzeniach - pełnych niepokoju, czujnych.

- Kevin! Sean!

Wkrótce zaczynam zaczepiać ludzi na chybił trafił.

- Szukam bliźniaków...! Bliźniaki, nie widzieliście ich? Dwaj chłopcy, sześć lat, jasne włosy...

Widzieliście dwóch chłopców? Bliźniaków?

Jarmark rozplanowano w dość skomplikowany sposób, na wzór supermarketów, w których zmusza się klientów do przejścia przez cały sklep. Szukanie kogoś w poruszającej się chaotycznie ludzkiej ciżbie nie jest łatwe. Kilkakrotnie łapię się na tym, że poznaję dane miejsce, że wróciłem na teren już raz obszukany. Co parę minut biegnę na arenę, gdzie rozgrywał się turniej, z nadzieją, że może chłopcy tam wrócili. Potem zaglądam do Gary'ego Prebble'a, by sprawdzić, czy ktoś nie odprowadził chłopców.

Czterdzieści pięć minut później mam już sprawdzoną większość terenu. Niektórzy przyznają, że widzieli moje dzieci, ale kiedy domagam się szczegółów, okazuje się, że albo było to dużo wcześniej, albo ich wspomnienia są tak mętne, że nie mają żadnej wartości. Inni zaś mówią, że widzieli chłopców, tylko po to, żeby mnie uspokoić. Odnoszę wrażenie, że próbują ukoić moją rozpacz. („Tak mi się zdaje, że widziałem bliźniaków na pokazie sokolnika”).

Nagle z megafonów rozlega się komunikat - do zamknięcia Jarmarku zostało trzydzieści minut, wobec czego odwiedzający Proszeni są o kończenie zakupów i zwrot wypożyczonych kostiumów. Tłum natychmiast rusza w kierunku wyjścia. Ja kieruję się do biura.

Domagam się, żeby Gary Prebble otoczył kordonem cały teren.

- Nie możemy tego zrobić - odpowiada.

- Dlaczego nie?

- Wyobraża pan sobie, jaka by wybuchła panika, gdybyśmy próbowali uwięzić tu tych wszystkich ludzi? Ja tego nie mogę zrobić! Poza tym cały teren jarmarku jest otoczony. Z wyjątkiem personelu każdy musi wejść i wyjść przez jedną i tę samą bramę... dzięki temu mamy pewność, że wszyscy zapłacą za wstęp, rozumie pan? Być może chłopcy poszli do waszego samochodu.

- Nie, już sprawdzałem.

- Tak czy inaczej, zaraz zamykamy. Na pewno słyszeli komunikat. Wszyscy wracają do samochodów. - Prebble znika na chwilę w biurze i słyszę, jak woła do asystentki: - Jackie, połącz się z naszymi ludźmi. Żeby mi się przypadkiem żaden nie ważył iść do domu, jasne?

Stoimy we dwóch na moście nad fosą, obserwując tłum wychodzących.

- Jedno wejście, jedno wyjście - tłumaczy mi Prebble. - Przy wejściu wszyscy muszą płacić, a od wyjścia są kierowani od razu na parking, żeby nie naruszali prywatności artystów i rzemieślników, którzy mieszkają na miejscu.

- Mieszkają tutaj?

- Tak, niektórzy. Tam z tyłu, za ringiem do zapasów w błocie. Mają przyczepy kempingowe i karawaningi. Tego typii jarmarki są w całym kraju, właściwie to na całym świecie. Niektórzy z tych ludzi po prostu przenoszą się z jednego do drugiego. Tak wygląda ich życie, wie pan, jak w cyrku.

Skupiam wzrok na nadchodzącym tłumie. Gdy tylko dostrzegam dwójkę jasnowłosych dzieci - a nawet jedno - serce podskakuje mi z nadzieją. Tyle że za każdym razem nadzieja trwa raptem kilka



sekund i znika, kiedy jasnowłose dzieci: podchodzą bliżej i mogą rozpoznać ich rysy.

To nie Kevin. Ani Sean.

Niektórzy przed wyjściem zaglądną do wypożyczalni strojów i zamieniają elżbietańskie kostiumy na dzinsy i koszulki, kuse topy i szorty. Znużeni rodzice zaganiają padnięte dzieci, z wymalowanymi na policzkach tęczkami. Maluchy wrzeszczą, że chcą na ręce. Mijają mnie dwie chichoczące nastolatki w makijażu gothów, prowadzące małą dziewczynkę z girlandą kwiatów we włosach.

Gdy tłum się już wyraźnie przerzedził, krótkofalówka Prebble'a ożywa nagle z trzaskiem. Emerytowany policjant odchodzi na stronę, a mnie zalewa fala nadziei. Na krótko. Po twarzy Prebble'a widzę, że nie chodzi o moich synów.

- Przed wyjściem z biura kazałem Mikę'owi zadzwonić na komendę hrabstwa Anne Arundel i zawiadomić ich, że chyba mamy problem - tłumaczy mi z dziwnie zasmuconą miną. - Będą tu lada chwila.

Pięć minut później snuje się tylko kilku maruderów. Na terenie jarmarku ekipy porządkowe zaczynają zbierać śmieci i odpadki - podnoszą zakończone blankami pokrywy śmietników i wyciągają wielkie plastikowe torby. Chudy jak patyk młody człowiek w czapce błazna podjeżdża ciągnikiem na grubych oponach i wrzuca worki na niewielką pakę. Przy wejściu pracownicy sklepów chowają towar na noc - cynowe dzbany, leżaki, świece, oprawione w ramki drzeworyty przedstawiające rycerzy. W wypożyczalni kostiumów jakaś kobieta podlicza utarg na kalkulatorze. Za mną, na straganie ze świecami, sprzedawca zabija wystawę pomalowaną dyktą.

Prebble łączy się przez krótkofalówkę ze swoimi ludźmi, ale nikt nie widział bliźniaków.

- Bo ja wiem, może gdzieś przysnęli - mówi. - Tutaj wszędzie jest mnóstwo kryjówek. - Pewność siebie ulotniła się z jego głosu.

Na olbrzymim parkingu setki silników samochodowych wyją na wstecznym biegu, zagłuszając okazjonalny płacz zmęczonych dzieci. Ludzie w odblaskowych pomarańczowych kurtkach, z takimi samymi flagami w rękach, kierują strumieniem odjeżdżających samochodów.

Brązowo-beżowy wóz patrolowy, z błyskającym czerwono-niebieskim kogutem na dachu, przeciska się przez sznur wyjeżdżających samochodów i parkuje tuż przed bramą.

Detektyw Shoffler to olbrzymi facet o czerstwej twarzy i ciemnoblond włosach. Ma jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt kilka lat i czterdzieści funtów nadwagi. Nawet w pogniecionym mundurze w kolorze khaki i niebieskiej, pamiętającej lepsze czasy kurtce, wzbudza natychmiastowy posłuch. Ale mimo otyłości porusza się jak sportowiec.

Funkcjonariusz Christiansen jest ostrzyżonym niemal na zero chudzielcem o końskich zębach i piskliwym głosem. Ma na sobie brązowy mundur, mniej więcej w odcieniu radiowozu.

Olbrzymia sękata dłoń Shofflera nie puszcza od razu mojej ręki, przeciwnie - detektyw przykrywa ją drugą dłonią.

- Panie Callahan - mówi na powitanie i wbija we mnie wzrok tak przeszywający, że czuję się jak pod skanerem biometrycznym.

W końcu puszcza moją rękę i oskarży cielsko celuje palcem w Prebble'a.

- Gary, było mnie wezwać wcześniej. Psiakrew, sam dobrze wiesz. - Z dezaprobatą potrząsa głową.

Prebble wzrusza ramionami.

- Myślałem, że...

- Jak dawno zniknęli? Ponad dwie godziny temu? - Shoffler wzdycha ciężko. - No dobra. Jak dzisiaj stoisz z ludźmi?

- Ja plus czterech - odpowiada Prebble, lecz widząc, że Shoffler najwyraźniej czeka na więcej danych, wymienia ich z nazwiska. - Oprócz Jacka - mchem głowy wskazuje siedzącego za biurkiem bladego faceta - jest Gomez, Arringtoni i... a tak, Abigail Dixon.

Shoffler krzywi się.

- Dawaj ich tu.

Prebble kiwa głową, nagle jednak odsuwa słuchawkę od ucha, by coś nam powiedzieć, lecz Shoffler powstrzymuje go unosząc rękę tak, jakby kierował ruchem na skrzyżowaniu.

- Wzywam K-9 - mówi, wyciągając przypiętą do paska komórkę, i odwraca się do Christiansena.

- A tymczasem opieczętujemy ten interes. **Rozdział 4**

Można by się spodziewać, że ten wybuch profesjonalnej aktywności poprawi mi nastrój, a tymczasem tkwię tam sparaliżowany strachem. Wprawdzie nie dałem się tak do końca nabrać na dętą pewność siebie Prebble'a, ale pełna skupienia, niezmordowana postawa Shofflera jest nieskończenie gorsza. Myślę o synach Ramirezów - bliźniakach z Kalifornii, zamordowanych kilka lat temu. Przychodzą mi do głowy Ethan Patz i Adam Walsh, Polly Klaas i Samantha Runnion, a także wszystkie mniej znane zaginione dzieci, których twarze straszą świat z kartonów mleka i fotografii na ścianach urzędów pocztowych.

Najwyraźniej moja mina zdradza, jak bardzo się boję, bo Shoffler wyciąga rękę i wielką łapą ściska mnie za ramię.

- Dzieciaki lubią się chować - mówi, i tym razem na prawdę działa na mnie uspokajająco. - W tym sęk. A to się zgubią, a to się czegoś wystraszą, i wtedy najczęściej się chowają. Może się nawet boją, że jest pan na nich wściekły, rozumie pan? O to, że nie mógł ich pan znaleźć. No więc poszukamy ich sami, przekopimy cały teren. Wezwałem K-9, bo psy mogą się przydać. W porządku?

- Jasne - odpowiadam. - Rozumiem. Przygląda mi się z uwagą.

- Ja już gdzieś pana widziałem. Adwokat czy coś w tym guście?

- Reporter. Pracuję dla Foxa.

- Tak - bąka odruchowo, lecz nagle sobie przypomina. - A tak, jasne. - Z kieszeni kurtki wyciąga i otwiera mały kołonotatnik. - Dobra, pogadajmy o pańskich chłopakach. Ile oni mają... sześć lat? Tak mówił Gary.

- Kevin i Sean Callahan.

- Data urodzenia?

- Czwarty stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego.

- Proszę ich opisać.

- Mają, boja wiem, gdzieś tyle... - Unoszę rękę, by mniej więcej pokazać, jakiego są wzrostu. - Niebieskie oczy, jasne włosy...

- Co znaczy „jasne”? - dopytuje się detektyw. - Ciemnoblond jak pańskie czy raczej platynowe?

- Prawie białe.

- Jakieś znaki szczególne, blizny, coś w tym rodzaju?

- No... przednie zęby jeszcze nie całkiem im się wyrznęły.

- Dobrze - mówi detektyw, zapisując tę informację, i kiwa głową, jak gdyby stan uzębienia chłopców miał jakieś istotne znaczenie. Mnie się to wydaje porąbane, zważywszy na fakt, że Kevin i Sean są wyjątkowi tylko pod jednym względem.

- Wie pan, że to bliźniaki? - pytam. Ze zdenerwowania podnoszę głos i wypada to trochę za głośno. Właściwie krzyczę. Biorę głęboki oddech. - No przecież pan wie. Oni są identyczni.

- Taak, tylko widzi pan... mogło się zdarzyć, że się roz]dzielili. Więc... - Wzrusza ramionami.

- Nie - protestuję z naciskiem. - Na pewno trzymaliby się razem. - Na samą myśl, że Kevin i Sean są teraz osobno robi mi się niedobrze.

- Ubierają się tak samo?

- Nie.

- To proszę mi powiedzieć, co mieli ma sobie. Najpierw Kevin.

- Żółta koszulka z wielorybem, džinsy, białe najki.

- A Sean?

- Bojówki, niebieska koszulka, czarne buty w białe paski. Shoffler zapisuje te dane i odwraca się do Gary'ego Prebble'a.

- Gar, zakładam, że masz listę personelu jarmarku... kto gdzie pracuje i o której? Będzie mi potrzebna. No, to teraz zastanówmy się, jak najlepiej zorganizować przeszukanie terenu.

Obaj podchodzą do wielkiej mapy, wiszącej na ścianie za biurem rzeczy znalezionych, i dyskutują, jak rozdzielić zadania pomiędzy ludzi.

- Kiedy będziecie sprawdzali tereny mieszkalne, a chciałbym, żebyś to zrobił osobiście, Gary, proś wszystkich o zgodę na zajrzenie do wozów i przyczep - mówi Shoffler. - Ale nie naciskaj. Tylko gdyby ktoś się wahał, zapamiętaj kto, bo może trzeba będzie wrócić z nakazem przeszukania.

Nie wytrzymuję.

- Pan myśli...? To znaczy... Detektyw zerka na mnie.

- Ja nic nie myślę, panie Callahan. Naprawdę. Tylko że... obowiązują nas pewne procedury, pan rozumie.

Potakuję, choć niemal odchodzę od zmysłów. Nakazy przeszukania!

Shoffler odwraca się z powrotem do Prebble'a.

- Spisz wszystkie nazwiska i zaznacz, u kogo zaglądałeś do środka, a u kogo nie. Pytaj o ludzi, którzy dla nich pracują, o takich, których może nie być na oficjalnej liście pracowników jarmarku. Jeśli okaże się, że mamy do czynienia z uprowadzeniem, trzeba będzie zidentyfikować potencjalnych świadków.

Mimo że przychodziło mi to do głowy - oczywiście, że o tym myślałem! - wciąż kurczowo trzymam się myśli, że chłopcy tylko się zgubili. Na dźwięk słowa „uprowadzenie” głowa mi eksploduje, niczym trafiona kulą dum-dum.

Shoffler wysyła ludzi na poszukiwania - ochroniarzy, Christiansena oraz świeżo przybyły oddział K-9 z ich owczarkiem niemieckim, nerwową suką, która wabi się Księżniczka - po czym siada ciężko na ławce przed biurem i wskazuje mi miejsce obok siebie.

- No to niech pan opowiada - mówi. - O wszystkim, co tu robiliście. Gdzie pan chodził z chłopakami, co tylko pan pamięta. - Wyciąga z kieszeni mały dyktafon. - W zasadzie wolę robić notatki - wyjaśnia. - Ale nagram pana, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- A dlaczego miałbym mieć coś przeciwko? Detektyw wzrusza ramionami, włącza dyktafon i mówi do mikrofonu:

- Sobota, trzydziesty pierwszy maja roku dwa tysiące trzeciego. - Zerka na zegarek. - Godzina dziewiętnasta trzydzieści dwie. Mówi detektyw Ray Shoffler. Zostałem wezwany przez Gary'ego Prebble'a, szefa ochrony Jarmarku Renesansowego w Cromwell, w stanie Maryland. Rozmawiam z

Alexandrem Callahanem, ojcem Kevina i Seana, sześciolatek identycznych bliźniaków, którzy zaginęli.

Wyciąga rękę, by srebrny dyktafon znalazł się w pół drogi między nami. Na urządzeniu świeci czerwona dioda.

- A swoją drogą, gdzie jest pańska żona, panie Callahan? Została w domu? Wie już, co się stało? Jezu! Liz!

- Żona mieszka w Maine - wyjaśniam. - Jesteśmy w separacji.

Detektyw marszczy brwi i przechyla głowę na bok, jakby nie spodobało mu się to, co usłyszał.

- Uhm - chrząka.

- Chłopcy przyjechali do mnie na wakacje.

- A pan jest skąd? Tutejszy?

- Ze stolicy.

- Miejsce zamieszkania? Podaję mu adres.

- Przyszedł pan do biura jarmarku o, powiedzmy, piątej trzydzieści sześć. O której, pańskim zdaniem, chłopcy zniknę...

- A co z Alarmem Amber? - przerywam mu. - Czy nie powinniście go ogłosić?

Kilka miesięcy temu ktoś w stacji robił reportaż na ten temat. Nie pamiętam dokładnie szczegółów, w każdym razie system ten, nazwany tak od imienia zamordowanej dziewczynki, uruchamia skomplikowaną sieć, mającą uczulić społeczeństwo na fakt zaginięcia dziecka - komunikaty w stacjach radiowych i telewizyjnych, ogłoszenia przesuwające się u dołu ekranu na wszystkich głównych kanałach. Podają to nawet na tych wielkich elektronicznych tablicach nad autostradami, które zwykle ostrzegają przed mgłą albo wypadkami.

Gdy przypominam sobie dyskusję, jaką toczyliśmy w stacji, ogarnia mnie poczucie winy. Byłem przeciwny zaśmiecaniu ekranu scrollami informującymi o pogodzie czy o najświeższych wydarzeniach, uważając, że tylko rozpraszają uwagę widzów. Alarm Amber daje mniej więcej ten sam efekt.

- Niestety, nie możemy uruchomić Amberu - tłumaczy Shoffler. - Przynajmniej jeszcze nie teraz. Do tego trzeba mieć bardzo szczegółowe, precyzyjne informacje... rysopis sprawcy, markę i model pojazdu, numery rejestracyjne. - Jego dłonie wzlatują w powietrze i lądują z powrotem na udach. - Konkrety. Amber dotyczy wyłącznie przypadków uprowadzenia. A na razie wiemy tylko tyle, że pańskie dzieciaki się zgubiły.

- Jasne.

- Nie siedzimy z założonymi rękami, panie Callahan. Jak tylko Gary do mnie zadzwonił, jeszcze zanim tu dotarłem, zdałem sobie sprawę, że chłopców nie ma od prawie dwóch godzin, więc uprzedzając rozwój wypadków, wysłałem uzedkę do sąsiednich okręgów.

- Uzedkę?

- "Uwaga, zaginęło dziecko". Bez słowa kiwam głową.

- No dobra - mówi Shoffler, mlaskając wargami. - Zaczniemy od tego, gdzie pan widział synów po raz ostatni, a potem polecimy przez cały dzień... co robiliście rano, kiedy i jak tu przyjechaliście, jak dokładnie wyglądał wasz pobyt na terenie jarmarku. Nagrajmy wszystko, dopóki ma pan to jeszcze świeżo w pamięci.

- Oglądaliśmy turniej - wyjaśniam. - Chłopcy poszli kibicować Zielonemu Rycerzowi...

Gdy kończę relacjonować tę część, zaczynamy od początku. Próbuję zrekonstruować przebieg

dnia. Czerwona dioda świeci, ja gadam, Shoffler słucha.

Jarmark jest już prawie całkiem wyludniony, a stragany pozabijane deskami i zamknięte na kłódki. Idziemy z Shofflerem w kierunku areny, na której rozgrywano turniej. Detektyw zatrzymuje wszystkich napotkanych ludzi i starannym charakterem pisma notuje ich nazwiska oraz miejsce pracy na jarmarku, a także informuje, że przed opuszczeniem terenu muszą się odmeldować w biurze u Jacka. Każdego pyta, czy widział może bliźniaków. Nie? A mnie? Nie.

Mamy za sobą kilkanaście takich spotkań, gdy naraz Shoffler zatrzymuje się, przekrzywia głowę i spogląda na mnie.

- Hm - chrząka z miną, której nie potrafię odczytać.

- Co się stało? Detektyw kręci głową.

- Nic, po prostu dziwię się, że nikt ich nie zapamiętał. Wie pan... nie zauważyć identycznych bliźniaków...

Ta uwaga przemyka obok mnie jak mysz pod ścianą.

Na arenie Shoffler kroczy za mną, gdy przestępuję przez bele siana.

- Gdzieś tu - oznajmiam, zatrzymując się. - Siedzieliśmy gdzieś tutaj.

- I to stąd widział ich pan po raz ostatni?

- Mniej więcej.

- A oni gdzie byli?

Wskazuję ręką na ogrodzenie, tam, skąd Zielona Maszyna kibicowała swojemu rycerzowi. Po raz czwarty czy piąty szczegółowo opisuję przebieg wypadków. Shoffler przerzuca kartki i sprawdza coś w notesie.

- Więc ostami raz widział ich pan tam na dole, kiedy kibicowali Zielonemu Rycerzowi.

Zamykam oczy, skupiam się.

- Nie - prostuję. - To nie tak.

- A jak?

- Po raz ostatni widziałem ich tuż przed walką finałową. Stali w tłumie innych dzieci i bawili się z psem.

- Z psem? Jakim psem?

- Takim chudym... jakże one się nazywają? Podobne do charta, ale mniejsze.

- Whippet? - podsuwa Shoffler.

- O właśnie. Pies miał coś na szyi... wie pan, obrozę. Taką jak kołnierz, białą i pomarszczoną.

- Znaczy się, jak z Szekspira? Tę, no... jak to się nazywa? Krezę?

- Właśnie. Krezę. A swoją drogą - dorzucam, bo przed oczami staje mi właściwy obraz - ten facet nosił taką samą.

- Co za facet?

- Ten od psa. Wysoki.

- I nosił krezę, tak samo jak pies? Byli przebrani w kostiumy?

- Zgadza się.

- Uhm - bąka Shoffler. - A więc spuścił pan dzieci z oczu, żeby obejrzeć walkę, a kiedy znów pan tam spojrział, ich już nie było.

- Właśnie - potwierdzam, czując w piersiach ucisk, jakbym siedział w samolocie, który właśnie zanurkował o dwadzieścia tysięcy stóp. - Już ich nie było.

Podchodząc do areny, spostrzegam, że ktoś na niej jest - chudy facet w wyblakłej czerwonej

koszulce adidasa. Usuwa grabiami końskie odchody.

Mężczyzna uprzejmie odpowiada na pytania Shofflera.

- Allen Babcock - przedstawia się z brytyjskim akcentem. - A, podwójne L, E, N. Jestem głównym stajennym, zajmuję się końmi i całą resztą. - Wskazuje na odchody. - Dzisiaj mnie przypadła w udziale brudna robota. Wolno spytać, o co chodzi?

- Zaginęli dwaj mali chłopcy. Bliźniaki. Babcock strzela oczami w moim kierunku.

- To pana dzieci, tak? Przytakuję skinieniem głowy.

- Mają sześć lat. Jasne włosy. Widział ich pan? Stajenny kręci głową.

- Niestety. Teraz już nikogo nie ma, a wcześniej... ja rzadko pracuję na zewnątrz. Kilku kibicom udało się dostać do bramek dla koni, ale niewielu. Bliźniaków nie było. Nie dzisiaj. Zapamiętałbym ich.

- Bramki dla koni? Gdzie pan właściwie przebywa podczas całej tej imprezy? - pyta Shoffler.

- Chcecie zobaczyć?

Ruszamy za Babcockiem na drugą stronę areny i przez furtkę wychodzimy na coś w rodzaju punktu zbornego. Dwie metalowe bramki, sklecone z połączonych ze sobą dmcianych siatek, prowadzą do dwóch drewnianych wybiegów dla koni.

- Jedną bramką wchodzi, drugą wychodzą - tłumaczy stajenny. - Konie bywają uparte... nie przepadają za tym ryszunkiem, w którym muszą występować. Dlatego siedzę tutaj, doglądam zwierząt, no i wsadzam rycerzy na siodło i pomagam im zsiąść... w tych zbrojach to nie lada wyczyn.

- A co pan robi potem? Wywozi pan konie aż do następnego dnia czy weekendu?

- Nie, nie. My zostajemy na miejscu.

- To znaczy gdzie? - dopytuje się Shoffler.

Babcock prowadzi nas do wysokiego na sześć stóp ogrodzenia z siatki.

- Czy ta siatka otacza cały teren? - pyta detektyw.

- Tak - potwierdza stajenny, zdejmując kłódkę, i otwiera furtkę.

Kiedy przechodzimy na drugą stronę siatki, na otwartą przestrzeń, ogarnia mnie paniczny strach. Przed nami rozpościera się cały wielki świat. Jeżeli Kevina i Seana nie ma na terenie jarmarku, mogą być wszędzie.

- Konie i uprzęż trzymamy tam - wyjaśnia Babcock, ruchem głowy wskazując stodołę z białych desek. - Ludzie mieszkają w wozie. - Pokazuje palcem wielkiego mieszkalnego winnebago. - A rycerze... no, to przecież aktorzy, prawda? Nie tylko jeźdźcy. Mieszkają w obozowisku, razem z resztą. Tutaj zostajemy tylko ja i Jimmy, żebyśmy mogli doglądać zwierząt.

Ogrodzone zbitym z desek płotem pole za stodołą wychodzi na gęsty las. Cykady drą się wniebogłosy.

Obok stodoły stoi olbrzymi czarny koń, przywiązany do płotu. Niski śniady mężczyzna przytrzymuje jedno z potężnych kopyt bestii i metalowym szpikulcem wydłubuje ziemię spod podkowy. Babcock przedstawia, go jako Jimmy'ego Gutierrez. Shoffler zamienia z nim kilka słów i zapisuje jego nazwisko i numer telefonu w notesie.

- Możemy się rozejrzeć po stodole... i po waszym wozie? - pyta.

- W autobusie mamy bajzel, ale śmiało - odpowiada stajenny.

Wracamy za siatkę, zmierzamy z powrotem w stronę areny i wtedy, obok jednej z metalowych bramek dla koni, spostrzegam mały biały but Nike z niebieskim zygzakiem.

Na ten widok staję jak wryty. Shoffler i Babcock wchodzi przez furtkę na arenę i dopiero wtedy

detektyw orientuje się, że mnie nie ma.

- Panie Callahan?

Nie mogąc wydobyć głosu, przywołuję go ruchem ręki. But stoi sobie spokojnie na ziemi, prościutko, zupełnie jakby ktoś właśnie go zdjął... widzę jednak, że sznurówki ma wciąż zawiązane.

- Zdaje się, że to but Kevina - mówię.

- Co?

- O, tam. Ten but. - Pokazuję go palcem, mały biały but z uwalanymi błotem sznurówkami. - Mój syn, Kevin, miał takie same.

Widok tego buta na ziemi, z zawiązanymi sznurówkami, przypomina mi sytuacje - ileż ich było! - kiedy widywałem buty bez właścicieli. Związane sznurówkami i przewieszane przez płot. Pozostawione na poboczu szosy. Wyrzucone do śmietnika. Samotne buty - nawet te wystawiane w hotelach na korytarz do czyszczenia, nawet te z nazwiskami właścicieli u szewca - sprawiają na mnie smutne, wręcz złowróżbne wrażenie.

A ten but - czy rzeczywiście należy do Kevina? - traktuję jako znak czegoś strasznego, dowód pośpiechu i przemocy. Schylam się, żeby go podnieść, lecz Shoffler zagradza mi drogę wyprostowaną ręką.

- Momencik - mówi niespodziewanie ostrym głosem. - Niech pan go nie dotyka.

Dziesięć minut później zjawia się Christiansen i w rezultacie but kończy we własnej zagrodzie - otoczony słupkami drogowymi i żółtą taśmą policyjną. Christiansen zostaje, żeby pilnować go do czasu przybycia techników, którzy zabezpieczają dowody rzeczowe. Określenie „dowód rzeczowy” niepokoi mnie nie mniej niż sam but. Allen Babcock zarzeka się, że nie zauważył wcześniej tej, jak to określa, „tenisówki”. Jimmy Gutierrez też jej nie widział.

- Skąd pan wie, że to but Kevina? - pyta Shoffler, kiedy wracamy do bramy. - Myślałem, że pańskie bliźniaki są identyczne?

- Ubierają się inaczej - przypominam mu.

- Jasne - przytakuje detektyw. - Zapomniałem.

- No to lećmy po kolei, od kiedy tu dotarliście - mówi Shoffler. - A swoją drogą, o której to było? Jak wyglądał bileter? Wyciągam portfel z tylnej kieszeni spodni.

- Chyba mam paragon.

Wyjmując portfel, przypominam sobie, jak kilka godzin wcześniej myślałem, że go zgubiłem. Coś w związku z tą sprawą nie daje mi spokoju, lecz zapominam o tym, gdy znajduję paragon.

- Druga osiemnaście - informuję Shofflera, odczytując stempel datownika.

Detektyw znów trzyma w ręku notes.

- A kto wam sprzedał bilety? - pyta, nie podnosząc wzroku.

Niepokoi mnie jego pytanie. Moje dzieci zaginęły, a tymczasem wygląda na to, że detektyw mnie sprawdza.

- Kobieta po trzydziestce - odpowiadam. - Brwi wyskubane tak, że prawie ich nie miała. - Przypominają mi się jej słowa: „Jeden rycerz i dwóch giermków? Płatne królewską Visą Jej Królewskiej Mości”.

Dwóch giermków...

Shoffler przygląda się portfelowi.

- Nie nosi pan tam przypadkiem zdjęcia dzieci?

- Owszem.

Detektyw postukuje palcem w brew.

- Mógłbym pchnąć któregoś z moich ludzi z fotografią na komendę. Zyskalibyśmy na czasie. Można by się przygotować, żeby rozesłać zdjęcie do okolicznych posterunków. I do mediów.

Wiem, że policji będzie potrzebna fotografia chłopców, a jednak ta oficjalna prośba działa na mnie przygnębiająco.

- Zrobione prawie rok temu - mówię Shofflerowi, wysuwając wykonane u fotografa zdjęcie z przezroczystej przegródki portfela. Przyglądam mu się przez chwilę i dopiero potem daję detektywowi.

Na tej fotografii moi synowie mają na sobie takie same koszulki w niebieskie paski - rzecz u nich niezwykła. Widocznie Liz ich do tego namówiła, bo buntują się przeciwko noszeniu takich samych ubrań i mają ich zaledwie kilka - prezenty od matki Liz. I ja, i żona zawsze pozwalaliśmy, żeby chłopcy sami decydowali, jak chcą się ubierać (w granicach rozsądku), a oni prawie nigdy nie wybierali strojów, w których byliby nie do odróżnienia. No chyba że chcieli zabawić się czymś kosztem i - jak to nazywali - „odgrywać bliźniaków”. Rodziców nie mogli zmylić, ale oszukanie innych ludzi to była pestka.

Pomimo takich samych ubranek nie ma wątpliwości, kto jest kim na zdjęciu. Stojąc przed obiektywem aparatu, Sean nie rozumie, co znaczy „uśmiech” czy jakiegokolwiek inne określenie stosowane przez fotografów. Liz do znudzenia tłumaczyła mu, że miny, jakie stroi, nie mają nic wspólnego z uśmiechem, i zawsze popierała to stosownymi dowodami, ale bez skutku. Każde upozowane zdjęcie Seana, odkąd skończył trzy lata, przedstawia jego wyobrażenie, jak powinien wyglądać uśmiech. Przesadny, wyprany z wszelkiej radości grymas - usta rozciągnięte jak najdalej we wszystkich kierunkach - przywodzi na myśl szczerzącego zęby orangutana.

Ta fotografia przepelnia czarę goryczy. Mam wrażenie, że moje płuca wypełnia potłuczone szkło. Wręczam ją detektywowi tak niechętnie, jak gdybym w ten sposób wyrzekał się własnych dzieci.

- Pan, zdaje się, mówił, że nie ubierają się tak samo - zauważa Shoffler.

- Bo przeważnie tego nie robią.

- Uhm.

Pół godziny później, kiedy już obeszliliśmy cały teren jarmarku - a ja dopowiedziałem wszystkie szczegóły mijającego dnia - Shoffler jest wreszcie zadowolony. Wyłącza dyktafon i chowa go do kieszeni. Wyjmuje telefon komórkowy, odchodzi na stronę i odwraca się do mnie plecami. Mimo to słyszę, co mówi - wzywa wszystkich, żeby stawili się w biurze.

Niczym we mgle, miotam się między niedowierzaniem a panicznym strachem. W jednej chwili nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. W następnej wiem, że to prawda, że Sean i Kevin zaginęli - zaginęli! - a wiem to stąd, że lodowata pięść ściska mi serce.

Shoffler mówi do komórki:

- Bierzmy się do przeczesywania lasu, póki jest jeszcze trochę światła.

## **Rozdział 5**

Nawet nie zauważam, kiedy różowobrzoszkwiniowe słońce zachodzi za horyzont i zapada noc. Zaskakująco jasny rogal księżycy wisi ukosem na atramentowym, usianym gwiazdami niebie. Wyciągam telefon komórkowy i - pewnie po raz dziesiąty - łączę się z sekretarką automatyczną w domu.

Nic się nie zmieniło, nie ma żadnych wiadomości.

Shoffler nie pozwolił mi dołączyć do pierwszej ekipy poszukiwaczy. Wszyscy radzą mi to samo -



najlepsze, co mogę zrobić, to czekać. Moje dzieci zaginęły, a ja mam siedzieć na tyłku niczym widz oglądający własną tragedię.

Jest w tym jednak coś dziwnie znajomego, w tej roli widza, podczas gdy dobrze naoliwiona maszyna idzie w ruch i zaczyna się dramat. Bombardowani przez telewizję wiadomościami i filmami kryminalnymi, migawkami z katastrof i programami typu reality show, jesteśmy przygotowani na każdy koszmar. Nieważne jaki - coś podobnego z pewnością przytrafiło się już komu innemu i zostało drobniaczko sfilmowane oraz, dla zwiększenia efektu, podbudowane odpowiednio dramatycznym podkładem muzycznym. Ja akurat coś wiem na ten temat.

Siedząc na ławce, słyszę dobiegający z biura podniesiony głos Shofflera:

- Zaczniście od skrzyżowania szosy trzysta jeden z Shade Valley Road. Maszyna ma się stawić w punkcie dziewiętnastym i na początek przeczesać jarmark...

W pierwszej chwili nic z tego nie rozumiem. Nagle „maszyna”, „stawić się” i „przeczesać” wskazują na swoje lingwistyczne miejsca w moim umyśle i uświadamiam sobie, że detektyw mówi o włączeniu do poszukiwań śmigłowca.

- Jeśli dzieciaki są w lesie, z góry nie będzie ich widać - pada odpowiedź Christiansena.

Kiedy przybywa następny radiowóz, wyładowany potężnymi latarkami i z czterema mundurowymi z hrabstwa Carroll (kolejni są w drodze), Shoffler organizuje drugą ekipę.

Nie wiadomo skąd pojawia się jedzenie. Pizza od Papy Johna, gatorade, pepsi w puszkach, wielkie aluminiowe termosy z kawą, odwrócone do góry dnem piramidy białych plastikowych kubków. Ktoś rozwiesił na ścianie mapę topograficzną i wyrysował na niej siatkę. Przy odgłosach dobiegającej z krótkofalówek bezładnej szczekaczki wyrusza pierwsza ekipa, potem następna. Gdy trzecia grupa, złożona z czterech mężczyzn i dwóch kobiet, zbiera się, by popatrzeć, jak Shoffler pokazuje im na mapie ich teren działania, zrywam się nagle.

- Idę z nimi. Detektyw waha się.

- Jeśli ich znajdziemy, możliwe, że...

Jego głos zamiera, lecz wiem, co chciał powiedzieć. „Możliwe, że będą martwi”. Kiwam głową na znak, że rozumiem.

Shoffler otwiera usta, jakby znów zamierzał mnie uraczyć starą śpiewką o tym, że najlepsze, co mogę zrobić, to siedzieć na tyłku. Nagle jednak zmienia zdanie i kiwa głową na znak, że się zgadza.

- A co mi tam - mówi.

Idziemy nierówną tyralierą przez gęsto zalesiony teren, zachowując od siebie przepisową odległość sześciu stóp, która niespodziewanie zmniejsza się lub zwiększa, w zależności od ukształtowania terenu i napotykanych przeszkód. Światła laterek przebijają ciemność, drażąc ją i wierząc idealnymi snopami, które na granicach swego zasięgu rozpraszają się i rozplývają w migotliwej mgle. Promienie wdzierają się w zakamarki gęstego poszycia, wydobywając z mroku płatanię wielokwiatowych róż, szczeliny w wielkich, porośniętych mchem kamieniach, chropowatą korę konarów drzew, liście i gałęzie, lśniące plamy strumieni, błyszczące oczy zaskoczonych zwierząt. Płaszą wściekle po niebie, gdy poszukiwacze gramolą się przez skały i zwalone pnie. Od czasu do czasu rozlega się pogodny sygnał telefonu komórkowego, jakże niestosowny w tych okolicznościach, i ktoś z zażenowaniem zamienia kilka słów z żoną albo przyjacielem.

Ekipa poszukiwawcza, wieloczłonowy potwór, hałasuje po drodze co niemiara; zarówno kobiety, jak i mężczyźni co chwila wołają: „Kevin! Sean!”. Jeszcze większy harmider powoduje śmigłowiec, który metodycznie krąży nad terenem jarmarku; jego wirniki grzmia tak, że czasami nie dajemy rady

ich przekrzywić. Głosy przyzywające Kevina i Seana wydają się ciche, słabowite - ot, pozbawione nadziei wołanie w leśnej głuszy.

Mozolnie, po omacku, gramolimy się po terenie nie dość że nierównym i pełnym zaskakujących, niewidocznych rozpadlin, to jeszcze porośniętym jeżynami i jakimś pnącym zielskiem, nierzadko wysokim na chłopa. Shoffler ostrzegł nas, że to nie będzie spacer, i teraz wyprawa zbiera swoje żniwo. Co chwila rozlega się bolesny jęk, sypią się przekleństwa. Po dziesięciu minutach ręce i nogi mam poharatane przez kolce, a z twarzy leci mi krew.

Z krótkofalówki szefa naszej grupy co pewien czas dobiegają trzaski, a potem chrapliwy komunikat od Shofflera. Wówczas przystajemy, dopóki nie upewnimy się, że chodzi o rutynowe połączenie, a nie o wiadomości w sprawie chłopców. Za każdym razem serce łomocze mi w piersi i czuję elektryzujący zastrzyk adrenaliny. Od czasu do czasu pojawia się nadzieja, którą po chwili zastępuje strach.

Ekipa zatrzymuje się również wtedy, gdy - co kilka minut - śmigłowiec zawisa nad nami, jakby się zastanawiał, czy nie powinien zawrócić, i rzuca na ziemię tak potężny snop światła, że noc zamienia się w dzień. W końcu ktoś podaje komendę: „Idziemy!” i ruszamy dalej, przedzierając się przez gęste poszycie i krzycząc aż do zderzenia gardeł.

Zapadam w coś na kształt transu, skupiam się tylko na świetle latarki, którą poruszam z boku na bok z precyzją robota, by nie ominąć ani kawałka przypadającego na mnie terenu. Wielokrotnie promień pada na gałąź czy stertę liści, a ja przez chwilę łudzę się nadzieją, że dostrzegłem nogawkę spodni, rękę, but, zarys głowy.

Jaki to jeszcze drobiazg, ci moi chłopcy! Kiedy zaglądam do nich, by sprawdzić, czy zasnęli, kiedy leżą spokojnie, bez ruchu, czasami nie mogę uwierzyć, że tak małe istotki zajmują tak wiele miejsca w moim życiu. Gdyby leżeli pod liśćmi, nawet przykryci byle jak... Jakże łatwo byłoby ich nie zauważyć.

„Gdyby leżeli pod liśćmi...”. Mrugam, próbuję skupić wzrok i nie dopuszczam do siebie tych słów. Nie potrafię się jednak opędzić od najróżniejszych straszliwych myśli, które mi przychodzą do głowy. Na przykład nie przestaję myśleć o tym bucie, bucie Kevina, porzuconym przy metalowej bramce dla koni. O tym, jak leżał otoczony taśmą policyjną, czekając na ekipę techniczną zajmującą się zabezpieczaniem dowodów rzeczowych.

„Ekipa techniczna”, „zabezpieczanie dowodów rzeczowych”, „oddział K-9”, „mapa poszukiwań”... chcę, żeby te określenia zniknęły z mojego słownika.

Kiedy Shoffler zarządza powrót do bazy, ani jedna osoba z ekipy nie ma zamiaru go słuchać. Wszyscy protestują, proszą o więcej czasu.

- Nie chcemy się poddawać, Shoff - warczy do słuchawki przywódca naszej grupy, niejaki Rusty.  
- Poszukiwania idą pełną parą.

Ustępuje jednak pod naciskiem detektywa. W pogotowiu czekają zmiennicy. Zmęczenie prowadzi do błędów. Świeże oko jest lepsze.

- A poza tym - dorzuca Shoffler przerywanym przez zakłócenia głosem - mam do pogadania z panem Callahanem.

W pomieszczeniu panuje bajzel, urządzono tu prowizoryczną kantynę, pełną plastikowych kubków, pudeł z pączkami i pizzą, butelek wody. Ladę biura rzeczy znalezionych zalegają sterty brudnych ubrań i butów. Na podłodze piętrzy się sprzęt łącznościowy, stosy pomarańczowych słupków drogowych, kamizelki z nalepioną taśmą odblaskową, mała góra oliwkowozielonych

węlnianych koców, niewyjętych jeszcze z foliowych toreb.

Czekając na zapowiedzianą rozmowę z detektywem, jestem tak wypompowany, że z braku energii nawet nie potrafię sobie wyobrazić, o czym mamy gadać i po co. Przecież nie o tym, że znaleziono chłopców (bo inaczej po co wysyłano by do lasu następną ekipę?), a nic oprócz tego mnie nie interesuje.

Shoffler wsuwa mi wielką łapę pod ramię i mówi, że czas wracać do domu. Protestuję zawzięcie, lecz detektyw przypomina mi o dwóch sprawach.

- Brak dowodów na to, że zostali uprowadzeni - oświadcza na wstępie. - Jest wprawdzie ten but, ale - wzrusza ramionami - nie może go pan stuprocentowo zidentyfikować.

- Jestem pewny, że to but Kevina...

- Jest pan pewny tylko dlatego, że syn nosił podobne i zaginął.

- I był w tamtej okolicy, na turnieju. Shoffler kręci głową.

- Ma pan pojęcie, ile dzieciaków przewija się tutaj co tydzień? Kto wie, od jak dawna ten but tam leży? Takie obuwie jest bardzo popularne. - Przesłupuje z nogi na nogę. - Jeżeli faktycznie dzieci uprowadzono i porywacze zadzwonią z żądaniem, to nie nagrają się panu na sekretarkę. Będą chcieli gadać z panem osobiście.

Potakuję.

- Chcielibyśmy zainstalować w pana telefonie podsłuch, żeby móc ich namierzyć, a poszłoby nam o wiele szybciej, gdyby pan był na miejscu... inaczej będziemy musieli załatwić urzędowe papierki, dostarczyć je tym od podsłuchów, dać im klucze do pana domu, cały ten korowód. A jeśli pan tam będzie, uwiniemy się w parę godzin.

- Zgoda.

Przez chwilę wydyma wargi, przechyla głowę.

- Po drugie tych wszystkich ludzi i śmigłowców - wykonuje zamaszty ruch ręką - nie uda się utrzymać w tajemnicy. Prędzej czy później informacja się rozejdzie i w porannych wiadomościach...

- Kręci głową. - Sam pan wie najlepiej.

- Rozumiem - przytakuję. Oczywiście, że Shoffler ma rację. Sam powinienem na to wpaść, ale nie pomyślałem o tym. Aż do teraz.

W rezultacie szeroko nagłośnionej niedawnej serii porwań i zniknięć dzieci rodzice w całym kraju i tak już są podenerwowani. Właśnie teraz w Kalifornii odbywa się proces w sprawie uprowadzenia i zamordowania pięciolatki. W tej atmosferze każde nowe zaginięcie dziecka wywołuje sensację w mediach jak kraj długi i szeroki.

A z dziennikarskiego punktu widzenia zaginięcie Kevina i Seana jest prawdziwą żyłą złota - fotogeniczne bliźniaki znikają w samym środku rycerskiego turnieju, pośród dam w elżbietańskich kostiumach oraz panów w kubrakach i kaftanach. To nie będzie pierwsza lepsza wiadomość, to będzie sensacja na pierwszą stronę.

- No i dobrze, i bardzo dobrze - cieszy się Shoffler. - Czas zwrócić się o pomoc do społeczeństwa. I do mediów, one to załatwią za pana, poinformują wszystkich.

Przerywa i czeka na mój komentarz. Widzę, że według niego powinno mi coś zaświtać, ale nie mam pojęcia, do czego zmierza. W końcu podejmuje cierpliwie:

- Ma pan chyba kogoś, kto nie powinien dowiedzieć się o tym z telewizji albo od jakiegoś reportera, który zadzwoni do domu?

Chryste! Liz! Muszę powiedzieć Liz, co się stało.

- Myślę, że powinien pan wrócić do domu. Gapię się na swoje buty. Liz.

- Chris pojedzie z panem - ciągnie detektyw, ruchem głowy wskazując funkcjonariusza Christiansena.

- Dam sobie radę - mówię. Najwyraźniej Shoffler uważa, że nie powinienem zostawać sam, ale na towarzystwo funkcjonariusza Christiansena nie mam najmniejszej ochoty.

Detektyw puszcza moje słowa mimo uszu, skinieniem głowy przywołuje Christiansena i prowadzi nas do wyjścia.

- Komórka ci nie siada? - pyta kolegę, który wyciąga telefon z futerału i otwiera klapkę.

- Naładowana do pełna.

Na zewnątrz panuje spokój. Słysząc daleki szum samochodów na szosie. A także rytmiczne, wznoszące się i opadające brzęczenie cykad. Śmigłowiec odleciał, żeby uzupełnić paliwo. Przez chwilę wydaje mi się, że w oddali słyszę nawoływanie ludzi z ekipy poszukiwawczej, lecz naraz wiatr przemyka wśród liści i połyka ten dźwięk.

Przechodzimy między gromadką zaparkowanych przed bramą samochodów osobowych i radiowozów.

- No dobra - mówi Shoffler, tłumiąc ziewnięcie. - Zajmiemy się tu wszystkim jak trzeba. - Podaje mi rękę, klepie Christiansena po ramieniu i wraca na teren jarmarku.

Przed nami majaczy olbrzymi pusty parking. Prawie na samym końcu widać kwadratową sylwetkę jeepa, stojącego samotnie na wielkim placu. Christiansen idzie obok mnie, co chwila nerwowo rzucając parę słów na temat „porwania, nad którym pracowałem dwa lata temu”.

- Znaleźli chłopaka na Florydzie - informuje mnie. - Zakopanego na podwórku kochasia mamusi.

W trakcie długiej wędrówki do samochodu przeświadczenie, że Shoffler przydzielił mi Christiansena powodowany współczuciem, bo nie chciał zostawiać bez towarzystwa ojca, któremu zginęły dzieci, rozplywa się i na jaw wychodzi ponura prawda. Uświadamiam to sobie w pełni, wyciągając kluczyki i naciskając guzik pilota. Drzwi otwierają się z kliknięciem. Reflektory przebijają ciemność.

- Wie pan, jak to się mówi - tokuje dalej policjant. - W dziewięciu przypadkach na dziesięć sprawcą jest ktoś, kogo dzieciak znał. Dziewięć razy na dziesięć to robota kogoś z rodziców.

Oto i cała prawda - Christiansena nie robi za moją niańkę. Jestem podejrzanym.

Stoję z ręką na klamce drzwi samochodu. Nie mogę się zmusić, by usiąść za kierownicą. Nie powinienem wracać do domu bez dzieci, tak nie można. Mam wrażenie, że to oznaka porażki, złożenia broni, jak gdybym postawił na nich krzyżyk.

- Hej, a może woli pan, żebym ja poprowadził? - pyta policjant.

W tym momencie nadzieja uderza mi do głowy niczym szampan i czym prędzej wskakuję do wozu.

- Rozumiem, że nie - mówi Christiansena, siadając na fotelu pasażera. - Jak pan sobie życzy.

Włączając długie światła i wyjeżdżając z trawiastego parkingu na szutrową drogę, mam już opracowany cały scenariusz. Może chłopcy stracili orientację w terenie, próbowali wrócić na trybunę i skręcili w złą stronę? Przecież kiedy po zakończeniu turnieju wszyscy wychodzili, panował chaos.

Wyjeżdżam z szutru na betonową szosę. Być może szukając mnie, chłopcy kogoś spotkali... jakiegoś sąsiada, kogoś, kogo nie widzieli, odkąd Liz wyjechała z nimi do Maine. A ten ktoś odwiózł ich do domu.

A może Liz... może Liz przyjechała za nimi aż z Maine?

Chciała coś udowodnić, więc poczekała, aż synowie oddalą się ode mnie... Albo nie ona osobiście, tylko ktoś, kogo wynajęła...

Cały czas gdybam, pełen nadziei i strachu, choć zdaję sobie sprawę, że takie myślenie do niczego nie prowadzi, że jeśli się nad tym zastanowić, nie ma to najmniejszego sensu.

Teraz, kiedy już jestem na szosie, przepelnia mnie irracjonalna chęć powrotu do domu. Jak gdyby dzięki temu wszystko się miało ułożyć. Byłe do domu. Tam będę bezpieczny. Dzieci będą bezpieczne. Sam nie wiem czemu wbiłem sobie do głowy, że chłopcy tam są, że czekają na mnie.

- Lepiej pan zwolnij - jęknął Christiansen. Spoglądałam na prędkościomierz. Jadę sto trzydzieści na godzinę.

- Daj pan spokój, ta droga... - Głos policjanta brzęczy mi nad uchem jak uprzykrzony komar.

Zwalniam do stu dwudziestu i nagle rozlega się sygnał mojej komórki. Naciskam hamulec, tył samochodu zarzuca i w chmurze żwiru wypadam na pobocze.

- Chryste Panie! - piszczy Christiansen, kiedy nerwowo szukam telefonu.

W końcu przyciskam komórkę do ucha.

- Halo? Halo?!

- Kto dzwoni? - pyta policjant, ale ledwie go słyszę.

- Halo? Halo?! - drę się do aparatu. Nie dlatego, że połączenie jest złe, na linii nie słychać żadnych trzasków ani szumów, sęk w tym, że po drugiej stronie nie ma nikogo, panuje cisza.

- Proszę pana? Kto dzwoni? - dopytuje się Christiansen, więc wyciągam rękę i zatykam mu usta. Nie przerywam połączenia, bo uświadamiam sobie, że coś jednak słyszę, że to nie cisza. Słyszę oddech. Czyjś oddech.

- Kto tam? - pytam, usiłując panować nad głosem. - Kto dzwoni?

Bez odpowiedzi.

Nagle w piersi eksplodują mi fajerwerki nadziei, bo słyszę głos Kevina, drżący i niepewny:

- Tatusiu?

## Rozdział 6

A potem słyszę stuk odkładanej słuchawki i fajerwerki gasną równie szybko, jak wystrzeliły.

- Kevin? Kevin?!

Włączam górne oświetlenie w jeepie i gapię się na mały świecący prostokąt ekranu telefonu. Jak większość komórek, moja także rejestruje połączenia przychodzące. Przypominam sobie jednak, że trzeba włączyć odpowiednią opcję. Na ekranie widnieje informacja: CZAS POŁĄCZENIA: 18 SEKUND.

- Proszę pana - naciska Christiansen. - Kto to był? Kto dzwonił?

- Chwileczkę. - Nie odrywam się od telefonu i przeskakuję po menu, aż w końcu wchodzę w POŁĄCZENIA ODEBRANE. Lista jest długa. Sprawdzam ostatnią rozmowę i odczytuję numer: 202-555-0199.

Widocznie zaszła jakaś pomyłka. To przecież numer mojego domu, mój numer domowy. Czyżby - moje serce wywija fikołka - chłopcy byli w domu?

Nie rozumiem, jak to możliwe, jakim cudem mogliby tam być, a przecież nikt - ani dzieci, ani ten, kto je odwiózł - nie pofatygował się, by zadzwonić do mnie na komórkę w ciągu tych jedenastu godzin, które minęły od ich zniknięcia.

Wszystko to nie ma sensu, a jednak wariuję ze szczęścia.

Prawdopodobnie to moja komórka przerwała połączenie z Kevinem. Wyjechałem poza zasięg, to się zdarza nagminnie. Teraz jednak sygnał jest silny, wobec czego wciskam dwójkę, która automatycznie łączy mnie z domem, i niecierpliwie czekam na głos syna i wyjaśnienia.

Po czwartym sygnale słyszę samego siebie: „Cześć, tu Alex Callahan. Nie mogę teraz odebrać, więc...”.

Rozłączam się. Telefon w domu ma aktywną funkcję połączeń oczekujących, dlatego jeśli w trakcie rozmowy ktoś nie przełączy się na nową, odbiera ją sekretarka. Widocznie chłopcy dzwoniли do mnie w tym samym czasie, gdy ja próbowałem połączyć się z nimi. I zablokowaliśmy się wzajemnie. Odczekuję chwilę, próbuję ponownie i znów trafiam na automatyczną sekretarkę. Powtarzam wszystko od początku, przy okazji wyjaśniając Christiansenowi, co robię... i że to Kevin do mnie dzwonił.

Po czwartej próbie rezygnuję. Może za szybko wyrwałem się z oddzwanianiem, może telefony potrzebują trochę czasu, żeby się odblokować. Znowu wchodzę w POŁĄCZENIA ODEBRANE, ale nic się nie zmienia - ostatnią rozmowę przeprowadzono z mojego numeru domowego. Sprawdzam godzinę połączenia - czwarta czterdzieści dwie nad ranem. Rzut oka na zegar na tablicy rozdzielczej wozu mówi mi, że jest czwarta czterdzieści osiem. A zatem Kevin naprawdę dzwonił z mojego domu w Cleveland Park.

Wobec tego... dlaczego nikt nie odbiera?

- Panie Callahan, jest pan pewien, że to był któryś z pańskich synów? - pyta Christiansen.

- Tak, jestem pewien. - Głos mi się trzęsie ze zdenerwowania. - Dzwonił Kevin.

- Skąd ta pewność... skoro to bliźniacy?

- Bo brzmiał jak Kevin! - ucinam. Nie zamierzam mu tłumaczyć, że Kevin zwraca się do mnie „tatusiu”, a Sean „tato”... i obstaje przy tym uparcie.

- No nie wiem - bąka Christiansen z powątpiewaniem. Nagle nie jestem już taki pewny. Może to jednak był Sean?

Martwi mnie ta niepewność.

- No i co mówił? - dopytuje się policjant. - Co się z nimi działo? Gdzie oni są?

Włączam się do ruchu i przyśpieszam. Nie odpowiadam Christiansenowi, myślę tylko o jednym: Co on powiedział? Powiedział: „Tatusiu”. Nie potrafię wyrzucić z głowy głosu Kevina - najśłodsze eliksiru, dźwięku, na który tak liczyłem.

„Tatusiu”.

Otwieram klapkę komórki i znów dzwonię do domu. Niecierpliwie czekam na koniec wiadomości powitalnej i sygnał, że można się nagrać.

- Jeśli ktoś tam jest z moimi dziećmi, proszę odebrać - błagam. - Proszę!

Wkrótce po przyjeździe chłopców na świat Liz i ja byliśmy tak zajęci, że odbieranie telefonów przeważnie zostawialiśmy automatycznej sekretarce, tylko włączaliśmy głośnik, byśmy mogli słyszeć, kto dzwoni, i odebrać w razie potrzeby... albo gdybyśmy mieli ochotę. Przyjaciele i rodzina wiedzieli o tym, podobnie jak parę osób ze stacji telewizyjnej. Wiadomości zwykle zaczynały się tak: „Alex, jeśli tam jesteś, odbierz...” albo: „Liz, tu mama. Nie odbieraj, chciałam ci tylko powiedzieć, że...”.

W domu mam kilka aparatów telefonicznych, ale teraz koncentruję się na tym w kuchni. Stoi na małym czerwonym stoliku, który Liz kupiła na ulicznej wyprzedaży. Telefon jest stary, beżowy, a jego spiralny, specjalnie przedłużony kabel zwykle splątany jest w beładną masę. Obok stoi biała

kwadratowa sekretarka automatyczna; w trakcie rozmowy czasem mruga czerwona lampka, sygnalizując połączenie oczekujące. Wyobrażam sobie, jak z maleńkiej kratki mikrofonu sekretarki mój przepuszczony przez wzmacniacz głos rozchodzi się po kuchni.

- Kev? Sean? Jeśli jesteście sami, podnieście słuchawkę, chłopaki, okay? Mówi tata. Po prostu podnieście słuchawkę.

Cisza.

Nad telefonem wisi tablica; jeden róg jej drewnianej ramki jest zielony, od czasu gdy Sean, ledwie zaczął chodzić, pomalował ją atramentem. Pod nieobecność Liz ten mały prostokąt z korka stał się siedliskiem przypadkowej kolekcji kwitów z pralni, wycinków prasowych, jadłospisów knajp z dostawą do domu, samoprzylepnych karteczek z nabazgranymi nazwiskami i numerami telefonów, rozpisek, kto kiedy odwozi dzieci do szkoły, fotografii, twórczości plastycznej dzieci, starych losów na loterię.

- Odbierzcie - błagam. - No już.

Odzywa się automatyczna sekretarka i znów słyszę swoje słowa, jakby wypowiedane przez robota: „Cześć, tu Alex...”. Próbuję wyobrazić sobie Kevina i Seana równie szczegółowo, jak korkową tablicę, ale nie wiem dlaczego, nie potrafię.

- Co pan robi? - pyta Christiansen.

Nie zwracam na niego uwagi, wybieram 411 - biuro numerów. Proszę o numer Yasmin Siegel, lecz zmieniam zdanie i dzwonię do sąsiada, Freda Billingsleya. Yasmin jest po osiemdziesiątce, zanimby się zebrała i wyszła z domu, minęłoby zbyt wiele czasu. Fred, którego żona, Nancy, umarła dwa lata temu, mieszka z dorosłą córką. Można na nim polegać, jest energiczny, choć niekoniecznie przyjacielski.

- Proszę pana - naciska Christiansen. - Muszę się zgłosić do detektywa Shofflera. Czy może mi pan wyjaśnić...

Mój telefon o tej porze wprawia Freda w osłupienie.

- Alex? Wiesz, która godzina? - W jego głosie słychać niepokój. - Czy coś się stało?

- Mam do ciebie wielką prośbę - mówię. Wyjaśniam mu sytuację i tłumaczę, gdzie znajdzie klucze do drzwi wejściowych. Fred obiecuje, że zaraz tam zajrzy i oddzwoni do mnie na komórkę za kilka minut.

Christiansen przechyla się w bok i zerka na prędkościomierz.

- Oooua! - piszczy. - Proszę pana! Panie! Niech pan zwolni! Pan musi zwolnić!

Gdy Fred oddzwania, jestem już na Beltway.

- Nie ma nikogo - mówi. - Nie zauważyłem nic nie zwykłego czy dziwnego, wszystko jest na swoim miejscu. Na pewno stąd dzwonili?

Tłumaczę, że mój telefon komórkowy podaje, iż dzwoniło z domu, ale może zaszła jakaś pomyłka. Dziękuję mu serdecznie.

- Twoi chłopcy naprawdę... zniknęli? - upewnia się Fred. - Rany boskie, mogę ci jakoś pomóc?

Wbiłem sobie do głowy, że dzieci są jednak w domu i tylko chowają się przed Fredem. Mój sąsiad jest wprawdzie sztywny i formalny, ale nie wiadomo dlaczego, chłopcy zawsze bali się „pana B.”.

- Dzięki, że tam zajrzałeś, Fred. Jestem twoim dłużnikiem - odpowiadam. - Nie sądzę, żebyś mógł zrobić coś więcej. Będę na miejscu za pół godziny. Wracaj do łóżka. Jeszcze raz przepraszam, że cię obudziłem.

- Nie ma za co. - W głosie Freda słysząc rezerwę. - Cieszę się, że mogłem się przydać.

Christiansenowi udaje się w końcu połączyć z Shofflerem, akurat gdy skręcam z Connecticut w Ordway. Kiedy zajeżdżam pod dom, wciąż jeszcze rozmawiają. Wyskakuję z samochodu i pędzę do wejścia.

Gwałtownym szarpnięciem otwieram drzwi z siatką przeciw owadom, odsuwam rygiel i już jestem w środku. Nawołując chłopców, jak szalony miotam się od pokoju do pokoju, otwieram drzwi, zapalam światła, praktycznie rozbieram pomieszczenia wzrokiem. Na sam koniec zostawiam sobie sypialnię - siedzący we mnie obłąkany optymista wciąż kurczowo trzyma się nadziei, że właśnie tam ich znajdę, pogrążonych we śnie w swoich łóżkach.

Ale w ich pokoju nikogo nie ma.

Christiansen snuje się za mną krok w krok, kiedy sprawdzam strych, następnie piwnicę, a potem znów robię obchód pokoi, tym razem zaglądając do szaf, pod łóżka, za meble, wszędzie, gdzie tylko mógłby się ukryć mały chłopiec. I znów kończę w sypialni, przy oknie od ulicy.

Yasmin Siegel to nie tylko nocny marek - twierdzi, że wystarczają jej dwie, trzy godziny snu. Poza tym należy do tych kobiet, które wiedzą o wszystkim, co dzieje się w sąsiedztwie. Być może coś zauważyła - jakiś samochód, chłopców, kogoś, kto przywiózł ich do domu, cokolwiek. Teraz nie śpi - widzę niebieskawą poświatę ekranu telewizora, przebijającą przez okna salonu Siegelów.

Już prawie wychodzę z sypialni, by z telefonu w gabinecie zadzwonić do Yasmin, gdy mój wzrok pada na coś, czego nigdy dotąd nie widziałem.

Jest to jakby mały królik, stojący na szafce - takiej wieszanej na ścianie, z wieloma przegródkami, którą Liz kupiła w Ikei. Szafka wisi po stronie Seana, na której - w przeciwieństwie do części Kevina - panuje niemal idealny porządek, inaczej nigdy bym tego królika nie zauważył. Z bliska poznaję, że to origami - niewielka figurka wysokości mniej więcej czterech cali, złożona z brązowego papieru. Nie znam się na origami, ale nie jest to prosty model zwierzaka, rodem z kreskówki. Jest zgrabny, kunsztowny, niczym miniaturowa rzeźba.

Podnosząc go, doznaję dziwnego uczucia. Figurka nie jest złożona z papieru, lecz ze skóry jakiegoś zwierzęcia. Ten fakt przepelnia mnie strachem.

Czy to tu zawsze stało? Nie sądzę. Inaczej bym zauważył.

Choć czyja wiem, myślę sobie, odstawiając figurkę na szafkę. Przecież nie zwróciłem uwagi na obsesję dzieci na punkcie rycerzy. Prawda? A Liz stale zabierała ich na rozmaite warsztaty... wszelkie, jakie tylko sobie można wyobrazić. Z drugiej strony... niemożliwe, żeby Kevin czy Sean sami to zrobili. Już prędzej ich matka.

Myśl ta uderza mnie z siłą huraganu.

Ożeż jasna cholera! Muszę do niej zadzwonić...

## Rozdział 7

Przylatuje następnego dnia, późnym rankiem. Kiedy potykając się, wychodzi z bezpiecznej strefy na lotnisku krajowym, jej urodziwą twarz szpecą łzy. Obejmuję ją sztywno, biorę pod rękę i odwracam w lewo, by przedstawić Christiansena.

Christiansen towarzyszy mi przez grzeczność, żeby - jak to ujął Shoffler - „pomóc mi dostarczyć panią Callahan do domu”.

Gdy detektyw po raz pierwszy to zaproponował, powiedziałem mu, że nie ma mowy, lecz w końcu przekonał mnie, podkreślając, że umundurowany policjant naprawdę może pomóc przedostać się przez tłum dziennikarzy.



- Facet w mundurze to osoba urzędowa, taki ma nawet prawo być opryskliwy wobec reporterów... jakby co, po prostu odwała swoją robotę. Radiowóz, mundur... to się wam przyda.

- O? - Na widok policjanta Liz robi wielkie oczy. Przeszywa mnie wściekłym wzrokiem, a ja wiem, co sobie myśli... chociaż to nie ma sensu, bo przecież i tak wszystkiego się dowie ode mnie. Liz sądzi, że Christiansen występuje w roli oficjalnej, żeby przekazać złe wieści.

- Witam panią - mamrocze policjant, zginając się w czymś na kształt ukłonu.

Liz czeka, zastygła jak sople lodu, a kiedy w końcu staje się jasne, że Christiansen nic więcej nie powie, osuwa się na mnie, wtulając rozpaloną i mokrą twarz w moje ramię.

- Alex... - szepce. - Och, Alex!

Tłum przepływa obok nas, a ja podtrzymuję żonę. Stoimy w miejscu; Liz wypłakuje się na moim ramieniu. Nie bardzo wiem, co robić. Nagle ona odsuwa się, kilkoma ruchami ściera łzy z twarzy i rusza odebrać bagaż. Idzie tak szybko, że muszę niemal biec, by dotrzymać jej kroku. Stajemy obok siebie i patrzymy, jak walizki wypadają na taśmę transportera.

Otwieram usta, żeby się odezwać, lecz zamykają się pod własnym ciężarem. Co mam jej powiedzieć? Spytać, jak minął lot? Przeprzić, że zgubiłem naszych synów?

Informowanie jej przez telefon o tym, co się stało, to był prawdziwy koszmar, teraz jednak... teraz jest o wiele gorzej. Kiedyś wyobrażałem sobie, jak Liz przylatuje, żebyśmy znów byli razem, jak chłopcy skaczą z radości, jak mina ich rozpromienionego ojca mówi „wracajcie, zmieniłem się”... a tymczasem oto jak miłość mojego życia powraca do mego świata. Stoi obok mnie, odgradzona polem magnetycznym żalu i gniewu. Rzecz jasna, kiedy próbowałem wyjaśnić przez telefon, jak do tego doszło, zachowywała się nienagannie. Na wszelkie sposoby zapewniała mnie, że to nie moja wina, że nie powinienem tak myśleć, że nie ma do mnie pretensji; ależ oczywiście, że nie ma do mnie pretensji.

Tyle że kłamała w żywe oczy. Czy może nie mieć do mnie pretensji? Niemożliwe.

- Co ci się stało w twarz? - pyta obojętnym tonem. - Wyglądasz...

- To przez te poszukiwania - przerywam jej, wzruszając ramionami. - W lesie.

- O, jest moja - mówi cichym, napiętym głosem. Raptownie unosi rękę i wskazuje zieloną walizkę. Ten gest jest tak mechaniczny, jakby była nakręcaną na sprężynę zabawką.

Nie poznaję tej walizki. Jest w kolorze limonki, wykończona skórą i jej widok mnie zasmuca, z kilku zresztą powodów. Oto kolejny z przedmiotów, które kupiła od czasu naszej separacji - podobnie jak bluzka, którą ma na sobie, nowe plecaki chłopców i tak dalej. Obrastanie w nowe dobra materialne podkreśla tylko, jak dalece nasze drogi się rozeszły. Poza tym ta szykowna, w pogodnym kolorze walizka świadczy o czymś odmiennym od rzeczywistości - moja żona planowała zaszałeć w jakimś wytwornym kurorcie.

A nie tkwić ze mną w tym koszmarze.

- Ma kółka - mówi Liz, kiedy przebiwszy się przez szpaler oczekujących, zdjąłem walizkę z transportera. Ale nie ciągnę jej tylko taszcę, bo choć dźwiganie ciężarów nie należy do przyjemności, to przynajmniej - tak samo jak oczekiwanie na samolot - daje mi poczucie, że jestem użyteczny.

Bo tymczasem stało się jasne, że w miarę jak katastrofalna lawina nabiera rozpędu, moja przydatność maleje. Już ładne kilka razy zdałem relację z przebiegu wypadków, wyszukałem najlepsze i najnowsze fotografie chłopców i zgodziłem się na opublikowanie ich w prasie i telewizji. Szczegółowo opisałem, jak byli ubrani. Obdzwoniłem wszystkich sąsiadów, by sprawdzić, czy ktokolwiek zauważył coś koło domu - jakiś samochód moje dzieci, światła, cokolwiek. (Yasmin Siegel wyznała mi że zasnęła przed telewizorem podczas *Rodziny Sopranó*). Poza tym zgodziłem się na zainstalowanie podsłuchu i nagrywanie rozmów telefonicznych, wgląd w billingi, zbadanie komputera przez specjalistów oraz przeszukanie domu.

W gruncie rzeczy irytuje mnie fakt, że dotychczas nie doszło do przeszukania. Nie rozumiem tej zwłoki, na co zresztą poskarżyłem się Shofflerowi przez telefon tuż przed wyjazdem na lotnisko.

Kevin był tutaj - oświadczyłem mu. - Dzwonił z tego telefonu. Sam nie mógł się tu dostać, to pewne... czyli że był z nim porywacz. Powinniście przeczesać cały dom.

Shoffler powiedział, żebym wziął na wstrzymanie. Kiedy dochodzi do sporów kompetencyjnych (musieli dogadać się z komendą stołeczną), zawsze mija trochę czasu, zanim maszyna pójdzie w ruch.

Przekazałem swój telefon komórkowy tak zwanemu ekspertowi od łączności, którego załatwił Shoffler. Specem okazała się kobieta, niejaka Natalie, z którą przejrzałem wykaz połączeń, zarówno przychodzących, jak wychodzących, żebym mógł zidentyfikować numery. Rozpoznałem wszystkie. Krista, moja asystentka w stacji. Liz. Cass Carter, którego syna odwoziłem razem z Kevinem i Seanem na jednodniowy obóz do St Albans. Dave Whitestone, mój producent. Moi starzy. I tak dalej. Natalie oznakowała moją nokię jako dowód rzeczowy i dała mi na nią pokwitowanie. Wręczyła mi także klon - telefon z tym samym numerem - na wypadek gdyby Kevin albo Sean zadzwonili jeszcze raz. Albo ktoś z żądaniem okupu.

Rozmawiałem także z miłą kobietą imieniem Shelley z Centrum Dzieci Zaginionych i Molestowanych i zeskanowałem fotografię synów, by organizacja mogła rozplakatować ich podobizny w całym kraju. Inna kobieta - przełożona Shelley - miała odezwać się później, by zastanowić się nad dalszymi działaniami i udzielić mi kilku rad.

Teraz zaś moja rola została zredukowana do tego, żebym nie wchodził nikomu w drogę. Mam

ochotę przeczysywać cały glob w poszukiwaniu Kevina i Seana, a tymczasem jestem uziemiony.

Zjeżdżamy ruchomym chodnikiem na podziemny parking. Za moimi plecami Christiansen pogrąża kluczykami w kieszeni. Przede mną zeszywniała Liz usiłuje opanować strach.

Kiedy Christiansen skręca w Ordway, Liz reaguje jękiem. Garstka reporterów, którzy gromadzili się od samego rana, rozrosła się w potężny tłum. Uliczkę z obu stron blokują dwa wozy transmisyjne, a trzeci stoi na podjeździe Hokinsonów, wciśnięty obok ich czerwonego explorera. Ustawiono statywy z oświetleniem, po trawnikach i chodniku ciągną się kable i wałęsają kamerzyści i dźwiękowcy. W małych wydzielonych strefach dwie elegancko ubrane, samotne postacie sprawdzają reflektory i mikrofony, by po wszystkim dokręcić komentarze. Sąsiedzi stoją w drzwiach swoich domków, ze zdumieniem przyglądając się niespodziewanej okupacji ulicy. Na widok radiowozu tłum ożywa, każdy chce zająć jak najlepsze miejsce.

- O w dupę! - wrywa się Christiansenowi. - Przepraszam panią.

Jedyną reakcją Liz jest cichy jęk.

Czuję, jak dzwonki strachu biją na alarm, mam przedziwne wrażenie, że jestem nagi. Wielokrotnie brałem udział w takich scenach, tyle że tłoczyłem się jako jeszcze jeden reporter na konferencji prasowej albo warowałem w tłumie dziennikarzy, by zaatakować znienacką główną postać jakiejś historii, kiedy już się pojawi. W erze kabłówek, telewizji satelitarnej i zwiększonego zapotrzebowania na informacje stada dziennikarskich hien rozrastają się ponad wszelkie wyobrażenie. Kiedy dwa lata temu wchodziłem w skład ekipy relacjonującej dla mojej stacji proces snajpera z Waszyngtonu, na konferencji szefa policji w Rockville byłem jednym z ponad dziewięciuset akredytowanych dziennikarzy.

Przychodzi mi na myśl - o wiele za późno - że powinienem był ostrzec przed tym Liz. Zwłaszcza że prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej. Ta historia stanie się głównym punktem wiadomości, trafi na czołówki gazet, będzie tematem dnia.

Fakt, że jestem z branży, że pojawiając się na ekranach telewizorów, że niektórzy znają moją twarz, że (jak żartowaliśmy sobie z Liz) jestem „znakomitością z ławki rezerwowych”, tylko wzmoże medialny ostrzał.

Liz wtula się we mnie, gdy tłum zaczyna otaczać samochód. Wiem, że popełniam błąd - bo skoro ktoś chowa się przed kamerą, to widocznie jest winny - ale nie mogę zrobić nic więcej, żeby ją ochronić, nie posuwając się do zarzucenia jej marynarki na głowę. Żona wypłakuje mi się na piersi, całkiem puściły jej nerwy.

- Nic się nie martw - pocieszam ją szeptem. Oddycha głęboko, spazmatycznie, próbując się uspokoić.

Bez skutku. Zaciska dłonie w pięści i kostkami przeciera oczy. Wydaję polecenie Christiansenowi:

- Utoruj nam drogę do domu.

- Jak? - Koniuszki uszu policjanta pąsowieją.

- Idź szybko, nie patrz na nikogo, z nikim nie gadaj. Mów tylko „przepraszam”. Nic więcej.

Tak też robimy. Ruszam śladem Christiansena, jakby był zawodnikiem torującym na boisku drogę napastnikowi, szarpiąc Liz w lewo i w prawo i wpychając ją w szczeliny w tłumie, jakie na moment przeciera nam policjant. Udaje nam się jakoś przebrnąć przez błyskawicę fleszy, mechaniczny trzask migawek aparatów fotograficznych, kakofonię wykrzykiwanych pytań i komentarzy.

- Przepraszam!

- Czy może pan skomentować...?
- Przepraszam.
- A oto i matka, wygląda jak...
- Przepraszam.
- ...wie pan, czy są już jacyś podejrzani?
- Czy możecie państwo opowiedzieć naszym...
- ...rodzice dzieci pozostają w separacji...
- Przepraszam.

- ...a może chłopcy postanowili uciec z domu?

- Ja pierdolę! - rzuca Christiansen, kiedy zamykamy za sobą drzwi. Sapie ciężko, uszy ma rozpalone.

Fakt, że dotarliśmy do domu i odgradziliśmy się drzwiami od tego szaleństwa, traktujemy jak zwycięstwo, ale poczucie triumfu pryska po kilku sekundach. Liz podnosi głowę i spogląda na mnie; oczy ma mokre, wzrok błędny.

- Alex... - zaczyna, lecz urywa nagle, chwiejąc się na nogach.

- Liz...

- Alex! - wrzeszczy na całe gardło i zaczyna bębnić pięściami w moją pierś. - Gdzie oni są! Masz ich znaleźć!

## Rozdział 8

Siadamy w kuchni.

- A więc nie ma żadnych wiadomości... - zaczyna Liz, lecz jej głos zamiera.

- Zadzwoń do Shofflera... tego detektywa. Obiecałem mu, że się zgłosimy po przyjeździe z lotniska.

Ruszam do telefonu. Liz nie spuszcza mnie z oczu.

Niestety, Shoffler jest na konferencji. Zostawiam mu wiadomość i parzę herbatę dla żony. Liz siedzi bezwładnie, oklapnięta jak szmaciana lalka. Zastanawiam się, czy nie wezwać do niej lekarza.

- Zawiadomiłeś rodziców? - pyta apatycznym głosem.

- Są już w drodze.

- Moja mama... ona się załamała - mówi Liz. - Wylądowała w szpitalu.

- Och, Liz...

- Nic jej nie jest, tylko... no wiesz, dostała środki uspokajające.

- Przykro mi.

- Błagałam tatę, żeby z nią został, ale wybiera się do nas. Nie mogłam go powstrzymać. - Szybko wciąga powietrze.

Tak długo miesza łyżeczką herbatę, że w końcu przykrywam jej dłoń swoją.

- Och - bąka bezbarwnym głosem.

Pomimo tłumy na zewnątrz w domu panuje taka cisza, że słyszę ledwie uchwytny szum różnych sprzętów - lodówki, klimatyzatora. Czuję się tak, jakbyśmy się ukrywali.

Liz opiera łokcie na stole i chowa twarz w rękach. Nagle słyszę własny głos:

- Znajdziemy ich.

Żona głęboko, łapczywie wciąga powietrze, unosi głowę i zwraca ku mnie twarz.

- Naprawdę ich znajdziemy - powtarzam żarliwie. - Zobaczysz, że ich znajdziemy.

Przegląda mi się badawczo, lecz to, co widzi, najwyraźniej jej nie uspokaja. Jej twarz kurczy się,

wygląda jak czerwony supeł udręki. Liz kładzie głowę na stole, na skrzyżowanych rękach, i zaczyna szlochać. Niepohamowanie.

Gdy Liz bierze prysznic, dzwoni Claire Carosella.

- Oddzwaniem w związku z pańskim telefonem - słyszę energiczny głos. - Jestem z Centrum Dzieci Zaginionych i Molestowanych. Moja koleżanka wspomniała panu, zdaje się, że...

- Tak. Mówiła, że pani zadzwoni.

- My, w centrum, zdajemy sobie sprawę, że rodzice, którzy znaleźli się w takiej sytuacji, nie wiedzą, co robić, więc... więc ktoś taki jak ja zwykle dzwoni i udziela porady.

- Jasne - przytakuję, choć nie wiem, o co właściwie jej chodzi. Chce mi udzielać rad?

- A więc po kolei - przechodzi do rzeczy. - Najpierw dziennikarze. Na pewno już rozbili obóz przed twoimi drzwiami.

- Owszem.

- Masz ich powyżej uszu - ciągnie. - Ale wierz mi, nie znajdziesz większych sprzymierzeńców. Razem z żoną powinniście jak najszybciej wystąpić przed kamerami i błagać o zwrot dzieci.

- Moja żona... ona...

- To teraz kupka nieszczęścia, jasne. Wiem coś o tym, możesz mi wierzyć. - Przerywa. - Ale bezwzględnie musicie to zrobić. Dzięki temu i widzowie, i porywacz będą mogli zobaczyć was nie tylko jako ofiary, ale jako ludzi. Wiesz, sprawcy zwykle oglądają telewizję. Czasami nawet biorą udział w poszukiwaniu ofiar.

- Polly Klaas - mówię. Tę dziewczynkę z Kalifornii ktoś uprowadził z sypialni w jej domu, a następnie znaleziono ją zamordowaną. Człowiek, który wyróżniał się w poszukiwaniach, który wydrukował i rozprowadził tysiące podobizn dziewczynki i którego jej ojciec w dowód wdzięczności mianował szefem fundacji na rzecz odnalezienia dziecka, okazał się notowanym przestępcą seksualnym, mającym na koncie także kilka dziewczynek.

- No, owszem, to jeden z przykładów - zgadza się ze mną Claire Carosella. - Ale...

- To nie on ją zabił - wpadam jej w słowo, przypominając sobie szczegóły tamtej sprawy. - Sprawcą okazał się całkiem inny facet.

- Widzę, że odrobił pan lekcję.

- O tak.

Odrobiłem lekcję, a jakże. Po dwóch godzinach surfowania w Internecie dowiedziałem się o porwaniach dzieci dużo więcej, niżbym sobie życzył. W tym także o ponurym fakcie, że większość dzieciaków - ponad połowa - pada ofiarą morderstwa w ciągu pierwszych trzech godzin od uprowadzenia.

- A czy przypadkiem tych facetów nie podnieca cały ten medialny szum? Rozpacz rodziców i tak dalej?

Westchnienie.

- Tak. To jeden z minusów. - Kolejne ciężkie westchnienie. - W sumie jednak występ przed kamerami przynosi więcej dobrego niż złego. Wierz mi, Alex, donosy od ludzi, telefony na gorącą linię, ochotnicy, co tylko chcesz... po występie rodziców wszystko nabiera rozpędu.

- Hm.

- Grunt, że to naprawdę może pomóc w śledztwie. A te dranie... czasami nie mogą się oprzeć i sami dzwonią. Bywa, że zdradzają się wtedy z czymś, co naprowadza policję na trop. To tak jak z piromanami, którzy oglądają wzniecony przez siebie pożar. Chcą brać w tym czynny udział.

- Zgoda - obiecuję. - Zrobimy to.

- Tylko, no wiesz... mówcie, co wam serce dyktuje. Nie próbujcie napisać sobie przemówienia i go odczytać. Lepiej, żebyście... żebyście po prostu mówili od siebie. Im bardziej wzruszająco, tym lepiej.

- Uhum.

- Niektórzy rodzice wybierają nagranie w studiu, to jednak oznacza wyłączność dla danej stacji... decyzja należy do was.

Atmosfera jest mniej onieśmiałająca, a oświetlenie lepsze, ale... ale naturalnie wkurza to innych reporterów.

- Uhm.

- No i może to wypaść zbyt... spokojnie. Moim zdaniem najlepszy efekt daje występ przed własnym domem. Nawiasem mówiąc, nazywajcie chłopców po imieniu, to bardzo ważne. „Kevin i Sean”, a nie „moi synowie” czy „nasze dzieci”.

- Jasne. Rozumiem.

Jej ostatnia rada napawa mnie niepokojem.

- Muszę ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz, bo czuję, że inaczej nie byłabym w porządku - mówi i przerywa z wahaniem.

- Tak?

- Czasami rodziny wynajmują doradców do spraw mediów - wyjaśnia. - Wiesz, w grupach samopomocy to bardzo popularne... w najrozmaitszych stowarzyszeniach ludzi chorych, w grupach wsparcia dla rodzin ofiar katastrof lotniczych i tak dalej. To przeszło z tego sektora.

- Czyli że...

- Wiem, że to brzmi dziwnie, ale z tego, co mi wiadomo, warto mieć specjalistę od kontaktów z mediami. Mam na myśli profesjonalną firmę, Alex, a nie kogoś z przyjaciół. Oni mogą wam pomóc w jak najszerszym nagłośnieniu tej historii. Chodzi o to, że gdyby sprawa się przeciągała, już oni zadbają, żeby nie przyszła w mediach.

- Nie sądzę, żeby...

- Słuchaj, jak mówiłam, wspominam o tym tylko dlatego, że pomysł jest wart rozważenia. Właśnie dzięki temu rodzinie S marto w udało się utrzymać porwanie Elizabeth na pierwszych stronach gazet przez tyle czasu. Nawet kiedy już wszyscy sądzili, że mała nie żyje. W każdym razie gdybyś się na to zdecydował, dam ci wykaz firm.

Dziękuję jej, lecz odkładając słuchawkę, mam wrażenie, że przeszedłem na drugą stronę lustra. Moje dzieci zniknęły, a ona chce, żebym udzielał wywiadów i zatrudnił specja od mediów?

Shoffler dzwoni z informacją, że nie ma żadnych wieści od poszukiwaczy, ale ochotnicy wala drzwiami i oknami. Zamierzają rozszerzyć obszar poszukiwań.

- Świetnie - odpowiadam. - To świetnie. - Brak entuzjazmu w moim głosie wynika stąd, że nie przypominam sobie, by tego typu akcje choć raz odniosły zamierzony skutek.

- Wzięliśmy w obroty pracowników jarmarku, sprawdzamy, czy ktoś widział wczoraj twoich synów. Na razie nie I trafiliśmy na takich.

- O? - wtrąca Liz z drugiego aparatu w salonie. - Dziwne. Wszyscy zwracają na nich uwagę.

To prawda. Identyczne bliźniaki wzbudzają powszechną fascynację. Odkąd nauczyli się posługiwać zegarkiem, czasami zakładali się, ile czasu minie, zanim ktoś na ulicy zada nieuchronne pytanie: „Jesteście bliźniakami?”. W zeszłym roku Sean zaczął przesadzać i śmiertelnie poważnie

odpowiadać „nie”. Uważał to za niezwykle zabawne, ale tylko irytował ludzi. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, kiedy mu się wreszcie znudziło.

- Pewnie nie gadaliśmy jeszcze z tymi, co trzeba - ciągnie Shoffler. - W każdym razie czegoś się dowiedzieliśmy. - Waha się wystarczająco długo, żebym się zdenerwował. Czuję niepokojący ucisk w piersi.

- Czego?! - pyta Liz stanowczo, choć jej głos jest pełen strachu. - Czego się pan dowiedział?

- Przepuściliśmy pracowników przez bazy danych - wyjaśnia detektyw. - Komputer wypluł coś ciekawego... ale z góry uprzedzam, że moim zdaniem ten trop prowadzi donikąd.

- Co to takiego? - pyta Liz cichym, napiętym głosem.

- Taki jeden prowadzi tu stragan... maluje twarze, sprzedaje świece i magiczne pałeczki, takie tam duperele. Komputer wykrył, że był skazany za pedofilię.

- Kto to jest? - pytam ostro. - Nazwisko?!

- Hejże! - protestuje Shoffler. - To, że siedział, wcale jeszcze nie znaczy, że akurat teraz jest winny. Sprawdzamy, co gdzie robił i w jakim czasie, i na razie wszystko trzyma się kupy.

- Czy jest aresztowany? - dopytuje się Liz. - Czy wie, gdzie są chłopcy? Możemy z nim porozmawiać?

- Wkrótce będziemy mieli co do niego pełną jasność - oświadcza detektyw. - Ale mówiłem już, pani Callahan, że moim zdaniem on nie ma z tym nic wspólnego. Wolałem jednak sam was o tym zawiadomić, niż żebyście się dowiedzieli z prasy.

Chlipanie w słuchawkę mówi mi, że Liz znowu płacze.

- Zajrzę do was jakoś w ciągu dnia - obiecuje Shoffler.

- Jezu! - wita mnie ojciec Liz, wpadając do domu. - Są gorsi niż stado sępów. Gdzie moja córka?

Liz staje w kuchennych drzwiach, zanoszą się płaczem, a ojciec niezdarnie bierze ją w ramiona i poklepuje po plecach.

- Wszystko będzie dobrze - uspokaja ją. - Zobaczysz. Po chwili odsuwają się od siebie i teść wyciąga do mnie rękę.

- Witaj, Alex. Paskudna sprawa.

- Dzięki, że przyjechałeś, Jack. - Zwracanie się do teścia po imieniu wymaga ode mnie sporego wysiłku. Pasowałoby mi raczej „panie Taggart”, co i temu sztywnemu w obejściu człowiekowi o postawie wojskowego pewnie bardziej by odpowiadało. Jako dyrektor liceum Jack ma zakodowane, że wszyscy młodszy od niego okazują mu szacunek.

Jednakże Liz albo nie wierzy w rygorystyczne przestrzeganie zasad przez ojca, albo tego nie czuje, w każdym razie upiera się przy manifestowaniu przejawów zażyłości. Kevin i Sean sami z siebie nazywaliby go „dziadkiem” i na powitanie podawaliby mu rękę, ale zaledwie nauczyli się chodzić, Liz zadekretowała, że mają nazywać go „dziadzią”. Obstaje przy tym uparcie, a także przy obściskiwaniu się i obcałowywaniu. Żeby jej sprawić przyjemność, wszyscy się do tego stosujemy, ale tylko w jej obecności. Teraz moja żona patrzy z surową miną, jak jej ojciec i mąż splatają się w czymś, co można by wziąć za uścisk, gdyby nie trwało to tak krótko.

- Marguerite... ona tego nie wytrzymała - mówi teść, uwalniając się z obowiązkowych objęć. Kręci głową, a na jego surowych rysach maluje się rozczarowanie żoną. - Nadmiar wrażeń - dorzuca cicho - ale - splata ręce z kłaśnięciem - nic jej nie będzie.

Marguerite Taggart jest miłą i ciepłą kobietą - pasuje do Jacka jak jin do jang. Teraz leży pod wpływem środków uspokajających w Centrum Medycznym MidCoast w Rockland w stanie Maine.

Liz może i chciała, żeby jej ojciec został z matką, widzę jednak, jak jego obecność podtrzymuje ją na duchu. Jack Taggart należy do tych niebywale pewnych siebie ludzi, którzy wierzą, że nie ma dla nich rzeczy niemożliwych. Najwyraźniej odnalezienie wnuków mieści się w tej kategorii. On naprawdę uważa, że gdy tylko weźmie sprawy w swe fachowe ręce, wszystko dobrze się skończy. Pokładanie wiary w jego wszechmoc jest oczywiście bez sensu, ale nie tylko Liz czerpie z tego pociechę. Ja także.

Moi rodzice powinni przyjechać mniej więcej za godzinę. Zamierzałem odebrać ich z lotniska, ale nie chcę wystawiać Liz na pastwę Shofflera i jego ludzi, którzy mogą wpaść w każdej chwili. Z drugiej strony Jack wprawdzie bez problemu przecisnął się przez tłum, lecz moi rodzice nie mają jego imponującej postury. Zostaliby pożarci żywcem.

Gdy ojciec dzwoni z wiadomością, że za chwilę odbierają bagaże, radzę mu, żeby wziął taksówkę i kazał podjechać od tyłu. W Cleveland Park wszystkie te stare domy mają od podwórka drogi dojazdowe dla dostawców, biegnące równoległe do głównej ulicy.

- Zostawię wam otwartą bramę.

- Nie ma sprawy - rzuca ojciec. - Hej, widzę już nasze graty. Ani się obejrzysz, jak u was będziemy.

Plan spalił na panewce. Przybycie moich rodziców obwieszcza nam tupot nóg, przenoszący się od frontu na tyły domu, a potem alejką na nasze podwórko. Z zewnątrz dobiegają nas szybkie kroki i krzyżujące się w powietrzu pytania. Razem z Jackiem wypadamy przez tylne drzwi i zastajemy moją matkę - której dobre wychowanie nie pozwala odłożyć słuchawki, gdy zadzwoni ankieter - w otoczeniu reporterów i mikrofonów. Jakaś blondynka z drapieżnym uśmiechem trzyma matkę pod rękę i podtyka jej mikrofon pod gardło niczym miecz. Matka, z miną jelenia oślepiętego przez reflektory samochodu, usilnie stara się odpowiedzieć na pytania. Kilka stóp od furtki ojciec, z zaciętą twarzą i zasznurowanymi ustami, próbuje przecisnąć się z walizkami przez tłum.

- Czy są jakieś wiadomości o dzieciach?

- Czy chłopcy bardzo cierpieli z powodu separacji rodziców?

- A co z podejrzanym?

- Czy rodzice rozstali się w gniewie?

Na mój widok tłum reporterów porzuca rodziców i zbiega się, osaczając mnie szybko i instynktownie odcinając mi wszelkie drogi ucieczki, niczym sfora psów. Niewiele brakowało, a złapałoby naszą czwórkę w pułapkę, uniemożliwiając nam powrót do domu.

- Chryste Panie! - mówi moja matka i chichocze dziwnie, kiedy już jesteśmy w środku. Wzrok ma nieco mętny i obejmując ją, uświadamiam sobie, że prawie leci mi przez ręce, nafaszerowana xanaxem. Ojciec ściska mnie na pocieszenie, ale wygląda okropnie.

- Znajdziemy ich - obiecuje stanowczo, lecz jego głos jest cichy, bezbarwny.

- Jasne, że tak - przytakuję. - Jasne, że ich znajdziemy.

Słuchając swoich słów, wymuszonych, lecz pełnych przekonania, zdaję sobie sprawę, że popadłem w jakąś dziwną formę myślenia życzeniowego. Jeśli tylko uda mi się przybrać właściwy ton i - tak jak Jack - mówić z niezłomnym przekonaniem, to moje słowa się spełnią.

Późnym popołudniem stoimy przed drzwiami domu, kilka stopni powyżej napierającego tłumu dziennikarzy i kamerzystów. Przed sobą mamy las mikrofonów, morze kamer. Wrzawa głosów wznosi się i opada, wzbogacona o mechaniczny trzask migawek aparatów fotograficznych. Lampy błyskowe migoczą we własnym zwariowanym rytmie.



Liz stoi obok mnie, wzdygając się na zgiełk i błysk światła.

- Nazywam się Alex Callahan - zaczynam. Błagam tego, kto zabrał Kevina i Seana, by ich zwrócił, upraszam obywateli, by zastępowali nam oczy i uszy, by dzwoniли na gorącą linię z wszelkimi informacjami.

Zbyt późno uświadamiam sobie, że to Liz przede wszystkim powinna zabierać głos. Nawet ja odbieram swoją przemowę jako zbyt gładką, opanowaną - właśnie tak zawsze mówiłem do kamery. Próbuję wyrazić zwyczajną ludzką rozpacz, ale zupełnie mi to nie wychodzi. Pozostaję z dobrze mi znanym uczuciem. Trudno przewidzieć, kto wypadnie przed kamerą dobrze, a kto nie. Dzisiaj trafiam do kategorii niewypałów. Czuję się, jakbym właśnie dał przedstawienie, i to niezbyt udane.

Liz z nawiązką nadrabia moje braki. Przy każdym zdaniu załamuje się, lecz brnie dalej; jej wymuszony bohaterski marsz wyciska łzy z oczu niektórych reporterek. Na koniec zwraca się bezpośrednio do chłopców:

- Kevin? Sean? Jeżeli nas oglądacie... trzymajcie się, dzieci. Kochamy was. Tata i ja... my was kochamy... bardzo. I znajdziemy was! Gdziekolwiek jesteście. Obiecuję! Przyjdziemy po was. Tylko... tylko się trzymajcie.

To już koniec, Liz jest kompletnie wyczerpana, nie ma siły mówić dalej. Odwraca się do mnie i wbija twarz w moją pierś, krzyżując ręce za głową, jakby osłaniała się przed spodziewanym ciosem. Osuwa się bezwładnie i nagle zdaje sobie sprawę, że gdybym jej nie podtrzymał, upadłaby. Dziennikarze wciąż zasypują nas pytaniami, lampy błyskowe oślepiają, a ja niemal taszczę żonę przez drzwi do domu.

Nie mam poczucia, że znajdziemy tam azyl.

Na całe szczęście Liz śpi, kiedy do drzwi dzwoni dwoje policjantów z K-9. Mają za zadanie zebrać trochę brudnych ubrań Kevina i Seana, a także prześcieradła z ich łóżek. Księżniczka - w skomplikowanej skórzanej uprzęży - siedzi u stóp tresera, dysząc ciężko, podczas gdy policjanci pakują ubrania do dwóch toreb.

- Co wy robicie? - pyta Jack, wskazując na torby. - Czy w jednej mają być rzeczy Kevina, a w drugiej Seana? Bo mam wrażenie, że je pomieszaliście.

- Niezupełnie - odpowiada policjantka.

- Jak to? - chce wiedzieć Jack. Kobieta głaszcze Księżniczkę.

- Jest jeszcze jeden pies - wyjaśnia, niemal szeptem. - Corky. Prowadzi go inny treser.

- Że jak, proszę? - przerywa jej Jack. - Czy byłaby pani łaskawa mówić głośniejszym głosem, młoda damo?

Kobieta zerka na swojego partnera, który odpowiada za nią.

- Księżniczka, ta suka tutaj, to zwykły pies tropiący - wyjaśnia. - Kieruje się zapachem. Chyba widział pan takie rzeczy na filmach?

Jack kiwa głową.

- Ale w takich sytuacjach korzysta się z jeszcze innego rodzaju psów, specjalnie wytresowanych do... no, one są przyuczone do wykrywania... szczątków, proszę pana - ciągnie policjant. - Potrafią nawet wskazać zwłoki w stawach i strumieniach... no wie pan, pod wodą. Niesamowite. - Przez cały czas wzrok ma wbity w podłogę.

Jack zamyka oczy i przez chwilę obawiam się, że zemdleje.

- Mój Boże - szepce i przenosi wzrok na mnie. - Ani słowa Liz na ten temat.

- Trupiarze - odzywa się szeptem policjantka. - Tak je nazywają.

## Rozdział 9

Jakimś cudem udaje nam się przetrwać ten dzień - kłębowisko emocji, przerywane setkami rozmów telefonicznych. Kilkakrotnie dzwonię do Shofflera, lecz nie ma dla mnie nic nowego, poza informacją, że nastąpiła zmiana planów. Zamiast „jakoś w ciągu dnia” zajrzy do nas „po nocy”.

Za radą kilku przyjaciół dzwonię do agencji detektywistycznej i rozmawiam z facetem, z którym swego czasu przeprowadzałem wywiad do materiału o rosyjskiej mafii w Brighton Beach. Ten od razu dodaje dwa do dwóch, nie dając mi okazji wyjaśnić, w jakiej sprawie dzwonię.

- Rany boskie, zaginione bliźniaki! Jezu, to pana dzieci, ja nie sądziłem, że...

Podaje mi namiary na najlepszą specjalistkę w ich firmie od osób zaginionych - niejaką Mary McCafferty. Umawiam się z nią na następny dzień. Mary mówi mi, jakie informacje będą jej potrzebne.

- Dostanie pan rabat - obiecuje. - Policzymy panu połowę normalnej stawki.

Ale i tak będzie to kupa forsy. Siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę, zamiast stu pięćdziesięciu. Plus wydatki.

Kilka razy rozmawiam z Kristą ze stacji - jednym tchem zawiadamia mnie, że firma przeznaczyła dziesięć kawałków na nagrodę. I że co godzina program będzie przerywany zdjęciami chłopców, informacją o nagrodzie i numerem gorącej linii.

Rozmawiam z jakąś kobietą z Centrum Dzieci Zaginionych. Uruchomili pocztę elektroniczną, która - rozprzestrzeniając się za pośrednictwem skomplikowanej sieci książek adresowych - powinna dotrzeć nawet do trzech milionów ludzi, z załącznikiem zawierającym zdjęcia i rysopisy chłopców oraz informację o gorącej linii.

Dzwonią dziesiątki przyjaciół i znajomych.

O piątej po południu uświadamiam sobie, że dzieci nie ma już od dwudziestu czterech godzin. Nikomu o tym nie wspomnam.

O szóstej trzydzieści oszołomiony latynoski chłopak przynosi jedzenie, które Liz zamówiła w Sala Thai. Mój ojciec przygląda się potrawom podejrzliwie, Jack zajada z apetytem, zachęcając córkę, by poszła w jego ślady („Musisz być teraz silna, skarbie”). Matka kosztuje pad thai i zwraca się do ojca:

- Nie wydziwiał, Bob, przecież to po prostu linguini.

Mija siódma, mija ósma, dziewiąta.

Gdzie kogo położyć spać? Jestem na nogach od tak dawna, że zbliżam się do odmiennego stanu świadomości, chociaż nie wyobrażam sobie, żebym mógł zasnąć. Liz krząta się po domu, rozkłada kanapę dla swego ojca w gabinecie, zmienia pościel w głównej sypialni, którą przeznaczyła dla moich staruszków. Chodzę za nią krok w krok, objuczony ręcznikami i poszwami. Liz zamierza spać w pokoju chłopców, lecz zatrzymuje się w progu jak wryta.

- Nie mogę... ja tu nie mogę spać - szepce. - O Boże... Alex...

Zaczyna szlochać. Obejmuję ją, lecz sztywnieje pod moim dotykiem, odsuwa się i próbuje wziąć się w garść.

- Prześpię się na tapczanie w pokoju rekreacyjnym - mówi. - Ty się połóż na kanapie w salonie.

Rusza do łazienki. Ja za nią, ze stertą ręczników. Liz staje przed umywalką, spogląda w lustro, po czym opuszcza wzrok na umywalkę. Przez chwilę miga mi jej odbicie w lustrze, a potem odwraca się i widzę malujące się na jej twarzy zdziwienie.

- O co chodzi z tymi dziesięciocentówkami? - pyta. Umywalka zabudowana jest blatem ze sztucznego marmuru, z gzymsem. Na górnej krawędzi gzymesu, dokładnie na środku pomiędzy kurkami,

leży rząd dziesięciocentówek z Wolnością na awersie. Siedem dziesięciocentówek, ułożonych w idealnie prostej linii.

- Nie mam pojęcia - odpowiadam.

- Czy one należą do chłopców? Zaczęli zbierać monety?

- Nie sędzę.

Ale ta sprawa tylko pozornie jest zagadkowa. Nigdy nie widziałem tych monet, a musiałbym je zauważyć. Zawsze stoję i patrzę, jak Kevin i Sean myją zęby, by się upewnić, że robią to dłużej niż dwie sekundy, że spłukują szczoteczki i zmywają ślinę i pastę z umywalki. I to wcale nie dlatego, że przywiązuję aż tak wielką wagę do higieny jamy ustnej. Obserwuję ich ze względu na Liz. Wiem, że będę jej musiał zdać sprawozdanie z nawet najmniejszych uchybień chłopców. Wykluczone, żebym mógł nie zauważyć rzędu monet na umywalce. Ich widok wprawia mnie w niepokój. Wyglądają na jakiś szalony znak, wiadomość.

- Ktoś je tam położył - oznajmiam żonie.

- Kto? Po co?

- Porywacz.

- O Boże, Alex...

- Pozwól na chwilę - mówię i ciągnę Liz do sypialni chłopców. - Powinnaś coś zobaczyć. - Pokazuję jej małe origami na szafce. - Czy to należy do Kevina albo Seana? Bo ja tego wcześniej nie zauważyłem...

- Nie - odpowiada Liz. - Nigdy tego nie widziałam. - Patrzy na mnie zmartwiona i marszczy brwi.

- Alex... ten królik, te monety. Co to ma znaczyć?

- Nie wiem. Jej oczy zachodzą łzami, ale odpycha mnie, gdy próbuję ją pocieszyć. Wracam za nią do łazienki, gdzie wyciera nos, ochlapuje twarz zimną wodą i chowa się za ręcznikiem.

Głośnie pukanie do drzwi zastaje mnie w pokoju rekreacyjnym, gdzie od jakiegoś czasu na czworakach próbuję rozłożyć rozklekotaną ramę tapczanu. Jack i mój ojciec na zmianę dyżurują przy drzwiach i teraz słyszę ochrypy głos ojca, w kontrpunkcie z innym głosem. Wciąż jeszcze próbuję się wygramolić zza tapczanu, gdy w progu staje ojciec w towarzystwie Shofflera.

- Trzyma się pan jakoś? - pyta detektyw.

Zdobywam się tylko na wzruszenie ramion. Shoffler wygląda okropnie. Ma na sobie pogniecioną lnianą marynarkę o sportowym kroju; jeden guzik dynda na nitce. Wymiętoszone spodnie w kolorze khaki zwisają mu nisko na biodrach, spychane w dół przez brzuszysko. Zmęczenie w oczach detektywa najlepiej świadczy, że powinien się przespać. Być może zdrzemnął się w samochodzie po drodze na Ordway Street, na co mogłyby wskazywać nastroszone włosy po prawej stronie głowy.

- Prasa za bardzo daje wam w kość - mówi. - Mogę załatwić, żeby postawili kogoś z miejskiej przed drzwiami.

Wzruszam ramionami.

- Jakby co, dam panu znać.

- Pan też się zajmuje czymś takim? - Ruchem głowy wskazuje drzwi od frontu.

- Zdarzało się - przyznaję. - Taka praca. Shoffler zwraca się do mojego ojca:

- Bob... dobrze mówię? - Wsadza zakrzywiony palec za pasek i podciąga spodnie.

- Owszem. Robert J. Callahan - przedstawia się ojciec z piskliwym zduszonym chichotem. Ci, którzy go znają, wiedzą, że świadczy to o jego zdenerwowaniu.

- Mógłby pan poprosić tu pozostałych? Zalewa mnie fala strachu.

- Ma pan coś? Jakieś... nowe wieści?

Shoffler kręci głową i schyla się, by mi pomóc. Szarpie za jedną z opornych nóg tapczanu i cała machina rozkłada się z trzaskiem.

- No, gotowe - mówi.

Wspólnymi siłami ustawiamy tapczan na swoim miejscu.

- Mój syn też miał takie szpejo, jak chodził do Bowie State - mówi detektyw. - Kiedyś na tym spałem, nawet wygodne.

Gdy w końcu Liz i reszta zbierają się w pokoju i siadają, Shoffler zaczyna od tego, że chce nas poinformować o rozwoju wypadków. Poszukiwania w lasach otaczających teren jarmarku są prowadzone nadal, oznajmia, a ochotników jest więcej, niż mogą „przerobić”. Gorąca linia jest przeciążona od nadmiaru dzwoniących, ale „trochę potrwa, zanim się przez to wszystko przekopujemy”. Przesłuchania pracowników jarmarku przebiegają „powoli, ale się toczą. Jak już mówiłem Alexowi, mamy kłopot ze znalezieniem wiarygodnych świadków, którzy widzieli chłopców, ale czynimy postępy”.

Przed oczami staje mi widok Kevina i Seana, zaśmiewających się z występów kuglarza. Potrząsam głową, jakbym tym sposobem mógł odpędzić natrętny obraz. Z upływem czasu coraz trudniej przychodzi mi myśleć o synach bez panicznego strachu, że ich straciłem. Przypomina to spadanie ze skały, raz po raz.

Jedyną istotną informacją, jaką detektyw ma nam do przekazania, jest to, że pedofil, który sprzedawał świece, został oczyszczony z podejrzeń.

- Ale z jarmarku oczywiście go wyrzucili. Tak że przez jakiś czas nie będzie sprzedawał dzieciom magicznych różdżek. Natomiast jeśli chodzi o uprowadzenie waszych synów, facet może się wyliczyć z każdej minuty w krytycznym czasie.

- To chyba dobrze - mówi Liz, przyciskając dłonie do ud.

- Myślałem, że jeśli ktoś ma zbyt mocne alibi, to samo w sobie jest podejrzane - wtrąca się Jack.

Shoffler wypuszcza głośno powietrze. Nie zbywa uwagi Jacka milczeniem, lecz odpowiada mu cierpliwie, podobnie jak na wszystkie inne pytania. W ciągu dziesięciu minut udało mu się oczarować i uspokoić Liz i moją matkę, a także zrobić wrażenie na moim ojcu i Jacku. Umiejętnością słuchania mógłby zawstydzić każdego reportera.

- Zbyt mocne alibi? - powtarza. - Widzisz, Jack, coś takiego nie istnieje. Wiem, co chciałeś powiedzieć, ale w tym wypadku mamy całą kupę świadków, którzy potwierdzają, gdzie facet przebywał.

- A co on robił? - chce wiedzieć mój ojciec. - Jeśli wolno zapytać.

Shoffler przyklepuje sterczące z boku głowy włosy i uśmiecha się ze znużeniem.

- Tego dnia pracował na jarmarku bardzo krótko. Po południu, od pierwszej do szóstej, przebywał w... - otwiera notes i kartkuje go - w motelu Bayside w Annapolis, gdzie brał udział w specjalistycznym kursie jazdy defensywnej. - Podnosi wzrok na słuchaczy. - Potem pojechał... - znowu sprawdza w notesie - na mityng grupy wsparcia dla osób, które niedawno straciły kogoś z rodziców... trzy tygodnie temu zmarła jego matka. Ten mityng także odbywał się w Annapolis. W kościele episkopalnym Świętej Trójcy. - Zamyka notes.

- A zatem ten człowiek nie wchodzi w rachubę - oświadcza Jack.

- Właśnie.

- To chyba dobrze - powtarza Liz, zerkając na mnie. - Prawda?

- Zdecydowanie tak - przytakuje detektyw. - Wyeliminowaliśmy podejrzanego, co zawsze jest korzystne. Dzięki temu można się skupić na innych. A więc... - Zaciera ręce. - Macie jeszcze jakieś pytania?

- Nikt nie dzwonił w sprawie okupu - odzywa się mój ojciec, posyłając mi zmartwione spojrzenie. - Czy nie świadczy to o... no... co pan o tym sądzi?

- Na to zawsze jest czas - odpowiada Shoffler. - Ale nie przypuszczam, żeby się ktoś odezwał.

- Nie?! Ale... ale dlaczego? - pyta ostro Jack. Detektyw krzywi się, wzdycha.

- Po pierwsze, gdyby chodziło o pieniądze, po co porywać dwóch chłopców? Okupu nie płaci się od wagi, rozumiecie?

- Ja chyba nie rozumiem - wyznaje Jack. Shoffler wzrusza ramionami.

- Dwójka dzieciaków to dwa razy większy kłopot, ale okup nie będzie dwa razy wyższy. Moim zdaniem zrozpaczeni rodzice są gotowi wybulić tyle samo za jedno dziecko, co za dwoje. Poza tym...

- waha się, w końcu jednak postanawia nie owijać w bawełnę - bogaczy jest do wyboru, do koloru. Gdyby chodziło o forszę, myślę, że porywacz poszukałby rodziców bardziej, hm... majątnych niż Alex i Liz. Chyba że - przenosi pytające spojrzenie z Jacka na moich rodziców - dziadkowie...?

- Jestem dyrektorem liceum - wyjaśnia Jack, pokrywając zakłopotanie jakże nietypowym dla siebie nerwowym śmiechem. Stosunkowo niskie dochody to jego jedyna słaba strona, o której mi wiadomo. - A może Bob jest jednym z tych nikomu nieznanym milionerów? - Znowu chichocze, spoglądając na mojego ojca.

- Nie - odpowiada ojciec. - Nie twierdzę, że - zerka na *moją* matkę - nie moglibyśmy zebrać trochę grosza, gdybyśmy sprzedali wszystko, co mamy. I oczywiście byśmy tak zrobili, tyle że to by trwało. Więc... - Kręci głową, uznając argument policjanta.

-No więc rozumiecie, o co chodzi. - Ręce detektywa wzlatają i opadają na uda z pacnięciem.

- A inne powody, niezwiązane z pieniędzmi? - pyta ojciec. Shoffler krzywi się.

- Na przykład?

- Mój syn kręci takie reportaże, że... - rzut oka w moją stronę - przysparza sobie wrogów.

Detektyw unosi brwi i spogląda na mnie.

- Naprawdę?

Czuję w piersiach alarmujący przypływ adrenaliny. Nie przyszło mi to do głowy. Pomysł, że ktoś uprowadził dzieci z mojego powodu, przyprawia mnie o mdłości. Owszem, często sięgam po drażliwe tematy. Zbiorowe gwałty, pranie pieniędzy, handel bronią, tego typu rzeczy. Więc może...

- Ojciec ma rację - zwracam się do Shofflera. - Nie pomyślałem o tym.

- Hm, jeżeli przychodzi panu na myśl ktoś, kto nienawidzi pana do tego stopnia, że...

- Ale po co mścić się na dzieciach? Dlaczego nie na mnie?

- Niech pan pomyśli pod tym kątem, może coś się panu nasunie. Proszę mi zrobić listę osób. To nie zaszkodzi.

Obiecuję, że się tym zajmę. Shoffler spogląda na nas po kolei. Wygląda na to, że nikt nie ma nic więcej do powiedzenia.

Jack nie może się powstrzymać i ziewa szeroko.

- Przepraszam. - Wstaje. - No cóż, bardzo panu dziękujemy.

- Może napije się pan mrożonej herbaty? - proponuje matka, także wstając. - Albo kawy?

- Niestety - odpowiada Shoffler. - Zdaję sobie sprawę, że jest już późno, ale chcielibyśmy przystąpić do przeszukania.

- Przeszukania? - dziwi się Liz. - Czego?

- Przeszukania domu - wyjaśnia detektyw i strzela oczami w moją stronę. - Rozmawiałem o tym z pani mężem, który sądzi, że porywacz tu był. W tym domu. Więc może coś znajdziemy. A zresztą to rutynowe postępowanie.

- Ja nie sądzę - poprawiam go. - On na pewno tu był.

- Powiedziałaś panu o tych monetach? - wtrąca się Liz. - I o króliku?

- O czym pani mówi? - pyta Shoffler.

Kiedy wyjaśniam mu, o co chodzi, kiwa głową, wyjmuje notes i zapisuje to sobie.

- Dołączymy je do dowodów rzeczowych.

- Nic z tego nie rozumiem - wyznaję mu. - Nie ma wątpliwości, że Kevin tu był. Dzwonił do mnie z tego numeru. Wiecie o tym, oddałem wam przecież swoją komórkę.

Detektyw niezobowiązująco kiwa głową i podciąga spodnie.

- Jasne. Zresztą zwróciliśmy się do operatora o billingi.

- Po co?

- Żeby potwierdzić dane z pańskiej komórki. Trzeba się upewnić, że telefon od Kevina nie został przekierkowany z innego numeru, wie pan, z innego miejsca.

- Ale...

Shoffler nie zwraca uwagi na moje protesty.

- Późno już, chcielibyśmy się wziąć do roboty - przerywa mi. - Przypuszczam, że zejdzie nam ze dwie godzinki. Wobec tego proponuję, żebyście wybrali się wszyscy na przejażdżkę czy gdziekolwiek.

- Na przejażdżkę? - wtrąca moja matka z niedowierzaniem, zupełnie jakby detektyw zaproponował nam, żebyśmy wyskoczyli na basen albo do kosmetyczki.

- Niektórych ludzi denerwuje, kiedy obcy kręcą się po ich domu - tłumaczy policjant cierpliwie. - I grzebią w ich rzeczach. - Wzrusza ramionami. - Jeżeli postanowicie nie wychodzić, musicie wszyscy zostać tutaj, dopóki nie uporamy się z resztą domu. A ten pokój pójdzie na koniec. - Cmoka, odrywając język od górnego podniebienia; ten dźwięk wydaje się nienaturalnie głośny.

- Nie wiem jak wy, ale ja nie mam ochoty na żadną przejażdżkę - oświadcza matka.

- Chyba zostaniemy w domu - mówię.

- Świetnie - zgadza się Shoffler. - Wobec tego załatwimy od razu jeszcze jedną sprawę. Zbierzemy od was odciski palców.

- Co proszę? - wrywa się Jack.

- To czysto rutynowe działanie, panie Taggart. Potrzebne nam są odciski palców wszystkich, którzy byli w domu, żeby móc je wyeliminować. Z tego samego powodu będziemy musieli później zebrać odciski od pozostałych, którzy tu bywali... od sprzątaczk, opiekunki do dzieci, dozorca... - Spogląda na zegarek.

- A nie można by tego załatwić jutro? - pyta Jack, obejmując Liz. - Moja córka jest wykończona.

Detektyw kręci głową.

- Wiem. Jest bardzo późno... proszę mi wierzyć, zdaję sobie z tego sprawę. Ale z pewnością rozumiecie państwo, że jeśli są tu jakieś dowody, coś, co mogłoby nas naprowadzić na trop, to musimy o tym wiedzieć jak najprędzej. Nie tylko dlatego, żeby móc szybciej działać, po prostu im dłużej zwlekamy, tym bardziej teren ulega zanieczyszczeniu. Nie mówiąc o tym, że ekipa już tu jest, czeka za drzwiami...

Nagle słyszę własne słowa:

- Są już na miejscu? - Nie wiem, dlaczego mnie to niepokoi, ale nic nie poradzę, że tak jest. Shoffler spogląda na zegarek. Możemy zaczynać?

## Rozdział 10

Przez pewien czas siedzimy w krępującej ciszy, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. W końcu Jack sięga po pilota i włącza telewizor.

Przebrana sprawa. Czy coś może być stosowne do sytuacji? Zzymając się, Jack przeskakuje z jednego beznadziejnego kanału na drugi. Baseball, seriale kryminalne i komediowe, program o modzie młodzieżowej.

- Tato - mówi Liz.

Jack wyłącza telewizor. Ale kiedy ekran gaśnie z elektronicznym szumem, słyszymy, jak tamci kontynuują przeszukiwanie w salonie. Sądząc po odgłosach, rozbierają dom na części. Ich rozmowy, trzaski otwieranych drzwi i szuflad - wszystkie te efekty dźwiękowe świadczące o rewizji mocno mnie niepokoją. Mimo że sam upierałem się przy przeszukaniu domu, mam wrażenie, że nasza prywatność została pogwałcona.

„Pogwałcona”. Słowo to, niosące skojarzenia, które zawsze wydawały mi się zbyt silne w odniesieniu do prywatności, nagle wydaje się ze wszech miar na miejscu. Słuchając, jak obcy ludzie grzebią w rzeczach należących do mojej rodziny, mam uczucie, jak gdybym został zaatakowany, jakby dokonano gwałtu na mojej osobie. Nie cierpię tego tupotu kroków, pomruku głosów, wybuchającego od czasu do czasu śmiechu. Tak mnie to irytuje, że biorę pilota ze skraju stołu i włączam telewizor.

Błąd. Złapałem początek wiadomości o dziesiątej. Wszyscy ze świstem wciągają powietrze, gdy na ekranie miga zdjęcie chłopców, a spiker oznajmia:

-Brak jakichkolwiek informacji w sprawie zaginięcia dzieci państwa Callahan...

- O Boże! - szepce Liz, gdy gaszę telewizor. Niemal z ulgą witamy przybycie znerwicowanej przyszczatej kobiety o rudych włosach i zielonych paznokciach, która ma pobrać od nas odciski palców.

Wszyscy znosimy jej humory, kiedy wzywa nas po kolei do siebie. Korzystając ze stolika do kawy jako podpórki, przyciska nasze palce do poduszki z tuszem, a potem przytyka je do zawczasu przygotowanej karty i obraca z boku na bok. Kiedy przekręca mały palec mojej lewej dłoni, a potem odrywa go od karty, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że cała ta procedura ma w sobie coś wstępnego. Karta nie zawiera nic poza minimum informacji potrzebnych, by mnie zidentyfikować - tylko to i podłużne plamy pozostawione przez czubki moich palców, z których każdy odznacza się niepowtarzalnym zawiłym wzorem spiralnych linii.

Kobieta wręcza mi wilgotną chusteczkę do starcia tuszu z palców, a moje miejsce zajmuje matka. Być może xanax przestał działać albo to wina sześciu filiżanek kawy, które wypić od przyjazdu, w każdym razie matka nie pozwala kobiecie manipulować swoimi palcami. Wyrzywa się, sama nimi porusza. Co chwila przeprosza laborantkę, gdy ta wzdycha teatralnie i przedziera kolejną zmarnowaną kartę na pół, przed wyrzuceniem jej do kosza.

- Spokojnie - powtarza kobieta chyba po raz dziesiąty. - Sama będę poruszała pani palcami. A pani nimi kręci... widzi pani, wszystko się rozmazuje. - Ton jej głosu zmienia się, raz jest oskarżycielski, to znów protekcyjny. - Sama to zrobię. Niech pani nie kręci...

- Nie kręcę - protestuje matka. - A przynajmniej się staram.

- Kręci pani!

- Dość tego wyzywania się na mojej matce! - interweniuje. - Zdaje się, że poddajemy się temu dobrowolnie, tak?

Matka spogląda na mnie z wdzięcznością, lecz zaczyna pociągać nosem.

- Spróbujmy jeszcze raz - mówi babsztyl i z kolejnym teatralnym westchnieniem bierze następną kartę.

Tym razem przez chwilę wszystko przebiega sprawnie, w końcu jednak matka znów się wrywa czy stawia opór.

- No i znów pani robi to samo! Matka załamuje się, zaczyna płakać.

- Proszę ją zostawić - wtrąca się ojciec, wstając z miejsca.

- Państwo wybaczą - rzuca laborantka. Zrywa się z krzesła i maszeruje do drzwi. - Za mało mi płacą, żebym miała łączyć się z wami w bólu.

- Przepraszam cię, mamó - mówię odruchowo.

- Może ci przynieść wody, Glenna? - pyta ojciec z niepokojem. - Alex... myślisz, że dadzą nam tu jakąś wodę?

- Jasne. - Zwlekam się z kanapy i idę pogadać z dyżurującym w korytarzu policjantem. Z poczuciem winy uświadamiam sobie, że mam już dość rodziców, że chciałbym, żeby już sobie pojechali. I oni, i Jack. Mam świadomość, że przyjechali tu z obowiązku, by służyć nam wszelką możliwą pomocą. Przypuszczam, że gdyby się nie zjawili, byłoby mi przykro. Czuję się jednak tak, jakbym razem z Liz musiał się nimi opiekować.

Policjant przynosi nam wodę, a zaraz potem pojawia się Shoffler. Staje w progu i puka knykciami we framugę drzwi.

- Mogę cię prosić na słówko, Alex? Ciebie i panią Callahan?

Wyraz jego twarzy ma w sobie coś takiego, że ściska mi się serce. Poza tym te gumowe rękawiczki, które ma na rękach - oni wszyscy je noszą - narzucają zimną, kliniczną atmosferę. Zrywam się szybko z miejsca, jak gdybym miał przyczepioną do głowy linę, za którą ktoś właśnie szarpnął.

- O co chodzi?

- Możecie swobodnie rozmawiać tutaj - odzywa się ojciec, omiatając pokój ręką. - Wszystko zostanie w rodzinie.

Detektyw unosi rękę, zwracając otwartą dłoń w stronę ojca, niczym policjant zatrzymujący ruch na skrzyżowaniu.

- Tylko rodzice - mówi z uśmiechem, który jednak wypada jak grymas.

Liz jest szara na twarzy. Idziemy za detektywem na górę do mojego gabinetu, gdzie przy biurku siedzi jakiś mundurowy, także w rękawiczkach, z podkładką do pisania w ręku.

- Funkcjonariusz David Ebinger - przedstawia go Shoffler.



Tłumaczy nam, że od czasu sprawy O. J. Simpsona dowodami rzeczowymi zajmuje się jeden policjant, poczynając od opisywania ich i pakowania, poprzez przechowywanie, aż do przedstawienia ich w sądzie.

- Musimy ustalić, kto za co odpowiada, na wypadek gdyby sprawa miała trafić do sądu - wyjaśnia rzeczowo.

Potakujemy głowami. Rozumiemy. Nagle detektyw zamyka drzwi.

- Znaleźliśmy coś - mówi. Nie potrafię wydusić słowa. Na moim biurku stoi brązowy karton wielkości pudełka na buty. Jest otwarty, z pokrywami wieka odchylonymi na bok, i zaopatrzony w białą przywieszkę z jakimś napisem. Shoffler ruchem głowy daje znak Ebingerowi i za pomocą zakończonych gumką ołówka wyciąga z pudła jakąś pomiętą i mocno zaplamioną odzież. Gdy całość wynurza się z kartonu, poznaję, że jest to żółta koszulka, a rudobrazowe plamy to niewątpliwie krew.

Słyszac jęk Liz, obejmuję ją a ona opiera się o mnie, ukrywając twarz na mojej piersi. Nie może patrzeć na koszulkę, za to ja przeciwnie - nie mogę oderwać od niej wzroku. Shoffler delikatnie próbuje strząsnąć koszulkę z końca ołówka. Najwidoczniej wyschła taka zmiętoszona i jest tak sztywna, że jego wysiłki na niewiele się zdają. Jakiś wewnętrzny głos zmusza mnie, żeby na nią patrzeć, przepełnia mnie strach, że koszulka ześlizgnie się z ołówka i spadnie na stół, i że nie wolno mi do tego dopuścić. W końcu krawędzie zmiętego materiału rozchylają się, jakby ktoś otwierał zaciśniętą pięść, i nagle widzę odkryty fragment zawiniątka - kawałek koszulki wielkości otwartej dłoni.

Nie potrzeba mi nic więcej.

Na odkrytym kawałku materiału widać namalowaną w stylu kreskówek płetwę ogonową. Wiem, że to płetwa wieloryba, i wiem, że na jego brzuchu jest wydrukowany napis NAN-TUCKET.

- To T-shirt Kevina - oznajmiam mimowolnie. - Sean ma zielony.

Nie mogę oderwać wzroku od koszulki. Próbuję skoncentrować się na samym materiale, wyrzucić z głowy obraz Kevina ubranego w ten T-shirt. W ustach czuję paskudny metaliczny posmak. Liz dygocze w moich ramionach.

Nagle słyszę swoje słowa:

- Gdzie ją znaleźliście?

- Pani Callahan, czy może to pani potwierdzić? Poznaje pani tę koszulkę?

Liz sztywnieje, odrywa twarz od mojej piersi. Odwraca głowę, spogląda na T-shirt. Wydaje straszliwy cichy jęk. Podrywa dłoń i zakrywa usta. Z trudem kilkakrotnie kiwa głową, jakby waliła tasakiem.

- Czy chce pani powiedzieć, że ta koszulka należy do pani syna, Kevina? - naciska detektyw.

- Tak.

- Gdzie ją znaleźliście? - ponawiam pytanie, lecz Shoffler znowu nie odpowiada. Z powrotem umieszcza koszulkę w kartonie i zamyka ołówkiem wieko. Ebinger skrupulatnie zakleja pudło taśmą.

- Mamy coś jeszcze - oświadcza detektyw. - Zechcą państwo pójść za mną.

Shoffler idzie przodem, Ebinger zamyka nasz pochód. Usiłuję nie myśleć o tym, jaki kolejny koszmar nam pokaże. Skupiam się na obserwowaniu tyłu głowy Liz i jej kiwającego się lekko

kucyka. Wchodzimy do pokoju chłopców. Oddycham z trudem.

- Postanowiliśmy na razie tego nie ruszać - mówi Shoffler, otwierając drzwi szafy ołówkiem. - Potraficie to wyjaśnić? - Czubkiem ołówka wskazuje górną półkę i odsuwa się na bok, żebyśmy mogli zajrzeć w głąb szafy. A tam, obok gier planszowych candyland i sorry, widzimy małą szklaną miskę, pełną jakiejś przezroczystej cieczy. Stoi na samym skraju półki, tak że w każdej chwili może spaść.

- Co to jest? - pyta Liz. - Woda?

- Nie jesteśmy jeszcze pewni, ale... hm, jak mówiłem, gdybyście mogli nam wyjaśnić, do czego to służy, byłoby nam łatwiej.

Liz patrzy na mnie, lecz mogę jedynie wzruszyć ramionami. Nie mam pojęcia, co robi miska z wodą na górnej półce szafy chłopców.

- Czy mieli jakiegoś zwierzaka? - docieka Shoffler. - Na przykład żabę, jakiegoś owada... a może rybę? To by miało sens.

- Nie sędzę - odpowiadam.

- Hm... nie sądzi pan. - Detektyw odwraca się do Liz. - A pani?

Żona kręci głową, marszczy brwi i przygląda mi się dziwnie.

- Pobierzemy próbkę tego płynu i zdejmujemy odciski z miski. A swoją drogą, czy to wasza miska? - Spogląda to na mnie, to na Liz.

- Nie wiem - odpowiadam. - Pewnie tak.

- Ja jej nie poznaję - mówi Liz.

- Hm - bąka Shoffler ponownie. - No nic, Dave się zajmie tym - ruchem głowy wskazuje szafę - a ekipa pokojem rekreacyjnym. Resztę domu macie dla siebie. - Zdejmuje rękawiczki.

- Detektywie...

- To nie potrwa długo - mówi dalej, jakby mnie nie usłyszał - a potem będziecie mieli nas z głowy. Przypuszczam, że wszyscy są już porządnie zmęczeni, zwłaszcza dziadkowie.

- A ta koszula - wtrąca Liz piskliwym głosem. - Czy to znaczy, że...

- Przykro mi. - Shoffler z powrotem przybiera oficjalny ton. - Koszulka stanowi dowód rzeczowy i z pytaniami na jej temat musimy poczekać. Wszelkie domysły byłyby przedwczesne. Wyślemy ją do laboratorium i dopiero po analizie będę mógł powiedzieć na ten temat coś więcej.

- Ale...

Detektyw zmierza do drzwi, mijając mnie i Liz. Z braku wyboru wychodzimy za nim na korytarz. Przed powrotem do pokoju rekreacyjnego zatrzymujemy się, by przepuścić do drzwi frontowych dwóch policjantów, którzy wyszli z mojego gabinetu. Każdy z nich niesie oklejone taśmą kartonowe pudło.

- Co tam jest? Co zabieracie?

- Zdaje się, że twój komputer.

- Mój komputer?!

- Spokojnie, Alex, to rutynowe działanie. Porywacz był tutaj, zgadza się? Więc jasne, że musimy zabrać niektóre rzeczy do zbadania. Kiedy skończymy, detektyw Ebinger da ci protokół zarekwirowanych dowodów rzeczowych, przejrzyj go uważnie. A jeśli chodzi o komputer, może chłopcy kontaktowali się z kimś przez Internet? Musimy zbadać i taką możliwość.

Żona odwraca się do mnie.

- Alex, zabezpieczyłeś go chyba hasłem przed dziećmi?

- Oni nigdy nie korzystali z komputera.

- Alex!

- W ogóle się do niego nie zbliżali! Prawdopodobnie nawet nie potrafiliby go włączyć. - To prawda. Projektanci Apple'a ukryli włączniki Maca tak dobrze, że kiedy kupiłem ten komputer, musiałem zadzwonić do sklepu i spytać, jak się go włącza.

- Obiecywałeś...

- Liz...

- Alex - przerywa nam Shoffler. - Czy zgodziłbyś się poddać badaniu na poligrafie?

- Słucham?

Mówię „słucham”, a przecież go słyszałem. I wiem, o co chodzi. Morderstwo - nawet popełnione na dzieciach - często jest sprawką kogoś z rodziny. W wypadku zaginięcia dzieci rodzice automatycznie stają się podejrzani. Przypominam sobie, co funkcjonariusz Christiansen powiedział, kiedy szliśmy do jeepa przez opustoszały parking przed terenem jarmarku: „Dziewięć razy na dziesięć to robota któregoś z rodziców”.

Któż mógłby zapomnieć historię Susan Smith? Uśmiechnięte twarze jej synów całymi dniami nie schodziły z programów informacyjnych, podczas gdy zrozpaczona matka błagała porwacza o ich zwrot - o zwrot dzieci, które osobiście przypięła pasami do foteli samochodu, by następnie zepchnąć wóz do lodowatego jeziora. Jak mogła zrobić coś takiego? Zastanawiałem się - podobnie jak wszyscy - czy patrzyła, jak woda zalewa samochód, czy obserwowała, jak toną? Pamiętam też, jak pewna para z Florydy ze łzami w oczach błagała o zwrot ukochanej córeczki, której okaleczone ciało odkryto później zakopane na podwórku za ich domem.

„Czy zgodziłbyś się poddać badaniu na poligrafie?”. A zatem zostałem umieszczony w towarzystwie Susan Smith i zapłakanych dzieciobójców z Florydy.

Tyle już wiem. Prośba, że bym się poddał badaniu na poligrafie, oznacza, iż zakrwawiona koszulka - a może znaleźli w domu coś jeszcze? - według nich świadczy, że mogę być zamieszany w zniknięcie chłopców. Rzecz jasna, wiem także, że są w błędzie.

Nie udaje mi się odpowiedzieć, bo Shoffler znów unosi rękę jak gliniarz na skrzyżowaniu.

- My nie wymagamy, żebyś się poddał testowi - tłumaczy. - To czysto dobrowolne... mam nadzieję, że się rozumiemy.

- Co? - szepce Liz. - Co takiego? Stoję jak wryty, kipiąc z wściekłości.

- Zgadzam się na test, ale to strata czasu - mówię. - Nie rozumiem was. Setki ludzi widziały moich synów na jarmarku. A Kevin zadzwonił do mnie, dzwonił stąd. Wasz człowiek, Christiansen, siedział ze mną wtedy w samochodzie.

Shoffler krzywi się i spogląda na sufit, jakby stamtąd miało spłynąć na niego olśnienie. Nagle kiwa głową, jak gdyby właśnie podjął decyzję.

- Widzisz, z tym telefonem jest tak - mówi. - Twierdzisz, że to był twój syn... ale nikt nie może tego potwierdzić. Każdy mógł do ciebie zadzwonić... nawet jeśli dzwoniło z tego domu.

Wygląda na to, że zamierza coś dodać, ale rezygnuje i tylko kręci głową.

Ja jednak wiem, o czym myśli, i w głowie eksploduje mi niczym petarda jedno słowo: współnik.

- Tak samo jest z tym butem, który znalazłeś przy siatce - wraca do tematu detektyw. - Rozumiesz? Ja tu niczego nie sugeruję, ale powiedz sam... kto go zauważył?

- Co znowu za but? - W głosie Liz słychać paniczny lęk. - O czym wy mówicie?

- Znaleźliśmy na jarmarku dziecięcy but - wyjaśnia Shoffler. - Według pani męża, należał do

jednego z waszych synów.

- Do Kevina - precyzuję. - To był but Kevina.

- Rozumiesz więc chyba, dlaczego chcemy, żebyś się poddał testowi - mówi detektyw tonem, który w jego przekonaniu ma być pewnie kojący. - Bo... w zasadzie mamy tylko...

Nie kończy zdania, wzrusza jedynie ramionami. Nie wyraził tego otwarcie, ale wiem, co chciał powiedzieć. Przecież sam mogłem podrzucić ten but za areną, na której odbywał się turniej, a potem pokazać go Shofflerowi. Z kolei mój wspólnik mógł zadzwonić stąd do mnie na komórkę. Nie zgłoszono żądania okupu, nikt się nie odezwał. Shoffler sam zauważył: „Po co porywać dwóch chłopców? Okupu nie płaci się od wagi”. Nikt nie może potwierdzić mojej wersji. Wszystko zaczyna się ode mnie i na mnie się kończy.

- Przecież ktoś musiał nas tam widzieć - protestuję. - To... to jakiś obłąd! Widziały nas tysiące ludzi.

- Ba, jeśli chodzi o gości jarmarku, na pewno masz rację - przyznaje detektyw pojednawczo. - Zgłosiła się kupa ludzi, którzy twierdzą, że was widzieli, bez dwóch zdań. - Znowu cmoka głośno. Z żalem. - Tyle że ta historia została tak nagłośniona, że większość z nich nawet nie była tam w krytycznym czasie. Ale nie wątpię, że w końcu znajdziemy wielu wiarygodnych świadków, którzy widzieli cię tam z dziećmi o tej porze, co trzeba. - Bezradnie rozkłada ręce. - Tymczasem jednak moja rada brzmi: zgódź się na test.

- Zgadzam się, oczywiście - mówię.

- To świetnie - cieszy się detektyw. - Ustalę termin. W korytarzu za jego plecami pojawiają się moi rodzice z Jackiem.

- Kazali nam przejść do kuchni - skarży się matka.

- O co tu chodzi z tym testem? - dopytuje się Jack.

- Chcą, żeby Alex poddał się badaniu na poligrafie! - wybucha Liz drżącym głosem.

- Na wykrywaczu kłamstw? - zwraca się ojciec do Shofflera. - A cóż to niby ma znaczyć?

Detektyw znów unosi rękę, jakby kierował ruchem.

- Rutynowe działanie - wyjaśnia. - Nieobowiązkowe.

- Tak jak z odciskami palców? - wtrąca matka. Policjant przytakuje.

Ojciec prostuje się.

- Detektywie, niech mi pan powie, ale tak szczerze... czy przypadkiem nie powinniśmy wezwać adwokata?

- Test jest absolutnie dobrowolny - tłumaczy Shoffler. - Ale jeśli pański syn życzy sobie...

- Nie - wpadam mu w słowo. - Tato... Jezu! Nie chcę żadnego adwokata... na cholerę mi adwokat?!

- Bo... - zaczyna ojciec i przerywa. - To znaczy... - Kręci głową. Widzę, że kurczowo ścisną dłoń matki; ich palce są splecione, kostki zbieleły. - Po prostu bardzo mi się to wszystko nie podoba, Alex. Wcale mi się nie podoba kierunek, w jakim ta sprawa zmierza.

- Załatwię termin na rano - obiecuje detektyw.

Przez chwilę dręczy mnie to niesłuszne podejrzenie... jak w ogóle można mnie oskarżać o coś podobnego?! Sam mogłbym napisać tekst komentarzy, wyobrażam sobie padający z ekranu sensacyjny, acz pełen stosownej powagi przekaz:

„Przełom w sprawie zaginionych bliźniaków państwa Callahan. W domu ojca policja znalazła zakrwawioną koszulkę”.

„Policja zwróciła się do ojca zaginionych dzieci, żeby poddał się badaniu na poligrafie”.

Jednakże moja uraza i oburzenie z powodu oskarżenia, a także przygnębiający smutek, trwają raptem kilka sekund. W porównaniu z rozpaczą, jaka ogarnęła mnie, gdy Shoffler pokazał nam zakrwawiony T-shirt Kevina, te uczucia są prawie niezauważalne. Jedyny promyk nadziei dała mi myśl tak okropna, że sam przed sobą nie chcę się do niej przyznać: „Była tylko jedna koszulka, a nie dwie”. Być może rzeczywiście dwoje dzieci to za dużo kłopotu. A but, tak jak koszulka, należał do Kevina. Więc może Sean...

Tonę.

Bo chociaż tak naprawdę nie wierzyłem, że Shoffler i policja wytropią porywacza moich dzieci, że znajdą Kevina i Seana i sprowadzą ich do domu, to jednak okazuje się, że przywiązałem się do tej myśli o wiele bardziej, niż mi się zdawało. Pokładałem wiarę w profesjonalizmie i energii władz, w ich możliwościach technicznych i zasobach ludzkich, w śmigłowcach, w sieci poszukiwań, w psach tropiących i ekspertach kryminalistyki, w bazach danych.

Skoro jednak prośba, bym poddał się badaniu na poligrafie oznacza - a cóż innego miałyby oznaczać? - że ich zdaniem maczałem palce w zniknięciu moich synów, to nie ma już żadnej nadziei. Policja zбочyła na tak fałszywy trop, że równie dobrze mogę wierzyć w skuteczność żółtych wstążek\*, które sąsiedzi zaczęli rozwieszać na drzewach wzdłuż całej Ordway Street.

## Rozdział 11

Badanie na poligrafie ma się odbyć dzisiaj, o jedenastej rano.

Mimo iż jestem niewinny, nie przestaję się martwić. W jaki sposób urządzenie zaprojektowane do rejestrowania odruchu psychogalwanicznego (czyli czegoś, o czym mam ledwie blade pojęcie) potrafi rozróżnić rodzaje stresu? Jakim cudem maszyna może oddzielić lęk przed umyślnym kłamstwem od strachu przed poddaniem się testowi, przed fałszywymi oskarżeniami, przed losem, jaki czeka moje zaginione dzieci?

A jednak przymierzam się do tego badania niemal z radością, bo pozwala mi przynajmniej oderwać się od koszmaru związanego ze znalezionym T-shirtem. I chociaż nie uśmiecha mi się spacer do samochodu - zwłaszcza że Shofflerowi nie udało się zapobiec przeciekom do prasy o „zakrwawionej dziecięcej koszulce” - to o dziwo nie mogę się doczekać, kiedy wyjdę z domu. Z każdą godziną atmosfera robi się coraz bardziej duszna, niczym w bańce pełnej bolesnego wyczekiwania.

Za każdym razem gdy rozlega się dzwonek telefonu - czyli przynajmniej co pięć minut czekamy, zawieszeni między nadzieją a strachem.

Ale przeważa strach. Kiedy okazuje się, że dzwoniący nie ma dla nas nowych wieści o chłopcach, że to tylko kolejny telefon od prasy albo policji, przyjaciół albo obcych, proponujących swą pomoc, ogarnia nas ulga. Jak widać, oklepane powiedzenie, że brak wiadomości to dobra wiadomość, jest jak najbardziej prawdziwe. Brak wiadomości przyjmujemy jak odroczenie wyroku.

Wysuwane wobec mnie oskarżenia rozsierdziły moich rodziców i Liz, natomiast jeśli chodzi o Jacka, na dwoje babka wróżyła. Nie ma wyrobionego zdania. W pewnym sensie lepiej znoszę jego postawę niż nieustanną litanię zniewag pod adresem policji i biadolenie matki.

Ojciec chce jechać ze mną na komisariat, nawet Liz proponuje, że będzie mi towarzyszyć, ale wolę ich w to nie mieszać.

Na porannej konferencji prasowej, którą oglądaliśmy wszyscy razem w telewizji, Shoffler odmówił komentarzy i odpowiedzi na pytania dotyczące zakrwawionej koszulki oraz przestrzegł

przed „wyciągnięciem pochopnych wniosków”.

Mimo to wiem, czego się spodziewać, kiedy wyjdę za próg.

W końcu nadchodzi pora wyjazdu. Christiansen i jeszcze jeden policjant przychodzą, by odprowadzić mnie do radiowozu. I choć nie mam kajdanek na rękach ani nogach, słowo „odprowadzić” zupełnie nie oddaje tego, jak gnają mnie po schodkach i przepychają przez rozwrzeszczany, nakrapiany błyskiem fleszy tłum.

Wprawdzie nie jestem aresztowany, lecz mowa ciała mojej eskorty jasno świadczy o tym, że oto prowadzą skazańca. Walczę z naturalnym odruchem unikania kontaktu wzrokowego. Nie jest to łatwe. Instynkt każe mi odwracać głowę i oczy od nieustającej eksplozji świateł. Pracuję nad tym, by kroczyć z podniesioną głową. Jeszcze nie dotarliśmy do samochodu, a już jestem kompletnie oślepiiony.

Christiansen wpycha mnie do wozu i przewożą mnie na posterunek przy Park Street. W sprawę została włączona policja stołeczna, bo „należy rozstrzygnąć kwestie kompetencyjne, związane z miejscem i charakterem popełnionej zbrodni”, jak to ujął Shoffler na porannej konferencji prasowej, na którą - o czym dowiedziałem się od Christiansena - akredytowano trzystu osiemnastu dziennikarzy.

Jak przystało na przedstawiciela władzy, pomimo nacisków ze strony prasy Shoffler nie wyjaśnił konkretnie, o co mu chodzi.

Ja jednak rozumiem... podobnie jak miliony Amerykanów przed telewizorami, którzy obserwowali, jak rozmaici „eksperci” rozkładają oświadczenie Shofflera na czynniki pierwsze. Z grubsza sprowadza się to do tego:

Scenariusz numer 1: Zamordowałem synów w domu, pozbyłem się zwłok, a potem przejechałem sześćdziesiąt mil do Cromwell w Marylandzie. Następnie przez kilka godzin krążyłem po jarmarku, by zapewnić sobie alibi przed zgłoszeniem zaginięcia dzieci. Sprawa w kompetencji policji stołecznej.

Scenariusz numer 2: Zamordowałem dzieci w Marylandzie, gdzieś w pobliżu Jarmarku Renesansowego. Sprawa w kompetencji policji hrabstwa Anne Arundel.

Scenariusz numer 3: Chłopcy zostali uprowadzeni na terenie jarmarku (ten wariant przynajmniej jeden komentator określa już jako „wersję wydarzeń przedstawianą przez ojca”). Sprawa w kompetencji policji hrabstwa Anne Arundel, we współpracy z FBI.

Na komisariacie panuje senna atmosfera, która co dziwne, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazłem, działa na mnie uspokajająco. Cóż za kontrast w porównaniu z buzującym adrenaliną napięciem w domu! Czuję się jak w wydziale komunikacji.

Mam wrażenie, że większość pracujących tu ludzi, od urzędników po detektywów, na co dzień styka się z takimi przejawami barbarzyństwa, że nie potrafią już reagować emocjonalnie. Nawet najbardziej niewiarygodna zbrodnia, nawet zamordowanie własnych dzieci, ma już swój precedens, swój paragraf w kodeksie karnym.

Cała rzecz sprowadza się do procedury. Każdy zły uczynek, jakiego człowiek może się dopuścić, wymaga odpowiedniego postępowania, postępowania, które nie zostawia miejsca na namiętność czy oburzenie. Wszyscy traktują mnie jeśli już nie uprzejmie, to przynajmniej z profesjonalnym dystansem; interesuje ich tylko to, by cały proces przebiegł maksymalnie sprawnie. Jestem tu, by poddać się badaniu na poligrafie, a zatem należy się z tym uporać i wrócić do innych zadań.

Podobnie jak podczas zbierania odcisków palców, także i w tej procedurze jest coś wstrętne. Czuję się schwyty w pułapkę, stoję na straconej pozycji, badanie na wykrywaczu kłamstw wydaje

mi się tylko nieco bardziej współczesną wersją próby, jakiej poddawano czarownicy z Salem. O ile pamiętam (z programu na kanale historycznym), jeśli oskarżona kobieta, obciążona kamieniami, po wrzuceniu do wody nie tonęła jak normalny człowiek, dowodziło to, że jest winna, i była palona na stosie jako czarownica.

Z tym testem jest dokładnie tak samo. Już sama prośba o poddanie się badaniu na poligrafie świadczy przeciwko mnie. Nie obleję testu, ale jako wielokrotny sprawozdawca z sal sądowych zdaję sobie sprawę, że wynik może być „niejednoznaczny”.

Fakt, że przejdę ten test, w niczym mi nie pomoże, chodzi jednak o to, że odmowa postawiłaby mnie w jeszcze gorszej sytuacji. Zdanie testu o niczym nie świadczy, bo tak naprawdę nikt nie wierzy w rezultaty, które „w sądzie nie mają mocy dowodowej”, o czym przypomina mi obsługujący urządzenie technik; zapraszając mnie, bym usiadł, posyła mi błady uśmiech.

- Wobec tego dziwię się, czemu służy cała ta zabawa - słyszę własne słowa i natychmiast irytuje mnie to nerwowe wdawanie się w pogaduszki.

Technik wzrusza ramionami.

- Rezultaty bywają bardzo pouczające, nawet jeśli nie można ich wykorzystać jako dowodu przed sądem.

Obaj wiemy, dlaczego bawią się w testy na wykrywaczu kłamstw. Bo bywają pouczające w najróżniejszy sposób. O czym innym świadczy, jeśli ktoś zgadza się na badanie bez stawiania warunków, a o czym innym, jeśli zatrudnia własnego technika, który może nieco zmienić zestaw pytań, by były bardziej przyjazne dla klienta.

Gary Condit poddał się badaniu, ale wziął własnego technika. Podobnie rodzice JonBenet Ramsey. Pamiętam te odstępstwa od ogólnie przyjętego wzorca postępowania ludzi niewinnych. Wszyscy je pamiętają.

Przede wszystkim jednak taki test jest formą nacisku, zwyczajnie i po prostu. Skoro masz podejrzanego, to go przyciskasz i próbujesz wyprowadzić z równowagi na wszelkie możliwe sposoby. Znamy to na pamięć. I właśnie do tego zmierza Shoffler - chce mnie przycisnąć.

Technik smaruje żelem czujniki i przyczepia mi je do skóry. Żel jest bardzo zimny.

Równie zimny - wręcz mechaniczny - jest technik, kiedy objaśnia mi procedurę. Po dłuższej przerwie na sprawdzenie aparatury zaczyna zadawać mi przygotowane zawczasu pytania.

Intonacja jego głosu nie zmienia się ani na jotę ani podczas rutynowych pytań neutralnych („Czy masz na imię Alex?”, „Czy mieszkasz w Dakocie Północnej?”, „Czy koszula, którą masz na sobie, jest niebieska?”), ani przy tych, które dotyczą sedna sprawy („Czy zabiłeś Seana i Kevina Callahanów?”, „Czy wiesz, gdzie są teraz Sean i Kevin?”).

Między pytaniami następują długie przerwy, podczas których technik kalibruje aparaturę i robi notatki. Łapię się na tym, że odpowiadając na pytanie, wstrzymuję oddech, i nie mogę się powstrzymać, by o tym nie powiedzieć. Technik uśmiecha się do mnie zdawkowo.

- To nie ma znaczenia - mówi tonem, od którego moje samopoczucie bynajmniej się nie poprawia.

W końcu mamy to z głowy. Dostaję zapakowaną w folię chusteczkę, by zetrzeć resztki żelu z ciała. Opuszczam rękawy koszuli, spodziewając się, że wrócę do radiowozu i zostanę odwieziony do domu.

Zamiast tego jednak pojawia się Shoffler, w towarzystwie młodego czarnoskórego człowieka, którego przedstawia mi jako detektywa Price'a.

Wszyscy trzej przechodzimy do boks Price'a. Na ekranie monitora jakaś tropikalna ryba pływa pośród falujących morskich roślin. Szare ściany ozdabia kilkanaście fotografii uśmiechniętego chłopczyka.

- Powiedz mi, Alex, nie masz nic przeciwko temu, żeby jeszcze raz opowiedzieć nam całą historię? - pyta Shoffler. - Chciałbym, żeby obecny tu detektyw Price tego posłuchał... przydzielono nam go do pomocy w tej sprawie.

Wzruszam ramionami. Nie widzę w tym najmniejszego sensu, ale ostatecznie, czemu nie?

- Nie ma sprawy - mówię.

- Widzisz, detektyw Price jest specjalnie przeszkolony w zakresie... hm... przesłuchiwania ludzi. Słyszałem, że ma prawdziwy talent do odświeżania pamięci. Mam nadzieję, że przypomnisz sobie coś, co pomoże nam znaleźć twoich synów.

- Coś, co nas naprowadzi na trop - dorzuca Price głębokim barytonem. - Tylko o to nam chodzi.

Wszyscy trzej doskonale wiemy, że to bzdura. Shoffler próbuje znaleźć jakieś sprzeczności w mojej historii. Co oznacza, że według niego podana przeze mnie wersja wypadków to nic innego, jak tylko wyssana z palca historyjka.

- Jak chcecie - zgadzam się.

Przysadzista kobieta z wielkimi okrągłymi klipsami w uszach puka w boczną ściankę boks.

- Juhu! Musisz podpisać parę kwitków, Jason. - Kiwa na Price'a palcem z pomalowanym na czerwono paznokciem. - Pozwól do mnie na chwilę.

Shoffler ogląda przypięte do ściany fotografie.

- Ładny chłopak - zauważa, po czym gryzie się w język. - O Jezu, przepraszam.

- A co z biletem? - pytam.

- Z czym?

- Z biletem wstępu na jarmark. Dla dorosłego z dwójką dzieci. Pokazywałem ci go. Zdaje się, że ci go nawet dałem.

- No.

- Jest na nim datownik, można sprawdzić, kiedy weszliśmy. Jeden dorosły, dwoje dzieci.

Shoffler kręci głową i patrzy na mnie z taką miną, jakby chciał powiedzieć „wróc na ziemię”.

- Alex... chyba zdajesz sobie sprawę, że ten bilet o niczym nie świadczy? - Podnosi rękę, opuszcza. - Równie dobrze mógłbyś kupić bilet dla dorosłego z dziesiątką dzieciaków, rozumiemy się?

Ku swojemu zdziwieniu, jestem zażenowany.

Akustyka.

Zaraz po studiach w college'u Williama i Mary spakowaliśmy z Liz plecaki i ruszyliśmy w świat. W Londynie wybraliśmy się do katedry św. Pawła i weszliśmy na Galerię Szeptów pod kopułą, w pół drogi na szczyt. W przewodniku wyczytaliśmy o akustycznej anomalii - gdy ktoś stojący na tej wysokości szepnie coś w kierunku ściany, wówczas dźwięk, jeśli nie napotka po drodze żadnej przeszkody, rozejdzie się dookoła i dotrze do ludzi po drugiej stronie kopuły. Liz uparła się, żeby to sprawdzić, więc zajęliśmy miejsca i przez kilka minut czekaliśmy, aż wszyscy usuną się z drogi. Wciąż jeszcze pamiętam szok, jaki odczułem, gdy wyraźnie usłyszałem głos Liz, jakże intymny i bliski, chociaż jej drobna sylwetka była oddalona ode mnie o ponad sto jardów.

- Spotkajmy się w hotelu, pokażę ci, co znaczy dobra zabawa - szepnęła.

Teraz też, dzięki wybrykom akustyki, słyszę głos detektywa Price'a, mimo iż go nawet nie widzę



w tym zatłoczonym i hałaśliwym komisariacie. Jego słowa docierają do moich uszu czysto i wyraźnie.

- No przecież ci mówię, że nie. Właśnie dlatego wzięliśmy o w obroty. Facet nie ma nawet adwokata, dasz wiarę? W każ dym razie jeszcze go nie ma.

Teraz Price siedzi okrakiem na krześle na wprost mnie, splótnięty ramiona w coś na kształt platformy, na której oparł swą przystojną głowę.

- Wyobrażam sobie, że ma pan tego powyżej uszu - mówi, kiwając smutno głową z boku na bok.

Muszę przyznać, że jest dobry. Spodziewałem się - bo ja wiem? - jakichś podchodów. Że razem z Shofflerem będą odgrywać dobrego i złego glinę. Sam nie wiem czego. Jakichś form nacisku?

Nic z tych rzeczy. Poza mną i detektywem Price'em w pokoju nie ma nikogo. Shoffler gdzieś przepadł, ale nie mam wątpliwości, że stoi po drugiej stronie długiego lustra, wiszącego na ścianie naprzeciwko mnie.

Zgadzam się na rejestrowanie rozmowy na taśmie.

Zaczynamy od szczegółowej relacji ze wszystkiego, co działo się w sobotę.

Potem przechodzimy do moich finansów.

- Nie jest łatwo z takich zarobków utrzymać dwa gospodarstwa domowe zamiast jednego, prawda?

Przyznaję, że jest to spore obciążenie finansowe, ale tłumaczę Price'owi, że jakoś dajemy sobie z Liz radę.

-O ile wiem, dwukrotnie spóźnił się pan z alimentami? Kiwam głową.

- To prawda. Ale nie z powodu braku pieniędzy. Byłem za granicą. W podróży służbowej. Możecie to sprawdzić w mojej stacji.

- Za granicą. - Gdy Price powtarza te słowa, po jego twarzy przebiega skurcz, jak gdyby doleciał go jakiś niemiły zapaszek. - Za granicą - powtarza raz jeszcze. - Rozumiem.

Nie odzywa się przez dobrą minutę albo i dwie. Ja patrzę na swoje stopy i walczę z pragnieniem przerwania tej ciszy. Price odchyła się na krześle, przekrzywia głowę i spogląda na mnie.

- Wstępna umowa ustalająca warunki separacji zżera niezły kawałek pańskiej pensji, co?

Przytakuję.

- Pański dom stoi w drogiej dzielnicy, prawda? Jeżeli nie dogada się pan z Liz, będzie pan go musiał sprzedać, dobrze mówię?

Wzruszam ramionami.

- Owszem - przyznaję i niechęć wyrywa mi się: - Mam to gdzieś. Nie zależy mi na tym.

Tracę pewność siebie. Nie podoba mi się, że zaczynam się tłumaczyć przed tym człowiekiem. Nie podoba mi się, że mówi o mojej żonie po imieniu, chociaż nawet nie widział jej na oczy.

- Więc straci pan dom? Nagle ogarnia mnie wściekłość.

- O czym mi pan tu gada? Sądzi pan, że zabiłem swoje dzieci, żeby uniknąć wyprowadzki z Cleveland Park? Tak pan uważa? Jezul!

Pojednawczo macha ręką.

- W porządku, zmienmy temat. Czy chłopcy byli ubezpieczeni? Mają jakieś polisy? Bo jeśli tak, lepiej, żeby nam pan o tym powiedział.

- Ubezpieczeni? Chodzi panu o ubezpieczenie zdrowotne? Price kręci głową.

- Mówię o ubezpieczeniu na życie.

- Ubezpieczenie na życie? Przecież oni mają po sześć lat! Nagle dociera do mnie sens jego pytania, co znajduje wyraz w moim gniewnym i zbyt głośnym głosie.

- Więc teraz sugeruje pan, że zabiłem synów, żeby zgarnąć odszkodowanie z polisy?! I co dalej... dla przyzwoitości odczekam jakiś czas i wyniosą się do pieprzonej Brazylii albo cholera wie gdzie?! Czyś pan całkiem na głowę upadł?

- Nie - odpowiada Price spokojnym, rzeczowym tonem. - Nikt nie sugeruje nic podobnego. Rozmawiamy tylko o pańskiej trudnej sytuacji materialnej, nic więcej. Po prostu zgłębiamy ten temat. Ja osobiście uważam, że u kogoś takiego jak pan prawdopodobnie... no, że puściły panu nerwy, tak jak przed chwilą, tylko że wtedy sytuacja wymknęła się spod kontroli i...

Oczywiście, krew mnie zalewa.. - Słuchaj pan! - przerywam mu rozdygotanym z wściekłości głosem. - Ja nie zabiłem swoich dzieci.

- Wie pan co, zróbmy sobie przerwę. Może jednak powinien się pan skontaktować z adwokatem.

- Niepotrzebna mi ani przerwa, ani żaden jebany adwokat!

- Czy detektyw Shoffler wspominał panu, że ktoś widział, jak otwierał pan swój samochód na parkingu... już po zgłoszeniu zaginięcia chłopców?

- Sprawdziłem, czy przypadkiem nie poszli do samochodu, skoro nie mogli mnie znaleźć. Ten ochroniarz... on sam mi to podsunął.

I tak w kółko to samo. Mija godzina, dwie, trzy, cztery. W piątej godzinie Price pyta, czy nie chcę skorzystać z toalety, po czym przeprosza mnie na moment i sam wychodzi do kibla. Wracając, przynosi mi wodę do picia i proponuje, żebyśmy zaczęli od początku.

Więc zaczynamy.

- Proszę mi przypomnieć, czyj to był pomysł z tym wyjazdem na festiwal? - pyta na wstępie. - Pan to wymyślił?

- Nie - odpowiadam. - Już panu mówiłem. To był pomysł dzieci. Ja nie gustuję w takich rzeczach.

- A w czym pan gustuje? I tak w koło Wojtek.

- Więc powiada pan, że przez telefon komórkowy słyszał pan głos Kevina? - mówi Price, gdy dochodzimy do tego wątku. - Powiedział tylko jedno słowo: „tatusiu”. Interesuje mnie jedna rzecz... w jaki sposób poznał pan, że to Kevin? Przecież pańskie bliźniaki są identyczne, prawda?

- To moi synowie. Potrafię ich rozróżnić.

- Potrafi ich pan rozróżnić. - Detektyw palcami kreśli w powietrzu cudzysłów.

- Owszem.

Price sprawia wrażenie, jakby chciał ze mną na ten temat podyskutować, nagle jednak uśmiecha się.

- Chyba mogę przyjąć to wyjaśnienie. - Kręci głową. - Ale musiało być panu ciężko - dorzuca z troską, która wygląda na prawdziwą. - Koszmarnie. - Wzdycha ze smutkiem. - Tylko jedno słowo i więcej już nie zadzwonił.

- Tak. Tylko to jedno słowo.

- Jasny gwint - mówi Price i nagle zmienia temat. - A może opowie mi pan o nocy poprzedzającej ich zniknięcie? Hm?

- Nie bardzo rozumiem...

- O, nie chce pan rozmawiać na ten temat? - Marszczy brwi, a potem przeprasza, jakby niechcący trafił mnie w czułe miejsce.

- Nie mam nic przeciwko temu. Ja tylko... Detektyw wzrusza ramionami i wpada mi w słowo:

- Wie pan, nigdy nie wiadomo, zawsze można przypomnieć sobie coś, co nam pomoże.

Kiwam głową.

- No dobrze, więc mówił pan, że poprzedniej nocy... w piątek... miał pan dużo pracy. Pogadajmy wobec tego o kolacji, zgoda? Sam pan gotuje czy jedliście na mieście?

- Na mieście. Pizzę.

- Jaką pizzę? Gdzie?

- „U Dwóch Amy”... na Wisconsin.

- Ktoś was widział?

- Jasne. Kelnerka, inni klienci.

- Płacił pan kartą kredytową czy gotówką?

- Pewnie kartą.

- Nie pamięta pan?

- Nie.

Macha ręką, jakby nie miało to żadnego znaczenia, i uśmiecha się do mnie.

- Ja też nie zawsze pamiętam takie duperele.

Jason Price ma mnóstwo wdzięku i wykorzystuje go na wszelkie sposoby, by przekonać mnie, że jest moim przyjacielem, takim prawdziwym. Ja zaś, żeby jeszcze bardziej zacisnąć więzy naszej przyjaźni, powinienem powiedzieć mu to, co chce usłyszeć. A chce usłyszeć - broń Boże nie dlatego, żeby miał coś przeciwko mnie, jego Derrick też nieraz dał mu w kość, przecież by mnie nie okłamywał - że ich zabiłem. Puściły mi nerwy, w końcu każdemu się zdarza, człowiek jest tylko człowiekiem. Nikt nie potrafi na okrągło kontrolować się w stu procentach. I dalej w tym duchu.

Ogarnia mnie niemal religijna potrzeba wypowiedzenia się. Wiem, że to brzmi idiotycznie i bez sensu, ale wcale tak nie jest. Jeśli będę się mógł wypowiedzieć, otrzymam rozgrzeszenie, odrodzę się, będę mógł zacząć nowe życie.

Z upływem godzin popadam w niebezpieczną apatię. Chcę przestać gadać. Chcę spać.

Nieraz czytałem o ludziach, którzy jakimś cudem przeżyli sytuacje, w których powinni byli zginąć. Po przekroczeniu pewnego punktu człowiek traci wolę. Podobno ofiary hipotermii tuż przed zamrożeniem na śmierć ogarnia ciepło i senność. Tonący nagle mają wrażenie, że są skąpani w świetle. Z relacji tych ludzi wiem, że pogrążenie się w niebycie kusi, bywa wybawieniem od walki i bólu.

Po raz kolejny relacjonuję nasz pobyt na jarmarku, gdy ktoś puka do drzwi. Detektyw Price krzywi się, rzuca: „przepraszam na chwilkę”, wstaje, uchyla drzwi i zamienia z kimś kilka słów. Mimo iż rozmawiają szeptem, wyczuwam, że się sprzecniają. Nagle, bez słowa wyjaśnienia, Price zostawia mnie samego.

Czekam, ni to otępiały, ni to pogrążony w marzeniach sennych, co kilka minut spoglądając na zegarek. Mija dziesięć minut. Dwadzieścia. Pół godziny.

Po powrocie Price zasypuje mnie pytaniami z zupełnie innej beczki, które wprawiają mnie w zdumienie.

- Jakiego pan jest wyznania, Alex?

- Słucham?

- Chodzi mi o pański stosunek do religii. O to, czy jest pan wierzący.

- Nie jestem szczególnie religijny.

- A zatem jest pan ateistą?

- Nie, niezupełnie. Ale *co* to ma do rzeczy?

- Pozwoli pan, że o tym ja zadecyduję. Załóżmy, że miałby pan podać w ankiecie jedną odpowiedź... czy zaznaczyłby pan „ateista”?

- Nie, jestem raczej katolikiem, który utracił wiarę. Czyja wiem? Chyba zakreśliłbym „chrześcijanin”.

- Chyba...

Padają pytania o mój stosunek do składania ofiary ze zwierząt, o materiał, który nakręciłem kiedyś na temat kultuwowania obrzędów santerii na południu Florydy, o moje przekonania religijne, o to, co sądzę o religiach takich jak wicca\*.

- Może mi pan łaskawie wyjaśnić, do czego to wszystko prowadzi? - mówię w końcu. - Nie widzę związku ze sprawą.

- Nie podobają się panu moje pytania? - odpowiada Price, marszcząc brwi ze zdumieniem.

- Po prostu nie rozumiem, o co chodzi - precyzuję.

- Zapewniam pana, że nie o zaspokojenie mojej niezdrowej ciekawości.

Patrząc na niego, na malujące się na jego twarzy zawodowe rozczarowanie, uświadamiam sobie wreszcie, że choćbym nie wiem jak starał się z nim współpracować, i tak nic nie oczyści mnie z zarzutów. Próbuję udowodnić hipotezę, która dla niego nie istnieje - a tego się zrobić nie da. Bez względu na to, na ile pytań udzielę właściwych odpowiedzi, Jasona Price'a interesują tylko te, które dowodzą, że jestem winny. Skoro zaś winny nie jestem, nie ma sensu siedzieć i znosić tego dłużej.

Mówię mu, że chcę wrócić do domu.

- Odmawia pan dalszego udziału w przesłuchaniu?

- Nie widzę w tym żadnego sensu.
  - Odmawia pan. Tak mam to rozumieć? Kręcę głową.
  - Pan nigdy nie daje za wygraną, co? Jason Price pozwala sobie na nikły uśmiech.
  - Mam to traktować jako potwierdzenie? Postanawiam pójść mu na rękę. A co mi szkodzi?
  - Tak - mówię. - Odmawiam odpowiedzi na dalsze pytania.
- Price wstaje i zostawia mnie w pokoju samego.

## **Rozdział 12**

Pukanie do drzwi wyrywa mnie z drzemki. Nie mam pojęcia, ile czasu minęło, ale tym razem do pokoju wchodzi Shoffler, a nie Price.

- Idziemy - mówi.

Od razu widzę, że coś się stało. Jego stosunek do mnie się zmienił, ale nie potrafię wyczuć, w którą stronę. Detektyw wyłącza magnetofon i wychodzę za nim do jego samochodu - wielkiego białego forda, model crown victoria. Na dworze jest jasno - poranek. W sali przesłuchań spędziłem całą noc.

Kiedy Shoffler przytrzymuje mi drzwi wozu, ogarnia mnie lęk. Dlaczego nagle tak się o mnie troszczy? To proste. „Dlatego, że mi cię żal”.

Detektyw siada za kierownicą, zapina pasy bezpieczeństwa, a ja spinam się i sztywnieję, oczekując poważnego tonu i straszliwych wieści, tych najgorszych. Zanim zorientowałem się, że cały czas wstrzymuję oddech, ujechaliśmy kilka przecznic.

- Są już wyniki badań - oznajmia Shoffler, kręcąc głową.

- Co? - Nie tego się spodziewałem, więc natychmiast ogarnia mnie głęboka ulga. - Mówisz o poligrafie?

- Nie, o analizie laboratoryjnej. O badaniu koszulki. - Skręcając za róg, ze świstem wydmuchuje powietrze.

- I... no i co?

- Krew kurczaka - odpowiada, rzucając mi szybkie spojrzenie. - Koszulka była przesiąknięta krwią kurczaka.

- Krew kurczaka! - powtarzam z podnieceniem. Nie wiem, co to oznacza, wiem tylko tyle, że to dobra wiadomość. Krew nie należała do człowieka. To nie była krew mojego syna.

- Uhm... *mmmm* - pomrukuje Shoffler.

Teraz już rozumiem, do czego pił Jason Price, pytając o mój stosunek do religii i składania zwierząt w ofierze. Opadam z sił.

- To nie wszystko - podejmuje detektyw. - Myśmy jeszcze, hm... no, znaleźliśmy kilku wiarygodnych świadków, którzy widzieli cię z synami na jarmarku.

- O?

- Dwóch ludzi, którzy tam pracują - wyjaśnia dalej Shoffler. - Gość, który obsługuje drabinę Jakubowa, bardzo dobrze zapamiętał twoich chłopaków. Powiedział, że jeden z nich wspinał się jak małpa.

- Sean. Detektyw kiwa głową.

- Tak, po tym, jak twój syn dotarł na sam szczyt, ustawiła się długa kolejka... inne dzieciaki myślały, że to pestka, skoro taki mały sobie poradził. Kasując po dolarze od łebka, facet miał dobry powód, żeby zapamiętać twojego syna.

- A skąd go nagle wytrzasnęliście, spadł wam z nieba?

- Niedziele i poniedziałki ma wolne, więc dotarliśmy do niego dopiero dziś rano. To miejscowy, nie jeździ z jarmarkiem po kraju. No a po przesłuchaniu musieliśmy go jeszcze sprawdzić. - Westchnienie. - Upewnić się, że nie znał ani ciebie, ani Liz czy chłopaków... takie tam sprawy. W sumie mamy już sporo pracowników jarmarku, którzy widzieli cię z dziećmi. Właściciel strzelnicy... ten też dobrze was pamięta. Są jeszcze inni.

- Aha.

- Kiedy znaleźliśmy ten T-shirt, musieliśmy to sprawdzić, chyba rozumiesz? Bo gdybyś pojechał na jarmark, żeby sobie zapewnić alibi, no... sam wiesz.

- Domyślam się.

- Zrozum wreszcie... - Detektyw jest zirytowany; lekceważąco macha ręką. - Ani ta krew kurczaka, ani ci ludzie, którzy was widzieli, nic z tego nie przesądza o twojej niewinności.

- Nie?

- Zastanów się. Nawet jeśli byłeś na jarmarku z synami, kto może zaświadczyć, że nie zawlokłeś ich gdzieś później, kapujesz? Jeszcze zanim poleciałeś do Prebble'a i narobiłeś rabanu, że zgubiłeś dzieci. A krew kurczaka? Bo ja wiem?

Może prowadzisz jakieś tajemnicze życie? - Naciska klakson, gdy niebieski mercedes SUV zajeżdża mu drogę. - Jezu, widziałeś tego barana? Powinienem wrzepić mu mandat. A wracając do tematu, zebraliśmy wszystkich naocznych świadków i wyliczyliśmy co do sekundy, co robiłeś wtedy po południu, od czasu kiedy byłeś z dziećmi w stacji, żeby zostawić taśmę, aż do chwili gdy zawiadomiłeś ochronę o zaginięciu synów, i wyszło na to, że jesteś czysty. - Przerywa na chwilę. - Zdaje się, że winien ci jestem przeprosiny, Alex.

Stajemy na skrzyżowaniu. Moja euforia trwa aż do zmiany świateł. Jasne, miło wiedzieć, że nie jestem już podejrzany. Ale dzieci jak nie było, tak nie ma. Koszmar wciąż trwa.

Nie odzywam się.

- Przykro mi z powodu tego badania na poligrafie - ciągnie Shoffler. - I całej tej szopki z Price'em. Przepraszam, naprawdę.

- Podejrzewałeś, że to moja robota. Wzrusza ramionami.

Skrećamy w Klinge Road i jedziemy w kierunku Connecticut. Wyglądam przez szybę, kręcąc głową.

- A tymczasem ten, kto mi porwał synów, miał pod dostatkiem czasu, żeby...

Myślę o porywaczu, który był z dziećmi w moim domu, o tej niepokojącej figurce królika, o rzędzie dziesięciocentówek i zakrwawionej koszulce. I o tym, jak siedziałem w pokoju przesłuchań, a przez ten czas trop stygł coraz bardziej.

Zaczynam wyrzucać z siebie wszystkie żale. Shoffler nie przerywa mi, aż w końcu milknę, bo i co tu można więcej powiedzieć? Przez szybę widzę, jak dwóch małych chłopców z balonikami w rękach wraca z matką z zoo. Gdybyśmy poszli wtedy do zoo! Próbuję nie myśleć o tym, co by było gdyby, ale nic nie poradzę, że takie myśli nachodzą mnie sto razy dziennie. Zamykam oczy.

- Ten gość z psem, ten przy arenie, na której rozgrywano turniej... - odzywa się Shoffler po pewnym czasie. - Paru świadków twierdzi, że widzieli go z twoimi synami.

Moje serce zamienia się w lód.

- Myślisz, że to on?

- Wiesz, nie chcemy wyciągać za daleko idących wniosków. Wszystkie media trąbiły o wysokim facecie z psem z krezą, więc musimy podchodzić do tego sceptycznie. Ale zaczęliśmy pytać ludzi, czy nie widzieli twoich dzieci w towarzystwie tego gościa. No i oczywiście wielu go widziało. A przynajmniej - kreśli w powietrzu cudzysłów - tak im się zdaje.

- Tak im się zdaje...

- Na całe szczęście rasa psa nie przedostała się do mediów... więc mamy papierek lakmusowy na wiarygodność świadków. Wiemy, że to był whippet, więc jeśli ktoś widział faceta z owczarkiem niemieckim albo jamnikiem...

- Rozumiem.

- Chciałem cię zapytać, czy dobrze przyjrzałeś się temu gościowi. Pamiętasz jego twarz?

Waham się. Potrafię przywołać w pamięci tę scenę, tyle że rozglądałem się za Kevinem i Seanem, sprawdzałem, czy są tam, gdzie być powinni. Gdy tylko zauważyłem ich w tłumie wiwatujących dzieci, uspokoiłem się.

- Nie wiem - odpowiadam szczerze. - Nie przyglądałem mu się. Zwróciłem uwagę na jego kostium i na psa. Myślałem, że jest zatrudniony na jarmarku.

- Chciałbym, żebyś się spotkał z naszym rysownikiem... może uda się sporządzić portret. Umówię was.

Światła zmieniają się i skręcamy w Connecticut.

- O piątej mam konferencję prasową - mówi Shoffler. - Wystąpicie ze mną? Ty i Liz? Wiesz, skoro zostałeś oczyszczony z zarzutów, to chyba powinieneś tam być, żeby odpowiedzieć na pytania.

Tu nie ma żadnych „chyba”. Wiem, co by mi doradziła Claire Carosella. Jeśli dzięki temu uzyskamy dodatkowy czas antenowy, ja i Liz stawimy czoło zgrai reporterów choćby przez całą noc.

Z własnego doświadczenia wiem, jak to będzie wyglądało. Wzajemne przekrzykiwanie się dziennikarzy, byleby przebić się ze swoim pytaniem. Pytania będą albo retoryczne („Czy czuje pan ulgę, że zdjęto z pana odium podejrzeń?”), albo takie, na które nie da się odpowiedzieć („Czy pańskim zdaniem policja przybliżyła się do odnalezienia pańskich dzieci?”).

- Przyjdziemy - obiecuję.

Przez następne dwa dni przeżywamy najazd energicznych przyjaciół i sąsiadów. Teraz, kiedy już przestałem być podejrzany, tamy znów się otwały. Cały dom jest zawałony jedzeniem - rozmaite mięsa w potrawce, ciasteczka, sałatki, olbrzymie kosze pełne wszelkiej możliwej żywności.

Ordway Street wręcz jarzy się żółtymi wstążkami. Connecticut Avenue też jest nimi przystrojona, na odcinku wielu przecznic w obu kierunkach.

Kurier przynosi własnoręcznie wykonane kartki od kolegów, którzy byli z moimi synami na obozie w St Albans - fosforyzujące kwiaty, starannie wykaligrafowane wielkimi literami słowa poparcia, niewprawne dziecięce podpisy.

Źle działają na mnie stopy pluszowych misiów i kwiatów, składanych przy krawężniku przed naszym domem. Przypominają mi upamiętnianie tragicznych wypadków drogowych; pośmiertne składanie hołdu ofiarom w Oklahoma City; sterty kwiatów i pluszowych zwierzątek na miejscu katastrofy samochodu Lady Diany; stopy dowodów pamięci otaczające teren zamachu na wieżowce World Trade Center. Pogrzebowe składanie ofiar.

Policja zainstalowała gorącą linię i choć odradzali zakładanie następnej, grupa sąsiadów nie dała się powstrzymać. Jack zorganizował ochotników, którzy czuwają przy tej „przyjaznej linii”, i wyznacza dyżury. W przeciwieństwie do oficjalnej, ta linia gwarantuje nagrodę pieniężną oraz pełną



anonimowość.

Ezra Sidran, mój stary przyjaciel i komputerowy geniusz, zakłada i sponsoruje nową witrynę internetową: szukamy-[kevin-i-seana.com](http://kevin-i-seana.com)

. Molly, przyjaciółka Liz, załatwia ochotników, którzy będą monitorować tę stronę. Po dwóch dniach witryna notuje prawie czterysta wejść na godzinę.

Ponieważ zostałem oczyszczony z podejrzeń, Fox - moja stacja telewizyjna - odgrzewa kwestię funduszu nagród; Krista osobiście staje przed kamerą, by namawiać widzów na przekazywanie datków. Fox zresztą dorzuca do pierwotnej nagrody kolejne pięć tysięcy. Obsługująca stację firma księgową poświęca swój czas na zbieranie i podliczanie nadsyłanych pieniędzy. W ciągu kilku dni pula urasta do ponad dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Trójka znajomych, z którymi Liz codziennie biegała, organizuje druk i kolportaż tysięcy ulotek. My większość czasu spędzamy w domu, niczym zakładnicy, ale z tego, co słyszymy, twarze naszych synów wiszą na wszystkich możliwych wystawach sklepowych, przystankach autobusowych i budkach telefonicznych; każda ulotka ma gotowe do oddarcia paski z numerem gorącej linii i adresem internetowym.

Odbynam nasiadówkę z Mary McCafferty z firmy detektywistycznej, którą wynająłem do poszukiwania chłopców. Mary informuje mnie, co dotychczas zrobili - głównie zajmują się „łowieniem tropów”, czyli rozmowami z dziesiątkami naszych przyjaciół i znajomych... a także z nowymi przyjaciółmi i znajomymi Liz i chłopców z Maine. „Jak dotąd nic to nie dało”. Ostatnio Mary skupia uwagę na pomocach domowych i fachowcach - hydraulikach, opiekunkach do dzieci, murarzach, instalatorach zmywarek do naczyń, malarzach pokojowych (dałem jej plik rachunków za wszystkie naprawy domowe). „Nie do wiary, jak często sprawcą okazuje się ktoś z nich”.

- Ale nie w tym wypadku.

- Jak dotąd, nie.

Siadam do pracy z Marijke Wilcke, policyjną portrecistką, by odtworzyć z pamięci wizerunek człowieka z psem. Nie robię sobie wielkich nadziei, bo ledwie rzuciłem na niego okiem, lecz Shoffler zapewnia mnie, że „Holendereczka”, jak nazywa Marijke, „jest naprawdę dobra w wyciąganiu szczegółów od naocznych świadków. A właściwie genialna”.

Już na samym wstępie napotykaśmy kłopoty, próbując ustalić kształt głowy podejrzanego. Dodatkowe problemy stwarza fakt, że mężczyzna nosił krezę, bo z jednej strony utrudnia mi to ocenę długości jego twarzy, z drugiej zaś kreza zasłaniała mu szyję, ramiona, szczękę, a nawet uszy. Starannie przycięta kozia bródka i wąsy też nie ułatwiają sytuacji. Pomimo talentu Marijke do przekładania moich mętnych wspomnień na obrazki, rezultat jest mało konkretny, szalenie ogólny. Z końcowej wersji rysunku spogląda tępo mężczyzna o starannie uczesanych włosach, przystrzyżonej koziej bródce i wąsach, tak jak go zapamiętałem; cała reszta jednak pozostaje w sferze domysłów.

Shoffler zagląda do nas, by ocenić nasze dzieło.

- I co o tym sądzisz? - pyta go Marijke.

- Wygląda, jakby wszyscy wyszli spod jednej sztancy.

- Co takiego?

- Marijke i Larry, nasz drugi rysownik, pracowali wcześniej z trzema innymi świadkami, którzy widzieli tego gościa z twoimi dziećmi - wyjaśnia mi detektyw i zwraca się do kobiety: - Pokaż mu resztę.

Holenderka ściąga na ekran po kolei pięć różnych wersji człowieka z psem; w każdej z nich na

pierwszy plan wybija się kozia bródka i starannie przystrzyżone wąsy. Ale poza tym rysunki różnią się zarówno kształtem głowy, jak i innymi szczegółami.

- Zarost na twarzy, zwłaszcza starannie przycięty, z wyraźnymi krawędziami, tak przyciąga uwagę, że pozostałe szczegóły giną w pamięci - tłumaczy mi Marijke, wzdychając ciężko. - Zapamiętujesz tylko ten zarost. Kto wie - dorzuca z lekkim obcym akcentem - czy ta broda i wąsy nie były przyklejone.

Shoffler kręci głową.

- No i ta kreza na szyi... kolejny problem. Marijke wraca do naszego rysunku.

- To jak, uważasz, że ten może być? Wzruszam ramionami.

- Chyba tak.

Kilkakrotnie klika myszką i włosy oraz broda i wąsy znikają. Ogolony na łyso i bez zarostu, facet mógłby uchodzić za każdego.

- Zrobię kompilację ze wszystkich rysunków - mówi Marijke. - W dwóch wersjach: z brodą i wąsami oraz bez zarostu. Może być?

Zmienia się stan formalny. Ponieważ moich synów uznano za ofiary porwania, do sprawy przydzielono agenta FBI. Shoffler zawczasu uprzedza mnie, że Judy Jones jest wprawdzie bardzo młoda, ale naprawdę niegłupia. „Niby żółtodziób, ale prawdziwy z niej pistolet”.

Zbieramy się w pokoju rekreacyjnym. Shoffler przedstawia nam agentkę, która wyjaśnia, że od czasu porwania syna Lindbergha każdy wypadek uprowadzenia automatycznie podlega FBI.

Siedzę obok Liz, która trzyma mnie za rękę, lecz w geście tym nie ma nic intymnego. Przypominamy parę obcych sobie ludzi na miejscu katastrofy, którzy instynktownie szukają kontaktu fizycznego z drugim człowiekiem. Publicznie - na przykład podczas takich nasiadówek jak obecna - żona i ja prezentujemy wspólny front. Ale pomijając sytuacje, kiedy załamuje się i potrzebuje - dosłownie - męskiego ramienia, na którym mogłaby się wypłakać, Liz jest formalna, trzyma mnie na dystans i wyraźnie źle się czuje z tym, że z konieczności musimy być razem. Na przykład nie widziałem jej jeszcze nawet w szlafroku.

- Zakres ingerencji Biura zależy od sytuacji - tłumaczy Judy Jones, starannie nawiązując kontakt wzrokowy z każdym z nas. - W tej sprawie nie mamy zastrzeżeń do działania policji, wobec tego nasza rola ograniczy się do udzielania wsparcia.

Jack natychmiast wrywa się z protestem.

- Co to ma znaczyć? FBI nie widzi nic poza terrorystami, więc dwoje dzieci macie gdzieś? Moi wnukowie nie zasługują na wasze zainteresowanie?

Ja uważam ograniczoną rolę FBI za plus, ale Jack widzi to inaczej. Tak tokuje o tym, że chłopcom należy się wszystko, co najlepsze, że nikt nie ma wątpliwości, iż pomimo serii pamiętnych wpadek FBI w ostatnim dziesięcioleciu (Ruby Ridge, Waco, szpieg Robert Hanssen, żenujące ukrywanie tropów po ataku z jedenastego września, szokujące pomyłki w laboratoriach Biura), Jack nadal żyje fantazjami na temat skuteczności i doskonałości FBI z czasów Eliota Nessa.

Jones zapewnia nas, że ich ograniczona rola nie ma nic wspólnego z tym, że FBI „zajmuje się tylko kwestiami bezpieczeństwa wewnętrznego. Jesteśmy gotowi zapewnić wszelką niezbędną pomoc, o jaką zwróci się detektyw Shoffler”.

- Nie rozumiem, jak możecie akceptować działania policji! - upiera się Jack. - Podejrzewali Alexa, więc się do niego przyczepili, a tymczasem prawdziwy sprawca zacierał za sobą ślady. - Gwałtownie unosi rękę.

- Domyślam się, co pan czuje. Po fakcie wszyscy jesteśmy geniuszami. Musi pan jednak zrozumieć, że w postępowaniu policji w tej sprawie nie ma nic, do czego można by się przyczepić. Od razu po przybyciu na miejsce detektyw Shoffler podjął kroki, by zabezpieczyć teren... nawiasem mówiąc, ten teren jest bardzo trudny do zabezpieczenia. Natychmiast zarządził energiczne poszukiwania i śledztwo. On i jego ekipa przesłuchali wielu świadków, niektórych kilkakrotnie. Nawiązał łączność z policją okręgową. Prowadził całą sprawę w sposób wzorcowy, jak z podręcznika - zerka na mnie z lekkim grymasem, mającym wyrażać współczucie - co obejmuje podejrzenie i przesłuchiwanie pana Callahana.

- Ach tak? - wtrąca Jack wojowniczo; jego twarz jest purpurowa. - Tracili czas na Alexa, zamiast zajmować się szukaniem moich wnuków. A dlaczego? Bo wy wszyscy uważacie, że oni nie żyją.

Jones spuszcza wzrok i patrzy na swoje palce - paznokcie ma obgryzione do żywego mięsa.

- Można by powiedzieć, że wymiar sprawiedliwości w pewnym sensie opiera się na badaniu historii - tłumaczy. - Musimy polegać na znanych precedensach. Podejrzejąc pana Callahana, detektyw Shoffler brał przykład z historii. Bo prawda jest taka, że większość porwań i morderstw dzieci popełniają rodzice... zwłaszcza jeśli są w separacji. - Waży w ręku policyjne akta. - Tym razem porywacz złamał wszelkie reguły. Rzadko trafia się sprawa... jaw każdym razie nie znalazłam ani jednej takiej... w której do uprowadzenia dochodzi wiele mil od domu ofiary, a jednak sprawca wraca do tego domu, gdzie zmusza jednego z porwanych, by zadzwonił do ojca, i to wcale nie w sprawie okupu. - Energicznie kręci głową. - Takie postępowanie wiąże się z dużym ryzykiem.

- A koszulka? - pytam. - Macie w związku z nią jakąś teorię?

Agentka wzdycha i zerka na detektywa.

- W bazie danych nie ma nic na ten temat, zupełnie nic. Być może chodzi o składanie ofiary ze zwierząt. Badamy to.

Shoffler krzywi się.

- Ja myślę, że ten T-shirt miał opóźnić pościg. Nie dlatego, że odpuściliśmy sobie innych podejrzanych czy inne możliwości. Jeśli ginie dwóch chłopców, poszukiwania prowadzimy bez wychnienia. Ale do czasu otrzymania wyników badania koszulki, musieliśmy poświęcić część uwagi Alexowi. - Ze smutkiem kiwa głową. - Myślę, że ten T-shirt podrzucono specjalnie i spełnił swoje zadanie na sto dwa.

- Facet zrobił nas w trąbę - przytakuje mu agentka. - Albo, chciałoby się powiedzieć, w wieloryba, biorąc pod uwagę rysunek na koszulce.

Liz z jękiem opuszcza głowę.

- Kurewsko cwany ten gość, nawet za bardzo - oświadcza ojciec.

- Detektyw Shoffler prosił, żebym się zajęła kilkoma wątkami śledztwa - informuje nas Jones. - Po pierwsze, tym papierowym królikiem... już to sprawdziłam.

- Naprawdę? No i czego się pani dowiedziała? - pytam. Agentka wzrusza ramionami.

- Niewiele. Pokazaliśmy go ekspertowi od origami. Stwierdził, że to pomysłowa konstrukcja o stosunkowo wysokim stopniu trudności wykonania, ale niewiele więcej miał do powiedzenia. Teraz figurkę bada drugi ekspert, wątpię jednak, żeby ten trop nas do czegoś doprowadził. Z origami jest tak, jak z wszelkimi innymi hobby, poczynając od skoków ze spadochronem po kręgle... ma więcej pasjonatów, niż można sobie wyobrazić.

- A co z materiałem, z którego było wykonane? - wtrąca Liz. - Z tą skórą, czy co to jest.

- Tylko na pozór wydaje się, że to skóra. Bo tak naprawdę jest to specjalny papier używany do

origami, tak zwana skóra słonia.

- Coś podobnego?

- Według eksperta, jest wytrzymały na zginanie na mokro. A także powszechnie dostępny i bardzo często wybierany przez ludzi na pewnym poziomie zaawansowania, zwłaszcza do wykonywania figurek zwierząt. Obawiam się, że sprawdzanie źródła pochodzenia tego papieru niewiele nam da. W samym Internecie są dziesiątki stron, na których można go zamówić.

Liz wygląda, jakby się miała rozpłakać.

- Drugą sprawą, o której zbadanie prosił mnie detektyw Shoffler, jest kwestia ewentualnych wrogów ojca dzieci - ciągnie Jones. - Mam listę nazwisk sporządzoną przez pana Callahana i kiedy skończymy tutaj - przenosi wzrok na mnie - chciałabym ją przejrzeć razem z panem.

Matka podnosi rękę, niczym uczeń podczas lekcji. Jest cała czerwona na twarzy.

- A może chłopców porwano dlatego, że są bliźniakami? - rzuca szybko. - Wciąż chodzi mi po głowie ten hitlerowski doktor... i jego eksperymenty. - Zasłania dłonią usta. - Przepraszam - dodaje, patrząc na Liz i na mnie.

Ojciec obejmuje ją jedną ręką.

- Ja też o tym myślałem - przyznaje.

Z kolei ja staram się nie dopuszczać do siebie takich pomysłów. To dla mnie za wiele, nie potrafię znieść myśli, że jakiś współczesny Mengele miałby prowadzić eksperymenty na moich chłopcach. Już lepiej, żeby umarli. A ja razem z nimi.

- Sprawdzaliśmy ten wątek - odpowiada Jones, kręcąc głową. - Mogę powiedzieć tyle, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat odnotowano bardzo niewiele przypadków uprowadzenia albo zaginięcia bliźniaków. Wydaje się, że żadna z tamtych historii nie ma związku z tą sprawą.

- A ci chłopcy z Los Angeles? Lopez, czy jakoś tak. W każdym razie jakieś latynoskie nazwisko - wtrąca Jack.

- Dzieci Ramirezów - podpowiadam.

- Mam wrażenie, że Alex wie, dlaczego te sprawy nie mają ze sobą związku - mówi Jones i kiwa na mnie głową.

- Policja złapała porywacza przy zwłokach dzieci - wyjaśniam. - Wtedy on popełnił samobójstwo.

- Trudno o bardziej definitywne zakończenie sprawy - podsumowuje Jones. - A więc...

Marguerite, matka Liz, przylatuje z Maine i po przeprawie z hordą reporterów przed domem nadaje się do ponownej hospitalizacji.

Inna sprawa, że - zaledwie tydzień po uprowadzeniu chłopców - tłum dziennikarzy zaczyna się przerzedzać.

Powodowani współczuciem obcy nam ludzie wciąż zgłaszają się na ochotnika do ekip, które, gdy tylko pogoda na to pozwala, wciąż prowadzą poszukiwania na terenach otaczających jarmark. My - czyli Liz, Jack, moja teściowa, ojciec i ja - pomagamy im w miarę możliwości. Wyposażeni w najnowocześniejszą odzież i sprzęt, подарowane nam przez producenta, firmę Tenleytown Outdoor Sports (należącą do przyjaciela mojego przyjaciela), najpierw przez półtorej godziny jedziemy do Cromwell, a potem rozdzielamy się i zgodnie z wytycznymi policji, dołączamy każdy do innej grupy.

Mojej matce kiepski wzrok nie pozwala przedzierać się przez chaszczę jeżyn i rozpadliny. Zostaje więc w domu i udziela się w założonej przez jej przyjaciółkę grupie samopomocy o nazwie Siła Modlitwy, która rozsyła e-maile po całej sieci.

Obok telefonu w moim gabinecie stoi teraz pół tuzina innych aparatów, podłączonych przez policję do tego samego numeru, ale w taki sposób, by z każdego z nich można było prowadzić osobne rozmowy.

- Chodzi o to, żeby porywacz nie miał kłopotu z połączeniem, gdyby chciał się odezwać - wyjaśnia matka jakiejś kobiecie ze swej grupy.

Telefon nie przestaje dzwonić. W domu wszyscy przez cały czas wisimy na słuchawkach i na specjalnie wydrukowanych formularzach zapisujemy imię i nazwisko rozmówcy, jego numer oraz w jakim celu dzwoni.

Pod wieczór dziesiątego dnia od zniknięcia chłopców wpada do nas Shoffler. Wszyscy są zajęci, więc rozmawiamy w cztery oczy.

Na wstępie detektyw informuje mnie, że ma coraz więcej danych na temat człowieka z psem.

- Wiemy już, że dzieciaki kręciły się koło niego cały czas. To przez tego psa, rozumiesz? Bardzo ładny zwierzak. Facet wykorzystuje go jako magnes. Magnes na dzieci.

- Dokładnie tak to widziałem... całą zgrają dzieci, które głaskały tego psa.

- Dostaliśmy potwierdzenie od jednego z bileterów na bramce. Pamięta, że widział twoich synów, wychodzących w towarzystwie mężczyzny z psem.

- Pamięta, jak wychodzili? Naprawdę? A gdzie on się podziewał do tej pory?

- To, że tak powiem, świadek mimo woli. Notowany. Sam nie miał zamiaru się zgłaszać, to pewne jak dwa i dwa cztery. Wycisnęliśmy coś z niego za drugim podejściem. Wiesz, maglujemy wszystkich pracowników od nowa, ale tym razem spytaliśmy go, czy nie widział wysokiego faceta z psem i dwojgiem dzieci opuszczających jarmark. Ten chłopak to taka znerwicowana ciota, w gruncie rzeczy nawet porządny dzieciak, tyle że popała trawkę, no w każdym razie wtedy się wystraszył. Bo co mu zrobimy, jeśli będzie trzymał gębę na kłódkę? Podciągniemy to pod kłamstwo? Utrudnianie pracy policji? Naruszenie zasad zwolnienia warunkowego? Więc zaczął gadać.

- Hm...

- Ja też podchodziłem do tego sceptycznie. Jakim cudem ich zapamiętał? Dzień w dzień wchodzi tam i wychodzą tysiące ludzi... a co drugi przebrany jest za braciszka Tucka albo króla Artura. W dodatku minął już ponad tydzień.

- Dziesięć dni.

- Właśnie. Tak czy inaczej, powiedział nam tyle, że właściwie to nie pamięta bliźniaków, tylko dwóch chłopców tego samego wzrostu... specjalnie im się nie przyglądał. Zwrócił na nich uwagę dlatego, że ta grupa wydała mu się dziwna.

- Grupa?

- Dwaj chłopcy, mężczyzna i pies. Więc pytam go, o co chodzi. Przecież rycerzy i księżniczek ma tam na kopy, goci przewalają się stadami, a... a taka mała grupka wydała mu się dziwna? W jaki sposób dziwna? Dlaczego? A on mi na to, że facet był w kostiumie, pies był w kostiumie... a dzieciaki nie. Dla niego to było bez sensu. Powiedział, że zwykle jest na odwrót.

- Hm.

- Wiesz, kiedy już to wyjaśnił, uznałem, że coś w tym jest. Sam by czegoś takiego nie wymyślił. Poza tym rozpoznał rasę psa.

- Powiedział, że to był whippet?

Shoffler wyciąga notes, wkłada okulary do czytania. Jest bardzo przywiązany do swoich notesów i zapisuje w nich dosłownie wszystko. Czasami w trakcie rozmowy kilkakrotnie odwołuje się do

notatek. Ma tych notesów setki. Powiada żartem, że kiedyś napisze pamiętniki.

Teraz znajduje wreszcie to, czego szukał.

- O, już mam. Pytam go, jakiej rasy był pies tego wysokiego gościa, a on na to: „Jeden z tych od wyścigów. Taki jak chart, ale mniejszy”.

- A jednak!

- No to go pytam dalej, co miał na sobie właściciel psa. A on: „Mówiłem panu, kostium”. Więc drażę temat: konkretnie jaki? Na to odpowiada, że robotę załatwiła mu siostra, bo on się nie zna na całym tym renesansowym szajsie. Ale zauważa rzecz oczywistą... na jarmark renesansowy ludzie nie przebierają się za kowbojów czy bohaterów komiksów.

- Fakt. - Widzę, że detektyw jest tym bardzo podekscytowany, nie wiem jednak, do czego zmierza.

- Gówniarz ma mnie już serdecznie dość, ale naciskam go dalej - ciągnie opowieść Shoffler. - Czy może podać więcej szczegółów? No więc ten wysoki gość nie był królem. Nie był też rycerzem. Chłopak nie wiedział, za kogo był przebrany. Tyle że i on, i ten chudy pies mieli na szyi jakąś taką głupotę, czyli krezę. A potem mówi mi, że facet nosił coś jakby rajtuzy i miał... flet! - Shoffler podnosi głowę i spogląda na mnie ponad szklami okularów. - Ja na to: zaraz, chłopie, jaki znów flet? Bo wcześniej ktoś już wspominał o flecie, ale nie zwróciłem na to uwagi. A chłopakowi gęba się śmieje, no wiesz, jakby nagle sobie skojarzył. „Chyba już wiem, o co chodzi - mówi. - Gość miał taką kurtkę, no wie pan, w czterech różnych kolorach. I flet. Znaczy się, to był Szczurołap z Hameln. On nosił fujarkę i takie ubranie”.

Shoffler zamyka notes. Jest wyraźnie zadowolony z siebie, ja natomiast czuję, że włosy jeżą mi się ze zgrozy. Jak to było w tej bajce? O ile dobrze pamiętam, Szczurołap wyprowadził szczury z miasta, ale gdy mieszkańcy odmówili zapłaty, zagrał na fujarce i wszystkie dzieci poszły za nim. A potem... czy aby te dzieci nie przepadły na zawsze?

### **Rozdział 13**

W każdej chwili wiem, ile czasu minęło od zniknięcia synów. Nie muszę prowadzić rachunków, mogę to podać na zawołanie. Dzisiaj, kiedy odwożę rodziców na lotnisko, mija dwadzieścia jeden dni i osiem godzin z kawałkiem.

Zaproponowałem rodzicom, żeby wrócili do domu (tak zrobili Jack i Marguerite tydzień temu) i nie musiałem się szczególnie napracować nad przełamaniem ich oporu.

W terminalu matka najpierw tuli mnie długo, a potem ociera łzy. Ojciec żegna mnie męskim uściskiem. Przez pewien czas snuję się za bramką i patrzę, jak ostrzyżony na zero osilek odciąga matkę na bok do kontroli osobistej. Matka zdejmuje jaskrawożółty lniany żakiet i stoi z wyciągniętymi na boki rękami, kiedy tamten przejeżdża po jej ciele wykrywaczem metalu. Facet jest tak metodyczny i tak się z tym guzdra, że ramiona matki zaczynają drżeć z wysiłku.

Ta sytuacja obrazuje moje rozchwianie emocjonalne: w jednej chwili spokojnie obserwuję, jak łysoń dręczy moją matkę, w następnej kipię z wściekłości. Z trudem powstrzymuję się przed przeskoczeniem bramki i rzuceniem się na faceta. Mam ochotę obalić go na ziemię, tłuc jego głową o podłogę. W duchu słyszę starą śpiewkę („Ja tylko wykonywałem swoją pracę”), ale jej nie kupuję. Jeżeli gość szuka potencjalnych terrorystów, to dręcząc moją matkę, naraża tylko wszystkich na stratę czasu i pieniędzy. U niego nie chodzi o „wykonywanie swojej pracy”, lecz o zwykłą demonstrację władzy.

Z upływem dni medialny szum stopniowo cichnie. Kevin i Sean już tylko sporadycznie pojawiają

się w wiadomościach. Telefony i e-maile, ochotnicy i datki - wszystko to również się kończy. Gorąca linia jest już co najwyżej letnia, wystrzępione żółte wstążki blakną, na szybach wystawowych plakaty z podobiznami chłopców ustępują miejsca programom muzyki chóralnej, ogłoszeniom o zaginionych psach, ulotkom namawiającym kobiety do profilaktycznych badań raka piersi.

Tymczasem policja robi wszystko co w jej mocy - czyli niewiele. Przez pewien czas pojawiają się jeszcze nowe tropy, za każdym razem wzbudzając we mnie cień nadziei, który znika, gdy Shoffler informuje mnie, że to kolejna ślepa uliczka.

Któregoś dnia wieczorem detektyw wpada do nas z chińskim jedzeniem na wynos. Wyjaśnia, że długo rozpracowywali subkulturę jarmarków renesansowych. „Szukaliśmy wysokiego faceta, puściliśmy w obieg, co tylko można... portrety pamięciowe, rysopisy, opis psa, wszystko, czym dysponujemy. Wierzyć się nie chce, ilu jest pasjonatów tego całego renesansu”.

- A ilu może być tych Szczurołapów? - pyta Liz.

- Nie powinniście myśleć o nim w ten sposób - przestrzega detektyw pomiędzy kęsami lo mein. - Mógł się przebrać w ten kostium celowo, dla niepoznaki. To tak jak z mundurami. Powiedzmy, że ktoś dokonuje włamania, napada na bank, cokolwiek. I ma na sobie uniform poczty kurierskiej, kombinezon mechanika czy fartuch jakiegoś fachowca... ludzie zapamiętają tylko ten strój.

- Więc jak wygląda sytuacja z tym facetem? - pytam. - Z tym wysokim? Macie coś?

Shoffler krzywi się.

- Jak dotąd mamy tylko gości, którzy widzieli Elvisa.

Cromwell. Prawie codziennie jeżdżę tam, by dołączyć do najbardziej wytrwałych ochotników, którzy dzień w dzień, nawet w największym upale, kontynuują poszukiwania. Bardzo chętnie robię taki kawał drogi - miło wyrwać się z domu i czymś się zająć.

Pewnego dnia, przedzierając się przez gęste poszycie lasów otaczających teren jannarku, uświadamiam sobie, że uczestniczę w tych poszukiwaniach bez cienia nadziei na znalezienie dzieci... ale i bez obawy, że je znajdziemy. Nie wierzę, że natknę się na małą skuloną postać, w nietkniętym ubraniu, której ciało rozkłada się pośród gałązek i liści. Liz odwrotnie - jeżeli już tam jedzie, w trakcie poszukiwań jest zacięta, skupiona, co dobitnie świadczy o tym, czego się spodziewa.

A ja... ja uważam, że chłopcy są ze Szczurołapem, kimkolwiek on jest, i chociaż wielokrotnie zwracano mi uwagę na to, że nie przyjmuję do wiadomości rzeczy oczywistych, chociaż wiem, że zapewne tylko oszukuję sam siebie, to jednak wciąż jestem zdania, że Kevin i Sean żyją. Dlatego poszukiwania w Cromwell traktuję niczym rytuał, jak odmawianie modlitwy czy udział w pielgrzymce.

Niektórzy ochotnicy z Cromwell mnie niepokoją. Zachodzę w głowę, skąd bierze się ich zapał, ta ochota, by po raz kolejny zapuścić się na ten porośnięty chaszczami, pełen robaków teren. Do tej pory poznałem już wielu z nich. Większość podchodzi do poszukiwań tak jak do zbierania funduszy na badania raka piersi albo organizowania poparcia dla budowy nowego placu zabaw, ale niektórzy mają w sobie coś niepokojącego. Martwi mnie zwłaszcza złowrogi żar w oczach pewnego mężczyzny oraz nadgorliwość, wręcz religijna dewocja kilku kobiet.

Ciekaw jestem, jak wygląda ich życie, czym się zajmują, że mogą poświęcić tyle czasu. Czasami przychodzi mi do głowy, że ktoś z nich może być zamieszany w porwanie, że jest współnikiem Szczurołapa i donosi mu o naszych działaniach. I choć z powodu takich myśli gnębi mnie poczucie winy, mimo wszystko spisuję ich nazwiska i adresy oraz notuję, czym się zajmują zawodowo i jaka jest ich sytuacja rodzinna, ich dziwactwa i zainteresowania. Przekazuję tę listę Mary McCafferty z

agencji detektywistycznej.

Moje stosunki z Liz są coraz gorsze. To, co się działo przez pierwsze kilka dni po uprowadzeniu chłopców, było tak koszmarnie, że w obliczu wspólnej straty czerpaliśmy pociechę z siebie nawzajem.

Ten etap mamy już dawno za sobą - Liz najpierw stała się sztywna i formalna jak Jack, a z czasem coraz mniej przyjazna. Teraz, jeśli przebywamy w tym samym pokoju, nie potrafi usiedzieć na miejscu, a kiedy nasze oczy się spotykają, ucieka wzrokiem.

Nie da się ukryć, że w gruncie rzeczy to ja jestem wszystkiemu winny. Coraz częściej przejawia się to w postaci roztrząsania scenariuszy typu „co by było, gdyby...”.

Tłumaczę sobie, że po każdej katastrofie zawsze jest tak samo. Kiedy przemija początkowy szok, ci, którzy kochali ofiarę, zaczynają kombinować, jak można było zapobiec temu, co się stało. Znam to ze swoich rozmaitych reportaży, tę udrękę na twarzach ludzi oplakujących ofiary nieszczęścia, którego można było uniknąć (pożar klubu nocnego na Rhode Island, katastrofa odrzutowca na Florydzie, wybuch na pokładzie wahadłowca). „Najgorsze jest to, że wcale nie musiało dojść do tej tragedii”. Takie podejście zakorzeniło się w naszym systemie prawnym - jeszcze zgliszcza nie przestają dymić, a już w sądach składane są pozwy o odszkodowanie. Dochodzenie winy przed wymiarem sprawiedliwości.

W tym wypadku nie zachodzi potrzeba wszczynania śledztwa czy rekonstrukcji przebiegu zdarzeń. Jestem ucieleśnieniem „błędu człowieka”. I jako czynnik, który mógł zapobiec katastrofie, w sercu i umyśle mojej żony powoli staję się jej przyczyną.

Bierzemy udział w bankiecie na rzecz zbierania funduszy, sponsorowanym przez Centrum Dzieci Zaginionych i Maltretowanych. Nie mogliśmy się z tego wykręcić, ale cała ta impreza wychodzi nam bokiem. Siedzimy z Liz na podium, razem z innymi sławnymi rodzicami ofiar. Niektórzy noszą przypięte do piersi, niczym identyfikatory, zalaminowane fotografie swoich dzieci - rozdzierająca serce galeria uroczych uśmiechów i roziskrzonych oczu.

Dziesiątki obcych ludzi proponują nam pomoc i składają wyrazy współczucia, jest w tym jednak coś takiego, że mam ochotę zgrzytać zębami. Odnoszę wrażenie, że niektórym z przybyłych chodzi tylko o to, by otrzeć się o kogoś sławnego.

Główne przemówienie wygłasza samotna matka. Ma na imię Melinda. Wstrząsającą historię uprowadzenia jej ośmioletniej córeczki opowiada w sposób prosty, lecz dramatyczny, świadczący o wrodzonym talencie krasomówczym. Zawsze wie, kiedy zawiesić głos dla spotęgowania efektu. Osiem lat po zaginięciu dziewczynki odnaleziono jej zwłoki, zakopane w ogrodzie sąsiada.

- Co roku obcy ludzie porywają i mordują w naszym kraju w sumie około stu dzieci - informuje nas Melinda. - I chociaż prasa i telewizja szeroko nagłaśniają te przypadki, wciąż są to jedne z najrzadszych zbrodni. Bardziej prawdopodobne jest, że dziecko zginie od uderzenia pioruna. - Przerzywa na chwilę. - Niektórych z nas trafił ten piorun.

Krzyżuje ręce na sercu i składa smutny ukłon w stronę tych z nas, którzy siedzą przy głównym stole. Którejś z kobiet wyrywa się krótki szloch.

- A kiedy już do tego dochodzi - podejmuje Melinda ochryłym głosem - piorun uderza błyskawicznie. Siedemdziesiąt cztery procent tych dzieci... między innymi moja córka, Bonnie... pada ofiarą morderstwa w ciągu trzech godzin od porwania. Ogromna większość uprowadzonych dzieci, bo aż siedemdziesiąt sześć procent - ciągnie - to dziewczynki, których przeciętna wieku wynosi jedenaście lat. W osiemdziesięciu procentach wypadków dziecko porwano nie dalej niż ćwierć mili



od domu. Dlatego nie miejcie złudzeń, że wasze dziecko jest bezpieczne, jeśli bawi się w ogrodzie albo jeździ na rowerze przed domem. To tak jak z wypadkami samochodowymi, do których najczęściej dochodzi w odległości najwyżej mili od domu. Podobnie większość innych wypadków ma miejsce albo w domu, albo w pobliżu miejsca zamieszkania. Panie i panowie, możliwe, że nasz dom to nasz zamek, ale ten zamek nie jest fortecą.

Melinda robi dramatyczną pauzę, a ja sobie myślę, że Kevin i Sean nie pasują do tego schematu. Nie są dziewczynkami, są młodszy niż przeciętne ofiary, porwano ich ponad pięćdziesiąt mil od domu. No i było ich dwóch!

- Dlatego też potrzebne nam są środki pozwalające reagować odpowiednio szybko. - Melinda z bezbłędnym wyczuciem czasu przechodzi do prośby o datki. Nie dziwię się, gdy ktoś mówi mi o niej, że robi teraz karierę jako zawodowa prelegentka oraz że napisała książkę *Jak zapewnić bezpieczeństwo naszym dzieciom*, pełną wskazówek, jak ustrzec nasze pociechy przed drapieżcami, ale w taki sposób, żeby ich nie wystraszyć na śmierć. Książkę tę można nabyć przy wejściu do sali bankietowej. Dziesięć procent wpływów idzie na centrum.

Po wyjściu publiczności następuje modlitwa dla rodziców i krewnych zaginionych dzieci. Siadamy w kółku na składanych krzesłach i chwytamy się za ręce. Sąsiad ściska moją dłoń z takim wigorem, że tracę czucie w palcach. Minuta ciszy, a potem kolejno szczegółowo relacjonujemy nasze osobiste tragedie.

Gdy dociera do mnie, że większość tworzących nasz krąg oplakuje zmarłych, wychodzę. Ci ludzie przybyli tu, by podzielić się swoimi doświadczeniami na temat strategii, mających pomóc im poradzić sobie z czymś, co - pomijając rytualny ukłon w stronę cudu, który się nie wydarzy - uważają za nieodwołalną utratę swoich dzieci. Podobnie jak rodzice i żony zaginionych w akcji podczas wojny wietnamskiej, ci tutaj nie szukają już swoich „ukochanych”. Im chodzi o coś innego, coś, co określają jako „zamknięcie sprawy”. Innymi słowy - o odnalezienie zwłok. Dowodu śmierci.

- Nie mogę tu zostać - mówię żonie na ucho. - Oni uważają, że ich dzieci nie żyją.

Kiedy wstaję z miejsca, Liz robi to samo, ale nie dlatego, że też ma na to ochotę.

- Przepraszam, przepraszam bardzo - szepce, gdy wyrywam dłoń z uścisku sąsiada i ruszam do wyjścia.

W samochodzie mierzy mnie twardym, bezlitosnym wzrokiem.

- Za kogo ty się uważasz, Alex? Jakim prawem oceniasz to, jak sobie radzą ze swoim nieszczęściem?

- Oni sądzą, że ich dzieci nie żyją. Ja nie. Liz wybucha płaczem.

Wieczorem oświadcza:

- Wracam do Maine. - Wbija wzrok w paznokcie i znowu zanosi się płaczem.

Rano już jej nie ma.

Praca. Wprawdzie Al, gdy tylko dowiedział się o chłopcach, powiedział mi, żebym dał sobie spokój z robotą „tak długo, jak będzie trzeba”, ale w zeszłym tygodniu dostałem e-mail z prośbą o sprecyzowanie swoich planów. Jeśli nie zamierzam wrócić wkrótce do pracy, przynajmniej na część etatu, powinienem złożyć formalne podanie o czasowy urlop, z określeniem terminu powrotu. Drobną czcionką poinformowano mnie, że w zaistniałej sytuacji zachowam prawo do świadczeń socjalnych, nawet gdybym zdecydował się na „urlop okolicznościowy z przyczyn rodzinnych”. Świadczenia socjalne tak, ale ponieważ moja nieobecność będzie się wiązała z koniecznością zatrudnienia kogoś na moje miejsce, nie dostanę wynagrodzenia.

Prawie wszyscy zgodnie twierdzą, że powrót do pracy to „najlepsze, co mogę zrobić”. Wniosek ten wynika z dyskusyjnego, acz powszechnego poglądu, jakoby praca miała właściwości terapeutyczne, bo pozwala się oderwać od niemiłych myśli. Sprowadza się to do tego, że jeśli nawet zajęć nie pozwoli mi myśleć o zaginionych dzieciach, to będę mniej przygnębiony.

Bardzo w to wątpię.

Wstawanie z łóżka, ubieranie się, dojazd do pracy... jakże dziwny jest powrót do tej codziennej rutyny. W robocie zaś czuję się jak na obcym terytorium. Stacje telewizyjne to zwariowane miejsca, hałaśliwe, kipiące energią, gdzie każdy albo pędzi z czymś na ostatnią chwilę, albo dochodzi potem do siebie. A ja? A ja w całym tym aktywnym roju czuję się gnuśny i apatyczny. Funkcjonuję zamknięty w jakiejś bańce mydlanej, stworzonej przez wypracowaną uprzejmość wszystkich dookoła. Ludzie ściszą głos, kiedy ich mijam, uciekają wzrokiem, nikt nie wie, co mówić ani jak się zachowywać w mojej obecności. Widzę obracające się tryby... tylko czy powinienem sam poruszyć ten temat, czy nie? Kiedy w końcu tłumaczę im, że nic, co ewentualnie powiedzą czy zrobią, nie pogorszy mojego samopoczucia, czują się odtrąceni.

Pewnego dnia, już po moim powrocie do pracy, wpada do mnie Shoffler. Ma ze sobą szesciopak sierra nevada i olbrzymią rozmokłą pizzę.

- Zdrowe żarcie - mówi z piskliwym, przerywanym śmiechem. - Trzymaj ze mną, a też dorobisz się brzucha.

Cieszy mnie jego wizyta. Właściwie to nie przychodzi mi do głowy nikt, kogo równie chętnie powitałbym w moich progach... oczywiście z wyjątkiem synów. Po pierwsze, Shoffler jest chyba jedyną osobą na świecie gotową w każdej chwili rozmawiać ze mną na jedyny interesujący mnie temat. Poza tym jest cyniczny, ma poczucie humoru i - z czego w końcu zdałem sobie sprawę - łeb nie od parady. Prędzej czy później nasze spotkania kończymy, po raz nie wiadomo który rozgrzebując porzucone tropy, by sprawdzić, czy czegoś nie przegapiliśmy: królika origami, whippeta, świadków, którzy widzieli mężczyznę wsiadającego do czarnej furgonetki z przyciemnionymi szybami, oraz tych, którzy widzieli Elvisa, krew kurczaka, listę „wrogów”, których atakowałem na antenie... Shoffler sprawdza wszystko w notesach - teraz właśnie sięga po trzeci. Akta sprawy liczą siedem grubych tomów, informuje mnie. Wyjaśnia, że do każdej sprawy na początek zakłada się jeden segregator grubości trzech cali. W segregatorach tych - do których Shoffler pozwolił mi zajrzeć - znajdują się kopie wszystkich papierów zebranych w trakcie śledztwa: raporty, zeznania świadków, przesłuchania, zdjęcia z miejsca zbrodni, testy laboratoryjne, nakazy przeszukania i wykazy przedmiotów skonfiskowanych w ich wyniku, pokwitowania odbioru dowodów rzeczowych i tak dalej.

Zjadamy pizzę, oglądamy mecz Oriolesów i przez jakiś czas gadamy o dupie Maryni, aż w końcu wyjaśnia mi powód swej wizyty.

- Wolałbym ci tego nie mówić, Alex, naprawdę... - zaczyna i urywa nagle. Jest zdenerwowany, bębni palcami po wieczku pudełka od pizzy, przytupuje. Widząc moją minę, wyciąga ku mnie rękę. - Spokojnie, nie chodzi o chłopców. Nie ma nic nowego. Chodzi... chodzi o mnie. Odebrali mi tę sprawę.

- Co takiego?! - Wszystkim wiadomo, że Shoffler to buldog, który nigdy nie daje za wygraną, który dla pracy dwukrotnie poświęcił małżeństwo, który każdą wolną chwilę spędza nad umorzonymi śledztwami. - Jak mam to rozumieć? Przecież słyniesz z tego, że nigdy nie odpuszczasz nierozwiązanej sprawy. Odebrali ci ją?! Dlaczego?

Ciężkie westchnienie.

- Układ jest taki. Nie chodzi o ciebie... odebrali mi wszystkie sprawy. Po ataku z jedenastego września kombinowali, kombinowali, aż wykombinowali... Stołeczną Jednostkę Anty terrorystyczną.  
- Rozkłada ręce niczym książkę. - Biorą oficerów z każdego okręgu plus paru federalnych, celników i z imigracyjnego. Z Annę Arundel wytypowali mnie. Cholernie mi przykro.

Milczę. Dla mnie to prawdziwy cios.

- Twoją sprawę przekazali młodej dziewczynie, detektyw Muriel Petrich. Ja może i jestem buldogiem, ale ta dziewczyna jest bystra jak mało kto. I ambitna. To dobre połączenie.

- Jasne.

- Słuchaj, ja wiem, że... - Kręci głową. - Będę trzymał rękę na pulsie, zgoda? W razie czego wal do mnie jak w dym, o dowolnej porze. Wpadniesz na jakiś pomysł, trop, cokolwiek, to zrobię, co w mojej mocy. Ale daj Petrich szansę... to prawdziwa tygrysica.

- Nie ma sprawy. - Nic nie poradzę na to, że mój głos jest pełen goryczy. Czuję się, jakby Kevin i Sean zostali porzuceni.

Zacząłem sypiać w pokoju rekreacyjnym. Walę się na tapczan i przez pół nocy drzemię w ubraniu. O drugiej, trzeciej czy czwartej nad ranem budzę się, przy włączonym telewizorze i zapalonych światłach. Dzisiaj, po wyjściu Shofflera, sprzątam butelki po piwie i resztki pizzy, wsadzam naczynia do zmywarki, włączam ją, przecieram blat. Potem robię obchód całego domu, gaszę światła, zamykam drzwi na klucz, rozbieram się i kładę do łóżka.

Do tego samego białego żelaznego łóżka, na które Liz tak długo oszczędzała. Powinna je zabrać ze sobą do Maine. Wydaje mi się straszne, że nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie i jak mieszka, że to ja jestem otoczony przedmiotami, które ona z takim uczuciem gromadziła. Łóżko... pamiętam noc, gdy któregoś z chłopców, albo i obu, budził jakiś koszmar albo czuli się samotni lub byli chorzy. Przychodzili wtedy w nocy do naszej sypialni, stawali u wezłowia łóżka i mówili „Mamusi?”. Nie „Tatusiu”, taty nie wołali nigdy. Co do tego nie mogę się oszukiwać. Zwracali się do Liz, bo zawsze była pod ręką. Pamiętam, jak w weekendy chłopcy przychodzili nas budzić, wskakiwali nam do łóżka i we czwórkę wkraczaliśmy w nowy dzień.

Leżę w ciemności. Co pewien czas po Ordway Street przejeżdża samochód i jego reflektory omiatają ściany i sufit. Leżąc tak po ciemku, podejmuję decyzję. Powrót do pracy, godziny przedzierania się przez tę pracowitą mgłę... nie, to nie dla mnie.

Zamierzam odszukać swoich synów.

## Rozdział 14

Gdy składam wymówienie z pracy, wszyscy próbują mi to wyperswadować. Powinienem dać sobie więcej czasu i tak dalej. Mam wrażenie, że pozbawiony kręgosłupa, jakim jest praca, ich zdaniem rozsypię się w drobny mak.

Wielki Dave kręci olbrzymią głową odwraca moje wymówienie i kładzie je na biurku.

- Potraktuję to jako prośbę u urlop bezpłatny - oświadczam. - Powiedzmy trzymiesięczny.

- Tego nie obiecuję - odpowiadam. - Nie wiem, jak długo mi zejdzie.

Gdy Dave ma powiedzieć coś, czego wolałby nie mówić, spuszcza głowę, marszczy brwi i łypie na ciebie spod oka niczym gigantyczny żółw. Widząc, jak teraz opuszcza głowę, nastawiam się na coś nieprzyjemnego, on jednak pyta:

- Jak stoisz z pieniędzmi?

Dave dostatecznie dobrze orientuje się w mojej sytuacji finansowej, by zdawać sobie sprawę z

problemu. Jesteśmy na tyle zżyci, że kilka razy był u nas na kolacjach, wydawanych i jak zwykle starannie przygotowanych przez Liz. Wie, że nie tarzamy się w forsie, a separacja tylko pogorszyła sytuację.

- Słuchaj, jak będziesz w potrzebie, daj mi znać. - Sposób, w jaki wydusza z siebie tę propozycję, mówi mi, jak wiele go to kosztuje.

Dziękuję mu.

- Odłożyłem parę groszy - mówię.

Prawdę mówiąc jednak, nie bardzo wiem, jak sobie dam radę z pieniędzmi. Na przykład nie ma mowy, żebym mógł uzyskać zgodę Liz na zaciągnięcie kredytu pod zastaw domu. Formalnie rzecz biorąc, zgodnie z warunkami umowy separacyjnej nie mam prawa nawet pójść na urlop bezpłatny, ponieważ zmniejszyłoby to moje możliwości alimentacyjne. Muszę znaleźć jakiś sposób, by móc się zająć szukaniem dzieci, a jednocześnie płacić Liz alimenty. Nie mogę jej zostawić bez grosza.

Będę musiał uderzyć do ojca po pożyczkę... chociaż on, tak jak wszyscy, uzna moje odejście z pracy za błąd. Od dwóch przyjaciół, Michaela i Scotta, pewnie uda mi się wysepić kilka kawałków.

Właśnie tak będę musiał to załatwić. Błagać. Pożyczać. Imać się wszelkich sposobów.

- Mimo wszystko nadal uważam, że popełniasz błąd - mówi Dave, ściskając mi rękę. Widzę jednak, że pod płaszczykiem skrupowania czuje ulgę, że ma mnie już z głowy.

Zaczął się od Dave'a, lecz na nim się nie skończyło. Wszyscy powtarzają mi, że popełniam błąd. Czy mogę zrobić coś więcej poza tym, co już zrobiono? Oczywiście nikt nie mówi na głos, że zdaniem większości gonię za złudzeniami, że moje dzieci prawdopodobnie nie żyją i że powinienem spojrzeć prawdzie w oczy... nie tracąc przy tym nadziei, ma się rozumieć.

Cuda się zdarzają. Ciągłe ktoś przywołuje przykład Elizabeth Smart\*.

Nawet Shoffler próbuje mnie odwieść od moich zamiarów.

- Alex, nie rób tego - tłumaczy mi tonem rozczarowanego ojca. - Ja już to widziałem i powtarzam ci, to tylko rozdrapywanie ran. Osiągniesz tyle, że się wypalisz emocjonalnie i wykończysz finansowo.

\* Czternastoletnia Elizabeth Smart została uprowadzona w środku nocy przez mormońskiego fundamentalistę Briana Davida Mitchella, który urządził dziewczynce religijne „pranie mózgu”, tak że w końcu została jego drugą żoną czy raczej konkubiną. Dziecko uratowano dziewięć miesięcy później, 13 marca 2003 r, dzięki informacjom uzyskanym po telewizyjnym programie *America's Most Wanted*.

- No i co z tego? - O to chodzi. W tej samej sekundzie, gdy podjąłem decyzję o porzuceniu pracy, nie mogłem uwierzyć, że zwlekałem z tym tak długo.

Detektyw wzdycha.

- Przeważnie, jeśli już udaje się rozwiązać tego typu sprawę... a z przykrością muszę ci powiedzieć, że to rzadkość... zwykle następuje to dzięki jakiemuś czynnikowi zewnętrznemu. Podczas śledztwa możesz badać cholera wie co i wciąż nie mieć żadnego tropu. Aż tu nagle jakiś facio szepnie coś kumpłowi spod celi albo gość na warunkowym przekroczy granicę stanu, popełni podobną zbrodnię i komputer wskaże na niego... tak to jest.

- Wiem o tym.

- Wiem, co sobie myślisz... że poświęcisz więcej energii i uwagi niż profesjonaliści i dzięki temu odniesiesz sukces tam, gdzie my polegliśmy. Uważasz, że odnajdziesz synów tylko dlatego, że tobie bardziej na tym zależy. Chcę powiedzieć...

- Znajdę ich - wpadam mu w słowo. - Albo przynajmniej dowiem się, co się z nimi stało. A jeśli miałoby mnie to wykończyć finansowo i psychicznie, to trudno, niech tak będzie.

Za odpowiedź wystarczy mi westchnienie Shofflera; przez dłuższą chwilę detektyw nie odzywa się. Słyszę odgłosy rozmów, brzęczenie telefonów, stukanie palców na klawiaturze komputerów.

- No nic - odzywa się w końcu Shoffler znużonym głosem. - Bądź w kontakcie.

Kevin i Sean. Sean i Kevin.

Pod wieloma względami jestem o wiele lepiej przygotowany do szukania dzieci niż większość rodziców. Jestem reporterem - szukanie to moja praca.

Zanim jednak zacznę zasięgać języka czy porady, przede wszystkim próbuję odpowiedzieć sobie na pytanie „dlaczego?”. I chociaż zastanawiałem się nad tym tysiąc razy, to jednak...

Wąłkuję to w głowie po raz kolejny.

Zaczynam od Szczurołapa. Do tej pory policja znalazła już kilkunastu świadków, którzy widzieli moich chłopców ze Szczurołapem, jak wychodzili na parking.

Szczurołap. Pomimo przestróg Shofflera, że kostium służył tylko do odwrócenia uwagi, wciąż myślę o nim w ten sposób. Kłopot w tym, że jego postać jest dla mnie jednowymiarowa. To wyobrażenie, a nie istota z krwi i kości. On nie jest rzeczywisty.

Ale przecież to realny człowiek. Który gdzieś mieszka, robi zakupy, jeździ samochodem, nosi określony rodzaj skarpetek... i który uprowadził moje dzieci. Mam za mało informacji, by wyrobić sobie konkretne zdanie na jego temat, dlatego muszę się skupić na tym, co wiem. I na tym, co zrobił. Porwał moich synów i miał ku temu jakiś powód.

Na górze żółtego notatnika wypisuję: MOTYW. Następnie rozważam różne możliwości.

Pieniądze? Skoro nie dostałem żądania okupu, tę możliwość można raczej wyeliminować.

Odwet? Czyżby ktoś uprowadził chłopców, żeby się na mnie zemścić za któryś z moich reportaży? To prawda, że w związku z pracą poznałem rozmaite szumowiny, ale Shoffler przyjrzał się sprawie pod tym kątem i wykluczył taką możliwość. W wypadku zbrodni popełnianych z zemsty sprawca prawie zawsze wysyła swojej ofierze jakiś sygnał, żeby wiedziała, co zrobił. Shoffler nazywał to „elementem radochy”.

- Ten T-shirt, telefon z domu i tak dalej... wszystko to świadczy, że gość jest naprawdę cwany, ale brakuje elementu radochy. Jeżeli ktoś chce się z tobą policzyć, ale nie daje znać, że wyrównał rachunki, to gdzie jego satysfakcja?

Zastanawialiśmy się nad tym pospołu, próbując dopasować pozostawione przez Szczurołapa tropy do któregoś z moich reportaży, ale nie znaleźliśmy żadnego związku.

Maniak seksualny? To pierwsza narzucająca się możliwość, ale ja w nią nie wierzę. Po co miałby porwać dwoje dzieci... żeby utrudnić sobie zadanie? Poza tym, w jakim celu wracałby z nimi do domu, po co ten telefon na moją komórkę, po co ta celowa zmyłka z zakrwawioną koszulką? Maniacy seksualni działają pod wpływem chwili i są oportunistami. A przynajmniej tak się powszechnie uważa. Powrót do domu, zostawianie rzeczy na pamiętkę... wszystko to miało jakiś cel. Takie postępowanie wyłamuje się ze schematu.

Pornografia dziecięca? Ładne jasnowłose bliźniaki. Czyżby uprowadziła ich sieć pedofili, by nakręcić film albo sprzedać komuś, kogo rajcują bliźnięta? Shoffler badał ten wątek - i to naprawdę starannie! - ale utknął w ślepych zaułku. Po pierwsze, większość dzieci wykorzystywanych w mrocznym świecie dziecięcej pornografii nie została porwana, lecz „kupiona” od krewnych albo przybranych rodziców. Poza tym porwanie gwarantujące medialną wrzawę nie pasuje do subkultury,

która woli kryć się w najciemniejszym kącie, a nie wystawiać na światło dzienne. Z drugiej strony...

Jakiś religijny świr? Nie trafiliśmy na nic, co sugerowałoby taki motyw.

Eksperymenty medyczne? Shoffler odrzucił teorię „doktora Mengele” dlatego, że nie odnotowano dosłownie ani jednego takiego przypadku związanego z bliźniętami. Załóżmy jednak, że Kevin i Sean są pierwszą parą...?

Przez dłuższy czas siedzę, zastanawiając się nad innymi możliwościami. W epoce, w której ludzie późno decydują się na dzieci, a wiele par jest bezpłodnych, można sobie wyobrazić, że chłopców uprowadził ktoś, kto za wszelką cenę pragnie dziecka. Ktoś, kto przyjechał na jarmark w poszukiwaniu swojej szansy i wykorzystał nadarzącą się okazję. Przez chwilę przetrawiam to w myślach - ten wariant z człowiekiem, który obsesyjnie pragnął zostać ojcem.

Tak czy inaczej, ktokolwiek ich porwał, on czy też ona musi być kompletnym odludkiem, żyjącym w oderwaniu od społeczeństwa, ponieważ od dnia zniknięcia chłopców nie znalazł się nikt, kto by ich widział. A co z tymi dziesięciocentówkami? I koszulką? No i ten telefon do mnie? Czy cokolwiek z tych rzeczy pasuje do scenariusza z niedoszłym rodzicem?

Odludek. To oczywiste spostrzeżenie wcześniej jakoś nie przyszło mi do głowy. Moi synowie to nie Elizabeth Smart, nikt nie mógłby się pokazywać z dwoma identycznymi bliźniakami bez wzbudzania podejrzeń. A zatem gdziekolwiek przebywają Kevin i Sean, ktokolwiek ich trzyma, jeżeli tylko żyją, są ukryci przed ludzkim wzrokiem, odcięci od świata!

Rzucam okiem na swoją listę ewentualnych motywów - pieniądze, odwet, maniak seksualny, pornografia dziecięca, świr religijny, doktor Mengele, obsesyjne ojcostwo. Po rozłożeniu na czynniki pierwsze wykaz ten napawa zgrozą. Najmniej przerażające motywy wskazują na kogoś obłąkanego; te najgroźniejsze - na coś znacznie gorszego.

Oddycham głęboko. Pod motywami zapisuję kolejne słowo: POSZLAKI.

Królik origami.

Krew kurczaka.

Rząd dziesięciocentówek.

Rzeczy pozostawione przez porywacza. Jude Jones ustaliła, że królik został złożony ze standardowego papieru, nie znaleziono na nim odcisków palców i jest modelem o wysokim stopniu trudności wykonania. I to by było na tyle.

A jednak Szczurołap zostawił go na szafce Seana. Po co?

Krew kurczaka. Możliwe, że zakrwawiona koszulka miała na celu skierowanie podejrzeń na mnie, ale to tylko przypuszczenie. Być może kurza krew ma całkiem inne znaczenie. W laboratorium policyjnym ustalili, że była to krew popularnego gatunku kurczęcia, powszechnie dostępnego w handlu.

Monety. Laboratorium sprawdziło odciski palców - bez rezultatu. Próbowali też wytropić źródło pochodzenia monet, okazało się jednak, że chociaż w obiegu prawie nie widuje się dziesięciocentówek „z Merkurym”, to jednak są ich miliony. Bito je przez blisko trzydzieści lat, od roku 1916 do 1945, po czym dziesięciocentówkę z Wolnością zastąpiła moneta z wizerunkiem Franklina Delano Roosevelta. Policja i FBI sprawdziły także znaki mennicze i daty produkcji monet pozostawionych przez porywacza, lecz nie pasowały do żadnego sensownego schematu.

A jednak te monety ułożono w konkretnym celu; Szczurołap zadał sobie sporo trudu, by je tam pozostawić. Muszą mieć jakieś znaczenie.

Są jeszcze inne poszlaki. Na przykład pies. Dla Szczurołapa był on magnesem do zwabiania

dzieci. Shoffler zainteresował się tą rasą i stwierdził, że whippety są coraz bardziej popularne. Jest ich od groma. Czyli właściwie ile? Nigdy nie widziałem, żeby ktoś wyprowadzał whippet na spacer.

No i jest jeszcze sam Szczurołap i jego kostium. Czy było to tylko przebranie, czy również miało jakieś znaczenie? Muszę przeczytać bajkę o Szczurołapie z Hameln. A co z przebraniem Szczurołapa... skąd bierze się taki kostium? Nie przyglądałem mu się specjalnie, lecz wydawał mi się bardzo wyszukany. A krezy? Dla niego i dla psa. Gdzie można kupić krezę? Czy Shoffler to sprawdzał? A jeśli tak, do czego doszedł? Pod POSZLAKAMI dopisuję: whippet Szczurołap - przeczytać bajkę kostium kreza

Muszę zajrzeć do akt Shofflera. Chociaż domyślam się, że teraz są to już akta Muriel Petrich.

Podnoszę słuchawkę i dzwonię do niej. Nie ma jej w pracy. Zostawiam wiadomość i dzwonię pod jej numer domowy. Zamiast zwięzłego powitania albo mechanicznego tekstu z automatycznej sekretarki słyszę dziecięcy głosik - głos dziecka, które ma trudności z wymawianiem litery „r”.

- Dzień dobry, tu mieszkanie Petela, Muiel i Blittany. Jeśli...

Brzmienie głosu tej małej dziewczynki, tak słodkiej, delikatnej i dumnej z siebie, kompletnie mnie dobija. Przypomina to skok w przepaść. To, co straciłem. Odkładam słuchawkę.

Przez chwilę korci mnie, żeby zadzwonić tam ponownie i kazać Muriel skasować głos córki z sekretarki. Przecież doskonale wie, jak łatwo każdy może zdobyć jej adres, mając numer telefonu. Czy ona oszalała? Informować przypadkowych dzwoniących, że w domu jest małe dziecko?

Biorę głęboki oddech i rezygnuję z tego pomysłu i wtykania nosa w sprawy innych ludzi. Mimo że jest policjantką, Petrich wciąż żyje w na pozór przyjaznym świecie. Wie jednak - chociaż nie, tak naprawdę wcale nie wie - że wszystko to może wyparować w jednej chwili.

## Rozdział 15

Nie ma sensu zajmować się monetami czy origami, dopóki nie zajrzę do akt policyjnych i nie sprawdzę, co mają. W tej sytuacji, czekając, aż oddzwoni do mnie Petrich, wchodzę do Internetu.

Po raz kolejny zagłębiam się w świat zaginionych dzieci. Już wcześniej wielokrotnie odwiedzałem te strony. Może jednak przegapiłem jakąś wskazówkę, nie zwróciłem na coś uwagi.

Wracam do krainy kartonów mleka; z boku ekranu widnieją reklamy agencji detektywistycznych, specjalizujących się w szukaniu zaginionych dzieci. Otaczają mnie twarze tych, którzy zniknęli - w tym podobizny Kevina i Seana.

Nie, poprawiam się. Nikt nie „znika”. To nie jakaś magiczna sztuczka. Te dzieci uprowadzono. Człowiek, który przybył na Jarmark Renesansowy w przebraniu Szczurołapa z Hameln, porwał Kevina i Seana z mojego świata... i zabrał ich do swojego. A ja zamierzam dowiedzieć się, kim jest i dlaczego to zrobił.

Odwiedzam stronę prowadzoną przez IRE - organizację dziennikarzy śledczych i wydawców. W pierwszej chwili nie widzę związku z moją sprawą. Większość danych na temat porwań dotyczy świata wirtualnego - na przykład „Zagrożenia, jakie niesie Internet”. Dziesiątki historii o tym, jak to nieustraszeni policjanci i agenci FBI zakładają pułapki na czatach.

To jednak nie ma nic wspólnego z moimi dziećmi. Niektórzy sześciolatko wie zdumiewająco dobrze radzą sobie z komputerami, ale nie dotyczy to Kevina ani Seana, którym Liz ściśle ogranicza dostęp do komputerów. A zresztą oni dopiero co nauczyli się czytać, nie potrafią jeszcze literować wyrazów ani pisać na klawiaturze. Niemożliwe, żeby weszli na jakiś czat, nie mówiąc już o umówieniu się z kimś obcym na spotkanie.

Jednakże niektóre artykuły z archiwów IRE przerażają mnie nie na żarty. Jeden z nich opisuje historię pobożnej pary, która prowadziła rodzinny dom dziecka w wiejskiej części Illinois... i sprzedawała dzieci pedofilom. Inny traktuje o jakichś świrach z Idaho, mających obsesję na punkcie morderstw - porwali oni dziesięcioletnią dziewczynkę, by nakręcić film, na którym gwałcą ją i mordują. Koszmar goni koszmar, jeden bardziej ponury od drugiego.

Z innej witryny dowiaduję się, że obcy ludzie dokonują mniej niż sto porwań rocznie i że przeważnie celem nie są małe dzieci, lecz nastolatki. Ponad połowę stanowią dziewczynki w wieku ponad dwunastu lat. Odwiedzam dziesiątki stron, do których odsyła mnie wyszukiwarka, a każda z nich związana jest z zaginionym dzieckiem. Przeglądanie tego smutnego katalogu twarzy działa na mnie przygnębiająco. Same witryny z kolei przypominają wysunięte placówki na obrzeżach tego bezkresnego świata, wołając niczym fotografie na kartonach mleka: CZY WIDZIELIŚCIE TĘ DZIEWCZYNKĘ?

Strzelanie na oślepa.

Surfując po sieci, wciąż natykam się na strony poświęcone konkretnym dzieciom - i z radością stwierdzam, że jest wśród nich [szukamy-kevina-i-seana.com](http://szukamy-kevina-i-seana.com)



Po prawej stronie ekranu pojawiają się także płatne ogłoszenia informujące o zaginionych. Zapisuję sobie, żeby zapytać Ezrę, mojego geniusza od komputerów, ile takie coś kosztuje. Teraz, kiedy moi chłopcy pojawiają się w wiadomościach tylko okazjonalnie, być może warto zamieścić płatne ogłoszenie, wyskakujące przy wyszukiwaniu takich tematów, jak „uprowadzone dzieci”.

I może mimo wszystko nadszedł czas, by zatrudnić specja od kontaktu z mediami. Kogoś, kto mógłby załatwić specjalny program w *20/20* albo w *Dateline*, żeby chłopcy nie zniknęli całkiem z ekranu. Rodzinie Smartów udało się to zorganizować wiele miesięcy po uprowadzeniu córki - godzinny program specjalny, pełen fotografii porwanego dziecka. Program ten (obejrzałem go na wyraźne żądanie Claire Caroselli z centrum) niezbicie dowodził, że policja skupiła całą uwagę na pewnym majstrze - byłym skazańcu, który zmarł kilka miesięcy po porwaniu. Była to całkiem wiarygodna teoria, dodatkowo poparta materiałem dowodowym związanym z samochodem tego człowieka - chociaż wdowa po nim zaklinała się, że jej mąż był niewinny.

Nawet po śmierci głównego podejrzanego rodzina Smartów robiła wszystko, by sprawa ich córki wciąż przykuwała uwagę widzów. Być może liczyli tylko na odnalezienie jej zwłok, ale płynęła z tego cenna nauka - nie przywiązuj się zbyt do żadnej teorii!

Coś mnie tknęło, żeby dopisać w wyszukiwarce „bliźniaki”, obok innych kluczowych słów, jak „porwanie”, „zaginione”, „dzieci”.

Google wypłuka z siebie ponad sto tysięcy stron.

Zawężam poszukiwania do „zaginionych bliźniaków”. Wciąż jednak dostaję ponad trzydzieści trzy tysiące adresów. Przeglądam je przez jakieś dwadzieścia minut, tylko po to, by się przekonać, że praktycznie wszystkie te strony poświęcone są Kevinowi i Seanowi.

Korzystając ze swojego telewizyjnego hasła dostępu, loguję się na Lexis/Nexis. Wprowadzam do wyszukiwarki „zaginione bliźniaki” i ograniczam poszukiwania do publikacji sprzed daty uprowadzenia moich synów.

Lista obejmuje ponad tysiąc odnośników, jednak przeglądając je, stwierdzam, że w zasadzie temat uprowadzenia bliźniąt dotyczy tylko trzech przypadków.

Chłopcy Ramirezów. Prasa odgrzała tę sprawę natychmiast po porwaniu Kevina i Seana, a to z powodu uderzających podobieństw obu historii. Julio i Wilson Ramirez zostali uprowadzeni z zajęć na siłowni w zachodnim Los Angeles. I mało, że byli identyczni, to w chwili porwania mieli po siedem lat... czyli mniej więcej tyle co Kevin i Sean.

Myślałem o nich już w pierwszej godzinie tego koszmaru, siedząc na ławce przed biurem Gary’ego Prebble’a z ochrony jarmarku.

Ta historia wydarzyła się mniej więcej dwa lata temu. Po zniknięciu chłopców prowadzono szeroko zakrojone poszukiwania - choć nie dość szerokie, by nie narazić się na publiczne zarzuty, że władze bardziej by się starały, gdyby chłopcy nie byli pochodzenia meksykańskiego.

Trzy miesiące później zabójcę złapano, że tak powiem, na gorącym uczynku. Aresztowano go w rozwalającej się górskiej chacie w pobliżu Big Sur. Znaleziono tam także zwłoki chłopców - ciało jednego, poćwiartowane i starannie popakowane niczym porcje wołowiny, leżało w lodówce, drugie zaś wisiało w szybie studni. Po przewiezieniu do aresztu zabójca od razu wyjawiał władzom swoją tożsamość. Okazało się, że jest nim Charley Vermillion, psychopata i maniak seksualny, zwolniony z

wariatkowa w Luizjanie miesiąc przed porwaniem Ramirezów. Zakuto go w kajdanki, poinformowano o przysługujących mu prawach i wsadzono do radiowozu. Zanim jednak wóz policyjny dotarł do miejscowego więzienia, Vermillion już nie żył - połknął bowiem kapsułkę z cyjankiem potasu, którą miał przyklepioną pod kołnierzem koszuli.

Tym samym sprawa Ramirezów została definitywnie zamknięta, a skoro sprawca nie żył, nie mógł mieć nic wspólnego z moimi synami. I Bogu dzięki! Wprawdzie i Shoffler, i FBI sprawdzali, czy nie mamy do czynienia z naśladowcą, do niczego jednak nie doszli.

Drugi zestaw publikacji odnosi się do bliźniaczek Gabler. To jednak pudło, bo po pierwsze chodziło o kobiety, w dodatku o tancerki z Vegas. Artykuły o nich pojawiły się na liście tylko dlatego, że pośród kluczowych słów zamieściłem „dzieci”, a gazety podawały, że krótko przed zniknięciem siostry Gabler występowały w musicalu zatytułowanym *Dzieci przyszłości*, w lokalu o nazwie Niebieska Papuga.

Zniknęły mniej więcej trzy lata temu i odnalazły się miesiąc później - ich zwłoki, w stanie daleko posuniętego rozkładu, odkryto w „dzikim terenie” dwadzieścia mil za Vegas. Fotografie prasowe ukazywały Gablerówny za życia, stojące obok siebie w skąpych kostiumach, uśmiechnięte, w siatkowych pończochach na długich nogach i z futurystycznymi fryzurami. Trudno wyobrazić sobie związek między ich porwaniem a uprowadzeniem moich synów.

Pozostają więc bliźniacy Sandling - Chandler i Connor. Tę sprawę także już znam - tyle że ta akurat zakończyła się pomyślnie. Jeśli dobrze pamiętam, w porwanie zamieszana była matka dzieci... ale chyba nigdy nie została skazana. Zdaje się, że miał z tym coś wspólnego także jej konkubent.

Z powodu rzekomego udziału matki tak naprawdę nigdy nie interesowałem się tą sprawą. Teraz chcę się jej przyjrzeć bliżej, bo właśnie wpadła mi do głowy pewna myśl: czy jeszcze inni rodzice uprowadzonych dzieci byli bezpodstawnie podejrzewani?

Czytam materiały. Początkowo wszystko wygląda tak, jak zapamiętałem. W przeciwieństwie do mnie Emma Sandling nie była szacownym członkiem społeczeństwa, lecz włóczęgą; twierdzenie, że prowadziła „niekonwencjonalny tryb życia” byłoby grubym nieporozumieniem. Ta uzależniona od heroiny narkomanka i stała klientka oddziałów odwykowych nie sprawdzała się w roli matki. Jej synowie często przebywali pod opieką przyjaciół bądź krewnych, wielokrotnie też lądowali w domach dziecka.

Niektóre artykuły wspominają o incydencie, do którego doszło podczas jednego z pobytów Connora i Chandlera w domu dziecka, określając go jako „pierwsze porwanie”. W trakcie lektury stwierdzam, że w tym wypadku użycie słowa „porwanie” jest nieuczciwe, że to grube (i wprowadzające w błąd) nieporozumienie. W sumie chodziło o to, że Emma Sandling, zabrawszy synów na przyznane jej sądownie spotkanie, odwiozła ich dwa dni później, niż powinna... jak twierdziła, z powodu awarii samochodu.

Pisano także o tym, że Sandling miała „stałego przyjaciela” oraz że w chwili porwania mieszkała z synami w namiocie na terenie parku stanowego koło Corvallis, w Oregonie.

Mężczyzna ów - Sandling upierała się, że to po prostu przyjaciel - nazywał się Dalt Trueblood i był zwykłym włóczęgą. Sandling poznała go na odwyku i kiedy przypadkiem wpadła na niego w bibliotece w Eugene, zaproponowała, by pomieszkał w jej namiocie przez kilka tygodni. Okazało się, że Trueblood naruszył zasady zwolnienia warunkowego, choć kobieta utrzymywała, że nie miała o tym pojęcia.

O ile służbom powołanym do ochrony dzieci nie podobało się, że Sandling mieszka z chłopcami w namiocie, o tyle dużo bardziej niepokoił je fakt, że wkwaterował się do nich poszukiwany przestępca. Gdy chłopcy zniknęli, Trueblood także gdzieś przepadł i dopóki nie odnalazł się kilka

tygodni później

(kiedy pijany, odziany w czerwoną pelerynę, zakłócał porządek, kierując ruchem pojazdów na skrzyżowaniu w centrum Portland), można było przypuszczać, że dzieci są razem z nim.

Biorąc pod uwagę narkomanię, styl życia i zniknięcie konkubenta Sandling, po zaginięciu chłopców wszystkie podejrzania skupiły się na niej. Przyjęto założenie, że działa w porozumieniu z Truebloodem i że wspólnie zamierzają wystąpić z żądaniem okupu, do czego jednak nie doszło. Jeśli zaś chodzi o Trueblooda, aresztowany przez policję w Portland wyjaśnił podczas przesłuchania, że uprowadzenie dzieci go „wystraszyło”.

Okoliczności, w jakich doszło do porwania, były bardzo proste - Sandling zabrała synów do McDonalda w Corvallis, żeby zafundować im zestaw Happy Meal. Zostawiła ich, żeby się pobawili piłkami, i poszła złożyć zamówienie. Na placyku zabaw nie było innych dzieci, dorosłych zresztą też nie. Przy stolikach siedziało dziewięć osób, w tym sześciu starszych panów, pochłoniętych dyskusją o książkach. Gdy Sandling wróciła z jedzeniem, dzieci już nie było.

Tak się dla niej pechowo złożyło, że klienci i personel McDonalda zapamiętali ją, nikt jednak nie zauważył chłopców. Do części artykułów dołączono schemat restauracji, z którego jasno wynikało, że aby dostać się do placu zabaw, Sandling musiała przejść z synami przed klientami i personelem lokalu. Pomijając dziewięciu gości, w chwili zniknięcia chłopców za ladą urzędowało sześciu pracowników McDonalda, a na pasie dla klientów zmotoryzowanych stały dwa samochody. Mimo to nikt nic nie zauważył.

Na niekorzyść matki przemawiał także fakt, że w okresie gdy zgłosiła zniknięcie chłopców, często zostawiała ich samych w bibliotece publicznej, gdzie czekali na nią godzinami, a tymczasem ona pracowała po domach jako sprzątaczką.

Łatwo przewidzieć, jaki był dalszy rozwój wydarzeń - lawina oskarżeń ze strony machiny biurokratycznej zajmującej się ochroną dzieci w stanie Oregon oraz dochodzenie policyjne, skoncentrowane na osobie Emmy Sandling. Sędziego, który rok wcześniej zezwolił na powrót dzieci do matki po odwyku, atakowano ze wszystkich stron. Pod adresem pracowników opieki społecznej, którzy zaświadczyli, że Emma Sandling po terapii jest godna zaufania, kierowano obelżywe domysły. Powszechnie bito się w piersi, zastanawiając się, w jaki sposób bliźniaki - Chandler i Connor - prześliznęli się przez dziury („sito”, jak to ujęła pewna gazeta z Portland) systemu. Nawoływano do wszczęcia dochodzenia w tej sprawie oraz do gruntownej reformy systemu opieki nad dziećmi.

Opierając się na własnych doświadczeniach, przypuszczam, że Emmie Sandling zaaplikowano potężną dawkę przesłuchań, z tą różnicą, że ona przynajmniej miała dość rozsądku, by wynająć adwokata. Nie przedstawiono jej zarzutów, jedynie zatrzymano ją na trzydzieści dwie godziny „do wyjaśnienia”.

Chłopcy odnaleźli się osiem tygodni później, w centrum handlowym koło kalifornijskiego miasteczka Eureka. Według gazety „Sacramento Bee” „przez długi czas” jechali w małej przyczepie mieszkalnej, aż w końcu kierowca zatrzymał się, by zatankować benzynę. Właściwie była to ciężarówka z przyczepą w której kabina kierowcy jest oddzielona od części pasażerskiej. Chłopcy czekali, żeby kierowca ich wypuścił. Chcieli mu powiedzieć, że z tyłu jest im za gorąco; mieli ochotę na lody; chciało im się siusiu. Ale kierowca nie przyszedł. Bębnił więc w ścianę przyczepy i krzyczeli; któryś z nich rzucił się na drzwi i, ku ich osłupieniu, otworzyły się.

Wyszli na zewnątrz. Jeden z nich chciał pójść do sklepu na stacji, by odnaleźć kierowcę i wziąć od niego pieniądze na lody. Ale drugi zaczął powątpiewać w bajeczkę, którą uraczył ich porywacz. Niepokoiło go to, że ani on, ani brat dotychczas ani razu nie opuścili domu, w którym byli przetrzymywani, dopiero podczas tej wyprawy ciężarówką. Chciał zadzwonić do najlepszej

przyjaciółki mamy, Phoebe. Dlatego razem z bratem pobiegli do centrum handlowego, weszli do środka i zaczęli szukać budki telefonicznej. W dzwonieniu na koszt odbiorcy byli starymi wygami, ale telefon był zepsuty. Wobec tego weszli do sklepu z pamiątkami i spytali, czy mogą stamtąd zadzwonić na koszt rozmówcy. Ekspedientka rozpoznała ich i wezwała policję.

Zanim radiowóz zdążył dotrzeć na miejsce, ciężarówka odjechała.

Medialne relacje o szczęśliwym połączeniu Emmy Sandling z synami wkrótce ucichły, a pojawiły się cyniczne spekulacje na temat tego, jakim to cudownym sposobem drzwi ciężarówki „same się otworzyły” i jak to matka za wszelką cenę starała się uchronić chłopców przed agresywnymi przesłuchaniami władz (wynajęła nawet w tym celu adwokata, który zgodził się reprezentować ją za darmo). Nic dziwnego, że w obliczu tak negatywnego stanowiska części policji i większości społeczeństwa, pomimo pochlebnych referencji od pracodawców, nauczycieli ze szkoły, do której chodzili chłopcy, oraz przyjaciół, zaświadczających o tym, że Sandling naprawdę całkowicie się zmieniła - matka odzyskała prawo opieki nad synami dopiero po upływie kilku miesięcy i złożeniu pozwu do sądu.

Rozszerzam zakres poszukiwań i ściągam wszystko, co tylko można, na temat sprawy Sandlingów. Dwie godziny później jestem przekonany, że moje wrażenie było oparte na relacjach prasowych, które zrobiły z Emmy Sandling kozła ofiarnego. Wygląda na to, że Shoffler też to kupił, podobnie jak Judy Jones z FBI - a w każdym razie, pomimo uderzających podobieństw, nigdy nie dostrzegali związku tej sprawy z moją.

Podobieństwa te - porwanie sześciolatnich bliźniaków w miejscu publicznym - są tak zdumiewające, że nie mogę się oderwać od lektury wycinków prasowych. Być może coś przegapiłem, kiedy czytałem je z nastawieniem, że to sytuacja osobista Sandling doprowadziła ją do tego, by w jakiś sposób zorganizować porwanie własnych dzieci. Powtórna lektura świadczy jednak o tym, że nic nie przemawia za inną wersją wydarzeń niż podana przez matkę. Trueblood miał alibi. Nie trafiono na ślad innego współnika. Emma Sandling nie zmieniła swych zeznań ani na jotę. A z nagrody, którą wypłacono sprzedawczyni w sklepie z pamiątkami, nie dostała ani grosza.

Następne dwie godziny spędzam na rozmowach z policjantami z Corvallis i Eureka. Gdy na wstępie przedstawiam się i wyjaśniam, co mnie interesuje - sprawa Sandlingów - wszyscy zbywają mnie i kręcą. A kiedy naciskam, natrafiam na mur milczenia.

Dzięki nazwiskom opublikowanym w relacjach prasowych z porwania udaje mi się wytropić numery telefonów klientów Emmy Sandling, jej opiekunów społecznych, adwokata i wszystkich innych, o których wspominało w gazetach. Obdzwaniam połowę z nich i za każdym razem spotykam się z taką samą reakcją. Nie wiedzą, gdzie przebywa Emma Sandling. Nie potrafią mi pomóc.

Gdy uświadamiam sobie, że na zewnątrz jest już ciemno i że spędziłem zgarbiony nad komputerem wiele godzin, wstaję z krzesła. Nie zamierzam przerywać poszukiwań Emmy Sandling, ale zdaję sobie sprawę, że powinienem coś zjeść. Odkąd Liz odeszła, stale chudnę - do tego stopnia, że ludzie zaczęli mi zwracać na to uwagę.

Idę przetrząsnąć kuchnię, choć wiem, że niewiele znajdę. W lodówce są dwa kawałki zeschniętego sera, spleśniały melon i pół galona mleka, które zdążyło już skwaśnieć. W zamrażalniku - tylko lód w kostkach i samotna mrożona pizza. Szukam na opakowaniu daty ważności, znajduję ją pod warstwą kryształków lodu i stwierdzam, że termin przydatności do spożycia minął ponad rok temu.

Przygnębia mnie to. Ta pizza leżała w lodówce jeszcze przed moim rozstaniem z Liz, zanim moje życie rozsypało się w proch. Zapewne kupiliśmy ją dla chłopców. Przez chwilę wynoszę tę pizzę niemal do rangi talizmanu. Czuję wewnętrzny opór przed wyrzuceniem jej do śmieci. Kręcę głową,

wylewam mleko do zlewu i wyrzucam całą resztę.

Zazwyczaj jadałem na mieście. Teraz muszę z tym skończyć, już mnie na to nie stać. Obiecuję sobie, że jutro pójdę na zakupy, wezmę jakieś potrawy reklamowane w telewizji. I coś zdrowego. Jabłka. Sok pomarańczowy.

Po raz pierwszy od czasu uprowadzenia chłopców wkładam buty do biegania i wychodzę w wilgotną waszyngtońską noc. Zupełnie straciłem kondycję, a mimo to bieg przynosi mi ulgę. Cieszy mnie fakt, że się ruszam, że zalewa mnie pot, radość sprawia mi rytmiczny ciężki oddech. Podoba mi się, że samochody mijają mnie z warkotem silników, a ich halogeny przecinają mgłę; że skupiam się na sprawach podstawowych - gdzie postawić stopę, jak najskuteczniej lawirować między pieszymi, jak wyliczać tempo biegu, żeby nie musieć zmieniać rytmu przed skrzyżowaniami.

Mniej więcej po kwadransie zawracam. Wstępuję do sklepu 7-Eleven na rogu Porter i Connecticut i dysząc ciężko, zlany potem, wyciągam z kieszonki szortów pięć dolarów. Banknot też jest mokry od potu.

Za ladą siedzi dziewczyna, którą Jack nazywa „Zwolnionym Filmem” („O nie, znowu trafiliśmy na Zwolniony Film”). Jest szczupła, nieśmiała, prawie jeszcze dziecko. Ma piękną twarz. Wszystko robi tak niewiarygodnie powoli, że klienci, którzy ją znają, zawracają, jeśli do kasy czeka więcej niż jedna osoba.

- Dwa razy wołowina po jamajsku - mówię. To na kolację: tłuste, ale smaczne mięsne paszteciki.

Ekspedientka podnosi na mnie olbrzymie brązowe oczy, po czym spuszcza wzrok na dłonie.

- Pan jest ten, co mu dzieci zgubiły - mówi.

- Tak.

- Mój wujek... on to wie z innego świata. - Przytyka palec do czoła. - On mówi, pana dzieci nic nie być.

- Pani wujek? Co to za inny świat? Czy on wie, gdzie są moje dzieci?

- Nie, nie. - Splata palce i ucieka wzrokiem w bok, ze zwieszoną głową. - To... jak wy to mówić... świat duchowy. On mówi, pana dzieci nie tam, one być tutaj. Mówię mu, pan mieszkać blisko i być w sklepie wiele razy. Mój wujek, on mówi tak... pana dzieci nic nie być. Ja sobie myślę, pan chce wiedzieć. - Jej twarz układa się w nieśmiały uśmiech, który jest czymś w rodzaju wzruszenia ramion.

- Dziękuję. - Mówię to jak najbardziej serio. Chwytam się każdego promyka nadziei. - Dziękuję, że mi to pani powiedziała.

- Nie ma za co. - Milknie na chwilę. - Na ostro czy zwykłą?

Wrzucam resztę do wielkiego szklanego słoja, w którym zbierane są datki dla małej Belindy, chorej na białaczkę. Kolejne chwytanie się ostatniej deski ratunku - tak jak witryny internetowe, kartony mleka, cały ten chłam. Gdy chodzi o życie dzieci, nie myślisz o procentach i prawdopodobieństwie; robisz wszystko, co w twojej mocy.

- Dziękuję, że powiedziała mi pani, co mówił wujek - powtarzam. Moja wdzięczność płynie z głębi serca; zdumiewa ją, jak ten spontaniczny wyraz poparcia podnosi mnie na duchu.

W nagrodę Madonna za kasą obdarza mnie uszczęśliwionym uśmiechem.

## Rozdział 16

- Poczekaj - rzuca Shoffler. - Właśnie kończymy nasiadówkę. - Słyszę czyjeś głosy, szum wind, Shofflera, który z kimś się żegna. W końcu detektyw mówi do słuchawki: - Co jest?

- Bliźniaki Sandling.

Gdybym go nie znał tak dobrze, być może nie zwróciłbym na to uwagi, wyraźnie jednak

wyczuwam w jego głosie wahanie i rezerwę.

- No i...?

- Im więcej o nich czytam, tym bardziej przypomina mi to historię z Kevinem i Seanem. Podobieństwa są zdumiewające. Nie rozumiem, jak ty i Judy Jones mogliście uznać, że ta sprawa nie ma żadnego związku. Kompletnie ją zlekceważyliście.

I znów to napięcie w jego głosie, ta postawa obronna.

- Sprawdziliśmy to, Alex. Możesz mi wierzyć. Słuchaj... do tamtego porwania doszło po drugiej stronie kontynentu. Zgadza się tylko wiek chłopców i fakt, że są bliźniakami. To wszystko.

- To wszystko?!

- Poza tym nie ma innych podobieństw. - Detektyw chrząka głośno. - Wiesz, ta ich matka... trudno ją uznać za filar społeczeństwa.

- Posłuchaj, Ray... przeczytałem o tej sprawie wszystko, co tylko udało mi się znaleźć. Na mój gust Emma Sandling może i nie jest matką Teresą, ale nic nie wskazuje na to, żeby miała cokolwiek wspólnego z porwaniem swoich dzieci.

- To twoje zdanie. Może są rzeczy, o których nie wiesz.

- Na pewno są. Bo z tego, co wiem, kiedy już chłopcy odnaleźli się w Eurece, niespecjalnie starano się znaleźć porywacza.

- Mylisz się - prostuje Shoffler. - Prowadzono śledztwo. I to bardzo drobiazgowo. Ale matka nie kwapiła się z pomocą.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Chcę powiedzieć, że Emma Sandling odmówiła współpracy. Rzekomo, jak twierdziła, ze strachu o bezpieczeństwo synów, ale nie wszyscy kupili tę bajeczkę. Sam popatrz... jej dzieci są zdrowe i całe, wszystko zakończyło się szczęśliwie. Przez kilka dni ta historia nie schodziła z czołówek gazet, jako prawdziwy cud. I co się dzieje dalej? Nie ma sprawcy, nikomu nie przedstawiają zarzutów, nie wiadomo, jak to było, nie ma procesu. Są tylko chłopcy i policyjne śledztwo, które utknęło w ślepych zaułku. A dlaczego? A dlatego, że obojętne, czy matka była w to zamieszana, czy rzeczywiście obawiała się o swoje dzieci, nie puściła pary z ust i synom też zabroniła mówić.

- Mogłaby wyciągnąć z prasy i z telewizji ładny kawał grosza, bez dwóch zdań.

- Właśnie, co może przemawiać za jej uczciwością. Albo za tym, że ogranicza straty. Im bardziej człowiek przygląda się tej sprawie, tym wyraźniej widać jej rolę.

- Jeżeli odgrywała w tym jakąś rolę.

- Zgoda, jeżeli. Ale powszechnie uważano, że przyłożyła do tego rękę... kombinowała, jak by wyciągnąć z tego forszę, tyle że wszystko wzięło w łeb. A wtedy mamusia Sandling dała nogę.

- Nie sądzę.

Shoffler milczy przez chwilę. W końcu pyta:

- Dlaczego?

- Dlatego, że im bardziej się w to zagłębiam, tym bardziej czuję przez skórę, że tamte dzieciaki i moje uprowadził ten sam facet. Tamci mu uciekli, więc porwał moich synów, żeby ich zastąpili.

- Hm. - Przerwa. - Czujesz przez skórę?

- Nie czepiaj się, Shoff, schemat działania jest taki sam.

- Na Zachodnim Wybrzeżu mają pewnie bliźniaków na kopy. Po co gość miałby się telepać przez cały kraj aż tutaj?

- Tego nie wiem, ważne, że cała ta historia Sandlingów brzmi zupełnie jak sprawa z moimi dziećmi. Chyba przyjrzę się temu bliżej. Tylko nie bardzo mam jak, bo po pierwsze Emma Sandling znikła, rozplynęła się w powietrzu.

- Próbowałaś ją znaleźć, hę?

- Owszem. W moim fachu szukanie ludzi to jedna z umiejętności zawodowych. Każdy reporter musi mieć swoje źródła informacji i umieć odnaleźć tych, którzy nie chcą, żeby ich znalezione. Ale Emmy Sandling znaleźć nie mogę.

- Uhm.

- Szukając jej, gadałem z tymi gliniarzami z Oregonu. A raczej niezupełnie tak. Nie gadałem z nimi, tylko do nich.

- Nie rozumiem...

- Zadzwoń do obu okręgów... do Corvallis, gdzie chłopcy zniknęli, i do Eureka, gdzie wydostali się z przyczepy. W Eureka powiedzieli mi, co wiedzieli, czyli niewiele. Ale w Corvallis? Nie dowiedziałem się niczego, Ray! Jakbym walił głową w ścianę. Tamtejsi gliniarze nie chcieli mi nic powiedzieć i wcale się z tym nie kryli. Wstawiali mi tylko jakieś głodne kawałki o „ochronie danych osobowych”.

- I dlatego dzwonisz do mnie? - Wzdycha ciężko.

- Tak. Pomyślałem, że może ty byś z nimi pogadał. Niech wiedzą, że nie będę im przysparzał problemów.

Odpowiedź pada dopiero po dłuższej chwili:

- Przykro mi, Alex. Nie mogę ci pomóc. Chciałbym, naprawdę, ale mam związane ręce.

- Związane ręce? Ray, tu chodzi o moje dzieci! Nie możesz...

Ale detektyw już się rozłączył.

Dwie godziny później jestem w Greenbelt, w Marylandzie, i czekam na Shofflera przed jego domem. Dom jest całkiem inny, niż sobie wyobrażałem... choć nie jestem pewny, czego się spodziewałem. Wiem, że Shoffler pracuje po siedemdziesiąt godzin na tydzień, że robota kosztowała go dwa małżeństwa. Prawdopodobnie sądziłem, że zastanę jakąś tymczasową budę do spania, a tymczasem schludny wiejski domek przede mną jest miły, przytulny, z drewnianym ogrodzeniem i starannie utrzymanymi klombami. Drzwi porośnięte są nawet winoroślą.

Początkowo siedzę na werandzie, lecz z nadejściem zmroku chmara kąśliwych komarów wygania mnie do samochodu. Czekam, słuchając radiowej transmisji z meczu Oriolesów, i co pewien czas włączam klimę, gdy robi się za gorąco.

Głęboki metaliczny wstrząs, dochodzący jak gdyby z mojej czaszki, wrywa mnie z drzemki. Ten dźwięk to pukanie do drzwi samochodu, co uświadamiam sobie dopiero wtedy, gdy otworzywszy oczy, spostrzegam twarz Shofflera, majaczącą za szybą z mojej strony wozu.

Mój widok bynajmniej go nie cieszy. Detektyw stoi jak czający się do skoku drapieżnik, częściowo w cieniu, oświetlony zielonkawym światłem latarni. Wygląda okropnie - jest zirytowany i tak wykończony, że odruchowo rzucam okiem na zegar na tablicy rozdzielczej, by sprawdzić, która godzina: trzecia trzydzieści dwie nad ranem.

Moją skórę oblepia wilgotna powłoka. W gardle czuję niesmak, a usta mam spieczone i spękane. Przylepiona do skórzanego oparcia fotela koszula mlaska cicho, kiedy siadam prosto i sięgam do klamki. Ale Shoffler blokuje drzwi jeeпа wielką łapą i łypie na mnie spode łba.

- Wracaj do domu, Al ex.

- Nie.
- Wracaj, i już.
- Musimy pogadać.

Odwraca się na pięcie i rusza do domu; znika w środku, zanim udaje mi się wygramolić z samochodu. Przynajmniej z dziesięć razy naciskam na dzwonek, który wydaje dźwięczne „ding-dong”. Nie do wiary! Czekałem na jego podjeździe sześć godzin. Wróciwszy do jeepa, mam ochotę nacisnąć klakson, narobić rabanu, zmusić Shofflera, żeby do mnie wyszedł. Ale przypomniawszy sobie jego minę, uznaję, że to kiepski pomysł.

W ostatnich tygodniach spędziłem z Shofflerem wiele czasu i spijałem słowa z jego ust z ekstatycznym uwielbieniem kochanka, nieustannie oczekując na jakiś sygnał - czy dowiedział się czegoś? Czy ma jakieś nowe wieści? Nabrałem biegłości w czytaniu mowy ciała - zmiany głosu, gestów, wyrazów twarzy.

Poza tym wiem, że policjanci i wojskowi przykładają wielką wagę do szacunku otoczenia. Jeśli zacznę trąbić i narażę publiczny wizerunek Shofflera, niczego w ten sposób nie osiągnę. Mógłby mnie nawet aresztować. Przystawiam samochód dwie przecznice dalej i nastawiam budzik w telefonie komórkowym na szóstą. Nie dam mu się przyłapać na drzemce po raz drugi.

Opuszczając dom o siódmej czterdzieści cztery, wygląda wyjątkowo dziarsko jak na człowieka, który w najlepszym razie spał cztery godziny. Nagle spostrzega mnie, gdy wychodzę zza jego wozu.

Ręce mu opadają. Kręci głową.

- Jezu, Alex.

Czekam bez słowa. Elektryczny zamek z trzaskiem otwiera drzwi crown victorii.

- Wsiadaj - mówi detektyw.

- Co?

- Wsiadaj.

Na dworze jest już gorąco, białe słońce przedziera się przez matową mgiełkę na niebie. W samochodzie panuje zaduch. Śmierdzi starym żarciem na wynos, papierosami i odświeżaczem powietrza o zapachu sosny. Spędziłem z Shofflerem dostatecznie wiele czasu, by dowiedzieć się o nim tego i owego - że żłopie kawę od rana do nocy, kopci papierosy, gdzie tylko się da, i przeważnie jada w samochodzie.

Wyjeżdża tyłem z podjazdu, opuszcza szyby. W pierwszej chwili myślę, że jedziemy na kawę, pączki albo do sklepu 7-Eleven, wkrótce jednak jesteśmy na szosie numer 50, pośród pędzących z szumem wozów. Detektyw obok mnie milczy. Po kilku minutach naciska jakieś przyciski i podnoszą się wszystkie szyby, oprócz tej po jego stronie. Shoffler wali pięścią w powietrze, zapala papierosa i zaciąga się łapczywie. O dziwo - choć nie ze względu na mnie - wydmuchuje dym za okno. Jest wkurzony i irytacja uchodzi z niego wszystkimi porami.

- Dokąd jedziemy?

- Mam spotkanie - odpowiada. - Na Kapitolu.

- Ale...

- Chcesz pogadać? Ja mam czas tylko teraz. Jak chcesz wrócić po swój wóz przed północą, to już twój problem.

- Zgoda.

Tłumię odruch, żeby go przeprosić, żeby powiedzieć coś, cokolwiek, co by rozładowało panujące w samochodzie napięcie. Tak jest lepiej, to dobrze, że obaj jesteśmy wkurzeni. Dzięki temu



nie będzie pieprzenia w bambus.

Jedziemy teraz szosą 95. Shoffler lawiruje w gęstym ruchu; prowadzi tak brawurowo i agresywnie, że z trudem powstrzymuję się, by nie zapierać się stopami o podłogę. Wypala papierosa aż po sam filtr, gasi niedopałek w pełnej po brzegi popielniczce i zamyka ją.

Nie dogasił go całkiem i po chwili ze szczeliny popielniczki zaczyna dobywać się cienka strużka dymu i gryzący smród fajczącego się filtra. Kilka minut później detektyw znowu otwiera popielniczkę i zalewa kopnącą masę zimną kawą. Płyn z sykiem gasi niedopałki, w wyniku czego bucha inny, jeszcze gorszy smród.

- Aromaterapia - wyjaśnia Shoffler. Zamyka popielniczkę i zaczyna od zewnątrz bębnić palcami po drzwiach. - Słuchaj - odzywa się po chwili. - Ja wcale nie jestem na ciebie wnerwiony.

- Nie?

- A wiesz dlaczego? Bo masz rację.

Skreca raptownie wielkim wozem w szczelinę, która powstała nagle na lewym pasie, na co inni kierowcy z oburzeniem reagują trąbieniem klaksonów. Shoffler wystawia rękę za okno i pokazuje im środkowy palec.

- Moja córka twierdzi, że jeszcze nie dorosłem... to są jej słowa. A ja jej tłumaczę, że według mnie na tym właśnie polega dorosłość... ja tylko pokazuję palantom palec, zamiast zepchnąć ich z drogi. - Garbi się, klepie po górnej kieszeni w poszukiwaniu papierosów, wyciąga jednego, zapala. - To co... mamusia Sandling?

- Tak.

- To tak jak ze sprawą Snajpera. Wszyscy twierdzą, że to biały odludek... biały, biały, biały. Biały facet w białej furgonetce. Pewnie o tym nie wiesz, ale w miarę rozwoju sytuacji niektórzy u nas w okręgu... a mam na myśli czarnoskórych policjantów... przestali w to wierzyć. Na podstawie zeznań świadków i nagranych na taśmie głosów sądzą, że to ich ziomal. Poza tym uważają, że porusza się przerobionym radiowozem, niebieskim crown victoria albo chevy caprice... oni to nazywają „złomem”. Niektórzy młodociani przestępcy lubują się w wycofanych z użytku radiowozach... albo z przekory, albo dlatego że te stare graty ciągną jak złoto. Tak czy inaczej, sęk w tym, że reszta z nas nic o tym nie wie. Dlaczego nikt, na żadnej odprawie, nie piśnie słówka na temat czarnego faceta w niebieskim sedanie, który mówi o sobie „my”?

Kręcę głową.

Shoffler wsadza peta w stertę zgniecionych niedopałków.

- Czy aby nie dlatego, że hrabstwo Montgomery zostało podane do sądu za praktyki rasistowskie?

- Bez jaj. Shoffler kiwa głową.

- W sprawie Sandling też mamy sprawę w sądzie, a nawet kilka. Widzisz, Jones i ja zauważyliśmy te zbieżności. Więc Jones łapie za słuchawkę i drynda do Corvallis. I co? Myślisz, że nam pomogli, że poszli nam na rękę? Nie. Krótko mówiąc, kazali nam spadać na drzewo.

- Spławili agentkę FBI?

- Byli uprzejmi, skorzy do pomocy, a jakże, ale owszem, spuścili ją jak wodę w sraczu.

- Dlaczego?

- Bo-spra-wa-jest-w-są-dzie. Rzecz wygląda tak: Emma Sandling ma zastrzeżenia co do sposobu, w jaki prowadzono sprawę jej synów. Więc skarży tamtejszą policję... o to, że zbyt długo trzymano ją w areszcie, o sposób prowadzenia śledztwa, o to, co działo się później, o co tylko się da. Złożyła pozew o spapanie śledztwa i jeszcze jeden, o dyskryminację z powodu trybu życia.

- Jak to?

- Jej papuga twierdzi, że konstytucja wszystkim gwarantuje równe prawa, bez względu na przynależność klasową czy styl życia, dokładnie tak samo, jak zabrania dyskryminacji rasowej, religijnej, a także ze względu na płeć czy pochodzenie społeczne.

- Że niby wynika to z konstytucji?

- Taaa. Dobre sobie, co? A teraz pamiętaj, że tamtejsi gliniarze nie ufają Sandling. Wciąż podejrzewają, że tylko chroni własną dupę, że była w to zamieszana. Więc zadaj sobie pytanie, po jaką cholere miałaby gadać z kimkolwiek reprezentującym prawo? Gliniarze uważają, że maczała w tym palce.

Odebrano jej dzieci... i odzyskała je dopiero po wielomiesięcznej walce. Udało jej się to tylko dlatego, że jakiś dobroduszny sędzia nie uznał zostawiania dzieci w bibliotece i mieszkania w namiocie za zaniedbywanie obowiązków rodzicielskich. Bo po reformie opieki społecznej, przy tym wskaźniku bezrobocia i braku alternatywy dla opieki nad dziećmi, co miała biedna zrobić? W każdym razie kiedy Jones zadzwoniła tam, żeby dali jej numer telefonu Sandling, dostała figę z makiem.

- Sandling nie chce gadać.

- Właśnie. Mamuśka nie chce gadać, gliny nie chcą gadać, adwokaci nie chcą gadać. Pytaliśmy wszystkich.

- Czy ona wie o Kevinie i Seanie?

Detektyw odwraca do mnie wielką głowę i przygląda mi się.

- A jak myślisz? Sądzisz, że mogłaby o tym nie słyszeć? No chyba że mieszka na Marsie. Nie, po prostu porwanie twoich dzieci przypomniało jej tamtą historię. I się przeraziła.

- Skąd wiesz?

- Mieliśmy połączenie konferencyjne... ja, Jones, Sandling i jej adwokaci. Możesz sobie wyobrazić, jaki mieliśmy pożytek z adwokatów... cały czas wbijali jej do głowy, że nie musi z nami rozmawiać, że nie musi odpowiadać na takie czy inne pytanie. Ale myśmy ją naprawdę przycisnęli, przede wszystkim na wszelkie możliwe sposoby wzbudzając w niej poczucie winy. Zagrożone jest życie dwóch chłopców, jej dzieci mogą mieć istotne dla śledztwa informacje, jak ona może jako matka... Ble, ble, ble.

- I?

- I nic. Jakbyśmy walili głową w mur. Nie wiadomo, gdzie mieszka, nie wiadomo, kim teraz jest. Zależy jej na tym, żeby tak zostało, i potrafię to zrozumieć. Boi się, że nastąpi jakiś przeciek, że historia jej dzieci znów trafi na czołówki gazet, że w nowym miejscu zamieszkania będą ich wytykać palcami. Albo że sprawca wróci, żeby dokończyć to, czego nie udało mu się dokończyć przedtem... na co Jones powiedziała: „Nie, jeśli go złapiemy”. Ale Sandling ma to gdzieś, nie puści pary z ust. W dodatku jej prawnik ostrzega nas, żebyśmy nie wspominali o tej sprawie mediom.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Zadzwonił do przełożonego Jones w FBI i mojego szefa w Arundel... żeby pokazać, że nie żartuje.

Siedzę w milczeniu, sparaliżowany strachem i poczuciem bezsilności. Jestem wkurwiony na Sandling, jej adwokatów, gliniarzy, na wszystkich. Co gorsza, tracę wolę walki. Oddycham głęboko kilka razy, by otrząsnąć się z tego upadku na duchu.

- Co ci jest? - pyta Shoffler. Odpowiadam wzruszeniem ramion.

- Mogę dla ciebie zrobić dwie rzeczy - oznajmia detektyw. - Po pierwsze, chociaż moim zdaniem głównie to da, mogę ci załatwić portret pamięciowy. Ten, który sporządzali z dziećmiakami Sandling. Jones jakoś go od nich wydostała. Nie wolno nam było robić kopii, ale go skopiowałem. Zresztą i tak w tamtym czasie zamieszczały go gazety. W razie czego, jakby ktoś pytał, masz go z prasy.

- Czy jest podobny do Szczurołapa? Wzrusza ramionami, unosi rękę.

- Bo ja wiem? Nie za bardzo. Jest bardziej zarośnięty na twarzy niż ten nasz. To zniekształca rysy. - Wzdycha. - I druga sprawa... chociaż tylko oszczędzam ci czas, bo i tak sam byś do tego doszedł. Panięskie nazwisko Sandling brzmi Whalen.

- Myślisz, że teraz używa tego nazwiska?

- Kto wie? - odpowiada Shoffler z szerokim uśmiechem. - Odsunięto mnie od dalszego prowadzenia tej sprawy.

Wyrzuca mnie w pobliżu Białego Domu.

- Złap pociąg podmiejski na Union Station - radzi mi. - Wsiądź w New Carrollton. Potem weź taksówkę. Wypadnie góra dziesięć dolców.

Kiedy następnego dnia rano otwieram drzwi, by wyjść po gazetę, spostrzegam wetkniętą w siatkowe drzwi brązową kopertę biurową. Nie spodziewałem się Bóg wie czego, ale i tak widok portretu mnie rozczarowuje.

Twarz jest kompletnie pozbawiona wyrazu, co u żywych ludzi nigdy się nie zdarza. W jakiś sposób sprawia to, że rysy są niespójne, mętne. Nawet policyjne zdjęcia aresztowanych mają w sobie coś naturalnego, są jakimś odzwierciedleniem życia. Przechodzę z portretem do gabinetu i kładę portret obok rysunków, które sporządziła Marijke na podstawie mojego opisu i sesji z innymi naocznymi świadkami. Chyba jedyne, co łączy te wszystkie rysunki, to oczy. Poza tym szkice przedstawiają różnych mężczyzn z zarostem na twarzy. Facet z portretów spogląda na mnie nieodgadnionym, wręcz kpiącym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „nie wiesz, kim jestem”.

Mary McCafferty stuka różowym paznokciem w biurko i spogląda na mnie wielkimi brązowymi oczami.

- Powinniśmy ją znaleźć bez większego problemu - obiecuje. - Ponieważ mieszkała w parku, mogła nie być nigdzie zameldowana na stałe, ale miała samochód, a wobec tego także prawo jazdy i ubezpieczenie. Zdaje się, że także kartę biblioteczną, no i założę się, że leczyła dzieciaki u jakiegoś lekarza. Muszą być też dane ze szkoły, może mandaty za parkowanie albo przekroczenie szybkości, karty stałego klienta w supermarkecie. Wierz mi, w dzisiejszych czasach trzeba się solidnie napracować, żeby nie trafić do tysiąca baz danych. A jakie są szanse, że zerwała wszelkie związki z przeszłością? - Mary McCafferty kręci głową.

- Naprawdę?

- Możliwe, że używa innego nazwiska... ale jeżeli panięskiego, tak jak mówisz, to pewnie zatrzymała stary numer ubezpieczenia społecznego, a wtedy... wtedy to już pestka. Do jutra powinnam coś mieć. Wysłać ci to e-mailem? Czy wolisz faksem?

- Może być e-mail.

- No to jesteście umówieni - mówi, wstając zza biurka. Przez chwilę waha się i kręci głową. - Tylko że moja część zadania to łatwizna. Ty musisz ją jakoś skłonić do mówienia.

- Wiem.

- Podejrzewam, że ta baba z byle powodu gotowa jest wezwać ciężką artylerię - ostrzega mnie Mary. - Nie daj się wsadzić do pułki.

## Rozdział 17

Przychodzi poczta od Mary McCafferty. Emma Sandling, z domu Whalen, mieszka na Florydzie. O siódmej rano następnego dnia siedzę w samolocie linii Delta, lecącym do Daytona Beach.

Droga z lotniska do miasta biegnie obok olbrzymiego toru wyścigowego Daytona. Potem jedziemy wzdłuż wybrzeża autostradą A-1-A - spaloną przez słońce szosą, z obu stron otoczoną niekończącym się ciągiem budek zjedzeniem, moteli, małych pól golfowych i kręgielni. Wszystko jest wybrukowane, jedynymi przedstawicielami flory - pomijając oazy na polach golfowych - są rosnące tu i ówdzie, smagane wiatrem palmy. Co pewien czas, w przerwach między gigantycznymi hotelami i apartamentowcami od strony oceanu, miga mi przed oczami powód, dla którego wszystko to istnieje - biały piasek i roziskrzony Atlantyk.

Kilka mil dalej dostrzegam to, czego szukałem - wielki rozłożysty hotel Adam's Mark. Na mnie czeka pokój w Drop Anchor Inn, przy następnej przecznicy, po drugiej, mniej atrakcyjnej stronie szosy. Olbrzymia tablica reklamowa w kształcie kotwicy zachęca: WOLNE MIEJSCA. SPECJALNE ZNIŻKI DLA EMERYTÓW, KIER. WYŚCIG., STUDENTÓW I SENIORÓW.

Na kanale meteorologicznym sprawdziłem, że w porównaniu z Waszyngtonem temperatura i wilgotność powietrza w Daytona Beach są nieco wyższe, lecz wysiadając z wypożyczonego hyundaia sonaty mam całkiem inne wrażenie. Z chodnika bucha żar, tak gęsty, wilgotny i palący, że odbieram to niczym atak. Wiejący od morza wiatr też trudno uznać za orzeźwiający zefirek, przypomina raczej powiew z kolosalnej suszarki do włosów.

Pokój jest taki, jakiego można oczekiwać za trzydzieści dwa dolary dziennie - wszystko upstrzone ciemnymi, wypalonymi przez papierosy plamami, telewizor i lampy przyśrubowane do stolików, a za pilota do telewizora musiałem dać zastaw w wysokości dwudziestu dolarów. Przez zapach odświeżacza powietrza przebija się zatechły smród papierosów, którym przesiąknięte są wszystkie materiały. Ale pomieszczenie jest przestronne i ma klimatyzator, który chyba potrafi sprostać wyzwaniu. Poza tym jest telefon, więc mogę podłączyć laptopa do gniazdka.

Emma Sandling, obecnie Susy Whalen, pracuje w pobliżu, na słynnej plaży. Prowadzi kiosk o nazwie Plażowy Królik, kilkaset jardów od hotelu Adam's Mark. Ponadto studiuje zaocznie w Daytona Beach Community College - jest w połowie kursu z zakresu „terapii oddechowej”. Jej dzieci chodzą obecnie do piątej klasy w jednej z wielu bezpłatnych szkół wyznaniowych; ich szkołę sponsoruje Kościół Słowa Bożego z Ormond Beach. Whalen jeździ czerwonym subaru kombi, rocznik 1984, z nalepką „Ratujcie manaty” na tablicy rejestracyjnej. Wynajmuje z synami maleńkie mieszkanie w Port Orange, gdzie dorabia jako dozorczyń w zamian za obniżkę czynszu; do jej obowiązków należy sprzątanie korytarza i schodów oraz utrzymywanie w czystości pralni i piwnic. Wszystko to wiem z e-maila od Mary McCafferty, która wystawiła mi rachunek tylko za dwie godziny. „Dobrodziejstwa epoki informacyjnej” - zauważyła.

Siadam na łóżku, a po chwili wyciągam się na plecach i gapię na fakturę sufitu. Odkąd dostałem wiadomość od McCafferty, przez cały czas zastanawiam się, w jaki sposób podejść Emmę Sandling.

Zamierzam wybrać się do Plażowego Królika, wypożyczyć leżak i parasol, kupić olejek z filtrami i wdać się z nią w pogaduszki. Jak większość reporterów, jestem w tym dobry.

Wykupuję bilet na cały dzień, kładę go za szybą i za czarnym explorerem skręcam w kierunku plaży. Toczmy się wzdłuż piasku z obowiązującą tu prędkością dziesięciu mil na godzinę.

Po prawej stronie mam bezkresny szereg budynków i zaparkowanych samochodów, co krok migocze woda z basenów hotelu i apartamentowców. Po lewej - białą plażę, las parasoli, ręczniki

kąpielowe i ludzi, a dalej przestwór oceanu i niebo.

Bez trudu znajduję furgonetkę, w której pracuje Emma Sandling - unosi się nad nią olbrzymi nadmuchiwany królik, odziany w bikini. Silny wiatr szarpie liny przytrzymujące kiwającą się maskotkę. Do okienka ustawiła się niewielka kolejka chudych nastolatków w plażowych szortach i brzuchatych emerytów. Mocno opalona dziewczyna odchodzi od lady z kubelkiem frytek.

Mijając furgonetkę, po raz pierwszy rzucam okiem na Emmę Sandling - wydającą resztę postaci w okienku. Skręcam w wyjazd koło hotelu Adam's Mark i autostradą A-1-A wracam do wjazdu, by przejechać się wzdłuż plaży po raz drugi. Tym razem Sandling jest na zewnątrz - z podkładką do pisania w ręku mówi coś do dwóch chłopaków, trzymających jasnozielone deski surfingowe. Niewysoka, z rudymi włosami zebranymi z tyłu w koński ogon, ma na sobie różowe szorty, biały top i japonki. Błysk uśmiechu, wrażenie, że jest piegowata... i znowu ją mijam.

Tym razem bramkarz przy wjeździe rozpoznaje mnie i macha ręką, żebym przejechał bez kontroli. Jakieś sto jardów od Plażowego Królika wciskam się sonatą na wolne miejsce między białym pickupem a zardzewiałym blazerem.

- Co panu podać? - Ma ujmujący uśmiech. I dołeczki w policzkach.

- Tylko butelkę wody.

- Jasne. Małą czy litrową?

- Poproszę litrową.

- Słusznie - mówi, wyciągając ze stojącej za nią lodówki butelkę dasani. - Straszny upał. Lepiej się nie odwodnić.

Wydaje mi resztę, kładzie ją na ladzie i patrzy nad moim ramieniem na kobietę, która czeka za mną w kolejce. Ja jednak się ociągam, sparaliżowany jej nonszalancją i bezbronnością.

- Życzy pan sobie coś jeszcze? - pyta mnie, marszcząc lekko brwi.

- Dziękuję, to wszystko - odpowiadam i usuwam się na bok.

Plaża nie jest zatłoczona. Wybierani sobie miejsce, rozkładam ręcznik na twardym piasku i obserwuję toczące się fale, ich nieustanny ruch tam i z powrotem. Dzieciaki bawią się w berka z oceanem, uskakując przed nadpływającą wodą, budują zamki z piasku, pokazują matkom znalezione muszelki. Nad głową krzyczą mewy i przelatują samoloty, ciągnące za ogonem bannery reklamowe. Amatorzy opalenizny leżą bez ruchu na ręcznikach, niczym wygrzewające się lwy morskie. Nastolatki w bikini z piskiem wskakują na palcach do wody. Za moimi plecami wlecze się w tempie konduktu pogrzebowego sznur samochodów.

Siedzę tam, wystawiając plecy na działanie słońca i rozmyślając o Emmie Sandling. Czuję, że ciało mam rozpalone, a kiedy zamykam oczy, w głowie dudni mi tak, jakby ktoś bez przerwy trząsał drzwiami. Gdy wracam do samochodu, łomotanie w głowie ustaje, a w jego miejsce pojawia się przygnębiająca myśl: Nie uda mi się.

Widocznie tylko oszukiwałem sam siebie, bo jak w ogóle mogłem wpaść na pomysł, że coś z tego wyjdzie? Jasne, mogę się zbliżyć do Emmy Sandling, a nawet się z nią zaprzyjaźnić. Ale co się stanie, kiedy przejdę do rzeczy? Kiedy nowy przyjaciel zacznie mówić o porwaniu jej dzieci... o wydarzeniu z przeszłości, którą z takim trudem usiłowała pogrzebać?

Wnętrze samochodu jest tak rozgrzane, że muszę położyć na fotelu zapiaszczony ręcznik. Kierownica pali mi dłonie. Po powrocie do motelu zaglądam do notesu i jeszcze raz sprawdzam, co McCafferty przesłała mi na temat rozkładu dnia Emmy Sandling. Zapisuję sobie kilka pytań, które chciałbym jej zadać. Potem przez dłuższy czas gapię się w sufit i myślę, jak by tu ją skłonić, żeby ze

mną pogadała.

W końcu wskakuję w szorty i koszulkę, wychodzę i zaczynam truchtać chodnikiem wzdłuż autostrady A-1-A. Poruszanie się w tym upale wprawia mnie w trans, lecz może przebieżka sprawi, że wpadnę na jakiś pomysł. Biegnę pół godziny w jedną stronę, pół godziny z powrotem, po czym wracam do lodowatego pokoju w motelu i biorę prysznic.

Zastanawiam się. Muszę znaleźć na Emmę Sandling jakiś haczyk. Emma się ukrywa. A ja wiem, gdzie mieszka. Mógłbym ujawnić jej tożsamość. To powinno dać jej do myślenia. Ułożyła już sobie tutaj życie, na pewno nie chciałaby zaczynać wszystkiego od początku.

Tyle że oprócz haczyka na nią, muszę mieć jeszcze plan B. Koniecznie. Pozostaje mi tylko jedno - liczyć na jej dobrą wolę.

Dzięki McCafferty znam rozkład dnia Emmy. Zamyka Plażowego Królika o piątej po południu i jedzie do Ormond Beach, by odebrać dzieci ze szkoły. Domyślam się, że potem idą coś szybko przekąsić, a następnie podrzuca chłopców do opiekunki w Port Orange, by w ostatniej chwili zdążyć na zajęcia o siódmej w Daytona Beach Community College. Uczy się tam do wpół do dziesiątej wieczorem, po czym odbiera dzieci i wracają do siebie. Długi dzień.

Mógłbym po prostu wpaść do niej do domu, mam jednak wrażenie, że lepiej, bym nie rozmawiał z nią przy dzieciach. Nie będzie się czuła tak zagrożona. Gdybym miał za grosz cierpliwości, odłożyłbym to do rana i poczekał na nią przed jej straganem, zanim go otworzy. Ale jestem niecierpliwy. Jeżeli zobaczę jej samochód na parkingu przed college'em, zaczekam tam na nią.

Tymczasem sprawdzam pocztę elektroniczną. Mam jedną wiadomość - od Petrich, z załącznikiem zawierającym policyjne materiały na temat dziesięciocentówek i królika origami. Czytam je, ale jedyną nowością jest raptem jeden akapit - opinia eksperta od origami.

*Nie niszcząc figurki, nie mogę zbadać techniki składania papieru, ale zewnętrzne oględziny pozwalają mi stwierdzić, że mamy do czynienia z modyfikacją królika Langa, modelem o średnio wysokim stopniu trudności, będącym adaptacją jednego z wielu królików stworzonych przez słynnego origamistę Roberta J. Langa.*

Próbuję oglądać telewizję, ale doprowadza mnie do szału - reklamy, programy rozrywkowe i informacyjne odbieram jak zgrzyt paznokci o tablicę. Jednak gdy gaszę telewizor, jest jeszcze gorzej - zostaję sam z nadmiarem adrenaliny, strachem i czasem, który wlecze się jak ślimak. W końcu wychodzę i spaceruję po plaży; huk fal działa na mnie kojąco. Mimo to co kilka minut zerkam na zegarek.

O dziewiątej jadę bulwarem Clyde'a Morrisa, pod postrzępionym różowymi pasmami niebem. Skręcam w International Speedway Drive, a potem w prawo, na olbrzymi parking przed college'em. Teraz jest na wpół pusty, lecz kiedy przyjechała tu Emma, musiał być zatłoczony, bo jej czerwone subaru stoi daleko, na samym końcu. Dzięki tablicom rejestracyjnym z napisem „Ratujcie manaty” wiem, że to jej samochód, na wszelki wypadek jednak sprawdzam, czy numery zgadzają się z tymi, które przysłała mi McCafferty. Są takie same.

Jest piętnaście po dziewiątej. Parkuję kilka miejsc postojowych od subaru. Przez chwilę słucham radia, lecz po paru minutach muszę wysiąść. Nosi mnie, nie mogę usiedzieć na miejscu. Czuję jednak, że stojąc tam, wyglądam podejrzanie, więc wolno przechodzę w stronę wąskiego pasma roślinności, oddzielającego parking od drogi dojazdowej dla dostawców. Czeka tam, pośród karłowatych palm i jakichś trzcin; liście szumią i łopoczą na wietrze, a ja mamrocę pod nosem:

„Emmo... nazywam się Alex Callahan. Łączy nas ta sama tragedia...”

„Emmo Sandling, musi mi pani pomóc”.

„Emmo...”.

Jest już całkiem ciemno. Stojące w równych odstępach latarnie rzucają na parking snopy światła, wokół których orbitują owady. Odjeżdżają kolejne samochody. W tej części parkingu zostało ich już ledwie kilkanaście.

Zbliża się jakaś postać, lecz szybko poznaję, że to nie Emma. Jakiś młody chłopak, w bojówkach i ze słuchawkami na uszach. Niemrawo podchodzi do przeżartej rdzą toyoty i odjeżdża.

Pięć minut później spostrzegam Emmę, idącą szybko w moim kierunku. Uświadamiam sobie, że stojąc w tych krzakach, pewnie straszę ludzi, więc ruszam do swojego samochodu, gdy Emma jest jeszcze daleko. Wpadam na pomysł, żeby otworzyć bagażnik, co dałoby mi pretekst do stania na zewnątrz, lecz w ostatniej chwili zmieniam zdanie i podnoszę maskę wozu. Od razu widzę, że to był błąd.

Emma, z kluczykami w ręku, najpierw przygląda mi się czujnie, a dopiero potem otwiera samochód.

Stoję jak sparaliżowany.

Sandling opuszcza szybę... ręcznie. Przekręca kluczyk w stacyjce. Obroty pracującego na jałowym biegu silnika są za wysokie. Warkot silnika uświadamia mi, że mój czas się kończy. Gdy wreszcie ruszam się z miejsca, Emma zapina już pasy. Podchodzę do niej z uniesioną dłonią.

- Przepraszam panią...

- Pan wybaczy, ale bardzo się śpieszę.

- Chwileczkę! - I nagle wyrzucam z siebie tonem prezentera telewizyjnego: - Łączy nas ta sama tragedia.

Mój wyćwiczony głos nawet dla mnie brzmi sztucznie, dziwnie. Emma marszczy brwi, jakbym odezwał się w obcym języku i próbowała przetłumaczyć sobie moje słowa.

- Nazywam się Alex Callahan. - Teraz dla odmiany mówię za szybko, słowa wpadają na siebie. - Widziała mnie pani w wiadomościach. Ktoś uprowadził moich synów, Kevina i Seana. Emmo, pani tragedia się skończyła, ale moja trwa nadal. Musi mi pani pomóc. Musi...

Zdaje się, że użycie jej prawdziwego imienia załatwiło sprawę. Wcześniej nic do niej nie docierało, zareagowała dopiero wtedy, kiedy zwróciłem się do niej po imieniu. Po imieniu, którego już nie używała.

Widzę, jak jato trafiło - jak świadomość tego, co się dzieje, nanosekundę później zastąpiło przerażenie. I nagle Sandling znika, odjeżdża z piskiem opon.

Spieprzyłem sprawę!

Ale prawdę mówiąc, nie martwię się, bo wiem, że nie ucieknie przede mną. Nie da rady. Wiem, dokąd się wybiera. Chwilowo jednak nie stać mnie na żadną reakcję, ledwie *mogą* oddychać. Przytłacza mnie duszne, gorące powietrze. Stoję w miejscu, bez ruchu, gdy nagle... ona wraca!

Zatrzymuje samochód, otwiera drzwiczki. W wozie zapala się lampka, oświetlając siedzącą za kierownicą Emmę.

- Przepraszam - odzywa się kobieta. - Źle się z tym czuję. Cała ta negatywna energia... jestem jedyną osobą, która naprawdę szczerze powinna panu współczuć, a tymczasem zrobiłam wszystko, żeby trzymać się od tego z daleka...

Jej głos zamiera i przez dłuższą chwilę Sandling siedzi w milczeniu. Szum ruchu ulicznego narasta, nabiera siły.

- Kiedy usłyszałam w telewizji o pańskich dzieciach... o Boże! - Urywany oddech. - Wiedziałam, że to jego robota, po prostu wiedziałam. I pomyślałam... naprawdę pomyślałam, że... - Głos jej się łamie, zaczyna płakać. - Pomyślałam, jak to dobrze, bo teraz on już nie wróci. Już ma to, czego chciał. - Dławi się łzami. - Tak mi przykro.

- Hej, nie ma sprawy - uspokajam ją. - Ja w takiej sytuacji...

- Nie, wcale nie - wpada mi w słowo. - Tak mi wstyd. - Wzdycha. - Widzi pan, kiedy moi chłopcy odnaleźli się w Eurece, zdawałoby się, że wszyscy będą taaacy szczęśliwi. Ale gdzie tam, nic z tego. Trajlowali tylko, że to prawdziwy cud, czy to nie wspaniałe... ale tego im było za mało. Szczęśliwe zakończenie wystarczyło na... boja wiem?... czterdzieści osiem godzin. A potem znów rzucili się jak sępy na tragedię i nieszczęście. Byle tylko wywlec jak najwięcej brudów. Było naprawdę ciężko. Ledwo się dzieci odnalazły, od razu mi je zabrali.

- Aż trudno w to uwierzyć.

Sandling kręci głową, stuka stopą w podłogę, wygrzebuje papierosa z paczki i zapala go.

- Próbuję rzucić - tłumaczy się. - Przy chłopcach nigdy nie palę.

- To dobrze.

- Musi mnie pan zrozumieć. Ja wciąż się boję, że znajdą jakiś sposób, żeby odebrać mi dzieci, wie pan...

- Rozumiem.

- Widzi pan, oni nadal nie wierzą, że jestem niewinna. Nie wierzą, że Dalt po prostu oszedł, że się zestrachał, gdy zadzwoniłam do niego z komisariatu i powiedziałam mu, co się stało. Miał nieciekawą przeszłość, siedział w więzieniu. Wiedziałam o tym, ale nie miałam pojęcia, że jest na warunkowym. A potem, kiedy nie mogli go znaleźć, dostali fioła na punkcie tej teorii. Nie dopuszczali do siebie prawdy... że uciekł ze strachu. Cały czas myśleli, że kiedyś odnajdą moje dzieci zakopane gdzieś w ziemi. Albo że Dalt sam się zgłosi i zezna, że razem sprzedaliśmy chłopców jakimś maniakom seksualnym czy coś w tym stylu.

- Poważnie?

- Poważnie. A kiedy chłopcy wrócili, wyglądało na to, że za wszelką cenę chcą im usrać życie. Fakt, że nic im się nie stało... no, powiedzmy, że nic... bardzo ich rozczarował. Nie mogli się od nich odczepić. Ciągle ich o coś szarpali. Bo ja wiem? Może na miejscu policji też bym sobie nie ufała.

- Proszę posłuchać, współczuję pani ze szczerego serca, naprawdę. Ale przyjechałem, bo pani jest moją ostatnią deską ratunku. Uważam, że moich synów ma teraz ten sam człowiek, który porwał pani dzieci.

Odwraca wzrok, a kiedy znów na mnie spogląda, widzę, że jest zapłakana. Ukrywa twarz w dłoniach.

- Wiem o tym.

- Wobec tego...

- Ja naprawdę nie sędzę, że bym mogła panu pomóc. Faktem jest, że policja skupiła się tylko na mnie i Dalcie, ale po prawdzie nie mieli innych tropów. Kamery przemysłowe na stacji benzynowej nagrały ten wóz z przyczepą, ale bez numerów rejestracyjnych. Kilka osób na stacji widziało tego człowieka, ale miał na sobie uniform... kombinezon i czapkę, jak jakiś fachowiec. Kamery go nie zarejestrowały.

- Porozmawia pani ze mną? Opowie mi pani o tym? Patrzy mi prosto w oczy.

- Tak... pod warunkiem że moje życie nie trafi na łamy „National Enquirer”. Nie wiem, czy



cokolwiek z tego, co powiem, panu pomoże, ale... - Wzrusza ramionami.

- Dzięki.

Wzdycha ciężko, spogląda na zegarek.

- Opiekunka do dzieci pewnie już się niepokoi. Nie mówiąc o tym, że muszę położyć chłopców do łóżka. Może wpadnie pan jutro do Królika?

Sam nie wiem, dlaczego udaję głupiego.

- Do Królika?

- Widziałam tam pana... był pan w czapce Oriolesów, prawda? Kupił pan butelkę wody. - Stuka się palcem w skroń. - Szkoda, że nie miałam okazji zobaczyć tego porywacza. Ja nigdy nie zapominam twarzy.

## Rozdział 18

Kiedy Emma ma pełne ręce roboty z klientami, pomagam jej - podaję puszki wody sodowej, uzupełniam zapasy w lodówce, pilnuję interesu, gdy wychodzi wynająć komuś deskę do surfingu albo łaziki plażowe, wzorowane na pojazdach z *Gwiezdnych wojen*. A kiedy nie ma ruchu, rozmawiamy. Przy akompaniamencie grzmotu fal, warkotu generatora, szumu chłodziarek i klimatyzacji, w budce panuje taki hałas, że nasza rozmowa wygląda tak, jakbyśmy na siebie krzyczeli.

Do południa opowiedzieliśmy już sobie z grubsza nasze historie. Nie mam wątpliwości, że porywacz jej dzieci to ten sam człowiek, którego wciąż określam jako Szczurołapa. A jednak Shoffler miał rację. Podobieństwa są bardzo luźne. Brak konkretnych szczegółów, nie mówiąc już o dowodach, by połączyć obie te sprawy.

Wymieniamy doświadczenia na temat tego, jak to jest być podejrzanym o zniknięcie własnych dzieci.

- Jeśli chodzi o mnie, to było do przewidzenia - mówi Emma. - Wiesz, jestem ćpunką... co z tego, że po terapii i że od trzech lat nie biorę? Człowiek zawsze jest o tyle od nawrotu. - Zbliży palec wskazujący do kciuka. - I trzeba tę przestrzeń wypełnić, boja wiem... tytanową płytą. Cały czas próbuję to robić.

- Myślę, że ci się uda. Wzrusza ramionami.

- Widzisz... uważali, że chodzi o szmal, że próbuję jakoś skombinować forszę, że to dlatego moje dzieci zniknęły. Ale podejrzewać ciebie? Nie rozumiem ich.

- Jesteśmy z żoną w separacji. W każdym razie zawdzięczam to Szczurołapowi. Podrzucił ten zakrwawiony T-shirt do szafy i w ten sposób załatwił, że przynajmniej przez kilka dni podejrzewano mnie o zamordowanie dzieci.

- A, tak... przypominam sobie. Krew kurczaka.

- No i ta miska z wodą... to też była część jego planu. Nie wiem, co oni sobie myśleli... że trzymałem chłopców zamkniętych w szafie? - Kręczę głową.

- Jaka miska z wodą?

- W szafie w pokoju chłopców stała na półce miska z wodą. Bardzo wysoko. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięła. W tej samej szafie znaleźli tę koszulkę.

Trudno powiedzieć, że Emma jęknęła - raczej przestała oddychać - ale jej przerażenie rzuciło się w oczy.

- Co się stało? - pytam.

- To rzeczywiście on.

- Skąd wiesz?

- A dziesięciocentówki? Czy był też rząd dziesięciocentówek?

- Tak. Leżały na umywalce w łazience. Skąd... Emma kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Na samym środku śpiwora Connora ktoś ułożył rząd dziesięciocentówek. Myślałam, że on sam je tam zostawił. Ale potem Amalia, która mieszkała w sąsiednim namiocie, zobaczyła te monety i się przeraziła. Zbladła tak, że twarz miała białą jak ściana, dosłownie... a jest bardzo ciemna. I to ona zauważyła wodę... w misce na takiej małej półeczce, wiesz, z boku namiotu.

- Co ją tak przeraziło? O co tu chodzi?

- Ba, też się chciałam dowiedzieć, ale Amalia... przede wszystkim kazała mi niczego nie ruszać, wpadła w taką histerię, że nie była w stanie nic wyjaśnić. Nie ruszaj wody, powtarzała tylko, nie dotykaj monet. I była przy tym tak śmiertelnie poważna, jakby to była kwestia życia i śmierci. Nic z tego nie rozumiałam. Co tu jest grane? - myślałam sobie. Więc próbowała mi to wyjaśnić, ale ona słabo zna angielski. W końcu wydobyłam z niej tyle, że ma to coś wspólnego z voodoo, a przede wszystkim, że mam tego nie ruszać. Mówiłam ci już, że ona jest z Haiti? Poczekaj chwilkę.

Emma obsługuje zgraję nastolatków, wbija na kasę puszek coca-coli, chipsów, tubkę kremu do opalania, T-shirt z nadrukiem „Kocham wodę (ognistą)”. Jakaś dziewczyna chichocze i piszczy: „Daj spokój, Kevin, już starczy!”. Kevin... Paraliżuje mnie dźwięk tego imienia. Kevin. Sean. Gdzie jesteście?

Czuję niepokojący ucisk w piersi, gdyż policja skonfiskowała wodę i dziesięciocentówki jako dowody rzeczowe. W świetle tego, czego się właśnie dowiedziałem od Emmy, podejrzewam, że mogło to zaszkodzić chłopcom. I kto wie, czy nie zaszkodziło.

Sandling zamyka szybę, wraca do mnie, siada na stołku, strząsa grzywkę z czoła. Klimatyzacja w furgonetce nie bardzo radzi sobie z upałem i oboje jesteśmy złani potem.

- Wracając do tej Amalii... masz z nią jakiś kontakt? Emma kręci głową.

- Więcej już jej nie widziałam. Mniej więcej wtedy przyjechali gliniarze i otoczyli namiot policyjną taśmą. Chciałam tam zostać... cały czas miałam nadzieję, że chłopcy wrócą... ale zabrali mnie na komendę. Zaczęli przesłuchiwać ludzi w całym parku, zablokowali wszystkie wyjazdy. Amalia i jej facet, Bertrand, byli tu nielegalnie, wiesz, jak to jest. Ona pracowała na czarno w motelu Comfort Inn, a on naprawiał dachy. Tacy jak oni często mieszkają w parkach. Wiesz, pracująca biedota. Taniej wychodzi rozbić namiot, niż wynająć mieszkanie. No w każdym razie Bertie i Amalia za nic w świecie nie chcieli mieć do czynienia z policją. Ona zamknęła się jak małż w skorupie. Nic nie widziała, nic nie słyszała, o niczym nie wie. A kiedy jakiś tydzień później policja wróciła do niej w związku z tymi monetami, bo im o tym powiedziałam, ona i Bertie już się zwinęli.

- Więc nigdy się nie dowiedziałaś, o co jej naprawdę chodziło?

- Udało mi się tylko dowiedzieć, że to swego rodzaju klątwa... ale i tak sama się tego domyśliłam po reakcji Amalii. I tyle.

- W każdym razie powiedziała, że nie wolno ci ich stamtąd zabrać ani nawet dotykać?

- Właśnie.

- U mnie w domu policja skonfiskowała tę miskę z wodą. I monety. Jako dowody rzeczowe.

- Och, mnie też je zabrali. Prawdę mówiąc, szukając śladów krwi i tak dalej, zniszczyli wszystko, co miałam w namiocie... sam namiot zresztą też. Żałuj, że nie widziałeś, co odzyskałam, kiedy w końcu oddali cały mój dobytek. Wiesz, oni zrobili spis tego, co mi zabrali. Zdaje się, że tak każe prawo.

- Wykaz rzeczy zarekwirowanych podczas przeszukania.

- O właśnie, tak to się nazywało. Tak czy inaczej, wielu rzeczy już nie odzyskałam. Na liście odfajkowano je jako „zniszczone podczas analizy”. - Palcami kreśli w powietrzu cudzysłów i kręci głową. - Monety były w małej torebce. Potem, kiedy już chłopcy się odnaleźli, wyrzuciłam je do oceanu. Jedną po drugiej.

Wychodzi, by wydać klientom dwa parasole plażowe, a ja zajmuję miejsce przy okienku. Sprzedaję dwie porcje lodów w waflu i graniti.

- Nie rozumiem, skąd ten związek z voodoo - wracam do tematu. - Człowiek, który uprowadził moich synów, jest biały.

- To samo mówiły moje dzieci... że on nie był czarny. Ja też nie miałam pojęcia, o co w tym chodzi. Jeden z detektywów zdradził mi, że ich zdaniem może to być robota jakiejś siatki porywaczy dzieci.

- Emma?

- Mów mi Susie, proszę. Postaraj się.

- Przepraszam. Susie...

Kobieta siedzi na stołku, ze skrzyżowanymi nogami, i macha stopą, na której dynda kłapek. Zwracam uwagę, że jej paznokcie u nóg, pomalowane na pięć różnych pastelowych kolorów, wyglądają jak małe galaretki.

- Czy mógłbym porozmawiać z chłopcami?

- O Jezu! Wiedziałałam, że do tego dojdzie.

- Liczę na to, że może oni coś wiedzą... sam nie wiem co, ale może wiedzą coś, co mogłoby mi się przydać.

Kobieta wzdycha.

- Zrozum, nie chcę przechodzić przez to wszystko jeszcze raz. Co będzie, jeżeli przekażesz policji to, czego się od nich dowiesz? Znowu wezmą ich na przesłuchanie... i prasa to zwietrzy. - Wzdycha ponownie. - Ja naprawdę nie mam ochoty znów się przeprowadzać i zaczynać wszystko od początku.

Odrzuca głowę do tyłu i wpatruje się w sufit. Przez warkot generatora przebija się wycie wiatru na zewnątrz, który ciska piaskiem o furgonetkę. Nad nami balon w kształcie królika próbuje się zerwać ze sznura. Gdy po chwili Emma spogląda na mnie, w jej oczach widzę łzy.

- Chyba nie powinienem cię o to prosić.

- Jak mógłbyś o to nie prosić? Przecież wiem, jak to jest. - Zaciska dłonie w pięści i przeciera kostkami oczy, jak dziecko. Oddycha głęboko, wydyma policzki niczym Wiatr Północy z kreskówki, po czym wypuszcza powietrze gwałtownie. Brzmi to jak wybuch. W końcu współczucie bierze górę nad instynktem samozachowawczym. - Zgoda - mówi, zaciskając przy tym powieki, jakby nie chciała być świadkiem swojej zgody.

Emma ustala zasady i każe mi przysiąc na „życie moich dzieci”, że będę się do nich stosował. Zwracając się do chłopców, mam używać imion, jakimi posługują się na Florydzie (Kai i Brandon). Gdyby nie chcieli odpowiedzieć na jakieś pytanie, nie wolno mi ich naciskać. Możemy rozmawiać najwyżej piętnaście minut, a wszystko, co powiedzą, mam zachować dla siebie. I tak dalej. Zdumiewa mnie, że po tym wszystkim, co przeszła, wciąż potrafi wierzyć komuś na słowo.

Spotykamy się następnego dnia wieczorem. Na widok chłopców zatyka mnie ze zdumienia. Nie dlatego, że Kai i Brandon są podobni do moich synów. Nie są. Ale i jednych, i drugich cechują te same nawyki bliźniaków - sposób, w jaki na siebie patrzą, jak się małpują, jak przerywają sobie nawzajem i kończą zdania, które zaczął ten drugi, jak mówiąc coś, szukają potwierdzenia w oczach

brata.

Przygotowałem się na pełną grozy opowieść, a tymczasem to, czego się dowiaduję od dzieci, brzmi wręcz uspokajająco.

- Gdzie was trzymał? - pytam na wstępie, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. - Jak wyglądało to miejsce?

- W dużym domu. - Brandon spogląda na brata, który nieznacznie kiwa głową.

- Bardzo dużym.

- Z wielgachnym trawnikiem.

- Dookoła same drzewa, jak w lesie.

- Co to były za drzewa?

Kai spogląda na Brandona i wzrusza ramionami.

- Chyba sosny?

- Tak - przytakuje Brandon, zerkając na matkę. - Takie jak w parku Grand Te ton.

- Mieszkaliśmy tam przez dwa miesiące - wyjaśnia Emma. - Pracowałam w restauracji w Jackson.

- Tam podawali hamburgery z bizona! - mówi Kai, krzywiąc się z obrzydzeniem. - Ale przypał!

- Czy był tam ktoś jeszcze, w tamtym domu? Ktoś do koszenia trawników, sprzątaczką? Czy tylko ten pan, który zabrał was swoim wozem z McDonalda?

- Tylko on. Znaczący się, czasami przychodzili inni ludzie, ale nam nie wolno było pokazywać im się na oczy. Musieliśmy siedzieć w dużym pokoju. Tak nam kazał Doc.

Doc. Źle mi się kojarzy to słowo. Doktor Mengele. Papa Doc. Baby Doc\*.

- Ale nie musieliśmy siedzieć cicho czy coś takiego.

- Ani nic takiego - poprawia Emma.

- Ani nic takiego. Mogliśmy nawet grać na nintendo.

- Dlaczego z nikim nie pozwalał wam się spotykać?

- Bo tamci mogliby się wygadać, a wtedy mama - rzut oka na Emmę - miałyby kłopoty i więcej byśmy jej nie zobaczyli.

- Kiedy zaczepił ich w McDonalddie, przedstawił się jako mój przyjaciel i powiedział, że muszę wracać do odwyku, a nie mam odwagi sama im o tym powiedzieć - wtrąca Emma.

- Powiedział nam, że mama miała nawrót - precyzuje Brandon.

- Wyjaśnił chłopcom, że pękłoby mi serce, gdybym musiała się z nimi żegnać - tłumaczy Emma. - Powiedział, że schowałam się w łazience i zostanę tam, dopóki nie odjadą. I że wrócę po nich, kiedy poczuję się lepiej. Ale gdyby ktoś się dowiedział, że są u niego, chociaż nie ma prawa się nimi opiekować, musieliby wrócić do domu dziecka i opieka społeczna już nigdy nie pozwoliłaby im zamieszkać ze mną.

- Nigdy więcej - przytakuje Kai z przejęciem. - Tak nam powiedział.

- Teraz już mamy swój szyfr, więc wiedzielibyśmy, czy to ktoś od mamy, czy nie - dorzuca Brandon.

- Nie mów mu jaki! - ostrzega Kai czym prędzej. Brandon rzuca bratu groźne spojrzenie i odwraca się do mnie z przeproszającym uśmiechem.

- Nikomu nie możemy tego zdradzić, bo jakby się ktoś dowiedział, to jeszcze by nas nabrał.

- Dobry plan. - Czuję, że moje piętnaście minut dobiega końca. - Więc co robiliście całymi dniami? Graliście na nintendo? Oglądaliście telewizję?

- Eeee. Żadnej telewizji. Na nintendo graliśmy, dużo. I w ping-ponga.

- I jeszcze w Uno i Yahtzee.

- Ale najwięcej ćwiczyliśmy.

- Ćwiczyliście? - Spoglądam to na jednego, to na drugiego. - Co to były za ćwiczenia?

- Różne - mówi Kai i odliczając na palcach, zaczyna wymieniać je śpiewnie: - Pompki, przysiady, ćwiczenia rozciągające, gimnastyka...

- Obaj? - przerywam mu. Do głowy natychmiast przychodzi mi doktor Mengele oraz zwroty takie jak „biopsja mięśni”, „rozwój mięśnia sercowego”, „maksymalna wydolność organizmu”.

- Ehe.

- Czy robił wam badania... na jakiejś aparaturze czy czymś takim?

- Nieee.

- Ale czasami urządzał nam zawody - mówi Kai. - Prawie zawsze wygrywałem.

- Nie zawsze - protestuje Brandon.

- Bardzo dużo się gimnastykowaliśmy - ciągnie Kai. - Wie pan, salta i różne takie.

- I salta do tyłu. Pokazać panu?

- Alex nie ma na to czasu - wtrąca czujnie Emma i zwraca się do mnie: - Zdaje się, że trenowali gimnastykę całymi godzinami, dzień w dzień. Równoważnia, skoki przez konia. Nawet się zastanawiałam, czy Doc nie jest przypadkiem jakimś świrem, który marzy, żeby zostać trenerem kadry olimpijskiej.

- No i wspinaliśmy się po linie - dorzuca Kai z ożywieniem. - Pod sam sufit. Tego mieliśmy strasznie dużo. To było bardzo trudne. Po to, żebyśmy byli silniejsi.

- Co to były za liny?

Bracia spoglądają na siebie i wzruszają ramionami.

- Zwyczajne - odpowiada Kai. - Takie grube, zwisały z sufitu na hakach.

- Na tych z węzłami było łatwiej.

- No, z tymi gładkimi na początku było ciężko. Pamiętasz, Bran? Udawało nam się wspiąć najwyżej kilka stóp.

- Potem szło nam lepiej.

- A gdzie... gdzie to robiliście? Tam była sala gimnastyczna, w tym wielkim domu?

- No, w piwnicy. To był gigantyczny pokój, bardzo wielki. Z przejęciem kiwają głowami.

- No, jak stadion Jankesów.

- Jak wysoko wisały te liny? Spoglądają jeden na drugiego.

- Bardzo wysoko.

- Tak jak ten sufit czy... - W mieszkaniu Emmy do sufitu jest mniej więcej osiem stóp.

- Nie - protestuje Brandon. - O wiele wyżej... naprawdę wysoko.

- Uhm. A czy ten pan... czy on wam coś... robił?

- Na przykład co?

Nie bardzo wiem, jak to ująć, lecz Emma przychodzi mi z pomocą.

- Nie - mówi. - Nic z tych rzeczy.

- Z jakich rzeczy? - docieka Kai. Matka waha się.

- Mówiliście, że nie zrobił wam krzywdy. Brandon kręci głową.

- Nic złego nam nie zrobił. On nas lubił.

- Lubiał was? Czyli że... odnosił się do was... przyjaźnie? - pytam.

Emma strzela oczami w moją stronę, ale nie interweniuje. Chłopcy kręcą głowami; są już znudzeni, zaczynają się wiercić.

- Nie - odpowiada Kai. - On był... no... - Szuka wzrokiem pomocy u brata, lecz Brandon tylko wzrusza ramio nami. Wygląda na to, że żaden z nich nie potrafi opisać za chowania porywacza. W końcu Kai wyjaśnia: - Był taki... no... po prostu normalny. Prawie cały czas zostawiał nas samych, chyba że trenowaliśmy.

- Wobec tego dlaczego przestaliście mu ufać? - pytam. - Tam, przed centrum handlowym. Dlaczego postanowiliście zadzwonić do przyjaciółki mamy?

- Bo ja wiem? - Kai marszczy brwi. - Bo on... no nie wiem. - Kręci głową.

- Kai kieruje się intuicją i jest ostrożny - wtrąca Emma ze słabym uśmiechem. - A Brandon to optymistą.

- Co to znaczy, mamó? - pyta Brandon.

- To znaczy, skarbie, że zawsze wierzysz, że wszystko będzie dobrze.

- A czy... tuicja też jest dobra? - chce wiedzieć Kai.

- Intuicja. Tak, mój mały bohaterze, to znaczy, że jesteś bystry i czujny, ale nie kierujesz się tym, co ci ktoś mówi, tylko tym, co do niego czujesz. - Sandling odwraca się do mnie. - Dużo czasu spędzili w domach dziecka, a cały ten system to kupa gówna. Nie sprzyja budowaniu zaufania. - Wzrusza ramionami. - Brandon należy do wyjątków.

- Oooooo! - cieszy się Brandon. - Mama się wyraża! Z ogromną ulgą przyjmuję wiadomość, że porywacz nie wykorzystał chłopców, ale nie potrafię sobie wyobrazić, jakie miał wobec nich plany. Czyżby porwał ich, żeby mieć... rodzinę? Synów? Jak wyglądały relacje między nimi?

- A ten pan, Doc... czy jadał razem z wami? - pytam.

- Nie, na śniadanie mieliśmy własne płatki i inne rzeczy, a na lunch sami robiliśmy sobie kanapki. On nam gotował kolację... jakieś rzeczy w plastikowych pudełkach, które podgrzewał w mikrofalówce.

- Nawet smaczne - dorzuca Kai. - To jedzenie. I zdrowe, nie jakieś paskudztwa na wynos.

- I nigdy nikogo tam nie spotkaliście? Brandon kręci głową.

- Nie.

Zastanawiam się, o co by jeszcze ich spytać, gdy nagle Kai sam podsuwa mi temat:

- Czasami pokazywał nam sztuczki, pamiętasz, Bran? Na samym początku.

- Sztuczki? - Emma marszczy brwi, najwyraźniej nic o tym nie wiedziała. - Jakie sztuczki?

- No, takie z kartami i w ogóle - wyjaśnia Brandon. - Wie pan, sztuczki magiczne.

- Iz monetami. Monety...

- Czy układał je w rzędzie? - pyta Emma. Brandon krzywi się.

- E tam! On je... on robił tak, że pojawiały się nie wiadomo skąd albo znikwały.

Kai klaszcze w dłonie.

- O tak.

Emma stuka palcem w zegarek. Przypomnienie, że mój czas się kończy, popycha mnie do czegoś, czego nigdy nie zrobiłem jako reporter - do zadania wprost mało konkretnego pytania, z gatunku tych, które zazwyczaj zbywa się wzruszeniem ramion.

- Czy przychodzi wam na myśl coś jeszcze... coś w związku z tamtym domem albo panem... sam nie wiem... Coś, co wydarzyło się podczas waszego pobytu u niego?

- Mówiliśmy to na policji. - Brandon jest już naprawdę znudzony. - Ze sto razy.

- Wiem, ale jeśli jest coś, co mogłoby mi pomóc odszukać tego pana... czy moglibyście mi powiedzieć?

- On kłamał - mówi Kai. - Mamusia wcale nie kazała mu nas zabrać. Stała wtedy po kanapki.

- Wiem. Więc jeśli coś... Kai wzdycha ciężko.

- No dobra. Bran, weź się skoncentruj.

Obaj zamykają oczy i krzywią się niemiłosiernie, pokazując nam, jak bardzo się skupiają.

W końcu Kai otwiera oczy i wzrusza ramionami.

- Myślę, że już wystarczy - oświadcza Emma. Brandon także otwiera oczy i zwraca się do brata:

- Czy mówiliśmy już o psach? Kai ponownie wzrusza ramionami.

- Jakie były te psy? - pytam.

- Chude - wyjaśnia Brandon. - Sama skóra i kości. Ale nie z głodu. Ten pan mówił, że właśnie tak mają wyglądać.

Wychodząc, dziękuję Emmie tak gorąco, że wprawiam ją w zakłopotanie.

- Nie sądzę, żeby to wiele dało - mówi i zagryza dolną wargę. - Ale mam nadzieję, że panu pomoże. Oby odnalazł pan swoje dzieci.

Słyszę jej synów, jak rozmawiają w pokoju za naszymi plecami; ich głosy boleśnie przypominają mi o mojej stracie. Stoję, niezdolny ruszyć się z miejsca; zapada krępująca cisza. Emma chrząka. Widzę, że nie chce zamknąć mi drzwi przed nosem, ale ma jeszcze dużo pracy i musi położyć chłopców spać.

- No cóż - bąka. - Powodzenia.

- Szczęśliwe dzieciaki - odzywam się w końcu. - Mają szczęście, że trafiła im się taka matka.

Sandling drapie się małym palcem w powiekę.

- Dzięki - rzuca z wymuszonym uśmiechem i przestępuje z nogi na nogę. - Ale jeszcze zanim się urodzili, byli karmieni herą, więc... więc muszę im to jakoś wynagrodzić.

- Idę o każdy zakład, że wynagrodzi im to pani z nawiązką.

Odnoszę wrażenie, że zdenerwował ją ten dobroduszny komunał. Wyraźnie chce, żebym sobie poszedł. Ale perspektywa powrotu do Drop Anchor tak mnie przygnębia, że trudno mi się ruszyć z miejsca.

- No więc... - bąka Emma. Moja niechęć do opuszczenia jej progów wyraźnie daje jej do myślenia.

Z trudem zdobywam się na lekki ukłon i odchodzę. Owszem, potwierdziłem swoje przypuszczenia, że porywacz dzieci Sandling jest tym samym mężczyzną, który uprowadził moich chłopców, ale co mi z tego przyszło? Czy jestem bliższy odnalezienia synów?

## Rozdział 19

Po powrocie do stolicy przeglądam notesy i rzucam się w wir sprawdzania moich „poszlak”, jeśli można je tak nazwać.

Dziesięciocentówki. Jeżeli przyjaciółka Emmy, Amalia, nie myliła się i monety rzeczywiście mają związek z voodoo, to wiem, od czego zacząć. Jeden z producentów w mojej stacji, Scott, w zeszłym roku kręcił reportaż na temat voodoo. W tym celu pojechał na Florydę, gdzie mieszka liczna społeczność Haitańczyków.

- Cześć, Alex! Stęskniłem się za tobą. Jak leci?

- Jakoś się trzymam.

- Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

- Prawdę mówiąc, właśnie w tej sprawie dzwonię. Pamiętasz ten swój materiał o voodoo? Mam pytanie i pomyślałem, że poradzisz mi, do kogo się zwrócić.

- Pytanie związane z *voodoo*? Nie ma sprawy. Jeśli sam nie będę znał odpowiedzi, wiem, do kogo cię skierować.

- Ten, kto porwał moje dzieci, zostawił u mnie w domu kilka rzeczy na pamiątkę.

- Chwileczkę. Zdaje się, że twoich synów porwano na jakimś jarmarku?

- Porywacz przywiózł je do mojego domu i zostawił to i owo. Zdaje się, że policja tego nie ujawniła.

- Amulety voodoo?

- Przynajmniej niektóre z nich, a w każdym razie tak mi się zdaje.

- Jezu! Laleczki?

- Nie. Monety. Rząd monet. I miskę z wodą, na wysokiej półce.

- Wiesz co, to mi przypomina historię z domu starców w Cocoa Beach. Związek zawodowy pracowników opieki społecznej organizował w okolicy pomoc dla personelu w kilku takich zakładach. W odwecie kierownictwo jednego z nich zostawiło wszędzie coś, co ty byś pewnie nazwał „przesłaniem” voodoo. Wiesz, personel pomocniczy składa się tam w większości z Haitańczyków. Te ostrzeżenia, czy cokolwiek to było, miały postać monet i misek z wodą, pozostawionych w najdziwniejszych miejscach. Skończyło się to oskarżeniem władz zakładu o zachowanie sprzeczne z zasadami etyki zawodowej! Że niby zastraszały personel, rozumiesz. Bo te monety to są symbole klątwy. A miski z wodą... z wodą pitną dla duchów... sugerowały, że tam aż się roi od duchów, kapujesz? Spragnionych duchów.

- Jaja sobie ze mnie robisz?

- Te monety w twoim domu... czy to były dziesięciocentówki?

- Tak.

- Ze „Skrzydlatą Wolnością”... której skrzydła jakby wyrastają z głowy?

- Skąd wiesz?

- Bo te dziesięciocentówki są związane z voodoo. Nie miałem jak tego wcisnąć do programu, ale rzecz jest fascynująca. Po pierwsze, z powodu tych skrzydełek większość ludzi nazywa je dziesięciocentówkami z Merkurym. Możliwe więc, że wszystkie te przesady biorą się ze zwykłej pomyłki. Dlatego że postać na awersie tej monety ma przedstawiać Wolność. W każdym razie Merkur był rzymskim posłańcem bogów i bogiem handlu i zysku, włóczęgów i złodziei, ale także gier losowych i kuglarstwa. Czyli bogiem magii. Związek jest taki, że Haitańczycy wierzą, iż niektórzy hunganowie mają nadprzyrodzone moce... innymi słowy, potrafią posługiwać się magią.

- Kto to jest hungan?

- Kapłan, kapłan voodoo. A wracając do tych dziesięciocentówek z Merkurym, odpowiednikiem Merkurego w voodoo jest Legba.

- Odpowiednikiem w voodoo? Odpowiednikiem czego?

- Voodoo to religia synkretyczna, sklecona z fragmentów różnych religii. Być może dlatego wciąż ma się tak dobrze.

Otóż Legba jest utożsamiany także ze świętym Piotrem... to ten, który pilnuje kluczy do nieba, no nie? Istotą tej postaci... Merkurego, Legby czy świętego Piotra... jest to, że sprawuje pieczę nad przestąpieniem progu.

- A dlaczego te monety są symbolem klątwy?



- Tego to ja już nie wiem, ale pracownicy w tym domu starców byli tak przerażeni, że za żadne skarby nie chcieli wejść do niektórych pokoi.

- Hm.

- Przypuszczam, że ta moneta z Merkurym może też działać w drugą stronę i przynosić szczęście, bo w Luizjanie i na Florydzie ludzie noszą je na łańcuszkach na szyi. Podobno przyciąga pieniądze.

- A to ci dopiero.

- Poza tym te monety wrzuca się do woreczków mojo.

- Woreczków mojo?

- Nie nabijaj się z tego. Kiedy kręciłem ten materiał, też sobie zrobiłem taki woreczek i może to przypadek, ale wiesz, ile się wydarzyło w moim życiu od tej pory? Tak czy inaczej, do woreczka mojo potrzebne są dziesięciocentówki z Merkurym. I parę korzeni... jakich, to już zależy od hungana. Ja włożyłem korzeń świętego Jana Zdobywcy. Pamiętam, bo spodobała mi się ta nazwa.

- Hm.

- W każdym razie hungani wiedzą, jakich korzeni trzeba użyć. No więc bierzesz dziesięciocentówkę z Merkurym, korzenie, trochę cukru i zawijasz to w banknot dwudolarowy. Wszystko to wkładasz do woreczka z czerwonej flaneli i mocno zawiązujesz. A potem, żeby mojo działało, musisz natrzeć woreczek krwią menstruacyjną albo moczem kobiety, którą kochasz. Z Christine nie było to takie łatwe.

- Wyobrażam sobie.

Gadamy jeszcze przez chwilę, po czym dziękuję mu, a on podaje mi nazwisko jakiegoś naukowca z Uniwersytetu Stanu Floryda, na wypadek gdybym potrzebował więcej informacji na temat voodoo.

Sporządzam wykaz festiwali średniowiecznych. Z poprzednich odwiedzin w Internecie wiem, że jest ich więcej, niż można sobie wyobrazić.

Shczęście mi sprzyja i już pierwsza strona spisu, który wyszukał Google - Przewodnik Targowy - okazuje się bardzo pomocna. Klikam na środek bogato tłoczonej skórzanej okładki „księgi”, która stanowi stronę główną, i uzyskuję dostęp do bogatej listy imprez - jarmarków, festiwali, kiermaszy, rekonstrukcji dawnych bitew, odpustów, rozmaitych pokazów, turniejów i tak dalej. Chronologiczny wykaz na „pergaminowych” stronach „księgi” jest kopalnią informacji. Do każdego jarmarku czy festiwalu dodany jest odsyłacz do stron, gdzie można znaleźć szczegóły takie jak rok, w którym osadzone jest dane widowisko (1567, 1601 itd.), od kiedy sieje wystawia, na ilu scenach odbywają się przedstawienia, liczba straganów z jedzeniem i pamiątkami, mapy, informacje o pogodzie, godziny otwarcia i ceny biletów, a także numery telefonów i inne sposoby kontaktu z kierownictwem. Każda impreza ma nawet własną „politykę broni”, określającą, czy broń powinna być „pokojowa”, czy nie (cokolwiek to znaczy).

Oprócz dwustu dziewięciu „głównych wydarzeń” przewodnik wymienia także artystów i organizatorów tych widowisk - imponujący katalog, zawierający wszelkie możliwe przedstawienia, poczynając od „pokazów polowań z ptakami” przez połykaczy ognia aż po występy „sprośnych” komików.

Rzemieślnicy i sprzedawcy rękodzieła mają swoją osobną stronę; są wśród nich dostawcy skórzanych naczyń do picia, *chain maille*\* i przyrządów do żonglowania.

Korzystając z internetowego przewodnika, codziennie spędzam po kilka godzin przy telefonie, rozmawiając z organizatorami tych imprez. Większość muszę usilnie namawiać i nakłaniać do rezygnacji z instynktownej postawy obronnej i odmowy współpracy. Rozumiem, dlaczego nie chcą ze

mną rozmawiać. Ja z pewnością unikałbym telefonów od jakiegoś desperata, który sugeruje, że w wyczarowanym przeze mnie świecie fantazji grasuje porywacz.

Przeważnie jednak udaje mi się ich przekonać przynajmniej do tego, by zgodzili się wywiesić plakaty z podobizną poszukiwanego w prywatnych częściach jarmarków, przeznaczonych dla personelu.

Zrobiłem ten plakat w Kinko's. Pod typowym napisem POSZUKIWANY widnieją różne portrety pamięciowe Szczurołapa (w tym ten, który sporządził policyjny rysownik na podstawie zeznań dzieci Sandling). Poniżej zamieściłem krótki opis uprowadzenia moich dzieci, kiedy i jak do tego doszło, a także to, co wiem na temat wyglądu fizycznego Szczurołapa, jego kostiumu i psa. Na samym dole podałem informacje, jak się ze mną skontaktować, a także wysokość nagrody.

Codziennie wysyłam paczki zawierające list przewodni oraz po kilka egzemplarzy plakatu. Mimo że sporo mnie to kosztuje, korzystam z poczty kurierskiej FedEx, bo dostarczają przesyłki z dnia na dzień. Dane o wszystkich paczkach wprowadzam do komputera, w którym założyłem osobne foldery dla każdego jarmarku, by móc śledzić przychodzące telefony i e-maile, a także moje odpowiedzi i podjęte działania. Dzięki połączeniu folderów z kalendarzem komputer sam powiadamia mnie, kiedy przychodzi coś nowego.

Po uporaniu się z wszystkimi imprezami wymienionymi w przewodniku mam zamiar przejść do spisu artystów i sprzedawców. Czasami jednak odrywam się od średniowiecza, by zaplanować podobną kampanię w świecie zwierząt.

Być może uda mi się dotrzeć do Szczurołapa poprzez jego psa. Gdy po raz pierwszy wpisuję do wyszukiwarki hasło „whippet”, ze zdumieniem stwierdzam, że wyskakuje ponad trzydzieści siedem tysięcy odnośników. Większość do niczego mi się nie przyda, ale i tak w życiu bym się nie spodziewał, że jest aż tylu hodowców whippetów, a także fanklubów i wielbicieli tej rasy.

- O tak - rechocząc, trajluje jakaś kobieta ze Świata Whippetów. - To cudowne stworzenia, pełne energii, a jednocześnie łatwo dają się ułożyć, no i wyglądają po prostu przepięknie, nie sądzi pan? Czy chce pan, żebym pomogła panu znaleźć szczeniaka? Dlatego pan dzwoni?

Proste wyjaśnienie - że szukam człowieka, którego widziano z whippetem - wprawia ją w zdumienie i niepokój.

- I to wszystko, co pan wie na jego temat... że miał takiego psa? Czy ten pies pana zaatakował? Tłumaczę jej, kim jestem i dlaczego usiłuję namierzyć kogoś poprzez jego psa.

- Och! - bąka bezbarwnym głosem; nagle cały jej entuzjazm wyparował. - O Boże! Czyja wiem... jeśli ten człowiek nie bierze udziału w zawodach, strasznie trudno będzie go znaleźć. Bo jeśli uczestniczy czy uczestniczył kiedyś choćby raz, to może się udać. Ale jeżeli kupił szczeniaka pokątnie albo nawet z hodowli, ewentualnie wziął go z drugiej ręki... to sama nie wiem.

- Co pani ma na myśli, mówiąc o zawodach? Wystawy psów?

- Cóż, to też jest jakaś możliwość. Whippetki są teraz bardzo, ale to bardzo w modzie. Prawdę mówiąc, bardzo liczymy na to, że jeden z nich wygra w tym roku Westminster.

- Dużo jest tych wystaw?

- Boże jedyny, nawet pan sobie nie wyobraża! Ale uważam, że szukając w ten sposób, straci pan tylko czas. Moim zdaniem ktoś taki jak facet, którego pan opisał, no... raczej nie starałby się rzucać w oczy i nie prezentowałby tego psa na wystawach, zwłaszcza jeśli używał go jako... nawet nie chcę o tym myśleć... jako przynęty dla dzieci.

- Wobec tego co...

- Może warto by się przyjrzeć konkursom innego rodzaju. Takim, co do których nie ma obawy, że zainteresują prasę czy telewizję. Wielu właścicieli whippetów rywalizuje... my po prostu mamy walkę we krwi, rozumie pan! Więc jeśli ten pański gość jest jednym z nich, ktoś mógłby go rozpoznać. Mówił pan, że ma pan jakąś jego podobiznę do rozesłania?

- Tak.

- Więc niech pan spróbuje rozprościć ją wśród tych grup.

- Ale o czym pani mówi? O wyścigach na torze? Nieco obłąkańczy śmiech.

- Wielkie nieba, dzisiaj niewiele już ich zostało. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie znajdzie pan już klasycznych gonitw na owalnym torze, jeśli pan dobrze poszuka, ale o wiele bardziej popularny jest coursing... to taka odmiana wyścigów, w których psy biegną za wabikiem. Wie pan, whippet to wzrokowce... gonią ofiarę, którą mogą dostrzec. Zwykle coursing odbywa się na torze pełnym naturalnych przeszkód, tak że psy muszą biec zygakiem. Wabiki to atrapy z białych plastikowych torebek... żeby, jak to mówimy, było światowo, ale i humanitarnie. Poza tym whippet są świetne we frisbee i wyborne w flyball i flygility, no i...

Nie przerywam jej, więc gada i gada, aż w końcu obiecuje, że doda link do mojego plakatu na swojej stronie internetowej i przyśle mi spis hodowców i grup właścicieli whippetów.

Dwa dni później dostaję wysłaną priorytetem paczkę. W środku znajduję nazwy czterystu trzydziestu czterech grup oraz ponad dwustu witryn internetowych, które radzi mi odwiedzić. „Oczywiście, niektóre będą się pewnie pokrywały - pisze ta kobieta na samoprzylepnej karteczce - bo właściciele whippetów uwielbiają się zrzeszać!”

Jak dotąd przebrnąłem zaledwie przez czterdzieści dwie imprezy z mojego wykazu średniowiecznych jarmarków. Teraz zaś wygląda na to, że przebadanie tropu whippetów będzie równie czasochłonne. Jestem zniechęcony, przybity, czuję, że jest to zadanie ponad moje siły. Takie poszukiwania w oczywisty sposób wymagają zaangażowania wielu ludzi, czyli powinna się tym zająć policja. A ściśle mówiąc, powinna była.

Kolejnego pola do poszukiwań dostarcza mi elżbietańska ozdoba na szyję, zwana krezą. Z listy sprzedawców wybieram tych, którzy bądź szyją, bądź sprzedają renesansowe stroje - krezy, czepece, kubraki, suknie dworskie. Katalog handlarzy rozrasta się po każdej rozmowie z którymś z nich. Krezy produkuje się nie tylko na potrzeby festiwali renesansowych, lecz także dla teatrów, minstreli, trubadurów, błaznów królewskich, chórów oraz cyrków (w których krezy noszą zarówno kłowni, jak i rozmaite zwierzęta). Średniowiecznych imprez oraz grup amatorów whippetów jest mnóstwo, ale produkcją krez też zajmuje się wiele firm, głównie małych przedsiębiorstw rodzinnych. Krezy można kupić za zaliczeniem pocztowym, w Internecie albo na samych festiwalach.

- Przykro mi, ale sprzedajemy głównie za gotówkę - informuje mnie kobieta z firmy Rags Carpe Diem. Odbywam kilka rozmów telefonicznych dziennie, lecz wygląda na to, że coś, co zapowiadało się na rokujący szanse powodzenia trop, może mi wyrwać z życia kilka miesięcy.

W środku nocy budzę się z myślą: sprzęt gimnastyczny. U ilu ludzi zwisają z sufitów liny? Nie wiem u ilu, ale już następnego dnia przekonuję się, że liny można kupić praktycznie wszędzie. Te same liny, które zwisają do ćwiczeń gimnastycznych z sufitów, stosowane są do cumowania łodzi, do osłony burt podczas lawirowania między bojami w basenach portowych, jako poręcz przy kładkach i schodniach, do dekorowania restauracji marynistycznych... Można je kupić w sklepach ze sprzętem dla żeglarzy, a także przez Internet oraz za zaliczeniem pocztowym z dostawą do domu. Są dostępne w supermarketach. Zwyczajną linę można zamienić w taką do wspinaczki, robiąc na jednym końcu

pętlę, za którą można ją zawiesić na suficie. Stare liny wspinaczkowe rzadko kiedy trafiają na śmietnik. Z ekskluzywnych siłowni i wielkich, hojnie sponsorowanych szkół albo akademii sportowych przenoszą się do gimnazjów utrzymywanych przez Kościół albo bezpłatnych siłowni miejskich... a stamtąd do wszelkiego rodzaju sal gimnastycznych.

Dostaję przesyłkę od Emmy - akta jej sprawy, które wy dostała od policji z Corvallis, wraz z kopiami policyjnych akt z Eureka. Ślęczę nad nimi godzinami. Pojawia się kilka nowych tropów - nazwiska sąsiadów Sandling z czasów, gdy mieszkała z dziećmi w namiocie w parku, życiorys Delta Trueblooda, nazwiska rodziców kolegów Connora i Chandlera. Idąc ich śladem, rozmawiam ze wszystkimi, lecz nie dowiaduję się niczego nowego. Jak to ujął Shoffler? Gonię w piętke.

Co dzień godzinami wertuję moje spisy, wiszę na słuchawce, szykuję przesyłki do wysłania pocztą kurierską. Poza tym co najmniej cztery godziny dziennie spędzam w sieci, czytając listy, które wciąż przychodzą na adres [szukamy-kevina-i-sea-na.com](mailto:szukamy-kevina-i-sea-na.com)

Problem z nasiadówkami przed komputerem polega na tym, że koszmarnie mnie wyczerpują. Przebłyski i promyki nadziei szybko okazują się wiadomościami od tych, którzy, jak to określił Shoffler, „widzieli Elvisa”<sup>†</sup> Przypomina to chodzenie po linie - z jednej strony starasz się mieć otwarty umysł i zachować czujność, z drugiej zaś nie robić sobie nadziei. To nieustające pasmo kolejnych rozczarowań całkiem mnie dobija.

Przez pierwsze trzy tygodnie witryna [szukamy-kevina-i-seanacom](http://szukamy-kevina-i-seanacom)

była niewyczerpanym źródłem pozytywnej energii. Świadomość, że tylu ludzi jest z nami, napawała optymizmem. Czujni obywatele śpieszyli nam z pomocą i bez przerwy ślali wyrazy poparcia oraz potencjalnie użyteczne informacje.

Nadal dzień w dzień przesyłają mi dobre słowo, czasami pytają też, gdzie można wpłacić pieniądze na zwiększenie nagrody. Tysiące ludzi modli się za moich synów. Ale pomijając to oraz codzienne listy od kilku kobiet, które niemal zawodowo śledzą strony poświęcone zaginionym dzieciom w nadziei, że przyczynią się do połączenia rodzin, witryna zaczęła przyciągać samych maniaków.

Pośród świrów przeważają ci z dobrymi intencjami, głównie jasnowidze amatorzy i profesjonaliści oraz przedstawiciele jeszcze bardziej ekscentrycznych form wróżbiarstwa; wszyscy oni ochoczo proponują swoje usługi - jedni za darmo, inni za opłatą. Zgłaszają się też autorzy, którzy chcą napisać książkę o moich synach, poza tym nawiedzeni, którym coś objawiło się we śnie, jak również wyznawcy rozmaitych sekt religijnych, proponujący wieczne niebo dla mnie i dla Liz.

Ponadto dostaję coś, co Liz określa jako „toksyczny spam” - pełne błędów ortograficznych i gramatycznych e-maile, zawierające mroczne aluzje i chore insynuacje albo, co gorsza, opisujące nad wyraz niepokojące fantazje, w których moje dzieci padają ofiarą odrażających praktyk.

Do tego dochodzą groźby pozbawienia życia, skierowane pod adresem moim i Liz, a także cyniczne oferty kupna przedmiotów związanych z chłopcami - ich dziecięcych rysunków, ubranek, mlecznych zębów. Od samego początku listy zawierające jawne groźby przekazywaliśmy FBI i robię to nadal, ale już samo codzienne ich czytanie wpędza mnie w depresję.

Bywa, że całymi dniami nie wychodzę z domu. Na wertowaniu internetowych spisów spędzam po czternaście, szesnaście godzin dziennie. A także przy telefonie albo szykując przesyłki, ewentualnie szukając tropów w cyberprzestrzeni. Mimo że jeszcze niedawno obiecałem sobie, że będę prowadził zdrowy tryb życia i utrzymywał w domu porządek, to teraz żywię się pizzą, bajglami i piwem. Dom wygląda jak pobojowisko. Chodzę w pomiętych ubraniach, a przeglądając się w lustrze, widzę szarą wymizerowaną twarz. I nieogoloną. Zapuściłem brodę, włosy też mam za drugie. Zaczęły mi krwawić dziąsła. Mam ciągły skurcz prawej dłoni - tej, którą klikam myszką. Przeważnie pracuję zdeterminowany, pochłonięty tylko jedną myślą, ale od czasu do czasu ogarnia mnie czarna rozpacz i sam przed sobą przyznaję, że wszystkie te moje działania ani o krok nie zbliżają mnie do odszukania Kevina i Seana. W końcu nadchodzi dzień, w którym przez moment zastanawiam się, czyby się jednak nie poddać.

Ale to wrażenie pustki jest gorsze, o wiele gorsze niż poczucie, że drążę ślepe korytarze. Możliwe, że to, czym się zajmuję, nie przynosi rezultatów, ale przynajmniej coś robię. Więc ciągnę to dalej, pracując z desperacką energią niedouczonego studenta, który w ostatniej chwili postanowił wziąć udział w olimpiadzie przedmiotowej.

A to dlatego, że nie mogę się pozbyć wrażenia, iż zostało mi bardzo mało czasu.

## **Rozdział 20**

- Wyglądasz jak śmierć na chorągwi - wita mnie Shoffler w sobotni wieczór.

Wpadł do mnie bez zapowiedzi. Na jego widok serce mi podskakuje - czyżby miał dla mnie coś nowego? - ale uspokajam się, gdy podnosi sześciopak sierra nevada.

- To jak, mogę wejść? Przytargalem nawet to twoje ulubione szpanerskie piwo.

- Hej! - Otwieram szeroko drzwi.

Detektyw krzywi się na widok tego, co zastaje w salonie.

- I gdzie te kobiety, kiedy przydałaby się kobieca ręka? Przechodzi za mną do kuchni i znowu się krzywi. Wyciąga za szyjkę dwie butelki piwa, a resztę wkłada w kartonie do lodówki.

- Coś tam panu zakwitło, kierowniku.

- Nie mówiłeś mi, że awansowałeś na szefa nowego wydziału porządków domowych.

Ten kiepski, wymuszony żart Shoffler z uprzejmości kwituje zdawkowym śmiechem. Odkręca nakrętki, podaje mi piwo i siada ciężko przy stole. Unosi butelkę i wyciąga ją w moją stronę.

- Zdrówko! - rzuca. Rewanżuję mu się tym samym.

- Co słyszać? Jak tam na nowym stołku? Krzywi się z niesmakiem.

- W porównaniu z rwaniem zęba da się wytrzymać.

- To znaczy?

- To znaczy, że w zasadzie ćwiczymy tylko, jak opanować tłum, do tego się wszystko sprowadza.

- Wyjaśnia, że jeśli w stolicy nastąpi atak terrorystyczny, to największe szanse da mi kradzież kajaka albo łódki. - Wskakuj do Potomacu i wiosłuj z prądem.

- I tak wygląda wasz plan ewakuacyjny?

- Nie wkurzaj mnie. - Pociąga długi łyk piwa. - Powiedz lepiej, co słyszać u ciebie.

- Niewiele. Unosi brwi.

- To dlaczego jesteś taki wypluty?

- Pewnie z braku sukcesów.

- A jak poszło z Sandling? Jej akta na nic się nie przydały? - Od czasu mojego wypadu na Florydę rozmawialiśmy kilkakrotnie przez telefon, więc wie o moim spotkaniu z Emmą i o tym, że kazała swoim prawnikom przesłać mi akta policyjne.

- Jestem pewien, że to ten sam facet, ewentualnie ktoś, kto z nim pracuje... ale to by było na tyle. Przynajmniej na razie.

- Czyli nic?

- Dupa blada.

- Hmmm. - Wstaje, spokojnie podchodzi do lodówki. - Jeszcze po browarku?

- Czemu nie?

- To czymże ty się zajmowałeś, skoro nic nie masz?

- Chodź na front walki. - Przenosimy się do gabinetu, gdzie pokazuję mu ściągnięte z sieci wykazy i stopy plakatów z „listem gończym” za poszukiwanym, a także wyjaśniam, czego szukałem w Internecie. Shoffler kiwa głową.

Po powrocie do kuchni znów rusza do lodówki.

- Dla ciebie też?

- Mnie już starczy.

Znowu siada przy stole i macha ręką w kierunku gabinetu.

- Zdajesz sobie sprawę, że ta twoja robota to jak kopanie łyżką tunelu do Chin?

Wzruszam ramionami.

- Widzę, że szkoda ci czasu na sprzątanie. I na zadbanie o siebie. Jak ty wyglądasz?

- Dzięki. Przyjechałeś, żeby mi to powiedzieć?

- Właściwie to i tak miałem do ciebie zajrzeć, ale wpadłem, bo dostałem telefon od tej twojej

sąsiadki, jak jej tam. Też z psem. Martwi się o ciebie.

- Pani Siegel.

- Właśnie. Ostrzegalem, że cię ta robota wykończy, i właśnie się wykańczasz. No popatrz tylko...

- Ruchem ręki omiata pokój. - Twój dom wygląda jak Bagdad. A widziałeś się w lustrze? Alex, to wszystko jest pojebane!

- Miło, że się o mnie troszczysz.

- Taaa, no... w końcu jestem ci coś winien. Nie powinienem się dać złapać na ten T-shirt. - Przez chwilę siedzi zniesmaczony samym sobą i powoli kręci wielką głową. - Zrobił nas w bambuko.

- Więc niby po coś tu przyjechał? Na wizytację pobojuwiska?

Żałuję tych słów, ledwie je wypowiedziałem. W moim głosie pobrzmiwa uraza naburmuszonego małolata, który odszczekuje się rodzicom. Zresztą wcale tak nie uważam. Lubię Shofflera i wiem, że sprowadziła go zwyczajna ludzka troska. Prawdę mówiąc, jego obecność w kuchni sprawia mi ulgę. Ostatnio moje osobiste kontakty z ludźmi ograniczały się do wymiany kilku słów z Damonem z piekarni Whatsa i Consuelo z pizzerii Vace's.

Shoffler nie tyle wstaje, ile zrywa się na nogi, obrażony.

- Wiesz co, Alex? Wal się!

Ciska prawie pełną butelkę piwa do kosza na śmieci i rusza do drzwi.

Idę za nim, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Przed drzwiami detektyw odwraca się do mnie. Patrząc na jego nabiegłą krwią twarz, czuję się paskudnie.

- Wyrwałem się jak idiota, Ray. Przepraszam. Sam nie wiem, co we mnie...

Zbrywa moje przeprosiny ruchem ręki.

- Uważam cię za przyjaciela, Alex. I przyjechałem tu jako przyjaciel. A całe to gównno, którym się zajmujesz... - powoli kiwa głową - naprawdę ma ręce i nogi. Kto wie? Może się do czegoś dokopiesz? Ale jeśli ci się uda, to będzie jak wygrana na loterii. Przez te wszystkie lata w policji nigdy nie widziałem, żeby taka mozolna dłubanina na coś się przydała. Ani razu.

Unoszę ręce wysoko, jakbym właśnie został aresztowany i się poddawał.

- Po prostu nie potrafię siedzieć i nic nie robić.

- Robiłeś notatki? Zapisywałeś wszystko?

- Nauczyłem się od ciebie. Zapelniam już piąty notes. Ale możesz mi wierzyć, Ray, przeglądam je na okrągło. Wszystko, co zapisałem, znam na pamięć. Nie sądzę, żeby tam był jakiś trop, którego bym nie sprawdził.

- Wiesz co? Weź skocz po pizzę... trochę piwa też by zresztą nie zawadziło. A ja sobie tymczasem rzucę na to okiem.

Wzruszam ramionami.

- Zgoda.

Gdy wracam, musimy wygospodarować na stole miejsce na pizzę i poszukać serwetek. Od tak dawna nie robiłem zakupów, że serwetki już dawno mi wyszły. Papierowych ręczników też już nie mam. W końcu z kredensu w jadalni, gdzie Liz trzyma nasze obrusy, wyciągam dwie jasnozielone serwetki z adamaszku. Ich widok, dotyk materiału, wyzwala w mojej głowie serię wspomnień specjalnych okazji, przy których używaliśmy tych rzeczy. Gwiazdka, Święto Dziękczynienia, urodziny chłopców...

Shoffler wsadza sobie serwetkę pod szyję, oddziela porcję pizzy i pochłania ją jednym kęsem.

- Jasna cholera! - rzuca, łapczywie przysysając się do butelki piwa. - Poparzyłem sobie

podniebienie. Zawsze to samo... zdaje się, że kiedy uczyli o tym, że należy jeść powoli, wybrałem się na wagary.

- Kevin też zawsze się parzył... - mówię i urywam raptownie. Każdemu, kto wyrazi się o moich synach w czasie przeszłym, skaczę do gardła. A teraz sam to zrobiłem.

Shoffler kiwa głową i stuka palcem w notes numer trzy, który położył z dala od pozostałych.

- Ja bym poszedł tym tropem - oświadcza. - Bliźniaczki Gabler.

- Te tancerki?

- Tańczące bliźniaczki. W sprawie dzieci Sandling zrobiłeś wszystko, co mogłeś, więc moim zdaniem teraz powinieneś się zabrać do Carli i Clary... a swoją drogą, jaja sobie ze mnie robisz? Jacy rodzice byliby zdolni do czegoś takiego? - Kręci głową, bierze następny kawałek pizzy.

- Ale to były kobiety. Dorosłe. Tancerki. Nie rozumiem, co wspólnego... - Wzruszam ramionami.

- Oderwij się na chwilę od tego schematu. Przejrzałem twoje notesy i co widzę? Zaginione bliźniaczki. Jak synowie Sandling. Jak twoje dzieci.

- Tylko że Gablerówny nie wróciły.

- Jasne, jasne. Zostały zabite, więc nie chcesz doszukiwać się żadnych związków.

- One nie tylko zostały zabite. Nie interesowałem się tym specjalnie, ale czy przypadkiem nie zostały okaleczone czy coś w tym rodzaju?

- Coś w tym rodzaju... dlatego tym bardziej nie chcesz łączyć ich sprawy z twoją. Ja jednak twierdzę, że są wyraźne podobieństwa. Więc może powinieneś to sprawdzić? Poleć tam.

- Do Vegas? Po co?

- Mnie się pytasz? Po to, żeby przebalować całą noc w kasynie, a poza tym dają tam świetne żarcie. - Wybucha piskliwym śmiechem, lecz zaraz wraca do rzeczy. - Ale poważnie. Widzę, co o tym sądzisz, ale mówię ci, że... - Zawiesza głos, z powrotem siadając na krześle. - Popatrz na to z tej strony... twoje przeczucie, żeby pójść tropem dzieci Sandling, przyniosło rezultaty, zgadza się? - I dorzuca z naciskiem: - Bliźniaki!

- Ale chodziło o chłopców, w tym samym wieku...

- Zobacz, ile rzeczy przyjmujesz za pewnik. Uważasz, że chodzi o dzieci... i całkiem możliwe, że tak jest. Ale nie zakładaj tego z góry. A jeśli chodzi o bliźniaki? Mnie to się od samego początku wydawało dziwne... porwanie dwójki dzieci. Coś mi tu nie grało. Jak chcesz odzyskać chłopaków, musisz mieć otwartą głowę. Bo w sumie nic nie wiesz. Być może chodzi o dzieci. Być może o bliźniaki. A może o coś zupełnie innego, na co jeszcze nie wpadliśmy. Ale i twoi chłopcy, i Gablerówny to zaginione bliźniaki.

- Czy ja wiem?

- No co... uważasz, że to strata czasu? Masz coś lepszego do roboty? - Macha ręką w kierunku gabinetu. - Jesteś na jakimś gorącym tropie?

Wzruszam ramionami. Shoffler ma rację. Nie mam nic lepszego do roboty, niż siedzieć w czterech ścianach z e-mailami i spisami telefonów.

- Słuchaj, zawsze to jakiś trop. Może nie jesteś tym zachwycony, ale jak to się mówi, lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Uwierz mi. Ilu zaginionych bliźniaków udało ci się znaleźć w sieci? Wiem ilu, bo szukałem tak samo jak ty. - Zaczyna odliczać na palcach. - Po pierwsze, dzieciaki Ramirezów... tyle że facet, który ich załatwił, siebie też skasował. Ślepy tor. Potem masz Gablerówny. I wreszcie chłopaki Sandling. Być może przyjrzenie się sprawie siostrzyczek Gabler okaże się stratą czasu. A może nie.



- Sam nie wiem.

Shoffler bierze notesy i unosi je, jakby pokazywał dowody rzeczowe podczas rozprawy w sądzie.

- Przejrzałem je, naprawdę się w to wczytałem. I jedyne, co mnie w tym uderzyło... a mówię ci to jako zawodowiec, jako detektyw z osiemnastoletnim stażem... otóż jedyne, co mnie uderzyło, to sprawa sióstr Gabler. To jedyne kamień, pod który nie zajrzeliśmy.

- Czyli... chcesz powiedzieć, że masz przecucie?

- Niedoceniając przecucie to gruby błąd. Wzruszam ramionami.

- Skoro uważasz, że warto spróbować... - W zasadzie jestem już na etapie, na którym wszystko mi jedno, choć nie jest to takie proste. Może zgadzam się tam pojechać w ramach rekompensaty za to, że byłem dla niego nieuprzejmy? A może Shoffler chce mnie wyprawić do Vegas tropem sióstr Gabler, bo uważa, że wyjazd z miasta dobrze mi zrobi?

- O tej porze roku tam jest tanio jak cholera - dorzuca detektyw. - A ja mam dobre wejście w tamtejszym wydziale zabójstw.

- Z tego, co słyszałem, ty wszędzie masz dobre wejścia. Chowa się za miną cynika, lecz widzę, że moja uwaga sprawiła mu przyjemność.

- Jasne - przytakuje. - Jestem jak telekomunikacja. I głównie z tego mam. - Kręci głową. - Nie ma planu ewakuacyjnego... dasz wiarę? Powołali ten cały zespół antyterrorystyczny, z szychami że ho, ho, i jak na razie mamy jedną poważną decyzję. Przeciwiństwo ewakuacji. Wojskowy kordon, który ma zatrzymać mieszkańców Waszyngtonu w stolicy!

- Jeśli będzie przeciek i to się rozejdzie, ludzie dostaną białej gorączki.

- Będzie przeciek, nic się nie martw. Kto wie, czy sam nie dam cynku tym z „Washington Post”. - Ociera czoło dłonią. Pod czymś, co z braku lepszego określenia nazwałbym grzywką, jego błyszczące czoło jest zaskakująco blade. - A wracając do Vegas... Jest tam taki jeden gość, mój przyjaciel. Holly Goldstein. Załatwi ci dostęp do akt sióstr Gabler.

- Holly?

- Dobrze, co? Ksywka z ksywki. Hollywood Mike Goldstein. Wszyscy wołają na niego po prostu Holly. Uprzedzę go co i jak.

## **Rozdział 21**

Las Vegas. Nigdy tu jeszcze nie byłem. Jakoś się nie złożyło. Ale przypuszczam, że tak jak wszyscy, mam dobre pojęcie o tym mieście - blichtr i tandeta w proporcjach pół na pół. Okazuje się jednak, że moje wyobrażenie o Vegas błędnie w zetknięciu z rzeczywistością.

Pierwsza mila po wyjeździe z parkingu Avisy przy lotnisku McCarrana rzeczywiście jest tandetna - dziurawa i kiczowata jak najgorsze odcinki Route 1 na trasie z Florydy do Maine. Szmatławe motele i sfatygowane kasyna walczą o miejsce \ z przypominającymi rudery kaplicami, w których udzielają I szybkich ślubów, i egzotycznymi przedsiębiorstwami. Hearing I Pałace, Leonard's Wide Shoes, Laughing Jackalope... Ostatni 1 z tych przybytków to motel-kasyno, jakby żywcem wyjęty I z kiepskiego filmu. Zbyt szemrany, by temu, kto go wymyślił, j mogło to wyjść na dobre. Neon przedstawia złowrogiego królika I w zielonym smokingu, opartego o rozłożoną talię kart.

Mijam gigantyczny billboard, reklamujący MIKROCHIRUR - i GICZNE ODWRACANIE SKUTKÓW WASEKTOMII (Czy takie coś może mieć wzięcie? Na tablicy podane są cztery adresy). W końcu dojeżdżam do pierwszego z wielkich hoteli-kasyn - pokrytego złotem Mandalay Bay.

Jest niewiarygodnie wielki, większy niż jakikolwiek budynek w Waszyngtonie i jego okolicach, no może z wyjątkiem Pentagonu. A to dopiero pierwszy z tych kolosów. Wybałuszam oczy,

wjeżdżając wynajętym fordem na Strip, czyli kwintesencję tego miasta - fragment Las Vegas Boulevard South na odcinku między kasynem Mandalay Bay a hotelem Sahara. Każdy hotel przypomina osobny park tematyczny, jakiś kolosalny i rozrzutny plan filmowy. Mandalay Bay, Luxor, New York New York, Paris, Bellagio, Caesar 's Pałace... W folderze, który rozdawali w samolocie, wyczytałem, że światło z obsydianowej piramidy hotelu Luxor widać nawet z kosmosu. Z wszechobecnych billboardów spoglądają twarze tutejszych sław - David Copperfield, Lance Burton, Penn i Teller, Wayne Newton, Cirque du Soleil, Celinę Dion.

Światła, billboardy, tłumy. Coś jakby Times Square na sterydach.

Ja jednak nie mieszkam w żadnym z tych nowoczesnych pałaców. Na Priceline.com znalazłem promocyjną ofertę w Tropicanie. Ten hotel też jest ogromny, lecz w porównaniu z nowymi, wydaje się malutki. Wjeżdżam na samoobsługowy parking na tyłach i wchodzę do hotelu przez kasyno.

Jest tak zatłoczone, że trudno się precyzować. Nad ciągnącymi się w nieskończoność rzędami automatów do gry wisi sklepiony lustrzany sufit. Na barwnie oświetlonej wysokiej scenie tańczą i śpiewają cztery kobiety w jaskrawozielonych kostiumach z cekinami. Światła błyskają, mrugają, migoczą. Powietrze wypełniają tony muzyki nintendo, nieustające bipkanie i posapywanie komputerowych melodyjek, od czasu do czasu przerywane wytęsknionym odgłosem - kaskadą dźwięku sypiących się z automatu monet. Każdy element kultury masowej - film, serial komediowy, sławna osobistość, popularna zabawka, symbol etniczny, wierszyk dla dzieci - ma swój odpowiednik w automacie do gry. Fałszujące chórki z irytującą regularnością wybuchają śpiewnie: „Koło fortuny!”, „Ty też spróbuj szczęścia!”.

Gdy w końcu przedzieram się do recepcji hotelu, mam wrażenie, że przydałby mi się pobyt w komorze dźwiękoszczelnej.

- Witam w gnieździe rozpusty - rzuca Holly Goldstein do słuchawki. - Ściągnąłem akta sprawy siostr Gabler. Jeśli nie jest pan padnięty po podróży, mam trochę czasu o trzeciej.

Odpowiadam, że przyjadę do niego.

- To niech pan pisze - mówi. - Ludzie myślą, że mamy siedzibę na Stripie albo w starym Las Vegas, a tak naprawdę jesteśmy kawał drogi za miastem. Formalnie rzecz biorąc, będąc na Stripie, nie jesteś w Las Vegas. Jesteś w Raju.

- Słucham?

- A tak. W Raju przez duże „R”. Developerzy wydzielili Strip jako osobną jurysdykcję o nazwie Raj.

- Pan żartuje.

- A gdzie tam! Wobec tego można by rzec, że policja Las Vegas mieści się z dala od Raju. Upchali nas na przedmieściach, jak jakichś dentystów. Samochodem to jakieś pół godziny drogi, zależy od korków.

Goldstein tłumaczy mi, jak dojechać, dźwięcznym głosem prezentera telewizyjnego albo lektora. Nawet jego śmiech jest gładki jak miód - płynny rechot. Shoffler zdradził mi, że Goldstein pracował w show-biznesie, zanim wstąpił do policji.

- Stąd ta ksywka „Hollywood”. Dwadzieścia lat temu Holly kręcił serial o gliniarzach i odkrył swoje prawdziwe powołanie.

Za dziesięć trzecia, minąwszy całe mile działek budowlanych i centrów handlowych, skręcam w coś, co wygląda na parking przed podmiejskim biurowcem. Budynek nie należy nawet w całości do gliniarzy. Komenda główna policji Las Vegas sąsiaduje z salonem kosmetycznym, solarium i punktem

konserwacji basenów. W końcu dostrzegam kilka białych furgonetek z napisem KRYMINALISTYKA oraz podwójne drzwi oznaczone jako WYDZIAŁ KRYMINALNY i dochodzę do wniosku, że trafiłem pod właściwy adres. Facet obsługujący odkurzacz do trawników wyłącza go, kiedy się do niego zwracam, lecz na pytanie, gdzie znajdę wydział zabójstw, tylko wzrusza ramionami. Jego kolega, przycinający jakiś krzew, wskazuje kciukiem za siebie.

- *Por aqui.*

W poczekalni dwie kobiety stukają w klawiatury komputerów. Na ścianie za nimi wiszą wielkie hiperrealistyczne zdjęcia lasów, coś jakby wiejski wianuszek ze sztucznych ptaków i jajek oraz dziecięce rysunki. Jedna z kobiet pyta, w jakiej sprawie przychodzę, po czym dzwoni po Goldsteina i każe mi poczekać w maleńkiej wnęce, w której z trudem mieszczą się dwa krzesła. Siadam twarzą do oprawionej w ramkę ryciny, przedstawiającej leśną ścieżkę. Połączony napis głosi: NIE MUSISZ CHODZIĆ SAM.

Goldstein jest wysokim i przystojnym mężczyzną nieco po pięćdziesiątce, o siwych włosach i kruczoczarnych brwiach. Ściskamy sobie ręce na powitanie i policjant natychmiast zaczyna wychwalać Shofflera pod niebiosa.

- Ray pewnie dostał już czkawki, ale to jest naprawdę gość, nic nie zalewam - kończy Goldstein. - Stara szkoła. Dzisiaj wszyscy polegamy na technice, no i dobrze. Dostajemy tyle informacji, że akta sprawy są teraz dziesięć razy grubsze niż dziesięć lat temu. Nie powiem, to się nawet przydaje, zwłaszcza w sądzie. Ale do rozwiązania sprawy? E tam. Czasami człowiek się gubi w całym tym badziewiu, w sumie to się obraca przeciwko nam. Weź atak z jedenastego września. Mieliśmy wszystkie informacje, tyle że się zgubiły w tym natłoku danych. A Ray rozwiązał mi kiedyś sprawę tylko dlatego, że miał nosa.

- Mnie też sprowadziły tu jego przeczucia.

- A widzisz! - Kiwa głową i woła: - Hej, Cindy! Otwieraj Sezam!

Przechodzę za nim przez metalową bramę, która otwiera się z elektrycznym pomrukiem. Mijamy mrowie maleńkich gabinetów, przeciskamy się obok ekipy zmagającej się z wielką kamerą i wysięgnikiem mikrofonu. Wygląda na to, że filmują jakąś kartkę.

- Umorzona sprawa - wyjaśnia Goldstein, ruchem głowy wskazując kamerzystów. - Gromadzą dokumenty. Nie możemy tego po prostu wrzucić pod skaner. Trzeba zachować oryginały... więc musimy je sfotografować. Wszystko dlatego, że właśnie wybraliśmy nowego szeryfa, który w kampanii obiecywał odgrzanie umorzonych spraw.

- Takich jak sprawa sióstr Gabler? Wzrusza ramionami.

- Podobno wszystkich. Ale jeśli chodzi o te bliźniaczki, sam nie wiem. Sęk w tym, że ta sprawa została osierocona.

- Nie rozumiem.

Wchodzimy do sali konferencyjnej. Goldstein wskazuje mi jedno z kilkunastu krzesel stojących wokół drewnianego stołu.

- Może najpierw wyjaśnię, jak my tu pracujemy. Po pierwsze, podlega nam bardzo duży teren. Hrabstwo Clark i miasto Las Vegas... to obszar większy niż cały stan Massachusetts. Osiem tysięcy mil kwadratowych. - Ruchem głowy wskazuje wielkie zdjęcie satelitarne Las Vegas i okolic, zajmujące całą ścianę. - I wciąż się rozrasta. Vegas to najszybciej rozwijające się miasto w Stanach. Roboty od groma. Podobno mamy prowadzić te umorzone sprawy w wolnych chwilach, co w naszym wypadku zakrawa na dowcip.

- Dużo macie morderstw?

- Mniej, niż można by się spodziewać. Przeciętna to jakieś sto pięćdziesiąt zabójstw rocznie. I raczej nie na Stripie. Te wielkie kasyna mają niesamowitą ochronę, no i wszędzie jest monitoring. Turystów się tu nie załatwia... to należy do rzadkości. A oni też raczej nie przylatują do Vegas, żeby kogoś utopić. Przeważnie mamy do czynienia z tym, co jest wszędzie... Sprzeczki małżeńskie, kłótnie kochanków. Wytwórnice amfetaminy, przekręty w handlu prochami.

- A wracając do Gablerówien... co pan miał na myśli, mówiąc, że sprawa została osierocona?

Goldstein najpierw jedną, potem drugą dłonią poklepuje dwa skoroszyty, leżące przed nim na biurku.

- Clara i Carla. Carla i Clara. Zostały osierocone dwukrotnie... a może czterokrotnie? Po pierwsze, naprawdę były sierotami... ich starzy zginęli w wypadku drogowym pod Searchlight. Dziewczyny miały wtedy siedemnaście lat.

- To straszne.

- Wielokrotnie więcej ludzi ginie w samochodach niż od kuli. Nie ma porównania! Tylko u nas, w Stanach, mamy rocznie czterdzieści tysięcy ofiar wypadków drogowych. Ale wracając do bliźniaczek... nie dość, że były sierotami, to ich sprawa też została osierocona. Widzi pan, u nas jest tak, że każdy detektyw prowadzi własne sprawy. Sprawa, którą raz dostanie, do końca należy do niego. Śledztwo w związku z siostrami Gabler prowadził Jerry Olmstead. Pracował biurko w biurko ze mną dlatego wiem na ten temat tak dużo. No i tak... Jerry'emu stuknęło trzydzieści pięć lat służby, miał nadciśnienie, a jego żona to była wredna suka. Więc przeszedł na emeryturę i zamieszkał nad jeziorem Havasu. A miesiąc później, co do dnia, wysiadła mu pikawa.

- Cholera!

- I w ten oto sposób osierocił siostrzyczki Gabler po raz drugi. Niedobrze, jak ofiara traci detektywa prowadzącego. Człowiek się przywiązuje do sprawy, rozumie pan? Od samego początku. My traktujemy sprawę jak własne dziecko. - Nachyla się ku mnie, z powagą na twarzy, - Pewnie to głupio zabrzmiało, ale my, mam na myśli oficerów śledczych, my naprawdę uważamy, że pracujemy dla ofiar. Więc, eee... - Wzrusza ramionami. - Po śmierci Jerry'ego nie został nikt, kto by chciał walczyć o Gablerówny. Choć z drugiej strony to była głośna historia, można się na niej wybić, więc ten, kto ją przejął, być może zechce się nią zająć, skoro szeryf uparł się na odgrzewanie umorzonych spraw. Ale ja osobiście bardzo w to wątpię.

Przez chwilę siedzę w milczeniu. Myślę o przejściu Shofflera do zespołu do zadań specjalnych.

- A dlaczego pan nie przejął tej sprawy?

- Bo nie chciałem. To twardy orzech do zgryzienia. Zresztą i tak byłem zawałony robotą. Przez Mongołów.

- Przez kogo?

- Mongołów. To taki gang motocyklistów. Urządzili sobie wojnę z Aniołami w Laughlin. Zginęła kupa ludzi. Od cholery świadków do przesłuchania. Miesiącami nie wychodziłem z sądu. Ale sprawdziłem, komu przypadła ta sprawa - dorzuca nagle, poprawiając ubranie. - Moreno. Pablo Moreno. Jest niezły. W tym tygodniu siedzi w sądzie, ale może go pan złapać na komórce.

Zapisuję w notesie numer, który podaje mi Goldstein.

- Czyli że teraz pracuje nad tym ten Moreno? Policjant kręci głową.

- Nie. Jak mówiłem, możliwe, że się tym zajmie, skoro jest takie parcie na stare sprawy, ale nie dałbym za to złamanego grosza. Tak jak my wszyscy, Moreno ma do wyboru dziesiątki umorzonych

spraw. A Gablerówny mają jeden zasadniczy minus.

- Jaki?

- Nikt nie bije w dzwony. Bywa, że dziesięć lat po morderstwie mama z tatą dochodzą do wniosku, że mają obowiązek wydzwaniać do nas i naciskać. I to dzień w dzień, dosłownie. Ale siostrzyczki Gabler? Hm. Nikt nie podnosi rabanu. Wręcz przeciwnie.

- Jak mam to rozumieć?

- Ich morderstwo było takie... groteskowe, rozumie pan? No i dziewczyny pracowały na Stripie. Właściwie to dwie przecznice w bok, ale dostatecznie blisko. No a Strip... to nasz chlebek z szyneczką. Tutaj nikomu nie zależy na nagłaśnianiu niewyjaśnionych makabrycznych zbrodni. Za cholere. - Goldstein krzywi się. - Po mojemu cały ten sensacyjny aspekt morderstwa działa przeciwko wznowieniu śledztwa. Takie wywalanie flaków na wierzch szkodzi interesom. Rozumie pan?

- Chyba tak.

- Ujmę to w ten sposób. Tu, w Vegas, mamy facetów, którzy występują z tygrysami ludojadami, tutaj samochody i ludzie znikają, a na naszej kolejce górskiej można się zesrać ze strachu. Panienek, które fikają nogami, mamy potąd. Ba, w najpodlejszych kasynach, a nawet w niektórych restauracjach, piękne kelnerki obnoszą gołe dupy i cycki. Ale to wszystko jest jak... jak z puszek, rozumiemy się? Urągające śmierci pokazy magii, te pędzące kolejki i tak dalej... wszystko to zapewnia dreszczyk emocji, ale niczym nie grozi. Nawet tancerki są higieniczne. Jak to ktoś określił, seks bez wymiany płynów ustrojowych. To nie znaczy, że nie mamy tu panienek na telefon czy ulicznych dziwek... Jezu, tutaj nawet kurewstwo jest legalne. Widział pan nasze skrzynki kontaktowe?

- Tak. Goldstein miał na myśli metalowe skrzynki, stojące na ulicach pomiędzy tymi, w których sprzedaje się „USA Today” czy inne gazety, tyle że w tamtych skrzynkach są namiary na miejscowe prostytutki, razem z ich fotografiami. Policjant kręci głową.

- Wie pan, że w innych miastach w takich skrzynkach są oferty pośredników sprzedaży nieruchomości? Domy na sprzedaż. A my mamy dziwki do wynajęcia. Ale wracając do sprawy sióstr Gabler... Masakra tancerek! Zważywszy na okoliczności, nic dziwnego, że ta sprawa w trymiga spadła na ostatnie strony gazet.

- Hm.

- Nie miały rodziny... moim zdaniem to bardzo ułatwiło sprawę. Tak czy inaczej, rzecz się rozmyła.

- Czy w tej sytuacji mogę rzucić okiem na akta? Moreno nie będzie miał nic przeciwko temu?

Policjant wyciąga ręce i rozkłada je, wskazując na dwa skoroszyty.

- To wszystko jest do pańskiej dyspozycji. Ale wiele pan tam nie znajdzie. Czy pan wie, że przez ponad dwa tygodnie nikt nie zgłosił zaginięcia tych dziewczyn?

- Jezu!

- Widzi pan, to właśnie całe Vegas. Tu wciąż pojawiają się nowi ludzie. Jedni przyjeżdżają, inni wyjeżdżają. - Znowu uderza dłońmi w skoroszyty. - Clara i Carla - mówi, z żalem kręcąc głową. - Nawet jak już dziewczyna, która z nimi mieszkała, zaczęła się zastanawiać, czy nic im się nie stało, minął jeszcze tydzień, zanim znaleziono dowody zbrodni. A dopóki ich nie odkryto, nikt nawet nie próbował szukać dziewczyn. Wie pan, co sobie wszyscy myśleli? Że panny wyniosły się do Los Angeles, na Maui albo po prostu wróciły do domu. Czy gdzie bądź. Widzi pan, one miały tylko siebie, żadnej rodziny, tak naprawdę nikogo nie obchodziło, co się z nimi stało. A przez ten czas trop

wystygł na dobre. Rozumie pan... w tej sytuacji dwa tygodnie to cała wieczność.

- A mówiąc o tych dowodach, ma pan na myśli to, jak... jak znalazł je ten turysta?

- Właśnie. Miał biedak pecha. Wylądował potem w szpitalu! Musieli go stamtąd przewieźć śmigłowcem. Ale on ich nie znalazł.

- Nie?

- Niezupełnie. Nie znalazł dziewczyn. Tylko połowę Clary, dobrze mówię? Dolną połowę.

## Rozdział 22

Goldstein miał rację. Spędziwszy półtorej godziny na lekturze akt, wiem o tych morderstwach niewiele więcej, niż dowiedziałem się z prasy.

Ostatnio widziano siostry Gabler, kiedy tańczyły w rewii topless w Niebieskiej Papudze. Kierownik zespołu, niejaki Clay Riggins, trzykrotnie zostawiał im wiadomość na automatycznej sekretarce, coraz bardziej zirytowany, aż w końcu dał sobie spokój. Wiadomości te pozwoliły policji określić prawdopodobną datę zniknięcia sióstr. Ale nie, Riggins nie zawiadomił policji, bo uznał, że dziewczyny wyfrunęły z miasta albo znalazły lepszą robotę w innym lokalu. Oto fragment zeznania Rigginsa podczas rozmowy z Jerryem Olmsteadem:

„Wiesz pan, że te bliźniaczki były identyczne? Nie żeby jakieś specjalnie wystrzałowe, ale podłapały, jak się odstawić na scenę, i tańczyły coraz lepiej. Szło z nimi pracować, rozumiesz pan?”.

Współlokatorką sióstr była Tammy Yagoda, dwudziestotrzyletnia tancerka z Sands. To ona zgłosiła ich zaginięcie. Nie widziała ich od dwóch tygodni - czyli od kiedy po raz pierwszy nie pojawiły się w Papudze. Tammy zeznała na policji, że kiedy się ostatnio widziały, dziewczyny były w świetnej formie. Pracowały w Papudze, a poza tym brały lekcje tańca i dykcji. Tyle że Tammy w zasadzie przeprowadziła się do swojego nowego chłopaka, więc dopiero kiedy wróciła do starego mieszkania po ciuchy, zorientowała się, że coś jest nie tak. Już od progu buchnął na nią smród z kubła na śmieci. Remus i Romulus, dwa koty birmańskie należące do sióstr, umierały z głodu.

Yagoda zeznała, że bliźniaczki uwielbiały koty i nigdy nie zostawiłyby ich w takim stanie. Stąd wiedziała, że coś jest nie tak.

I miała rację.

Kanion Red Rock to popularne wśród turystów miejsce, jakieś dwadzieścia mil za Vegas. Prowadzi do niego dobrze oznakowany malowniczy odcinek szosy długości trzynastu mil, biegnący przez pustynię Mojave. Ekspresyjne formacje skalne stanowią siedlisko lokalnej fauny (owiec kanadyjskich, pustynnych żółwi, dzikich osłów) oraz flory (opuncji, feroakaktusów, drzew mącznicy i Jozuego). Na skałach widnieją inskrypcje i petroglify - dzieła Indian ze szczepu Pajutów, liczące sobie co najmniej tysiąc lat. Nie tylko turyści przepadają za tą okolicą, miejscowi też. Jest to prawdziwy raj dla tych mieszkańców Vegas, którzy lubią turystykę pieszą, jazdę na rowerach górskich albo wspinaczkę skałkową. Foldery reklamowe i mapy przypominają wszystkim, żeby „nie zostawiać po sobie żadnych śladów”.

Josh Gromelski, wędrujący samotnie po wyludnionym terenie za kanionem Icebox, trafił nie tylko na ślad po kimś. Wdrapał się po ścianie Icebox i poszedł dalej, w stronę dużo mniejszego Kanionu Czarów. Wspinając się w nim bez zabezpieczenia, omal nie odpadł od ściany i się nie zabił, kiedy podciągnawszy się na szczyt, cztery stopy przed sobą ujrzał tors i nogi kobiety, którą później zidentyfikowano jako Clarę Gabler. Gromelski miał w plecaku GPS i telefon komórkowy. Udało mu się zachować przytomność umysłu na tyle długo, by zawiadomić telefonicznie kogo trzeba o makabrycznym odkryciu, po czym wyrzygał batony regeneracyjne dla wspinaczy i pogrążył się w

szoku.

Potrafię zrozumieć dlaczego. Fotografie z miejsca zbrodni faktycznie przyprawiają o mdłości. Sam nie wiem, czemu zmuszam się, by spojrzeć na nie po raz drugi. Podobnie jak wiele innych zdjęć, które oglądałem - stosy nagich zwłok Żydów, wrzucone do masowych grobów; rozdęte przez gazy ciała w Jonestown; leżący na drodze za Tora Bora talib, ze spuszczoneymi spodniami i wetkniętym w odbył łomem - także i te już na pierwszy rzut oka wywierają niezapomniane wrażenie. I tak jak na pewne rzeczy, które widziałem osobiście - na przykład jatkę w Kosowie, gdzie podtrzymywałem ciało ciężarnej kobiety bez głowy - na nie również wystarczy spojrzeć tylko raz.

Fotografia dolnej połowy ciała Clary Gabler dołącza do gromadzonej przez lata galerii grozy w mojej głowie, w której obrazy, jakich nigdy nie chcielibyście oglądać, wyrły się na zawsze. Tułów przecięty jest ponad talią nogi rozrzucone; jedna z nich jest lekko zgięta. Miejsce cięcia przypomina obsceniczną miskę - krawędź skóry i podskórnego tłuszczu tworzy pojemnik, zawierający ogryzioną papkę z czerwonej miazgi.

Pomijając uszkodzenia będące dziełem drapieżników, dolna część tułowia Clary Gabler nie uległa rozkładowi w suchym powietrzu pustyni Mojave. Gdyby nie poszarpane ciało w miejscu cięcia (raport policyjny z miejsca zbrodni podaje, że „dzikie zwierzęta usunęły narządy wewnętrzne”), tułów i nogi wyglądałyby jak część lalki. Nogi są zgrabne, odziane w siatkowe pończochy, a stopy - nieco skierowane do środka - wciąż obute w skórzane sandały z czterocalowymi obcasami. Dół tułowia Clary okrywa strzęp materiału ze złotymi cekinami... zupełnie jak figi od bikini, tyle że postrzępiony i splątany w talii.

Do kogo należały nogi i tułów, ustalono dużo później, lecz kiedy już policja wzięła się do poszukiwań, odnalezienie drugiej połowy ciała Clary Gabler nie zajęło wiele czasu. Leżała dwadzieścia jardów dalej, zaklinowana w skalnej szczelinie, gdzie najwyraźniej zawlokły ją kojoty. To ta połowa z twarzą, twarzą z pustymi oczodołami w miejscu wydziobanych oczu. Trudno na nią patrzeć, na to makabryczne ciało, kończące się nagle tuż poniżej klatki piersiowej...

Carłę odnaleziono pięćdziesiąt jardów dalej; leżała na brzuchu w wąskim żlebie. Według dziennikarzy, zanim turysta odnalazł zwłoki dziewcząt, drapieżne ptaki i ssaki żywiły się nimi mniej więcej przez dwa tygodnie.

Carla Gabler zginęła w bardziej tradycyjny sposób niż jej siostra. Dostała kulkę w tył głowy, tuż za prawym uchem - wyglądało to na egzekucję. Fotografie dołączone do jej akt przeglądam niemal z ulgą, więc wciąż muszę sobie przypominać, że ona także została zamordowana z zimną krwią. Zdjęcia z miejsca zbrodni ukazują Carłę w kostiumie - siatkowe pończochy, sandały na wysokich obcasach, wyszywane złotymi cekinami majteczki, inkrustowane kamieniami staniczek.

W chwili strzału leżała twarzą w dół na skale. Z powodu zsinienia pośmiertnego, szkód wyrządzonych przez drapieżniki oraz rany wylotowej po kuli kalibru 0.38, jej twarz jest nie do rozpoznania.

Zdjęcia są brutalne, ale tekst nie jest wiele lepszy. Suchy raport z sekcji zwłok podaje, że Clara została przepiłowana piłą dostatecznie mocną, by przeciąć kręgosłup. „Linia cięcia biegnie dokładnie przez tkankę miękką brzucha, nieco powyżej pępka, przecina jelito na wysokości dwunastnicy, a następnie dysk między drugim a trzecim kręgiem lędźwiowym”.

Ale to jeszcze nic. Według patologa „uszkodzenie tułowia ofiary nastąpiło przed śmiercią”. Przyczyną zgonu było wykrwawienie.

Suchy język raportu nie łagodzi jego treści. Clara Gabler żyła, kiedy została przecięta na pół,

żyła, gdy oprawca wysłał jej wyjąca duszę w inny wymiar.

Innymi słowy, tłumaczę sobie, temu rzeźnikowi nie chodziło o poćwiartowanie ciała, żeby łatwiej mógł się go pozbyć. Był to przejaw sadyzmu.

Najwyraźniej jednak zbrodnia ta nie miała podłoża seksualnego. Żadna z obu kobiet nie była molestowana. Według patologa, dowody przemawiają za tym, że ani jedna, ani druga już od jakiegoś czasu nie miała kontaktów seksualnych. Niektóre zawarte w aktach dokumenty - przesłuchania Yagody, Rigginsa, lokatorów Palomar Apartments, gdzie mieszkały siostry, a także ich koleżanek z pracy w Niebieskiej Papudze - sugerowały, że być może dziewczyny dorabiały sobie czasami na boku jako dziwki.

- A czemu nie? - podsumował Goldstein. - Na miłość boską, jesteśmy w Vegas. A to były identyczne bliźniaczki, i w dodatku tancerki kabaretowe. Jakiś trójkącik od czasu do czasu, żeby związać koniec z końcem? Nie byłoby w tym nic dziwnego.

Ale według Yagody Carla i Clara - chociaż nie dziewice - „nie były takie”.

- Faktycznie - przyznaje Goldstein. - Właściwie to nawet rzadko gdzieś wychodziły. Prawdę mówiąc, Yagoda zeznała, że siostry się tym martwiły. Tym, że są bliźniaczkami. Nie znosiły, kiedy ludzie żartowali sobie na temat trójkącików z nimi... wie pan, jak to jest. Nie lubiły się nawet umawiać razem na randki.

Formalnej identyfikacji zwłok dokonała Yagoda. Zeznała do protokołu, że kiedy siostry jeszcze żyły, bez trudu odróżniała Carlę od Clary po zachowaniu i sposobie wysławiania się, ale teraz...

Ostatecznie tożsamość sióstr określono na podstawie kartotek dentystycznych. Żadna z dziewcząt nie miała plomb, ale Clara w wieku dziewięciu lat złamała ząb i z czasem sprawiła sobie porcelanową koronkę, dzięki czemu udało się ustalić, która z sióstr jest która.

Ponadto w raporcie stwierdzano, że chociaż zwłoki mogły zostać przeciągnięte kilka jardów przez drapieżniki, to jednak siostry Gabler nie zostały zabite gdzie indziej, a potem podrzucone do Kanionu Czarów. Zginęły niedaleko miejsca, gdzie je znaleziono.

Jeszcze raz biorę się za skoroszyty, najpierw z aktami Clary, potem Carli, i robię notatki. Spędzam dwie godziny nad brutalnymi odbitkami w wielkim formacie, oglądam rysunki, czytam dosłownie każdy dokument. Muszę przyznać, że po wszystkim jest mi niedobrze i padam ze zmęczenia. A poza tym wygląda na to, że tylko straciłem czas.

Wciąż jednak jestem w Vegas i wiem, że kiedy wrócę, Shoffler zasypie mnie pytaniami - czy zrobiłem to, czy zrobiłem tamto? Potrafię sobie wyobrazić jego tok myślenia: porozmawiać z Yagodą, odwiedzić Niebieską Papugę, obejrzeć miejsce zbrodni, sprawdzić pochodzenie kostiumów... I tak dalej.

Kiedy tłumaczę to Goldsteinowi, kiwa głową.

- Powinien pan też pogadać z Chisworthem. Barry Chisworth to patolog, który pracował nad tą sprawą. Niegłupi facet. Możliwe, że zwrócił uwagę na jakieś szczegóły, których nie dał do druku.

- Na przykład jakie? Goldstein wzrusza ramionami.

- A bo ja wiem? Jakies podejrzenia co do broni albo przeczucie związane z osobą mordercy... rzeczy, których nie można potwierdzić dowodami. Zgadywanki nie wchodzą w zakres obowiązków patologa, oni nie przelewają na papier swoich domysłów, i nie bez powodu... wszystko, co dadzą na piśmie, ma dużą szansę trafić do sądu. Dlatego bardzo się pilnują, żeby w raporcie znalazło się tylko to, co będą mogli udowodnić. Ale oczywiście mają własne zdanie. Dobry patolog, taki jak Barry Chisworth, zwykle dzieli się swoimi opiniami z detektywem prowadzącym śledztwo. Niestety, w tym



wypadku był nim świętej pamięci Jerry Olmstead.

Zapisuję sobie nazwisko Chiswortha i numer telefonu do jego biura.

- Natomiast kostiumy możesz skreślić z listy - dodaje Goldstein. - Ja wiem, skąd pochodziły... z Niebieskiej Papugi. Ten, jak mu tam... Riggins... pyskował z tego powodu. Jerry nie wierzył własnym uszom. Ma na głowie brutalne podwójne morderstwo, a tu jakiś palant wkurza się o głupie kostiumy. Myśleliśmy nawet, że każe sobie oddać ten nieuszkodzony.

- Ale po co były te kostiumy? Dlaczego one miały je na sobie?

Goldstein kręci głową.

- Prawdopodobnie szły do pracy. O ile wiem, przebierały się i robiły makijaż w domu. Nie podobały im się garderoby w Papudze. - Elektroniczny zegarek Goldsteina piszczy cicho; policjant wstaje. - Kurczę, muszę lecieć.

Podaje mi rękę. Dziękuję mu za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Gdybym mógł się jeszcze do czegoś przydać, niech pan wali śmiało. Ma pan zamiar wybrać się do tego Kanionu Czarów?

- Być może. Nie jestem pewien, czy mogę tam trafić na coś ciekawego. - Nie zdradzam mu tego, co myślę... że w ogóle nie widzę w tym wszystkim sensu, że nie rozumiem, w jaki sposób sprawa siostr Gabler może się wiązać z Seanem i Kevi-nem, że moim zdaniem Shoffler specjalnie to ukartował, żeby wywabić mnie z domu.

Ale jeśli faktycznie tak zrobił, to powinienem mu podziękować. Teraz, kiedy już tego nie robię - nie przesiaduję dniami i nocami nad notesami i telefonem, nie przeszukuję obsesyjnie cyberprzestrzeni - widzę, że tylko macałem na oślep. Goniłem własny ogon.

Goldstein wzrusza ramionami.

- Ewangelia według świętego Raya mówi, że zawsze trzeba obejrzeć miejsce zbrodni. Nigdy nie wiadomo, czy jakoś do ciebie nie przemówi. - Zbiera akta. - Z drugiej strony - dorzuca, patrząc na mnie z ukosa - nie wybieraj się pan do Kanionu Czarów w tych butach. Bogiem a prawdą, zastanów się, czy nie wynająć przewodnika. To trudny teren. O tej porze roku musi pan wyruszyć skoro świt, inaczej słońce pana załatwi.

Jeśli chodzi o słońce, Goldstein ma rację. Muszę odczekać pięć minut z pootwieranymi drzwiczkami samochodu i włączoną na maksa klimatyzacją, by dało się wsiąść i dotknąć kierownicy. Rozumiem już, dlaczego miejscowi nie ruszają się bez przeciwsłonecznych osłon na przednią szybę. Wprawdzie rozgrzane powietrze jest suche, lecz smaży człowieka jak na patelni. Mijam bank z wystawionym od ulicy wielkim termo metrem. Czterdzieści stopni.

Gdy wchodzę do Tropicany, na scenie występuje akurat bułgarski akrobata. Stoi na jednej ręce na chwiejnej wieży z cegieł, wzbudzając aplauz zebranego tłumu. Stali bywalcy nie zaszczycają go nawet spojrzeniem, jak zahipnotyzowani wpatrując się w brzęczące i dzwoniące automaty do gry.

W pokoju przeglądam sporządzone na komendzie notatki i zapisuję listę rzeczy do zrobienia:

1. *Niebieska Papuga - Riggins*

2. *Yagoda (współlokatorka)*

3. *Barry Chisworth, patolog*

4. *Kanion Czarów*

W zasadzie mogę to załatwić w tej kolejności. Jeśli dopisze mi szczęście, jeszcze dziś uporam się z pierwszymi trzema punktami i z samego rana będę mógł pojechać do kanionu. Ale nie jestem optymistą. Sięgając po książkę telefoniczną, uświadamiam sobie, że to zagłędanie pod ostatni

nieodwrócony kamień Shofflera właściwie niczym się nie różni od gonienia własnego ogona.

Dwie młode kobiety, identyczne bliźniaczki, ubrane w wyzywające kostiumy. Jedna zaszlachtowana, druga zastrzelona. Shoffler może i słynie ze swego nosa, ale tym razem musi być w błędzie. Ta sprawa nie może mieć nic wspólnego z moimi dziećmi. To wykluczone.

## Rozdział 23

Niebieska Papuga mieści się zaledwie dwie przecznice w bok od Stripu, ale od przepychu wielkich kasyn dzieli ją cała przepaść. Nawet z zewnątrz uderza mnie jej niechlujny wygląd - kilka popsutych rurek gigantycznego neonu sprawia wrażenie, jakby papuga była rozczochrana i wyleniała.

Płacę za strzeżony parking i podaję kluczyki do wozu dystyngowanemu mężczyźnie po sześćdziesiątce, który obdarza mnie w zamian surowym skinieniem głowy i wręcza mi jasnoniebieski kwit parkingowy. Przychodzi mi do głowy, że Vegas jest szczytowym osiągnięciem w dziedzinie usług, dlatego też pełno tu takich ludzi jak ten - wytwornych emerytów, którzy sądząc z wyglądu, powinni zasiadać w radach nadzorczych.

O szóstej wieczorem w lokalu panuje atmosfera znużenia i przygnębienia. Gra toczy się tylko na dwóch stołach, scenę zasłania kurtyna, gości prawie nie ma. Kilku zatwardziałych osobników uparcie szarpie za dźwignie automatów, lecz o tej porze większość klientów to amatorzy promocyjnej „wczesnej kolacji firmowej” w cenie 3,99 dolara.

Skonana kobieta w minispódniczce o wzorze imitującym skórę geparda z westchnieniem prowadzi mnie do gabinetu szefa - kwadratowego pudełka o boku długości dziesięciu stóp. Ściany wyłożone są boazerią imitującą drewno, karmazynowy dywan jest wyświechtany, a odklejający się i zwijający fornir na biurku odsłania pilśniową płytę pod spodem. Clay Riggins ma jakieś pięćdziesiąt lat, łysinę i zmrużone oczy nałogowego palacza. On też najlepsze dni ma już za sobą... chociaż koleczyk z wielkim diamentem w uchu świadczy o pewnej dozie ekstrawagancji. Właśnie wisi na telefonie, z puszką dietetycznego dr. peppera w ręku. Unosi ją w powitalnym geście, nie przerywając rozmowy dotyczącej konserwacji basenu.

Przez ponad pięć minut stoję, liczę porozrzucane puste puszki dr. peppera (czternaście) i zastanawiam się, czego właściwie mogę się dowiedzieć od Rigginsa. Na co liczę? „Na cokolwiek” - odpowiada głos Shofflera w mojej głowie. A może nie? Detektyw pewnie powiedziałby mi, że to określony proces. „Może facet powie ci coś, co później połączysz z czymś innym”.

W końcu Riggins odklada słuchawkę.

- Przepraszam - mówi, krzywiąc się lekko. - Czasy takie, że wszystkim trzeba się zająć samemu. - Kręci głową. - Więc przychodzi pan w sprawie sióstr Gabler?

- Właśnie.

- Ja tam nie mam nic przeciwko temu, żeby z panem pogadać, ale nie za bardzo je znałem, rozumiesz pan?

- Pracowały u pana przez osiem miesięcy - przypominam mu.

- Tak, tak, jasne. Ale masz pan pojęcie, ilu ludzi dla mnie pracuje? Tych dwóch akurat nie znałem... nawet nie wiedziałem, gdzie mieszkają.

Nie bardzo wiem, o co go pytać.

- Czy... czy były dobre w swoim zawodzie? A swoją drogą, na czym polegała ich praca?

- Mamy tu rewię... na ptasi temat. Z grubsza było tak, że wychodziły w tych swoich kostiumach, ściągały górę i razem z tuzinem innych dziewczyn wywijały cyckami, a w środku tego wszystkiego jakaś tancerka albo piosenkarka odstawiała swój kawałek. Ale nie, nie były jakoś szczególnie dobre.

Bajer polegał na tym, że to bliźniaczki, i tyle.

- Hm. „

- Po prawdzie, nie były nawet specjalnie ładne - ciągnie Clay Riggins. - Wciąż im mówiłem, żeby se poprawiły to i owo... zmniejszyły nos, powiększyły cycki. - Krótki śmiech, niemal warknięcie. - Wtedy - wymachuje skrzyżowanymi rękami - może dałbym im jakąś solówkę. No a tak... - Wydmuchuje powietrze na znak, że nic z tego nie wyszło, i uderza dłońmi w biurko.

- A co pan sobie pomyślał, kiedy nie przyszły do pracy?

- No, to akurat było do nich niepodobne - odpowiada takim tonem, jakby dotychczas na to nie wpadł. - Sumienne były, nie powiem. Nie opuściły w robocie ani jednego dnia.

- Wobec tego... nie zdziwiło pana, że nagle się nie zjawily? Nie przyszło panu do głowy, że coś im się stało?

Marszczy brwi i wykonuje gest, jakby odpychał od siebie powietrze, jakby odsuwał pytanie z powrotem do mnie.

- Gdzie tam! Synu, jesteśmy w Vegas.

- Więc co pan sobie pomyślał?

- Szczerze? - Gładzi koleczyk w uchu. - Pomyślałem, że wróciły do domu. Albo znalazły robotę w Wal-Marcie, w Dairy Queen czy gdzie bądź. Po mojemu były takie same jak te wszystkie panny, co się tu zjeżdżają... liczą, że spotkają księcia z bajki, wpadną w oko reżyserowi z Hollywood albo cholera wie, co jeszcze te laski sobie myślą. Więc pewnie w końcu uznały, że nic z tego nie będzie, i sobie odpuściły. One były z tych nieśmiałych... może nie chciały mówić mi o tym osobiście. Właśnie to sobie myślałem. - Wzrusza ramionami i wysusza resztę zawartości puszki. - Ale może chodziło o co innego.

- To znaczy?

- Tammy, ta, co z nimi mieszkała... to ona je tu przyprowadziła. Fajna z niej laseczka. Teraz pracuje w Sands. No w każdym razie siostrzyczki mówiły jej, że mają nagrane jakieś próby, że szykuje im się nowa robota.

Prostuję się na krześle. To dla mnie coś nowego.

- Jakie próby? Gdzie? Riggins wzrusza ramionami.

- Nie przypominam sobie, żeby Tammy mówiła.

Tammy Yagoda mieszka z narzeczoną, Jaime, w nowym osiedlu pięć mil za miastem w kierunku tamy Hoovera. W salonie stoi olbrzymi telewizor i rozdęta kanapa.

- Dopiero co się wprowadziliśmy - tłumaczy się Tammy. - Ale będzie boosko! Dobrze, że jesteśmy minimalistami, prawda, zuczku? - Posyła narzeczonemu olśniewający uśmiech i każe mu podać mi krzesło.

Jaime przynosi mi z aneksu jadalnego sfatygowane krzesło z pionowym oparciem. Oni siadają skuleni na kanapie. Podczas naszej rozmowy usiłują trzymać ręce przy sobie i się nie obmacywać, ale nie bardzo im się to udaje.

- Tammy przechodziła przez to milion razy - ostrzega mnie Jaime. - Ona naprawdę nie wie, co jeszcze mogłaby dodać.

Dziewczyna patrzy na niego z uwielbieniem... na swego obrońcę.

- Ja wciąż nie mogę w to uwierzyć - zwraca się do mnie z zachmurzoną twarzą. - To były takie słodkie, naprawdę świetne dziewczyny. - Jej ładną twarz wykrzywia grymas. - Prawdziwy koszmar.

Jaime ściska ją pokrzepiająco i cmoka w policzek.

- Świetne? W jakim sensie?

- W każdym - odpowiada Tammy. - Wszystko by dla człowieka zrobiły. No i - zerka na Jaime - były takie... no wie pan, naiwniutkie.

- Tammy chodzi o to, że były niedoświadczone seksualnie - wyjaśnia jej narzeczony.

- Jaime! - Daje mu klapsa w udo, niczym mała dziewczynka.

- No co, przecież facet się pytał - broni się chłopak. - Dlaczego nie nazywać rzeczy po imieniu?

Wie pan, ja ich nie znałem, ale z tego, co słyszałem od Tammy, one jakby się urwały z choinki.

- On ma rację - przyznaje Tammy, wzdychając ciężko i ze smutkiem kręcąc głową. - Były takie okropnie naiwne. Jak któregoś facet powiedział, że nie jest żonaty, to mu od razu wierzyła.

- Mówiłaś mi, że nawet nie wiedziały, jak się robi loda. Myślały, że trzeba dmuchać gościowi na fiuta. Musiałaś im to tłumaczyć.

- Jaime! - Kolejny klaps.

- Ja tylko się dziwię, na jakim świecie one żyły, rozumiesz?

- Czyli że rzadko się umawiały na randki?

- Bardzo rzadko - przytakuje Tammy. - Mieszkałam z nimi prawie rok i przez cały ten czas umówiły się z kimś może ze dwa razy. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie były dziewicami, ale... ale żeby się z kimś przespać, musiały się najpierw zakochać, rozumie pan? Tutaj przy takim podejściu ma się ograniczone życie towarzyskie. One nienawidziły tych występów topless. Nie mogły się doczekać, kiedy się stamtąd wyrwą.

- Nie miały jakichś dawnych chłopaków, nie bały się, że ktoś je będzie napastował, żadnych wielbicieli? A może ktoś się, hm... zalecał do któregoś z nich?

- Poznałam Jaimego jakieś dwa tygodnie przed ich zniknięciem, to była - spogląda na narzeczonego - miłość od pierwszego wejrzenia. Więc może poznały kogoś przez ten czas, bo ja byłam... zajęta. - Jaime kwituje jej słowa rechem. - Ale o ile wiem, nie miały nikogo.

Chłopak głaszcze ją po udzie i całuje w szyję. Czuję się jak podglądacz.

- Faceci startowali do nich cały czas, wiadomo, ale do domu nigdy nikogo nie sprowadzały - ciągnie Tammy. - One nie były takie. Zresztą mówiłam im, żeby były ostrożne. Kiedy wracały z Papugi, ktoś zawsze odstawiał je do samochodu, oni bardzo tego pilnują. Ale i tak tłumaczyłam im, żeby nigdy nie wsiadały, dopóki nie zajrzą na tylne siedzenie. I żeby zawsze sprawdzały, czy ktoś ich nie śledzi.

- A może spotkałaś je kiedyś z facetem z psem... z whippetem?

- Nie. Clara bała się psów. One lubiły koty.

Pytam, czy bliźniaczki interesowały się średniowiecznymi festiwalami albo jarmarkami renesansowymi.

- A co to takiego? - dziwi się Tammy.

- Wiesz, cały ten szajs z rycerzami i tak dalej - wyjaśnia Jaime. - Widziałaś *Excalibura*? Parę lat temu mój kuzyn, Wilson, zaciągnął mnie na coś takiego. Dla mnie to było porąbane, ale Wilson uwielbiał ten chłam. - Masuje udo Tammy. - Całkiem możliwe, że one leciały na takie klimaty.

- Nie sądzę - zaprzecza Tammy. - Z historią to one były na bakier. - Jej twarz rozpromienia się. - Ale poszły na *Harry'ego Pottera*.

Pytam, co jej zdaniem przydarzyło się dziewczynom. Tammy wzdryga się i spogląda na narzeczonego.

- Nie wiem. Pewnie jakiś psychol. No bo co innego? Musiało tak być. Ktoś je śledził, kiedy

wracały z Papugi, dowiedział się, gdzie mieszkają, i je porwał. - Zaciska powieki. - Aż mnie ciarki przechodzą.

Jaime zgadza się z nią.

- Po tym, jak Tammy znalazła te koty w takim stanie, nie pozwalałem jej zbliżyć się do tamtego mieszkania... Wiedziała, że stało się coś strasznego, zanim jeszcze policja znalazła zwłoki. Po prostu wiedziała.

- To też było takie smutne - mówi przygnębiona dziewczyna, spoglądając na Jaimego. - Z tymi kotami. Próbowaliśmy znaleźć dla nich jakiś dom, ale w końcu musiałam je oddać do schroniska.

- Clay Riggins wspominał mi o jakimś próbnym przesłuchaniu - mówię. - Wiesz coś na ten temat?

- Tak! Wie pan, to też taaakie smutne. Tak się na to napaliły! Harowały jak głupie... lekcje dykcji, nauka tańca, ćwiczenia mięśni brzucha, nawet wybieliły sobie zęby. Wyglądało na to, że im się opłaci. Aż nagle...

- Co to były za próby? Do czego? Tammy wzrusza ramionami.

- Do jakiegoś pokazu magii.

- Do pokazu magii? Uhm. Wiesz coś bliższego na ten temat? Dziewczyna zaprzecza ruchem głowy.

- Nie, bo jakieś... jakieś dwa dni wcześniej poznałam Jaimego. Clara powiedziała mi o tym, kiedy zadzwoniłam, żeby dać znać, gdzie jestem... rozumie pan, żeby się o mnie nie martwiły. Powiedziała, że chyba naprawdę trafiła im się szansa. Taka była podniecona, ale... ale dzwoniłam z komórki, z pracy. Nie dowiedziałam się nic bliższego.

Ezme (przez „z”) Brewster, właścicielka i kierowniczka Palomar Apartments, rzuca mi na powitanie „Siemanko!”. Ma sześćdziesiąt, a może i siedemdziesiąt lat. Na piersi zwisają jej okulary do czytania na łańcuszku z kryształów górskich. W jednej dłoni trzyma pilota, w drugiej zapalonego papierosa, którym wskazuje na kolorowy telewizor w rogu.

- Wchodź, słonko, ale przez chwilę buzia na kłódkę. Tylko skończę oglądać.

Na ekranie Maury Povich mówi:

- Przekonajmy się o tym od razu!

Obraz przeskakuje na czarnego nastolatka z pochyloną głową, prezentując jego misternie zaplecione warkoczyki, a potem na uśmiechniętego brzdąca.

- Jeśli chodzi o dwuletniego Devona - ciągnie Maury, otwierając kopertę - to ty jesteś jego ojcem, Donnell.

Jakaś kobieta z nadwagą zrywa się z miejsca, odstawia taniec zwycięstwa, po czym wygraża pięścią i ubliża chłopcu z warkoczykami, który krzywi się, jakby miał gówno pod nosem. Kiedy kobieta miota niecenzuralne przekleństwa, jej usta zostają przysłonięte.

Ezme gasi telewizor.

- Wiem, że to robi wodę z mózgu - mówi, gasząc papierosa. - Ale co mi tam, w moim wieku nie rozwiążę już konfliktu na Bliskim Wschodzie. A więc przyszedł pan w sprawie sióstr Gabler? - Ze smutkiem potrząsa głową. - Jak mogę panu pomóc?

- Sam nie wiem. - Tłumaczę jej, kim jestem, i wyjaśniam, że badam morderstwa popełnione na bliźniakach.

- O mój Boże, oczywiście. Mój ty biedaku! Takie małe szkraby... Widziałam cię w telewizji. Myślisz, że to ma jakiś związek z Clarą i Carlą? Boże jedyny... W życiu nie miałam tak dobrych

lokatorek. Jaka szkoda! Płaciły na czas, czyściutko u nich było aż miło, żadnych męskich wizyt. Kiedy zniknęły, leżałam akurat w szpitalu. Zaburzenie poziomu elektrolitów czy jakaś inna cholera. Gdybym była na miejscu, zgłosiłabym ich zniknięcie o wiele wcześniej.

- Widywała je pani regularnie?

- Dzień w dzień. Z nich były prawdziwe domatorki. W tym mieście to rzadkość.

Zasypuję ją tradycyjnym zestawem pytań o wysokiego człowieka, chudego psa, zainteresowania średniowieczem. Kobieta kręci głową; nie, nie, o ile wiem, nic z tych rzeczy.

- A słyszała pani o próbach do jakiegoś pokazu magii, w którym miały wziąć udział?

Kiwa głową.

- Szkoda, że nic z tego nie wyszło. Harowały jak woły, żeby być coraz lepsze, każdego ciężko zarobionego centa wydawały na lekcje... a to takie, a siakie. A kiedy w końcu trafiła im się szansa... - Ciężkie westchnienie przeradza się w długotrwały napad kaszlu.

- Do czego konkretnie były te próby? Stuka się w głowę.

- To miało być jakieś nowe przedstawienie, dopiero je szykowali. Przygotowania miały potrwać kilka tygodni. Clara podała mi nawet jego nazwę. - Wzdycha i patrzy na sufit. - Ale nie pamiętam. Meressa Show? Marassa? Malessa? Coś w tym stylu... kojarzyło mi się to z melasą. Zdaje się, że próby miary się odbywać w Luxorze... a może w Mandalay Bay.

Proszę, żeby mi opowiedziała, co było dalej.

Kobieta zapala papierosa.

- Moim zdaniem jakiś świr zwabił je do Red Rock i zabił dla zabawy.

- Zdaje się, że taka jest teoria.

- No bo cóż by innego? Policja grzebała się w ich życiu z czasów szkolnych, węszyła w ich rodzinnym mieście i tak dalej, i co? Niczego się nie dokopali. Na sprawę osobistą to też nie wyglądało, rozumie pan, co mam na myśli?

- Tak pani sądzi?

- Tak. Nikt się nie przyznał. Nie było motywu seksualnego. Moim zdaniem zostały zabite ot tak, dla zabawy.

- Może.

- Jak ktoś ogląda telewizję tyle co ja, to wie, do czego ludzie są zdolni - oświadcza Ezme. - Kiedy tak słucham wiadomości i patrzę na te reality show, powiedziałabym, że zbliżamy się do Rzymian. Z tą różnicą, że przed areną gladiatorów Barbara WaWa przeprowadzi najpierw wywiad z facetem, który ma wyjść na ring. A gladiator będzie dziękował wszystkim pod słońcem za to, że dali mu szansę umrzeć na oczach widzów. Swojemu agentowi, fryzjerowi, osobistemu trenerowi.

- Czy mógłbym zobaczyć ich mieszkanie?

- Niestety, kochaniutki, tam już nie ma nic do oglądania. Teraz mieszka tam para z małym dzieckiem.

- A co z rzeczami, które należały do dziewczyn?

- Trzymałam ich mieszkanie przez trzy albo i cztery miesiące i niczego nie ruszałam. One prawie nic nie miały, a to, co po nich zostało, nie było wiele warte, ale nie mogłam się zebrać, żeby to wyrzucić. W końcu policja namierzyła jakąś ich kuzynkę w Dakocie Północnej. Ale ona nic nie chciała. Ani jednego drobiazgu. Smutne to, co? Właściwie ich nie znała. Pogrzebem też nie chciała się zająć, więc pochowano je tutaj, na koszt państwa. W końcu oddałam wszystko, co mogło się przydać, do Czerwonego Krzyża. Wie pan, sami to stąd zabrali.

Zapas pytań mi się wyczerpał, więc dziękuję pani Brewster i ruszam do drzwi.

Ona jednak kładzie mi rękę na ramieniu i zatrzymuje mnie.

- Boże jedyny! Kiedy tak pomyślę o nich w tych kostiumach... Pan też sądzi, że chodzi o te próby, prawda? - Gwałtownie wciąga powietrze.

- O próby? Co pani chce przez to powiedzieć?

- A pan tak nie uważa? Że jakiś oszołom je zwabił, wykorzystał ich nadzieje i marzenia, kazał im włożyć kostiumy, recytować swoje kwestie, robić, co tam miały robić, a potem... Zupełnie jak próba generalna własnego morderstwa. - Znów wciąga powietrze i ponownie zanosi się kaszlem. Na chwilę zamyka oczy, jakby odmawiała w duchu modlitwę. - To bardzo ponura historia - oświadcza. - Zło w czystej postaci.

Przechodzą mnie ciarki. Dopiero po chwili udaje mi się wydukać podziękowania dla pani Brewster, że poświęciła mi czas.

Stojąc przy samochodzie, by ochłonać, dochodzę do wniosku, że Ezme Brewster chyba miała rację. Siostry brały udział w próbach występu człowieka, który je zamordował. Ale co z tego? Nie rozumiem, w jaki sposób mogłoby się to wiązać z moimi synami.

W Tropicanie czekają na mnie dwie wiadomości. Pierwsza jest od Liz. „Alex, co ty robisz w Las Vegas?”. W jej ostrym głosie brzmi nagana. A potem mówi rzeczowo: „Oddzwon do mnie”.

Drugą wiadomość zostawił mi Barry Chisworth, patolog. Mówi, że chętnie się ze mną spotka, i zostawia mi kilka numerów telefonów.

Z Liz ostatnio niełatwo się rozmawia. Wie, że to niesprawiedliwe, nawet pracuje nad tym ze swoim psychoterapeutą, ale i tak przelewa na mnie wszystkie negatywne uczucia. Czuje się winna, że pozwoliła chłopcom przyjechać do mnie, i gdyba w nieskończoność. Co by było, gdyby... A resztki winy, których nie zrzuca na mnie, przypisuje sobie. W ogóle nie myśli o sprawcy porwania dzieci. To ona je do mnie wysłała. Gdyby ich nie puściła... gdyby pozwoliła mi tylko zabrać je na plażę...

Zmuszam się, by do niej oddzwonić.

- Halo? - odzywa się drżącym, niepewnym głosem.

- Cześć.

- Alex, co ty wyrabiasz w Las Vegas? Zostałeś hazardzistą?

- Sprawdzam trop, który podsunął mi Shoffler.

- Czyżby? Przecież on już nie prowadzi tej sprawy.

- Nie prosił się o przeniesienie. Wciąż się tym interesuje.

- Co to za trop?

Myślę w popłochu. Jedno pewne - nie mogę jej powiedzieć ani słowa o siostrach Gabler. Po pierwsze, wątpię, żeby ta sprawa miała jakiś związek z naszymi dziećmi, a poza tym to, co im się przydarzyło, jest zbyt straszne, żeby rozmawiać o tym z Liz.

- Ślepy. Prowadzi donikąd.

- Tak czy owak, nie powinieneś siedzieć w Vegas. Ojciec to sobie przemyślał. Uważa, że powinieneś sprawdzić wszystkie domy w okolicy Shade Valley Road. To najbardziej prawdopodobne miejsce...

- Liz, policja już sprawdzała te domy. Wielokrotnie.

- Ale ojciec jest przekonany! - krzyczy piskliwie, nie panując nad sobą. Rozmawiamy w tym duchu jeszcze przez chwilę, po czym zaczyna się uspokajać. - Przypominam ci o alimentach - mówi. - Nie obchodzi mnie, że zostałeś bez pracy. Nie mam zamiaru finansować twoich wyskoków do Las

Vegas. Ja nie żartuję, Alex. Lepiej, żeby tym razem czek przyszedł na czas.

Wmawiam sobie, że ta zgorzkniała jędrza to nie jest prawdziwa Liz. Że tylko próbuje pokryć złością poczucie straty i lęk.

- Liz...

- Ja nie żartuję, Alex. I nie prosz mnie, żebym ci odpuściła. Nawet nie próbuj.

Chciałbym znaleźć właściwe słowa, powiedzieć coś, co by ją pocieszyło i uspokoiło, co dałoby jej nadzieję. Ale fakt, że zgorzkniała żona zniża się do takiej małostkowości, napawa mnie smutkiem. Tak wielkim, że obawiam się odezwać, żeby nie wybuchnąć. Odkładam więc słuchawkę.

Ona zaś oddzwania do mnie czterokrotnie. Coraz większa dawka furii i jadu zostaje zarejestrowana na mojej automatycznej sekretarce.

## Rozdział 24

Zgodnie z sugestią Barry'ego Chiswortha, spotykam się z nim w Rumowej Dżungli - szykownej restauracji z barem na parterze Mandalay Bay. Podobnie jak większość innych restauracji, w których bywałem (Francuskie Bistro, Plac Czerwony itd.), również i ta ma wystrój tematyczny. Tyle że nie potrafię określić jaki. Ze ścian spływają kaskady wody. Z otwartej studni buchają tańczące płomienie. Przypuszczam, że to jakaś fantazja na temat safari. Z elementami wodnymi.

Chisworth jest tęgim mężczyzną po pięćdziesiątce, o nadmiernie rozrośniętych barach niczym ciężarówiec. Między jego dolną wargą a podbródkiem sterczy mała kępka włosów.

- Dzięki za pretekst, żeby się wyrwać z domu - mówi na powitanie, miażdżąc mi dłoń w uścisku. - To znaczy, mieszkam sam, ale... - Śmieje się ze swojego dowcipu, a ja razem z nim. - Niech pan spróbuje mojito - radzi mi, unosząc wysoką szklankę. - Ulubiony koktajl Hemingwaya. Niby nic, a zwala z nóg.

Zwykle zamawiam piwo, mam jednak wrażenie, że Chisworth byłby zawiedziony, gdybym nie skorzystał z jego rady.

- Chętnie.

- Jeszcze dwa razy to samo - rzuca do barmana i odwraca się do mnie. - Tak... więc chce pan się dowiedzieć, jak to było z siostrami Gabler? - Nachyla się do mnie. - Ale żeby było jasne, rozmawiamy poza protokołem. Wszystko, co powiem, zostaje między nami.

- Ma pan to jak w banku.

- To była nielicha sprawa. Widywałem w życiu niejedno, ale to... to było coś.

Prawie bez przerwy skubie kępkę włosów pod wargą, jakby dodawało mu to pewności siebie. Przypominam sobie, że w podobny sposób Sean dotykał w łóżku pościeli.

Sean... Kiedy przypadkiem zaczynam myśleć o którymś z synów - czyli dziesiątki razy dziennie - w moim umyśle otwiera się coś na kształt pułapki. Początkowo wpadałem w nią na łeb na szyję. Ale od paru tygodni wspomnienie chłopców i tego, że zniknęli, nie działa już na mnie tak jak kiedyś. Teraz niemal muszę nad tym pracować, muszę się skupić, by odczuć moją stratę. I chyba zdaję sobie sprawę, że w głębi duszy już do tego przywykłem.

Kelner podaje dwa mojito; Chisworth stuka się ze mną szklanką.

- Zdrówko! Wie pan co, zawsze miałem wrażenie, że dla faceta, który załatwił te dziewczyny, to nie był, że tak powiem, jednorazowy wyskok. Odkrył pan już coś?

- Ja się tym interesuję z bardzo konkretnego powodu. - Wyjaśniam mu, kim jestem.

Przygląda mi się z uwagą.

- Tak mi się zdawało, że skądś pana znam. - Głaszcze kępkę włosów. - Ale... Jezu, co może



łączyć pańskich synów ze śmiercią tych sióstr?

Wzruszam ramionami.

- Identyczne bliźniaki.

- Niby tak, w jednym wypadku bliźniaki, w drugim bliźniaczki... ale to zupełnie różne sytuacje.

Przecież to były tancerki. Pewnie miłe dziewczyny, ale bądź co bądź tańczyły w klubie topless. Trudno sobie wyobrazić, żeby ten sam psychol, który je porwał, interesował się, bo ja wiem?... pierwszoklasistami.

Wzruszam ramionami.

- No nic, zobaczymy... Parę rzeczy w tamtej sprawie nie dawało mi spokoju.

- Na przykład? Pochyliła się ku mnie.

- Znajdujemy dziewczynę. Przeciętą na pół. Przez dwa tygodnie zwierzęta dobierały się do jej ran, więc nie było można ustalić, jakiego narzędzia użyto do przepołowienia tułowia. Można wyciągnąć wniosek, że był to jakiś ostry przyrząd, prawdopodobnie z metalu, ale na tym koniec. W sądzie, a wobec tego i na papierze, można przedstawić tylko wnioski wynikające z materiału dowodowego. W tym wypadku - kręci głową - tkanki miękkie były doszczętnie zmasakrowane. Nawet kości zostały nadgryzione.

Serce zamiera mi w piersi.

- Gdy mamy do czynienia z tak rozległymi ranami, zazwyczaj pozostają w nich fragmenty metalu, co pomaga zawęzić obszar poszukiwań rodzaju narzędzia zbrodni. Ale u Clary Gabler te partie ciała zostały zjedzone. Dzikie zwierzęta i owady usunęły wszelkie dowody rzeczowe.

- Dwa tygodnie to szmat czasu.

- Bogiem a prawdą, gdyby nie tutejszy klimat, te zwłoki wyglądałyby jak budyń... więc i tak powiedziały mi sporo. Niech pan pamięta, że widziałem w życiu niejedną ranę. Ba, ile ich zrobiłem własnymi rękami! I chociaż nie mógłbym zeznać tego przed sądem, nie mam najmniejszych wątpliwości, że Clara Gabler została przecięta piłą elektryczną... w poprzek tułowia, od lewej do prawej. Ostrze było spore. Mniej więcej takie... - Odstawia na chwilę szklanekę mojito i rozsuwa ręce na jakieś półtorej stopy. - Drobnio ząbkowane i na tyle twarde, by przeciąć kości, nie masakrując ich. Twierdzą tak, ponieważ prawie nie było odłamków.

- A czy tego rodzaju piły są... ogólnie dostępne? Można je kupić?

- Jasne, żaden problem. Mówimy o zwykłej pile elektrycznej. Można je dostać choćby w Home Depot. Problem w tym, że jeśli chce się skorzystać z takiej piły w lesie, potrzebne jest źródło prądu. Generator albo staromodne podłączenie kablem do prądnicy samochodu. No i jakaś platforma, na której dałoby się pracować. Nie mówiąc o tym, że trzeba by cały ten sprzęt tam wtaszczyć, kawał drogi za kanion Icebox. Da się zrobić, jeśli się ma quada albo dobrą terenówkę, na przykład land-rovera. Nie wolno się nimi poruszać w okolicy, gdzie znaleziono zwłoki, ale w końcu pustynia Mojave nie jest ogrodzona płotem. I stosunkowo łatwo można tam dojechać od strony Doliny Śmierci. Znaleźliśmy ślady opon... tyle że było ich do diabła i ciut, ciut. Ale co mnie w tym wszystkim uderzyło, to proste pytanie... po jaką cholere taszczyć tam piłę elektryczną, prądnicę i jakiś stół? Po co zwracać na siebie uwagę, korzystając z quada itede, jeśli zamierza się popełnić morderstwo? Nie mogłem wykombinować, o co w tym chodzi. No bo jeśli się chce kogoś zmasakrować, w zupełności wystarczy zwykła piła łańcuchowa.

Rozumiem, co ma na myśli.

- Wobec tego po co ktoś zadał sobie tyle trudu? Pańskim zdaniem?

- Nic mi nie przychodziło do głowy. - Wzruszając ramionami i upijając łyk mojito. - No ale w końcu facet, który załatwił te dziewczyny, jest zdrowo stuknięty, więc chyba nie ma co się doszukiwać sensu w jego poczynaniach.

Kiwam na barmana, żeby zamówić następną kolejkę.

- Niezły ten koktajl, co?

- Całkiem, całkiem. - Widzę, że facet naprawdę chciał wyrwać się z domu.

Przez jakiś czas opowiada mi o Hemingwayu i „Kuuubie”, o swojej wycieczce do Hawany i o tym, co sądzi o nałożonym na Kubę embargu. Nie od razu udaje mi się naprowadzić go z powrotem na temat.

- Czy w związku ze sprawą sióstr Gabler przychodzi panu do głowy coś jeszcze?

Szarpie za kępkę włosów pod ustami.

- A owszem... i to też nieźle mi dało popalić. Czytał pan raport z sekcji zwłok, prawda?

- Przeglądałem.

- Więc wie pan, że ta mała, Clara, żyła, kiedy... kiedy to się stało?

Przytakuję ruchem głowy.

- Na jej ciele były ślady trocin. Z tyłu łydek, z tyłu głowy, na podeszwach stóp, na palcach. Opiłki sosny. Ale nie było żadnych obrażeń świadczących o tym, że się broniła, zero ran na palcach rąk czy nóg.

- Trumna?

- Kto wie? Tak tylko o tym wspominam. Może facet chciał je pochować i się rozmyślił? Ale mnie dziwi co innego. Przecież Clara Gabler żyła, kiedy została tak zmasakrowana. A jednak nie znalazłem żadnych śladów wskazujących na to, że była w jakikolwiek sposób obezwładniona. Ani skaleczeń, ani otarcia skóry na nadgarstkach czy kostkach nóg. Nic nie świadczyło o tym, że próbowała się uwolnić, że jakoś się broniła. Pod paznokciami nie znalazłem ani naskórka, ani ziemi czy drewna. Absolutnie nic.

- Na co to może wskazywać? Na narkotyki?

- Też tak myślałem, ale nic nie znalazłem. Zero.

- Więc o czym to świadczy?

- O tym, że dziewczyna ani nie była skrepowana, ani oszołomiona narkotykami. Została przecięta na pół, ale nie była obezwładniona. No niech mi pan powie, jak można wyciąć taki numer? Skarbie, weź się teraz połóż. O tak, dobrze, nie ruszaj się. To nie będzie bolało. - Kręci głową.

W najgłębszych zakamarkach umysłu zaczyna mi świtać jakaś ponura wizja, ale nie potrafię jej sprecyzować.

- Więc może ona nie wiedziała, co się szykuje?

- Może. Ale tak jak mówiłem, przeprowadziłem wszelkie możliwe badania. Najpierw na obecność środków nasennych, uspokajających i opiatów. I nic. Nic nie wykryłem.

- A co z tą drugą siostrą... tą zastrzeloną?

- To była egzekucja - odpowiada Chisworth. - Po prostu. Kazał jej położyć się na ziemi, twarzą w dół. Jeden strzał w tył głowy, z takiej odległości od czaszki, żeby nie napaskudzić. Prawdę mówiąc, to też mnie uderzyło.

- Dlaczego?

- Przez porównanie. No bo tak, śmierć Clary wiązała się z kupą zachodu. Gość musiał wnieść masę sprzętu w niedostępne miejsce. A z drugą bliźniaczką było wręcz przeciwnie. Bez kłopotu, bez

poloUi. Czysty interes. - Dopija resztkę mojito. - Dlaczego?

O siódmej rano następnego dnia siedzę w samochodzie, zaopatrzony w dwie butelki wody, olejek do opalania, czapkę Oriolesów i ciemne okulary. Nie powinienem pić tego trzeciego mojito. Wyjeżdżając na Tropicana Boulevard, wciąż tego żałuję. Ostre poranne światło odbija się od wypolerowanych karoserii innych samochodów i razi mnie w oczy. Dopiero kiedy skręcam w lewo w Charleston i kieruję się dokładnie na zachód, uciekając od słońca, robi się lepiej. Jadę do kanionu Red Rock - miejsca, gdzie zamordowano Clare i Carlę Gabler.

Mila za milą przemierzam płaski jak opłatek teren. Jeżeli nie stworzył tego Bóg, widocznie drwale wzięli się do roboty. Po jakimś czasie zabudowane już działki ustępują miejsca przyszłym posesjom - rozjechanej przez spychacze ziemi, z charakterystycznym dla południowego zachodu wjazdem, otoczonym kilkoma wyrosniętymi kaktusami. „Górne setki! Dolne setki. Dolne czterechsetki. Ostatnie cztery wolne parcele!”. Jestem w miejscu cudu gospodarczego. Widziałem to na mapie satelitarnej w biurze Holly'ego Goldsteina - miasto rozrastające się w błyskawicznym tempie w kierunku otaczających je gór.

Od zachodu rozwój miasta kończy się tuż przed kanionem Red Rock - jednym z wielu parków narodowych i krajobrazowych po drodze do Doliny Śmierci i granicy z Kalifornią. W miarę jak się tam zbliżam, coraz bardziej doceniam piękno otoczenia - pustynną nieckę, obramowaną postrzępionymi skarpami z czerwonego piaskowca. W otwieranej o szóstej rano budce płacę pięć dolarów i wjeżdżam na malowniczy trzynastomilowy odcinek drogi. Strażnik wręcza mi folder, z którego mogę się zapoznać z tutejszą fauną i florą, ze szlakami i historią regionu. Jest nawet uproszczona mapka dróg i szlaków.

- Kanion Icebox? - odpowiada na moje pytanie. - Niech pan zostawi samochód na parkingu przy znaku numer osiem. I niech pan weźmie ze sobą dużo wody. Dzisiaj tam będzie parówka.

Na parkingu stoi już jeden samochód - półciężarówka dodge, z dodatkowymi głośnikami na dachu. Na zderzaku ma nalepkę z napisem: MÓJ DZIECIAK WIE WIĘCEJ NIŻ TWÓJ WZOROWY STUDENT. Wypijam duszkiem pół butelki wody, wsadzam pełną butelkę do kieszeni bojówek i idę za drogowskazem na szlak.

Po kwadransie rezygnuję z zamiaru wspinania się do miejsca, gdzie znaleziono Gablerówny, czyli do Kanionu Czarów, położonego ponad kanionem Icebox.

Swego czasu uprawiałem wspinaczkę skałkową, tyle że było to jeszcze w latach studenckich. I mniej więcej rok po narodzinach synów skończyłem z tym na dobre. Zresztą wybierając się tutaj, nie przygotowałem się do wspinaczki śladem turysty, który znalazł zwłoki. Przede wszystkim nie mam odpowiednich butów. A wdrapywanie się bez zabezpieczenia na niemal pionową ścianę kanionu nie jest zajęciem dla kogoś, kto nie robił tego od lat.

Wcześniej zastanawiałem się nad poszukaniem jakiejś okrzężnej drogi, obejścia. Teraz jednak widzę, że w tak nierównym terenie trwałoby to godzinami. Potrzebowałbym butów do wspinaczki, plecaka i o wiele więcej wody. Wobec tego postanawiam podejść do miejsca zbrodni na tyle blisko, by poczuć panującą tam atmosferę.

Od razu niepokoi mnie kilka rzeczy. Po pierwsze, nareszcie rozumiem, co Chisworth miał na myśli. Jeżeli jego przeczucia na temat piły elektrycznej i generatora prądu są słuszne, to faktycznie zabójca musiał wnieść mnóstwo sprzętu na wyjątkowo niedostępne miejsce. I to takie, które przypadkiem leży bardzo blisko terenów uczęszczanych przez amatorów wspinaczki. Faktem jest, że większość turystów trzyma się raczej wytyczonego szlaku, który można znaleźć we wszystkich

przewodnikach - prowadzącego na dno kanionu Icebox i z powrotem na parking. Ale akurat tę okolicę upodobał sobie amatorzy wspinaczki skałkowej i właśnie dlatego Josh Gromel-ski tam się wdrapywał. W tej części Nevady nie brakuje odludnych zakątków. Po co więc wybierać miejsce, gdzie w każdej chwili mogą się przyplątać jacyś świadkowie? W dodatku biorąc pod uwagę, jak wielu jest amatorów sportów górskich w tej części kraju, zabójca musiał zdawać sobie sprawę, że w końcu ktoś natknie się na zwłoki bliźniaczków. I to raczej prędzej niż później. Dlaczego więc nie wybrał miejsca równie niedostępnego, ale mniej uczęszczanego?

Przez pierwsze dwadzieścia minut przemierzam płaską pustynię, mijając kaktusy cholla, krzewy *Covillea mexicana*, drzewa Jozuego. Trasa jest stosunkowo łatwa, choć kamienista, więc muszę patrzeć pod nogi. Potem wkraczam na trudniejszy teren i wkrótce zaczynam się zastanawiać, czy idę w dobrym kierunku. Wprawdzie jest to popularny szlak, oznaczony w folderze jako trasa o średnim stopniu trudności, tyle że kiepsko oznakowany. Ale w końcu to nie park narodowy, tylko odludzie, tłumaczę sobie. Więc nie wybrzydź.

Czasami muszę przełazić przez mniejsze lub większe głazy. Kilkakrotnie wracam po własnych śladach, bo pomyliwszy kierunki, wylądowałem na skraju przepaści. Dziesięć minut później skręcam kostkę. Boli, ale to nic poważnego. Nieco dalej teren staje się tak wyboisty, że nie wiem, czy nie zboczyłem ze szlaku.

Podoba mi się trud związany z tą wyprawą, lecz uświadamiam sobie, że straciłem kondycję i nie jestem w formie. Trzeba było jednak opłacić przewodnika... albo chociaż kupić mapę topograficzną.

Wkrótce słońce zacznie dawać mi się we znaki. Czuję, jak upał czai się za chwilowym chłodem i tylko czeka, by zaatakować mnie, zaledwie słońce wyjrzy zza skał. Powietrze i tak już się nagrzewa, a odbite od kamieni promienie słoneczne wpadają mi z boku pod okulary. Za każdym razem, gdy wychodzę z cienia, czuję, że skały pod moimi rękami są coraz bardziej gorące.

Kiedy schodzę na dno kanionu Icebox, słońce staje się mniej uciążliwe, więc postanawiam wdrapać się trochę wyżej, drogą prowadzącą na skalną półkę, na której spomiędzy kamieni wyrasta pinia. Wspinaczka jest trudniejsza, niż myślałem, i kiedy tam w końcu docieram, siadam z ulgą, dysząc z wysiłku. Przekonuję się, że nie ja pierwszy wybrałem sobie to miejsce. Między korzeniami pinii leży zmięty papierek po owocowej gumie do żucia, a w szczelinie skały ktoś przypetował cztery papierosy. Wyciągam butelkę ciepłej wody i zjadam kawałek batonika.

Tak więc siedzę tu, wyprany z sił, na ścianie kanionu, który Josh Gromelski wybrał sobie na wspinaczkę. Spoglądam w górę, na miejsce, gdzie znalazł szczątki Clary Gabler. Tyle że miejsce zbrodni do mnie nie... - jak to ujął Holly Goldstein? - nie przemawia. No to co?, myślę sobie, dojadając batonik.

Zabójca wybrał niedostępne miejsce. Przeciął Clare Gabler na pół, kiedy jeszcze żyła. Zrobił to piłą elektryczną. Zadał sobie wiele trudu, żeby wtaszczyć tutaj to wszystko. Dziewczyny brały udział w próbach do jakiegoś pokazu magii. No i co z tego? Co to ma wspólnego z Kevinem i Seanem?

Podnoszę papierek po gumie do żucia i cztery niedopałki, zawijam je w folię po batoniku, po czym chowam wraz z pustą butelką wody do kieszeni. Wybierając drogę powrotną na dno kanionu, nie mogę uwierzyć, że jestem tutaj, na tym odludziu za Las Vegas, ścigając... sam nie wiem co. Co ja wyprawiam? Liz ma rację. Ja po prostu gonię w piętękę. Tracę tylko czas. I pieniądze. Cała ta wycieczka ma na celu wyłącznie zaspokojenie własnego kaprysu.

Wściekły na siebie, z lekkomyślną szybkością opuszczam się po skałach, nie zważając na ból kolan, ryzykownie przeskakuję z kamienia na kamień i jak najszybciej schodzę na dno kanionu.

I wtedy uderza mnie myśl, i to z taką siłą, że na chwilę tracę koncentrację. Nagle uświadamiam sobie, że źle postawiłem stopę, że spadam, lecę w powietrzu. Chwytam w przelocie jakiś kamień i z trudem podciągam się na płaski fragment urwiska. Gramolę się niezdarnie, zdzierając sobie skórę z kolan, i padam na skalnej półce, nad przepaścią o głębokości dwudziestu stóp. Patrzę, jak moje okulary słoneczne koziołkują w dół stromego stoku, kładę głowę na kamieniu i zamykam oczy.

Leżę tak przez dłuższą chwilę, przyciskając policzek do gorącej skały i czując, jak wzbierają we mnie nowe siły. Ten napływ adrenaliny wywołany jest pewnie przez upadek, który z kolei spowodowany był czymś, co przyszło mi do głowy podczas nieuważnego schodzenia ze ściany.

Gdzie znaleziono zwłoki sióstr Gabler?

W Kanionie Czarów.

Do czego przygotowywały się bliźniaczki?

Do pokazu magii.

Przed oczami stają mi policyjne zdjęcia zwłok obu kobiet, obie części ciała Clary. Clara Gabler, przecięta na pół. Jak przypuszczał Chisworth, „została przecięta piłą elektryczną... w poprzek tułowia, od lewej do prawej”.

Innymi słowy, została nie tyle przecięta, ile przepiłowana.

Siostry były na scenie. To dlatego miały na sobie kostiumy. Brały udział w przedstawieniu.

W przedstawieniu, w trakcie którego Clara Gabler została przepołowiona. Wypływająca ze skrzyni krew była prawdziwa, a wrzaski nie były popisem aktorstwa, lecz krzykiem bólu i przerażenia. Pokaz przecinania kobiety na pół... Po którym dziewczyna ukazuje się cała i zdrowa, w magiczny sposób przywrócona do życia.

Tylko że w tym wypadku sztuczka polegała na tym, że nie było żadnej sztuczki. Była za to dublerka. Bliźniaczka.

Siadam na skalnej półce i wpatruję się w pustynię, ciągnącą się aż do Stripu. Wydłubując żwir ze skaleczonej dłoni, staram się myśleć tylko o siostrach Gabler. A jednak Ezme Brewster miała rację. To była rozrywka. Pokaz na żywo.

Wstaję, z obolałą kostką i krwawiącymi kolanami. Usta mam spieczone, boli mnie głowa, świat przede mną migocze i wiruje. Jestem odwodniony. Mrużąc oczy w ostrym świetle, szukam najlepszej drogi w dół i schodzę na dno pustyni.

Niestety, ruch wcale mi nie pomaga. Nie potrafię powstrzymać moich myśli przed wiązaniem faktów w łańcuszek. Nie mogę się pozbyć wspomnienia chwili, gdy dzieci Sandling opowiadały mi o sztuczkach, jakie pokazywał im porywacz. O sztuczkach z kartami i monetami. „Robił tak, że pojawiały się nie wiadomo skąd albo znikwały”. Sztuczki magiczne!

Sztuczki karciane. Przepiłowywanie kobiety.

Za pierwszym razem bliźniaki, za drugim bliźniaczki.

Potykając się po drodze na parking, czuję się niczym ślepiec na skraju przepaści. Usiłuję powrócić do dotychczasowej niewiedzy, zapomnieć o koszmarnym przecuciu, które spadło na mnie, gdy schodziłem spod pini.

Kiedy jednak docieram do samochodu, otwieram szyby i staję na zewnątrz w palącym skwarze, nie potrafię dłużej się przed tym bronić. Nie mogę wybić sobie z głowy tych myśli. Powiązanie wydaje się na pozór bardzo luźne, lecz w głębi duszy wiem, że przecucie Shofflera się sprawdziło. Istnieje związek między bliźniaczkami Gabler, dziećmi Emmy Sandling i moimi synami, a jest nim magia!

Po raz pierwszy od czasu zniknięcia chłopców domyślam się, jaki los ich czeka, i ogarnia mnie czarna rozpacz. Jeśli się nie mylę, jeśli porwał ich ten sam człowiek, który zamordował siostry Gabler, to znaczy, że Szczurołap jest nie tylko mordercą, ale i sadystą. I to nie zwyczajnym sadystą, lecz magikiem, z talentem do zadawania bólu i podsuwania fałszywych tropów.

Moi synowie są surowcem dla artysty zbrodni.

## Rozdział 25

Dzwonię do Shofflera, by mu powiedzieć, że przecucie go nie zawiodło, że między siostrami Gabler a moimi synami istnieje związek, na jaki nie wpadlibyśmy choćby i za tysiąc lat-magia. Chcę z nim o tym porozmawiać, zasięgnąć jego rady. Tymczasem okazuje się, że wyjechał do Francji na jakąś konferencję poświęconą bezpieczeństwu. Zostawiam mu wiadomość.

Intuicyjnie wyczuwam jednak, co by mi doradził. Skoro już jestem w Vegas, powinienem dowiedzieć się, czy Szczurołap pracował tu kiedyś jako iluzjonista, i sprawdzić wszelkie miejscowe tropy.

Bo skoro sprawa dotyczy magii, Vegas jest najwłaściwszym miejscem pod słońcem. W ciągu trzech dni zobaczyłem więcej znikających gołębi i zapalanych świec, niż mógłbym zliczyć. Przyjmuję za rzecz normalną, że jakiś facet w smokingu nagle strzela palcami i gołąb czy kaczka - a nawet gęś! - pojawiają się znikąd. Albo że odwraca kapelusz do góry dnem, stuka w niego na dowód, że w środku nic nie ma, albo prosi ochotnika, by wsadził rękę i sprawdził, że kapelusz jest pusty. A następnie macha czarodziejską różdżką i *voilà!* Królik. Żywy królik, który kica potem po scenie, oszołomiony.

Widziałem, jak podarte na strzępy chustki, sznury albo kartki po wypowiedzeniu kilku magicznych zaklęć nagle stają się całe. Byłem świadkiem pokazów czytania w myślach, cudownych ucieczek, lewitowania i dziesiątków transformacji (zamiany kawałka papieru w ptaka, piłki w królika, lalki w kobietę, sznurka w węża).

Wielokrotnie patrzyłem na znikające długonogie piękności, które następnie pojawiały się, wdzięcząc się i uśmiechając, w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, na przykład z tyłu sali. W hotelu San Remo Magiczne Dziewczyny (wieczorami występujące topless) są tym, na co wskazuje nazwa - długonogimi ślicznotkami, które wyczyniają sztuczki z kartami, monetami... aha, no i oczywiście z króliczkami.

Po pokazach jest czas na zakupy - sklepiki sprzedają ulotki reklamowe występujących prestidigitatorów, a także standardowe zestawy do uprawiania rozmaitych sztuczek i magii, plakaty z podobizną nabywcy, biografie Houdiniego, książki na temat iluzji.

We wszystkich tych sklepikach pokazuję portrety pamięciowe Szczurołapa sprzedawcom i kasjerom, którzy wydając resztę, popisują się sztuczkami karcianymi. Tłumaczę im, że mężczyzna na rysunku jest iluzjonistą. Czy go poznają? Kilkakrotnie słyszę „chyba tak”, ale nikt nie potrafi podać ani nazwiska, ani miejsca, gdzie go widział.

Kiedy zamawiam piwo przed występem Lance'a Burtona, podchodzi do mnie mężczyzna o posturze niedźwiedzia.

- Boyd Veranek - przedstawia się. - Przez „V”. Miło cię spotkać. Popatrz.

Rozumiem, chce mi pokazać jakąś sztuczkę. Nie mam ochoty robić za jego publiczność, ale w panującym tłoku nie mam jak się oddalić, żeby nie wyjść na gburę. Facet składa wielkie łapska w kulkę i otwiera je powoli. Spomiędzy dłoni wyrasta i chwije się papierowa róża. Mężczyzna raptownie rozsuwa dłonie i kwiat spada. Facet chwyta go w powietrzu za łodygę i wręcza mi z lekkim ukłonem.

Kwiat wykonany jest z serwetki Lance'a Burtona; płatki ma idealnie ułożone w muszelkę, łodyga jest z ciasno zwiniętego papieru. Veranek szczerzy się do mnie w uśmiechu.

- Zrobiłeś to tutaj... na oczekaniu? Dobrze!

- Na kobiety to działa zdecydowanie lepiej. - Veranek uśmiecha się szeroko. - Hej, widziałem cię na Magicznych Dziewczynach i na występie Penna i Tellera. Więc wykombinowałem, że mam do czynienia z kolegą po fachu. Jesteś iluzjonistą, mam rację?

- Niezupełnie... ale ty nim jesteś bez dwóch zdań. Veranek z uśmiechem wzrusza ramionami.

- Można tak powiedzieć. Jestem inżynierem na emeryturze. Kiedyś zajmowałem się magią hobbystycznie, ale z czasem stało się to moim drugim zawodem. Obsługuję przyjęcia dla dzieci, bar i bar micwy, od czasu do czasu występuję na statkach pasażerskich albo na targach. Przyda się te parę groszy, biorąc pod uwagę, co się stało z moim portfelem akcji. To dopiero było zniknięcie jak się patrzy! - Wybuchł śmiechem, a ja razem z nim. - No to co tu robisz, skoro nie jesteś magikiem? Masz fioła na punkcie iluzji?

Podaję się za prywatnego detektywa i wyjaśniam, że badam sprawę morderstwa. Jeśli to tylko możliwe, staram się już nie wspominać o dzieciach, żeby uniknąć tego, co następuje, gdy ludzie dowiadują się o mojej tragedii. Rozpoznanie mnie i nieuchronne wyrazy współczucia przechodzą następnie w fascynację, a później w ledwie skrywaną odrazę. Fascynację łatwo można zrozumieć - ten sam instynkt każe nam przyglądać się ofiarom wypadków drogowych. Wstręt zaś jest z gatunku tych uczuć, których doświadczają na sobie chorzy na raka albo niepełnosprawni - mimo że ich przypadłość nie jest zaraźliwa, inni obawiają się, że się zarażą. Przydarzyło mi się nieszczęście i nikt nie chce, żeby mój pech przeskoczył na niego.

- Morderstwo? - Boyd Veranek patrzy na mnie z ukosa, jakby nie był pewny, czy się z niego nie nabijam. - A co te wszystkie pokazy magii mają wspólnego z twoim śledztwem? Jeśli wolno spytać.

- Uważam, że zabójcą jest iluzjonista.

- O kurde. Morderca na naszym podwórku. Zawodowiec? Czy amator?

Kręcę głową.

- Jeszcze nie wiem. Ale mam jego portrety pamięciowe. Może zechciałbyś rzucić na nie okiem?

- Jasne, że tak. - Ogląda rysunki spod przymrużonych powiek i kręci głową. - To morderstwo popełniono tutaj? W Vegas?

- W okolicy. Prawie trzy lata temu. Zamordowano tancerkę koło kanionu Red Rock. Może o tym słyszałeś.

Marszczy brwi, ale wspomnienie tamtej zbrodni wyparły już nowsze przykłady brutalności.

- Jasny gwint! Ja chodzę na te wszystkie pokazy, żeby ewentualnie podpatrzeć jakiś numer czy dwa dla siebie, a ty to robisz, bo... ja cię kręcę!... ścigasz mordercę.

Potakuję ruchem głowy.

- Jeśli naprawdę chcesz się dowiedzieć czegoś na temat magii, powinieneś pogadać z Karlem Kavanaugh - oznajmia Veranek. - Mieszka tutaj, w Vegas, i wie na ten temat wszystko.

- Kim on jest?

- To też iluzjonista, ale od jakiegoś czasu rzadko występuje. Pracuje dla Copperfielda... który ma tutaj muzeum magii.

- Naprawdę?

- To prywatne muzeum, ale chodzi o to, że Karl wie wszystko na temat magii, to chodząca encyklopedia. Król magików. Pewnie mógłby ci pomóc. Kto wie, może nawet rozpozna tego faceta?

- Masz jego numer?

- Nie. Nie przy sobie. Prawdopodobnie znajdziesz go w książce telefonicznej... Karl przez „K”, Kavanaugh także przez „K”. Jeśli nie, to przekręć do mnie, załatwię ci namiary. Mieszkam w Luksorze. Veranek, przez „V”.

- Świetnie, wielkie dzięki.

Zebrani ruszają powoli w kierunku widowni, bo za kilka minut zaczyna się pokaz. Już mam pójść w ich ślady, gdy nagle Veranek wciska mi do ręki swoją szklankę.

- Potrzymaj to przez chwilę. Idzie moja żona.

Jego dłonie błyskawicznie, gorączkowo majstrują przy programie wieczoru. Po chwili przez tłum przeciska się kobieta

Omiłej buzi.

- Była okropna kolejka do toalety - wyjaśnia, stając obok niego.

- Wyszłaś w samą porę - odpowiada Veranek. - Zobacz, coś tam złapała. Pewnie wyskoczyła z kanalizacji. - Zdejmuje coś z jej ramienia i pokazuje otwarte dłonie. Siedzi na nich pomysłowo złożona żaba. Jakimś cudem Veranek sprawia, że żabsko podskakuje.

- Och, Boooyd! - Kobieta chichocze jak nastolatka. Wlepiam wzrok w żabę, która momentalnie kojarzy mi się z królikiem origami na szafce chłopców.

Zaczynam myśleć jak paranoik. To on mnie zaczepił, a nie ja jego. Wprawdzie zupełnie nie przypomina Szczurołapa z moich portretów, ale jest wysoki. Potrafi składać zwierzęta z papieru.

1robi sztuczki magiczne.

- Niesamowite - słyszę własny głos. - Ta żaba jest naprawdę świetna.

- E tam, byle jaka. Trochę już zardzewiałem. Ostatnio robię głównie numery z balonami. Origami jakby wyszło z mody. Swoją drogą, szkoda. Składanie papieru ma w sztuce iluzji długą historię. Wiesz, jedno pasuje do drugiego.

- Jak to?

- Po pierwsze, wymaga zręcznych palców - tłumaczy Veranek. - A iluzjoniści, nawet jeśli nie potrafią robić nic innego, mają sprawne dłonie. Poza tym to jest przeobrażenie. Kilka zgięć i zamieniasz gładką kartkę w ptaka czy inne zwierzę. Ludziom się to podoba. Ale teraz już rzadko się to widuje. Dzisiaj króluje wiązanie balonów. - Uśmiecha się. - Inna sprawa, że idea jest taka sama.

Czuję ucisk w uszach, jakbym był głęboko pod wodą.

- A potrafisz złożyć królika?

- Boyd - przerywa nam kobieta o miłej buzi. - Nie chcę przegapić początku występu Lance'a.

- Nic się nie martw, skarbie. Potrafię złożyć królika w równe trzydzieści sekund.

Rzeczywiście. Z imponującą zręcznością Veranek oddziera z okładki programu równy kwadrat, a kilka sekund później przekształca go w uroczego króliczka. Ta figurka zupełnie nie przypomina królika znalezionego na szafce u chłopców. Tłumaczę sobie, że o niczym to jeszcze nie świadczy, a jednak moje podejrzenia w stosunku do Veranka pierzchają.

Światła we foyer zaczynają migotać.

- Niesamowite - powtarzam, podziwiając królika siedzącego na grzbiecie dłoni Veranka.

- Boyd! - ponagla go żona. - Chodźmy już. Veranek kłania się lekko i... królik znika, choć nie zauważyłem, jak to się stało.

## Rozdział 26

Numer Karla Kavanaugh faktycznie jest w książce telefonicznej, więc umawiam się z nim na



następny dzień rano. Magik proponuje, żebyśmy spotkali się w Peppermill, i wyjaśnia, że to pod koniec Stripu, naprzeciwko Circus Circus.

Restauracja mieści się w nędznym, krytym gontem budynku z początku lat siedemdziesiątych, który jakby przycupnął pomiędzy olbrzymimi sąsiadami. W środku sztuczne drzewa wiśniowe rzucają cień na wyściełane niebieskim aksamitem ławy.

Kavanaugh czeka na mnie tuż za drzwiami - wysoki, pełen wdzięku mężczyzna w niebieskim garniturze.

- Niech pan się rozgląda za facetem z szóstym krzyżykiem na karku i w lotniczych okularach przeciwsłonecznych - powiedział mi przez telefon.

Podajemy sobie ręce. Kavanaugh ma duże i silne dłonie o długich eleganckich palcach.

- Boyd lubi przesadzać - mówi. - Nie jestem królem magików, czy co on tam panu nagadał. Uważam się za badacza magii.

Młoda kobieta prowadzi nas do stolika. Ma na sobie krótką plisowaną sukienkę bez rękawów i białą bluzkę - coś jakby erotyczną wersję szkolnego mundurka uczennicy szkoły katolickiej.

- Występuje pan w Vegas? - pytam.

- Nie, ja już w zasadzie przeszedłem na emeryturę. Przyjechałem tu... no cóż, przeniosłem się tutaj w celach badawczych.

- To znaczy?

- Niektóre gałęzie przemysłu, w sensie geograficznym, stoją w miejscu - wyjaśnia Kavanaugh. - Weźmy choćby przemysł filmowy, stalowy czy stocznie. Ale magicy przenoszą swoją stolicę. Obecnie jest nią Las Vegas.

- A wcześniej?

W oczach Karla pojawia się błysk.

- Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku był nią Nowy Jork, co zresztą miało głęboki sens. To tam były sceny teatralne, agenci, plotkarskie gazety, sklepy dla iluzjonistów, wodewile. Nie mówiąc o szerokiej publiczności. Proszę pamiętać, że wtedy nie znano jeszcze kina, więc jedyną formą rozrywki były przedstawienia na żywo. Dlatego właśnie angażowało się kogoś takiego jak Houdini, on potrafił przyciągnąć tłumy. Podobnie zresztą jak jego rywale i naśladowcy. W tamtych czasach prawo autorskie nie istniało, toteż mnożyli się rozmaici Howdi-nis, Hondinis czy Houdins... i na ich występy także waliły tłumy.

- Howdinis? Pan żartuje.

- Ani mi się śni. Właśnie dlatego w tamtych czasach reklamy skupiały się na ustalaniu tożsamości artysty: „Jeden jedyny! Prawdziwy! Niepowtarzalny! Autentyczny!”. Magia była w rozkwicie, więc dla każdego z nich znalazło się miejsce. Aż tu nagle pojawiło się kino i wodewile poszły w odstawkę. Niestety, wiele magicznych trików zatoneło wraz ze statkiem.

- Jak to?

- Iluzja nie potrafiła przystosować się do potrzeb filmu. Po prostu nie sprawdzała się na ekranie. Ani na wielkim, ani, po latach, w telewizji.

- Hm.

- I wtedy epicentrum magii przeniosło się do Chicago. Były lata dwudzieste i właśnie tam krzyżowały się wszystkie drogi... całe rzesze komiwojazerów w delegacji traktowały to miasto jak tymczasowy dom. W dodatku był to wielki ośrodek handlu. Magicy złapali tam drugi oddech, występując na imprezach targowych... zresztą do dziś targi są chyba największym pracodawcą dla

iluzjonistów.

- Targi? Pan żartuje.

- Ależ nic podobnego. Przecież targi to w gruncie rzeczy nic innego jak przedstawienia na żywo. Powiedzmy, że chce pan przyciągnąć klientów do swojego stoiska. Nic nie jest bardziej skuteczne niż występ magika. Każdy zatrzyma się, żeby popatrzeć.

- A gdzie jeszcze występują dziś iluzjoniści... nie licząc Vegas i targów?

- Na statkach wycieczkowych... to całkiem spory rynek pracy. Poza tym na urodzinach, bar micwach, imprezach dla dorosłych. - Bębni palcami po stole.

Zaczynam notować jego słowa. Z pewnością magicy mają swoje stowarzyszenia, zajmujące się obsługą rejsów wycieczkowych i targów. Mógłbym rozesłać do nich portret pamięciowy Szczurołapa.

- I na festynach - dodaje Karl. - Oni także zatrudniają wielu dobrych magików.

- Na festynach? Jakich?

- Na festiwalach renesansowych. Są bardzo popularne. Festiwale renesansowe! To jedna z tych chwil, kiedy dopada mnie przeszłość. Przez głowę przelatują mi migawki z naszego pobytu na jarmarku - mina Seana, zmagającego się z polerowaniem mosiądzu, przestkach na twarzy Kevina, gdy patrzył na sokoła, siedzącego na skórzanej rękawicy sokolnika...

Skupiam się na zapisywaniu wszystkiego w notesie.

Karl najwyraźniej zauważył zmianę na mojej twarzy, bo pyta, czy nic mi nie jest. Wykręcam się zmęczeniem po podróży i zmianą stref czasowych. Po chwili wspomnienia mijają i Karl znów zabiera mnie w podróż po świecie magii.

- Tak więc przez pewien czas magicy koncentrowali się w Chicago, powiedzmy od tysiąc dziewięćset trzydziestego do sześćdziesiątego drugiego, a potem cała scena przeniosła się do Los Angeles.

- Dlaczego akurat tam? Karl wzrusza ramionami.

- Pewien słynny magik kupił tam starą posiadłość i urządził w niej klub. Nazwał go Magicznym Zamkiem. Z czasem zamek zaczął przyciągać na Zachodnie Wybrzeże coraz więcej iluzjonistów. I w ten oto sposób Los Angeles zostało epicentrum magii.

- Jak się nazywał ten magik?

- Mark Mitchell... to nazwisko pewnie nic panu nie mówi? Kręcę głową.

- Oto i dowód, jak nisko upadła ta sztuka - zauważa Karl, ze smutkiem kiwając głową. - Jako badacz ubolewam nad tym, jak bardzo obniżył się status magii.

- Czy coś się zmieniło? Mnie się wydaje, że pokazy magii cieszą się tutaj wielkim powodzeniem.

- Być może, ale to anomalia. Wracając jednak do historii, magię uważano niegdyś za prawdziwą sztukę, a iluzjoniści cieszyli się światową sławą. W tamtych czasach ich występy wzbudzały strach i podziw. Niestety, to już minęło bezpowrotnie. Dzisiaj słowo „magiczny” funkcjonuje w pozytywnym sensie tylko jako przymiotnik opisujący zupełnie inne rzeczy.

- Nie bardzo rozumiem.

- Jeśli udaje się zrobić coś tak doskonale, że zakrawa to na cud, na przykład posiłek tak wspaniały, że szefa kuchni nazywamy czarodziejem, cudotwórcą czy magikiem, to wówczas słowo „magiczny” ma pozytywny wydźwięk. Ale magia jako sztuka estradowa nie uchodzi już nawet za sztukę, tylko za pokaz tandetnych sztuczek... albo wykreowanych za ciężkie pieniądze iluzji.

- Co racja, to racja.

- A ludzie, którzy wytyczali jej kierunki w przeszłości, poszli w zapomnienie. Tak jak Mark Mitchell i jego Magiczny Zamek. Wiem już, że pan o nim nie słyszał, ale może mówi coś panu nazwisko Dai Vernon?

W odpowiedzi kręcę tylko głową.

- Zróbmy mały test... Czy potrafi pan podać nazwiska słynnych magików z przeszłości, pomijając Houdiniego i ludzi pracujących dziś w Vegas jak Copperfield?

- Niech no pomyślę... - W skupieniu marszczę brwi i spoglądam na Karla. - Mark Mitchell i... Karl Kavanaugh.

Karl wybucha śmiechem - szczerym, radosnym śmiechem, który natychmiast sprawia, że nabieram do niego sympatii.

- Zdaję sobie sprawę, że niewiele to pana obchodzi, ale już zmierzam do końca - mówi. - Nowy Jork, Chicago, Los Angeles. - Odlicza miasta na wysmukłych palcach. - A potem, w osiemdziesiątym piątym czy coś koło tego, kiedy Vegas nabrało rozpędu, sztuka iluzji przeniosła się tutaj.

- Dlaczego akurat tu?

- Dlatego, że magia najlepiej sprawdza się na żywo, w bezpośrednim kontakcie z ludźmi, a osobliwość Vegas polega na tym, że jest to jedyne miejsce w tym kraju, gdzie występy na scenie nadal mają się świetnie. Nie mam na myśli teatru, lecz muzykę, taniec, kabaret i... magię. Właśnie dlatego mówiłem, że jej popularność w tym mieście to anomalia.

Zastanawiam się nad jego słowami o popularności występów na żywo w Las Vegas i przypominam sobie te gigantyczne billboardy, reklamujące występy przebrzmiały gwiazd i znakomitości, o których nigdy nie słyszałem.

- Iz czego to wynika?

Kelnerka przyjmuje od nas zamówienie. Kavanaugh bierze tylko lemoniadę, ja proszę o klubowego sandwicza i kawę.

- Niech pan uważa! - ostrzega mnie Karl. - Ta kanapka będzie wielka jak krążownik.

- Panie Kavanaugh! - przywołuje go do porządku kelnerka. - Może pański przyjaciel ma lepszy apetyt niż pan.

- Proszę pamiętać, że pana ostrzegałem - mówi Karl. - Na czym to skończyliśmy?

- Tłumaczył mi pan, dlaczego magia cieszy się tu taką popularnością.

- Właśnie. To dotyczy nie tylko magii, lecz w ogóle występów na żywo. Nie da się uprawiać hazardu bez przerwy, a tak jak nikt nie przyjeżdża do Vegas, żeby grać w totka, tak samo nikt tu się nie wybiera do kina. To miasto jest jedyne w swoim rodzaju. Niech pan weźmie te wielkie hotele. One właściwie nie potrzebują reklamy, same są reklamami. Są jak plany filmowe z Hollywood... tłem dla grających turystów i facetów w delegacji. Jakiś starszy gość ze Scranton czy małżeństwo z Huntsville przyjeżdżają tu i nagle stwierdzają że grają główne role we własnym filmie. Wszędzie tylko blichtr i przepych, ale oni także są wszędzie. Ponieważ będąc w Vegas, jednocześnie znajdują się w Kairze, w Paryżu, Wenecji czy Nowym Jorku... tyle że z tancerkami, „jednoręcznymi bandytami” i darmowymi drinkami. Płacą za występy na żywo, dlatego że to jest to, co chce się oglądać w Vegas. Tutaj się chodzi na show. - Szeroko rozkłada ręce. - Panie to lubią. A magia jest popularna, bo dobrze wypada na scenie. - Nachyla się do mnie z nieśmiałym uśmiechem. - Prawdę mówiąc, mam na ten temat własną teorię.

Ruchem ręki zachęcam go, by mówił dalej.

- Słucham.

- Film tak nas przyzwyczaił do efektów specjalnych, że właściwie nic już nie potrafi nas zadziwić i zaskoczyć. Oglądamy coś, co nie mieści się w głowie, jakiś kaskaderski numer albo trik, który jest naprawdę trudny do wykonania... ale nie robi to na nas wrażenia. Już nie. Nawet nas nie obchodzi, w jaki sposób to zrobiono.

- Nieważne, czy to popis kaskadera, czy efekt komputerowy...

- Otóż to. I właśnie dlatego magia nie sprawdza się w telewizji... dlatego że w filmie wszystko da się zrobić. Bo tak naprawdę, czym właściwie jest film, jeśli nie magicznym trikiem przeniesionym na taśmę? Pokazują nam rzeczywistość, która nie jest realna. Oglądając film, wiemy, że to jedna wielka lipa. Ale jeśli obserwujesz coś w czasie rzeczywistym, widzisz to na własne oczy, wtedy wierzysz swoim zmysłom. Dlatego nawet najprostszy trik wzbudza podziw. Robię jakąś sztuczkę z kartami i patrzę, jak ludzi po prostu zatyka. Innymi słowy, magia wciąż jest magiczna, jeśli oglądamy ją z bliska. Wciąż wprawia widzów w zdumienie. Wciąż prowokuje pytanie, na które czeka każdy iluzjonista: „Jak on to zrobił?”. Nawiasem mówiąc, ja nigdy tego nie zdradzam.

- Nigdy?

- No, prawie. Po co rozczarowywać widzów? Proszę mnie źle nie zrozumieć, niektóre niezwykle iluzje uzyskuje się dzięki zastosowaniu bardzo skomplikowanych maszyn i urządzeń. Dawno temu magicy w dużym stopniu polegali na technice i mechanicznych wynalazkach. W osiemnastym i dziewiętnastym wieku wymyślano zupełnie niesamowite maszyny, niezwyklej urody. Dlatego nie chcę umniejszać roli pomysłowych przyrządów. Często jednak kluczem do najbardziej zaskakujących efektów jest coś niezwykle prostego, wręcz prymitywnego. Trochę wosku, sznurek, magnes. Iluzjoniści nie mają ochoty odsłaniać kulisów swej sztuki. Nie po to ludzie przychodzą na ich występy.

- A po co?

- Bo chcą być oszukani, wyprowadzeni w pole, zaskoczeni. Na tym polega cała przyjemność, a nie na doszukiwaniu się tego, że jakiś zaskakujący numer został wykonany dzięki zastosowaniu

ukrytej zapadni, lustra czy przy pomocy siedzącego na widowni współnika. Frajda polega na tym, że zostałeś oszukany, ale nie wiesz, jak to się stało.

- Zgoda...

- Właśnie dlatego Houdini, showman z krwi i kości, szedł na całość. Domagał się, żeby przed każdą jego uciezką ktoś go obejrzał nagiego (zwykle zajmowała się tym policja) i sprawdził, czy nie ukrywa niczego w rękawie, w dosłownym sensie.

Obszukiwali jego spodenki gimnastyczne czy co tam akurat miał na sobie podczas występu, a potem odprowadzali go pod eskortą na scenę. Na szczęście wówczas nie zaglądano jeszcze do naturalnych otworów ciała.

- Chce pan powiedzieć, że...

- Ano. Chował sobie coś w tyłku. Tak podejrzewano... i wcale nie chodziło o to, żeby go zdyskredytować. Houdini był niesamowicie wysportowany i trenował równie ciężko jak Lance Armstrong.

- Nikt nie trenuje tak ciężko jak Lance.

- Być może trochę przesadziłem, w każdym razie trenował do upadłego. Na przykład w jednym ze swoich numerów był skuty kajdankami, owinięty łańcuchami spiętymi na kłódkę i zanurzony pod wodę... w dodatku lodowatą. Jasna sprawa, że musiał mieć jakiś pilnik czy szpikulec, żeby otworzyć te zamki, ale to jeszcze nic. Wisiał głową w dół w wodzie o temperaturze dwóch stopni, ze skutymi rękami i nogami i owinięty łańcuchem. Więc nawet jeśli miał jakiś wytrych do zamków, to i tak musiał się nim jakoś posłużyć w tych warunkach. Wcześniej latami ćwiczył wstrzymywanie oddechu, aż doszedł do tego, że potrafił nie oddychać przez trzy i pół minuty. Niesamowite! A przygotowując się do tych uciezek z zimnej wody, całymi tygodniami, dzień w dzień, przesiadywał w wannie pełnej kostek lodu, aż w końcu jego ciało nauczyło się tolerować wstrząs termiczny i mógl - Karl przebiera palcami - funkcjonować w lodowatej wodzie. Niedawno coś podobnego wykonał ten młokos, David Blaine. Dał się zamknąć w lodzie na kilka dni... w gruncie rzeczy to raczej pokaz wytrzymałości organizmu niż iluzja. Podobne wyczyny mają w historii magii długoletnią i szacowną tradycję. Na przykład chowanie do grobu. Na dobrą sprawę w pokazach iluzji stosuje się najrozmaitsze efekty wytrzymałościowe. Tryskanie strugami wody. Połykanie kamieni. Chodzenie po rozżarzonych węglach. Oglądanie, w jaki sposób Blaine odświeżył ten aspekt magii, to było doprawdy ciekawe przeżycie.

- Blaine?

- Nie słyszał pan o nim? Powinien go pan obejrzeć. Ma kilka programów w telewizji. Zdaje się, że pierwszym był *Street Magic*. Robi wrażenie, i to jakie!

- Ale... przecież sam pan mówił, że magia nie sprawdza się na ekranie.

- Blaine dokonał czegoś naprawdę nowatorskiego: skupił się na publiczności. Swoje numery prezentuje przed bardzo małą grupą... od jednego do czterech widzów, nie więcej. Obserwowanie ich reakcji jest naprawdę fascynujące. Oni po prostu wariują, kompletnie im odbija, są przeniesieni w inny wymiar. Nie wierzą własnym oczom, dosłownie. Cudowna rzecz. Niektórzy wręcz zasłaniają sobie oczy, jakby nie ufali już swoim zmysłom, jakby bali się patrzeć na świat.

Zapisuję w notesie: „David Blaine”. Kavanaugh wzdycha.

- Mógłbym tak gadać cały dzień. Lepiej niech pan mi powie, czego chce pan się dowiedzieć.

- Ba, żebym to ja wiedział! - Wyjaśniam mu, że badam sprawę zamordowania sióstr Gabler i że moim zdaniem zabójcą jest magik.

Składa dłonie w daszek i opiera podbródek na ich czubku.

- Pamiętam tę sprawę. Koszmar. Ale dlaczego sądzi pan, że to robota magika?

Kiedy relacjonuję mu, czego się dowiedziałem, odchyła się na krześle. Słyszę, jak szybko wciąga powietrze; jego mina jest poważna, wręcz posępna.

- Boże jedyny! Przepiłowana kobieta. Chryste Panie, to wygląda na jakiś żart dla wtajemniczonych.

Pokazuję mu mój „list gończy” z podobizną Szczurołapa. Karl krzywi się.

- Sam nie wiem. Może i go widziałem. Mogę to sobie zatrzymać?

- Jasne.

Składa plakat dokładnie na pół, przeciąga paznokciem po zgięciu, składa go jeszcze raz i chowa do kieszeni.

- Nie jestem pewien, czy się z panem zgadzam... że tę zbrodnię popełnił jakiś magik. Mam nadzieję, że nie. Może to ktoś o wyjątkowo zwyrodniałym poczuciu humoru. Ale jeśli to magik... powinien pan wiedzieć, że większość z nas łączy pewne wspólne cechy. Czy to się panu do czegoś przyda?

- Proszę mówić.

- Po pierwsze, większość magików zaczyna się tym zajmować już w dzieciństwie. Wynika to z kilku powodów. Przede wszystkim wyrobienie niezbędnej zręczności palców zabiera mnóstwo czasu. No i wiele sztuczek wymaga naprawdę ciężkich i długotrwałych ćwiczeń. To tak jak z... mam!

- Spogląda na sufit. - Jak ze zjeżdżaniem na desce. Nawet proste ewolucje wymagają wielu godzin ćwiczeń, żeby je opanować... wiem, bo mój wnuk jest pasjonatem deski. Z magią jest tak samo. Dorosły zniechęciłby się, wiedząc, ile czasu potrzeba do opanowania, powiedzmy, fardo... to taki sposób tasowania.

- Na czym polega?

- Jeżeli przełoży się talię dokładnie na pół i przetasuje tak, żeby karty z obu rąk zazębiały się pojedynczo, potem znowu przełoży na pół i przetasuje w ten sam sposób, to po ośmiu powtórzeniach przywróci się talię do pierwotnego stanu.

- I są tacy, którzy to potrafią?

- Och, pewnie. Ja to robiłem, zanim skończyłem dziesięć lat. I wciąż to potrafię. Wymagało to jednak wielu godzin ćwiczeń. Tylu, że dorosły dawno by zrezygnował. Ale dzieci... one mają czas.

- Uhm.

- Dlatego jeśli ma pan kilku podejrzanych, warto sprawdzić, czy któryś z nich w dzieciństwie uczył się sztuczek karcianych.

- Chciałbym pana o coś zapytać... czy są jakieś triki, do których wykorzystuje się dzieci?

- No cóż, oczywiście, na przyjęciach dziecięcych. Bierze się ochotników spośród widzów. Ale jeśli myśli pan o asystowaniu magikowi, no cóż... asystentkami są prawie wyłącznie młode I kobiety, nie zaszkodzi dodać do przedstawienia nieco seksapilu. Poza tym skąpo odziane dziewczyny bardzo skutecznie odwracają uwagę... wiem to z własnego doświadczenia. Ludzie nie spuszczają z nich oka. Ale w przeszłości powszechnie korzystano z dzieci jako asystentów. Odgrywały taką rolę, jak współcześnie kobiety - lewitowały, były zamykane w skrzyniach albo wkładane do urn czy koszy, a potem przemieszczane w jakieś j odległe miejsca bądź zamieniane w zwierzęta i z powrotem.

Zmuszam się, by zadać to pytanie:

- A przecinanie piłą na pół? Kavanaugh marszczy brwi.

- Być może. Nie podam panu dokładnej daty, ale zdaje mi się, że ta iluzja jest stosunkowo nowa. Ale we wszystkich przypadkach, które widziałem albo o których czytałem, asystantkami były młode kobiety.

- Uhm. Czy powinienem wiedzieć o magikach coś jeszcze? I

- Prawdę mówiąc, cały czas myślę o tym człowieku, którego pan szuka. Jeśli to magik, to moim zdaniem należy do badaczy tej sztuki, ma dobre pojęcie o jej historii.

- Skąd to przypuszczenie?

- No cóż... chodzi o to, co zrobił z tymi dziewczętami. Wprawdzie pozbawianie ludzi części ciała i przywracanie do stanu pierwotnego od wieków należy do kanonu repertuaru iluzjonistów, ale dziś wykonuje się już tylko aseptyczne triki. Można zobaczyć darcie albo cięcie papieru... ewentualnie monet, sznurków czy materiału. Albo magik ma współnika wśród publiczności, który pisze coś na kartce, a potem artysta drze ją na strzępy, by za chwilę znów była cała. Zniszczenie banknotu dwudziestodolarowego, czyjegoś krawata... dzisiejszej publiczności to wystarcza. Nawet standardowe przecinanie kobiety na pół jest już bezkrwawe. Dziewczyna przez cały czas się uśmiecha, więc nikt nie wierzy, że jej się dzieje krzywda... a nawet że może jej się stać coś złego. Czytałem, że ktoś, nie pamiętam kto, uważa ten trik za nieco tylko zawoalowany pokaz sadyzmu seksualnego. - Wzruszenie ramion. - Tego to ja już nie wiem. W każdym razie ten numer wciąż jest bardzo popularny, naturalnie w bezkrwawej wersji. Chcę przez to wykazać, że gusta się zmieniają. Kiedyś publiczność uwielbiała krwawą jatkę.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, widzowie wciąż uwielbiają przemoc. Niebezpieczeństwo, oczywiście takie, w którym znajduje się kto inny, przypomina nam, że żyjemy. Ale jeśli chodzi o magię, publiczność nie gustuje już w krwi i makabrze tak jak kiedyś. Staliśmy się wydelikaceni. Na przykład ludzie zajadający się stekami i hamburgerami często uważają polowanie za barbarzyństwo. Ciekawe, co by sobie pomyśleli na temat uboju zwierząt w rzeźniach, gdyby to zobaczyli.

- Przeszliby na wegetarianizm.

- Ano właśnie. Ale to nasze wydelikacenie to nowe zjawisko. Były czasy, i to wcale nie aż tak odległe, kiedy ludzie na co dzień w ramach rozrywki przyglądali się, jak jedne zwierzęta zagryzają inne, albo nawet ludzi. Na Dzikim Zachodzie czy w naszej kochanej osiemnastowiecznej Anglii publiczne egzekucje cieszyły się wielkim wzięciem. Ludzie schodzili się dużo wcześniej, by zdobyć jak najlepsze miejsce. Prawdopodobnie dawało im to taki dreszczyk emocji jak teraz zawody sportowe. Z magią estradową było tak samo. Na przykład w czasach Houdiniego z wielkim powodzeniem wykonywano numer zwany palingenezą. Plakaty pokazywały magika z olbrzymim mieczem w rękę, a na rozdawanych tego dnia ulotkach zachwalano: „Dziś odbędzie się ćwiartowanie skazańca! Przybywajcie! To trzeba zobaczyć!”. W trakcie pokazu rzekomo usypiano człowieka chloroformem, odcinano mu kończyny, a krwawe ochłapy fruwały po scenie. Niech pan pamięta, że wszystko to odbywało się na oczach publiczności! Potem zbierano części ciała biedaka, nakrywano go jakimś pledem czy szmatą, magik wypowiadał magiczne zaklęcie albo machał czarodziejską różdżką i hopla!, mężczyzna wyskakiwał spod szmaty, cały i zdrowy. Żołądek mi się buntuje, zbiera mi się na wymioty.

- A bynajmniej nie był to jedyny taki numer. Triki z ćwiartowaniem ciała są stare jak świat. W Indiach kuglarze często obcinali dzieciom języki, to był standard. Rozrywanie ptaków, rozcinanie węży... przypuszczam, że uliczni fakirzy w Indiach wciąż robią takie rzeczy. Pokazują krew, nawet

maczają w niej kamienie. A kiedy ptak (przeważnie biorą w tym udział ptaki, bo są tanie i ekspresyjne) jest już przywrócony do życia, fakir sprzedaje kamienie jako amulety szczęścia, przesiąknięte siłą życiową.

- Chwileczkę... nie chce pan chyba powiedzieć, że ta krew jest prawdziwa?

- Ależ tak. No, z wyjątkiem numerów z ucinaniem języków. Ale z ptakami? Oczywiście. Moim zdaniem... a może pan się śpieszy?

Kręcę głową na znak, że nie.

- No więc moim zdaniem te sztuczki wywodzą się ze starożytności. Ćwiartowanie, a potem przywracanie do życia, to przecież cechy prawdziwego pana życia i śmierci, prawda? Widzi pan, magicy nie zaczynali jako estradowcy. Spełniali o wiele bardziej doniosłą funkcję społeczną. Popularna teoria głosi, że dzisiejsi magicy to niegdysiejsi kapłani czy szamani.

- Poważnie?

- Religia i magia przenikały się od pradziejów. Dlatego, że magia zajmuje się badaniem obszarów pomiędzy zjawiskami naturalnymi a nadprzyrodzonymi, między życiem a śmiercią, między rzeczywistością a iluzją. Podejrzewam, że przywódcy religijni od zawsze korzystali z magicznych przyrządów, by zwrócić uwagę wyznawców i wzmocnić swoją rzekomą moc.

To nie ulega wątpliwości. Mój Boże, niektóre rysunki na zwojach papirusów świadczą o tym, że starożytni Egipcjanie otwierali sekretne przejścia w świątyniach za pomocą urządzeń hydraulicznych.

- Sezamie, otwórz się? Chichot.

- Nie inaczej. Istnieją także solidne dowody, że kapłani w Grecji używali megafonów, by posągi w Delfach przemawiały. Ciekawe, jak to jest z posągami, które krwawią albo płaczą. Nawet „magiczne zaklęcia” mają korzenie w religii.

- Na przykład?

- Chociażby „abrakadabra”, która wywodzi się bezpośrednio z żydowskiej kabały. A więc słowa, symbole... kabała jest w zasadzie mistycznym tekstem dotyczącym, w pewnym zakresie, potęgi słów.

- Naprawdę? Czyli że „abrakadabra” coś znaczy?

- Naturalnie. A „hokus-pokus”? Znaczenie tego zwrotu jest jeszcze bardziej szokujące. Niektórzy uczeni są zdania, że „hokus-pokus” wzięło się z przekręcenia słów *Hoc est meum corpus*.

Moje tępe spojrzenie najlepiej świadczy, że nic z tego nie rozumiem.

- Nie znamy łaciny, co? Zaprzeczam ruchem głowy.

- Cóż, nie wiem, czy jest pan religijny, a nie chciałbym urazić pańskich uczuć, ale magiczny zwrot „hokus-pokus”, który uważamy za jakąś bzdurę, pochodzi bezpośrednio z chrześcijańskiej eucharystii: *Hoc est meum corpus*, czyli „Oto ciało moje”.

- No nie...

- Gwoli ścisłości, w początkach Kościoła Jezusa z Nazaretu całkiem otwarcie nazywano magikiem. A jego cuda... chleb i ryby, zamiana wody w wino, a nawet wskrzeszenie Łazarza... to sztuczki typowe dla ówczesnych ulicznych kuglarzy. Rzymskie freski z drugiego wieku naszej ery przedstawiają Jezusa z magiczną różdżką w ręku.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Istota mojego wywodu sprowadza się do tego, że korzenie magii sięgają zaskakująco głęboko. Niech pan pomyśli, gdyby na pokazie magika nie wiedział pan, że artysta panem manipuluje, myślałby pan, że jest naocznym świadkiem cudów.



- Pewnie tak.

- Pamięta pan może spirytystów? Z lat dwudziestych?

- Czytałem o nich. *Madame* Bławatsky i inni.

- Właśnie. Tabliczki ouija, seanse spirytystyczne, tego typu klimaty. W tamtych czasach ludzi bardzo interesowała możliwość komunikowania się z „drugą stroną”. Harry Houdini po nieudanej próbie nawiązania kontaktu z matką (w trakcie seansu zamiast w jidysz rozmawiała z nim po angielsku, którego nie znała) rozpoczął kampanię na rzecz zdemaskowania spirytualistów. Uważał, że oni tylko wykorzystują zdesperowanych biedaków, pogrążonych w rozpacz po stracie bliskich, oraz że stanowczo za dużo sobie liczą za swoje tandetne triki. Postanowił udowodnić, że większość zjawisk nadprzyrodzonych to popularne sztuczki magiczne... tym łatwiejsze do przeprowadzenia, że publiczność zawsze musiała siedzieć po ciemku i trzymać się za rękę.

- I co, udało mu się? Kavanaugh wzrusza ramionami.

- Niezupełnie. Houdini nie wziął pod uwagę tego, że ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć.

- Nie miałem pojęcia, że magia ma coś wspólnego z religią.

- O tak. Ma pan przed sobą potomka najwyższego kapłana, który zrzucił habit - odpowiada z uśmiechem Karl.

- Więc sądzi pan, że człowiek którego szukam, zakładając, że to magik, jest zorientowany w tych aspektach magii?

- Tak, uważam, że może być badaczem historii magii. Przyszło mi to na myśl, ponieważ ta kobieta została przecięta na pół. Jest taka sztuczka... zacząłem o niej mówić, zanim wdałem się w dygresję na temat magii i religii. Zdaje się, że opowiadałem o numerze z ptakami?

- Owszem. O rozrywaniu ptaka na części.

- Właśnie. Jak mówiłem, jestem pewien, że w Indiach nadal wykonuje się to na co dzień. Powiem panu, jak to działa. Jest taki tradycyjny przyrząd magików, zwany klatką dla gołębi... ma on tajną skrytkę, w której można coś schować. Na początku pokazu magik otwiera jedną część klatki i wylatuje z niej ptak. Macha skrzydłami i tak dalej. Magik przez chwilę bawi się z nim, po czym rozrywa go na strzępy.

- Naprawdę go rozrywa, czy tylko udaje? Wzruszenie ramion.

- Czasem tnie go na kawałki. Tak czy inaczej, ptak zostaje poświęcony. Jeżeli magika stać na taki wydatek, zwykle jest to biały gołąb, bo krew dobrze wypada na tle białych piór. Cały ten pokaz jest niezwykle dramatyczny. Zachęca się widzów, żeby wzięli martwego ptaka na rękę. A nawet żeby zanurzyli palce w jego ranach.

- A potem? - Kręci mi się w głowie, oblewają mnie zimne poty, jakbym wychodził ze śmiertelnego przedawkowania narkotyków.

- Magik zamyka klatkę, przechodzi wśród widzów z kapeluszem i prosi o zapomogę w zamian za swój wysiłek mentalny... bo to go bardzo wiele kosztuje, zużywa jego siły życiowe. Namawia ich także, żeby wraz z nim skupili swoją energię na przywróceniu ptaka do życia. Jedna czy dwie nieudane próby dla spotęgowania napięcia, tajny współpracownik w tłumie głośno podważa umiejętności magika, a potem wielki pokaz koncentracji, kilka magicznych słów i... jazda!

- Jazda?

- Magik otwiera klatkę, ale tym razem jej ukrytą część, i ptak wylatuje z niej cały i zdrowy, machając skrzydłami.

Kavanaugh mylnie odczytuje wyraz przerażenia na mojej twarzy. Sądzi, że nic z tego nie pojmuję,

że nie załapałem, o co mu chodzi.

- Rozumie pan, to tak jak z tymi dziewczynami zabitymi w kanionie. Jedna została poświęcona, a publiczności pokazano drugą, tryskającą życiem. To drugi powód, dla którego białe gołębie mają takie wzięcie... one wszystkie wyglądają tak samo. Z punktu widzenia publiczności, białe gołębie są identyczne. Można by rzec, że wszystkie są bliźniakami.

Ciśnienie uderza mi do głowy. Stoję na torach przed rozpędzonym pociągami towarowym, ale nie mam siły się mszyć. „Wszystkie są bliźniakami. Wszystkie są bliźniakami...”.

Kavanaugh nachyla się do mnie.

- Dobrze się pan czuje?

## Rozdział 27

Przez dwa dni chodzę na pokazy magików w coraz bardziej szemranych lokalach, wszędzie pokazując portrety Szczurołapa. Wypyuję pracujące tam tancerki. Czy znały Gablerówny? Czy poznają Szczurołapa? Czy jakieś trzy lata temu brały udział w próbach do pokazu magii? Połączenie morderstwa z magią nie potrafi przebić się przez mur ich znudzenia. Potulnie oglądają portret, który im podsuwam, ale myślami krążą wokół innych rzeczy - papierosa, chłopaka, odpryśniętego lakieru na paznokciu.

W ciągu dnia wiszę na telefonie - obdzwaniam wszystkich sprzedawców quadów i generatorów prądu w okolicy Las Vegas, by sprawdzić, czy mają dane o klientach z okresu poprzedzającego śmierć sióstr Gabler.

- Trzy lata temu? - mówi jeden z nich. - Chłopie, tutaj to cała wieczność. Przez ten czas co drugi interes już padł.

Nawet kiedy zmuszony obojętnością, z jaką się spotykam, wyjaśniam, kim jestem, większość moich rozmówców przybiera czujną obronną postawę... albo są zbyt zajęci, by ze mną gadać. Gdybym był policjantem, to co innego, ale w tej sytuacji nie mogą mi pomóc. Powołują się na ochronę danych osobowych, na brak personelu, na niekompletne akta...

W miejskiej bibliotece publicznej sprawdzam swoją pocztę elektroniczną i wiadomości na sekretarce. Shoffler wciąż jest we Francji, więc dzwonię do Muriel Petrich. Wysłuchuje relacji o przełomie w moim śledztwie, robi notatki, czasami prosi mnie, żebym coś powtórzył. Obiecuje się tym zająć, przyrzeka, że roześlę portrety pamięciowe Szczurołapa do wszystkich stowarzyszeń iluzjonistów, agencji angażujących artystów na targi i tak dalej. Ale po sposobie, w jaki ze mną rozmawia, wyczuwam, że albo nie jest przekonana o doniosłości mojego odkrycia, albo też moja sprawa spadła na koniec listy jej priorytetów.

- Ciekawe, dlaczego odnoszę wrażenie, że oprócz rutynowych czynności nie zrobisz nic więcej? - mówię.

- Daj spokój, Alex, to nie fair. Oczywiście, że poczynię wszystkie konieczne kroki, ale... - wzdycha - nie bardzo wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. A czego ty ode mnie oczekujesz?

- Żebyś wykazała choć trochę entuzjazmu. Kolejne westchnienie.

- Słuchaj, mam na głowie sprawę rodziny z Severna Park... poczwórne morderstwo. W Vegas pewnie o tym nie pisali, ale tutaj to głośna rzecz. Zabito ich, kiedy spali we własnych łóżkach. Naprawdę mam z tym urwanie głowy.

Tym razem to ja wzdycham.

- To... straszne. Bardzo mi przykro.

- Posłuchaj mnie, Alex. Zajmę się tym pod kątem tej całej magii. Naprawdę. Obiecuje, że zrobię

co w mojej mocy.

Obdzwaniam ludzi, z którymi rozmawiałem wcześniej - Tammy Yagodę, Ezme, Rigginsa z Niebieskiej Papugi. Może coś im się jeszcze przypomniało? Nie.

Dzwonię do Pabla Moreno i wyjaśniam, dlaczego interesuję się zabójstwem sióstr Gabler. Tłumaczę, że moim zdaniem sprawcą jest iluzjonista. Moreno słucha, co mam do powiedzenia. Jest uprzejmy. Zajmie się tym. Być może znajdzie dla mnie czas w przyszłym tygodniu, bo teraz właśnie schodzi ze zmiany.

Aż w końcu... mam! Wygląda na to, że wpadłem na istotny trop, że dowiedziałem się o Szczurołapie czegoś bardzo ważnego, tyle że nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać.

Siedzę w kasynie, w kakofonii brzęku automatów do gry, rozmów, śmiechu. Coraz to nowe piękne, uśmiechnięte i skąpo odziane dziewczyny podają mi kolejne piwa. Przez jakąś godzinę krążę wokół stołu do gry w kości, obserwując grę Marie - wysokiej rudej kobiety. Gra tak beztróska i radośnie, że gdy zaczyna przegrywać, robi mi się przykro i przechodzę do automatów.

Po kilku nieudanych próbach zakotwiczam się przy Szczęśliwym Krasnoludku i szybko wpadam we właściwy rytm. Wsadź pieniądze, pociągnij wajchę, poczekaj, aż symbole ustawią się na swoim miejscu. Z dreszczykiem podniecenia patrzę, jak mały człowieczek w zielonym uniformie stuka obcasami, puszcza do mnie oko i przewraca się o swój dzban złota... po czym kaskady żetonów sypią się z głośnym brzękiem do rynienki mojego automatu.

Znów wrzucam forszę do szczeliny, ciągnę, patrzę na obracające się tarcze... I znowu. I jeszcze raz. I jeszcze.

Jeszcze jedno piwko? A czemu nie?

Proszę gracza przy sąsiednim automacie, żeby przypilnował mi miejsca, i zaglądam do bardzo dogodnie usytuowanego bankomatu.

Wkładasz pieniądze, ciągniesz. I znowu. I jeszcze raz. I jeszcze.

Kolejne piwo.

Czuję się napęczniały, więc przerzucam się na bardziej konkretny trunek - szkocką whisky.

Następna wyprawa do bankomatu. Wybieram do końca swój dzienny limit. Ile mi zostało? Dziewięćset dwadzieścia dolarów.

Dziewięćset dwadzieścia dolarów! Tłumaczę sobie, że to niewiele, że praktycznie jestem splukany, że powinienem wsadzić forszę do kieszeni i wyjść, skoro jestem pod kreską. Ale oczywiście nie słucham wewnętrznego głosu.

Wiem, że muszę być pijany, lecz wcale tego nie czuję. Z niebywałą, jak mi się zdaje, jasnością umysłu zaklinam wzrokiem krasnoludka, czekając na jego wesoły taniec, przesadne puszczenie oka, na uśmiech, którym obdarza dzban złota.

W pewnym momencie mam nawet trzy pełne kubelki żetonów, ale puszczam je dalej w obieg, walcząc ze zmęczeniem, z bólem w krzyżu, z wyrzutami sumienia. Działam jak robot, na okrągło wrzucając pieniądze do stalowej szczeliny automatu, aż w końcu zostaje mi ostatni żeton.

Teraz już nie chcę wygrać. Wydaje mi się ważne, wręcz konieczne, by się splukać do czysta. Kilka godzin wcześniej ubiłem interes z przeznaczeniem. Powiedzenie „kto ma szczęście w kartach, ten nie ma szczęścia w miłości” przerobiłem na inne: kto nie wygrywa przy zielonym stoliku, ten wygrywa w życiu.

Muszę przegrać te ostatnie ćwierć dolara, żeby uratować synów.

Wpychając żeton do zimnej metalowej szczeliny, mam wrażenie, że jest ciepły, niemal jak żywy.

Ciągnę za metalową wajchę i czekam, aż tarcze przestaną wirować. No i stało się - jedna, druga, a potem trzecia koniczynka ustawiają się w jednym rzędzie. Krasnoludek tańczy, puszcza oko i przewraca dzban złota. Na ekranie mruga napis: WYGRANA! WYGRANA! WYGRANA! Z automatu dobiega metaliczny dźwięk melodyjki *When Irish Eyes Are Smiling*. Wokół mnie zbiera się tłumek gapiów, patrzących, jak kaskada żetonów sypie się i sypie do rynienki automatu.

Uparłem się, żeby za wszelką cenę przegrać te pieniądze. Nie jest to wcale takie łatwe i nie mam pojęcia, jak długo to potrwa. Kasyna raczej nie afiszują się z zegarami, dzienne światło nie wyznacza graczowi rytmu dobowego. W końcu wrzucam ostatniego dolara w ryj wrednego wieprza, który macha do mnie ogonkiem, gdy na ekranie pokazuje się napis KONIEC GRY.

Mam potężnego kaca, czuję się słaby, wszystko mi pływa przed oczami. Wychodzę z Tropicany na niesamowity upał. Zachodzące słońce pali tak, że podczas jazdy na lotnisko McCarrana omal mnie nie zabija. Pogodna muzyczka z automatów do gry na lotnisku tak mnie irytuje, że puszczam się truchtem. Kiepski pomysł. Mam wrażenie, że w głębi czaszki coś mi się przelewa z boku na bok. Czuję złowróżbne strzykanie i bolesne klucie za gałkami ocznymi. Chowam się więc w jakimś spokojnym kącie i zmuszam do wypicia butelki wody.

Jak przystało na hulakę, łapię nocny lot, więc ląduję o świcie. Jazda do domu działa na mnie kojąco - znajome pomniki, znana na pamięć trasa. Po pobycie na pustyni wspaniałe kwiaty, zielone drzewa i trawa sprawiają wrażenie, jakbym był w bujnej dżungli. Na rzece mewy suną po gładkiej wodzie.

Za progiem wita mnie zatęchły zapach, charakterystyczny dla domów, w których od jakiegoś czasu nikt nie mieszkał. Po powrocie z wakacji Liz zwykle zapalała świece. Zastanawiam się, czyby do niej nie zadzwonić, ale właściwie co miałbym jej powiedzieć? Teraz, w domu, związek między sprawami sióstr Gabler, dzieci Sandling i naszych chłopców nie wydaje się już tak oczywisty.

„Zamordowane bliźniaki”. Przez kilka godzin buszuję w Internecie i sprawdzam, co też pokażą mi różne wyszukiwarki. Poruszam się jednak po już wydeptanych ścieżkach - nie pojawia się nic nowego.

Pomijając zabójstwo sióstr Gabler, jedynym przypadkiem zamordowania bliźniaków jest sprawa z południowej Kalifornii. Pamiętam ją z moich pierwszych poszukiwań w Internecie - dzieci Ramirezów, Wilson i Julio. Mimo że ofiarami były siedmioletnie bliźniaki, nigdy się tym specjalnie nie interesowałem. Sprawca nie żył.

Przypominam sobie jednak radę Shofflera, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków. A także słowa Holly'ego Goldsteina, który tłumaczył mi, że pewne fakty czy domysły nigdy nie trafiają do raportów policyjnych, a co dopiero do mediów. Choćby takie, jak przecucie Barry'ego Chiswortha, że Clare Gabler przecięto piłą elektryczną.

A zatem kto wie, czy w sprawie Ramirezów nie było współnika... podejrzanego, którego nazwisko nigdy nie zostało ujawnione. Może policja nie miała dostatecznych materiałów, żeby go oskarżyć, a teraz ten facet powrócił?

Początkowo nie wygląda to obiecująco. Zabójcą był niejaki Charley Vermillion. Według policji dwa tygodnie przed zniknięciem dzieci Ramirezów zwolniono go z Zakładu Medycyny Sądowej w Port Sulfur. „Zakład Medycyny Sądowej” nic mi nie mówi, ale słowo „zwolniono” sugeruje, że Vermillion nie przebywał tam z własnej woli.

Sprawdzam w Internecie. Okazuje się, że ów Zakład Medycyny Sądowej jest zamkniętym szpitalem psychiatrycznym dla chorych umysłowo przestępców. Port Sulfur leży w Luizjanie.

Artykuł w „Times Picayune”, który znalazłem dzięki Google, podaje, że na trop Vermilliona naprowadził policję anonimowy informator. Według tej samej gazety, złapano go ze zwłokami dzieci w jakiejś ruderze koło Big Sur. Jedno ciało było w lodówce. Chłopcu najpierw zadano dziesiątki ran klutych, a następnie poćwiartowano go i starannie spakowano szczątki do plastikowych toreb. Wyglądało na to, że Vermillion gotował i zjadał części zwłok. Drugiego chłopca, również martwego, znaleziono powieszzonego za nogi, głową w dół, w studni o głębokości pięćdziesięciu stóp.

Vermillion popełnił samobójstwo w wozie policyjnym, podczas przewożenia do aresztu, połykając kapsułkę z cyjankiem potasu, którą miał przyklepioną pod kołnierzykiem koszuli. Trudno o bardziej definitywne zamknięcie sprawy.

Dziewięć minut później rozmawiam z Harveyem Morrisem, detektywem z Big Sur, który prowadził to śledztwo.

- Niewiele mieliśmy do roboty - mówi Morris. - Dostaliśmy cynk, więc pojechaliśmy na miejsce wskazane przez informatora. A tam już czekał stary Charlie, z lodówką wyładowaną poćwiartowanymi zwłokami. Poddał się bez oporu, tylko coś gadał od rzeczy, że chce do domu. Wsadziliśmy go do wozu, zabezpieczyliśmy teren i już mamy jechać na posterunek, aż tu nagle ten drań zaczyna wydawać dziwne dźwięki, jakby się dusił. Pomyślałem, że ma atak serca czy coś w tym guście. Zrobił się czerwony na pysku, czerwony jak burak. Dostał drgawek. Wezwaliśmy karetkę, zaczęliśmy go reanimować, ale... odwalił kite.

- Kiedy się zorientowaliście, że się otrul?

- Dopiero następnego dnia. Wie pan, myśmy nie widzieli, że łyka jakąś pigułkę. Myślałem, że to wylew, udar... nie znam się na tym. Ale łapiduch podejrzewał cyjanek i sekcja zwłok potwierdziła, że miał rację. A poza tym sukinsyn był nawalony valium. Nic dziwnego, że nie stawiał oporu. W laboratorium znaleźli ślady taśmy klejącej na spodzie kołnierzyka jego koszuli. Rozumie pan, facet był przygotowany, żeby przenieść się na tamten świat.

- Hm...

- Dla przyzwoitości człowiek próbuje sobie wmawiać, że to straszne, że taki facet sam się zabił. Niech mnie pan źle nie zrozumie... dla mnie to faktycznie było straszne, bo stało się na mojej zmianie. Wszczęli śledztwo, zostałem zawieszony, musiałem przejść przez całe to gówno. Ale wiesz pan, jakie jest moje zdanie? Otóż ja uważam, że Charley w życiu nie zrobił nic lepszego.

- Wobec tego co...

Ale Morris jeszcze nie skończył.

- To był psychol, zgodzi się pan? Władze stanowe nie chciały go wypuścić z wariatkowa, ale jakiś skubany dobroczyńca ludzkości nie dał im wyboru. Powiedzmy, że gość stanąłby tu przed sądem. I co?

- Obrońcy wnosiliby o niepoczytalność.

- Ano właśnie. I znów wsadziliby go do wariatkowa, tyle że tym razem u nas. Czy to by usatysfakcjonowało państwa Ramirezów? Mocno wątpię. Ten facet zjadał ich synów! A jednego dźgał dziesiątki razy przed poćwiartowaniem. Potem... no, wie pan, poskładali go do kupy, te wszystkie części ciała. Wyszło na to, że biedny dzieciak był cały pociachany długim ostrzem, mówię panu, od stóp do głów, z boku na bok, na wszelkie możliwe sposoby. Wyglądał jak poduszka do szpilek. - Prycha z niesmakiem. - I co, stawiamy Vermilliona przed sądem, a mamusię i tatusia sadzamy na sali, żeby posłuchali sobie tego całego gówna?

Kiedy przerywa, słyszę, jak głęboko nabiera powietrza, niemal wzdycha.

- Wkurzyłem się, bo sugerowali, że mogłem temu zapobiec - ciągnie. - Chryste Panie, facet był w kajdankach, sięgnął po tę kapsułkę ustami. Przeszukując faceta, nie zaglądasz mu pod kołnierz koszuli, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma pigułki z cyjankiem, rozumie pan?

. - Na komisariacie pewnie byście ją znaleźli.

- Racja. Tam pewnie byśmy ją znaleźli, bo musiałby się przebrać w więzienne łachy. - Przerywa na chwilę. - Więc o co chciał mnie pan spytać?

- Jaka była przyczyna śmierci?

- Formalnie rzecz biorąc, zatrzymanie akcji serca.

- Chodzi mi o dzieci.

- A, z nimi sprawa jest prosta. Ten, którego znaleźliśmy w lodówce, zmarł na skutek upływu krwi. Wie pan, po tych wszystkich dźgnięciach. Jak to się fachowo nazywa...?

- Wykrwawienie.

- O właśnie. Wykrwawił się na śmierć.

- A drugi chłopiec? Ten, którego znaleźliście w studni?

- W sumie wyszło na to, że facet trzymał go w tej studni, żeby go zakonserwować. Zupełnie jak tuszę wołową. W studni było zimno, a w lodówce Yermillion nie miał więcej miejsca.

- Czy chłopiec nie żył?

- Jasne, że nie. Od kilku dni. Ale moim zdaniem nie cierpiał. Został zastrzelony. Jedna kulka w tył głowy. Kaliber trzydzieści osiem.

Dokładnie tak samo zginęła jedna z sióstr Gabler!

Jedna została poćwiartowana, druga dostała kulkę w głowę.

- A co z tym cynkiem? Tym, który doprowadził was do domku Vermilliona? Nie sprawdzaliście tego tropu?

- Sprawdzaliśmy, a jakże. Próbowaliśmy namierzyć gościa, ale wie pan... Vermillion dopiero co wyszedł z pudła i poruszał się po nieznanym terenie. Nie miał przyjaciół czy znajomych, których można by przesłuchać. Uznaliśmy, że zadzwonił jakiś włóczęga. Albo ktoś, kto go zabrał na łebka.

- Pewnie tak - bąkam i dziękuję Morrisowi, który odpowiada, żebym w razie czego dzwonił do niego „o każdej porze”.

Ale Morris się myli. Myli się jak cholera.

Ten, kto zabił małych Ramirezów, zamordował także siostry Gabler... i nie zrobił tego Charley Vermillion. Z tego prostego powodu, że w chwili zabójstwa bliźniaczek Vermillion już nie żył.

A zatem człowiek, który zabił dzieci Ramirezów, to ten sam potwór, który porwał dzieci Sandling. I uprowadził moich synów.

..Anonimowy informator”... Gówna prawda!

## **Rozdział 28**

Jedno jest pewne - nie mogę ot tak, wejść do Zakładu Medycyny Sądowej w Port Sulfur. Jeśli zjawię się tam i jakby nigdy nic zacznę wypytywać o „Kanibala” Charleya Vermilliona, wywalą mnie na zbity pysk.

Kiedy zakład psychiatryczny zwalnia chorego umysłowo przestępcę, który następnie zarzyna dwójkę dzieci, to nawet jeśli ściśle trzymano się przepisów, wyciągane są konsekwencje. I rzeczywiście, jak wyczytałem w artykule z „Times Picayune”, poleciało kilka głów. Ale facet na samym szczycie - Peyton Anderton - utrzymał się na stołku. Tyle że po sądach wciąż krąży wniesiony przez Ramirezów pozew przeciwko szpitalowi o odszkodowanie w wysokości dziesięciu milionów

dolarów, co praktycznie gwarantuje, że nikt nie piśnie na ten temat ani słowa. O tej sprawie z pewnością nikt z nikim nie rozmawia. Pobiegawszy w parku Rock Creek, postanawiam zadzwonić do Andertona. Powiem mu, że pracuję dla programu *Countdown* nad reportażem, który chętnie obejrzałby w telewizji. Na przykład o tym, jak trudna i niebezpieczna jest jego praca. O tym, że zakłady psychiatryczne - nie tylko w Luizjanie, lecz w całym kraju - potrzebują większego dofinansowania. Lepszego sprzętu. Więcej personelu.

To mi powinno zapewnić wstęp na teren szpitala. Chyba że... facet skojarzy moje nazwisko.

A więc dzwonię do niego. Oczywiście pochlebia mu, że telewizja się nim zainteresowała. Jest wprawdzie trochę nieufny, ale...

- Nie będzie kamery? - pyta.

- Nie, pomyślałem, że na początek trochę sobie pogawędzimy - wyjaśniam. - Spróbujemy znaleźć taką formę wywiadu, żeby wszyscy byli zadowoleni. Na razie nieoficjalnie, a potem, jeśli się uda, to kręcimy! A jeśli nic z tego nie wyjdzie, trudno.

- Powiniennem pana uprzedzić, że gdyby miało dojść do rozmowy przed kamerą, musiałbym się dobrze zastanowić.

Uspokajam go. Schlebiam mu.

- Ma pan bardzo dobry głos ekranowy, ale na razie do nagrania jeszcze daleko.

- To dobrze, bo musiałbym uzyskać zgodę przełożonych, wie pan, jak to jest.

Nie odpowiadam.

Słyszę, jak po drugiej stronie słuchawki obracają się tryby w głowie. W końcu Anderton odzywa się:

- Zdaje się, że mam wolne okienko w czwartek po południu. Mógłby pan wpaść tu o trzeciej?

- Żaden problem.

- Zawiadomię strażników na bramce.

Nowy Orlean, lotnisko imienia Louisa Armstronga. Podobnie jak wszystkie inne miasta w Stanach Zjednoczonych, także i Nowy Orlean się skomercjalizował - na T-shirtach i straganach z upominkami królują motywy związane z jazzem, yoodoo i Mardi Gras. Związek z yoodoo (dziesięciocentówki) świadczy o tym, że chyba jestem na właściwym tropie. Jeśli tylko uda mi się skłonić Peytona Andertona, żeby opowiedział mi o Vermillionie...

Przyjaźnie nastawiona kobieta w wypożyczalni samochodów Alamo pyta mnie, dokąd się wybieram i czy nie potrzebuję wskazówek?

- Do Port Sulfur.

- A gdzie to jest?

- W gminie Plaquemines. - Słowo „Plaquemines” wymawiam jak „Plakimajns”.

- Plak-a-min - prostuje kobieta. - Z akcentem na „a”, no i „s” na końcu też sobie darujemy. - Zwraca mi prawo jazdy i kartę kredytową, wyciąga mapę i zaznacza trasę zielonym długopisem. - Niech pan przejedzie autostradą między-stanową numer dziesięć na drugą stronę rzeki, do szosy numer dwadzieścia trzy. Dotrze pan do Belle Chasse, a stamtąd prościutko na południe. Autostrada biegnie cały czas wzdłuż rzeki. - Składa mapę i podaje mi ją z uśmiechem. - A w ogóle po kiego licha pan tam jedzie? Ma pan tu całe miasto, krainę cajunów i co tylko chceć, a pan się wybiera do Plaquemines? - Przechyla głowę na bok. - Widać przyjechał pan w interesach, a nie dla przyjemności.

- W Plaquemines nie ma rozrywek?

- No chyba że łowi pan ryby. O nie, do Plaquemines nie jeździ się dla rozrywki. Tam mają tylko ropę naftową i ryby. I pomarańcze. No i trochę tam straszno.

- Straszno? To znaczy?

- Jakiś czas temu Plaquemines przysporzyło Luizjanie złej sławy... a to wcale nie takie łatwe, rozumie pan, co chcę powiedzieć? Nie sądzę, żeby od tej pory wiele się tam zmieniło. Weźmy mnie... jestem półkrwi czarna, a mimo to bym tam nie pojechała. O nie, wielkie dzięki.

- Dlaczego?

- Mówi coś panu nazwisko Leander Perez? Zaprzeczam ruchem głowy.

- Swego czasu rządził się tam... bo ja wiem? Jak dyktator, a tacy jak ja robili za niewolników. Wybory powszechne? Gdzie tam! Czarni nie mieli prawa głosu. Ba, mało który dostawał prawo jazdy. Tancbudy z szafami grającymi i linczowanie czarnych, to wszystko, co tam było. - Kręcąc głową, rzuca na ladę kluczyki do samochodu. - Siódmy rząd, stanowisko dwunaste.

Biorę kluczyki i już mam odejść, kiedy kobieta dorzuca:

- Pan jesteś jankes, a nie kolorowy, więc lepiej pan uważaj. Obiecuję, że będę ostrożny.

- I niech pan pamięta, żeby zapinać pasy. W Plaquemines za brak pasów trafi pan do pułta.

Godzinę później skręcam w Belle Chasse. Nie widzę nic strasznego, co najwyżej zbyt wiele radiowozów, to jednak wydaje mi się... nudne.

Tereny budowlane ustępują gajom pomarańczowym, a potem znowu to samo. Dookoła tylko dziesięcioakrowe parcele, tablice z napisem NA SPRZEDAŻ i wznoszone co krok wielkie restauracje z hamburgerami sieci McMansions.

Nagle budowlane szaleństwo się kończy, teraz jadę nową czteropasmową autostradą przez dziki krajobraz. Co pewien czas mijam farmę bydła, czasami jakąś miejscinę, i to wszystko.

Tutejsze nazwy są atrakcją samą w sobie - Concession, Live Oak, Jesuit Bend, Myrtle Grove...

Widoki są nieszczególne. To, co jest za rzeką, całkiem zasłania grobla, a teren od strony zatoki - o ile mogę się zorientować - jest zupełnie płaski. Wiem, że są tam platformy wiertnicze oraz wielki port dla statków o dużym zanurzeniu, widzę jednak tylko niskie drzewa, jakieś trzciny i od czasu do czasu samotny domek. W przewodniku wyczytałem, że kilka lat temu przeszły tamtędy silne huragany, które zmiotły większość starych domów.

West Point a La Hache, Diamond, Happy Jack, Magnolia...

W końcu docieram na miejsce, do Port Sulfur. Z przewodnika wiem, że nazwa miasteczka wzięła się od kopalni siarki na słonych bagnach.

W centrum miasteczka stoi stacja benzynowa ze sklepem. Po drugiej stronie ulicy mieści się liceum Port Sulfur (siedziba drużyny Mighty Broncos), a także biblioteka, biuro szeryfa oraz wydział obsługi ludności. Połowa z tych przybytków gnieździ się w przyczepach kempingowych.

Mijam stację benzynową i kierując się wskazówkami Ander-tona, milę za miastem skręcam w prawo, na szosę stanową numer 561. Przejechawszy nią dwie i siedem dziesiątych mili, tak jak mi polecił, widzę małą tablicę Zakładu Medycyny Sądowej w Port Sulfur i skręcam w długi podjazd. Dostrzegam szpital - brzydki prostokątny budynek z żółtej cegły - przed którym stoi piękny stary dom w stylu kolonialnym, z białymi kolumnami i werandą, otoczony wspaniałymi wielkimi dębami. Oba budynki ogrodzone są drutem kolczastym.

Szyby w wartowni są zaparowane. Siedzący w niej facet niechętnie odsuwa okienko i pyta, w jakiej sprawie przyjeżdżam. Przedstawiam się, a on z powrotem zasuwa szybę. Przegląda wykaz nazwisk, znajduje to, czego szukał, i mozolnie wypełnia dwie pomarańczowe przepustki dla



odwiedzających. Znowu odsuwa szybkę i podaje mi je.

- Jedną niech pan sobie przypnie do koszuli, a drugą zostawi w samochodzie za szybą - tłumaczy.

- Obie trzeba zwrócić przy wyjeździe.

Podnosi szlaban i chroni się w komfortowej klimatyzowanej budce.

Czytałem życiorys doktora Peytona Andertona, więc wiem, że ma czterdzieści trzy lata. Ale z okrągłą dziecięcą buzią i różową skórą wygląda jak chłopiec, który próbuje udawać mężczyznę. Nawet jego wąsy sprawiają wrażenie sztucznych i nie mam wątpliwości, że zapuścił je, chcąc wyglądać na starszego. Ma na sobie lekki garnitur z marszczonego materiału, a na twarzy promienny uśmiech.

- Panie Callahan! - wita mnie, z entuzjazmem potrząsając moją ręką. - Miło, że nas pan znalazł. -

Czuję dolatujący od niego zapach wody kolońskiej.

Pokój jest olbrzymi; do tej pory zachował urok innej epoki i innego zastosowania. Wysoki sufit, przestronne okna, bogate sztukaterie. Na suficie obraca się wentylator. Za biurkiem Andertona wisi kilka ozdobnych starych map Luizjany, a pod ścianami stoją piękne, przeszklone drewniane gabloty.

- Trzymamy w nich niektóre dzieła sztuki wykonane przez naszych pacjentów - wyjaśnia Anderton, idąc za moim wzrokiem. - Mamy tu parę utalentowanych osób.

Siadamy w fotelach i popijając mrożoną herbatę, rozmawiamy o wyzwaniach, z jakimi zmagają się personel (jak on to określa) „zakładu”.

- Ja akurat nie mam co narzekać - wyznaje Anderton po dobrym kwadransie bicia piany. -

Większość czasu spędzam tutaj, w budynku administracji, a jak pan widzi, jest tu całkiem przyjemnie.

- Jest pięknie. Uśmiecha się z dumą.

- Większość ludzi się dziwi - mówi. - Ale główny budynek to całkiem inna sprawa. Wygląda dokładnie tak, jak powinno wyglądać skrzyżowanie szpitala z więzieniem. Oczywiście, przede wszystkim chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa pacjentom i personelowi, a to nie wpływa korzystnie na atmosferę.

- A sama praca... czy daje panu satysfakcję?

Wysuwa podbródek, kiwa głową ze smutkiem i spogląda na mnie ze szczerością, która także sprawia wrażenie wyćwiczonej.

- Nie powiedziałbym - odpowiada z westchnieniem. - Większość naszych pacjentów można podzielić na dwie kategorie. Wielu z nich skierowano tu na badania, żebyśmy ocenili, czy mogą stanąć przed sądem. Pozostali to niepoczytalni niewinni.

Widząc malujące się na mojej twarzy zaskoczenie, Anderton wyjaśnia:

- Przestępcy „uniewinnieni z powodu choroby psychicznej”. Uniewinnieni, rozumie pan? To znaczy, że ci pacjenci przebywają tutaj na kuracji, a nie za karę. I faktycznie ich kurujemy. Niestety, niewielu udaje się wyleczyć.

- Bo...?

- Bo ich schorzenia przeważnie mają charakter chroniczny... jak cukrzyca. Możemy powstrzymać jej skutki za pomocą insuliny i odpowiedniej diety, ale nie da się jej wyleczyć raz na zawsze. Dokładnie tak samo jest ze schizofrenią albo z rozdwojeniem jaźni. Właśnie dlatego ta praca przysparza tyle frustracji.

- Aha.

- Dopóki pacjenci są pod nadzorem i przyjmują lekarstwa, nie stanowią zagrożenia ani dla siebie, ani dla otoczenia. Ale kiedy ich wypuszczamy... a prędzej czy później wielu z nich musimy

wypuścić... tracimy wszelką kontrolę nad nimi i ich dalszą kuracją.

- Czy nie jest to coś w rodzaju... zwolnienia warunkowego?

- Owszem, można obwarować zwolnienie pewnymi warunkami. Na przykład ustalić okres przymusowej kontynuacji terapii po wyjściu na zewnątrz. Ale tutaj wkraczamy w szarą strefę. Ci ludzie nie przebywają na zwolnieniu warunkowym w takim sensie jak zwyczajni przestępcy. Jeśli przestają się pojawiać na sesjach terapeutycznych, jeśli przestają brać leki... no cóż, nasze możliwości zastosowania przymusu są bardzo ograniczone.

- Mówiąc, że „musicie” ich wypuścić, ma pan na myśli... Anderton kręci głową.

- W tym wypadku również mamy ograniczone możliwości. Dużą rolę odgrywa przepelnienie. Kiedy liczba pacjentów osiąga pewien pułap, przesuwamy niektórych na poziom bardziej uprzywilejowany, po prostu dlatego, że nie mamy personelu, by zapewnić im pobyt w bardziej restrykcyjnych warunkach.

- Poziom uprzywilejowany?

- W większości takich zakładów działa to w ten sam sposób. Czy pacjent może ćwiczyć bez nadzoru? Bez meldowania się? Czy może spożywać posiłki w ogólnej jadalni, czy też musi pozostawać w swoim pokoju? Czy można puścić go samego pod prysznic? Gdybyśmy nie stosowali systemu nagród, nie udałoby nam się wymusić dobrego sprawowania.

- A największą nagrodą jest zwolnienie?

- Otóż to. Poza tym mamy obowiązek ich zwalniać. Sądy jasno stawiają sprawę... nie możemy przetrzymywać pacjenta, jeżeli nie dysponujemy jednoznacznymi i niezbitymi dowodami, że stanowi on zagrożenie dla siebie albo dla innych. Taki człowiek może być aspołeczny i zdolny do popełnienia Bóg wie czego, ale jeśli nie jest wariatem, dostaje bilet na autobus. Dlatego że nawet ostatni sukinsyn ma prawo przebywać na wolności. - Przerywa, a po chwili dodaje: - Sprawa Foucha kontra stan Luizjana.

Uśmiecham się zachęcająco i zapisuję numer sprawy, który mi podał, jednocześnie zastanawiając się, w jaki sposób nawiązać do Kanibala Charleya. Boję się, że palnę gafę, po której nasza rozmowa gwałtownie się zakończy. Ale Anderton rozgadał się na dobre.

- Rozumie pan, na czym polega problem - ciągnie, na chylając się do mnie konfidencjonalnie. - Ci ludzie tutaj, podobnie jak więźniowie, nie mają do roboty nic lepszego, niż pisać skargi. Wynajmują jakiegoś naiwnego jak dziecko adwokację z mlekiem pod nosem, żeby w ich imieniu wystąpił o zwolnienie na tej podstawie, że pogwałcono ich prawa konstytucyjne. Wtedy zbiera się komisja. Jej członkowie nie chcą faceta wypuścić... wszyscy wiedzą, że dupek natychmiast wpakuje się w kłopoty. Ale co z tego? Nieważne, że jesteśmy przeciwni, nieważne, że jest to sprzeczne z naszą opinią... sądów nie interesują wynikające z praktyki domysły. Więc przeważnie musimy gościa zwolnić. Nie mamy wyboru.

Postanawiam wypuścić próbny balon.

- To tak jak z tym facetem parę lat temu - mówię. - Jakże on się nazywał...?

Anderton wybuchu śmiechem.

- Z którym? Mówiłem panu, u nas to się zdarza co miesiąc.

- Z tym, który zabił te dzieci na Zachodnim Wybrzeżu. Anderton osuwa się w fotelu i zwiesza głowę.

- Charley Vermillion - mówi ze znużeniem w głosie. - Widzi pan? Choćbyśmy z każdego pacjenta zrobili laureata Nagrody Nobla, i tak zawsze będą nam wytykać Charleya Vermilliona. To idealny

przykład tego, o czym mówię.

- To znaczy?

- Charley Vermillion cierpiał na chroniczne i raczej nieuleczalne rozdwojenie jaźni. Był pedofilem ze skłonnościami do zadawania bólu. Dlatego stwarzał zagrożenie dla społeczeństwa, bez dwóch zdań. Tylko że tutaj, w warunkach szpitalnej izolacji i przy odpowiedniej kuracji farmakologicznej był... wzorowym pacjentem.

- Wobec tego uważaliście, że można mu zaufać?

- Na terenie zakładu? Oczywiście, że tak. Cieszył się wszelkimi przywilejami. Naturalnie - dodaje Anderton z chichotem - nie mamy tu biegających samopas dzieci.

Ja też pozwalam sobie na lekki śmiech.

- Więc jak to się stało, że do was trafił? Anderton marszczy brwi, próbując sobie przypomnieć.

- Zaatakował dziecko. Zdaje się, że w publicznej toalecie. Jeśli dobrze pamiętam, interweniował ojciec chłopca i Charley nieźle go pochlastał.

- Pochlastał?

- Nożem do otwierania ostryg. To było jego narzędzie pracy. Łuskał ostrygi w Dzielnicy Francuskiej.

- I został uniewinniony?

- Psychoza narkotyczna.

- Czyli że się wywinął?

- Hm... spędził pod tym adresem dziewiętnaście lat, więc nie powiedziałbym, że „się wywinął”. Rzecz w tym, że nie mieliśmy wyboru. Charley Vermillion był znerwicowany i bez lekarstw niebezpieczny. Ale kiedy opuszczał nasze progi, doskonale odróżniał dobro od zła.

Teoretycznie trzymało się to kupy, gdyby nie jedna rzecz.

- I dojście do tego wniosku zabrało wam... dziewiętnaście lat?

Anderton wzrusza ramionami.

- Wystąpił o zwolnienie.

- I czekał z tym dziewiętnaście lat?

- Gdzie tam. Ktoś go do tego namówił. Prawdopodobnie inny pacjent.

- Domyśla się pan kto?

Anderton marszczy brwi i w jednej chwili ma się na baczności. Trąciłem złą strunę. Pytanie było zbyt konkretne.

- Przykro mi, ale nie mam prawa rozmawiać o indywidualnych przypadkach - odpowiada sztywno.

- Oczywiście, że nie, przepraszam. Rozumiem pana. Tylko że to wyjątkowo drastyczny przykład tego, do czego może dojść...

- Obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Nie potrafię powstrzymać języka.

- Zgadza się, ale w tym wypadku... przecież Vermillion nie żyje.

Błąd. Natychmiast żałuję, że się z tym wyrwałem. Próbuję zmienić temat, wpytuję lekarza o jego praktykę zawodową, doktorat, wcześniejsze miejsce pracy. Podlizuję mu się, usiłując nawiązać kumpłowskie stosunki, jak na początku spotkania, jednak Anderton cały czas ma się na baczności.

Usilnie namawiam go, żeby zdecydował się wystąpić przed kamerą. To mu nieco poprawia humor, lecz od razu przypomina mi, że musiałby to omówić z „władzami”.

- No i obawiam się, że moje opinie musiałyby się ograniczyć do ogólnych uwag na temat

hipotetycznych przypadków.

Uspokajam go, że to żaden problem, i mówię, że przez kilka dni i tak będę jeszcze w okolicy, więc może dałby się zaprosić na obiad, moglibyśmy znowu pogadać.

Kolejny błąd, o czym świadczy jego mowa ciała. Lekarz splata ramiona, jakby chciał się objąć, a jego usta prostują się w wąską kreskę.

- Zostaje pan tu jeszcze na kilka dni? Najbliższy hotel jest w Empire, a nie sądzę, żeby się panu spodobał.

- Zatrzymam się w Nowym Orleanie. Stamtąd mam dobry dojazd.

- Zobaczymy - mówi Anderton. Wstaje i spogląda na zegarek, dając znak, że rozmowa dobiegła końca.

Ja także wstaję, przekonany, że cały ten wywiad to jeden wielki niewypał, i zastanawiam się, co dalej. Chyba powinienem zadzwonić do Ramirezów. Skoro wystąpili z pozwem, może jednak czegoś się dowiedzieli? Poza tym jest jeszcze adwokat, który w imieniu Vermilliona wystąpił o zwolnienie. Wniosek powinien być w publicznie dostępnych aktach. Mogłbym sprawdzić nazwisko tego prawnika, odszukać go i zapytać, dlaczego zajął się sprawą Vermilliona.

Walkuję to w głowie, idąc za Andertonem do drzwi. Nagle w jednej z gablot przy ścianie zauważam coś, od czego włosy jeżą mi się na karku.

W gablocie wystawione jest rękodzieło i przedmioty artystyczne, wykonane przez pacjentów w ramach terapii. Są tam małe rzeźby, przykłady tkactwa i garncarstwa, rysunki, kompozycje z paciorków, a wszystkie zaopatrzone w daty, sięgające wstecz aż do lat trzydziestych. Pośród tych rzeczy znajduje się też kolekcja origami - cała menażeria olśniewających małych figurek. Nosorożec, słoń, lew... i bliźniacza kopia królika, którego znalazłem na szafce Seana.

W mgnieniu oka stoję przed gablotą i przyciskam palce do szyby. Przed figurkami widzę mały namiocik z grubego papieru, niczym daszek z nazwiskiem gościa przy stole.

1995

Nie mogę wydusić słowa. Serce wali mi w piersi jak młot. W końcu słyszę własny głos:

- Kto wykonał te figurki origami? Vermillion?

- Ależ nie! Mój Boże, Charley nie interesował się sztuką. Ani trochę. Tego typu prace daleko przekraczały jego możliwości. - Anderton waha się, w jego głosie słychać podejrzliwość. - Dlaczego pan pyta?

Nie mogę oderwać wzroku od królika. I nie bardzo wiem, jak się zachować. Anderton schował się za swą biurokratyczną zbroją. Czy uzyskam coś, jeżeli zdradzę mu prawdę? Czy wyjawি mi nazwisko pacjenta, który złożył tego królika?

- Doktorze Anderton, muszę się panu do czegoś przyznać... Trzydzieści sekund później wiem, że to był błąd. Andertona nie interesuje, co mam mu do powiedzenia, jest wściekły, że go oszukałem, i zirytowany, że kręcenie programu telewizyjnego było tylko kością, na którą dał się złapać. Błagam go, żeby mi podał nazwisko pacjenta, który stworzył tę menażerię origami. Tłumaczę, że takiego samego królika znalazłem na szafce syna. Przedstawiam mu swoją teorię, że to nie Charley Vermillion zabił dzieci Ramirezów, że prawdziwym mordercą jest twórca tego królika.

Lekarz kręci głową.

- Moim zdaniem ta teoria nie trzyma się kupy - oświadcza. - Te całe tancerki, i w ogóle... Nie rozumiem, jak pan się w tym wszystkim doszukał jakiegoś związku.

Mówię mu, że jeśli moi chłopcy zginą, to według mnie on będzie winny ich śmierci.

Jednak Anderton jest nieugięty. Powołuje się na „nietykalność” dokumentacji lekarskiej, twierdzi, że tajemnica lekarska to „święte przymierze” zawarte z pacjentem.

- Niech mi pan chociaż powie jedno - błagam go. - Kimkolwiek jest ten człowiek, już go u was nie ma, prawda? Jak długo tu przebywał? Kiedy został zwolniony?

- To trzy pytania. Nie odpowiadam.

Anderton przyciska palec do brody i gapi się w przestrzeń, jak gdyby szukał pretekstu, żeby mi odmówić. W końcu albo nie znajduje żadnego powodu, albo ma chwilowy przyływ współczucia.

- Nie - odpowiada. - Pacjenta, o którym mowa, już tu nie ma. Przyjęto go w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim, zwolniono w dziewięćdziesiątym szóstym.

- A co on zrobił? Dlaczego tu trafił? Jak się nazywa? Doktorze, tu chodzi o życie moich synów! Bardzo pana proszę.

Peyton Anderton ze smutkiem zwiesza głowę.

- Bardzo mi przykro, panie Callahan.

Mam ochotę cisnąć nim o gabloty, znokautować go i przetrząsnąć cały gabinet. Biorę się jednak w garść.

- Dziękuję za pomoc - rzucam na odchodne i wychodzę za drzwi. W korytarzu czekają dwaj olbrzymi strażnicy i uświadamiam sobie, że w pewnym momencie Anderton wezwał pomoc. Widocznie uruchomił jakiś niesłyszalny alarm.

- Niech pan zrozumie, że naprawdę chętnie bym panu pomógł. - Anderton idzie za mną, a w jego głosie pobrzmiwa nuta „ale mam związane ręce”.

Schodzę po schodkach i otwieram wielkie drzwi wyjściowe.

## **Rozdział 29**

W małej bibliotece w Port Sulrur czekam dwadzieścia minut, by dorwać się do jednego z trzech komputerów, okupowanych przez dzieciaki sprawdzające swoją pocztę elektroniczną. Próbuje zagadywać kobietę za ladą, ale ona nie ma ochoty na pogaduszki. Pytam więc, czy pamięta sprawę, w którą zamieszany był Charley Vermillion.

- Nie - odpowiada.

Drażę temat, tłumacząc, że on był pacjentem tutejszego zakładu dla umysłowo chorych.

- Nie - powtarza kobieta i wraca do lektury czasopisma.

Gdy wreszcie jednemu z dzieciaków kończy się czas, korzystam z przysługujących mi dwudziestu minut, by zarezerwować sobie tani pokój w Crescent City Omni. Potem wysyłam e-mail do Muriel Petrich, z prośbą, by przysłała mi do hotelu fotografie królika origami albo zeskanowała je i wysłała pocztą elektroniczną. W ciągu kilku minut przed zamknięciem biblioteki odbijam na ksero spis adwokatów z książki telefonicznej Plaquemines oraz ustaliam, że władze gminy mają siedzibę w Pointe a La Hache.

Czyli po drugiej stronie rzeki. Tam właśnie mieści się sąd, więc tam też prawdopodobnie złożono wniosek o zwolnienie Charleya Vermilliona. Gdy pytam jednego z chłopaków czekających na książkę telefoniczną, jak dostać się do Pointe a La Hache, wyjaśnia mi, że co pół godziny na drugą stronę rzeki kursuje darmowy prom. Mogę go złapać kilka mil na północ od biblioteki. Mam się rozglądać za drogowskazami.

Siedząc w samochodzie, z telefonem komórkowym w ręku, przeglądam listę adwokatów. Być może wybór prawnika z książki telefonicznej nie jest najlepszym pomysłem, ale nie mam wyboru. Obdzwaniam trzech z nich, aż w końcu trafiam na kancelarię Hawes, Halliday i Flood. Lester Flood

może mnie przyjąć o piętnastej czterdzieści pięć w swoim gabinecie w Belle Chasse. Zamierzam bowiem wystąpić do sądu z wnioskiem o odtajnienie tożsamości pacjenta, który wykonał figurkę królika z gabloty Peytona Andertona.

Ruszam na północ, by złapać prom, lecz kiedy docieram na przystań, uświadamiam sobie, że przeprawa na drugą stronę rzeki nie ma dziś sensu. Jest za późno, sąd będzie zamknięty. Wracam więc do Nowego Orleanu i melduję się w hotelu Omni.

Moje okna wychodzą na lotnisko, ale cena jest przyzwoita, a parking bezpłatny. Z pokoju dzwonię do Petrich. Nie liczę na to, że ją zastanę, ale chcę jej zostawić wiadomość, żeby poważnie potraktowała moją prośbę o fotografię królika. Okazuje się jednak, że policjantka siedzi w pracy po godzinach.

- Gdzie jesteś, Alex? Co się stało?

- W Nowym Orleanie.

- W Nowym Orleanie? Odkryłeś coś?

Sam nie wiem czemu, ale nie mam ochoty opowiadać jej o Vermillionie i króliku origami w gablocie. Przypominam sobie, jak Liz nie chciała nikomu mówić, że spodziewa się dziecka, dopóki nie minęły pierwsze trzy miesiące. Zupełnie jak gdyby ogłoszenie tej nowiny było kuszeniem losu i mogło zagrozić ciąży.

- Możliwe. Dam ci znać, jak będę wiedział coś więcej.

- Koniecznie. - Obiecuje, że przed wyjściem z pracy zeskanuje fotografię i wyśle mi ją e-mailem w formacie JPEG.

Z oszczędności w pobliskim kiosku z kanapkami zjadam gumbo, a potem wybieram się na spacer po Dzielnicy Francuskiej. W końcu ląduję na Bourbon Street. Na ulicy panuje tłok, w dusznym powietrzu unosi się odór wymiocin i whisky. Przystaję przed jakimś klubem - dolatująca z wnętrza muzyka jest tak wspaniała, że wchodzę do środka. A co mi tam! Jeden browarek.

Blues. Zgarbiony nad mikrofonem facet z przodu sceny wygląda jak wygięty instrument. „Och, serce dudni mi w piersi, a oczy zachodzą łzami” - lamentuje.

Zdawałoby się, że to muzyka w sam raz dla mnie, że doskonale będzie współgrała z moim cierpieniem, a jednak nie. Siedzę, popijając piwo, lecz nic z tego nie wynika. Nie mogę się wczuć w muzykę. Nawet piwo mi nie smakuje. Niecałe dziesięć minut później wychodzę.

Po powrocie do hotelu długo przewracam się na łóżku, a kiedy wreszcie zasypiam, śni mi się, że wszystko, czego się dotknę, znika.

Rano pośpiesznie wypijam darmową kawę w hotelowym holu, podłączam laptopa do prądu i wchodzę do sieci, korzystając ze skrzynki Liz na serwerze AOL. Jej hasło to data urodzin chłopców, 040197, i na chwilę zamieram w bezruchu. Próbuję łączyć się z AOL pod pięcioma numerami kierunkowymi z okolic Nowego Orleanu, ale i tak połączenie z serwerem zajmuje mi prawie dwadzieścia minut.

Otwieram swoją skrzynkę na Yahoo! i stwierdzam, że Petrich jednak się odezwała. Wcisnęłam klawisz, by zapisać na dysku dołączone do wiadomości zdjęcie, i czekam, aż pojawi się na monitorze. U dołu ekranu rozwija się niebieski pasek i wreszcie jest! Nawet w postaci dwuwymiarowego obrazka królik robi niesamowite wrażenie. Nie myliłem się - jest identyczny z wystawionym w gablocie u Andertona. Królik na zdjęciu ma przywieszkę z pieczątką o treści: „Dowód rzeczowy, wydział policji hrabstwa Anne Arundel”. Poza tym widnieje tam podpis („sierż. David Ebinger”) i data („1 czerwca 2003”).

O dziewiątej, kiedy udostępniają (za opłatą) „salę konferencyjną” dla gości, drukuję kilka odbitek zdjęcia królika.

Jedną chcę dać prawnikowi, Lesterowi Floodowi, licząc na to, że będzie mógł wykorzystać ją jako dowód, dzięki któremu uzyska nakaz ujawnienia informacji przez szpital Port Sulfur.

Zbieram się już do wyjścia, gdy nagle postanawiam napisać do Judy Jones z FBI. Może oni będą mogli mi pomóc? Przez dwadzieścia minut stukam w klawisze, opisując, czego się dowiedziałem i jak w zakładzie dla obłąkanych w Luizjanie odkryłem królika identycznego z tym, którego znalazłem na szafce Seana.

Kończę pisać i czytam cały tekst. Nie jestem z niego zadowolony. Ja wiem, że łączenie zabójstwa dzieci Ramirezów z porwaniem moich synów (poprzez siostry Gabler i chłopców Sandling) ma solidne podstawy. Wiem, że „anonimowy informator” to lipa, że człowiek, któremu przypisano zamordowanie małych Ramirezów, wcale ich nie zabił. Wiem, że moich synów uprowadził człowiek, który jest autorem figurki królika w gablocie w szpitalu Port Sulfur. A jednak, chociaż starałem się spisać swoją relację jak najbardziej zwięźle i przejrzyście, na papierze wygląda to jakoś... nieprzekonująco.

Po poprawkach wysyłam ostateczną wersję, ze świadomością, że nic to nie da. Tancerki? Magia? Podważanie wersji podwójnego morderstwa, które zostało wyjaśnione ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych? Mały papierowy królik wydaje się zbyt kruchy, by unieść na swoich barkach takie brzemie.

W samochodzie rozkładam mapę. Gmina Plaquemines leży na półwyspie, przedzielonym rzeką Missisipi. Sąd w Pointę a La Hache mieści się na zachodnim brzegu. Tam właśnie zamierzam wybrać się w pierwszej kolejności, żeby odnaleźć podanie, dzięki któremu Charley Vermillion wyszedł na wolność. Miałem już do czynienia z szukaniem dokumentów sądowych. To nudna i czasochłonna robota. Może potrwać kilka dni. Ale przed spotkaniem z adwokatem będę miał kilka godzin, żeby tam poszperać.

Przewodnik potwierdza to, czego się dowiedziałem od dzieciaka w bibliotece w Port Sulfur - po rzece rzeczywiście kursują w obie strony różne promy. Wybieram ten, który płynie z Belle Chasse do Dalcour.

Z przewodnika dowiaduję się ponadto, że gmach sądu w Pointę a La Hache przetrwał liczne huragany i liczy sobie ponad sto lat. A niech mu będzie na zdrowie, byleby miał klimatyzację!

Do Belle Chasse docieram w niecałą godzinę. Mam szczęście - łapię prom pięć minut przed odpłynięciem. Wszystkie inne pojazdy na pokładzie to półciężarówki. Rzeka jest szeroka, wzburzona woda kipi od silnych prądów i wirów. Potężne silniki promu walczą z nurtem, pracowicie pchając prom na drugi brzeg.

Budynki po drugiej stronie rzeki wyglądają na starsze i bardziej wyrafinowane, ale poza tym jazda dokładnie przypomina wczorajszą. O obecności małych miasteczek świadczą głównie ograniczenia szybkości, ciągnące się na odcinku nieco ponad mili. Rzekę zasłania grobla. Poza tym widać gaje cytrusowe. I niewiele więcej.

Do Pointę a La Hache dojeżdżam w dwadzieścia cztery minuty. Odszukanie gmachu sądu nie nastęrcza trudności - swoim ogromem budynek bije na głowę wszystkie inne, jakie widziałem w Plaquemines. Tyle że pozostała z niego tylko wypalona w środku skorupa, otoczona żółtą taśmą policyjną, częściowo leżącą na ziemi, pośród zielska. Nad ruiną, niczym upiory, wznoszą się szkielety wysokich dębów; ich lepkie pnie i sękate konary są spalone na czarno.

Z boku stoi barakowóz z napisem: ROBOTY PUBLICZNE GMINY PLAQUEMINES. Stukanie do drzwi wywołuje na zewnątrz rumianego mężczyznę w sfatygowanym, żółtym pilśniowym kapeluszu.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, niczym przybysza z obcej planety.

- Czego?

- Co się stało z sądem?

Nie może powstrzymać złośliwego uśmiešku.

- Spalił się.

- Kiedy?

- Dwunastego stycznia dwa tysiące trzeciego.

- Szkoda. - Widok ruiny tego pięknego starego budynku działa na mnie przygnębiająco. Gdzie są teraz akta? Czy w ogóle przetrwały?

- Jeszcze jaka! - przytakuje facet w pilśniowym kapeluszu. - Chałupa stała tu ponad sto lat. Przetrzymała cholera wie ile huraganów. Ludzie mieli z niej pożytek. Ale Betsy spadła na nas z prędkością stu czterdziestu mil na godzinę, a na dodatek zalało nas pół rzeki. Wiesz pan, ilu się uratowało w tym sądzie, na samej górze? Przed zatopieniem, kapujesz pan? Sto lat i nagle... - pstryka palcami - była chałupa i jej nie ma.

- Jest tu teraz jakiś inny sąd? - pytam. Ale on jeszcze nie skończył.

- Przyroda nie dała rady jej zniszczyć, ale człowiekowi się udało.

- Chce pan powiedzieć, że to było podpalenie?

- A jak. - Facet kiwa głową porozumiewawczo. - I nie jest to tylko moje zdanie, ale tych z samego Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Znaleźli ślady zapalnika. Nie byle jakiego.

Podpalenie...!

- Ale dlaczego? Mężczyzna kręci głową.

-”W tamtych aktach jest sto lat historii. A raczej było. Niektórzy powiadają, że o to się rozchodziło, żeby jakieś stare papiery przepadły na zawsze. Akty własności albo co.

- Ale istnieją chyba zapisy elektroniczne? Tamten wybucha śmiechem.

- Ano, z ostatnich paru lat. Bo z poprzednich dziewięć dziesięciu pięciu, czy ile tam tego było, ani dudu. Tamte papiery przepadły jak kamień w wodę.

Mimo wszystko może uda mi się jeszcze odszukać nazwisko adwokata Vermilliona. Sprawa jest na tyle świeża, że może podpadać pod kategorię „z ostatnich paru lat”.

- Ja osobiście mam na temat tego podpalenia własną teorię - ciągnie gość w kapeluszu.

- Jaką?

- Widzisz pan, od lat kombinowali, żeby przenieść sąd w jakieś „wygodniejsze” miejsce. Ale całe to pieprzone „społeczeństwo” się nie zgadzało. - Śmiech. - No to tera będą musieli go przenieść.

- Przenieść sąd? Po co?

- A dla tych mecenasów, sędziów, dziennikarzy sądowych i kogo tam jeszcze. Od dawna chcieli mieć sąd na wschodnim brzegu, w Belle Chasse. Tam łatwo dojechać z Orleanu, nie to co tutaj, gdzie trzeba się telepać promem i tak dalej. Powiadają, że mecenasom znudziło się wożenie dupska tutaj, żeby prowadzić interesy. A bo to dużo trzeba wybulić, żeby ktoś podlał trochę nafty i wrzucił zapalnik? Panie, toż to Luizjana!

- Nie będą go odbudowywać?

- Nie wydaje mi się.



- Wobec tego gdzie teraz urzęduje sąd?
- Tera mamy sąd tymczasowy. W przyczepach.
- A gdzie one są? - pytam, rozglądając się dookoła.
- Toż mówię, że po mojemu załatwili tu swój interes. Nawet im się nie chciało postawić tego sądu tymczasowego tutaj. Te przyczepy... one se stoją w Belle Chasse - wyjaśnia z chichotem. - Widzisz pan, o ile wygodniej dla wszystkich zainteresowanych?

### Rozdział 30

W Belle Chasse odnajduję sąd tymczasowy - sześć przyczep na parkingu po zlikwidowanym centrum handlowym. Na każdej widnieje tablica z informacją: SĄD CYWILNY, SĄD DLA NIELETNICH i tak dalej. Gdy w końcu trafiam do właściwej przyczepy - tej, w której przechowywane są akta - woźna sądowa informuje mnie, że mam pecha. Pożar strawił wszystkie dokumenty związane z Zakładem Medycyny Sądowej w Port Sulfur.

- Słyszałem, że akta z ostatnich kilku lat są zapisane w komputerze. Próbuję ustalić nazwisko adwokata, który występował w pewnej sprawie.

Siwowłosa kobieta o wielkich brązowych oczach uśmiecha się do mnie ironicznie.

- Miały być kopie elektroniczne, ale nigdy do tego nie doszło. Teraz jest nowy system. Tego pana, co to instalował stary, postawiono w stan oskarżenia.

- Rozumiem.

- Mamy zapisy z jakichś czterech miesięcy, nie więcej. Ale może znajdzie pan coś na temat swojej sprawy w gazecie. Urzędowe ogłoszenia publikuje „Peninsula Gazette”, tutaj, w Belle Chasse. Zdaje się, że mają obowiązek zamieszczać wszystkie pozwы i wnioski.

Urzędniczka informuje mnie, jak trafić do redakcji gazety. Po drodze zastanawiam się nad datami. Dzieci Ramirezów uprowadzono czwartego maja dwa tysiące pierwszego roku, dwa tygodnie po wypuszczeniu Yermilliona z Port Sulfur.

Wniosek o zwolnienie musiał być złożony wcześniej, może nawet dużo wcześniej.

Zacznę od końca kwietnia i będę się cofał w czasie. Nie uśmiecha mi się ta robota. Trudno o coś nudniejszego niż grzebanie się w prasowych „kostnicach”. Ale skoro przed spotkaniem z Lesterem Floodem mam trzy godziny do zabicia, z braku lepszego zajęcia mogę zająć się tym.

Tyle że chyba nie teraz. Kiedy podchodzę do redakcji, młoda kobieta o ciemnych nastroszonych włosach właśnie zamyka drzwi na klucz. Ma na sobie kusy top, wystrzępione dżinsowe szorty, a na nogach klapki. Top odsłania większą część wytatuowanego na ramieniu wielkiego pajaka.

- Czy po południu redakcja będzie jeszcze otwarta? Dziewczyna przekrzywia głowę i lustruje mnie wzrokiem.

- A co? - pyta przeciągłym głosem. - Chce pan zamieścić ogłoszenie?

Wyjaśniam, że chcę pogrzebać w ich „kostnicy”.

- Słucham?

- Chodzi mi o stare numery gazety.

- Aaaaa, tak. Wiedziałam. - Stuka się w głowę. - Słyszałam, jak tata kiedyś tak mówił. Ale teraz go nie ma. Pojechał na ryby. A czego konkretnie pan szuka?

- Pewnego pozwu. Akta sądowe spłonęły w pożarze, więc to moja ostatnia nadzieja.

- Aha. Ostatnia nadzieja... „Peninsula Gazette” jest pana ostatnią nadzieją? Szkoda, że tata tego nie słyszy! - Uśmiecha się do mnie. Jej uśmiech jest zaskakująco sympatyczny i nieśmiały. - Jestem Jezebel - przedstawia się. - Jezebel Henton.

- Alex Callahan. Dziewczyna potrząsa kluczami.

- Boja wiem, panie Callahan... właściwie mogłabym pana wpuścić. Ale oczywiście musiałabym z panem zostać. Ile to może potrwać?

Wzruszam ramionami.

- Możliwe, że trochę mi zejdzie.

- Hm. - Spogląda na mnie.

- O czwartej trzydzieści mam spotkanie. Przekręca pierścionelek na małym palcu.

- No, jakbym miała z panem siedzieć, to chyba wypadaloby, żeby mi pan zapłacił za stracony czas, co pan na to?

- Jasne, że tak.

- No to albo zapłaci mi pan po dziesięć dolarów za godzinę, albo pójdę i posiedzę sobie przed telewizorem, zgoda?

- Zgoda.

- Ale za to pomogę panu szukać - obiecuje Jezebel. - Mam w tym wprawę... dlatego warto mi zapłacić dziesięć dolarów za godzinę. Szukałam akt sądowych dla Pinky'ego Streibera.

- A kim jest Pinky Streiber?

- Prywatnym detektywem - wyjaśnia. - Nie słyszał pan o nim?

- Nie.

- To chodząca legenda - oświadcza z naciskiem. - Słowo. Więc jak... - Wyciąga rękę. Paznokcie ma pomalowane na czarno, ale połowa błyszczącego lakieru odprysnęła. - Stoi?

Prowadzi mnie na górę, a ja wyjaśniam jej, czego szukam.

- Potrzebne mi nazwisko adwokata Charleya Vermilliona. Chciałbym z nim pogadać... albo z nią.

- To powinno być tam, w dziale ogłoszeń, chociaż czasami tylko podają, kto w danej firmie zajął się złożeniem wniosku. Ale od razu zaoszczędzę panu trochę czasu - mówi, wybierając klucz i otwierając dębowe drzwi. - Zawiadomienia o aresztowaniu i pozwu publikujemy tylko raz w tygodniu. W środy.

Jezebel znajduje to, czego szukam, o trzeciej czterdzieści osiem.

- Binnnnnnngo! - krzyczy i nawija jak nakręcona: - Dobra jestem w te klocki, co nie? Dziewiąty stycznia dwa tysiące. Sprawa numer cztery dziewięć sześć osiem, sekcja A. Charles Jimmie Vermillion przeciwko Zakładowi Medycyny Sądowej w Port Sulfur i spółce, pozew złożony przez Francisa... - Nagle urywa. - O w dupę! E... przepraszam pana.

- Co tam jest napisane?

- Złożony przez Francisa Bergerona - ciągnie Jezebel. - Frankie Bergeron... Mam nadzieję, że nie zależy panu za bardzo, żeby z nim pogadać.

- Dlaczego?

- Dlatego, że on nie żyje. Wypadek samochodowy. Koło Des Ailemands. Z nikim się nie zderzył, sam się rozbił. Wyleciał w pole. Frankie prowadził jak wariat, więc mamy do wyboru: albo się z kimś ścigał, albo jechał za szybko i źle wszedł w zakręt. Nie było żadnych świadków. Hej, co się stało? Kręcę głową.

- Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że wreszcie na coś wpadłem, wszystko szlag trafia.

- No, Frankiego Bergerona trafił szlag, bez dwóch zdań, ale Pinky mówi, że zawsze znajdzie się jakiś inny sposób, żeby się czegoś dowiedzieć.

- W tym wypadku tym sposobem był sąd.

- A tak. Gazeta to pańska ostatnia szansa. Tak mi przykro, panie Callahan.

- Może w firmie Bergerona zachowały się jakieś akta? - mówię bardziej do siebie niż do Jezebel.

- Wie pani, dla kogo pracował?

- Kancelaria Lacey i Bergeron. Tutaj, w Belle Chasse. Może zadzwoni pan do pana Lacey a? Dam panu numer jego telefonu. Tylko niech pan nie dzwoni do niego po... no... - Przegląda kartotekę, stukając się kciukiem w dolną wargę, i zapisuje mi numer telefonu na karteczce. - Proszę nie dzwonić do niego po trzeciej. Albo i po drugiej. On trochę zagląda do kieliszka.

Podaje mi karteczkę. Ma czytelny, piękny charakter pisma. Przez kilka minut odstawiamy na miejsce pudła gazet, które przeglądaliśmy. Jezebel zamyka redakcję, a ja wręczam jej trzydzieści pięć dolarów.

- Głupio się czuję, biorąc od pana pieniądze - wyznaje. - No bo skoro Frankie Bergeron...

- Tak się umówiliśmy.

Dwukrotnie składa banknoty na pół i ściska je kciukiem i palcem wskazującym.

- Ale coś mi się zdaje, że tylko wyrzuca pan trzydzieści pięć dolarów, bo humor się panu chyba nie polepszył.

- Dzięki za pomoc - odpowiadam, kręcąc głową. Dziewczyna chowa pieniądze do tylnej kieszeni dzinsów i podaje mi rękę.

- No to co, panie Callahan, powodzenia. Może sprawy przybiorą lepszy obrót. Pinky mówi, że zawsze tak jest w każdym śledztwie, jeżeli się nie przestaje dążyć.

- Oby miał rację.

- Gdzie pan jest umówiony?

- Na Tupelo Street.

- A można wiedzieć, do kogo pan jedzie?

- Mam spotkanie z prawnikiem, Lesterem Floodem. Jezebel zastanawia się przez chwilę.

- Les dopiero rok temu skończył Tulane, ale jest całkiem dobry. - Ogląda swoje paznokcie. - Niech go pan uściska od Jez Henton. Wie pan, jak tam dojechać?

Dzięki wskazówkom Jezebel cztery minuty później jestem przed kancelarią Hawes, Halliday i Flood, mieszczącej się w uroczym budynku ze starej cegły na ulicy, która - sądząc po obfitości szyldów przy bramach - jest ulubionym miejscem palestry w Belle Chasse.

Po dziesięciu minutach czekania zostaję wprowadzony do gabinetu prawnika. Pokój ma ten charakterystyczny dla Południa urok - wypolerowane na wysoki błysk antyki, piękne, choć zniszczone dywany, bardzo wysoki sufit. Na bocznym stoliku stoi kolekcja ozdobnych szklanych kul.

Flood wydaje się niewiele starszy od Jezebel.

- Witam, panie Callahan - pozdrawia mnie i przedstawia się: - Les Flood.

Wymieniamy uścisk rąk i prawnik wskazuje mi krzesło.

- A więc, czym mogę panu służyć?

Moja opowieść zajmuje bite piętnaście minut. Adwokat robi zapiski w żółtym notatniku, od czasu do czasu prosząc mnie o przeliterowanie nazwiska albo o bliższe wyjaśnienia. Na koniec wręczam mu fotografię królika. Przygląda jej się przez chwilę, po czym odsuwa ją na bok. Stuka w notatnik długopisem.

- Czyja wiem... - mówi i zaciska usta. - Mogę się tego podjąć i podejmę się, jeśli zdecyduje się pan obrać taką metodę. Ale... - Kręci głową. - Sam nie wiem. Żeby nakazać ujawnienie informacji na temat pacjenta szpitala, bo przecież ten człowiek był pacjentem, sędziowie wymagają niezbitych

dowodów i wykazania, że jest to sprawa niecierpiąca zwłoki. - Krzywi się. - Muszę powiedzieć, że kiepsko widzę nasze szanse.

- Dlaczego? Przecież mamy mocne dowody. A sprawa jest jak najbardziej paląca. Chodzi o życie moich synów.

Prawnik bębni palcami po notatniku.

- Współczuję, że znalazł się pan w takiej sytuacji. Może nawet się z panem zgadzam. Ale pańska teoria jest pełna przypuszczeń.

- Na przykład jakich?

- No cóż... zacznijmy od tego, że nie ma pan pewności, iż to porywacz pańskich synów zostawił tego królika origami na szafce. Nie zauważył go pan przed porwaniem, ale mógł tam stać wcześniej, zgodzi się pan ze mną?

- Nie wydaje mi się.

- Jest pan stuprocentowo pewny?

- Teraz już tak. Kiwa głową.

- Jasne. Oczywiście. Tyle że to jest odwracanie sprawy. Strona przeciwna będzie argumentować, że pański syn mógł dostać tę figurkę. Od innego dziecka, od sąsiada, kto wie?

- Ale jej nie dostał. Ponowne kiwnięcie głową.

- Proszę zrozumieć, ja teraz odgrywam rolę adwokata diabła. Zgadzam się, że ten królik jest niezwykle i że odkrycie wiernej kopii tego, którego znalazł pan u siebie w domu, w szpitalu Port Sulfur robi wrażenie. Zwłaszcza biorąc pod uwagę związek szpitala z zabójstwem Ramirezów oraz podobieństwo sprawy Ramirezów do pańskiej. Ale jest tu mnóstwo białych plam do wypełnienia. Poza tym w innych sprawach królik nie występuje. Dlatego nie można wykluczyć, że to przypadek, i właśnie taka będzie argumentacja obrony. Na króliku znalezionym w pańskim domu nie było żadnych odcisków palców, zgadza się?

Przytakuję. Adwokat zaciska usta.

- Zdaje pan sobie sprawę, że przeciwko szpitalowi Port Sulfur wniesiono odrębny pozew?

- Rodzina Ramirezów.

- Tak. Szpital uważa, że stoi na pewnym gruncie. Odwołali się od decyzji sądu rejonowego, nakazującej zwolnienie tamtego pacjenta. Ale przegrali apelację w sądzie wyższej instancji. Wobec tego musieli go wypuścić. Bo cóż jeszcze mogli zrobić?

- Mówi pan teraz o Vermillionie?

- O Yermillionie, owszem. Zwalnianie takich ludzi jest wymogiem prawnym, choćby nawet budziło w nas wewnętrzny sprzeciw. Rzecz jasna, może pan dowodzić, tak jak to robią Ramirezowie, że tacy ludzie w ogóle nie powinni wychodzić na wolność. Tyle że jest to patrzenie z perspektywy czasu i sofizm. *Post hoc, ergo propter hoc*. „Po tym, a więc wskutek tego”. Skoro ten człowiek zabił dwoje dzieci, nie należało go wypuszczać. Ale skąd nagle pretensje do szpitala... oni przecież byli przeciwni zwolnieniu. Sytuację dodatkowo komplikuje straszliwy bałagan, ponieważ dokumenty obrony spłonęły w pożarze. Słyszałem, że adwokaci Ramirezów zgodzili się udostępnić swoje akta obrony, żeby można było dalej prowadzić sprawę.

- Naprawdę?

- Tak. Prawdopodobnie jednak skończy się tym, że władze stanowe oraz szpital pójdą na ugodę. Tymczasem jednak - prawnik kręci głową-bardzo wątpię, by sąd jeszcze raz chciał się w tym babrać i nakazywać szpitalowi ujawnienie czegokolwiek. Przynajmniej do czasu zakończenia tamtej sprawy.

Przede wszystkim dlatego, że gdyby pańskie sugestie okazały się prawdziwe, toby znaczyło, że wnosząc pozew, Ramirezowie po prostu chcieli wyłudzić od szpitala odszkodowanie. Przecież pan sugeruje, że Vermillion nie zabił tych chłopców, prawda?

- Prawda.

Lester Flood rozkłada ręce.

- Ma pan pojęcie, jak by to namieszało? - Uśmiecha się. - Ale jak mówiłem, jestem gotów podjąć się tej sprawy i uzyskać nakaz odtajnienia tożsamości pacjenta.

- Tyle że mnie się śpieszy.

- W tej sprawie pośpiech mi nic przeszkadza - mówi Flood. - Tyle że kiepsko widzę nasze szanse i z góry chciałbym pana o tym uprzedzić.

- Jak rozumiem, pańskim zdaniem nie ma co liczyć na sukces. Ale ja muszę spróbować.

- Zgoda. Świetnie. A więc do dzieła.

Omawiamy kwestię honorarium. Chwilowo, dzięki odnowieniu limitu na karcie Visa, mam na koncie pięć tysięcy. Wystawiam adwokatowi czek na uzgodnioną zaliczkę - *tysiąc* dolarów.

W ponurym nastroju wracam do Nowego Orleanu. Nareszcie trafiłem na jakiś trop i co z tego mam?

Guzik.

Charley Vermillion miał przylepioną pod kołnierzem kapsułkę z cyjankiem i po aresztowaniu popełnił samobójstwo. Jakiś podpalacz podłożył ogień pod stuletni gmach sądu w Pointę a La Hache, gdzie trzymano akta dotyczące zwolnienia Vermil-liona (po dziewiętnastu latach). Francis Bergeron, adwokat, który złożył wniosek w tej sprawie, wyleciał z drogi w plener i zginął. Program komputerowy, mający gromadzić akta sądowe padł i nie istnieją żadne zapisy na temat Vermilliona.

Czy możliwe, żeby to wszystko było dziełem przypadku?

### Rozdział 31

Z samego rana dzwonię do Williama Lacey'a - byłego wspólnika Francis'a Bergerona, który „nie widzi przeszkód”, by poinformować mnie, iż jego partner reprezentował Charley'a Vermilliona *pro bono*.

- Czy on często pracował za darmo?

- Frankie? A gdzie tam, zresztą nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle zajął się tym Vermillionem. Przecież nie dlatego, że było w tym coś wyjątkowego. Frankie nie prowadził zbyt wielu spraw. Zamierzał startować na urząd po drugiej stronie szosy, wie pan.

- Czyli że nie orientuje się pan, dlaczego się tego podjął?

- Nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc, moim zdaniem to było nie w jego stylu. Ryzykowna sprawa... i miał chłop szczęście, że nie obróciła się przeciwko niemu. Ma się rozumieć, zawsze chciał wystąpić w sądzie apelacyjnym, co i tak prędzej czy później było mu pisane, więc może to był ten haczyk. Rozgłos.

Pytam go, czy mógłbym rzucić okiem na ich dokumentację, bo akta sądowe zostały zniszczone.

- Hmm. Na to nie mogę pozwolić - odpowiada. - Stosunki między adwokatem a klientem są chronione tajemnicą.

- Ale w tym przypadku zarówno adwokat, jak i klient nie żyją.

- Punkt dla pana - przyznaje. - Niestety, niewiele z tego wynika. Przekazałem papiery Franka prokuratorowi okręgowemu. Wiadomo panu, że zwolnienie Vermilliona zostało zaskarżone do sądu?

- Przez rodziców dzieci, państwa Ramirezów.

- Jakżeby inaczej. Nikt normalny nie zrezygnowałby z procesu, skoro władze stanowe, w całej swej mądrości, uwalniają świra, który wykorzystuje swoje prawa konstytucyjne, żeby porwać i zamordować dwójkę dzieciaków. Najgorszy scenariusz, jaki mógł się przytrafić.

- A gdzie urzęduje prokurator okręgowy? W Belle Chasse?

- Teraz już tak. Właśnie w tym sęk. Domyślam się, że akta Franka poszły z dymem. Pożar wybuchł tuż po tym, jak sąd przejął pieczę nad tymi papierami.

W tej sytuacji zostaje mi tylko królik.

Wpatruję się w zdjęcie na ekranie komputera. Shoffler badał ten wątek, ja zresztą także, wtedy jednak ten mały papierowy zwierzak był tylko jednym z wielu tropów. Teraz nie zostało mi nic oprócz niego. Przeglądam zapiski w notesach.

*Sztuka składania papieru, uprawiana przez Leonarda. Oparta na zasadach matematyki. Powiązana z dziewiętnastowieczną magią estradową.*

Na marginesie widnieje dopisana później uwaga: *składanie papieru to rodzaj transformacji. Teraz bardziej popularne są balony.*

*Tradycyjne reguły: papieru nie wolno kleić ani nacinać, kwadratową kartkę można tylko składać.*

Uświadamiam sobie, że z tego powodu origami jest idealnym hobby dla więźniów oraz pacjentów zakładów psychiatrycznych.

*Opanowanie tej sztuki wymaga znajomości geometrii oraz myślenia abstrakcyjnego. Popularna wśród fizyków i matematyków.*

*Żargon origamistów: przeciwzgięcie, zgięcie wielokrotne, baza bomby wodnej, baza żurawia.*

*Diagramy są powszechnie dostępne w Internecie. Także te skomplikowane.*

*Judy Jones: figurką wykonano ze specjalnego papieru, zwanego „skórą słonia”. Została złożona na mokro.*

*Petrich: ekspert zidentyfikował figurkę jako „modyfikację Langa „.*

Wchodzę do sieci i wpisuję do wyszukiwarki słowa „origami królik Lang”. Wyskakuje ponad tysiąc linków. Doktor Robert J. Lang stworzył wiele figurek królików, ale choć przez bite dwie godziny oglądałem ich dziesiątki, wraz z modyfikacjami, to jednak żadna z nich nie przypominała tej, którą znalazłem w sypialni chłopców. Być może ekspert, którego wzięła Petrich, znał jeszcze innego królika Langa niż te, na które trafiłem.

Albo się pomylił.

Kiedy ograniczam poszukiwania do „królik origami”, Google wyrzuca tysiące nowych linków, lecz wiele z nich się powtarza. Ślęczę nad nimi przez następne półtorej godziny, wciąż jednak nie trafiam na nic, co przypominałoby mojego królika.

Dowiaduję się za to, że miłośnicy origami tworzą wielką grupę przyjaciół i są bardzo aktywni w sieci. Organizują konkursy i wystawy, zamieszczają recenzje książek poświęconych origami, komentarze na temat materiałów źródłowych, prezentują nowe modele i sprzedają gotowe diagramy. Być może ta cyberspółeczność powie mi coś więcej na temat mojego królika. Sądząc z menażerii w gablocie u Andertona, Szczurołap nie był nowicjuszem, lecz siedział w tym hobby po uszy.

Możliwe, że w Port Sulfur miał dostęp do komputera. Możliwe, że kontaktował się z innymi hobbystami. Więc może ktoś rozpozna jego dzieło. A może go nawet zidentyfikuje.

Wpisuję do wyszukiwarki „origami” i wynotowuję kilkadziesiąt adresów internetowych. Następnie rozsyłam po sieci e-mail z prośbą o identyfikację królika na załączonym obrazku.

Jeżeli nic z tego nie wyjdzie, no cóż... Anderton wie, kto jest autorem tego królika. W razie czego, z braku wyboru, zapytam go o to jeszcze raz... ale tym razem tak, że nie uda mu się Wykręcić sianem.

Siedziałem zgarbiony nad laptopem przez tyle godzin i w takim skupieniu, że kiedy wstaję, wszystko mnie boli. Przeciagam się więc i gimnastykuję.

Powinienem zadzwonić do moich staruszków. A także do Liz. Nie rozmawiałem z nimi od ponad tygodnia, by nie narażać się na lamenty zatroskanych rodziców i jawną wrogość żony.

Ale przynajmniej powinienem zadzwonić do domu i odsłuchać wiadomości na sekretarce.

Jak zwykle ci sami co zawsze.

Wielki Dave ze stacji: „Alex! Mam dla ciebie coś, co powinno cię zainteresować. Jeśli jesteś gotów do nas wrócić, czekamy. Naprawdę, to wyjątkowa okazja, więc...”

Staruszkowie dzwonią „tak tylko, żeby sprawdzić, co u mnie słychać”.

Scott, mój przyjaciel, wciąż stara się podnieść mnie na duchu. „Siemanko, Alex. Słuchaj, jest taka sprawa. Organizuję turniej, tego no... badmintona. Oczywiście na cel charytatywny. Nie spodziewamy się wielkich tłumów, ale zagrają Brad i Jennifer, Tim i Susan, Bill i Hillary, ja z Demi... jakbyś nie wiedział, ona ma niesamowitego loba w obronie. Charlize Theron szuka partnera, więc odezwij się, jeśli cię to interesuje, okay?”

Liz: „Alex, gdzie ty się podziewasz? Musimy porozmawiać”.

Nie chce mi się z nimi gadać. Wmawiam sobie, że oddzwonię do nich wszystkich jutro. Mam ochotę pobiegać. Wychodząc z klimatyzowanego holu na wilgotne powietrze, dziwię się, że nie ma burzy. Powietrze jest tak gęste, że truchtam, jakbym brnął przez wodę. Biegnę wzdłuż brzegu aż do portu, gdzie zatrzymuje mnie drucziana siatka. W drodze powrotnej przyspieszam, wybierając trasę wokół parku Lafayette'a. Ludzie wygibują się i klaszczą w rytm muzyki zespołu na estradzie - bezpłatny koncert, połączenie funky, salsy i bluesa. Do hotelu docieram tak zlany potem, że lustro w windzie pokrywa się parą.

Biorę prysznic, otwieram puszkę piwa i siadam do komputera. Minęła raptem godzina, a już mam osiem odpowiedzi na rozesłany apel o pomoc. Większość podaje linki do stron, które powinienem odwiedzić, ale jeden nadawca ([skladacz@netzero.com](mailto:skladacz@netzero.com))

) rozpoznaje w króliku zwycięzcę konkursu zorganizowanego przez Filadelfijską Bibliotekę Publiczną, oddział w Prospect Hill.

Towarzystwo Miłośników Origami z Prospect Hill sponsoruje doroczny konkurs, w którym za każdym razem należy wykonać model innego zwierzęcia. W tym roku jest to rekin. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty był rokiem królika. Konkurs ten nie należy do największych, ale ponieważ wpisowe jest symboliczne, bierze w nim udział wielu studentów i tym podobnych. Królik, którego zdjęcie pan rozesłał, zwyciężył w roku 1995 i wszystkich nas zirykowało, że autor ujawnił tylko swoje imię czy też pseudonim. Adresu nie podał. Człowiek ten ma wyjątkowy talent i wielu z nas chciało się z nim skontaktować, ale nie mieliśmy żadnych namiarów. Proszę złapać George'a Esterhazy'ego, to honorowy prezes naszej grupy. Jest już na emeryturze, lecz wciąż pasjonuje się składaniem. Mam nadzieję, że na coś się panu przydałem. Pozdrawiam.

„Składacz” dołączył numer telefonu i adres elektroniczny Esterhazy'ego. W rewanżu ślę mu gorące podziękowania, po czym wysyłam Esterhazy'emu mój pierwotny e-mail oraz odpowiedź od „Składacza”.

Kilka minut później dzwonię do Esterhazy'ego. Być może należy do tych, którzy sprawdzają pocztę raz na tydzień. Powiniennem zwrócić mu uwagę na mój list.

- Esterhazy - odzywa się w słuchawce piskliwy głos.
- Nazywam się Alex Callahan. Nie wiem, czy miał pan okazję zajrzeć...
- A, tak. Dostałem pański list. Oczywiście, że pamiętam tamtego cudownego króliczka. Byron B. Szalenie frustrujące.
- Byron B.? O czym pan mówi?
- Tak się nazywał autor... nie podał nam pełnego nazwiska. Jak mówiłem, było to szalenie frustrujące. Niektórzy członkowie komisji chcieli nawet pozbawić go tytułu, ale się sprzeciwiłem. To by nie było w porządku. Widzi pan, to był konkurs otwarty, a jego królik na głowę bił pozostałe nadesłane prace.

- Przepraszam pana, ale w jaki sposób przesłano tę figurkę, skoro nie poznał pan nazwiska autora?

- Proszę sobie wyobrazić, że nadawcą był terapeuta, zatrudniony w... chwileczkę, zaraz sobie przypomnę.

- W Zakładzie Medycyny Sądowej w Port Sułfur, w Luizjanie?
- Tak! W domu wariatów! Oczywiście, znane są takie przypadki. Jules Kravik, słynny origamista, cierpiał na poważne zaburzenia umysłowe i większość życia spędził w zakładach psychiatrycznych.
- Aha.

- Być może pozwolono by nam się skontaktować z tym Byronem B., niestety zwolniono go, zanim doszło do rozstrzygnięcia konkursu i ogłoszenia wyników. Nasze próby przekonania kierownictwa szpitala, żeby przesłali mi wiadomość o zwycięstwie i niewielką nagrodę pieniężną, spotkały się ze stanowczą odmową. - Westchnienie. - No i tak to się skończyło. Dziwiłem się nawet, że ten człowiek nie wypłynął w światku origamistów... ma bez wątpienia wielki talent, niezwykle pomysłowo potrafi wykorzystać bazę żurawia. Ale wszelki śluch o nim zaginął.



Z podniecenia omal nie zapomniałem mu podziękować przed odłożeniem słuchawki.

Byron B. Niby niewiele, ale zawsze coś. Szpital w Port Sulfur to nie oddział detoksykacyjny czy odwyk, których pacjenci sami mogą się zgłosić i wypisać w każdej chwili. To szpital dla umyślowo chorych przestępców. Innymi słowy Byron B. musiał nieźle narozrabiać, a o tym, co zrobił, musiało być głośno, bo inaczej nie siedziałby przez długie lata w wariatkowie.

No i nie zgłosił się tam z własnej woli. A zatem gdzieś w Luizjanie sąd skazał jakiegoś Byrona o nazwisku zaczynającym się na „B” na pobyt w Zakładzie Medycyny Sądowej w Port Sulfur. Być może nawet pisano o tym w gazetach, w zależności od tego, co zrobił. Dzięki Andertonowi wiem, kiedy to było: w roku 1983.

W normalnych warunkach nie wynajęłbym prywatnego detektywa, kierując się radą trzynastolatki, ale ostatnio w moim życiu nic już nie jest normalne. Jezebel Henton chętnie podaje mi nazwisko Pinky'ego (Streiber), przeliterowując je, a także jego numer, który najwyraźniej zna na pamięć.

- Dzięki, Jez.

- Chyba powinnam panu coś powiedzieć o Pinkym... - Chwila wahania.

- Tak?

- No bo niektórzy boją się na jego widok. Wie pan, dlaczego nazywają go Pinky\*? Bo to albinos.

Umawiam się z Pinkym Streiberem w jego biurze w Dzielnicy Francuskiej. W recepcji urzęduje twarda blondyna w czerwonej, ściśle opinającej jej ciało lnianej sukience. Każe mi usiąść w jednym z najbardziej odjazdowych gabinetów, jakie zdarzyło mi się oglądać. Z aparatury stereo dobiega jazz. Na ścianach obrazy, dookoła antyczne meble i wielkie rośliny. Wysoki sufit, na nim obracający się wentylator. Białe żaluzje w olbrzymich oknach... Widać, że Pinky Streiber biedy nie klepie.

Pięć minut później detektyw ściska mi rękę i prowadzi mnie do pogrążonego w mroku, skąpo umeblowanego gabinetu na tyłach. Wskazuje mi fotel typu „Barcelona”, a sam siada za olbrzymim blatem z wypolerowanego drewna, na którym stoi tylko czerwony aparat telefoniczny. Pinky Streiber nosi ciemne okulary, a jego skóra jest biała jak śnieg. W powietrzu unosi się znajomy zapach, którego nie potrafię rozpoznać.

- Ten zapach, który pan czuje, to olejek do opalania - wyjaśnia Streiber, jakby czytał w moich myślach. - Dosłownie w nim pływam, Coppertone Sport z filtrem czterdzieści osiem. Przepraszam też za te czarne okulary, ale zdejmuję je tylko w nocy.

Wyjaśniam, czego od niego oczekuję.

- Czasochłonna robota, no ale w końcu to tylko szperactwo - podsumowuje Pinky. - Gdyby tak posadzić przy klawiaturach milion żuczków, udałoby się wygrzebać nawet egzemplarz *Gunga Din*. To tylko kwestia czasu, *n'est-ce pas*? Pytanie brzmi: jakim funduszem pan dysponuje?

Wzruszam ramionami.

- Proszę nie narzucać sobie żadnych ograniczeń. Zapłacę, ile trzeba. - Na razie nadal będę wypisywał czek, które dostaję pocztą od firm wystawiających karty kredytowe. Z czasem będę musiał uderzyć do ojca po pożyczkę. A potem...

- Skoro nie chodzi o sprawę rozwodową dla wyciągnięcia szmalu, dam panu zniżkę, ale i tak muszę prosić o zaliczkę, powiedzmy pięćset dolarów. Powinien pan wiedzieć, że nie zajmuję się szperaniem po sądach osobiście. Zorganizowałem sobie doborową paczkę aplikantów adwokackich, emerytów, małolatów i chronicznie bezrobotnych. Na pański znak spuszcza ich ze smyczy, a oni obskoczą każdy sąd w Luizjanie, aż w końcu znajdą ten wyrok.

- Wspaniale.

- Płacę swoim ludziom dwadzieścia zielonych za godzinę. Ale ta sprawa może nam zabrać wiele godzin. Albo raptem kilka. Nigdy nie wiadomo.

- Jasne, rozumiem.

- W porządku. A więc szukamy wyroku skazującego jakiegoś Byrona B. na pobyt w Zakładzie Medycyny Sądowej w Port Sulfur. Trafił tam w osiemdziesiątym trzecim. - Zapisuje sobie te informacje. - Dobrze mówię, prawda? To wszystko, co pan na niego ma. A wie pan może, kiedy wyszedł?

- W dziewięćdziesiątym szóstym.

- Znakomicie, to wszystko, czego mi trzeba.

- Ja też mógłbym się przydać - proponuję. - Znam się na szukaniu akt, więc jeśli w jakiejś okolicy brakuje panu ludzi...

- Bomba! Właśnie załatwił pan sobie robotę w hrabstwie świętego Jana Baptisty. Ich sąd mieści się w LaPlace. Mojemu głównemu pomagierowi na tym terenie właśnie urodziło się dziecko, a jego zastępca znalazł stałą robotę. - Ostatnie słowo wymawia z akcentem na „ę”, jakby po francusku. - W sumie to niedaleko stąd. Dojedzie pan tam autostradą numer dziesięć.

- Zgoda. - Wyciągam portfel, a z niego czek z zagiętym rogiem.

- Tym się zajmie Becky - mówi Pinky. - Przyjmujemy Visa i MasterCard. Niektórzy goście ciulają punkty na darmowe bilety lotnicze.

## Rozdział 32

Dnie spędzani w gmachu sądu w LaPlace, noce w hoteliku sieci Comfort Inn. Przeglądając akta, wypijam litry kawy i przez cały czas staram się myśleć o imieniu Byron. Chwila nieuwagi i łatwo można przegapić odpowiedni wpis, dokładnie tak samo, jak kiedyś, wracając z pracy, przegapiłem skręt w moją ulicę.

Trzeciego dnia wracam właśnie do hotelu, gdy ktoś dzwoni na moją komórkę.

Pinky.

- Jesteś za kółkiem?

- Tak.

- To zjedź na pobocze.

- Słucham?!

- Chłopie, nawet nie wiesz, jaki jestem podniecony, ale też trochę smutny i rozczarowany. - Pinky chichocze cicho.

- Co ty gadasz?

- Miałem nadzieję, że te poszukiwania poprawią statystyki bezrobocia w Luizjanie.

- Pinky... Westchnienie.

, - No dobra. Wynająłem kobitkę do roboty w hrabstwie Świętej Marii. Była u siostry w Houston i wróciła dopiero dzisiaj, ale warto było na nią poczekać, bo to cwana babka. Nauczycielka. No więc wraca ci ona do domu, a na faksie leży zlecenie ode mnie. Trafione w dziesiątkę! Oddzwania do mnie natychmiast. Okazuje się, że знаła skubańca. „Byron B.? - mówi. - Pinky, to może chodzić tylko o Byrona Boudreaux”!

- Chyba żartujesz!

- Ja jej na to: „Tak?” - ciągnie Pinky. - A ona: „Tak mi się zdaje. Widzisz, jako dziecko mieszkałam w Morgan City, a po drugiej stronie rzeki był taki kopnięty szczeniak, Byron Boudreaux. On zrobił coś okropnego. Pamiętam, kiedy go wsadzili, bo od razu wszystkim nam się lepiej spało.

To było gdzieś tak w osiemdziesiątym trzecim, bo chodziłam wtedy do liceum, a skończyłam je w osiemdziesiątym piątym. Moim zdaniem to musi chodzić o niego, Pink”. No to jej mówię, że faktycznie na to wygląda. I co ty na to?

Brak mi słów. Byron Boudreaux! Słyszac nazwisko człowieka, który uprowadził moich synów, skupiam na nim swoją udrękę i przez chwilę jestem tak roztrzęsiony z wrażenia, że ledwie widzę na oczy. Byron Boudreaux... Zaduszę drania gołymi rękami.

- Alex? Jesteś tam?

- Tak - udaje mi się wykrztusić. - Dobra robota.

- E tam, głupi ma zawsze szczęście - bagatelizuje Pinky. - Swoją drogą, panna Vicky na wszelki wypadek wystąpiła już o kopię wyroku, i bardzo dobrze, bo może znajdziemy w nim inne przydatne informacje. Ale dostaniemy go do ręki dopiero za dwa dni. To jak, podjedziesz do mnie?

### Rozdział 33

- Wiesz co? - mówi Pinky, kiedy już usadowiłem się w fotelu w jego gabinecie. Wcześniej dał mi kartonową teczkę z przypiętą mapą Luizjany, na której zaznaczył drogę do Morgan City, oraz kartkę z różnymi numerami telefonów do panny Victorii Sims. - A może byś wziął mnie ze sobą?

- No...

- Cajunowie to porządne chłopaki, ale trochę się boczą na obcych. No i Bogiem a prawdą towarzystwo z platform wiertniczych jest takie bardziej szemrane, więc w Morgan City nie trzeba się prosić o guza, żeby go zarobić. Kiedy chłopaki wracają na ląd po robocie, zachowują się jak fala rekruta na przepustce.

- Czyja wiem...

- Jeżeli martwisz się o pieniądze, to nie zwracaj sobie tym głowy. Pojadę na koszt *chdteau*, że tak się wyrażę.

- To ładnie z...

- Wstrzymaj się z owacjami. Te twoje dzieciaki ciągle mi chodzą po głowie. Najwyższy czas, żeby Pinkster wybrał się w *travail* nie dla forsy. - Omiata pokój ruchem ręki. - A co ja mam tu lepszego do roboty? Nic takiego, co by nie mogło poczekać.

Wystrój biura i kosztowne ubrania Pinky'ego najlepiej świadczą o tym, ile jest wart jego czas.

- Serdeczne dzięki.

- Drobiazg, nie ma o czym mówić - bagatelizuje Pinky. - Całkiem miłe to moje biuro, ale muszę się z niego ruszyć. Poza tym znam tam kilku chłopaków, którzy mogą się przydać.

Samochodem Pinky'ego - srebrną terenówką bmw X5, tak nową, że jeszcze pachnie świeżością - jedziemy w kierunku zachodzącego słońca.

- Albinosi z zasady mają kiepski wzrok - mówi detektyw. - Ja jestem wyjątkiem, widzę bardzo dobrze, zwłaszcza w nocy.

Odległość z Nowego Orleanu do Morgan City, gdzie sekretarka Pinky'ego zarezerwowała nam pokoje w Holiday Inn, wynosi około dziewięćdziesięciu mil. Jest ciemno, ale skupienia świateł na brzegach rzeki i ich brak na wielkich czarnych połaciach terenu wskazują, że dookoła wszędzie jest woda. Przejeżdżając przez Houmę (gdzie Pinky oczywiście znowu poprawia moją błędną wymowę), widzimy wyblakłe resztki patriotycznego poparcia dla inwazji na Irak - wystrzępione żółte wstążki i wszechobecne gwiazdziste sztandary. Kiedy skręcamy za róg, reflektory bmw oświetlają transparent nad wymarłą stacją benzynową:

SADDAM? NEAUX PROBLEME

Umawiamy się z Vicky Sims na śniadanie w Holiday Inn. Vicky ma około trzydziestu lat, brzydką cerę i miły łagodny głos.

- Po rozmowie z tobą, Pinky, ustaliłam, że akta sprawy znajdują się w sądzie we Franklin - oznajmia. - Z wydostaniem ich nie będzie problemu, bo są powszechnie dostępne, ale opinie lekarskie, na podstawie których doszło do skazania, prawdopodobnie będą utajnione. Robiłam, co mogłam, żeby ich tam pogonić, ale i tak wygrzebanie i skopiowanie akt zajmie dwa dni. Wiecie, brak personelu. Finanse gminy są w opłakanym stanie.

- Jak wszędzie - przytakuje Pinky. - Czarna rozpacz. To może zacznijmy od tego, co ci zostało w pamięci na temat pana Byrona Boudreaux. Alex i ja chcemy potem pogadać z ludźmi, którzy go znali, jeśli tu jeszcze tacy są.

Vicky skubie usta.

- Przepraszam, dla mnie pieczywo ziarniste to podstawa, żeby móc sobie nałożyć masło i sól. Ale czasami wchodzi w zęby.

- Widać, że rzadko folgujesz zachciankom - mówi Pinky. Vicky Sims uśmiecha się.

- Nie wiem, czy na wiele wam się przydam w sprawie Byrona. Mieszkał w Berwick, po drugiej stronie rzeki, więc nie znałam go za dobrze. Ja tylko o nim słyszałam.. wszyscy słyszeli. - Marszczy brwi. - Przystojny chłopak, no i bystry, niemal geniusz. A może i nawet był prawdziwym geniuszem? Jako kaznodzieja miał niesamowity posłuch. Wiadomo było, że z tego dzieciaka wyrośnie albo wielki człowiek, albo kompletny świrus. Byron wybrał tę drugą drogę.

- Był kaznodzieją? - pytam.

- Tak, jeszcze jako młody chłopak.

- A to ci dopiero - dziwi się Pinky.

- O tak, ten dzieciak to miał gadane. Zupełnie jak mały Billy Graham. Ludzie ściągali tu ze wszystkich stron, żeby go posłuchać. Wygłaszał kazania w Prymitywnym Kościele Baptistów w Berwick. Jeśli dobrze pamiętam, został kaznodzieją po tym, jak jego młodszy brat się utopił. - Krzywi się. - Kiedy to się stało, mnie tu jeszcze nie było. Mieszkaliśmy wtedy w Baton Rouge, no ale oczywiście krążyły plotki.

- Na przykład jakie? - dopytuje się detektyw.

- Że to nie był wypadek. Że to pewnie Byron utopił braciszka. - Vicky kręci głową. - Ale bo ja wiem? Byron sam jeszcze był wtedy dzieckiem. Naprawdę nie pamiętam, czy ludzie podejrzewali go od razu, czy dopiero po tym, jak zabił ojca.

- Rzeczywiście to zrobił? - pytam. - Zabił swojego ojca?

- Tak, to już pamiętam bardzo dobrze. Właśnie dlatego trafił do zakładu psychiatrycznego. Zamordował ojca kalekę.

- Żartuje pani - mówię, chociaż nic, co ten potwór mógł zrobić, już mnie nie dziwi.

- Wcale nie. Byron miał wtedy siedemnaście lat, więc chcieli, żeby odpowiadał przed sądem jak dorosły. Tyle że uznano go za niepczytelnego. I słusznie, bo ten chłopak zawsze był kompletnie szurnięty.

Pinky dopija kawę.

- Jego ojciec był kaleką?

Vicky Sims ociera usta serwetką.

- Claude, ojciec Byrona, pracował na platformie należącej do Anadarko. Miał wypadek, przeszedł operację. Podobno jego stan się polepszał, ale kiedy został zamordowany, wciąż jeszcze

jeździł na wózku... dlatego ta historia była taka okropna.

- A co on właściwie zrobił... zastrzelił starego? - dopytuje się Pinky, po czym wyjaśnia mi: - My tutaj nie cierpimy na brak broni palnej.

- Ależ nie, nic równie pospolitego - wyjaśnia Vicky. - Otruł go w jakiś wyszukany sposób... zdaje się, że przez skórę. Czy to w ogóle możliwe?

- Jeszcze jak! - odpowiada detektyw. - Ale chwileczkę, w jaki sposób go złapali?

Vicky marszczy brwi.

- Tego to chyba nigdy nie wiedziałam. Nie poszłam na rozprawę. Ale nie ulegało wątpliwości, że była to zbrodnia z premedytacją, skoro go otruł. Dlatego miał odpowiadać jak dorosły.

- I powołał się na niepoczytalność? - wtrącam.

- Właśnie. Adwokaci dowodzili, że to wariat, że słyszy głosy, że w dzieciństwie ojciec molestował go seksualnie. - Posypuje pieczywo solą. - Normalka. Więcej na ten temat znajdziecie w aktach sądowych. Albo w gazetach... najlepiej zajrzyjcie do „New Iberian”. Swoją drogą, znam jej naczelnego, Maxa Maldonado. Dać wam jego numer telefonu?

Dzwonię do dziennikarza z mojego pokoju hotelowego; detektyw wisi na drugiej słuchawce. Kiedy wyjaśniam, kim jestem i o co mi chodzi, Maldonado odpowiada, że teraz mu się śpieszy, ale owszem, w owym czasie był reporterem i oczywiście pamięta sprawę Boudreaux. Obiecuje, że oddzwoni do mnie po południu. Już mam się zgodzić, gdy nagle Pinky wtrąca swoje trzy grosze:

- Wstydzilibyś się, Max. Gadaj mi tu zaraz! Na pewno możesz poświęcić pięć minut swojego bezcennego czasu dla dwóch zaginionych *bambinos*. Mów!

- Czyżbym miał przyjemność z najbielszym prywatnym detektywem w Luizjanie? - mówi Maldonado. - Jasny gwint, Pink, dlaczegoś nie mówił, że to ty?

- Sprawdzam, jak się ma twoja moralność, Max. - Detektyw grzmiącym śmiechem zagłusza donośne protesty dziennikarza. - Powaga, nic nie żartuję. Chcemy tylko, żebyś nam opowiedział o tym gościu. Gdzie mieszkał, gdzie pracował. Daj nam jakiś punkt zaczepienia. Nie chcemy przebierać palcem w bucie, czekając, aż w sądzie odszukają te cholerne akta.

- Jak się ma moja moralność, powiadasz? No dobra, niech ci będzie, Pink. Byron Boudreaux... jakoś nic a nic mnie nie dziwi, że ostatnio o nim nie słyhać. - Westchnienie. - Teraz mogę wam poświęcić pięć minut, na więcej musicie poczekać do wieczora.

- Świetnie.

- Niech no pomyślę... Rodzina Byrona mieszkała w Berwick, w przyczepie na obozowisku zwanym Meadowlands. Syfiaste miejsce, chociaż *chez* Boudreaux było czyściutko aż miło. Wiem, bo kiedy Claude został zamordowany, zastępowałem fotografa i cyknałem tam kupę zdjęć. Marie, matka Byrona, była wspaniałą kobietą, bez dwóch zdań. Z Claude'a też był porządny facet... słyszałem, że harował jak wół. Pracował dla Anadarko, na platformie. I otruł go rodzony syn, dacie wiarę?! Ten chłopak był zepsuty do szpiku kości. Większość ludzi nie wierzyła w te bzdety o molestowaniu go przez ojca, to była kupa gówna.

- Coś jak z braćmi Menendez?

- Dokładnie tak samo. Powiadali, że z Claude'a był porządny gość. Na waszym miejscu przejechałbym się do Meadowlands. Pewnie są tam jeszcze tacy, co znali rodzinę Boudreaux. A ja tymczasem posadzę tu kogoś, żeby poszperał w starych gazetach i zobaczył, co o tej sprawie pisali.

- Jak znajdziemy to całe Meadowlands? - pyta Pinky.

- Gdzie się zatrzymaliście?

- W Holiday Inn w Morgan City.

- Przejdźcie przez most do Berwick, a potem jakieś, hm... może z pół mili. Meadowlands leży w bok od, hm... chyba Tupelo. Albo od Live Oak. Przy którejś z tych ulic, co to mają nazwy wzięte od drzew. Traficie bez problemu.

W tle rozlegają się czyjeś krzyki. Maldonado zakrywa słuchawkę ręką, ale słyszymy, że coś do kogoś mówi. Po chwili wraca do nas.

- Już jestem.

- Czy ktoś z rodziny Boudreaux tam jeszcze mieszka? - pytam roztrzęsionym głosem, tak pełnym napięcia, że Pinky unosi ciemne okulary i przygląda mi się z drugiej strony pokoju.

- Nie sędzę - odpowiada dziennikarz. - A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Ojciec otruty, matka zmarła kilka lat wcześniej. I... chwileczkę.

Znowu ktoś mu przerywa.

- Zdaje się, że czas na ciebie - mówi Pinky.

- Jeśli chcecie, możemy się spotkać wieczorem... ale dopiero jak położymy dziecko spać.

- Stawiam kolację - proponuje Pinky.

- Stoi.

Mostem Hueya P. Longa przejeżdżamy na drugą stronę szerokiej rzeki Atchafalya („Czafalaja”, poprawia mnie Pinky) i po dziesięciu minutach trafiamy do Meadowlands. Wbrew sielankowej nazwie w zasięgu wzroku nie ma żadnych łąk. Obozowisko składa się z dwóch tuzinów przyczep; większość najwyraźniej stoi tam od dziesięcioleci. Niektóre są ogrodzone łańcuchem, inne połączone ze sobą kawałkami dykty. Kilka stoi na uboczu - mają żaluzje w oknach, są świeżo obudowane po bokach i ogrodzone palikami, a wokół nich rosną kwiaty.

Znak drogowy z wizerunkiem trzymających się za ręce dzieci ogranicza prędkość do pięciu mil na godzinę. Jest podziurawiony kulami - wszystkie strzały trafiły w sylwetki maluchów. Obok większości przyczep stoją brązowe plastikowe kubły; ich pokrywy nie domykają się z powodu wysypujących się śmieci. Na podwórkach od frontu widać plastikowe krzesła oraz dodatkowe siedziska w postaci odwróconych do góry dnem białych plastikowych wiader, a także dziecięce rowerki, wszelkiego rodzaju zabawki, plastikowe brodziki, przyczepy do przewozu łodzi, stare opony... Przed każdą przyczepą stoi przynajmniej jeden samochód, przeważnie półciężarówka.

Suniemy drogą, aż w końcu Pinky zatrzymuje się przed numerem czternaście - obudowaną po bokach przyczepą z topornym oknem wykuszowym od frontu. Bmw błyszczy na zrytej koleinami ziemi niczym pojazd kosmitów.

### Rozdział 34

Pukamy do drzwi. Siwa kobieta z papilotami z różowej pianki we włosach (dotychczas coś takiego widywałem tylko na starych filmach w telewizji) woła do nas z werandy przed sąsiednią przyczepą:

- Nie ma ich. Pomóc wam w czymś?

- Szukamy... - zaczynam, lecz Pinky wpada mi w słowo:

- Jak się miewamy, szanowna pani?

- Sprzedajecie coś, złotko? Bo jak tak, to z góry uprzedzam, że nie mam złamanego grosza. Mam za to czas, więc możecie sobie na mnie poćwiczyć.

- Nic nie sprzedajemy - odpowiada Pinky. - My...

- Pan wybaczy, ale czy pan jest albinosem?

Już zamierzam ująć się za detektywem i ją zrugać, lecz Pinky tylko wybucha śmiechem.

- A tak, szanowna pani! - przytakuje dudniącym głosem. - Ma pani przed sobą genetyczną osobliwość. Wiem, że na początku niektórzy zachowują się wobec mnie dziwnie, jak wobec jakiegoś biedaka z deformacją ciała. Zabawne, ale ja to traktuję jak przejaw rasizmu. Uwierzyłyby pani, że w Luizjanie ktoś może być za bardzo biały? - Uśmiecha się.

- Pozwoli pan, że zapytam - mówi kobieta. - Łatwo dostaje pan oparzenia od słońca?

- Faktycznie, mam z tym problem - przyznaje Pinky.

- Ja też jestem dość blada, a do tego mam trądzik, więc od razu się palę. Jezu, olejek z filtrami nakładam łyżkami. Chodź pan tutaj ze swoim przyjacielem, zejdźcie w cień i opowiedzcie mi, co was sprowadza do Meadowlands.

„Tutaj” oznacza chwiejny, sklecony z dykty podest, wzniesiony na żuźlowych blokach. Za całe umeblowanie służą składane metalowe krzesła i mały wiklinowy stolik, na którym stoi popielniczka i leży plastikowy futerał z przyborami do mani-kiuru. Kobieta malowała sobie właśnie paznokcie u stóp - błyszczące czerwienią palce rozdzielone są zwitkami pianki.

- Jestem Pinky Streiber - przedstawia się detektyw. - A to jest Alex Callahan. - Podaje kobiecie rękę.

- Wybacz, złotko. - Kobieta pokazuje dłonie, rozczapierzając palce tak, byśmy mogli zobaczyć świeżo położony lakier na paznokciach. - Jeszcze nie wyschły. Jestem Dora Garri-ty - dodaje i odwraca się do mnie. - Znam pana z telewizji, dobrze mówię? - Nagle przychodzi olśnienie. - O mój Boże, to pan jest ojcem tych dwóch szkrabów. Chryste Panie! Boże przenajświętszy!

- Naszym zdaniem chłopców porwał Byron Boudreaux - informuje ją Pinky.

Dłoń Dory podrywa się i zakrywa usta; idealnie polakierowane na czerwono paznokcie wyglądają jak krople krwi na śniegu.

- Boże jedyny! - Znam uczucie, które wykrzywia jej usta i powoduje, że twarz jej się kurczy. To strach. Kobieta zapala papierosa, wypuszcza długą chmurę dymu i ciągnie: - Ten chłopak... Ten chłopak był zły od urodzenia. Zły do szpiku kości.

- Wie pani, gdzie można go znaleźć? Gdzie mieszka ktoś z jego rodziny?

Dora kręci głową.

- Przykro mi, skarbie. Z tym wam nie pomogę. Nie widziałam go, odkąd został aresztowany. Jego staruszkowie oczywiście nie żyją. Nawet nie wiedziałam, że wyszedł z wariatkowa. Kiedy go wypuścili?

- W dziewięćdziesiątym szóstym.

- No to cieszę się, że nie wrócił w te strony.

- A co z ludźmi, którzy mieszkają teraz w jego domu? To jacyś krewni Boudreaux?

- Nie. Claude i Mary nie byli właścicielami tej przyczepy. Jest na wynajem, rozumiecie. Więc od tamtej pory przewinęła się tu kupa ludzi.

- Właśnie coś mi przyszło do głowy - zwraca się do mnie Pinky. - Na pewno są jakieś dokumenty. Claude musiał coś po sobie zostawić. Przypomnij mi, że trzeba to sprawdzić.

- Z tego, co słyszałam, wszystko dostało się Byronowi - mówi Dora. - Lonnie, brat Claude'a, wkurzył się nie na żarty. Inna sprawa, że zanim Claude'a pochowali, mało co już zostało. Ale nie o to poszło, Lonnie był wściekły, że Byron w ogóle coś dostał. No ale skoro Byron powołał się na niepoczytalność i tak dalej, to w sensie prawnym nie popełnił zbrodni.

- Lonnie mieszka gdzieś tutaj?

- Umarł - oznajmia Dora.

- A przyjaciele? - wtrącam się. - Czy Byron miał tu jakichś przyjaciół?

- Ten chłopak nie miał żadnych przyjaciół. Ani jednego. Wtedy gdy zabił Claude'a, większość czasu spędzał w dzielnicy czarnuchów, zadawał się z jakimś szamanem.

- Z szamanem?

- Tak słyszałam. - Dora jeży się, słysząc sceptycyzm w moim głosie. - Mają tu takich, a co! Siedzą tu już ze trzysta lat, a jakby jeszcze nie wyszli z dżungli.

Wiem, że powinienem trzymać buzię na kłódkę, ale nie jest to proste.

- Wie pani, to... - zaczynam, ale Pinky przerywa mi:

- Zna pani tego szamana? Wie pani, jak się nazywa? Widać, że Dora wciąż jest urażona.

- Nie, proszę pana, nie wiem. A skąd ja mogłabym to wiedzieć?

- Ale Byrona pani знаła? - mówię.

- Złotko, on był moim sąsiadem. Jak mieszkasz w przyczepie, to większość czasu spędzasz na dworze. Ja się tu gnieźdźę już ponad trzydzieści lat. I możesz mi pan wierzyć albo nie, ale nie jestem rekordzistką. - Śmiech palaczki, właściwie kaszel. - Stary Ralph Guidry mieszka tu jeszcze dłużej.

- Może nam pani opowiedzieć o Byronie?

- A co was interesuje?

- Wszystko - wtrąca Pinky. - Cokolwiek. Nie wiadomo, co może nam się przydać, żeby go znaleźć.

- Hm... - Kobieta zapala kolejnego papierosa, mentolowego misty. - Niech no pomyślę. Byron był jednym z dwóch braci. Przynajmniej przez jakiś czas. Kiedy miał dziesięć lat, a jego brat, Joe, może ze cztery, Byron widział, chociaż niektórzy twierdzą, że się przyglądał, jak mały topi się w basenie publicznym. Teraz już go nie ma, ale znajdował się niecałą milę stąd. Wszystkie dzieciaki tam latały. Pinky patrzy na mnie.

- Właśnie o tym mówiła Vicky. Młodszy brat utopił się na jego oczach? Coś straszego. Czy Byron próbował go ratować?

- W tym rzecz... właśnie dlatego wam o tym opowiadam. Każdy uważał, że to okropna tragedia, ale niektórzy zastanawiali się, czy aby nie coś gorszego. Podobno to się stało w nocy, kiedy Byron wymknął się z bratem z domu. Więc raczej nie był to pomysł małego Joego, co nie? W każdym razie szwendali się po okolicy. Byron wpadł na pomysł i pomógł bratu przejść przez ogrodzenie basenu, który był oczywiście zamknięty. Z tego, co mówił, wynika, że biegali tam, aż Joe poślizgnął się i wpadł do głębokiej wody. A że żaden z nich nie umiał pływać, było po zawodach. Byron nie miał jak uratować brata.

- Nie umieli pływać? To po co poszli na basen? - dziwi się Pinky.

- Widzi pan, to ciekawa sprawa. Marie, matka Byrona, chodziła z synami na basen. Sama widziałam, jak rozkładali się z ręcznikami plażowymi i skrzydełkami do pływania. Ale kiedy Byron zeznał, że nie umie pływać, Marie nie pisnęła ani słowa. - Dora wzrusza ramionami.

- A zatem ludzie uważali, że... że Byron utopił brata?

- Tak podejrzewano. Widzicie, tam był taki aluminiowy pręt z siatką na końcu... taki do usuwania zanieczyszczeń z wody.

Kiwam głową, żeby mówiła dalej.

- No więc kiedy przyjechała policja, ten pręt leżał na fartuchu, suchy jak pieprz. Nietknięty. Byron też był suchy, no i na brzegach basenu nie było wody. Raptem godzinę wcześniej Marie



przeczytała chłopcom bajkę na dobranoc i położyła ich spać, aż tu nagle Byron biegnie ulicą, wrzeszczy, i wzywają policję. A jednak kiedy ratownicy dotarli na basen, wszystko było suchutkie.

- Hm. - Nie rozumiem, do czego ona zmierza.

- Widzi pan, jednemu z sanitariuszy nie dawało to spokoju, coś mu w tym wszystkim nie grało. W tych stronach woda nie paruje tak szybko. Przy tej wilgotności powietrza wszystko nam pleśnieje. No więc wyglądało na to, że Byron nawet nie podszedł do basenu i nie zanurzył rąk. Najwyraźniej nie próbował wyciągnąć brata. I dlaczego nie skorzystał z pręta? Przecież miał go pod ręką. Coś tu się nie zgadzało.

- Czy ja wiem? - mówię. - Wyciąganie wniosku, że dzieciak zabił brata, tylko na tej podstawie to daleki strzał. Może po prostu wrósł w ziemię? Zdarza się.

- Też tak myślałam - przyznaje Dora. - Przecież chłopak miał zaledwie dziesięć lat. A policji powiedział, że nie widział żadnego pręta. I nie pomyślał, żeby wyciągnąć brata. A potem tylko płakał i płakał, aż w końcu dali mu spokój.

- Dziesięciolatkowi należy się chyba domniemanie niewinności?

- O, tego chłopaka już wtedy ludzie się bali. Ale to nie wszystko. Był świadek, kelnerka wracająca z pracy w restauracji. Przechodziła wtedy koło basenu. Zeznała, że widziała, jak Byron siedzi na końcu trampoliny okrakiem i patrzy na wodę. Nikogo innego nie zauważyła, a już na pewno żadnych ganiających się dzieci. Było spokojnie jak na fotografii. Wobec tego gdzie się podział mały Joe?

- Hmm.

- Byron tłumaczył, że brat poszedł do łazienki. Ale kłamał, bo drzwi były zamknięte. Wszyscyśmy wtedy myśleli, że mały się topił, a Byron siedział na trampolinie i się przyglądał. Aż ciarki przechodzą, co nie? Po tej historii Marie nikomu nie pozwalała się do niego zbliżyć. Mówiła, że jesteśmy dla niego okrutni, że Byron okropnie się czuje, że wypłakuje oczy. No i tak to się skończyło, nikt nigdy o nic go nie oskarżył. Wiem, że śmierć Joego uznano za wypadek.

Dora delikatnie muska błyszczący paznokiec.

- Wiecie co? - mówi, wstając z cichym jękiem. - Długo wam mogę jeszcze opowiadać o Byronie, ale cosik mnie chyba suszy. - Obraca dłońmi w powietrzu. - Może byśmy tak skoczyli do Ralpha? Razem więcej sobie przypomnimy. On naprawdę dobrze ich znał. Pracował z Claude'em... ojcem Byrona. Razem robili na platformie. No i chodzili razem na ryby.

Prosi, żebyśmy zaczekali, i wraca po pięciu minutach, wciąż w papilotach, ale sandały do pedikiuru zamieniła na błyszczącą parę sportowych butów new balance.

- Idziemy pieszo? - pyta Pinky, patrząc na jej obuwie.

- Jeszcze czego! - prycha Dora. - Chcę się przejechać tą waszą bryką.

Ralph upiera się, że zrobi nam mrożoną herbatę. Szarmancko podaje każdemu z nas szklanekę, przeprosza i znika na chwilę, bo „musi po coś skoczyć”. Czekamy w malutkim, zagraconym meblami saloniku. Gospodarz wraca, niosąc dwa zakurzone albumy ze zdjęciami.

- Miałem wtedy hopla na punkcie fotografii - wyjaśnia, przerzucając strony, aż w końcu znajduje tę, której szukał. - O, jest.

Nachylamy się nad odbitką.

- To Claude - mówi Ralph, wskazując przystojnego mężczyznę z długimi bakami, siedzącego na ławce w parku. - A to jest Marie. - Pokazuje nam siedzącą obok męża kobietę o surowym wyrazie twarzy. Marie ma odwróconą głowę i z czułym uśmiechem patrzy na ładnego, dobrze ostrzyżonego

chłopczyka obok niej. Przedziałek na głowie dziecka jest prosty jak strzała.

- A oto i Byron - oznajmia Dora. - To zdjęcie zrobiono, zanim jeszcze pojawił się mały Joe. Marie świata poza nim nie widziała, prawda, Ralph?

- Oj, prawda, prawda. Żeby nie wiem co zmajstrował, dla niej był zawsze niewinny.

- Jak tylko sobie czegoś zażyczył, od razu mu kupowała - dodaje Dora. - Zabawki, gry, rowery. Nintendo. Gitarę. Batut. Gokarta. Okulary słoneczne za dwieście dolarów, dacie wiarę? Ubrania... Dla niego nic nie było za dobre czy za drogie.

- Claude też kochał tego chłopaka - dorzuca Ralph. - Tylko że on chciał mu wpoić trochę dyscypliny, wiecie, każdemu dziecku to jest potrzebne. Ale Marie nie dawała mu tknąć gówniarza palcem. Nawet nie pozwalała na niego nakrzyczeć. No i proszę, jak to się skończyło.

- Ja bym tam nie winiła rodziców - protestuje Dora. - Marie była słodka jak cukierek. Claude też był dusza człowiek. Według mnie ten chłopak był szurnięty od urodzenia.

- Może i tak - przyznaje Ralph. Znajduje kolejne zdjęcie, <sup>0</sup> jakieś dwa lata późniejsze. Byron ma na nim może z siedem lat. Ubrany jest w garnitur, cylinder i coś w rodzaju peleryny, a pod nosem ma wymalowane sumiaste wąsy. Za nim, na podwójnych drzwiach, wisi ręcznie wymalowany transparent z napisem: Byron Wielki.

Przypominają mi się słowa Karla Kavanaugh o tym, że magicy przeważnie zaczynają jako dzieci, i zdjęcie przyprawia mnie o gęsią skórkę.

- A właśnie, pokazy magiczne! - woła Dora. - Całkiem o nich zapomniałam. Byron sprzedawał bilety po ćwierć dolara, ale wszyscy płacili bez szemrania, bo Marie podawała lemoniadę, kanapki i sałatkę ziemniaczaną, więc w sumie człowiek wychodził na swoje.

- Jej sałatka ziemniaczana była nie z tej ziemi - wtrąca Ralph i dodaje dyplomatycznie: - Chociaż nie aż tak świetna jak sałatka Dory.

- Pamiętasz? - pyta Dora. - Oglądaliśmy jego występy, siedząc na składanych krzesłach, które nam ustawiał przed przyczepą.

- Jak na takiego smarkacza, był naprawdę dobry - mówi Ralph. - Nigdy nie wykombinowałem, jak on robił te, przepraszam za słowo, pierdoły. Miał na przykład taki numer... wkładał do garnka kilka piór i żdźbła trawy, mamrotał „abrakadabra” czy inne zaklęcia, podnosił pokrywkę i z garnka wylatywał ptak. Oglądałem ten garnek na własne oczy. Nie miał tam jak schować żywego ptaka.

„Klatka dla gołębi”, myślę, przypominając sobie opis Kavanaugh.

- Niech mi pan opowie o jego ojcu - prosi Pinky.

- Pracował na platformie, razem ze mną. Harował jak wół. Marie też pracowała, zajmowała się prasowaniem.

Z opowieści sąsiadów Boudreaux wynika, że Claude był w domu gościem. Praca w Anadarko oznaczała, że po sześć-tygodniowej zmianie na platformie wiertniczej w Zatoce Meksykańskiej miał trzy tygodnie na pobyt z rodziną.

- Ale jak już wracał z roboty, to też nie po to, żeby cały czas siedzieć w domu. Raczej wypływał na ryby albo na krewetki. - Ralph wybucha śmiechem. - Przeważnie ze mną.

- Braliście ze sobą Byrona?

- E tam. To go nudziło. Zawsze wolał zostać w domu z mamą.

- A czy oni chodzili do kościoła? Słyszałem, że Byron jako młody chłopak był kaznodzieją.

- O Boże, fakt - potwierdza Dora. - Wie pan, oni zawsze chodzili do kościoła, ale dopiero po śmierci Joego Byron zrobił się taki religijny.

- Nawrócił się - precyzuje Ralph.

- Co zrobił? - dopytuje się Dora. - Skądżeś ty to wytrzasnął?

Ralph oblewa się rumieńcem.

- Studiowałem Biblię. Tak to się nazywa... nawrócił się, tak jak Paweł w drodze do Damaszku.

Rozumiesz, po tym jak Joe się utopił, Byron zaczął się zastanawiać nad życiem doczesnym.

- Nic nie wiem o jakimś tam nawróceniu, ale ten chłopak potrafił prawieć kazania, miał do tego smykałkę - mówi Dora. - Do każdego, kto chciał go słuchać, przemawiał, stojąc na moście, a nawet recytował Biblię na nabrzeżu, kiedy łodzie wracały z połowu krewetek. Obracał się tam wśród takich ludzi, że Marie rwała włosy z głowy. Wiecie, same pijaki i tak dalej. Ale Byrona nie sposób było powstrzymać. Zdaje się, że słyszał nawet jako uzdrowiciel, prawda, Ralph?

- Jasne, że prawda. Ludziska gadali, że ma powołanie. - Ralph przerywa, a po chwili mówi dalej: - To tylko takie bzdety, wiadomo. Ale ludzie go słuchali, bez dwóch zdań. Ten mały miał talent estradowy.

- O czym pan mówi? - wtrącam. - Jaki talent estradowy?

- No, kiedyś na przykład wygłaszał kazanie o uchylaniu się od odpowiedzialności. Gada o Poncjuszu Piłacie, na ołtarzu ma szklaną miskę z wodą i trajluje o tym, jak to Piłat umył ręce... „Ja nie mam nic wspólnego z Jezusem Chrystusem”. Jednocześnie namydła ręce, zanurza je w misce i woda robi się czerwona jak krew. Jasny gwint, nie macie pojęcia, jakie to robiło wrażenie! Publika wyje „Oooooo!”, a Byron unosi ociekające krwią dłonie i grzmi o tym, jak to Piłat nie może zmyć krwi ze swoich rąk.

- To jakaś sztuczka.

- Claude tłumaczył mi, że to było jakieś specjalne mydło, w każdym razie dawało efekt jak trzeba, rozumiecie? Byron miał dużo takich bajerów. Pstrykał palcami i buchały wielkie kłęby dymu. No a potem była ta historia ze szczeniakiem i... - Odwraca się do Dory. - Nie wyrzucili go za to z kościoła?

- Co to za historia ze szczeniakiem? - pyta Pinky.

- To się wydarzyło później, kiedy miał już kilkanaście lat - wyjaśnia Dora.

Nie słucham jej. Myślę o wygłaszającym kazania dziecku, którego ręce ociekają „krwią”. Który pstryknięciem palców powoduje, że wybuchają kłęby dymu. O chłopcu, który robi magiczne sztuczki.

Byron Wielki już w wieku siedmiu lat szlifował swoje umiejętności. Przed oczami stajami siostry Gabler. Przebrane w kostiumy. Policyjna fotografia dolnej części tułowia Clary Gabler. Myślę o dzieciach Ramirezów. Jedno z nich zostało poćwiartowane. O synach Sandling, którzy wspinali się po linach i „ćwiczyli”. Po co? W jakim celu?

„Miał talent estradowy”.

A kiedy zaczynam myśleć o tym, co ten psychol szykuje dla moich dzieci...

- Dobrze się czujesz? - pyta mnie Pinky.

- Może jeszcze mrożonej herbaty? - proponuje Ralph. Kręcę głową.

- Nic mi nie jest.

- Więc jak to było z tym szczeniakiem? - dopytuje się Pinky.

Dora marszczy brwi.

- Mogę zapalić, Ralph?

- Na zdrowie ci to nie wyjdzie, ale nie krępuj się.

- Ten szczeniak... - zaczyna Dora. - O mój Boże. Po tym już wszyscy wiedzieliśmy, że ten chłopak

jest naprawdę nienormalny.

- I to położyło kres jego kazaniom - dorzuca Ralph.

- Ale co on zrobił? - naciska Pinky. - Zameczył zwierzaka?

- Gorzej - odpowiada Ralph.

- A co może być gorszego? Nasz gospodarz wzdycha ciężko i zaczyna się kołysać na bujaku.

- Była Gwiazdka. Może to tylko takie gadanie po fakcie, ale teraz ludzie mówią, że już wtedy bali się Byrona. Nikt nie potrafi powiedzieć, na czym konkretnie to polegało, ale czuli się przy nim nieswojo. Po prostu nikt nie chciał przebywać w jego towarzystwie. Ciągłe jeszcze wygłaszał kazania, a kiedy nie nawracał ludzi, znikał gdzieś na całe godziny. Ile on wtedy miał? - Odwraca się do Dory. - Czternaście lat? Kobieta przytakuje ruchem głowy.

- Marie nic tylko się zamartwiała - ciągnie Ralph. - Mówiła, że on ma gdzieś jakąś kryjówkę, ale nie wiedziała, gdzie się podziewa i co robi.

- A chłopiec, który mieszkał obok niego, dostał na Gwiazdkę szczeniaka - wtrąca Dora i wzdryga się.

- Pamiętacie, jak Dora opowiadała, że Byron dostawał wszystko, czego sobie zażyczył?

Pinky i ja kiwamy głowami.

- Z jednym wyjątkiem - ciągnie Ralph. - Marie miała ciężką astmę i nie mogła trzymać w domu zwierząt. Wicie, od razu zaczynała świszczeć i lądowała w szpitalu. Dlatego Byron nie mógł dostać psa, kota ani nawet królika.

Dora przechodzi do rzeczy:

- No więc było tak. Emory Boberg, ten mały z sąsiedztwa, dostał pod choinkę szczeniaka, ślicznego golden labradora. Wyszedł z nim na spacer i kiedy przechodził obok przyczepy Byrona, ten go zapytał, czy może pobawić się z pieskiem. Emory nie chciał się zgodzić, ale bał się Byrona, więc mu pozwolił. Byron dał mu pieniądze i wysłał go po lody, a kiedy Emory zniknął z widoku, wykopał na podwórku dół i zakopał szczeniaka po szyję. Ba, żeby to ja była w domu, może udałoby mi się temu zapobiec, ale wyjechałam akurat do Lafayette, do siostry.

- Później Byron próbował się z tego tłumaczyć - przejmuje pałeczkę Ralph. - Wstawiał głodne kawałki, jak to pies próbował ściągnąć obrozę, więc go zakopał, żeby mu się nie urwał ze smyczy. Bo musiał się zająć swoją robotą. Jakby nie mógł poczekać dziesięć minut, aż Emory wróci ze sklepu. Kto by dał wiarę, że Marie naprawdę kazała mu skosić trawnik... pod koniec grudnia! No w każdym razie wyciągnął z szopy kosiarkę elektryczną i zaczął strzyc trawnik.

- Och! - Na samo wspomnienie Dora z jękiem chowa twarz w rękach. - Dobry Boże!

- Mały Emory wrócił w samą porę, żeby zobaczyć, jak Byron ścina szczeniakowi głowę. Ale się rozdarł! Ja wtedy siedziałem tutaj, i razem z wszystkimi w okolicy poleciliśmy na złamanie karku. A tam krew tryska jak gejzer! Nawet sobie nie wyobrażacie.

- Odciał psu głowę kosiarką?!

- Matka Emory'ego wezwała policję. Przyjechali, ale nie kupili bajeczki Byrona, który upierał się, że to był wypadek.

- Oskarżyli go o znęcanie się nad zwierzętami - wtrąca Dora.

- I co się z nim stało?

- Nic. Adwokaci go wybronili. A Bobergowie czym prędzej się stąd wynieśli.

- Ludzie zaczęli gadać, że z młodym Boudreaux coś jest nie w porządku - wyjaśnia Ralph. - Że brak mu piątej kleпки, albo i szóstej. Rodzice kazali swoim dzieciakom trzymać się od niego z

daleka. A w kościele nie pozwolili mu więcej wygłaszać kazań.

- Wkrótce potem Byron porzucił szkołę - dodaje Dora. - Zaczął się szlajać po Morgan City... - Gasi papierosa. - I zadawać się z tym szamanem... czarnuchem.

Ten przejaw rasizmu tak mnie brzydzi, że mam ochotę wyjść. Wstaję, lecz Pinky nie zwraca na mnie uwagi.

- Wiecie, jak się nazywa ten facet?

- Już panu mówiłam - odpowiada Dora. - Skąd ja bym mogła znać kogoś takiego?

- Ja chyba wiem, o którego chodzi, ale nazwiska nie znam. Przejedźcie się do Morgan City i popytajcie w okolicy - radzi nam Ralph. - Ktoś na pewno wam powie, gdzie go znaleźć. Ludziska zjeżdżają się do niego aż z Nowego Orleanu i pytają, jaki numer padnie na loterii albo kto wygra finały w kosza. Ten gościu to światowa sława.

- I pytać o, hm... „szamana”? - upewnia się Pinky. Tylko tyle?

- Po prawdzie to oni nie nazywają siebie szamanami - wyjaśnia Ralph. - W voodoo jakoś tak się to nazywa, ale nie pamiętam. Higgan? Hungin?

- Hungan - podpowiada Pinky.

- O właśnie. Tylko że w mieście jest ich kilku. Chcecie znaleźć tego, z którym Byron się zadawał po tej historii ze szczeniakiem, to pytajcie o gościa, co nie ma górnej wargi.

- Bez jaj - rzuca Pinky.

- Jak Boga kocham! - zaklina się Ralph. - Widziałem na własne oczy. Może w voodoo to taki bajer? Nie wiem, skąd to okaleczenie. - Jego usta wykrzywia ni to uśmiech, ni to grymas. - On twierdzi, że jakiś zombi wkurzył się na niego i odgryzł mu wargę.

- Odgryzł mu wargę? - Dora szybko wciąga powietrze i prawie niedostrzegalnie, zabobonnie robi znak krzyża.

- O tak - pokazuje Ralph, wysuwając głowę w jej kierunku i kłapiąc zębami. - Jak zółw.

Kobieta krzyczy z przerażenia.

- Ciach! - mówi Ralph. - Jedno kłapnięcie szczęk i po krzyku.

### Rozdział 35

Wpadamy z Pinkym na szybki lunch do Kathy's - obskurnej nory na Bayou Boeuf, w której oprócz kanapek i czegoś do picia można dostać nocleg z wyżerką i wynająć łódź.

- To rozumiem, buła jak się patrzy - mówi Pinky z uznaniem, popijając ostatni kęs wielkim haustem coca-coli. - W Orleanie jest gdzie dobrze zjeść, ale coraz trudniej o dobrą bułę z wkładką. Ja osobiście wyznaję teorię, że na porządną kanapkę trzeba się wybrać na wieś, bo w mieście za często zmieniają tłuszcz. Co ty na to, Arthur?

Arthur to facet za ladą i najwyraźniej stary znajomy Pinky'ego („Jedno pewne, mnie nikt nigdy nie zapomina” - wyjaśnił mi detektyw). Rozdziawia czarną twarz w sympatycznym bezzębnym uśmiechu i kręci głową.

- To miał być komplement, czy mam rozumieć, że w moim tłuszczu są włosy?

- Poważnie! - przekonuje go detektyw. - To tak jak z wołowiną. Musi być stara, młoda nie ma bukietu. Jest nijaka. Bez smaku.

- *Ca s'adonne. Comme ca se fait ici?* Bo nie tylko dla moich kanapek, co to, to nie.

- *Mój ami tout mauvais* - wyjaśnia Pinky, wskazując na mnie i powoli, ze smutkiem kręcąc głową. - Ktoś porwał jego dzieci.

- *No!* - Arthur przygląda mi się ze zgrozą i wraca spojrzeniem do Pinky'ego. - *Yraiment?*

Wdają się w rozmowę w dialekcie, którego nie rozumiem. W końcu detektyw mówi:

- To małe szkraby, przyjacielu. Raptem sześć lat. Mój przyjaciel łamie sobie głowę i serce, próbując ich znaleźć. Boi się, że spotka ich coś złego, rozumiesz. No i poszukiwania porywacza sprowadziły go w te strony.

- Do Kathy's? - Oczy Arthura wędrują do mnie.

- Nie, nie do Kathy's, nie bezpośrednio. Najpierw do Berwick, gdzie mieszkał ten, którego szukamy. Tam się wychował.

- Ścigacie go?

- Zgadza się. *Boute d boute*.

- Jakiś czarny?

- Nie, biały. - Śmiech. - Ale nie aż tak biały jak ja. To szaleniec, nazywa się Byron Boudreaux. Znasz go?

Arthur kręci głową.

- Ja? Nie, nie znam.

- Sprawa ma się tak. Podobno ten Byron zadawał się z hunganem z Morgan City. To było ładne parę lat temu, szmat czasu.

Murzyn robi wielkie oczy.

- Jaja se ze mnie robisz?

- Tak słyszeliśmy. Chcemy odszukać tego hungana, może wie, gdzie Byron się teraz obraca... bo naszym zdaniem jeśli znajdziemy Byrona, znajdziemy też chłopców. O tym hunganie wiemy tylko tyle, że nie ma górnej wargi.

- *Ain?* - Barman ściska swoją górną wargę kciukiem i dwoma palcami. - Nie ma górnej wargi?

Pinky przytakuje.

- Tak mi mówiono.

- Słyszałem o nim - przyznaje Arthur. - Powiadają, że pocałował go zombi i odgryzł mu wargę.

On sławny człowiek.

- Jak się nazywa? - pytam.

- Diment. On jest ten hungan bez wargi. Doktor Aristide Diment. Ma wielkie bizango.

- Co to jest bizango? - dopytuję się.

- Hungan to kapłan voodoo, tak? A bizango to jego parafianie, tyle że są ze sobą bardzo związani, jak rodzina - wyjaśnia Murzyn.

- Coś w rodzaju tajnego stowarzyszenia - dorzuca Pinky.

- Chorujesz, masz jakiś życiowy problem albo potrzebujesz rady, to idziesz do hungana - tłumaczy Arthur. - Hungan wie, jak zadowolić loa, wie, jak zrobić mojo... żeby utrzymać małżeństwo, znaleźć sobie pannę albo mieć powodzenie w interesach. Niektórzy znają się też na czarnej magii. Odprawiają obrzędy lewą i prawą ręką. - Spuszcza oczy i ledwie dostrzegalnie kreśli znak krzyża. - Doktor Diment... on jest jednym z nich.

- Odprawia obrzędy lewą i prawą ręką? Barman kręci głową, nie podnosząc wzroku.

- To znaczy, że kapłan jest czarownikiem - wyjaśnia Pinky. - Ma zdolności paranormalne. Jedną ręką oddaje cześć bogu, drugą uprawia czarną magię.

Kiwam głową.

- A zatem Diment zajmuje się magią. Teraz rozumiem, dlaczego Boudreaux się nim interesował.

- Owszem, ale to nie takie proste - hamuje mnie Pinky. - Voodoo jest bardzo, ale to bardzo

skomplikowane. Można się nim zajmować latami i nadal nic nie rozumieć. Ja wiem co nieco na ten temat, bo kiedyś prowadziłem taką sprawę. Pewna kobieta umarła, podobno pod wpływem klątwy, ale jej rodzina w to nie wierzyła. Zwrócili się do mnie i okazało się, że została zamordowana.

- Trucizna? - pyta Arthur.

Detektyw przytakuje ruchem głowy i wyjaśnia mi:

- Jedne zioła leczą, napary z innych wywołują choroby. Hungani i manbo, czyli kapłanki, zajmują się badaniem leczniczych i trujących właściwości zwierząt i roślin. To należy do ich wykszolenia. - Odwraca się do Arthura. - Dobrze mówię?

- Z grubsza tak - potwierdza Murzyn z ciepłym uśmiechem. - Można by rzec, że w tym sensie szaman jest doktorem.

- Podobno oni leczą tylko z chorób wywołanych przez siły nadprzyrodzone - dodaje detektyw i kiwa głową Arthurowi. - Wiesz, że ten Byron Boudreaux otruł własnego ojca i poszedł za to siedzieć?

Barman krzywi się.

- Trucizny od zawsze są nierozdzielnie związane z yoodoo - ciągnie Pinky, stukając szklanką o blat. - Na karaibskich plantacjach niektórzy niewolnicy używali wolno działających trucizn, żeby się pozbyć swoich panów. Właśnie dlatego u nas zaniepokoił się religią niewolników. No i dochodziły jeszcze pogłoski o działaniu sił nadprzyrodzonych... chrześcijanie rozumieli to oczywiście jako dzieło szatana. Czary. Więc mając do czynienia z truciznami i potęgą magii, plantatorzy raz dwa wystraszyli się na śmierć. Nikt nie wiedział, kiedy spotka go coś złego, kto rzuci na ciebie klątwę albo zatruje twoje jedzenie. I wtedy ci z rządu na poważnie zabrali się do zwalczania tej religii.

- Próbowali ją wykorzenić?

- A jakże, próbowali do usranej śmierci. Wykombinowali, że jeśli państwo będzie działało ręką w rękę z Kościołem, to wspólnymi siłami wypłenią voodoo. Ale skutek był taki, że represje zepchnęły voodoo do podziemia... tyle że ukrywało się w pełnym świetle. Widzisz, niewolnicy mogli nadal praktykować swoje wierzenia tylko w jeden sposób... udając chrześcijan, do czego sami właściciele ich zachęcali. Dlatego z czasem voodoo zupełnie wymieszało się z obrzędami chrześcijańskimi. W rezultacie wszystkie loa, czyli bóstwa rządzące światem duchowym, mają swoich odpowiedników wśród chrześcijańskich świętych. Na przykład loa Legba to święty Piotr.

- Słyszałem o tym. - Przypominam sobie wykład Scotta o postaci na dziesięciocentówce: o Merkurym, świętym Piotrze, no i o Legbie.

- Rozumiesz, o co chodzi? Niewolnicy okazywali pobożność, udając, że czczą świętego Piotra, chociaż tak naprawdę oddawali cześć Legbie. Zresztą po jakimś czasie czcili już i jednego, i drugiego. - Pinky zwraca się do Arthura: - Daj jakiś inny przykład.

- Dziewica Maryja to Ezili. Święty Jan Chrzciciel to Chan-go. Święty Patryk to Dambala Wędo. I tak dalej, i tak dalej.

Odwracam się do barmana.

- A wracając do Dimenta... Poznał go pan?

- *Jamais* - zaprzecza Murzyn. - Ale słyszałem o nim. Mieszka w Morgan, koło cmentarza. Wracajcie do miasta drogą sto osiemdziesiąt dwa, a tam skręćcie w Myrtle i zjedźcie nad wodę. Przejedźcie na drugą stronę torów, a potem jeszcze kawałek, aż zobaczycie Lasseigne, taki sklepik na rogu. Zapytajcie Felixa, on tam pracuje. Powiedzcie, że ja was przysłałem. On wie, gdzie znaleźć *Maitre Dimenta*.

- Dzięki, Arthur.

- O tak - dodaję, ściskając rękę barmana. - Wielkie dzięki.

- *Pas de quoi. Bonne chance.* - Kiwa do mnie głową. - Mam nadzieję, że znajdzie pan swoje dzieci.

Felix jest niewysoki, ma skórę o barwie kawy. Pinky rozmawia z nim w niezrozumiałym kreolskim żargonie. Felix wyciąga niedokładną mapę i wkrótce jesteśmy z powrotem w Bimmer. Uliczny termometr wskazuje trzydzieści osiem stopni. Dobrze, że nie chodzi o wilgotność powietrza, która w moim odczuciu przekracza sto procent, tylko o temperaturę, bo zabrakłoby skali.

- Wracając do tej wargi... Jeżeli przypadkiem nie wierzysz w zombi, jest jeszcze inne wyjaśnienie - mówi Pinky. - Kiedyś już się z tym spotkałem. Tego rodzaju okaleczenie przytrafia się tym, których przyłapią na zabawianiu się z czyjąś córką albo żoną. Wtedy ojciec, ewentualnie mąż, tak oszpeca facetowi twarz, żeby już żadna kobieta na niego nie poleciała.

- Zawsze to przynajmniej uczciwe postawienie sprawy. Obok miejskiego liceum ktoś strzyże trawę na szkolnym boisku. Wiszący na drucianej siatce plakat informuje: OTWARCIE SEZONU 28 SIERP. Mężczyzna obsługujący kosiarkę jest nagi do pasa i zlany potem. Przed słońcem chroni go zawiązana na głowie chustka i przytwierdzony do kosiarki parasol. Trudno uwierzyć, że ktokolwiek chciałby grać w futbol w tym upale, a jednak pierwszy mecz sezonu odbędzie się już za niecały miesiąc. Tuż za szkołą grupka dzieciaków w strojach gimnastycznych stoi przed straganem z lodami, który reklamuje LODY W KULKACH.

- Felix radził, żebyśmy przywieźli Dimentowi jakiś prezent - przypomina Pinky, skręcając za róg i parkując przed sklepem monopolowym. - Podobno doktor ma słabość do rumu.

Wkrótce znowu ruszamy w drogę. Na skrzyżowaniu detektyw zatrzymuje się i sprawdza trasę na mapie. Po prawej stoi mała drewniana buda, niemal połknięta przez otaczającą ją roślinność. Wygląda, jakby w każdej chwili miała się rozlecieć, lecz przed wejściem parkuje jasnoczerwony pick-up, a na dachu sterczy antena satelitarna.

- Moim zdaniem powinniśmy tu skręcić w prawo - mówi Pinky. - Zobaczmy.

Jeszcze kilka zakrętów i asfalt przechodzi w szutrową drogę. Mniej więcej milę dalej zajeżdżamy przed niczym niewyróżniający się prostokątny budynek z betonu. Plac od frontu to goła ziemia, tu i ówdzie usiana chwastami i zryta koleinami, w których stoi woda. Jedyne niewielkie okienko wygląda, jakby brutalnie wybito je w murze już po zbudowaniu domu. Można by pomyśleć, że to szopa na rupiecie, gdyby nie wykonane ze sznurów plastikowych paciorków „drzwi”. Widywałem takie drzwi w Afryce. Paciorki wpuszczają do środka powietrze, ale zatrzymują muchy. Przynajmniej teoretycznie.

- Jesteśmy na miejscu - oświadcza detektyw, bębniąc palcami po tablicy rozdzielczej. - *Chez Diment.*

- Na to wygląda.

Gdy wysiadamy z samochodu, żar leje się z nieba. Pinky wciska guzik pilota i samochód błyska światłami.

Do drzwi nie da się zapukać, więc detektyw rozchyła paciorki i wsuwa głowę za próg.

- Halo?

- Wchodźcie! - woła czyjś głos z oddali.

W środku panuje mrok i jeszcze większy upał niż na zewnątrz. Jest duszno. Nie ma czym oddychać. Przez zapach kurzu i olej ku eukaliptusowego przebija się odór ludzkich ciał,



ekskrementów, moczu i potu. W ciągu tych kilku chwil, potrzebnych, by oczy przyzwyczyły się do ciemności, wsłuchuję się w otaczające mnie dźwięki - ciężki oddech, pociąganie nosem, kaszel. Ktoś jęczy. Wkrótce dostrzegam, że kilkanaście leżących na podłodze brył to ludzie... sądząc z rozmiarów, głównie dzieci.

- Słyszałem o tym - mówi Pinky. - To klinika. Coś w rodzaju szpitala voodoo.

Natychmiast - choć wstydzę się tej reakcji - odruchowo zaczynam oddychać płyciej.

- Tędy! - woła gromki głos z głębi pomieszczenia. Z trudem dostrzegam otwarte drzwi, a za nimi błysk kolorowych lampek, takich, jakie wieszają się na choince. Ruszam za detektywem przejściem między pacjentami, którym za szpitalne łóżka służą rozciągnięte na podłodze słomiane maty.

- Tutaj, chodźcie tutaj - powtarza czyjś głos. Przechodzimy przez otwarte drzwi do drugiego pomieszczenia. Dwa razy mniejsze od mojego pokoju hotelowego, oświetlone jest tylko sznurem lampek i kilkoma świecami wotywnymi. Przed sobą mam coś w rodzaju ołtarza - schodkową piramidę pełną najrozmaitszych przedmiotów. Omiotam je wzrokiem - dziecięca grzechotka, czarny grzebień, figurki ubrane w koraliki, butelki z jakimiś płynami, sznury powiązane w skomplikowane węzły, krzyże, z których wiele okręconych jest sznurkiem, pomalowana czaszka, obwiązane sznurkiem części garderoby, kwiaty, bilety (także przewiązane sznurkiem), jaskrawe, udekorowane paciorkami dzbanki, ikony przedstawiające Dziewicę Maryję z Dzieciątkiem ze złotymi aureolami, plastikowe sople lodu, miniaturowe samochody matchboxa, mała piłka futbolowa, plastikowe laleczki, fotografia Johna F. Kennedyego, drewniana rzeźba szaleńca w smokingu, zaciągającego się cygarem...

W pokoju stoi pięć składanych krzeseł, a na jednym z nich zasiada doktor Diment we własnej osobie. Jego zęby i oczy błyszczą w ciemności. Brak wargi działa onieśmielająco, bo wszystkie górne zęby sterczą odsłonięte, co sprawia wrażenie, jakby patrzyło się na czaszkę.

- Witajcie - odzywa się Diment głębokim głosem. - Biały człowiek i nieco mniej biały człowiek.

- Znosi się chichotem.

- Pinky Streiber - przedstawia się detektyw. - A to jest Alex Callahan.

Podajemy sobie ręce.

- Panie Streiber, pan jest tak biały, że mógłby pan robić za źródło światła. - Kolejny chichot. -

Siadajcie i powiedzcie, w czym doktor Diment może wam pomóc.

Podaję mu butelkę rumu Appleton. Diment przygląda jej się, po czym z uznaniem sztywno kiwa głową.

- Dziękuję. To miło z waszej strony. - Następny życzliwy chichot. - Dobry trunek. Rozpuszczacie mnie takim clairinem.

- Clairin to rum - wyjaśnia mi Pinky. - Biały i mocny.

- Pan zna tutejsze zwyczaje - zauważa Diment. - Jest pan tłumaczem swojego przyjaciela. To dobrze, że pan mu pomaga. Ale który z was potrzebuje pomocy doktora, pan?

Przecieram czoło. Po plecach spływa mi pot. Kiwam głową.

- Interesuje mnie Byron Boudreaux. Podobno był pańskim przyjacielem. Usiłuję go znaleźć.

- Byron - powtarza Diment przeciągle i wzdycha. - Byron nie ma przyjaciół.

- Słyszeliśmy, że pan go zna - wtrąca Pinky.

Napijmy się - proponuje Diment. Odkręca nakrętkę, pociąga długi łyk z gwinta i podaje mi butelkę. Nawet pomimo półmroku widzę strużkę śliny, ściekającą mu po brodzie. Ślina, brak wargi, kaszel i jęki dobiegające z drugiego pokoju - wszystko to sprawia, że nie mam najmniejszej ochoty

pić z tej butelki. Ale wiem, że muszę to zrobić. Pociągam tęgi łyk. Pałacy rum miło sływa do żołądka. Pinky odmawia i oddaje butelkę Dimentowi.

Teraz, kiedy moje oczy przyzwyczyły się już do ciemności, lepiej widzę doktora. Mam przed sobą niezmiernie chudego człowieka (czyżby AIDS?) w brudnym białym podkoszulku i podartych szortach khaki. Na nogach ma stare plastikowe klapki.

- Dlaczego interesuje się pan Byronem? - pyta, po czym unosi rękę i powstrzymuje mnie ruchem dłoni. - Nie, niech pan jeszcze nie mówi. Najpierw zajrzyjmy w karty.

Wyjmuje talię kart i rozdaje je na małym stoliku przed sobą. Robi to w szczególny sposób, odrzucając co piątą czy szóstą kartę. Potem podnosi te, które rozdał dla siebie. Są tak stare i zużyte, że kiedy je rozkłada, odginają się i opadają na kostki jego dłoni. Czyżbym miał halucynacje? Karty przypominają mi oklapnięte miękkie zegary Salvadora Dali. Diment podpira je lewą ręką, by trzymały się prosto, patrzy na nie i krzywi się.

- Dobrze - mówi, miesza swoje karty z resztą talii i odkłada je na stolik, koszulkami w górę. - Teraz niech mi pan powie, dlaczego interesuje się pan Byronem.

- Myślę, że porwał moich dwóch synów.

- Tak?

- Sądzę, że zamierza ich zabić.

- Hmmm. - Dotyka okaleczonej wargi.

- Potrzebna mi pańska pomoc...

- Powiem panu tyle - przerywa mi Diment. - Byron przyszedł do mnie po tym, jak zabił tego pieska. Słyszał pan o tym?

- Tak.

- Po tej historii nikt nie chciał z nim rozmawiać. Rodzice kazali swoim dzieciom trzymać się od niego z daleka. Kościół też się od niego odwrócił. Byron odszukał mnie na cmentarzu, kiedy rysowałem veve\*. Zaciekawiał się, więc powiedziałem mu to i owo. Następnego dnia przyszedł po szkole, żeby mi pomóc. Robił dla mnie różne rzeczy... sprzątał klinikę, nawet podcierał tych biedaków, jak się któryś zesrał. - Ruchem głowy wskazuje drugi pokój. - W zamian za to chciał się dowiedzieć tego, co ja wiem. Jak działa świat.

Diment pociąga kolejny łyk rumu i podaje mi butelkę. Ja także piję.

- Ta historia z psem... - podejmuje szaman, kręcąc głową. - Rozmawialiśmy o tym, ja i Byron. Powiedziałem mu, że zabicie psa to nic złego... zabicie samo w sobie. Pies to jakby kurczak z ogonem.

- Jak mam to rozumieć?

Diment puszcza moje słowa mimo uszu.

- Złe było to, że zabił zwierzę tylko dlatego, że chciał popatrzeć, jak się wykrwawia. Powiedziałem mu: „Byron, nikomu nic dobrego z tego nie przyszło, zwłaszcza tobie”. Dlatego śmierć tego psa to strata. Strata juju\*\*.

- I co dalej?

- Nic - ucina Diment.

- Nie rozumiem. Kapłan wskazuje na ołtarz.

- Odpowiedź, której pan szuka, jest tutaj. Ma pan ją przed oczami.

Wlepiam wzrok w ołtarz, ale widzę tylko dziwaczną wystawę tandetnych świecidełek.

- Nic więcej nie mogę panu powiedzieć - oświadcza Diment.

- Przecież na razie nic pan mi nie powiedział. Czy wie pan, gdzie jest Byron? Jak mogę go znaleźć?

Kapłan wygląda, jakby mu było przykro z tego powodu, lecz tylko kręci głową.

- Przyjacielu, pan nie rozumie. Byron jest częścią bizango. Tworzymy zamknięty krąg. Gdybym powiedział panu o nim coś więcej, zawiódłbym jego zaufanie.

Pinky zaczyna wyliczać powody, dla których Diment powinien nam pomóc, w tym także pieniądze. Ja błagam doktora. On jednak jest nieugięty. Nic więcej nam nie powie.

- Mam zasznurowane usta - rzuca żartem.

- To się musi dać jakoś obejść - podsuwa Pinky. - Zawsze jest jakiś sposób.

- Być może jest jeden - odpowiada szaman. - Jeśli ten człowiek chce się dowiedzieć więcej, musi zostać jednym z bizango. Wtedy nie mielibyśmy przed sobą tajemnic.

- Świetnie - mówię. - Gdzie mogę się zapisać? Kapłan wybucha śmiechem.

- To nie takie proste. Najpierw musi się odbyć ceremonia. Inicjacja.

- Zrobię wszystko co trzeba.

- Niektórym nie przychodzi to łatwo - ostrzega Diment. - Dlatego że musisz uwierzyć... we mnie, w bizango. Wtedy odrodzisz się na nowo w voodoo. Zostaniesz jednym z nas.

- Muszę „uwierzyć”?

- Nie chodzi o wiarę w coś konkretnego - wyjaśnia kapłan. - To tak jak z lataniem samolotem. Powierzasz swoje życie pilotowi i tym, którzy zbudowali samolot. Ufasz im. Zapinasz pasy. Kołujecie na pas startowy. Nie rozumiesz, jakim cudem maszyna unosi się w powietrzu, nie znasz ludzi za sterami, a mimo to wsiadasz, zapinasz pasy i wierzysz, że wylądujesz tam, gdzie chcesz dolecieć. Na tym to właśnie polega. Pokładasz wiarę w bizango. Przechodzisz inicjację. Ufasz nam. - W geście szczerości rozkłada szeroko ręce, odwołując się do mojego racjonalizmu.

- No nie wiem - mówi Pinky. - Słyszałem, że takie rzeczy bywają niebezpieczne.

- Niebezpieczne? - powtarza Diment. - Oczywiście. Tak samo jak przechodzenie przez ulicę. Złota jest tak, że możemy je wzywać, znamy je, ale nie mamy nad nimi władzy, o nie.

- Czy to jedyny sposób, żeby powiedział mi pan coś więcej o Byronie?

- Jedyny.

- Więc nie ma sprawy. Piszę się na to.

- Jest pan pewien? - upewnia się kapłan.

- Absolutnie.

- To niech pan wróci o północy.

- Dzisiaj?! Diment kiwa głową, wstaje i rusza do drzwi. Kiedy torujemy sobie drogę między skulonymi w upale i ciemności biedakami, ni z gruszki, ni z pietruszki zadaje mi kuriozalne pytanie:

- Jaki rozmiar ubrań pan nosi?

- Jaki rozmiar?

- Tak! - Jest wyraźnie zły. - Jaki rozmiar?

- Czterdzieści dwa - odpowiadam.

- A, to doskonale. - Odsuwa paciorki na bok. Wychodzi my z Pinkym na dwór, a paciorki opadają za nami z przypominającym bulgot dźwiękiem.

Światło razi mnie w oczy jak po wyjściu z kina w biały dzień. W słonecznej mgiełce widzę obrazek z ołtarza Dimen-ta - malowaną ikonę, przedstawiającą dwóch chłopców; każdy z nich ma złotą aureolę wokół głowy, a w ręku ptasie pióro. Bliźnięta! Ciekawe, jakie znaczenie ma ikona?

Muszę zapytać o to kapłana. Samochód Pinky'ego wydaje cichy pisk i słyszę mechaniczny trzask elektrycznie otwieranych drzwi.

- Ouuua! - rzuca detektyw, kiedy już siadamy w wozie. - Wątpię, żebym umówił się jeszcze z doktorem D. w tym miejscu.

- Czemu nie? O co mu chodziło z tym rozmiarem ubrań? I

- Nie sądzę, żeby chciał cię zabić dla twoich khaki, ale kto wie? - mówi Pinky, przekręcając kluczyk w stacyjce i opuszczając szyby. Ruszamy. - Facet wygląda jak chodząca śmierć! \ Nie martwi cię to, współniku? I po kiego się pytał, jaki rozmiar j nosisz? No a to gadanie, że szczeniak „to jakby kurczak z ogonem”. Co on chciał przez to powiedzieć, he? Moim zdaniem chodziło mu o to, że wszystkie żywe stworzenia to tylko siła j życiowa, coś, co można złożyć w ofierze. A jeśli do ciebie podchodzi w ten sam sposób?

- Fakt. - Prawdę mówiąc, jednak trudno mi wzbudzić w sobie strach przed Dimentem. Albo przejmować się tym, że może mi się przytrafić coś złego. Uczucie strachu stało; mi się obce.

- Chyba się tam nie wybierasz? Wzruszam ramionami.

- Zastanawiam się.

Przez całą drogę do Holiday Inn Pinky stara się mnie odwieść od tego zamiaru.

- To obłąd! Nie znasz tego faceta, nie masz pojęcia, do czego on jest zdolny. Człowieku, ta jego warga! Nie mogę uwierzyć, żeś pił z tej butelki! Widziałeś, jaki jest chudy? Diabli wiedzą, co mu jest. Moim zdaniem ma żółte białka oczu. Mogłeś złapać AIDS, żółtaczkę typu C, cholera wie co! A co do voodoo... lepiej trzymać się od tego z daleka. Jak najdalej. Nic tylko krew, prochy i cały ten szajs... Słuchaj, spotkajmy się z Małdonado, posłuchamy, co on na to powie. W razie czego zawsze możesz tam wrócić.

- W porządku, zobaczymy.

Telefon w samochodzie detektywa działa w systemie OnStar, który Pinky nazywa swoją „podróżną konsjerżką”. Włącza go, wstukuje numer Małdonado i każe urządzeniu połączyć się z reporterem.

- Hej! - dobiega z tablicy rozdzielczej głos dziennikarza. - Mam dobre wieści, Pinky. Rozmawiałem z lekarzem, który przyjmował Claude'a, kiedy przywieźli go karetką. Nazywa się Sam Harami. Gdyby nie on, Byron wywinąłby się z tego morderstwa. Prawdopodobnie uznano by to za „zgon z przyczyn naturalnych”.

- O czym ty mówisz, Max?

- O tym, że właśnie ten facet wykombinował, że starego Claude'a otruto. To mój przyjaciel i jest gotów umówić się z nami na kolację, pod warunkiem że ty stawiasz.

- Z przyjemnością - zapewnia go Pinky.

Podczas gdy oni w nieskończoność debatują, dokąd wybierzemy się na kolację, ja zastanawiam się, jak dojechać po nocy do Dimenta. Wprawdzie Pinky uważa, że to kiepski pomysł, ale może podrzuci mnie albo pożyczy mi swój samochód. A jeśli nie, pewnie będę musiał wziąć taksówkę.

Tak czy inaczej pojedę tam, żeby nie wiem co. Myślę o dzie-sięciocentówkach, o misce z wodą-o fetyszach, które zostawił piii Boudreaux. Jestem pewien, choć sam nie wiem czemu, że jeśli mam go odnaleźć, drogę wskaże mi człowiek, który Wygląda jak chodząca śmierć.

## Rozdział 36

Jesteśmy umówieni z Maxem Maldonado w Prideaux's Eat Place. Jest to wytworna podmiejska restauracja, tuż za New Iberia - ładnym miasteczkiem kilka mil od Morgan City. Kelner prowadzi nas

do stolika przy oknie, gdzie niski siwowłosy mężczyzna na nasz widok zrywa się z krzesła. To Maldonado - „siedemdziesięcioletni młodzieniec”, jak się później przedstawił. Postępujące kurczenie się z wiekiem, jakie obserwuję u mojego ojca, u tego człowieka przyczynia się tylko do koncentracji energii.

- PinJky! - woła dziennikarz, z entuzjazmem wyciągając rękę do detektywa. - Kopę lat, stary byku!

Pinky dokonuje prezentacji.

- Miło mi, bardzo mi miło. A ten spokojny człowieczek - reporter wskazuje czarnowłosego Azjatę po swojej lewej stronie - to Sam Harami.

Lekarz na powitanie unosi swoją szklaneczkę.

- Podać panom coś do picia? - pyta kelnerka.

- Bezwarunkowo - odpowiada Pinky i zamawia jacka danielsa z lodem. Ja proszę o piwo z beczki.

- A więc chodzi wam o Byrona Boudreaux - zagaja Maldonado. - Sam, pamiętasz, kiedy ten sukinsyn wyszedł na wolność?

Harami potakuje ruchem głowy.

- Powiem wam, że kiedy go wypuścili, wszystkim nam było nieswojo. Nic, tylko oglądaliśmy się za siebie.

- Naprawdę bałem się tego faceta - odzywa się Harami; jego głos stanowi dziwną mieszankę wymowy południowca i człowieka z Dalekiego Wschodu. Przeciąga wyrazy, jak to Japończyk. - A mnie niełatwo wystraszyć.

- Ledwo wyszedł, od razu przyjechał do Morgan City - mówi Maldonado. - Wszystkich nas to zdenerwowało. Ale nie został tu długo. Posiedział tydzień u tego szamana, i tyle. Od tej pory wszelki słuch o nim zaginął.

Składamy zamówienie, co trwa dobre piętnaście minut, bo Maldonado wypytuje się o wszelkie możliwe składniki i sposób przygotowania potraw.

- Ja przez niego oszaleć - komentuje Sam Harami. - Jest gorszy niż jak kobieta wybiera suknię ślubną.

W końcu udaje mi się przejść do sedna sprawy.

- Czy może mi pan powiedzieć o Boudreaux coś takiego, co pomogłoby mi go znaleźć?

Sam Harami kwituje moje słowa wzruszeniem ramion.

- Czy ja wiem? Konkretnie co by pan chciał wiedzieć?

- Po prostu pogadajmy - proponuje Pinky, wychylając jednym haustem swoją whisky. - Co panu o nim wiadomo? Nie tylko w związku z zamordowaniem ojca, chociaż to też nas interesuje. Ale w ogóle wszystko. Cokolwiek. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

- Jeśli o mnie chodzi, jego nazwisko nie obilo mi się o uszy do czasu tej historii ze szczeniakiem - oznajmia Maldonado. - Wiecie, o czym mówię?

- Tak - przytakuję. - Słyszeliśmy o tym od jego sąsiadów.

- Większość z tego, co wiem, znam z relacji po śmierci Claude'a, więc niekoniecznie trzeba w to wierzyć - ciągnie dziennikarz. - Wiecie, jak to jest... Pokażcie komuś zdjęcie Jeffreya Dahmera albo Adolfa Hitlera z dzieciństwa, a założę się, że pokiwa mądrze głową i powie: „Tak, stary Jeff od małego był dziwny”. Ale po tej historii z pieskiem ten chłopak został wyrzutkiem społeczeństwa.

- Wyobrażam sobie - wtrąca Pinky.

- Ja w każdym razie właśnie wtedy zwróciłem na niego uwagę. A ludzie od razu przypomnieli sobie, jak jego brat się utopił, i zaczęli się zastanawiać. Pamiętasz, Sam?

Harami unosi brwi o kształcie idealnego półksiężyca.

- Mnie tu jeszcze nie było, Max. Przyjechałem w osiemdziesiątym szóstym, prosto z Tulane. Moja wiedza o Byronie obejmuje tylko okres po tym, jak zabił ojca.

- A, faktycznie - przyznaje reporter. - No więc jakiś czas po tej historii z psem umarła Marie. Miała raka jajników, a to prawdziwy zabójca.

Kiwam głową.

- Słyszałem o jej śmierci.

- Aha. Byron miał wtedy piętnaście lat. Z Marie była świetna babka. Niektórzy sądzą, że może Byron sfiksował dlatego, że umarła, bo podobno był jej oczkiem w głowie. Tak czy owak, kilka miesięcy po jej śmierci Claude uległ wypadkowi na platformie. Kompletnie załatwił sobie kręgosłup. Czekają go długie miesiące na wózku. Kiedy wyszedł ze szpitala, Byron miał się nim „zajmować”. - Reporter kreśli palcami cudzysłów w powietrzu.

- Taki żart - wyjaśnia Harami.

- No to się nim zajął, jeszcze jak - dorzucza Maldonado. Kelnerka podaje nam gumbo z ostrygami i przez pewien czas przy stole panuje cisza. W końcu dziennikarz podejmuje przerwany wątek:

- O czym to ja mówiłem?

- Claude jest na wózku, a Byron się nim zajmuje.

- O właśnie! No więc stary Claude powoli dochodzi do siebie po operacji. Zdaje się, że wszczepili mu implant kręgu. - Spogląda na lekarza.

- Zgadza się.

- Aż tu nagle, bez najmniejszego powodu, któregoś dnia po południu rozchorował się na dobre. Siedział przed telewizorem i oglądał ze swoim kumplem, Bootsem, wyścigi NASCAR.

- Ja tego dnia jestem lekarzem dyżurnym na izbie przyjęć w New Iberia - wtrąca Harami. - Wicie, to mój rejon. Mój angielski jeszcze teraz nie najlepszy, a wtedy... - Krzywi się i kręci głową. - Bardzo kiepski. Więc Claude... jak dotarł do szpitala, ledwo mówił.

- Dobrze, on nie potrafił mówić, i ty też nie - żartuje Maldonado z uśmiechem.

- Ale był z nim przyjaciel, Boots - ciągnie Japończyk. - No i ten Boots opowiada, co się stało. Oglądają razem wyścig, piją piwo. Dużo piją. Nagle Claude mu mówi, że pokój się... - Harami kreśli nad głową kółka w powietrzu i marszczy brwi. - Obraca?

- Wiruje, Sam.

- O właśnie, wiruje. Claude mówi, że mu się kręci w głowie. A jego przyjaciel na to, że niemożliwe, nic mu się w głowie nie kręci, bo ma w głowie pusto. - Harami wskazuje na swoją głowę. - Nagle Claude zaczyna krzyczeć. Mówi Bootsowi, że usta drętwie, że brzuch boli. No to Boots dzwoni na pogotowie.

- Zjawili się w rekordowym czasie! - wtrąca Max. - Założę się, że pobili rekord. Ruch na drodze był mały i do szpitala też dojechali w trymiga.

- Tak było - przytakuje Japończyk. - Inaczej przywieźliby trupa i pewnie nigdy bym nie wpadł na to, co mu się stało. No w każdym razie przyjeżdżają, a ja nic nie mogę zrozumieć z tego, co mówi Claude, bo on już ledwo mamrocze. Ale Boots, sanitariusze i pielęgniarka jakoś się z nim dogadali i powiedzieli mi, jak było. Najpierw zawroty głowy, potem zdrętwiały mu usta i język. Boots mówi, że Claude przez chwilę był bardzo wesoły, a potem ponury, „Jak chmura gradowa. Naprawdę wzięła go

chandra”, tak powiedział. Potem Claude wymiotuje w karetkę i na izbie przyjęć mówi, że z każdą chwilą coraz bardziej sztywnieje, jakby go nagle złapał artretyzm.

Kelnerka przynosi przystawki, trzymając talerze na lewej ręce, i podaje nam je, jakby rozdawała karty.

- Co jak co, ale nigdzie nie dają takiej langusty na ostro jak tu - oświadcza Maldonado i bierze się do jedzenia.

Harami nie tyka suma po laotańsku, przyrządzonego specjalnie dla niego.

- Ja pochodzę z Japonii - mówi, stukając się w czoło. - A przez mojego pacjenta, Claude'a Boudreaux, mam mętlik w głowie.

Nie bardzo wiem, do czego on zmierza, w jaki sposób fakt, że jest Japończykiem, wiąże się ze śmiercią Boudreaux. Pinky zerka na mnie, równie zaskoczony.

- Mam przed sobą pacjenta i powtarzam sobie: To niemożliwe - ciągnie lekarz. - Jeszcze raz zastanawiam się nad objawami. - Zaczyna wyliczać je na palcach. - Ból brzucha. Parestezja. Afonia. Euforia. Depresja. Paraliż...

- Przepraszam - wpadam mu w słowo. - Co to jest parestezja?

- I afonia? - dorzuca Pinky.

- Parestezja to... uczucie mrowienia. Afonia... to wtedy, kiedy nie może się mówić.

Kiwam głową.

- I on miał te wszystkie objawy?

- Tak, a wtedy Claude prawie już się nie rusza ani nie oddycha. Mówić wcale nie może. Zarządzam intubację. Nakazuję płukanie żołądka. Podłączamy go do kroplówki. Podajemy mu węgiel aktywny.

- Sam wiedział, że pacjent został otruty - wyjaśnia Maldonado.

- Nic nie pomaga - opowiada dalej Harami, podekscytowany. - A dwie godziny później Claude nie żyje.

- No i się zaczęło - przerywa mu dziennikarz. - Na świadectwie zgonu Sam napisał: „Zatrzymanie funkcji oddechowych, zatrucie fugu”.

- Zatrucie fugu? - Oszłomiony Pinky zacina się z przejęciem. - Czy to aby nie to, co się przytrafia po zjedzeniu jakiejś ryby?

- W Japonii - dodaje.

Harami przytakuje i zabiera się do jedzenia.

- Niesamowity numer! - woła radośnie reporter. - Napisałem o tym później artykuł. Widzicie, w ten sposób umierają czasem tylko niektórzy japońscy smakosze. Szaleńcy, którzy zabawiają się w, że tak powiem, kulinarną odmianę rosyjskiej ruletki.

Japończyk potakuje, kiwając głową.

- To prawda.

- Dla tych facetów element ryzyka jest dodatkiem do smaku. Dlatego co roku około pięćdziesięciu Japończyków pada twarzą w talerz, podczas delektowania się sashimi z fugu. Fugu to taka ryba, najeżka. Uchodzi za wyjątkowy przysmak. Sęk w tym, że jej skóra, wątroba i gruczoły płciowe są silnie trujące.

- Zdajesz się na umiejętności kucharza - tłumaczy Harami. - Czasami jednak...

- Wystarczy, że kucharz trąci nożem któreś z tych zakazanych miejsc, a do potrawy dostaje się śmiertelna dawka trucizny.

- Tetrodotoksyna - precyzuje lekarz.

- Tylko że Claude trafił do szpitala w Luizjanie, a nie w Japonii - podkreśla Maldonado. -

Większość lekarzy nie rozpoznałaby objawów. Ale Sam nie miał wątpliwości.

Harami przytakuje.

- Ten Claude Boudreaux ma klasyczne objawy. Wiem, że się nie mylę. Nie wątpię w to ani przez chwilę, nawet gdy sekcja zwłok nie wykazuje w żołądku śladów najeżki. Zresztą innych ryb też nie.

- Claude zjadł tylko dwa paski suszonej wołowiny i trochę frytek - wyjaśnia dziennikarz. - No i wypił piwo. To wszystko, co wykazała w jego żołądku sekcja zwłok. Stąd prosty wniosek, że Sam się mylił.

- Ja wiem, że się nie mylę - wtrąca Harami. - A oni chcą, żebym zmienił świadectwo zgonu, ale nie potrafią mi powiedzieć, dlaczego Claude przestał oddychać.

- Dlatego żeby zamknąć Samowi usta, przeprowadzili badanie - ciągnie Maldonado. - Na chromatografie gazowym. I wyszło czarno na białym, że stary Claude miał w żyłach więcej tetrodotoksyny niż krwi.

- Ale w żołądku jej nie stwierdzili? - upewniam się.

- To zabiło policji niezłego ćwieka - opowiada dalej reporter. - Jak można się zatruć fugu, nie jedząc tej ryby? Czy jest jakieś inne źródło tej toksyny?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie - włącza się Harami. - Więc patolog wysłała je do Centrum Kontroli Chorób w Atlancie. Odpowiedź przychodzi bardzo szybko. Źródłem tetrodotoksyny jest jeszcze traszka kalifornijska i jeden gatunek salamandry.

- Ale co z tego wynika? - pyta retorycznie Maldonado. - Guzik. Claude Boudreaux nie zjadł traszki ani salamandry. Tylko suszoną wołowinę. Więc jakim cudem ta trucizna trafiła do jego krwi? Patolog był tego równie ciekaw jak Sam. Zaczęli kombinować. Może dostała się do organizmu przez drogi oddechowe? Niewykluczone. Bo to draństwo ma jeszcze jedno źródło. Okazuje się, że sproszkowana tetrodotoksyna używana jest jako trucizna w rytuałach voodoo. To proszek zombi.

- Myślmy sobie, że coś mamy - przejmuje pałeczkę Harami. - Patolog każe wykopać zwłoki i przeprowadza następne badania. Ale nie, ani w nosie, ani w układzie oddechowym Boudreaux nie ma śladu toksyny. Ani trochę. - Gwałtownie unosi ręce. - To ci dopiero zagadka! W końcu przeprowadzamy jeszcze jeden test na chromatografie. Badanie krwiobiegu ofiary. No i - lekarz energicznie kiwa głową - tym razem uzyskujemy odpowiedź. We krwi Boudreaux oprócz tetrodotoksyny znaleźliśmy ślady lateksu i dwumetylosulfotlenku. - Uśmiecha się. „Tuś mi!”, powiedzieliśmy. Pinky i ja wymieniamy spojrzenia.

- W skrócie DMSO - wyjaśnia Maldonado. - To rozpuszczalnik. Byron rozpuścił tetrodotoksynę w DMSO i posmarował tym opony wózka inwalidzkiego ojca. I kiedy stary Claude jeździł z pokoju do pokoju, śmiertelny koktajl fugu i DMSO przedostał się prosto z opon do jego krwiobiegu.

- Wchłanianie przez skórę - precyzuje Harami.

- To tak jak z plastrami na rzucanie palenia - wtrąca się Pinky.

- I wtedy już raz dwa doszli do tego, że to robota Byrona - mówi Maldonado. - Wszyscy wiedzieli, że zadawał się z tym szamanem voodoo na cmentarzu. To od niego dostał truciznę. A DMSO zamówił za zaliczeniem pocztowym, z jakiegoś katalogu. Nawet nie próbował zacierać śladów. Bo i po co? Po prostu miał wyjątkowego pecha. Gdyby karetka nie przyjechała tak szybko, gdyby na pogotowiu dużur miał jakikolwiek inny lekarz w Luizjanie... Gdyby jego zainteresowanie voodoo nie było tak powszechnie znane... - Dziennikarz rozkłada ręce.



- Załatwili my go na cacy. - Harami wybucha śmiechem. - Ja go załatwił. To dlatego ja taki zdenerwowany, kiedy go wypuścili. Jak można zwolnić taki człowiek? Taki ktoś, kto zabija swojego ojca... tak podstępny, tak przebiegły. Z taki człowiek nie będzie już nic dobrego. A teraz proszę! - Spogląda na mnie ze współczuciem. - Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że pan znajdzie synów. Dawno zniknęli?

- Trzydziestego pierwszego maja.

- Mam nadzieję, że pan ich znajdzie - powtarza lekarz i odwraca wzrok, widocznie zdając sobie sprawę, że w jego oczach nie ma cienia nadziei.

### **Rozdział 37**

Kiedy wracamy do Morgan City, w bmw Pinky'ego dzwoni telefon. System OnStar nie wymaga użycia rąk do odbioru, a dźwięk rozchodzi się przez wszystkie głośniki wozu.

- Tu Pinky.

- Pan Streiber?

- Jez... czy to ty? Pierwsza dama Plaquemines?

- *Cest moi.*

- Jedzie ze mną Alex Callahan, więc postaraj się nie świntuszyć.

- Witam, panie Callahan! Prawdę mówiąc, dzwonię w pańskiej sprawie.

- Witaj, Jezebel. O co chodzi?

- Pan Streiber prosił, żebym sprawdziła, czy jest możliwość odszukania wniosku o zwolnienie Byrona Boudreaux. Oczywiście, że to się nie uda, bo poszedł z dymem podczas pożaru sądu. Ale mam coś lepszego.

- Co?

- Nie „co”, tylko „kogo”. Znalazłam pielęgniarkę, która pracowała w tamtym szpitalu na psychiatrii. Z Byronem miała do czynienia przez osiem lat. Zna go na wylot.

- Jezebel, jesteś cudowna - chwali ją Pinky.

- E tam, to wcale nie było takie trudne - bagatelizuje Jezebel. - Zapytałam ojca, on spytał swoją dziewczynę, a ona z kolei swoją fryzjerkę czy kogoś takiego. No i w końcu trafiłam na właściwą osobę.

- Kim ona jest? Masz jej numer telefonu?

- Z tym może być pewien problem. Ona się boi Byrona. Dlatego obiecałam, że nie ujawnię jej nazwiska.

- Jezebel...

- Daruj sobie, bo i tak wam nie powiem. Dobry dziennikarz nie ujawnia swoich źródeł. W takiej dziurze jak ta nikt by ze mną więcej nie gadał, gdybym kogoś wsypała.

- Nie jesteś dziennikarką, Jez.

- Ale będę. Uczę się. To co, interesuje was, czego się dowiedziałam, czy nie? Bo chciałabym obejrzeć *Seks w wielkim mieście*. Zaczyna się za dziesięć minut.

- Interesuje - mówię.

- Ale mimo że źródło jest anonimowe, i tak musicie mi zapłacić. Straciłam na to trzy godziny.

- Nie ma sprawy - uspokajam ją.

- Więc tak... Chwileczkę, czy to bezpiecznie mówić o tym przez telefon?

- Przecież nie zamierzasz nam ujawnić swojego źródła.

- Fakt. No dobrze. W Port Sulfur Byron był pracowity jak pszczołka. - Jej głos zmienia się,

najwyraźniej czyta z kartki. - W wieku osiemnastu lat dostał świadectwo ukończenia szkoły... bo matury oczywiście nigdy nie zrobił. Sześć lat później skończył psychologię... na kursach korespondencyjnych. Po następnych dwóch latach zrobił magisterium. Temat jego pracy dyplomowej brzmiał: „Modlitwa a efekt placebo”. W zakładzie prowadził wykłady z tematyki biblijnej. Poza tym miał mnóstwo zainteresowań, u pacjentów to częsty objaw. Po pierwsze, origami. Gdybyście nie wiedzieli, jest to sztuka składania zwierząt i innych figurek z papieru. Poza tym wyuczył się na magika, chociaż Miz Ma... ups, znaczy się, moje źródło... twierdzi, że już kiedy go tam przyjmowali, znał mnóstwo sztuczek karcianych i innych. Zdaje się, że ćwiczył je całymi godzinami. Prowadził też zajęcia z iluzji dla innych pacjentów. Dostał nawet zezwolenie na występy. Był taki dobry, że na jego pokazy nie dość, że przychodził cały personel, to jeszcze zapraszali goście z zewnątrz. Absolutnie profesjonalny poziom. Według mojego źródła wszyscy zgodnie przyznawali, że z kartami radził sobie nie gorzej niż... chwileczkę, zgubiłam się... o, już mam... nie gorzej niż Ricky Jay. - Przerwa. - Kto to jest Ricky Jay? W życiu o nim nie słyszałam.

- Iluzjonista - wyjaśniam. - Bardzo znany.

- No cóż, wygląda na to, że moje upodobania kulturalne tego nie obejmują. Znaczący się iluzji - odpowiada Jezebel i kontynuuje: - Nieważne. Dość, że Byron miał mnóstwo zainteresowań i poza tym czytał na okrągło. A ponieważ zapisał się na ten uniwersytecki kurs korespondencyjny, miał prawo zamawiać książki za pośrednictwem biblioteki Uniwersytetu Nowoorleańskiego. Oni mu je wysyłali. Było tego tyle, że moje źródło nie pamięta wszystkiego, co czytał, ale wiele książek dotyczyło magii, historii i religii. I oczywiście psychologii, skoro to był jego główny przedmiot.

- Jasne.

- Już w pierwszym roku pobytu w zakładzie zaczął się starać o zwolnienie, ale bezskutecznie. Dopiero w dziewięćdziesiątym czwartym komisja po raz pierwszy na serio zajęła się jego podaniem, mimo że był wzorowym pacjentem, który się kształcił, i w ogóle. Moje źródło twierdzi, że wprawdzie zabił ojca, ale mieli całe tomy akt dowodzących, że w dzieciństwie ojciec molestował Byrona seksualnie. Oczywiście nikt tego nie brał poważnie, ale...

- Skoro ojciec nie żył, nie mogli tego całkiem pominąć - wpada jej w słowo Pinky.

- Właśnie. Rok później, w dziewięćdziesiątym piątym, znowu zajęli się tą sprawą, ale jeden z członków komisji uparł się, żeby nie wypuszczać Byrona pod żadnym pozorem. Potem ten człowiek zmienił pracę czy przeszedł na emeryturę, moje źródło nie pamięta dokładnie, w każdym razie kiedy sprawa wróciła do nich w dziewięćdziesiątym szóstym, uznali, że Byron jest zdrowy, przynajmniej na tyle, że nie stanowi zagrożenia dla siebie ani dla społeczeństwa, no i że czas go wypuścić.

- Co sprawiło, że zmienili zdanie?

- Czas - wyjaśnia Jezebel. - Przede wszystkim czas. Po pierwsze, siedział tam bardzo długo. Do tego to rzekome molestowanie go przez ojca... w tamtych czasach ludzie łykali takie coś jako wyjaśnienie wszelkich możliwych spraw. Poza tym w momencie skazania był nieletni, no i się dobrze sprawował, studiował itede. Uznali, że to, co zrobił z ojcem, było podyktowane, eee... „warunkami przejściowymi” i że wydaje się nieprawdopodobne, żeby znów mógł popełnić podobny czyn.

- Czy Byron miał w zakładzie przyjaciół? Kogoś konkretnego? - pytam.

- Ha, wiedziałam, że o to spytacie.

- I...?

- Charley Vermillion, mam rację? Chcecie wiedzieć, czy Charley kolegował się bliżej z Byronem? No więc tak, Byron spędzał z nim dużo czasu. Po pierwsze, Charley chodził na wykłady

Byrona z Biblii. Według mojej informatorki to była bardzo zgrana grupa. Poza tym w domu wariatów Byron robił za doradcę prawnego, głównie dla ludzi ze swojej grupy biblijnej. Pomagał im pisać podania itepe. Załatwiał adwokatów. Nie pomyślałam o tym, żeby wypytać się o cały skład tej grupy. Chciałby pan znać wszystkich?

- Tak, pewnie bym chciał - odpowiadam. - Jeżeli uda się pani tego dowiedzieć.

- Coś szwankuje na linii - mówi Jezebel. - Swoją drogą, gdzie jesteście?

- Koło Houmy - wyjaśnia Pinky.

- Nic nie słyszę. Idę teraz do Felicii na telewizję. Zadzwońcie do mnie jutro czy jakoś tak. -

Przerywa połączenie.

- Hmmm - mruczy Pinky. - Ta panna to dynamit. - Skręca w prawo. Odgłosy ruchu ulicznego nie docierają do wnętrza bmw. Czuję się trochę dziwnie, jakbyśmy poruszali się w przestrzeni kosmicznej. - Max, Sam i Jez... sporo się dzisiaj od nich dowiedzieliśmy.

- Fakt.

- Może lista tych ludzi z grupy biblijnej podsunie nam jakiś trop.

- Może.

- Coś ty taki milczący? Chyba nie wybierasz się po nocy do tego szamana? Nie bądź głupi, współniku.

Mijamy stację benzynową, na której sprzedają oprawione w ramy hiperrealistyczne obrazy na szkle, obrazy tak wierne rzeczywistości, że wyglądają jak fotografie... z tą różnicą, że wszystkie szczegóły są w maksymalnym zbliżeniu, a kolory nienaturalnie jaskrawe. Lasy, ptaki, błękitne strumienie... Na wielu z nich widnieje narodowa flaga oraz amerykański orzeł. Każdy obraz podświetlony jest osobną lampką i jego jasny blask przyciąga owady. Jedną z prac podziwiają dwie kobiety, a na składanym krześle siedzi mężczyzna w szortach i podkoszulku i pali papierosa.

Przez jakiś czas towarzyszy nam cisza. W końcu Pinky włącza radio, lecz gasi je pół minuty później, gdy z głośników dobiega muzyka Beausoleil.

- Posłuchaj, wskoczyć na głęboką wodę i zająć się szuka niem chłopców, to rozumiem - mówi po chwili. - Ale wyprawa do jakiejś budy na bagnach, żeby spędzić noc z sukinsynem bez wargi, to zupełnie inna para kaloszy. Wiesz o nim tylko tyle, że był jedynym przyjacielem, jakiego miał Byron, a poza tym... wybaczone, że o tym wspominam... prawdopodobnie to on dostarczył truciznę, od której zginął Claude.

Nie odpowiadam.

- Wobec tego jadę z tobą.

- Lepiej nie. Dzięki temu, jeśli nie wrócę, będziesz mógł...

- Wezwać policję? Jezu, Alex!

- Coś mi mówi, że Diment może wiedzieć, gdzie jest Byron.

- I myślisz, że ci to powie?

- Być może. Nie wiem. Ale czuję, że on może mi pomóc.

- Ja nie odniosłem takiego wrażenia. Ci ludzie charczący w drugim pokoju, te duperele powiązane sznurkiem... Napędziło mi to niezłego stracha. A ty masz tam pojechać o północy? I mu „zaufać”? Hejże! Czyś ty na głowę upadł? Możesz mi wyjaśnić, dlaczego miałbyś *mu* zaufać? Co takiego w tym facecie wzbudza zaufanie, współniku? Hę?

- Rozumiem, o co ci chodzi. Pinky głośno wypuszcza powietrze.

- Jak chcesz się tam dostać? Pamiętasz chociaż drogę?

- Myślałem, żeby wziąć taksówkę. I może wyrysowałbyś mi mapę?
- Mapę ci narysuję, ale o taksówce zapomnij. Dam ci swój samochód.
- Nie mogę wziąć twojego wozu. Będzie potrzebny tobie.
- Ja będę spał. Zjem sobie w Holiday Inn śniadanko, poczytam gazetę. Jak się nie odezwiesz albo nie pojawisz do południa, to narobię rabanu. Poza tym traktuj to jako polisę ubezpieczeniową.
- Nie rozumiem.
- Po pierwsze, mój samochód łatwo namierzyć, ma GPS. A po drugie, tutejsza policja nie ruszy tyłków tylko dlatego, że jakiś palant z Waszyngtonu zgubił się na bagnach. - Zerka na mnie szybko. - Niektórzy nasi oficerowie niezbyt sobie cenią ludzkie życie. Ale bryka za sześćdziesiąt tysięcy dolarów? Jak ginie coś takiego, biorą się do roboty, aż się kurzy.

### **Rozdział 38**

Ksenonowe reflektory samochodu przebijają noc, oświetlając nieoznakowane szosy, które dla mnie wszystkie wyglądają tak samo. Pomimo mapy, którą Pinky wyrysował mi w pocie czoła, kilkakrotnie gubię drogę. Wyjechałem jednak z dużym zapasem czasu, więc mimo błędzenia docieram do Dimenta kwadrans przed północą.

Wysiadam z samochodu w ciepłą noc. Natychmiast otacza mnie szum owadów, po czym rozlega się dźwięk jakiegoś ssaka czy ptaka - krzyk rozpaczy rodem z dżungli, na którego dźwięk włosy jeżą mi się na karku. Reflektory bmw palą się przez dłuższą chwilę, jakby chciały oświetlić mi drogę od podjazdu do drzwi mojej podmiejskiej rezydencji, lecz tak naprawdę z brutalną szczerością wydobywają z ciemności betonowy bunkier przede mną.

Nie ma co, wspaniałe miejsce, żeby dać się zabić! Przez jedyne okienko widać nagle migotliwe światełko. Świeca? Zastanawiam się, czy w tym domu w ogóle jest elektryczność, lecz przypominam sobie sznur lampek choinkowych na ołtarzu. Myślę o dziwacznej kolekcji wystawionych tam przedmiotów. Nie sposób zorientować się, czy mają jakiegokolwiek znaczenie. Co może oznaczać grzebień? Albo butelka do karmienia niemowląt?

Na wydeptanej ziemi przed drzwiami leży przewrócona na bok tenisówka. Przypomina mi się but Kevina - ten, który zauważyłem koło bramy za areną. Gęsia skórka była tylko przygrywką do zalewającej mnie teraz fali paranoi i resztkami sił hamuję się, by nie wziąć nóg za pas.

Od strony samochodu dobiega lekki szcęk i światła wozu gasną. Podchodzę kilka kroków i stukam w ścianę obok drzwi. Zasłona z koralików natychmiast rozsuwa się z brzękiem, zupełnie jakby dwaj mężczyźni czekali po bokach wejścia. Uśmiechają się do mnie.

- Prosimy, prosimy - mówi jeden z nich, chudzielec z grzywą siwych włosów. Jest tak przeraźliwie chudy, że wygląda jak kościotrup. - Pan wejdzie.

- Przyszedłem do...

- Hungana tu nie ma - przerywa mi drugi z nich. Jest olbrzymi i tak czarny, że światło odbija się od wielkich płaszczyzn jego twarzy. Ma dobre sześć i pół stopy wzrostu i waży z dwieście pięćdziesiąt funtów, lecz w porównaniu z przerażającym chudzielcem, jego widok napawa mnie otuchą. - Ale najpierw musi się pan ubrać - dorzuca dudniącym barytonem.

- Przecież jestem ubrany - protestuję.

Nic z tego. Tłumaczą mi, że mam się przebrać w coś specjalnego. Ruszam za nimi, na palcach mijając leżących pod ścianą pacjentów. Ktoś jęczy. Po lewej kto inny zanosi się kaszlem - straszliwy dźwięk, kończący się zduszonym świstaniem.

- Tutaj - mówi olbrzym, otwierając drzwi. Odsuwa sznur paciorków, a ja widzę, dokąd mnie

zaprowadzili: do kibla. - Pan się przebierze. Zaczekamy na zewnątrz.

Moje nowe ubranie wisi z tyłu drzwi ubikacji - biały smoking z czerwonym goździkiem w klapie. Teraz rozumiem, skąd wzięło się pytanie o rozmiar moich ubrań. Ale trochę to niepokojące. Biały smoking...?

Jestem zlany potem, spływa ze mnie kaskadami. Nagle nachodzą mnie najrozmaitsze wątpliwości: Po co mam się przebierać?

Dlaczego akurat w biały smoking? (Przez myśl przemykają mi słowa Karla Kavanaugh, coś o białych gołębiach i krwi).

Czym jest ta „ceremonia inicjacji”? (Pal licha szczegóły, o co w ogóle w tym chodzi?).

I czy do bizango można ot tak po prostu przystąpić, czy też Diment się ze mnie nabija?

No i jak można do czegoś przystąpić, skoro się nie wie, co to jest? Czy nie powinni mieć... jakiegoś katechizmu?

Diment powiedział, że wieczorem mam się zdobyć na zaufanie. Jak mogę mu ufać? Przecież wcale go nie znam.

I dlaczego akurat o północy?

W głowie brzęczy mi natarczywa myśl: wybiła godzina czarów.

Oczywiście nie zdradzam się z moimi wątpliwościami. Waham się w progu i przed zamknięciem drzwi bąkam tylko:

- Hm, czy ja wiem...?

- Pan się tu przebierze - poleca chudzielec, jakbym się w ogóle nie odezwał, i popycha mnie lekko.

- Ja tylko...

- Zaczekamy na zewnątrz - powtarza olbrzym i uspokajająco klepie mnie po ramieniu. Potem wypycha mnie do kibla i zamyka drzwi.

Rozglądam się po zagraconej ubikacji - sedes, umywalka, podajnik papieru toaletowego, pojemnik z mydłem w płynie. Nad umywalką zamiast lustra wisi wypolerowana blacha. Zamknięte drzwi skrzypią pod naporem, co uświadamia mi, że tamci dwaj czekają za nimi.

Walczę z przytłumieniem klaustrofobii, próbując się uspokoić. Może opierają się o drzwi, bo... bo po prostu nie mają się o co oprzeć.

Trudno odzyskać spokój. Oddycham za szybko, a głos w mojej głowie skrzeczy: Co ty wyprawiasz?

Faceci na zewnątrz coś mamrocą. Olbrzym wybucha śmiechem - serdecznym śmiechem, w którym nie sposób doszukać się wrogości. Przyszedłeś tu z własnej woli - tłumaczę sobie. - To ty szukałeś Dimenta, a nie on ciebie. Sam go prosiłeś o pomoc.

Wkładam smoking, zapinam szelki i przepasuję się szkarłatną szarfą. Wcale mnie nie dziwi, że strój pasuje jak ulał. Zostawiam swoje ubranie na wieszaku i wkładam buty. Potem odsuwam się o krok i przeglądam w blasze nad umywalką. W białym smokingu wyglądam idiotycznie, niczym Liberace na estradzie, tak że przez chwilę aż kręci mi się w głowie.

Stukam w drzwi.

Otwierają się. Chudzielec przekrzywia głowę i lustruje mnie wzrokiem.

- No, no - mówi z piskliwym chichotem. - Wyglądasz pan jak ta lala. Powiedz, czy nie wygląda cacy?

- Uhm - przytakuje olbrzym, sięga do kieszeni i wyjmuję butelkę płynu na komary. - Pan zamknie

oczy.

Nie dając mi okazji do protestów, spryskuje mnie od stóp do głów perfumowaną mgiełką, która okropnie trąci odkażaczem.

Chudzielec gasi światło i torujemy sobie drogę powrotną przez klinikę; idziemy gęsiego, za olbrzymem, który prowadzi nasz pochód.

Bmw, mój środek transportu na wypadek ucieczki, błyszczy w świetle księżyca. Wsuwam rękę do kieszeni i dotykam kluczyków, ale właściwie nie mam ochoty wsiąść do wozu i odjechać. Przekroczyłem jakąś niewidzialną barierę. Podjąłem decyzję, bez względu na to, co mnie czeka.

Olbrzym trzyma potężną latarkę Maglite, lecz widocznie baterie są na wyczerpaniu, bo bladożółty krąg światła prawie nie oświetla drogi. Księżyc z trudem przebija się przez gęste listowie. Posuwamy się wąską piaszczystą ścieżką przez porośnięty pnączami las. Omszałe drzewa wyglądają niesamowicie. Ścieżka roi się od korzeni. Wokół nas wzmagają się szum owadów - donośny, wibrujący zgiełk.

- Te góry żyją - oświadcza chudzielec i zanosi się piskliwym śmiechem.

Olbrzym chichocze.

- Dokąd idziemy? - Prawie nie widzę moich towarzyszy, ale sam praktycznie świecę w ciemnościach.

- Na miejsce - odpowiada wielkolud. - Pan się nie martwi, zaraz będziemy.

Mimo iż prawie nic nie widzę, poznaję, że zbliżamy się do wody. Krąg światła odbija się od płataniny korzeni mangrowców, a od czasu do czasu słychać plusk wskakującej do wody żaby. Zapach też się zmienił, w powietrzu czuje się pleśń i wilgoć.

Kilka minut później dolatuje mnie swąd palonego drewna i słyszę pomruk głosów. Nareszcie wychodzimy z ciemnego lasu na otwarty teren. Wokół ogniska siedzi Diment w towarzystwie kilkunastu osób, zarówno mężczyzn, jak kobiet. Między nimi krążą dwie butelki. Mam wrażenie, że to rum, i faktycznie dolatuje mnie zapach alkoholu. Z ogniska strzelają płomienie i daleko, w ciemności, widzę blask wody.

Na mój widok kapłan wstaje. Reszta bizango idzie w jego ślady. Diment ściska mnie, a potem odsuwa na odległość wyciągniętych rąk.

- Ja cię kręcę, dobrze wyglądasz.

Błyska zębami w uśmiechu. Pozostali ściskają mnie po kolei, przedstawiając się i witając formalnie. Czuję się oderwany od ciała, mam wrażenie, że obserwuję tę scenę z góry - zgromadzonych wokół ogniska szczęśliwych ludzi, pijących rum pod przewodnictwem człowieka, któremu zombi odgryzł górną wargę. Nagle z lasu wychodzi ubrana na białą postać i dołącza do nich. Plastyczna ekstrawagancja tego widoku przywodzi na myśl obrazy, jakie można obejrzeć w akademii sztuk pięknych Corcorana albo w National Gallery: przedstawiający egzotyczną scenę zbiorową, dziewiętnastowieczny olej zatytułowany „Inicjacja”. Serce łomocze mi w piersi i co chwila słyszę ów głos, pytający: Co ty wyprawiasz?

Czuję, że po tych wszystkich uściskach i ukłonach mam miękkie nogi. Z wdzięcznością przyjmuję zaproszenie Dimenta, żebym usiadł obok niego. Chudzielec i wielkolud też dołączają do kręgu. Butelki rumu krążą tam i z powrotem. Kiedy przychodzi moja kolej, pociągam potężny haust, co spotyka się z entuzjastycznym przyjęciem. Po kilku minutach uświadamiam sobie, że większość bizango jest pijana.

W końcu Diment unosi rękę i zapada cisza. Odwraca się do mnie i kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Jesteś gotowy, Alex?

Kiwam głową, myśląc w duchu: Miejmy to już z głowy.

- *Bon!*

Olbrzym rozdaje zebranych pochodnie, wykonane z grubego bambusa, wielokrotnie owiniętego na końcu szmatą. Członkowie bizango zanurzają je w płomieniach i znów ruszamy w drogę, w głąb bagien. Przez cały czas musimy się schylać, żeby nie rozbić sobie głów o konary drzew, i patrzeć pod nogi, by nie potknąć się o korzenie. Harmider owadów uświadamia mi, że powinienem być wdzięczny za spiyskanie płynem na komary, który od biedy trzyma je ode mnie z daleka.

- r Ho! - woła prowadzący pochód mężczyzna i po chwili wychodzę za Dimentem zza wielkiego drzewa na otwartą przestrzeń. Sterczy tam wysoki do pasa, przekrzywiony krzyż z nieheblowanego drewna, a kilka stóp dalej widać świeżo wykopany grób i sosnową trumnę.

W ciągu sekundy ogarniam tę scenerię wzrokiem i odruchowo robię krok w tył. Wszyscy wybuchają śmiechem.

Diment staje przede mną. Jego obłąkańczy uśmiech z pewnością nie dodaje mi otuchy.

- Miej wiarę, przyjacielu.

Niczym w zabawie w głuchy telefon, reszta bizango śpiewnym chórem podchwytuje słowa kapłana:

- Miej wiarę!

- Ufaj swoim braciom i siostram.

- Ufaj im!

- Bez wiary nie ma zmartwychwstania.

- Bez wiary jesteśmy zgubieni.

- Bez wiary nie mamy niczego.

- Miej wiarę!

Ciągnie się to jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu zapada cisza. Diment klepie mnie po plecach.

- Nic się nie martw! Niedługo cię wykopiemy.

- Niedługo?! To znaczy od razu czy...

Szaman zanosi się śmiechem, odrzucając głowę do tyłu i obnażając zęby.

- Nie - wykrztusza z trudem, zaśmiewając się. - Tę noc spędzisz pod ziemią. My zostaniemy tutaj, na górze. Będziemy grali i śpiewali. Będziemy tańczyć wraz z loa. A kiedy wzejdzie słońce, twoi bracia i siostry wykopią cię z ziemi.

- Amen!

- O, tak!

- Słodkich snów!

- Panie na wysokościach!

Oddycham głęboko. Jezu! Od czasu uprowadzenia chłopców coraz bardziej oddalam się od świata, który uważamy za normalny. Nie wiem, co ja tu robię, ale na pewno nie to, co powinienem... Stoję pośrodku jakichś bagien, wystrojony w biały smoking.

Nie odrywając wzroku od trumny, znowu oddycham głęboko. Przypominam sobie patologa z Las Vegas, który podejrzewał, że Clara Gabler leżała w sosnowej skrzyni, być może w trumnie, i ze spokojem czekała na swój los, nie usiłując walczyć.

- Chyba jednak nie jestem jeszcze gotowy - mówię. Radość znika z twarzy kapłana, który spogląda na mnie z ponurą, rozczarowaną miną.

- Wobec tego nie mogę ci pomóc - oświadcza.

- Kurde! - odzywa się chudzielec. - Ostatni dał się pogrzebać tylko po to, żeby dostać numery na loterię! O w dupę!

- Już wiem - rozlega się inny głos. - Ten jest taki nerwowy jak...

Diment unosi rękę, żeby ich uciszyć. Stojąc przed nimi w tym nieprawdopodobnym smokingu,



który zdaje się pochłaniać światło księżycy, szukam właściwych słów.

- To, o co mnie prosicie... - Usta mam tak suche, że ledwo mogę mówić. - To, czego ode mnie wymagacie... co z tego będę miał?

- To zależy tylko od ciebie - odpowiada kapłan z kamiennym wyrazem twarzy. Jego oczy błyszczą w świetle pochodni. Jest wyraźnie zmęczony i zły. Pozostali coś mamroczą.

Czuję się, jakbym stał na skraju przepaści i miał rzucić się ze skały.

- Nie. To nie zależy ode mnie, tylko od ciebie. Czy powiesz mi, jak znaleźć Boudreaux?

Diment kręci głową.

- Nie ta kolejność, synu. Takie pytanie możesz mi zadać dopiero potem, rozumiesz? Najpierw musisz dać dowód swojej wiary. - Uchylił się wprawdzie od odpowiedzi na moje pytanie, ale nie unika mnie wzrokiem. Patrzy mi prosto w oczy, z napięciem, przykuwając moją uwagę. Jego spojrzenie nie zdradza wrogości. - Jeśli mi zaufasz, pomogę ci.

Sam nie wiem czemu, ale mu wierzę.

Gdzieś po lewej rozlega się dudnienie bębnów - powolny miarowy rytm. Pomruk głosów. Ktoś duszkiem żłopie rum. Chudzielec śmieje się piskliwie. Jakaś kobieta zaczyna nucić kołysankę.

Z wbitym w ziemię wzrokiem podchodzę do trumny i kładę się w niej szybko, żebym się nie rozmyślił. Tłum pochyla się nade mną. Widzę, jak olbrzym schyla się, by założyć wieko. Zamykam oczy. Ja chyba oszalałem!

- Alex! - mówi Diment. Gwałtownie otwieram oczy. Kapłan pochyla się nade mną. Za jego plecami wielkolud i kilku innych trzymają wieko trumny. Diment strząsa z palców na moją twarz kilka kropli jakiegoś płynu. Odnoszę wrażenie, że jest zimny, a jednocześnie że w zetknięciu z moją skórą pali. Tetrodotoksyna? Czy za chwilę zdrętwieją mi usta?

- Poczekaj! - wołam, starając się usiąść, ale trzech mężczyzn delikatnie przytrzymuje mnie w pozycji leżącej.

Czysty sopran zaczyna śpiewać *Amazing Grace*. Wpadam w panikę. Toż właśnie tę pieśń śpiewa się na pogrzebach! I natychmiast przychodzi refleksja: przecież to jest pogrzeb. Chowają mnie do grobu.

- Zaufaj mi - mówi Diment i wieko trumny zamyka się nade mną.

Zaciskam powieki. Czyżby mnie zahipnotyzowali? Przecież w ten sposób ludzie znikają!

Nagle czuję, jak mój oddech odbija się od drewna, i serce podchodzi mi do gardła. Przez krótką, wspaniałą chwilę łudzę się, że może już mnie wypuszczą. Może miałem tylko udowodnić, że jestem na to gotowy, więc...

Nic z tego. Nadzieja ulatnia się i nic nie poradzę, że w panice miotam się i ciskam o deski, podczas gdy oni przybijają wieko gwoździami. Dlaczego to robią? Skoro mój pogrzeb jest na niby, po co prawdziwe gwoździe? W dodatku takie wielkie! Widziałem je. A trumna wygląda na nieużywaną. Jeżeli ta ceremonia odbywa się regularnie, to dlaczego nie korzystają z tej samej trumny? Dlatego, że trumna zostaje pod ziemią. Prawdopodobnie te bagna są pełne pochowanych ciał.

Jest głośno, zdumiewająco głośno, każde uderzenie młotka odbieram jak ogłuszający huk. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gwoździe przebiją drewno na wylot, i odruchowo kurczę się, byle dalej od wieka. Najpierw wbijają gwoździe nad moją głowę, potem coraz bliżej stóp i wracają w kierunku głowy. Kiedy człowiek z młotkiem przesuwa się z miejsca na miejsce, słyszę w tle bicie bębnów i śpiewy.

Kolejne uderzenia młotki. Jakie głośne! Chętnie zakryłbym uszy rękami, lecz trumna jest za ciasna.

Liczę wbijane gwoździe, na razie doliczyłem się jedenastu. Czy to nie lekka przesada?

Co za hałas!

Jest nie do wytrzymania, naprawdę, a jednak jakoś go znoszę. Gdy w końcu zapada cisza, ze zdumieniem stwierdzam, że się modlę. Bezmyślnie, zacinając się, powtarzam w kółko *Ojcze nasz* - bezładny potok sylab. Nie jestem religijny i słowa, które cisną mi się na usta, odbieram jako tanią sztuczkę. I dowód, że upadłem na duchu. Skoro nie modlę się regularnie, to teraz raczej też nie mam prawa tego robić. Zupełnie jakbym przywłaszczył sobie coś, co do mnie nie należy.

*Ojczenaszktóryśjestwniebieświęsięimiętwoje.*

A jednak nie mogę się powstrzymać.

*Przyj dźkrólestwotwojebądźwolatwoj aj akowniebietakina-  
ziemichlebanaszegopowszedniego dajnamdzisiajiodpuśćnam-  
naszewinyjakoimyo dpuszczamynaszymwinowajcom.*

Mam wrażenie, że jeżeli uda mi się wyrecytować to dostatecznie szybko i bezbłędnie, bez najmniejszych przerw między słowami, to nic złego mi się nie stanie.

*Iniewódźnasnapokuszeniealenasz bawodezłegoamen.*

Pomyliłem się czy nie? Wydaje mi się, że tak, więc zaczynam od początku:

*Ojczenaszktóryśjestwniebie...*

Trumna porusza się. Czuję zapach plastiku, gdy do otworu w wieku, tuż nad moją twarzą, ktoś wkłada rurkę, a w każdym razie coś podobnego do rurki. Dziwię się, że wcześniej nie zauważyłem tego otworu. Można by sądzić, że będę wypatrywał czegoś takiego ze wszystkich sił. Widzisz, twoja modlitwa została wysłuchana, odzywa się głos w mojej głowie.

Nie mogę dotknąć tego otworu ani go nie widzę, lecz wiem, że tam jest, bo czuję zapach plastiku i powiew świeżego powietrza. Z wysiłkiem unoszę głowę, zaciskam usta na rurce i głęboko wciągam powietrze.

Dotychczas, gdy zabijano wieko trumny, byłem skurczony jak zaciśnięta pięść. Teraz, kiedy już wiem, że mogę oddychać przez rurkę, napięcie powoli mnie opuszcza. Byłem jednak tak spięty, że rozluźniwszy mięśnie, zaczynam dygotać. Wciąż drzę na całym ciele, gdy nagle czuję, że trumna zaczyna się chwiać, jak gdyby ktoś ją unosił.

Kiwa się na wszystkie strony, w górę, w dół i na boki. Dobiegają mnie głosy, czyjś krzyk, ale nie rozróżniam słów. Po chwili składają trumnę do grobu... najpierw powoli, delikatnie, lecz kiedy do dna zostaje kilka stóp, puszczają ją. Zgodnie z zasadą dynamiki Newtona, walę głową w wieko i rozbijam sobie nos o rurkę do oddychania. Uderzenie jest tak silne, że krzyczę z bólu. Ogarnia mnie paniczny strach, że wysunąłem rurkę z otworu. Kulę się, sprawdzając, czy uda mi się jej dosięgnąć ustami. Tak!

Nagle na drewno spada łopata ziemi. Krzywię się i zamykam oczy, jakby ziemia mogła przebić drewno i spaść mi na twarz.

Kolejna łopata ziemi, i jeszcze jedna.

A potem... nic. Tylko ciemność.

I odgłos mojego oddechu.

## Rozdział 39

Gdy dolatuje mnie pierwszy dźwięk, sam nie wiem, czy śnię, czy jestem w transie... a może po

prostu mam halucynacje z braku tlenu? Dobiaja z bardzo, bardzo daleka, jakby z antypodów. Słumione drapanie, które nic mi nie mówi. Nie mam na nie żadnego wpływu, to się dzieje jakby w innym wszechświecie. Siedzę dźwięk z obojętnością automatu, niczym urządzenie alarmowe w muzeum, bezszelestnie rejestrujące zmiany wilgotności powietrza i temperatury i zapisujące te dane dla obdarzonej czuciem istoty, która je kiedyś odczyta.

Dźwięk nie milknie i stopniowo osuwam się z myślą, że będzie mi towarzyszył w tym moim nowym wszechświecie. Podchodzę do tego z mieszanymi uczuciami, bo teraz, kiedy już postrzegam ten odgłos jako stały element otoczenia, uświadamiam sobie, że wcale nie jest przyjemny. Jest za to wszechobecny. Skupia na sobie większą część mojej świadomości. Niewiele czuję - tylko dotyk drewna pod palcami i szorstką powierzchnię rurki do oddychania. Nic nie widzę. Zapachy ograniczają się do odom mojego ciała, woni sosnowego drewna i fabrycznego smrodu plastikowej rurki.

Jedynym zmieniającym się elementem otoczenia jest ów dźwięk i dlatego skupiam na nim całą uwagę. Wkrótce dochodzę do wniosku, że dochodzi z wnętrza mojej głowy, że sobie go tylko wymyśliłem.

Dopiero po uderzeniu łopaty o drewno staję się prawdziwym obserwatorem wydarzeń. Dźwięk związany jest z czymś, co rozgrywa się w czasie. Jest to odgłos uderzania metalowym przedmiotem w to drewniane coś, w czym się znajduję. Uświadczenie sobie tego faktu wyrwa mnie z letargu.

Zostałem pogrzebany za życia, a teraz ktoś mnie wykopuje!

Natychmiast pochłania mnie fala przerażenia i klaustrofobii. Zostałem pogrzebany żywcem!

Poza tym ogarnia mnie strach, że człowiek z łopatą przestanie kopać. Wychodząc z letargu, w pierwszej chwili nie pamiętam, skąd się tu wzięłem i gdzie ja w ogóle jestem. Co to było? Trzęsienie ziemi, lawina, atak terrorystyczny...? Wiem tylko, że nic nie widzę, ledwie oddycham, jestem w pułapce i śmiertelnie się boję.

Próbuję krzyknąć, dać znak mojemu wybawcy, kimkolwiek jest, że jego wysiłek się opłaca, że tutaj, na dole, leży żywy człowiek. Chcę zawołać: Jestem tutaj i żyję. Nie rezygnujcie!

Jednak to, co wydobywa się z moich ust, nie przypomina tego, co zamierzałem powiedzieć. Nie jest to krzyk ani wrzask, raczej głuchy jęk, tak cichy, że wątpię, by go ktokolwiek usłyszał. Zupełnie jakby mój głos był zbyt wolny, by przekroczyć barierę dźwięku.

Zanim wyciągną trumnę z grobu i zdejmą wieko - co trwa bardzo, bardzo długo - przypominam sobie, jak doszło do tego, że zostałem pogrzebany żywcem. Podczas gdy trwa moja ekshumacja, zastanawiam się, ile czasu spędziłem pod ziemią. Leżąc w trumnie, straciłem poczucie czasu i przestrzeni. Na jakiś czas zapomniałem nawet, kim jestem, nie pamiętałem, że Alex Callahan to ja. Czas ciągnął się w nieskończoność. Początkowo liczyłem każdy oddech, w seriach po sto, ale w końcu straciłem rachubę, potem zapomniałem, jaka jest kolejność liczb, aż wreszcie uznałem to zajęcie za bezcelowe. Zacząłem zachowywać się jak wariat: wrzeszczałem, szamotałem się i próbowałem gołymi rękami wykopać sobie drogę na zewnątrz, w wyniku czego zdarłem sobie tylko palce do krwi. Przez chwilę ten ból podtrzymywał mnie na duchu. Powtarzałem sobie, że skoro mnie boli, to znaczy, że żyję. Nowa sentencja Kartezjusza. *Dolor ergo sum*. Czy jakoś tak.

Żałowałem tylko, że zniknąłem. Rodzicom i Liz ciężko będzie się z tym pogodzić. Ale przede wszystkim martwiłem się o chłopców, bo uważałem, że jestem ich ostatnią nadzieją. Inni robili co mogli, lecz prędzej czy później wszyscy spisali moje dzieci na straty. Przez chwilę żyłem tą myślą. Myśląc o Seanie i Kevinie, przywołując wszelkie ich wspomnienia, przypominając sobie ich twarze

i głosy, przez jakiś czas udawało mi się zachować przytomność umysłu. Miałem też wizję synów. Wmawiałem sobie - i nadal tak uważam - że była prawdziwa.

Umysł splatał mi figla i przeniósł mnie w miejscu i czasie do pokoju, w którym nigdy nie byłem. Miałem wrażenie, że wiszę na środku sufitu i spoglądam w dół. Chłopcy spali na piętrowym łóżku z topornego drewna, jakby wyjętym z westernu - Sean na dole, a Kevin na górze, przykryci wełnianymi kocami.

Pod wpływem mojego spojrzenia Kevin drgnął i przewrócił się na drugi bok. Miał otwarte usta i zobaczyłem, że dwa przednie zęby, które dopiero zaczynały mu się wyrzynać, kiedy przyjechali do mnie z Maine, już prawie całkiem wyrosły. Ich krawędzie, które z biegiem czasu się zetrą, były lekko ząbkowane i jak to zwykle bywa, zęby wydawały się za duże jak na dziecięcą twarz. Nagłe wizja urwała się i znów pograżyłem się w ciemności, próbując przywołać jakieś wspomnienia... Gwiazdkę u teściów, minę Seana, kiedy zobaczył rower pod choinką...

Stopniowo traciłem siłę woli. Diment pogrzebał mnie żywcem. Był przyjacielem Boudreaux. Obiecując sobie coś po jego łagodnym spojrzeniu, tylko myślałem życzeniowe Ciekaw byłem, czy Pinky zdoła odnaleźć mój grób.

Aż w końcu odpłynąłem na dobre, w rejony, w których straciłem zainteresowanie swoim losem. Myślę, że tylko dzięki temu przeżyłem. Podałem się. Usunąłem z głowy wszelkie myśli, bo i tak sprowadzały się do jednego: „A gdybym tak się odwrócił?”, po czym następowało nieuchronne pytanie: „Czy dam radę się odwrócić?”. I dalej w tym samym duchu.

W pewnym sensie poddanie się przyniosło mi ulgę. Nie licz, nie skupiaj się na bólu, nie myśl o synach, porzuć wszelką nadzieję. Przestań myśleć, że Alex Callahan liczył się we wszechświecie. W ogóle nie myśl.

Zgrzyt wyciąganych gwoździ brzmi w moich uszach jak najwspanialsza muzyka. Kiedy podnoszą wieko, oślepia mnie światło i odruchowo zamykam oczy. Czyjeś ręce chwytają mnie za ramiona i unoszą do pozycji siedzącej.

- No już, spokojnie. Nie otwieraj jeszcze oczu. Najpierw niech światło przeniknie przez twoje powieki.

Ktoś podsuwa mi do ust papierowy kubek z wodą. Upijam kilka łyków, rozchlapując wodę. Próbuję unieść dłoń, by otrzeć usta, lecz ręce trzęsą mi się tak, że nie potrafię tego zrobić, jedynie klepię się po twarzy.

- Już dobrze. - Rozpoznaję głos Dimenta. - Nic ci nie będzie. A nie mówiłem, człowieku? Grunt to zaufanie. Twoje ciało protestuje, bo nie lubi tkwić w takiej pozycji, ale nic ci nie jest. Jesteś zdrow i cały, tak jak obiecałem. A teraz spokojnie. Niech świat przyjmie cię z powrotem, bracie.

Więcej wody. Jest przepyszna, to po prostu eliksir. Równie cudowny jest owiewający moją skórę podmuch powietrza, który nagle przywraca mi czucie. Coś wspaniałego! A wpadające przez powieki dzienne światło, w którym migoczą kształty czegoś, czego nie widzę, po tylu godzinach w ciemności jest wręcz objawieniem.

- Jesteś teraz nowym człowiekiem. Odrodziłeś się. Uważaj, podniesiemy cię.

Silne ręce chwytają mnie pod pachy i stawiają na nogi.

- Otwórz oczy, Alex. Najpierw tylko trochę, o tak, a teraz trochę bardziej. Zstąp na ziemię.

Świat wciąż jest zamazany jak prześwietlone zdjęcie, ale widzę dość, by wyjść z trumny na gołą ziemię.

- O, tak! - woła jakaś kobieta.

- Teraz jest jednym z nas!

Cóż za słodkie, cudowne głosy, najmiłsza muzyka! Uwolniony z trumny, nie posiadam się ze zdumienia. Wilgotne powietrze omiatające skórę, słońce, szelest drzew na wietrze, piach... Drzę z rozkoszy, a po policzkach spływają mi łzy radości i ulgi.

- O, tak! Teraz już widzi!

Na ziemi po mojej prawej stronie dostrzegam skomplikowany wzór z białego proszku. Koronkowy, przepiękny.

- To jest veve - tłumaczy mi kapłan, patrząc w ślad za moim wzrokiem. - Pomaga sprowadzić loa.

- Schyla się i czubkami palców wciera proszek w ziemię.

Członkowie bizango zbierają flagi i bębny i wrzucają butelki oraz plastikowe talerze i kubki do worków na śmieci. Niektórzy mają twarze ubabrane białym proszkiem. Wszyscy sprawiają wrażenie zmęczonych, jakby dla nich także była to ciężka noc.

Diment najwyraźniej znowu czyta w moich myślach, bo wyjaśnia:

- Kiedy wstępuje w ciebie loa, nie masz odpoczynku. Dostajesz drgawek, padasz na ziemię, potem tańczysz. Teraz wszyscy jesteśmy zmęczeni... tylko tobie udało się wypocząć.

I wybucha tym swoim niepokojącym śmiechem.

Jestem przed domem Dimenta - siedzę na rozpadającym się ratanowym krześle na małym betonowym patiu z tyłu budynku. To zaledwie skrawek betonu, na którym stoi służąca za stół szpula po kablu oraz dwa rozklekotane krzesła. Po prawej mam różnej wielkości klatki dla zwierząt i kojce dla kurczaków, sklecone z powiązanych winoroślą prętów bambusa. Jedną zajmuje nakrapiana kura, inne są puste. Kura siedzi nieruchoma jak głaz, obracają się tylko jej oczy.

Wcześniej przebrałem się w swoje ubranie i zadzwoniłem z bmw do Pinky'ego, żeby wiedział, że nic mi się nie stało. Teraz czekam na Dimenta. Zwykle nie znoszę czekania, ale chwilowo wcale mi to nie przeszkadza. Noc pod ziemią zmieniła mój sposób patrzenia na świat. Twierdzenie, że czuję się „nowo narodzony” byłoby może przesadą, ale faktycznie jestem świeży i pełen życia. Znikła też moja niecierpliwość, przestałem się miotać i złościć, gdy świat nie kręcił się akurat wokół mnie. Dziwna wizja moich chłopców, śpiących na piętrowym łóżku, podniosła mnie na duchu, podtrzymała moją wiarę w to, że wciąż żyją.

Diment zjawia się jakieś pół godziny później.

- Wiesz, dlaczego postanowiłem ci pomóc? - pyta. Jest wyraźnie wyczerpany, jego starcza skóra ma niezdrowy odcień, a kaprawe oczka są podkrążone i zmęczone.

- Nie.

- Z powodu bliźniąt. Szukasz synów, a oni są bliźniakami. Właśnie dlatego. Inaczej bym się nie zgodził. Stary człowiek nie lubi zarywać nocy. W *vaoodoo* bliźniacy odgrywają szczególną rolę. Ponad wszystkimi loa, czyli duchami rządzącymi całym światem, żywych i umarłych, jest jeszcze Marassa. - Kiwa głową.

- Marassa?

- Tak, to bliźnięta. To one sprawiają, że pada deszcz, to dzięki nim zioła leczą chorych. Dwóch w jednym... symbolizują harmonię, która powinna panować na świecie, równowagę pomiędzy ziemią a niebem, ogniem i wodą, żywymi i umarłymi.

- Bliźnięta?

- Bliźnięta - przytakuje kapłan słodkim głosem. - Widzisz, bliźniaki nie zawsze żyją, jak to się mówi, w zgodzie, o nie. Bywa, że się kłócą. Albo są zazdrosne. Równowaga zostaje zakłócona. Ale

w *vaoodoo* bliźnięta w rodzinie mają wielką wagę. One... - szuka właściwego słowa - są przypomnieniem tajemnicy. Musisz wyprawić dla nich ceremonię, tak? Gdy tylko odnajdziesz swoich synów. Musisz mi to obiecać.

- Ceremonię?

- Na ich cześć. Co rok. A teraz słuchaj. Masz to robić rok w rok. Dobrym terminem jest Gwiazdka, ale ta ceremonia ma być niezależna od uroczystości świątecznych, więc może lepiej wybrać inną datę. Kolejnym dobrym dniem jest czwarty stycznia.

- Ale przecież to... Przerzywa mi, unosząc rękę.

- Trzecim terminem jest wigilia chrześcijańskiej Wielkiej-nocy. Jeżeli nie wyprawisz ceremonii na cześć bliźniaków, nadejdą złe czasy.

- To akurat żaden problem - uspokajam go. - Czwartego stycznia zawsze świętujemy. To dzień ich urodzin.

Ta wiadomość zaskakuje go, a nawet przepelnia strachem.

- Bogowie mi cię zesłali. Powiniennem pomodlić się do Marassy. - Zamyka oczy, mamrocze coś, żegna się i głowa opada mu na piersi. Gdy znów otwiera oczy, wydaje się tak zmęczony, że pytam, czy nie chciałby trochę odpocząć.

- Wiesz, muszę zwrócić Pinky'emu samochód - przekonuję go. - Mogę wrócić później.

- Nie, nie, nie, nie. - Przeciąga otwartą dłonią po twarzy. - Zaraz ci opowiem o Byronie. Możliwe, że wiem to i owo. Miejmy nadzieję... - macha ręką - miejmy nadzieję, że ci to pomoże.

Wpadam w ponury nastrój. Wygląda na to, że Diment nie wie konkretnie, gdzie przebywa Boudreaux.

Przerzywa nam przybycie jakiejś kobiety. Ma na sobie długą spłowiała suknię i jest bosa. Mocno zdenerwowana, odnosi się do kapłana z nabożnym szacunkiem. Niesie białego koguta, trzymając go przy piersi w taki sposób, że ten nawet nie próbuje się wyrwać. Diment kłania mi się lekko i wstaje, by zbadać ptaka. Unosi jego skrzydła, tu i tam rozchylając pióra. Kogut cały czas gdacze i gwałtownie potrząsa głową, machając czerwonym grzebieniem i łypiąc jasnymi oczkami.

- Nadaje się - orzeka kapłan i każe wsadzić ptaka do pustej klatki. Przy akompaniamencie gdakania i w chmurze fruujących piór kogut ląduje w swojej celi. Kobieta zamyka klatkę, wsuwając patyk w podwójną pętlę z winorośli.

- Przyniosła koguta, żebym go złożył w ofierze - tłumaczy mi Diment. - Wróci później. Ty byłeś pierwszy.

Moje myśli natychmiast przeskakują do kurzej krwi na koszulce Kevina, którą policja znalazła u mnie w szafie.

- Złożysz go w ofierze? - Dopóki o tym nie wspomniał, sądziłem, że kura w klatce miała znosić jajka. A koguta do stał... - bo ja wiem? - w charakterze zwierzaka domowego, jak pies czy kot.

Starzec potakuje ruchem głowy.

- Nie podoba ci się to?

Kręcę głową, jakbym chciał otrząsnąć się z myśli, ale oczywiście kapłan ma rację.

- Wcale mnie to nie dziwi. Uważasz, że to jest prymitywne, mam rację?

- Chyba tak.

- A ja uważam, że składanie ofiary od bardzo, bardzo dawna jest podstawą oddawania czci. Bogowie, czy bóg, stworzyli świat i dali ci życie. Żeby oddać cześć bogu, rytuał nakazuje oddać mu jedno z jego stworzeń. Oddajesz mu życie, żeby go nakarmić. Czasami bywa ciężko. Panuje susza

albo zwierzęta chorują. Ale nawet wtedy zwierzę przeznaczone do złożenia w ofierze musi być absolutnie zdrowe. Bez najmniejszej skazy. Dlatego poświęcenie zdrowego zwierzęcia w trudnych czasach nie jest łatwe. Ale najbardziej potrzebujesz pomocy Ioa, kiedy jest ciężko, prawda?

- Rozumiem, jaka idea wam przyświeca, ale...

Diment zbywa moje słowa gwałtownym gestem, po czym kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Pozwól, że cię o coś zapytam... Jesteś chrześcijaninem?

- Powiedzmy.

- Więc chyba wiesz, że wiara chrześcijańska została zbudowana na składaniu ofiar? Bóg kazał Abrahamowi złożyć w ofierze jego syna, Izaaka, a potem zmienił zdanie. Zadowolili się barankiem. Zamiast Izaaka wziął baranka. Wziął życie. Bo Bóg nie wymagał złożenia ofiary z syna od Abrahama, wymagał tego od siebie. Poświęcił życie swojego jedyne go syna, kazał mu umrzeć na krzyżu w palącym słońcu, przelał krew własnego dziecka, odebrał mu życie. Nie życie kurczaka, nie byka, nie barana... ale swojego jedyne go syna. Jezus z góry wiedział, że tak się stanie. Czy podczas Ostatniej Wieczerzy nie powiedział: „Oto krew moja, oto ciało moje”? Przyjmowanie komunii to rytuał. A o co w nim chodzi? O poświęcenie, prawda? Pijecie krew Jezusa, zjadacie jego ciało.

- Zgadza się - przyznaję. - Masz absolutną rację. Ale...

- Ale nadal uważasz, że zabicie kurczaka to przejaw zacoiania, tak? Pozwolisz, że cię zapytam: jak możesz szanować życie, skoro nie szanujesz śmierci? Powiedz mi... twoim zdaniem jestem żadnym krwi człowiekiem, lubię przelewać krew?

- Nie. Ale...

- Ty żyjesz w swoim umyśle - oświadcza kapłan, ze smutkiem kręcąc głową. - Alex, musisz także żyć w swoim ciele. - Uderza się w pierś. - Musisz żyć tutaj. Naucz się żyć tutaj.

- Ależ ja żyję w swoim ciele.

- Nie. Minęły dopiero trzy godziny, odkąd wyszedłeś spod ziemi, a już wróciłeś tutaj. - Dotyka głowy i wzdycha głęboko, ze znużeniem.

- Przykro mi. Diment kręci głową.

- Podejrzewam, że Byron nadal praktykuje składanie życia w ofierze - mówię. - Zostawił u mnie w domu koszulkę jednego z moich synów, przesiąkniętą krwią. Dlatego policja podejrzewała, że sam zabiłem swoje dzieci... dopóki nie zbadali tej krwi.

- Byron... on lubi zabijać, co?

Nie wiem, co mam mu odpowiedzieć.

Kapłan wyciąga ku mnie rękę, jakby mnie błogosławił.

- Nie. Byron jest jak sowa albo pantera. - Kręci głową. - Poluje, przelewa krew, ale tylko na własne potrzeby, żeby ugasić pragnienie. Próbowałem go nauczyć, na czym rzecz polega, ale... - Znowu kręci głową.

- O czym ty mówisz?

- O psie - wyjaśnia Diment. - Mniej więcej wtedy Byron do mnie przyszedł. Powiedziałem, że ten pies to strata. Mówię mu: Jeśli roztrwonisz swoją moc, synu, nic ci nie zostanie. A on mnie pyta, o jakiej mocy mówię. Więc mu tłumaczę: o tej mocy, którą zyskujesz, kiedy zadajesz cierpienie. O mocy, której nabierasz, kiedy jakieś stworzenie umiera. O mocy, która się bierze ze składania ofiary.

- A co on na to? Kapłan wzrusza ramionami.

- Prosił, żebym go nauczył.

- Czego?

- Magii.

- Na przykład sztuczek karcianych? Starzec kręci głową.

- Nie, nie, nie. On już wtedy potrafił robić takie rzeczy. Byron... ten to potrafił odwrócić twoją uwagę, za każdym razem. Chciał poznać Tajemnicę. Chciał się dowiedzieć, na czym polega składanie ofiary, chciał poznać to, co nazywamy „prawdziwą magią”.

- Mogłeś go tego nauczyć?

- O tak. Ale nie mogę z tobą o tym mówić. Ty tego nie pojmujesz. Nie rozumiesz nawet, dlaczego sam wierzysz w poświęcenie. Jedno ci powiem... coś, co wygląda na magię, nie zawsze nią jest. - Stuka się w skroń. - Ty nie widzisz, co się dzieje, nie widzisz prawdziwej przyczyny.

- Ale z Byronem mogłeś o tym mówić? Przytakuje.

- Mogłem go tego nauczyć. I próbowałem.

- Na przykład czego? Czego go uczyłeś?

- Uczyłem go o loa, o znakach i o tym, co oznaczają, o składaniu ofiary, tańcu, o wszystkim, co sprowadza moce tamtego świata na ten świat. O tym, jak pomóc duszy w wędrówce, kiedy ktoś umiera. O tym, że każdy duch ma na tym świecie swoje miejsce, i o tym, w jaki sposób go tu ściągnąć, żeby nie zrobił ci krzywdy. Jak wykonać juju, mojo i veve. Jak zrobić wszystko to, co sam potrafię. A nawet jak wykorzystać ducha dla swoich celów, żeby komuś zaszkodzić. Uczyłem Byrona wszystkiego, co wiem. Uczyłem go o liściach i ziołach. A on skorzystał z tej wiedzy, żeby zabić.

- Swojego ojca?

- Tak. - Diment powoli kiwa głową. - Uczyłem go wszystkiego. Tylko że on się niczego nie nauczył.

- To znaczy? Kapłan kręci głową.

- On używał wszystkiego tylko dla swojej korzyści. A to nie tak. To była pierwsza rzecz, jakiej próbowałem go nauczyć, na przykładzie tego szczeniaka. Byron udawał, że się uczy. Ale wcale się nie zmieniał. Wciąż był taki sam. - Do oczu Dimenta napływają łzy. Potrząsa głową gwałtownie, jakby chciał się ich pozbyć. - Wiesz, że przyjechał tutaj, kiedy go wypuścili?

- Z Port Sulrur?

- Tak. - Kiwa głową z boku na bok. - Po tylu latach! Spędził ze mną kilka dni. Miałem nadzieję, że się zmienił. Że po takim czasie jest już mężczyzną. Ale... - Kręci głową. - To był wciąż ten sam Byron, tylko silniejszy. Ucieszyłem się, kiedy sobie pojechał. - Wstaje raptownie. - Chodź ze mną.

Idę za nim do domu, do drugiego pokoju. Mamrocząc coś, kapłan podchodzi do ołtarza, z wielu przedmiotów bierze coś, co wygląda na pocztówkę, i podaje mi ją.

Oświetlenie jest kiepskie - tylko kilka świec i lampki choinkowe. To, na co patrzę, przypomina mi obrazki używane przez okulistów do badania daltonizmu.

- Co to jest? - pytam.

- Przyjrzyj się.

Wciąż widzę tylko barwne plamy. Dopiero po kilku minutach przyglądania się kartce odkrywam jej tajemnicę. Pośród krwistoczerwonych plamek ukryte są dwie twarze klaunów, którzy intensywnie wpatrują się w tego, kto ogląda tę pocztówkę.

- Co to takiego?

- Odwróć ją.

Na odwrocie wydrukowany jest tytuł obrazu:

Petit Jean, *Marassa*



Port au Prince, Haiti, 1964

- Bliźnięta - mówi Diment. - Widzisz?

- Faktycznie.

- Zobacz, jest zaadresowana do mnie. Przeczytaj, co napisał Byron.

Obok adresu widnieje odręczna notatka:

*Skończyłem z Zamkiem.*

*Teraz uprawiam prawdziwą magią.*

- Co to jest „prawdziwa magia”? O co mu chodzi?

- Bliźniaki strzegą bramy do *les Mysteres* - wyjaśnia kapłan. - Bez tych tajemnic nie można uprawiać prawdziwej magii.

- Ale czym jest prawdziwa magia?

Starzec nie zwraca na mnie uwagi. Palcem wskazującym stuka w stempel na znaczku pocztowym.

10 sierpnia 2000 Point Arena, Kalifornia.

- Dla wyznawców *vaoodoo* to szczególnie ważny dzień. Poświęcony Marassie. Dlatego Byron wysłał tę kartkę akurat wtedy, dziesiątego sierpnia. Można by rzec - Diment pokazuje zęby w swym przerażającym uśmiechu - że to nasze święta Wielkanocne.

- Myślisz, że Byron tam mieszka? W Point Arena?

- Nie wiem. To ostatnia kartka, jaką od niego dostałem. Trzy lata temu! Trudno powiedzieć, żebym mu deptał po piętach.

Patrzę na nabazgrany podpis. Przyglądam mu się uważnie, ale nijak nie przypomina słowa „Byron”.

Starzec zagląda mi przez ramię.

- Chodzi ci o podpis? - pyta. - To *Maitre Carrefour*.

- Kto to taki?

- Byron używał tego nazwiska, kiedy jeszcze występował jako magik - wyjaśnia Diment i dorzuca: - Na estradzie.

- Występował... Czyli że już nie występuje? Kapłan zaprzecza ruchem głowy.

- Dlaczego?

- Czytałeś kartkę. Píše, że teraz uprawia prawdziwą magię.

- Ale co to znaczy?

Diment pochyla głowę i marszczy brwi.

- To znaczy, że świat ma tańczyć tak, jak mu zagrasz, do czego potrzebna jest pomoc duchów. Jeśli się z nimi zjednoczysz, będą dla ciebie pracować i zdobędziesz moc sprawczą. - Z zamkniętymi oczami kiwa głową z boku na bok, w powolnym, miarowym tempie, jak metronom. - Oto czym dla mnie jest prawdziwa magia. Ale czym jest dla Byrona, nie wiem.

- A o co chodzi z tym zamkiem? Kapłan wzrusza ramionami.

- Ja też tego nie rozumiem.

- A Carrefour?

- A tak. To ci mogę wyjaśnić - odpowiada starzec. - *Maitre Carrefour* to ktoś w rodzaju, jak byś to powiedział, świętego patrona.

Patrona czego? Diment spogląda na mnie i kręci głową. - Czarów.

## Rozdział 40

Łapię Pinky'ego przy śniadaniu w sali jadalnej hotelu Holiday Inn. Detektyw popija kawę i

przegląda kolumnę z prognozą pogody w „USA Today”. Mapa jest jasnopomarańczowa - cały kraj zalała fala upałów.

- Jasny gwint! - rzuca, gdy wciskam się na krzesło naprzeciwko niego. - Jak na kogoś, kto dał się pogrzebać żywcem, wyglądasz całkiem, całkiem. Jak było?

- Ciemno.

Pinky wybucha śmiechem, tak że spojrzenia obecnych na sali zwracają się w naszą stronę. Nie wiem, dlaczego moja odpowiedź tak go rozbawiła, w każdym razie skręca się ze śmiechu, próbując złapać dech.

- Ja myślę! - wykrztusza w końcu i wzdycha. - No nic, mam tylko nadzieję, żeś się dowiedział czegoś przydatnego.

Wzruszam ramionami.

- Sęk w tym, że Diment nie wie, gdzie jest teraz Byron.

- Nie wie? Czy nie chce powiedzieć?

- Moim zdaniem nie wie. Jest coś, co łączy bliźniaki i voodoo... nie całkiem zrozumiałem, o co chodzi, w każdym razie bliźnięta to dla nich duża sprawa. Sądzę, że chciał mi pomóc.

- Ale nie mógł?

- Dowiedziałem się tego i owego. Po wyjściu z domu wariatów Byron występował na scenie jako magik, pod pseudonimem *Maitre Carrefour*. W ten sposób zarabiał na życie.

Pinky kiwa głową i wyciąga z kieszeni kartkę ze skorowidza.

- Carrefour, hę? Roześlemy za nim list gończy, że się tak wyrażę. Magik... Iluzjoniści na pewno mają jakieś stowarzyszenia, związki zawodowe, agentów. Coś jeszcze?

- Byron wycofał się... już nie występuje.

- Więc co teraz robi?

- Diment nie wie. Z ostatnich wiadomości wynika, że Byron uprawia „prawdziwą magię”. - Palcami wskazującymi kreślę w powietrzu cudzysłów.

- A co to za wynalazek? Jaka jest różnica między magią a prawdziwą magią?

- Diment nie potrafił mi tego wyjaśnić, a może po prostu go nie zrozumiałem. Byron przeszedł całe szkolenie na hun-gana... wiesz, na kapłana voodoo. Wyznawcy, nie wyłączając Dimenta, wierzą, że zasłona oddzielająca świat naturalny od nadprzyrodzonego, świat żywych od świata umarłych, jest dziurawa jak sito. I że ktoś taki jak Byron może, z grubsza rzecz biorąc, dogadać się z loa i dokonywać nadnaturalnych czynów.

- Hm. Pomyślę o tym. Co jeszcze masz?

- Byron co jakiś czas wysyłał Dimentowi pocztówki. Ostatnią z Kalifornii.

- A dokładniej?

- Z Point Arena.

- To raczej jakaś mała dziura. Ten szaman przypuszcza, że Boudreaux tam mieszka?

Wzruszam ramionami.

- Byron wysyłał inne kartki, ale Diment wyrzucał starą, kiedy dostawał nową. I nie zwracał uwagi na stemple pocztowe. Ta kartka była ostatnia... wysłana prawie trzy lata temu.

Pinky w skupieniu bębni różowymi palcami po stole. Drobnie białe włoski na grzbiecie jego dłoni błyszczą w słońcu.

- Więc to wszystko? - zżyma się. - *Maitre Carrefour*. Prawdziwa magia. Stempel pocztowy na kartce sprzed trzech lat. - Kręci głową i spogląda na mnie. - Gównu ci z tego przyszło, żeś się

przekiwał całą noc w trumnie, kolego.

W drodze powrotnej do Nowego Orleanu detektyw stara się złagodzić swoją ocenę sytuacji.

- Ten Carrefour... może trafimy do niego po tym pseudonimie. Z tego, co wiemy, masz nad Byronem tę przewagę, że dużo już o nim wiesz, znasz nawet jego nazwisko, a on nie ma pojęcia, że masz go na radarze. Być może nadal mieszka w tym Point Arena. Możemy się tym zająć od razu. Taki świr... kto wie, może jest tak arogancki, że cały czas używa prawdziwego nazwiska? Dopóki tego nie sprawdzimy, nie dowiemy się, czy był tam tylko przejazdem, czy też mieszkał w tej miejscinie przez jakiś czas. Może dostatecznie długo, by zostawić jakieś ślady.

Jestem tak zmęczony, że nie mogę pohamować ziewania.

- Chyba powinienem się wybrać do Point Arena.

- Chyba tak - przyznaje Pinky. Kolejne szerokie ziewnięcie.

- Nie wyspałeś się, co? - mówi detektyw. - W tej trumnie? Mogłem ci powiedzieć, że tak będzie.

Pewnie jesteś cały naszpikowany kortyzolem.

- Co to takiego?

- Hormon stresu. - Stuka palcem w gazetę. - Właśnie o nim czytałem. To niezdrowe.

Przez kilka minut gadamy o dupie Maryni.

- Zaraz, a co on tam jeszcze pisał na tej kartce? - pyta nagle Pinky. - Oprócz tego bełkotu o prawdziwej magii?

- „Skończyłem z Zamkiem. Teraz uprawiam prawdziwą magię” - cytuję.

- Tylko tyle? Co to za zamek?

- Skąd mam wiedzieć? Diment też nie wiedział.

- Hm - bąka Pinky. - Zamek. W Kalifornii.

Jestem już półprzytomny, kiedy prawda dociera do mnie niczym bąbelki powietrza wypływające na powierzchnię wody:

Karl Kavanaugh siedzi naprzeciwko mnie przy stoliku w Pep-permill w Las Vegas. Opowiada mi o historii magii i o tym, jak w swoim czasie centrum iluzji przeniosło się z Chicago do Los Angeles, gdzie powstał pewien klub - Magiczny Zamek.

- Witaj, Karl. Tu Alex Callahan.

- A, cześć. Co słychać? Wróciłeś do miasta?

- Nie, jestem w Nowym Orleanie. Przyjechałem tu, bo... bo chyba na coś trafiłem.

- W sprawie zamordowania sióstr Gabler?

- Właśnie. - W tym momencie nie pamiętam, co wyjawiałem Karlowi. Czy mówiłem mu o moich synach? Chyba nie.

- I jak się sprawy mają?

- Robię postępy. Właśnie w tej sprawie dzwonię... pamiętasz, jak opowiadałeś mi o Magicznym Zamku? Czy on wciąż działa?

- Jak najbardziej. Pokazy odbywają się w każdy weekend, na kilku scenach równocześnie. Kolacja w świetle iluzji, tego typu klimaty. Jeśli chcesz to obejrzyć, mogę cię wprowadzić.

- Potrzebny jest ktoś wprowadzający?

- To jest klub, rozumiesz. Tam nie sprzedają biletów. Musisz być albo członkiem klubu, albo jego gościem. Ewentualnie należeć do Stowarzyszenia Magików Amerykańskich.

- Jeszcze nie wiem, czy się wybiorę, ale dzięki za zaproszenie. Chodzi mi o to, że facet, którego szukam, który zamordował siostry Gabler, najprawdopodobniej tam pracował.

- Poważnie? A jak się nazywa?

- *Maitre* Carrefour. Prawdziwe nazwisko Boudreaux.

- Carrefour. Boudreaux. Hmmm. - Przerwa. - Nic mi to nie mówi, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Los Angeles trzyma się nieco na uboczu, jest odcięte jak wyspa. A ja już rzadko tam bywam.

- Znasz może kogoś w Zamku, z kim mógłbym pogadać?

- Jasne. Niech no pomyślę... - Cisza. - Najlepszy będzie John DeLand, kustosz. Wie wszystko o wszystkich.

- Masz jego numer?

Podaje mi numer kustosza i proponuje, że najpierw sam do niego zadzwoni w mojej sprawie.

- Wiesz, magicy to jedna sitwa. Gdy ktoś zaczyna się rozpytywać o jednego z naszych, języki idą w ruch. Jeśli chcesz, mogę ci przetrzeć ścieżki...

Kavanaugh oddzwania do mnie w chwili, gdy siedzę w klitce, którą udostępnił mi Pinky na tyłach swojego gabinetu w Dzielnicy Francuskiej, i sprawdzam pocztę elektroniczną.

- John DeLand chętnie z tobą pogada. Owszem, pamięta Carrefoura... pracował w Zamku przez dwa lata z przerwami.

- Wspaniale, dzięki! Czy ten DeLand jest pod tym numerem, który mi dałeś?

- Tak. - Przerwa. - Chociaż jeśli mogę ci coś doradzić...

- Tak?

- Hm, nie wiem, jak twoje finanse, ale jeśli cię na to stać, warto, żebyś się wybrał do Los Angeles.

- O? - Akurat myślałem dokładnie o tym samym. Boudreaux musiał gdzieś mieszkać, skoro regularnie występował w Zamku. Na pewno miał jakichś znajomych, gospodynię, życie prywatne... Musiał zostawić jakieś ślady.

- Widzisz - ciągnie Kavanaugh. - John jest najlepszym źródłem, ale w Zamku są też inni magicy pamiętający Carrefoura. John ci powie którzy.

- Jasne.

- No i spotkasz się z Johnem osobiście.

- Co masz na myśli?

- No... - Wybuchają śmiechem. - John jest jak żywcem wyjęty z dziewiętnastego wieku. To jeden z tych starszych panów, którzy drą się do słuchawki, jakby telefon składał się z połączonych sznurkiem misek. O wiele więcej się dowiesz, jeśli pogadasz z nim w cztery oczy. On... hm... dużo lepiej wypada na żywo.

- Aha.

- My, magicy, najlepiej wypadamy na żywo - wyjaśnia Karl i milknie na chwilę. - Nie sądzisz, że to dziwne wyrażenie?

- Rozumiem, o co chodzi - odpowiadam, choć tak naprawdę już go nie słucham. Stukam w klawiaturę, sprawdzając połączenia lotnicze z Los Angeles.

- Na żywo! - powtarza Karl podniosłym tonem prezentera zapowiadającego występ na estradzie. - A czy jest jakiś wybór?

## Rozdział 41

Magiczny Zamek to podniszczona wiktoriańska rezydencja na wzgórzach otaczających Hollywood. John DeLand pasuje do niej jak ulał. Ma cienkie białe włosy i przenikliwie

jasnoniebieskie oczy. Na jego długim nosie siedzą okraciem dwuog-niskowe okulary. Ubrany jest w błyszczący, trzyczęściowy czarny garnitur o staromodnym kroju; przy kamizelce ma nawet dewizkę od zegarka. Jedyne dysonans stanowi wielki niebieski zegarek elektroniczny z plastikowym paskiem na lewym ręku magika.

Kustosz wita mnie na parterze i prowadzi krętymi schodami do swojego gabinetu.

- Teraz mam dla pana tylko godzinę - mówi. - Oczywiście, jutro możemy porozmawiać dłużej. Zakładając, że w ogóle będę mógł mówić. Mam wizytę u ortodonta, który obiecał doprowadzić do porządku moje zęby.

Podchodzi do małej mosiężnej kratki, rzuca: „Harry Houdini” i skrzypiące drzwi otwierają się automatycznie.

Jego gabinet jest jakby żywcem wyjęty z Dickensa: niebywale przestronny, umeblowany masywnymi wiktoriańskimi antykami... wokół roi się od kolumnienek, rzeźbionego w zawijasy drewna i wytartego aksamitu. Pokój jest niemożliwie wręcz zagracony, wszędzie walają się książki, globusy, kryształowe kule, karty, posążki, czaszki, rośliny, jakieś mechaniczne zabawki, klatki, rozmaite gadżety, papiery, foldery i wszelkie inne *objets*, jakie tylko można sobie wyobrazić. Ściany obwieszane są starymi plakatami reklamującymi sztuczki magiczne i występy iluzjonistów, a pomiędzy nimi wiszą magiczne różdżki, wysadzone kamieniami insygnia władzy i tym podobne przedmioty. Na parapetach wylegują się kocury.

DeLand wskazuje mi bogato rzeźbione drewniane krzesło.

- Nie jest zbyt wygodne, ale koty go nie lubią, więc dzięki temu nie wyjdzie pan udekorowany kocią sierścią.

Sam zasiada za wielkim czarnym biurkiem, zawalonym dwucalową warstwą papierzyśk. Najpierw jednak musiał zdjąć z krzesła długowłosą czarną kotkę. Teraz trzyma ją na rękach i głaszcze.

- A więc przyszedł pan w sprawie Carrefoura. Karl wspominał, że interesuje się pan nim w związku z jakimś morderstwem?

- Owszem. W związku z serią morderstw.

- Dobry Boże! I sądzi pan, że Carrefour ma z tym coś wspólnego?

- Tak.

Odchyła się na oparcie krzesła i świdruje mnie jasnoniebieskimi oczami.

- Coś podobnego! A pan jest kim... detektywem? Z policji? Pytam dlatego, że my, magicy, tworzymy coś w rodzaju, hm... bractwa, można by powiedzieć. Jeżeli mam się przyczynić do odnalezienia Carrefoura, chciałbym wiedzieć, w jakim celu to robię. Byłbym też wdzięczny za informację, w jaki sposób pańskie poszukiwania doprowadziły pana do Magicznego Zamku. - Uśmiecha się zdawkowo i głaszcze kotkę, która mruczy głośno.

- Nie jestem z policji - wyjaśniam. - To sprawa osobista.

Podczas gdy pokrótce streszczam mu swoją historię, zdawkowy uśmiech kustosza znika, a jego miejsce zajmuje wyraz przerażenia.

- Coś potwornego - mówi DeLand drżącym głosem. - Jest mi niewymownie przykro. Oczywiście, pomogę panu, w czym tylko będę mógł. - Sięga po czarny telefon. - Zaczniemy od księgowości i Stowarzyszenia Magików Amerykańskich. Najwyraźniej Carrefour był zarówno członkiem stowarzyszenia, jak i Zamku, więc musiał płacić składki, a poza tym trzeba mu było wysyłać gdzieś literaturę fachową. Powinniśmy mieć jego adres i numer telefonu.

Skończywszy wykrzykiwać polecenia do telefonu, odkłada słuchawkę i wraca do głaskania kotki.

- A zatem czego chciałby się pan ode mnie dowiedzieć?

- Proszę po prostu opowiedzieć mi o Carrefourze. Wszystko, co pan pamięta.

- Nie jestem pewien, jak doszło do tego, że zaczął tu występować - zaczyna DeLand. - Być może ktoś inny będzie pamiętał. Możliwe, że poprzedziła go reputacja i dostał angaż na jeden czy dwa wieczory. Ale niewykluczone, że po prostu przyszedł na występy, i tak to się zaczęło.

- Nie bardzo rozumiem...

- Magicy ściągają do Zamku ze wszystkich stron... przybywają tu specjalnie albo wpadają, bo akurat byli przejazdem w mieście. Wizyta w Zamku to dla nich coś na kształt pielgrzymki. Mamy około pięciu tysięcy członków.

- Pięknie.

- Prawda? No więc powiedzmy, że jakiś magik, będąc przejazdem w mieście, wpada na wieczorne występy. Chce zobaczyć, co prezentuje konkurencja, ewentualnie podpatrzeć jakąś sztukę albo po prostu zapewnić żonie czy przyjaciółce rozrywkę. Przed pokazami, na przykład w barze albo w antrakcie po kolacji czy czekając na kolejny występ, nasi goście sami robią różne sztuczki. Wie pan, pokazują, co potrafią. W barze albo w kolejce zobaczy pan ludzi popisujących się sztuczkami karcianymi czy z monetami. Zdarza się, że ktoś pokazuje nawet jakąś skomplikowaną iluzję.

- Czyli to coś w rodzaju przesłuchania?

- Można tak powiedzieć. To jeden ze sposobów na wetknięcie nogi w drzwi. A potem... bywa, że któryś z artystów choruje albo popada w konflikt z kierownictwem i nagle robi się wolne okienko. Wówczas odwiedzający nas magik ma szansę wskoczyć na to miejsce. No a później... kto wie?

- W każdym razie Carrefour otrzymał tu stały angaż?

- Tak. Zresztą jak najbardziej zasłużenie. Jest niezwykle utalentowanym wykonawcą, a na scenie prezentuje się wyśmienicie. Prawdę mówiąc, wszystkie jego pokazy były zdumiewające. I, na początku, głęboko osadzone w tutejszej tradycji.

- To znaczy?

- No cóż, my, rzecz jasna, nie dysponujemy takimi środkami finansowymi, żeby porywać się na naprawdę wielkie przedsięwzięcia, takie jak w Las Vegas. Tam większość występów wymaga budowy specjalnych urządzeń dla konkretnego magika i danego numeru. Wiąże się to z mnóstwem technologicznych nowinek... jakieś skomplikowane tajne przejścia i tunele pod sceną, czarne oświetlenie, nie wspominając o drutach i pomostach umożliwiających uzyskanie efektu lewitacji. A u nas scena to po prostu scena. Efekty świetlne, lustra, gadżety i rozpraszanie uwagi stosujemy w minimalnym stopniu. Nie tylko dlatego, że nie pozwalają na to nasze dochody, ale także dlatego, że uważamy to za cnotę... my prezentujemy klasyczną magię. Carrefour nie różnił się pod tym względem od innych wykonawców, przynajmniej na początku.

- A potem?

- No cóż, z biegiem czasu zmodyfikował swoje przedstawienia. Sięgnął do przeszłości i zaczął wykonywać niektóre triki z ubiegłych stuleci, zwłaszcza wywodzące się z tradycji indyjskiej. Zdumiewające rzeczy, oszałamiające efekty, ale... - Krzywi się, odrywa ręce od kotki i macha nimi.

- Ale co?

- Cóż, gusta się zmieniły. Jego nowe pokazy nie cieszyły się popularnością.

- Dlaczego? O jakich gustach pan mówi?

- O gustach dotyczących tego, co ludzie mają ochotę oglądać na scenie. Teraz już nie chcą, żeby ich straszyć. Zaskakiwać, zdumiewać, oczarowywać, to tak, ale nikt nie chce się bać, odchodzić od zmysłów ze strachu. Co więcej, jeśli chodzi o Carrefoura, widzowie stracili apetyt na krew. Tymczasem jego występy w miarę rozwoju... no cóż, prawdę mówiąc, ociekały krwią. Było to głęboko osadzone w tradycji, a jednak...-Wzrusza ramionami.

- Według pana ludzie mają dość krwi? W Hollywood są innego zdania.

Kustosz znów wzrusza ramionami.

- Punkt dla pana. Flaki na wierzchu, wiadra krwi, trup na trupie. Bzdury w rodzaju *Teskańskiej masakry piłą mechaniczną*. A wszystko pokazane z przerażającym realizmem. Tyle że... - przekrzywia głowę na bok - kino to tylko kino. Choćby było nie wiem jak realistyczne, wiadomo, że wszystko nakręcono i zmontowano ileś tam miesięcy temu. Są pokazy przedpremierowe, reklamy, gwiazdorzy objeżdżają świat, promując film. Dopiero potem oglądamy sam produkt, a to, co widzimy na ekranie, pokazane jest w dwóch wymiarach.

- Zgadza się. Ale przecież wiadomo, że na scenie także wszystko jest wyreżyserowane.

- To prawda, ale oglądanie realistycznych pokazów brutalności na własne oczy, z bliska i w czasie rzeczywistym, to przeżycie zupełnie innego rodzaju. Nawet w teatrze panuje tendencja do stylizacji aktów przemocy. Po pierwsze, jest to bardzo trudne do pokazania. Nawet zwyczajną walkę na pięści niełatwo odegrać tak, żeby wyglądała realistycznie. Ale prawda jest taka, że większość ludzi nie chce oglądać brutalności, która przypomina rzeczywistość. Wielkie nieba, w Amsterdamie poszedłem kiedyś do teatru na ambitną sztukę. I kiedy jeden z aktorów oderwał kawałek rośliny, właściwie porwał ją na scenie na strzępy... a był to tylko filodendron w doniczce... część widowni była tak zszokowana, że opuściła salę.

- Hm.

- Niech pan się wybierze wieczorem do Zamku i obejrzy występy. Przekona się pan, że nasze sceny są stosunkowo niewielkie. Nawet największa dysponuje mniej więcej setką miejsc siedzących. Artysta stoi tuż nad widownią... tak trzeba, żeby prezentować magię z bliska. Mój Boże! Na niektórych pokazach iluzji Carrefoura widzowie bali się, że zostaną obryzgni krwią. To jakby siedzieć przy samym ringu, kiedy jeden z bokserów krwawi. Kobiety, nawet te najbardziej krwiożercze, niezbyt za tym przepadają.

- Ale Carrefourowi pozwalano na te występy?

- No cóż, dopóki nie zmodyfikował swoich przedstawień, cieszył się olbrzymią popularnością. Na jego pokazach zawsze był komplet widzów, od razu zresztą występował na największej scenie. Dlatego nawet po zmianie programu wciąż jeszcze miał wiernych widzów. Na scenie był po prostu niesamowity. I chociaż nasza publiczność nie była zachwycona jego nowymi przedstawieniami, to jednak cieszył się dużym poparciem części władz Zamku.

- O?

- On prezentował najstynniejsze efekty w historii magii... wspaniale opracowane iluzje i wykonane w sposób mistrzowski. Widzi pan, jednym z *raison d'être* Zamku jest kultywowanie historii magii jako dziedziny sztuki. Dlatego też miło było zobaczyć te efekty w nowym opracowaniu, choćby tylko jako ciekawostkę historyczną. Dopiero po obejrzeniu któregoś z tych pokazów człowiek uświadamiał sobie, jak dalece gusta się zmieniły. Sto lat temu publiczność była spragniona krwi i nikt by się nawet nie skrzywił na to, co pokazywał Carrefour.

- Faktycznie, duża zmiana.

- O, tak. Niech pan zapomni o czymś tak banalnym jak pokaz magii, na którym przelewanie krwi jest tylko udawane. Sto lat temu szczucie psów na uwiązanego niedźwiedzia czy walki kogutów cieszyły się ogromną popularnością. Nie mówiąc o publicznych egzekucjach czy linczach. Ludzie wręcz bili się o miejsca. Prawdziwa krew? Im więcej, tym lepiej.

- Ale teraz ludzi to odpycha - mówię, kiwając głową, bo przypominam sobie uwagi Karla Kavanaugh na temat zmiany upodobań publiczności.

- Tak, chociaż wiedzą, iż to tylko iluzja. Kiedy ten młody magik, David Blaine, podczas występu w telewizji wyciągnął sobie serce z piersi... wie pan, sięgnął pod koszulę i wyszarpnął ociekający krwią, przerażający kawał mięsa... stacja chciała wycofać ten materiał. A przecież to była tylko telewizja.

- Co właściwie pokazywał Carrefour?

- Niech się zastanowię. Jednym z jego stałych numerów była sztuczka z koszem. To bardzo, bardzo stary trik, naprawdę z dawnych czasów. Zna go pan?

Zaprzeczam ruchem głowy.

- Zgodnie ze starą tradycją asystentowi magika powinno zagrażać niebezpieczeństwo. Dziś też można zobaczyć wyreżyserowane i aseptyczne przedstawienia w tym duchu... rzucanie nożami dookoła ładnej asystentki albo techniczną sztuczkę z przecinaniem na pół uwięzionej w klatce czy skrzyni kobiety. Tyle że nie czuje się w tym zagrożenia. Dawno temu było inaczej. Niebezpieczeństwo było specjalnie eksponowane. Wszelkimi sposobami starano się wydobyć zagrożenie asystenta na pierwszy plan.

- Rozumiem.

- Do sztuczek, nad którymi pracował dojrzały Carrefour, magik wybierał sobie na asystenta dziecko. Najczęściej swojego syna. Ładne dziewczyny pojawiały się na scenie nieco później. Obojętne jednak, czy będzie to ładna dziewczyna, czy dziecko, asystent ma za zadanie służyć magikowi, pomóc mu w uzyskaniu jak największej mocy. Nadejście epoki kobiet w roli asystentek zapowiadało zmianę dynamiki. Magik i piękna asystentka w gruncie rzeczy uosabiają związek erotyczny. Z małym chłopcem było to raczej udawanie życia rodzinnego.

- Relacja ojciec-syn.

- Otóż to. Moc magika była władzą patriarchy, chociaż czasami bardziej przypominało to relację pana i niewolnika albo boga i człowieka. Ma się rozumieć, jednym z zadań asystenta jest odwracanie uwagi. Jeśli chcesz, żeby publiczność nie patrzyła akurat na to, co robisz, wtedy, dajmy na to, rzucasz asystentowi piłkę. Oczy wszystkich powędrują za piłką, to odruch. Skąpo odziana kobieta znakomicie odwraca uwagę, na taką istotę także patrzymy odruchowo, ale nie wzbudza takiej empatii jak dziecko. Publiczność nie stoi po jej stronie, tak jak w przypadku dziecka.

- Rozumiem.

- Jako asystent dziecko ma jeszcze inne wspaniałe atrybuty. Jest małe, więc łatwiej można je w czymś zmieścić. Przede wszystkim jednak jest bardziej bezbronne niż kobieta. Poza tym chroni je otoczka niewinności, więc publiczność nie podejrzewa, że dziecko w tym, że tak się wyrażę, siedzi... że bierze udział w oszustwie. Obecnie prawo zabrania angażowania dzieci, więc Carrefour zrobił coś innego. Zatrudnił młodego chłopca, szczupłego, wyglądającego bardzo młodo, ale pełnoletniego.

- Ciekawe. I jak wyglądała ta sztuczka?

- Proszę pamiętać, że sztuczka z koszem zamykała godzinny występ Carrefoura. Wcześniej pokazywał wiele innych iluzji. Ale w sztuczce z koszem, pod koniec przedstawienia, chłopak



popelnia jakąś gafę, zachowuje się niezdarnie, upuszcza jakiś przedmiot albo zaczyna zachowywać się prowokująco.

Za karę jego pan każe mu wejść do kosza, który zazwyczaj stoi na otwartym piedestale, żeby publiczność widziała, iż pod spodem nie ma żadnego tajnego przejścia czy ukrytych drzwi, więc chłopak nie ma jak uciec. No więc - DeLand splata ręce - chłopak siedzi w koszu, a magik kontynuuje pokaz, tyle że chłopak zamiast siedzieć cicho, głośno marudzi i narzeka. W końcu magik ma tego dość. Akurat jest w trakcie pokazu wymagającego użycia mieczy. Zirytowany, chwyta pierwszy z brzegu miecz i wbija go w kosz. Chłopak krzyczy: „Boli! Dlaczego mnie skaleczyłeś?”, ale to tylko jeszcze bardziej rozsierdzą magika. Pośród mrożących krew w żyłach wrzasków, dobywających się z kosza, magik wbija w kosz kolejne miecze, krzyżując je w taki sposób, że wydaje się, iż w środku nikt nie ma prawa przeżyć. Rozumie pan... oto magik szaleje z wściekłości, bo ktoś przeszkodził mu podczas wykonywania sztuczki. Potem wraca do swojego pokazu, naśmiewając się z krzyków chłopca. „A krzycz sobie, krzycz, nic ci to nie pomoże. Na mnie to nie działa. Mój Boże, co za nieznośny bachor!”. Krzyki stopniowo przechodzą w jęk, aż w końcu zapada cisza.

Publiczność zaczyna się denerwować. Tymczasem magik skupia uwagę na sobie... wyciąga króliki z kapelusza, łączy i rozdziela obręcze czy robi coś innego w tym guście.

Tymczasem widzowie zauważają, że pod koszem zbiera się coraz większa plama krwi. Kiedy zaczynają krzyczeć... oczywiście na wszelki wypadek siedzi wśród nich współnik artysty... magik przerywa pokaz, podchodzi do kosza i spostrzega kałużę krwi. Zrywa z kosza wieko i szaleje z rozpaczą. Proszę zwrócić uwagę, że wymaga to dobrego aktorstwa, ale Carrefour jest wybornym aktorem. Zaczyna wyciągać miecze, a robi to bardzo ostrożnie, wahając się, krzywiąc i zgrzytając zębami. Na koniec wzywa publiczność, żeby pomogła mu przywrócić asystenta do życia.

Włosy jeżą mi się na karku. Myślę o tym, co detektyw z Big Sur mówił o dzieciach Ramirezów. Powiedział, że kiedy poskładali szczątki jednego z nich, okazało się, że chłopcu zadano wiele dźgnięć, że był wielokrotnie przebity na wylot.

A potem dokładnie przypominam sobie jego słowa: „Wyglądał jak poduszka do szpilek”.

- Dobrze się pan czuje? - pyta DeLand.

- Proszę mówić dalej - wykrztuszam z trudem.

- A więc wracając do sztuczki z koszem... miecze są prawdziwe, a pchnięcia silne. Trik udaje się dlatego, że asystent ma opanowane kulenie się i przemieszczanie we właściwej kolejności, tak że nawet nie zostaje drażniony. Rozumie pan teraz, dlaczego obecnie nie zezwala się na udział dzieci w takich przedstawieniach. Podobnie jak wiele innych dawnych trików, także sztuczka z koszem może się nie udać.

- Uhm.

- Niektóre iluzje są naprawdę niebezpieczne. Sztuczka z koszem opiera się na idealnym zgraniu sekwencji ruchów dwóch osób. Nie ma miejsca na najmniejszy błąd. Inną równie niebezpieczną sztuczką jest łapanie kul. Kiedyś należało do żelaznego repertuaru niektórych artystów, ale jest niezwykle niebezpieczne. Pewien słynny magik zginął w trakcie wykonywania tego numeru w Londynie, w tysiąc dziewięćset trzydziestym czy coś koło tego.

DeLand mówi dalej, lecz słucham go jednym uchem. Siostry Gabler posłużyły Boudreaux do numeru z przecinaniem kobiety na pół, a bliźniaki Ramirezów do sztuczki z koszem. Ale to, co opowiadały mi dzieci Sandling, nie wyglądało na przygotowania do któregoś z tych trików.

- Penn i Tell er wykonują numer z równoczesnym łapaniem kul - ciągnie DeLand. - Ale już na

przykład Houdini, chociaż ryzykował życie na wszelkie możliwe sposoby, nigdy tego nie robił. Nawet mimo że człowiek, na którym się wzorował, słynny francuski magik z połowy osiemnastego wieku, Robert-Houdin, zasłynął z łapania kul, chcąc pomóc zdusić powstanie w Algierii.

- Poważnie?

- Jak najbardziej. Marabuci szykowali powstanie, więc rząd Francji wysłał go tam, żeby za pomocą sztuczek magicznych wywołał ferment wśród miejscowej ludności. Robert-Houdin wystąpił z przedstawieniem na wolnym powietrzu, dając popis swojej mocy, a w domyśle mocy Francuzów, żeby pokazać miejscowym, kto jest potężniejszy. *Piece de resistance* jego występu nastąpił, gdy któryś z marabutów wyzwał go na pojedynek. Robert-Houdin złapał wystrzeloną w niego kulę zębami, a potem wypalił z pistoletu w białą ścianę budynku po drugiej stronie ulicy, na której rozgrywał się pojedynek. I kiedy kula trafiła w cel, na ścianie rozbryzła się olbrzymia czerwona plama krwi. Dla Algierczyków tego już było za wiele. Francuska magia Roberta-Houdina okazała się silniejsza od magii marabutów. Algierczycy przestali wierzyć podżegaczom i do powstania nie doszło.

- Czyli że rząd Francji go wynajął?!

- Ba, istnieje wiele zarówno starszych, jak nowszych przykładów angażowania magików przez rządy. Przykładowo, nasza CIA zatrudniła magika Johna Mulhollanda, żeby szkolił szpiegów, jak unikać wpadki. Mulholland prowadził pokazy, zajęcia praktyczne, a nawet napisał dla agencji kilka podręczników.

- Podręczników?

- Na temat sztuki odwracania uwagi, trików zręcznościowych, technik zaskakiwania.

- Wierzyć się nie chce!

- Niech pan pomyśli. Czym zajmują się szpiegowie? Ich praca polega na stwarzaniu iluzji i wprowadzaniu w błąd. Szpieg ma udawać kogoś, kim nie jest. Musi wykonywać zadania w taki sposób, żeby nie dać się przyłapać. Wobec tego cóż może mu się przydać bardziej niż zręczność palców i techniki odwracania uwagi? Jeżeli potrafi sprawić, żeby ktoś spojrział w inną stronę albo go nie zauważył... - Wzrusza ramionami.

Wszystko to jest niezmiernie ciekawe, ale chcę, żeby znów skupił się na Carrefourze.

- A zatem ta sztuczka z koszem była niebezpieczna?

- Tak. Gdyby asystent choćby o włos pomylił kolejność ruchów, gdyby magik pogubił się w sekwencji pchnięć albo miał chwilę zaćmienia... wówczas asystent mógłby zginąć. - Urywa i bierze głęboki oddech. - Boże jedyny, pan się martwi o swoich chłopców?

- Przypuszczam, że Boudreaux chce ich wykorzystać do jakiegoś pokazu.

- Przepraszam, że opowiadałem panu o tym z takim... zapalem. Nie chciałbym, żeby mój wnuk brał udział w sztuczce z koszem.

Kiwam głową.

- Na czym to ja skończyłem? - pyta DeLand.

- Zrozpaczony magik błaga publiczność, żeby pomogła mu przywrócić asystenta do życia.

- O właśnie. Potem zaczyna śpiewać, żeby przywołać całą swoją moc. I kiedy w końcu jest gotowy, zrywa wieko i *voild!*... chłopiec wychodzi z kosza jak nowo narodzony.

- Hm.

- Rozumie pan, mamy tu zmartwychwstanie... przywrócenie zmarłego do życia. Prawdę mówiąc, ten motyw leży u podstaw wielu sztuczek, sięgających samych początków magii. Przypuszczam, że

wywodzą się one z czasów, gdy magikami byli kapłani. Nawet wyczyny Houdiniego, kiedy opuszczano go do morza związanego łańcuchami, można zaklasyfikować do tego typu efektów. Ja w każdym razie obstawałbym przy tym poglądzie.

- Naprawdę?

- Śmierć symboliczna, nawet jeśli nie prawdziwa. Samotna postać rzuca wyzwanie śmierci. Tłum wstrzymuje oddech tak samo jak zanurzony magik, czekając kilka niewiarygodnie długich minut, aż ten się wynurzy. Czyżby tym razem posunął się za daleko? Czy tym razem śmierć się o niego upomni? Jednak w ostatniej chwili nasz bohater wypływa na powierzchnię. Takie pokazy odbierano jako prawdziwy cud, jako zmartwychwstanie.

- Zostawmy zmartwychwstanie na boku, grunt, że publiczności nie podobał się ten numer w wydaniu Carrefoura?

- Zdecydowanie nie. Jak mówiłem, Carrefour to bardzo zdolny aktor i obawiam się, że posunął się za daleko. Jego furia, krzyki, krew... wszystko to było aż nazbyt realne. Na tym polegał problem. Ludzie się go bali. Oczywiście, miał także wielbicieli.

- Kogo?

DeLand marszczy brwi.

- Hmm. Niech no pomyślę. Przypominam sobie takiego małego Taję i jakąś Rosjanę. Olga jakaś tam. Był także szejka. No i kilku gotów... oni są całkiem niegroźni, ale lubują się w krwi. - Wzdycha. - Od tej pory minęło wiele lat i nie pamiętam już nazwisk. Może ktoś sobie przypomni. Zasięgnę języka. Zaraz, mam jedno nazwisko. Mertz. Prawie o nim zapomniałem, a to on był największym zwolennikiem Carrefoura. Prawdziwy wielbiciel. Zdaje się, że nie opuścił ani jednego występu swojego idola. Po przedstawieniu zwykle wychodzili razem. Zwróciłem na nich uwagę, bo tworzyli bardzo dziwną parę.

- To znaczy?

- Wie pan, Carrefour jest wysoki i niezwykle przystojny. Z kolei Mertz jest niski, potężnie zbudowany, łysy jak kolano i niemal równie szeroki, jak wysoki. Piekielnie bogaty. Jeździł rollsem. Naturalnie, łączyło ich także to, że obaj są Europejczykami.

- Słucham? Carrefour naprawdę nazywa się Byron Boudreaux i nie jest Europejczykiem. Pochodzi z Luizjany.

- Nie - protestuje wstrząśnięty DeLand. - Jest Francuzem.

Kręcę głową.

- Nie wiedział pan, że Carrefour to jego pseudonim estradowy?

- Ja znałem go tylko pod nazwiskiem Alain Carrefour. A niech mnie! Obijałem się trochę po świecie, we Francji spędziłem nawet dwa lata. W życiu bym nie podejrzewał... No, ale jak mówiłem, Carrefour był znakomitym aktorem. - Kręci głową. - Więc może Mertz też jest gringo... - dodaje z uśmiechem.

- Czy Mertz był członkiem Zamku? Kustosz znowu kręci głową.

- Nie wiem. Mogę to sprawdzić. Nie występował na scenie, ale może był członkiem stowarzyszonym. Niewątpliwie jednak bywał u nas regularnie. Bardzo poważnie podchodził do magii. Nawiasem mówiąc, nie sądzę, żeby był Amerykaninem, chyba że także był znakomitym aktorem. To raczej Francuz, ewentualnie Belg.

- Co to znaczy, że poważnie podchodził do magii?

- Zbierał rzadkie książki na ten temat. Zwłaszcza na temat starej hinduskiej sztuczki ze sznurem.

Rozmawialiśmy o tym kilka razy. Miał w swoich zbiorach zupełnie wyjątkowe księgi. Niezwykle trudne do zdobycia. I szalenie drogie.

- Co to za sztuczka ze sznurem?

- A, to. Legendarny hinduski trik. Marco Polo wspominał o nim w swoich dziennikach już w trzynastym wieku, ale uważa się, że ta sztuczka jest znacznie starsza. Prawdopodobnie powstała w Chinach, skąd dotarła do Indii Jedwabnym Szlakiem.

Zegarek na jego rękę emituje serię ostrych sygnałów, na co DeLand spogląda przez okulary do czytania, szukając właściwego guzika, żeby wyłączyć budzik, i wzdycha.

- Czas na mnie. Ortodonta wzywa. - Wstaje. - A może zajrzy pan jeszcze wieczorem? Będzie pan mógł obejrzeć występy. Po powrocie zdążę zebrać wszystkie informacje na temat Carrefoura, jakie mamy w archiwach. I o Mertz, jeżeli cokolwiek się znajdzie. Będzie je pan mógł odebrać w każdej chwili.

Dzwoni telefon DeLanda - podjechała taksówka. Schodzę za kustoszem po schodach.

- Poza tym dzisiaj będzie występował Kelly Mason, on znał Carrefoura. Pewnie chciałby pan z nim pogadać. Prawdopodobnie znał także Mertz, bo mieli wspólne zainteresowania.

- Jakie?

- Sztuczkę ze sznurem... Mason napisał o niej kilka artykułów i moim zdaniem Mertz udostępnił mu swoją kolekcję. A zatem Mason może wiedzieć, gdzie jest Mertz, a jeśli znajdzie pan Mertz...

- Zgoda - przerywam mu. - Panie DeLand...

- Mów mi John.

- Dobrze, John. Nawet nie wiesz, jaki ci jestem wdzięczny za pomoc. Te informacje o Carrefourze i Mertz i ewentualne adresy, jeśli uda ci się je zdobyć, to duża sprawa. Chętnie porozmawiam z Kellym Masonem.

- Miło mi, że się na coś przydałem. - Wychodzimy z DeLandem na zewnątrz. Na owalnym podjeździe czeka taksówka. - Załatwię ci bilet, możesz go odebrać w kasie.

- O której?

- Występy zaczynają się o siódmej, ale powiedzmy o... ósmej? Spotkamy się w barze.

- Świetnie.

- Tylko uprzedzam, że obowiązują stroje wieczorowe i krawat.

Gdy taksówka odjeżdża, macham mu ręką i patrzę, jak pojawia się i znika z widoku, zjeżdżając krętą drogą ze wzgórza.

Wsiadając do wypożyczonego samochodu, a potem zjeżdżając ze wzgórza, cały czas myślę o Mertz. Po drodze do hotelu, położonego za Santa Monica, koło Venice, zastanawiam się nad tym, w jaki sposób Boudreaux zdobył „wielbicieli”.

I wreszcie... olśnienie! Boudreaux ma grono wiernych kibiców, jasne że ma... ale nie tylko z powodu występów w Magicznym Zamku.

Przypominam sobie, jak lekarz sądowy w Vegas opowiadał mi, że jego zdaniem Clara Gabler została przecięta piłą elektryczną co było o tyle dziwne, że przecież wystarczyłoby do tego zwykła piła mechaniczna. Siedząc naprzeciwko mnie, ze szklaneczką mojito w rękę, Barry Chisworth rozprawiał o tym, ile zachodu wymagało wstąpienie na sam szczyt Kanionu Czarów piły elektrycznej, platformy, na której ją osadzono, oraz generatora prądu. Patolog był tym zdumiony. Po co komu tyle zachodu? A ja, nawet kiedy rozwiązałem zagadkę - morderca zadał sobie tyle trudu, bo siostry Gabler zostały zabite w trakcie występu - nie pomyślałem o kluczowym elemencie każdego

przedstawienia.

O publiczności.

Byron Boudreaux skończył z publicznymi pokazami magii, ale to wcale nie znaczy, że zaprzestał występów na dobre. Znalazł widownię, która obejrzała przecinanie Clary Gabler. I grono widzów, którzy byli świadkami zamordowania Julia i Wilsona Ramirezów. Teraz zaś znajdują się chętni do uczestniczenia w pokazie, podczas którego Boudreaux zamorduje moich synów.

Z pewnością to właśnie te odrażające wariacje na temat klasyki trików iluzjonistycznych miał na myśli Boudreaux, pisząc do Dimenta, że teraz uprawia „prawdziwą magię”.

Czy widzowie jego spektakli zdają sobie sprawę, że te iluzje wcale nie są iluzjami? Że w trakcie pokazu ktoś traci życie? Moim zdaniem tak. Muszą o tym wiedzieć. Na tym polega cały pic.

Mertz... Co właściwie DeLand mi o nim powiedział? Że chyba jest Francuzem, ma mnóstwo pieniędzy i zbiera księgi na temat sztuczki ze sznurem.

Sztuczka ze sznurem... Wiem o niej tyle co kot napłakał: że pochodzi z Indii i polega na rzucaniu sznura, który zawisa pionowo w powietrzu, a potem ktoś się po nim wspina czy coś w tym guście.

Nagle przelatujące mi przez głowę myśli układają się w logiczny ciąg. Mertz jest największym wielbicielem Boudreaux. Ma obsesję na punkcie sztuczki ze sznurem. A co mówili synowie Sandling o tym, co robili w „kolosalnym domu”, zanim uciekli? Ćwiczyli. Dzień w dzień, całymi godzinami.

Ćwiczyli wspinanie się po linie.

## Rozdział 42

Jadę do hotelu, jednogwiazdkowej dziury za Santa Monica w kierunku Venice. Melduję się, w pokoju rzucam bagaż na podłogę i zaglądam do książki telefonicznej pod hasło „Magia”. Znajduję dwie księgarnie specjalizujące się w książkach na temat magii i okultyzmu.

Najbliższa mieści się przy Hollywood Boulevard. Okazuje się, że aby wejść do środka, należy najpierw zadzwonić do drzwi. Księgarnia jest mała, od podłogi po sufit zavalona stertami używanych książek. W powietrzu unosi się charakterystyczny zapach starych książek, połączenie rozkładającego się papieru i pleśni. Mężczyzna, który nacisnął domofon i wpuścił mnie do środka, siedzi za biurkiem w głębi pomieszczenia i rozmawia przez telefon. Podnosi rękę na powitanie.

Na centralnie ustawionym blacie stoją pojemniki z obrazkami i broszurami; plakaty i książeczki opakowane są w plastikowe koszulki. Czekając, aż księgarz skończy rozmowę, przeglądam broszury, głównie bardzo stare teksty, opisujące sposoby wykonania tej czy innej iluzji.

Po chwili mężczyzna podchodzi do mnie. Jest młody, ma długie ciemne włosy, okulary w drucianej oprawce i złote kółko w uchu.

- Czym mogę panu służyć?

- Szukam jakiejś książki o sztuczce ze sznurem.

- Pan jest kolekcjonerem?

- Nie, potrzebne mi coś, w czym znajdę opis tego triku i kilka słów na temat jego historii.

- Nie ma sprawy, chyba coś panu znajdę. - Idę za nim wąskim przejściem między regałami i patrzę, jak wchodzi na drabinę. Po chwili schodzi, trzymając zniszczoną broszurę w plastikowej koszulce. - Tu są zebrane wszystkie słynne efekty w historii magii. Książka nie jest może w najlepszym stanie, ale jeden rozdział w całości poświęcony jest sztuczce ze sznurem. - Przekrzywia głowę z uśmiechem. - Coś jeszcze?

- Jedno pytanie. Szukam pewnego człowieka. Kiedyś mieszkał w Los Angeles. Pracował w Magicznym Zamku.

- Tak?

- Na estradzie występował pod pseudonimem Carrefour. *Mditre* Carrefour.

- Nie. - Kręci głową. - Nie sądzę, żebym go znał.

- A może zna pan Mertza? Europejczyk, prawdopodobnie Francuz. Zbiera książki na temat sztuczki ze sznurem.

- Niestety. - (Czy mi się tylko wydaje, czy odpowiedział zbyt szybko?). - Ale ja tu jestem tylko pomagierem. To księgarnia mojego wujka.

Wiem, że jestem zbyt bezpośredni. Zazwyczaj nie walę tak prosto z mostu. Normalnie wdałbym się z nim w pogaduszki, poczarował go trochę, żeby mnie polubił. W ten sposób wydobywa się z ludzi informacje, których nie powinni ci zdradzić. Powtarzam to sobie w duchu, gadam z nim o byle czym, ale nie potrafię wykrzesać z siebie siły woli, żeby go oczarować. A może mój urok już się wypalił?

- Mógłby mi pan dać numer telefonu do wujka? Bardzo mi na tym zależy... Skoro ten Mertz jest kolekcjonerem i mieszkał tutaj, w Los Angeles, prawdopodobnie tu zaglądał...

- Nie - ucina chłopak. Spuszcza wzrok na swoje dłonie i jeszcze zanim odpowiada, znowu wyczuwam wahanie. - Przykro mi, ale wujek wyjechał do Chorwacji. - Przerwa. - Podróżuje. Nie ma telefonu.

- Hm - bąkam. - A kiedy wraca?

- Za parę tygodni.

- No to musi mi wystarczyć ta książka. - Obserwując mowę ciała chłopaka, wiem, że kłamie. Słyszał o Mertzu. Przeprowadziłem w życiu tyle wywiadów, że od razu poznaję takie rzeczy.

Ruszam za nim. Chłopak wbija towar na kasę (dziewięć dolarów dwadzieścia pięć centów) i wsuwa książkę do papierowej torby.

- Wrzucić paragon? - pyta.

- Bardzo proszę. Jedno pytanie... zna pan może inne księgarnie specjalizujące się w magii, do których warto by zajrzeć? Naprawdę muszę znaleźć tego Carrefoura.

Szansa na przekazanie pałeczki wyraźnie go uspokaja.

- Jasne... na Sunset jest Magie Magie. Proszę tam spróbować.

Okazuje się jednak, że Magie Magie jest zamknięta. Wywieszka na drzwiach informuje, że księgarnia czynna jest w dni powszednie od dziesiątej do czternastej. Będę musiał wrócić tam jutro.

W hotelu zasiadam na łóżku do lektury o sztuczce ze sznurem. Poświęcony jej rozdział jest bardzo długi; na początku opisuje, jak stary jest ten trik. Wspomina się o nim już w upanisadach. Nieco późniejsze, chronologicznie rzecz biorąc, święte teksty buddyjskie podają, że wykonywano go po to, by (skądinąd bezskutecznie) wywołać uśmiech na twarzy młodego księcia, który z czasem został Buddą - u chłopca, który nigdy w życiu się nie uśmiechnął. Za panowania Brytyjczyków trik ten był tak popularny i wzbudzał taki podziw, że rozważano możliwość wykorzystania go do naboru rekrutów do brytyjskiej armii. Za znalezienie magika, który potrafił wkonywać tę sztuczkę, indyjskim oficerom proponowano nagrodę w wysokości rocznego żołdu. W 1875 roku londyńskie stowarzyszenie magików wyznaczyło olbrzymią nagrodę dla tego, kto zdoła wykonać ten numer przed publicznością.

Następnie duża część tekstu traktuje o analogiach tego triku z hinduistyczną kosmogonią oraz angielską bajką *Jack i magiczna fasola* i innymi mitami o „schodach do nieba”. Wspomniana jest nawet freudowska interpretacja tej sztuczki, oparta na fackie, że sznur niespodziewanie sztywnieje.

W końcu docieram do fragmentu artykułu zamieszczonego w 1898 roku w „Lahore Civil and Military Gazette”:

Kuglarz brał wielki zwój sznura, przywiązywał go z jednej strony do leżącego na ziemi worka, a potem z całej siły wyrzucał w powietrze. (W niektórych wersjach sznur kilkakrotnie spadał na ziemię, zanim artyście się udawało). Zamiast spaść, zwój powoli piął się w górę i rozwijał, aż w końcu zniknął w chmurach. Nie było domu (ani innej konstrukcji), o którą mógłby się zaczepić... Prawie na całej długości sznur był sztywny.

Następnie magik rozkazywał synowi, który był jego asystentem, żeby się wspinał po linie. Chłopiec chwycił sznur oburącz i wspinał się zręcznie jak małpa. Stawał się coraz mniejszy, aż wreszcie zniknął w chmurach, tak jak wcześniej zniknął koniec zwoju. Wtedy kuglarz przechodził do innych zajęć i wykonywał kilka pomniejszych sztuczek. Po chwili informował widzów, że potrzebuje pomocy syna, i wołał chłopca, żeby zszedł. Głos dziecka odpowiadał z góry, że nie ma ochoty schodzić. Wyczerpawszy możliwości perswazji, rozeźlony magik ostrzegał chłopca, że jeśli nie zejdzie, za karę spotka go śmierć. A kiedy dziecko znów odmawiało, w porywie wściekłości chwycił w zęby wielki nóż, wspinał się po sznurze i także ginał w chmurach.

Wtem rozległ się krzyk i ku przerażeniu widzów z miejsca, gdzie magik zniknął na niebie, zaczynały kapać krople krwi. Po chwili na ziemię spadało ciało dziecka, poćwiartowane... najpierw nogi, potem tułów, wreszcie głowa. Gdy głowa była już na ziemi, magik zjeżdżał po sznurze z nożem wetkniętym za pas. (Wiele relacji podaje, że magik jest wówczas niepokieszony, mówi rzeczy w rodzaju: „Cóż ja najlepszego zrobiłem!”).

Potem magik bez pośpiechu wkładał części ciała chłopca do kosza i przykrywał go szmatą... Zbierał swoje czarodziejskie przybory (często rytualnie recytując magiczne zaklęcia), ściągał szmatę [znad kosza] i (*mirabile dictu!*) chłopiec [wychodził] cały i zdrowy.

W dalszej części artykułu wyjaśniał, na czym prawdopodobnie polegał ów trik. Wykonywano go zawsze w górzystym terenie, gdzie między dwoma wzgórzami przeciągano splecioną katgutową linę albo kabel. Prawdopodobnie po obu stronach wznoszono platformy, na których niewidoczni z ziemi asystenci naciągali linę, żeby zaczepiony o nią sznur utrzymywał sztywność. Na górze czekał także akrobata, niewidoczny we mgle. Rzucony przez magika sznur zaczepiał o linę. Wówczas jeden asystent przytwierdzał go do niej, a następnie, przy pomocy asystenta z drugiej platformy, naciągał linę, żeby sznur był sztywny. Trik zawsze wykonywano o zmierzchu albo o świcie, tam gdzie zazwyczaj panowały mgły, żeby nie było widać miejsca, w którym zniknął sznur, a później dziecko i magik. Jeśli natura odmawiała współpracy i nie było mgły, stosowano sztuczny dym albo koksowniki.

Jeśli chodzi o ciąg dalszy, opinie różniły się między sobą. Jedni uważali, że publiczność padała ofiarą zbiorowej hipnozy albo że ogniska, zazwyczaj towarzyszące takim pokazom, były naszpikowane haszyszem lub opium, a magik, kłaniając się gwałtownie, rozpraszał halucynogenne opary w kierunku widzów. Inni sądzą, że miejsce przedstawienia było specjalnie tak wybierane, by w konkretnym momencie występu wschodzące słońce oślepiło publiczność. Jeszcze inni podejrzewali, że zakrwawione części ciała dziecka tak naprawdę były ochłapami ogolonej z sierści małpy, a głowa dla niepoznaki była zamazana krwią i zakryta turbanem. Kolejni upatrywali w spadających szczątkach części woskowej figury, będącej idealną kopią dziecka. W dwóch ostatnich przypadkach podejrzewano, że magik znosił dziecko po sznurze, ukryte pod swoimi luźnymi szatami.

Jeden z historyków utrzymywał, że magia wzięła swe początki w „świątyniach starożytnych

religii”. Doszukiwał się ich w wierzeniach, w których składanie ofiary, także z ludzi, było na porządku dziennym, stanowiło część liturgii. „Bo czymże jest składanie ofiary, jeśli nie rytuałem, w którym siły destrukcji, sprowadzające śmierć, zostają przekształcone w siłę życia i stworzenia?”

Według tegoż historyka „magia”, jaką oglądamy na scenie, jest rekonstrukcją owych starożytnych rytuałów. Urąganie prawom fizyki, stanowiące podstawę najpopularniejszych efektów (jak lewitacja czy dematerializacja), jest przeniesieniem na estradę dawnych religijnych cudów i dlatego triki te - nawet mimo iż obecnie są całkiem bezpieczne - wciąż pozostają tajemnicą i wywierają potężne wrażenie.

Bogowie, pisał dalej ów autor, dysponują nadprzyrodzoną mocą-jest to jedna z cech, które ich wyróżniają. Budda, choć w zasadzie nie był bogiem, często demonstrował swą doskonałość, unosząc się kilka jardów nad ziemią. Bóg Abrahama panował nad siłami natury. Nie tylko potrafił grzmieć z nieba i spowodować samozapalenie się krzewu, lecz nawet sprawić, że morze się rozstało. Jezus z Nazaretu potrafił rozmnażać bochenki chleba, stąpać po wodzie, uzdrawiać chorych oraz wskrzeszać umarłych.

Wracając do sztuczki ze sznurem, w jej trakcie chłopiec umiera, a następnie jest przywracany do życia. A zatem jest to rekonstrukcja najbardziej uświęconego z cudów.

W dalszym ciągu ekspert wyraził suchą opinię, że nikt nie podjął wyzwania rzuconego przez lorda Northbrooka i nie pokusił się o nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy rantów szterlingów za publiczne wykonanie sztuczki ze sznurem (w 1875 roku była to prawdziwa fortuna) z tego prostego powodu, iż „kluczowym elementem tego triku jest udział dwóch identycznych bliźniaków, a o takich niełatwo. Wyjaśnienie tajemnicy jest oczywiście bardzo proste - jedno z bliźniąt zostaje w trakcie pokazu złożone w ofierze”.

Wiedziałem... oczywiście, że wiedziałem! Wpadłem na to już dawno temu, w kanionie Red Rock. Clara Gabler została zabita na scenie. Widzowie zaś zobaczyli Carlę, żywą i całą... Niewątpliwie Carla uśmiechała się szeroko, by zaprezentować świeżo wybielone zęby. A potem, gdy przedstawienie dobiegło końca i publiczność się rozjechała, została skutecznie załatwiona jednym strzałem. Tak samo było z dziećmi Ramirezów.

Po tych pokazach to z rodzeństwa, które przeżyło, było zbędne, niepotrzebne, a nawet groźne. W przypadku bliźniaków Ramirezów Boudreaux dobrze to zaplanował. Niewątpliwie pomógł Vermillionowi złożyć podanie i uzyskać zwolnienie z Port Sulfur, a potem wystawił go policji jako rzekomego zabójcę chłopców. Jestem pewien, że to on sam wyszukał domek koło Big Sur, a potem udostępnił go Vermillionowi. Po występie, w trakcie którego zabił dzieci Ramirezów, dostarczył Char-leyowi kapsułkę z cyjankiem. Kto wie, co mu powiedział na temat jej zawartości. A potem zawiadomił policję.

Owszem, wiedziałem o tym, wówczas jednak były to tylko moje domysły. Teraz zaś lektura opinii eksperta, napisanej w suchym, nieco przestarzałym stylu z roku 1952 - kiedy nie było mnie jeszcze na świecie - daje mi pewność.

Przez dłuższą chwilę siedzę, a serce wali mi z przerażenia. Muszę ich znaleźć!

Wpisuję do wyszukiwarki słowo „Mertz” i stwierdzam, że w rejonie Los Angeles mieszka pół tuzina ludzi o tym nazwisku. Sprawdzam wszystkich, lecz żaden z nich nie jest człowiekiem, którego szukam.

Dzwonię po radę do Mary McCafferty. Skoro znalazła Emmę Sandling, być może zlokalizuje także Mertza. McCafferty przeprosza, bo właśnie jedzie na czyjś ślub, ale podaje mi nazwiska i



numery telefonów do dwóch „handlarzy informacjami” w Los Angeles.

- I co mam im powiedzieć?

- Zna pan tylko nazwisko? Mertz?

- Tak. Wiem także, że jest cudzoziemcem.

- Niech pan im każe sprawdzić, czy nie ma zastrzeżonego numeru telefonu. Poza tym niech pogrzebią w aktach sądowych. Możliwe, że ten Mertz jest na przykład właścicielem domu czy innej nieruchomości.

Dzwonię do handlarza. Obiecuje, że odezwie się jutro rano. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak zajrzeć do książki telefonicznej pod hasło „magicy” i zacząć ich obdzwaniać. Znowu mam wrażenie, że gonię w piętę, lecz nie przychodzi mi do głowy nic, czym mógłbym się zająć przed wyprawą do Magicznego Zamku.

Przez bite trzy godziny wiszę na telefonie. Przeważnie łączę się z automatycznymi sekretarkami. Spośród tych nielicznych magików, z którymi udało mi się porozmawiać, trzech pamięta Carrefoura z występów w Zamku. Żaden z nich jednak nie znał go osobiście i nie potrafi udzielić mi wskazówki na temat jego miejsca pobytu czy znajomych. Nigdy nie słyszeli o Byronie Boudreaux, znali go tylko jako Carrefoura, *Maitre* Carrefoura, ewentualnie doktora Carrefoura - człowieka, który mówił po angielsku z obcym akcentem.

Czas się zbierać. Zmieniam koszulę, zawiązuję krawat i wyruszam do Zamku na spotkanie z DeLandem i Kellym Masonem - człowiekiem, który znał zarówno Carrefoura, jak Mertza.

Kiedy podjeżdżam na wzgórze, niebo zasnuwane jest chmurami, a Zamek majaczy groźnie, niczym gmaszysko z powieści grozy. Jest to jednak złudne wrażenie. Z bliska widać, że Zamek leży na starannie utrzymanym terenie, goście są dobrze ubrani, a parking jest strzeżony. Odbieram w kasie bilet, wraz z informacją o programie, a następnie zgodnie z poleceniem podchodzę do ozdobnych drzwi i wypowiadam słowa: „Sezanie, otwórz się!” do czerwonoookiej sowy, usadowionej w drzwiach na samym środku. Wrota otwierają się automatycznie.

Cały Zamek jest właśnie taki - na przemian melodramaty cz-ny i uroczy; miejsce w sam raz na niekonwencjonalną randkę albo szalony wieczór z własną matką. Staroświecką atmosferę podkreśla fakt, że wszyscy są wystrojeni, co w tym mieście, gdzie każdy ubiera się swobodnie, od razu rzuca się w oczy. Ruszam do zatłoczonego baru, który przywodzi mi na myśl uroczy angielski pub - kufle z kolorowego rżniętego kryształu i walka o dostęp do barmana. Zbity tłum jest niezwykle towarzyski, co chwila słychać wybuchy śmiechu. Znajduję wolne miejsce przy małym stoliku pod ścianą. Tak jak obiecywał DeLand, dookoła widzę facetów z kartami w rękę; większość popisuje się sztuczkami, a niektórzy wyjaśniają, na czym polega trik. Kilka minut oczekiwania na DeLanda pozwala mi się zorientować, że przynajmniej połowa obecnych to iluzjoniści.

Kustosz musi zamienić słowo z przynajmniej kilkunastoma z nich, zanim udaje mu się dotrzeć do mnie. W końcu siada przy stoliku i podsuwa mi po blacie brązową kopertę.

- Nie wiem, czy na wiele się to panu przyda. Jest tam adres, numer telefonu i jakiś numer identyfikacji podatkowej, ale nie ubezpieczenia społecznego. Zdaję sobie sprawę, że pewnie na nic się to nie zda. Proszę pamiętać, że rozmawia pan z człowiekiem, który dał się nabrać na to, że ten gość jest Francuzem. Ale sprawdziłem także Mertza. Był członkiem stowarzyszonego Zamku. Mieszkał w Beverly Hills. W kopercie jest jego adres.

Kobieta w sukni z różowego atłasu podaje nam drinki.

- Dzięki, Sally - mówi DeLand, wsuwając banknot w jej dłoń. - Skąd wiedziałaś, na co mam

ochotę?

W odpowiedzi kobieta ćwierka niczym słowik, co robi wrażenie chyba tylko na mnie, i odchodzi z uśmiechem.

- Zdrówko! - rzuca DeLand, unosząc szklankę. - Niestety, nie mogę zostać na występach. Rozejrzę się, czy jest tu ktoś, z kim powinieneś porozmawiać, i w razie czego przy prowadzę go do ciebie. Nie przegap pokazu Kelly'ego o dziewiątej. Występuje w buduarze. Będiesz mógł z nim pogadać po przedstawieniu. - Wstaje i dopija drinka. - Jeśli chcesz coś zjeść, polecam wołowinę - radzi mi, odstawia szklankę i rusza do wyjścia.

Kwadrans później jest dopiero w pół drogi do drzwi. Przechodzę w spokojniejsze miejsce, by zadzwonić do handlarza informacjami i podać mu adresy i numery telefonów, które dostałem w kopercie. Choć prawdę mówiąc, wątpię, by adres korespondencyjny, który zostawił Carrefour, był prawdziwy.

- Bałem się go - wyznaje mi Kelly Mason w maleńkiej garderobie po przedstawieniu.

- Carrefoura?

- Nie. Jego występy były wprawdzie dosyć makabryczne, ale on sam wydawał się całkiem miły. Luc Mertz... to jego się bałem. Mieszkał w rezydencji w...

- Był pan u niego?

- Tak, zaprosił mnie. Do rezydencji w hiszpańskim stylu w Beverly Hills. Tylko że... jak by to powiedzieć? Łączyły nas wspólne zainteresowania, ale... - Sceniczny makijaż podkreśla wyraz twarzy Masona, który jest teraz wyraźnie zakłopotany. - Nie wiedziałem, jak z nim rozmawiać. Może to była kwestia języka. A może oczywista dysproporcja statusu materialnego. On miał w swojej kolekcji takie rzeczy, że... w głowie się nie mieści. Dla mnie, jako naukowca, możliwość obejrzenia niektórych starych plakatów czy dokumentów była prawdziwym przywilejem, a Mertz był tak uprzejmy, że pozwolił mi je sfotografować, a nawet dołączyć niektóre z nich do moich publikacji. Ale przebywając u niego, przez cały czas czułem się... nieswojo. Kiedy zaprosił mnie ponownie, wykręciłem się. Jak by to powiedzieli moi rodzice hipisi, były tam złe vibracje.

Wracam do hotelu porządnie zmęczony. Otwieram drzwi do pokoju i już od progu stwierdzam, że pod moją nieobecność ktoś tam był. Z nocnego stolika przy łóżku zniknęła lampa i telefon, a na ich miejscu leżą dziesięciocentówki Merkury, ułożone w kształcie krzyża, u którego szczytu stoi coś zgoła nieoczekiwanego - biały cukrowy ptaszek, jak z konfekcji wielkanocnej. Jak to się na nie mówi...?

Kurczaczki.

Białe kurczątko. I krzyż.

W pierwszej chwili nie rozumiem, co to ma znaczyć. Nagle przed oczami staje mi szpetna twarz Dimonta, który wskazuje stempel pocztowy z Point Arena na pocztówce i mówi: „Dla wyznawców *vaoodoo* to szczególnie ważny dzień. Poświęcony Marassie. Dlatego Byron wysłał tę kartkę akurat wtedy, dziesiątego sierpnia. Można by rzec, że to nasze święta Wielkanocne”.

Teraz już wiem kto, co, kiedy, dlaczego i jak. Odpowiedź na pytanie „kto?” brzmi: „Byron Boudreaux”. A co zamierza, co pragnie zrobić, to zabić moje dzieci... jednego z moich synów zadźga nożem, drugiego zastrzeli. Nastąpi to za cztery dni, podczas pokazu „prawdziwej magii”, który przybierze kształt ceremonii religijnej. Teraz już wiem prawie wszystko. Kto, co, kiedy, dlaczego i jak.

Nie wiem tylko gdzie.

## Rozdział 43

Boudreaux na tysiąc i jeden sposobów mógł się dowiedzieć, że jestem na jego tropie, ale fakt, że wiedział, gdzie mieszkam, ogranicza krąg jego potencjalnych informatorów do ludzi z Los Angeles, bo nikt spoza tego miasta nie wiedział, gdzie jestem.

Może zawiadomił go ten chłopak z księgarni albo jeden z magików, z którymi rozmawiałem w Zamku? Iluzjonistom, których znalazłem w książce telefonicznej, też zostawiałem na sekretarkach automatycznych numer do hotelu, żeby oddzwaniając do mnie, nie musieli płacić za połączenie zamiejscowe na moją komórkę.

Nieważne zresztą, jak to się stało. Grunt, że Byron mnie znalazł i dał znać, że wie o mnie. To właśnie ten „element radochy”, o którym mówił Shoffler.

Fakt, że Boudreaux wtargnął do mojego pokoju, przyjmuję za dobry znak. Oznacza to, że przestał się chować, że podejmuje grę. Być może popełni błąd i dzięki temu go znajdę.

Nie mogę jednak siedzieć na tyłku i czekać, aż Byron i Mertz sami po mnie przyjdą. Zostały raptem cztery dni!

Z samego rana mam spotkanie z handlarzem informacjami. Parkuję w pobliżu jego biura w podłej dzielnicy koło Teatru Chińskiego Mann's. Zważywszy na sąsiedztwo, starannie sprawdzam, czy dobrze zamknąłem samochód. Ludzie kucają przy betonowych płytach, dopasowując swoje dłonie do odcisków dłoni Arnolda, Clinta czy Julii - turyści, którzy przyjechali się rozerwać. Sposób, w jaki żartują, uśmiechają się i pozują do kamery, działa na mnie przygnębiająco. Chyba dlatego, że przypomina mi to dzień, w którym wybrałem się z synami na Jarmark Renesansowy.

- Odsłuchałem pańską wiadomość - mówi handlarz, kręcąc głową. - Carrefour to ślepy trop. Wszystko miał wynajęte, a samochód w leasingu. Numer identyfikacji podatkowej jest fałszywy, należy do jakiegoś emeryta z Iowy. Ten pański facet jest jak duch. Miał wszelkie dokumenty niezbędne do życia w epoce informatycznej, ale żaden z nich nie był prawdziwy. Sprawdziłem też nazwisko Boudreaux. I nic. Trochę lepiej poszło mi z tym Mertzem.

- Dom w Beverly Hills?

- Na Barrymore Drive. Przyjemna okolica. Mertz wynajmował go, ale wyprowadził się w zeszłym roku.

- Czy zostawił adres korespondencyjny?

- Numer skrytki pocztowej. Zlikwidował ją pół roku temu. Wprawdzie nie spodziewałem się zbyt wiele, ale też nie sądziłem, że znowu natknę się na mur. Mam tego serdecznie dość. Nie stać mnie już na kolejne ślepe zaułki, nie mam ani chwili do stracenia! Po plecach spływa mi strużka potu. Wstaję i sięgam po portfel, żeby rozliczyć się z informatorem. On jednak powstrzymuje mnie.

- Chwileczkę. Trafiłem na coś, co może pana zainteresować.

- Co takiego?

- Natknąłem się na to, przeglądając akta sądowe. Wie pan, teraz już są w komputerach. Sprawdziłem, czy facet przypadkiem nie płacił podatku od nieruchomości w Beverly Hills. I chociaż nie płacił, to jego nazwisko wypłynęło w pewnym procesie.

- Co to za proces?

Handlarz informacjami nachyla się do mnie.

- Z celnikami. Skonfiskowali Mertzowi jakieś kasety wideo, a on wystąpił do sądu o ich zwrot.

- Co było na tych taśmach? Informator wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Ale skopiowałem akta. Ja mógłbym się tym zająć dopiero jutro, więc jeśli zależy

panu na czasie, niech pan się sam do tego weźmie.

Celnikiem, który zeznawał w sprawie wytoczonej przez Mertza, był niejaki Michael Aguilar. Pracował wtedy w Los Angeles na lotnisku międzynarodowym i - jak się okazało - nadal tam pracuje.

Dochodzę już do mojego samochodu, gdy Aguilar podchodzi wreszcie do telefonu. Mówi, że kończy zmianę o dwunastej.

- Tak że jeśli chce pan pogadać ze mną koło południa, nie ma sprawy. - Przerywa na chwilę. - Jasna cholera, córka zabrała mi komórkę. Wie pan co, w poczekalni na TBI jest bar. Spotkajmy się tam.

- TBI?

- To terminal międzynarodowy. Terminal międzynarodowy imienia Toma Bradleya.

- Przyjadę. Powiedzmy o dwunastej piętnaście?

- Znakomicie.

Po powrocie do hotelu chcę sprawdzić pocztę elektroniczną, a także zadzwonić do Shofflera. Być może coś mi doradzi.

Otwieram samochód. Na siedzeniu kierowcy leży jakiś folder. W pierwszej chwili podnoszę go i kładę za przednią szybą, lecz nagle uświadamiam sobie, że przecież zamknąłem wóz.

Na okładce wielki matematyczny symbol nieskończoności unosi się nad słowami HOLLYWOOD FOREVER. Ponadto widnieje na niej fotografia jakiegoś obelisku nad jeziorem oraz cztery owalne kamee, przedstawiające dawne gwiazdy filmowe (rozpoznaję Rudolpha Valentino i Jayne Mansfield).

Otwieram folder. Wewnętrzne strony zajmuje mapa - nazwy ulic i szos, jeziora i drzewa. To mapa cmentarza. W pobliżu wejścia, po lewej stronie Memoriał Lane, ktoś przyczepił dwie nalepki - dwa złote, stojące obok siebie aniołki.

Ręce mi się trzęsą, a w głowie kotłują się pytania, na które nie znam odpowiedzi. Mapa cmentarza? Czy to znaczy, że moje dzieci nie żyją?

Zapuszczam silnik i zawracam gwałtownie; inni kierowcy trąbią na mnie z oburzeniem. Słyszałem o tym cmentarzu, wiem, gdzie się znajduje - za Santa Monica, koło parku Plummera, w szemranej okolicy zamieszkaney głównie przez Rosjan.

Kiedy szykowaliśmy reportaż o działalności rosyjskiej mafii na terenie Stanów Zjednoczonych, niektóre partie materiału kręciłem w tej części Los Angeles. Wkrótce mijam witryny sklepów z szyldami wypisanymi grażdanką. Gdy na skrzyżowaniu stoję na czerwonym świetle, opuszczam szybę i wołam najbliższego przechodnia.

- Przepraszam, może mi pan powiedzieć, jak dojechać na cmentarz... wie pan, Hollywood Forever?

Mężczyzna odwraca się do mnie z uśmiechem.

- Jasne, kolego - mówi z silnym rosyjskim akcentem. - Na sto procent. Dziesięć przecznic dalej, po prawej. Nie przegapi go pan.

„Na sto procent”. Pamiętam, że kręcąc materiał, często słyszałem ten zwrot. Tak mówią rosyjscy emigranci, gdy są czegoś absolutnie pewni.

Ja natomiast niczego już nie jestem pewien. Byłem przekonany, prawie pewny, że chodzi o dziesiątego sierpnia...

Ale teraz... Hollywood Forever?

Jestem śmiertelnie przerażony.

Pamiętam, jak Dianę czy Barbara przeprowadzała wywiad z młodym przedsiębiorcą, który kupił cmentarz i uratował go przed bankructwem. To miejsce ostatniego spoczynku wielu hollywoodzkich sław - któż tu nie leży... Cecil B. DeMille! Rudolph Valentino! Jayne Mansfield! Douglas Fairbanks (senior i junior) - podupadło, kiedy nadeszły ciężkie czasy. Później cmentarz zmienił właściciela i nazwę, a także został odnowiony - zarówno dla turystów, jak dla zmarłych. O ile pamiętam, nadal jest czynny - specjalizuje się w projekcji filmów archiwalnych poświęconych danej gwiazdzie, tak że po odwiedzeniu doczesnych szczątków krewni i przyjaciele zmarłych mogą na miejscu obejrzeć filmy z ich udziałem.

Przejeżdżam przez bramę. Natłok grobów Rosjan i Latynosów świadczy o demograficznej zmianie, jaka zaszła w tej okolicy. Kiedy wydaje mi się, że dotarłem w rejon oznaczony nalepkami aniołków, parkuję na poboczu i wysiadam z wozu.

Pod kamiennym murem ciągną się groby dzieci. Na każdym maleńkim grobowcu leżą stopy zabawek, odlane z brązu dziecięce buciki, fotografie, posążki aniołków... wzruszające świadectwa miłości i poniesionej straty. Mijam je chwiejnym krokiem, szukając sam nie wiem czego, aż wreszcie docieram do końca rzędu mogił. A tam, na kawałku gołej ziemi, stoją naprzeciwko siebie dwaj plastikowi rycerze na plastikowych koniach, z pochylonymi kopiami. Przyglądają im się dwie identyczne figurki jasnowłosych dzieci, z wymalowanymi na twarzach szerokimi uśmiechami.

Przez chwilę stoję jak wryty, po czym pędem wracam do wozu. Namówienie kobiety z administracji cmentarza, by podjechała ze mną do dziecięcych grobów, zabiera mi sporo czasu, lecz w końcu jedziemy tam jej samochodem - ponurym czarnym mercedesem. Kobieta jest tak przyzwyczajona do rozmów ze zrozpaczonymi rodzinami zmarłych, że moje wzburzenie nie robi na niej wrażenia. Co chwila uspokajająco klepie mnie po ramieniu.

Gdy docieramy na miejsce, gdzie plastikowi rycerze szykują się do pojedynku, kobieta dzwoni z komórki do biura administracji. Nie spuszczać ze mnie współczującego wzroku, podaje numer kwatery i jej lokalizację.

- Oddzwoń i podaj mi jej stan prawny, dobrze? Chcę wiedzieć, kto tu leży, sprawdź datę pochówku i kto za niego płacił, wszystko, co tylko macie. Świetnie.

Stoimy tam i czekamy.

- Powinien tu stanąć kamienny nagrobek - mówi kobieta. - Ale niekiedy zajmuje to trochę czasu.

Nie mogę wydusić ani słowa. Na szczęście ona tylko ściska mi ramię i poprzestaje na tym. Czekamy. Kobieta wpatruje się w rysunek chmur na niebie. Ja nie mogę oderwać wzroku od plastikowych rycerzy, od jasnowłosych figurek chłopców i gołej ziemi.

Telefon kobiety odzywa się dyskretnie. Odbierając, urzędniczka odwraca się do mnie plecami.

- Nie? - mówi stłumionym głosem. - Żartujesz. Boże jedyny, ludzie to mają pomysły, co?

Chowa komórkę do futerału przy pasku i spogląda na mnie, z lekkim marsmem na poważnej twarzy.

- Ktoś ma chore poczucie humoru - oświadcza, schylając się, by podnieść zabawki z ziemi. - Tutaj nikt nie jest pochowany. To jedna z sześciu kwater, które wycofaliśmy ze sprzedaży. Stanie tu fontanna dla tych dzieciaków. - Przekrzywia głowę, patrzy na mnie i dotyka mojego ramienia. - Wie pan, to duży cmentarz, łatwo się tu pogubić. Dzieci chowamy także w innych strefach. Jeżeli szuka pan kogoś konkretnego, powinien pan zapytać w biurze rejestracji grobów. To w tym samym budynku, w którym mnie pan znalazł. Zgoda? Podwiozę pana.

Rusza do swojego samochodu. Doganiam ją i w tej samej chwili dociera do nas krystaliczny

dźwięk fletu - cudowna melodia, od której nie sposób się uwolnić.

- Piękna muzyka, prawda? - mówi kobieta, gdy jednocześnie odwracamy się w poszukiwaniu źródła dźwięku. - Myślałam, że dziś rano nie mamy żadnych uroczystości.

I wtedy go dostrzegam - stoi oparty niedbale o nagrobek, niecałe dziesięć metrów ode mnie. Ma na sobie spodnie khaki i białą koszulę, a przy ustach trzyma flet.

- Hej! - protestuje kobieta, gdy rzucam się w jego kierunku, ale ja już pędzę między nagrobkami, roztrącając zaskoczonych ludzi, którzy przyszli odwiedzić cmentarz. W szkole biegałem na czterysta metrów i chociaż nie mam już tej kondycji co kiedyś, wciąż jestem szybki... i zmniejszam dystans. Mężczyzna ucieka w kierunku małego jeziora, otoczonego pięknie utrzymanymi drzewami i krzewami, między którymi stoją pomniki rodzinnych grobowców. Teren zapewnia tyle kryjówek, że kilkakrotnie tracę go z oczu... lecz za każdym razem rozlega się wówczas dźwięk fletu i mężczyzna wychyla się zza drzewa czy nagrobka.

Pali mnie w płucach, mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa, gdy naraz widzę, jak tamten wbiega na groblę, prowadzącą do wysepki na środku jeziora. Przyśpieszam jeszcze bardziej - teraz już mi się nie wymknie. Już to czuję, czuję jego ciało pode mną, kiedy skaczę na niego i przewracam go na ziemię.

Biegniemy wzdłuż wielkiego mauzoleum na wyspie. Jestem już tak blisko, że rozpoznaję markę jego butów - Nike. Mężczyzna dobiega do końca budowli i skręca za róg. Ja robię to samo kilka sekund później i...

To niemożliwe, ale jego tam nie ma. Zniknął.

## **Rozdział 44**

Nie wierzę własnym oczom, ale... jego naprawdę nigdzie nie ma. Następne czterdzieści pięć minut schodzi mi na poszukiwaniach - najpierw próbuję znaleźć uciekiniera, a potem odkryć, w jaki sposób udało mu się zniknąć. Początkowo przeszukuję teren z nadzieją że znów go zobaczę, że on tylko ze mną igra jak poprzednio. Nic z tego. Później sprawdzam mauzoleum i jego otoczenie - drzewa, krzewy, nagrobki. Staję nawet nad brzegiem jeziora i wpatruję się w wodę. Szukam jakiegokolwiek miejsca, gdzie mógłby się ukryć choćby na chwilę, usiłuję wpaść na to, w jaki sposób udało mu się zniknąć. Do niczego jednak nie dochodzę.

Zaczepiam ludzi, którzy przyjechali odwiedzić wyspę i jej okolice. Wielu widziało Szczurołapa, słyszało jego grę na flecie, nawet patrzyło, jak go ścigam... nikt jednak nie zauważył, gdzie on się podział. Nikt nie widział, jak zniknął.

Rzecz jasna, nie wierzę w cuda. Szczurołap nie zniknął. To była sztuczka, pokaz iluzji. Zostawił mi w samochodzie folder Hollywood Forever, wiedząc, że przyjadę na cmentarz. Miał pod dostatkiem czasu, by wszystko przygotować. Ustawił figurki rycerzy i chłopców, zczekał, aż je obejrzę, a potem sprowokował pościg. Wiedział, dokąd pobiegnę, bo przecież pędziłem w ślad za nim. Mimo wszystko jednak... w jaki sposób tego dokonał? Nie znalazłem najmniejszego śladu, dosłownie nic takiego, co pozwoliłoby mu ot tak zniknąć. No ale w końcu przecież to magik.

Gdybym mógł poświęcić na to cały dzień, a może i tydzień, być może odgadłbym, na czym polegała ta sztuczka, ale nie mam czasu. Wyjeżdżając z cmentarza i kierując się na lotnisko, z niedowierzaniem kręcę głową.

Mikę Aguilar jest wyluzowanym Meksykaninem; nie ma mi za złe piętnastu minut spóźnienia.

- Taki tu ruch, co? - Kręci głową. - Jakby człowiek wszędzie chciał dotrzeć na czas, toby zwariował.

Barman podaje nam dwie butelki meksykańskiego piwa Bohemia, chipsy i salsę.

- Więc interesuje pana ten cały Mertz? - przechodzi do rzeczy Aguilar. - Bogiem a prawdą to ciekawy gość. Nie dziwię się, że ktoś mu się chce bliżej przyjrzeć.

- O ile wiem, skonfiskował mu pan jakieś nagrania wideo, a on wystąpił do sądu o ich zwrot?

Celnik kręci głową.

- Do sądu wystąpił, a jakże, ale myśmy mu ich nie zabrali. Skonfiskowaliśmy je jego pracownikowi, japońskiemu fotografowi, który przyleciał do Stanów z Chorwacji czy innej zakazanej dziury. Kasety były w pudełkach z lipnymi tytułami. Zdaje się, że był wśród nich *Król lew*. Właśnie dlatego zwróciły moją uwagę. Podejrzewałem, że to może być pornografia. Bo, rozumie pan, facet nie wyglądał na takiego, co to ogląda bajki dla dzieci.

- I co było dalej?

- Przejrzeliśmy po kilka minut z każdej taśmy, a potem je skonfiskowaliśmy.

- Czyli jednak to była pornografia?

- Nie. Coś dużo gorszego. Według wszelkich cywilizowanych standardów, obojętne, czy mówimy o Los Angeles, czy o Fargo, te taśmy należałoby spalić.

- Ale...

- To były... Mertz płacił temu fotografowi, żeby jeździł po świecie i kręcił filmy w takich miejscach jak Bośnia, Albania czy Sierra Leone. Taśmy zawierały zapisy torturowania i zabijania ludzi... nakręcone na żywo! Coś jak najostrejsze pornole, tyle że bez seksu. Żadnej polityki, żadnego kontekstu. Po prostu dziewięćdziesiąt minut umierających ludzi w zbliżeniu. Odniosłem wrażenie, że facet jeździł po obozach dla internowanych i obozach pracy, dawał ludziom w łapę i reżyserował te akcje.

- I sędzia pozwolił mu zatrzymać te taśmy?

- No - przytakuje Aguilar. - Powiedział, że to dzieła sztuki.

- I na tym koniec? Nikt nie wszczął śledztwa? Celnik bezradnie wzrusza ramionami.

- Nic nie mogliśmy zrobić. Zaledwie zatrzymaliśmy te nagrania, opadła nas sfera adwokatów Mertza. Skończyło się na wstępnym przesłuchaniu fotografa, i już.

- Czy coś wam powiedział?

- Niewiele. Dowiedziałem się tyle, że te taśmy kręcił nie tylko dla Mertza. Zdaje się, że chodziło o coś w rodzaju klubu.

- Jakiego klubu? Celnik kręci głową.

- Nie wiem. Ten fotograf zwariował, kiedy zabrałem mu kasety... Rzucił nazwiskami, ciskał się, groził, że ludzie, dla których pracuje, wywalą mnie z roboty na zbity pysk. Jednym z tych, na których się powoływał, był Mertz. Ale byli też inni. A to jakiś szejka, a to rosyjski magnat naftowy. Tego typu towarzystwo. - Pociera palce kciukiem w charakterystycznym geście. - Gruba forsa. Ci ludzie mają długie ręce.

Naciskam go, żeby mi podał nazwiska.

- Przykro mi, stary. Nie pamiętam.

- A macie może zapis tego przesłuchania? Aguilar kręci głową.

- Gdzie tam! Przegraliśmy sprawę, nie? Taśmy z przesłuchania powędrowały do kosza.

- Jeszcze jedno pytanie. Jakiej narodowości jest Mertz? Czy to Francuz?

Aguilar zaprzecza ruchem głowy. - Belg.

Stojąc w korku na Sepulveda, wpadam na pomysł. Być może uda mi się sprawić, żeby to Mertz

przyszedł do mnie.

Łapię Johna DeLanda w chwili, gdy wychodzi z Zamku na lunch.

- Jedno krótkie pytanie.

- Wal.

- Ten cały Mertz zbiera materiały o sztuczce ze sznurem. Czy jest jakaś konkretna pozycja, której poszukuje?

- Coś, co pragnąłby mieć w swojej kolekcji? Niech no się zastanowię. - Myśli przez dłuższą chwilę, po czym kręci głową. - Wiesz, trzeba by zapytać Kelly'ego. Zobaczymy, czy się do niego dodzwonię.

Kustosz przekazuje moje pytanie Kelly'emu Masonowi, krzycząc do słuchawki. Po chwili coś zapisuje.

- Możesz to przeliterować? W porządku. Dzięki, Kelly. Dobrze... Jasne.

Odwraca się do mnie.

- Jest taki jeden tytuł, ale Kelly kazał mi cię ostrzec, że nie widział ani jednego egzemplarza.

- Co to za książka? DeLand patrzy na swoje zapiski.

- *Autobiograficzny pamiętnik cesarza Dżahangira*.

- Możesz przeliterować? Zamiast tego wręcza mi kartkę.

- Gdybyś nie mógł odcyfrować moich bazgrołów, wiedz, że ta książka została napisana w siedemnastym wieku - mówi. - Ale wydanie, którego szuka Mertz, to angielski przekład niejakiego Davida Price'a z tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku. Kelly twierdzi, że ta książka zawiera najbardziej kompletny opis sztuczki ze sznurem, jaki kiedykolwiek opublikowano.

- Ile takie coś mogłoby kosztować? Kustosz zastanawia się przez chwilę.

- Z grubsza rzecz biorąc? Hmm. To rzadka pozycja, ale krąg odbiorców jest niewielki. Copperfield mógłby podbić cenę, gdyby chciał ją kupić do swojego muzeum, co nie jest wykluczone. Księga tak stara i rzadka...? Moim zdaniem Mertz bez wahania wyłożyłby za nią pięć tysięcy.

- Masz u mnie dużego kielicha.

- Domyślam się, co kombinujesz, Alex - mówi DeLand. - Uważaj na siebie.

W ciągu kilku minut zakładam na Yahoo! skrzynkę pocztową, pod nazwiskiem, które wzięłem z książki telefonicznej - Daniel Helwig. W Google'u wyszukuję krótką listę antykwariuszy specjalizujących się w rzadkich książkach na temat magii, po czym wysyłam do wszystkich moją ofertę.

Pod pseudonimem proponuję sprzedaż pierwszego wydania *Dżahangira* za cenę pięciu tysięcy dolarów, zaznaczając jednak, że oferta jest ważna tylko przez dwa dni. Potem „Daniel” wybiera się na dłuższy czas za granicę i właśnie dlatego sprzedaje książkę. Żeby móc dłużej zabawić poza krajem.

Wysławszy ofertę, nie mam nic lepszego do roboty, niż uzbroić się w cierpliwość... i w przyływie optymizmu kupić broń.

Liz nie znosi broni palnej, nie potrafi o niej myśleć spokojnie. Nigdy nie pozwalała kupować dzieciom takich zabawek, chociaż jej awersja najwyraźniej nie dotyczy mieczy. Kiedyś Sean dostał szlaban na wychodzenie z domu tylko dlatego, że w zabawie „strzelił” do niej z banana. Ponieważ na samą myśl, że trzymam w domu broń, dostawała szału, pozbyłem się buldoga - starego rewolweru produkcji brytyjskiej, który dostałem od dziadka. Podarowałem go jednemu z kuzynów, którego żona należała do Krajowego Związku Strzeleckiego.



Dziadek nauczył mnie strzelać i pokazał, jak konserwować broń. Sam nie polował, ale mieszkał na wsi, na północy stanu Wisconsin, i pomimo protestów mojej babki uważał, że każdy powinien umieć posługiwać się, jak to określał, „bronią krótką”.

Zatrzymuję się przy bankomacie, a następnie jadę do parku Plummera. Mijałem go w drodze na cmentarz, więc teraz bez problemu trafiam do tej oazy zieleni pośrodku betonowego miasta. Kiedy dwa lata temu kręciliśmy reportaż o rosyjskiej mafii, była to bardziej szemrana okolica, ale nie wątpię, że i teraz uda mi się tu kupić co trzeba. Krążąc po parku, widzę, że upodobali go sobie rosyjscy emigranci, grający w szachy, plotkujący albo sprzecząc się pod drzewami. Jednak ukradkowe narady i rozchylanie płaszczy przez sprzedawców, by pokazać ukryty pod spodem towar, świadczą o tym, że nadal kwitnie tam różnoraki handelek. To właściwe miejsce, jeśli się chce kupić używanego roleksa, kradzionego merca albo... spluwę.

Mijam kort tenisowy, na którym dwóch młodych Latynosów z niesamowitą siłą odbija piłkę.

Siadam na ławce - połowa graffiti wydrapanych w zielonej farbie wypisana jest grażdanką. Dziesięć minut później przysiada się do mnie chłopak w bojówkach. Pomimo upału ma na sobie skórzaną kurtkę. Zapala papierosa i nachyla się do mnie.

- Załatwić ci coś, człowieku?

- Może.

- Herę czy crack?

- Potrzebna mi klamka. Wzrusza ramionami.

- Poczekaj chwilę. - Całe dłonie ma pokryte tatuażami, a zza kołnierza wystają mu następne. Są toporne, takie, jakie samemu robi się w więzieniu. Chłopak podnosi palec. - Gotówka do ręki. Trzysta papierków.

Obojętnie kiwam głową.

- Jeśli towar będzie jak należy. Chcę czterdziestkępiątkę. Pięć minut później chłopak wraca z torbą z Burger Kinga.

Jest podenerwowany.

- Spokojnie - mówię. - Nie jestem gliną. Wybuchają śmiechem.

- Mam to w dupie. I tak pod koniec tygodnia wracam do Moskwy. Wsadzisz mnie, no i co? Najwyżej mnie deportują. - Uśmiecha się sztucznie. - Może załapałbym się na miejsce przy oknie.

Zaglądam do torby. W środku jest trzydziestkaósemka, a nie czterdziestkępiątkę, na co zwracam chłopakowi uwagę. Wyciągam magazynek.

- I ma tylko trzy kule. Chłopak znów wzrusza ramionami.

- To wybierz się pan na zakupy gdzie indziej. To wszystko, co dało radę załatwić, na sto procent. Bierzesz pan, to klawo, nie, to też dobrze.

Biorę.

Teraz już naprawdę nie mam do roboty nic innego, niż co chwila sprawdzać pocztę elektroniczną, czekając na odpowiedzi. To długa noc. W końcu dostaję coś o dziewiątej dwadzieścia dwie rano.

Antykwariusz z San Francisco ma kogoś, kto pewnie byłby zainteresowany. Cena nie gra roli, wszystko zależy od stanu książki.

W odpowiedzi wysyłam mu e-mail, prosząc o podanie nazwiska i adresu klienta. „Mogę mu wysłać egzemplarz do zbadania. Dostałby go jutro rano”.

Nic z tego. Antykwariusz nie chce mi podać namiarów, pewnie się boi, że straci prowizję. „Jeśli przyśle mi pan tę książkę - odpisuje - pokażę ją klientowi po południu. Oczywiście, pokryję koszt

przesyłki i ubezpieczenia”.

Tego jednak nie da się zrobić. Nie mam przecież tej książki. Ani, skoro już o tym mowa, gwarancji, że ewentualnym nabywcą jest Luc Mertz. Tyle że to mój jedyny trop... i jedyny plan.

Zastanawiam się, czy nie warto polecieć do San Francisco na spotkanie z antykwariuszem... ale co mi to da? Jeśli nie pokażę mu książki, w ogóle nie będzie chciał słuchać tego, co mam do powiedzenia.

Czyli zostaje mi tylko handlarz informacjami. A to dlatego, że jedno jest pewne: dowiedziawszy się, że taka książka pojawiła się na rynku, antykwariusz ([qjwynn@coastal.com](mailto:qjwynn@coastal.com)

) z pewnością skontaktował się z klientem. Musieli więc ze sobą rozmawiać.

Łapię informatora, który potwierdza, że istotnie, może sprawdzić wczorajsze połączenia księgarza... ale dopiero po zakończeniu cyklu rozliczeniowego w spółce telefonicznej.

- Dopiero wtedy będą mieli billingi, wcześniej ich nie zdobędę - wyjaśnia.

Zniechęcony, dzwonię do przyjaciela, który świetnie orientuje się w bazach danych. Chaz, którego znam jeszcze ze studiów, projektuje teraz symulacje komputerowe dla Pentagonu, czyli gry wojenne. Okazuje się jednak, że on także nie ma pojęcia, jak można sprawdzić wczorajsze połączenia telefoniczne księgarza.

- Poza tym skąd wiesz, że rozmawiał z nim przez telefon - dodaje. - Może wysłał mu e-mail?

Racja.

- A jak mogę się dostać do jego poczty elektronicznej? Chaz zastanawia się przez chwilę.

- Znasz jego adres internetowy?

- Tak.

- Wobec tego potrzebne ci tylko hasło.

- Ale jak je zdobyć?

- To zależy. Jeżeli jego program umożliwia stosowanie haseł nieszyfrowanych, możesz ściągnąć na dysk cały słownik i przepuścić wszystkie słowa. Tyle że to by ci zajęło kilka dni, więc pewnie by cię wcześniej złapali.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jeśli administrator ma wykrywacza intruzów, co jest prawie pewne, to na jego konsoli co trzy sekundy pojawiałby się sygnał alarmowy, a na serwerze zapisywałby się twój adres IP, wraz z godziną próby nawiązania połączenia.

- Kiepska sprawa.

- Prawdopodobnie by cię aresztowali. - Chaz milknie na chwilę. - Oczywiście, zawsze możesz próbować odgadnąć hasło.

- Odgadnąć?

- Dziewięć osób na dziesięć, czyli prawie wszyscy, używa tych samych haseł - wyjaśnia.

- Na przykład jakich?

- „Hasło”. To najbardziej popularne słowo. Albo „zmień-mnie”... to także ma wzięcie. Podobnie „zmieńto”. Albo imiona zwierząt. Czy on ma psa?

- Nie wiem. Być może.

- To spróbuj „Brownie”, „Blackie” i „Jack”.

- A dajże mi spokój! Nie będę próbował żadnych „Brownie”.

- Nie, to nie. Czym się ten gość zajmuje? Wierz mi, odgadywanie haseł to nie fizyka jądrowa.

- Jest antykwariuszem. Sprzedaje głównie książki o magii.

- Więc spróbuj „Houdini” i tym podobne.

Tak też robię. Próbuję wszystkich tych haseł, nawet „Brownie”. A kiedy nic mi to nie daje, wpisuję nazwiska magików, o których czytałem w książkach. blackstone kalang thurston kellar copperfield siegfriedroy siegfred&roy siegfriedundroy blaine maskelyne sorcar lanceburton

penn&teller penniteller johndeland karlkavanaugh

Dupa. Próbuje z innej beczki: abrakadabra sezamieotwórz się sezam hokus pokus pokushokus  
I natychmiast otwiera się właściwa strona.

W folderze z wiadomościami odebranymi księgarza znajduję kilkanaście e-maili z poprzedniego dnia. Jeden z nich pochodzi od [lxmertz@sequoia.net](mailto:lxmertz@sequoia.net)

Oczywiście, że jestem zainteresowany, ale najpierw muszę zobaczyć książkę. Jesteś pewny, że ta oferta to nie jakiś żart?

Czytam tę wiadomość kilkakrotnie. Ale to tyle, nic więcej się z niej nie dowiem. Przechodzę ze skrzynki antykwariusza na serwer [sequoia.net](http://sequoia.net)

i przez godzinę próbuję złamać hasło dostępu Mertza, ale bez rezultatu. Belg jest zbyt sprytny, żeby używać hasła, które ktoś mógłby odgadnąć.

Nagle przychodzi mi do głowy, że [sequoia.net](http://sequoia.net)

to adres jakiejś firmy Korzystając z wyszukiwarki Anywho, sprawdzam najpierw „Sequoia Net”, potem „Sequoia Networks”, a następnie „Sequoia Enterprises” i tak dalej, próbując różnych typowych nazw firmowych. Zakładam, że firma ma siedzibę gdzieś w Kalifornii, bo inaczej księgarz nie obiecywałby chyba, że pokaże książkę klientowi po południu.

W końcu znajduję:

Sequoia Solutions, Ltd. 11224 Fish Rock Rd. Suite 210 Anchor Bay, Kalifornia

Z witryny MapQuest ściągam wskazówki, jak dojechać tam samochodem, oraz mapę. Zapisuję sobie drogę w hotelowym notesie. Patrząc na mapę, stwierdzam, że Anchor Bay leży zaledwie kilka mil od Point Arena, skąd Byron wysłał pocztówkę do Dimenta. Eureka - miasteczko, w którym synowie Sandling uciekli sprzed supermarketu - też leży niedaleko. Przychodzi mi na myśl, że Byron zapewne wiozł wtedy chłopców Emmy do Mertza.

Całkiem możliwe, że moje spekulacje oparte są na kruchych podstawach i wynikają z desperackiej nadziei. Być może Mertz tylko prowadzi interesy w północnej Kalifornii i wcale tu nie mieszka. On i Byron mogli się rozstać dawno temu. Możliwe, że Boudreaux wciąż siedzi tutaj, w Los Angeles. A może wszystko to tylko zasłona dymna, jak by powiedział Shoffler.

Ale nie sądzę.

Odległość z Los Angeles do Anchor Bay wynosi pięćset czterdzieści pięć mil. Samochodem to kawał drogi. Jeśli uda mi się złapać jakiś lot w ciągu najbliższych dwóch godzin, powinienem polecieć do San Francisco i dalej pojechać wozem.

Siedzę przy komputerze przez dwadzieścia minut i już mam zarezerwować bilet na samolot, gdy nagle o czymś sobie przypominam. Pistolet!

Wracam więc do pomysłu wyprawy samochodem, ale jazda zajęłaby mi w najlepszym razie osiem godzin. Rozważam też pozbycie się broni, lecz wolę ją zatrzymać, skoro już ją mam.

Rezerwuję bilet na samolot, po czym wychodzę do sklepu Vons. Kupuję paczkę zbożowych chrupków, dwa korkociągi, nożyczki, zatyczkę do zlewozmywaka, szczotki z nierdzewnej stali do szorowania garnków i rolkę folii aluminiowej. To prawda, że na lotniskach prześwietla się bagaż, ale głównie w poszukiwaniu materiałów wybuchowych. Z programu, który niedawno szedł w stacji Fox, dowiedziałem się, że wielu przestępców przemycą broń w prześwietlanym bagażu. Łatwo można ją ukryć, chowając w pudełku razem z innymi metalowymi rupieciami i wypełniając puste

miejsca kulkami z folii, a następnie kilkakrotnie owijając pudełko folią aluminiową. Skaner odczytuje to jako metalowy przedmiot o różnym stopniu gęstości.

Wyrzucam chrupki z pudełka i w ciągu pięciu minut jestem spakowany i gotów do drogi. Półtorej godziny później siedzę na miejscu numer 23A w samolocie United Airlines, lot numer 1421, lecącym na północ.

## **Rozdział 45**

W ślimaczym tempie dowlokłem się z lotniska do miasta. Kiedy przejeżdżam przez most Golden Gate, dochodzi piąta. Pod adresem, który znalazłem w sieci, bez wątplenia mieści się firma, Mertz z całą pewnością tam nie mieszka. Możliwe, że będę musiał się wybrać do sądu hrabstwa Mendocino w Ukiah, by sprawdzić, czy Luc Mertz albo Sequoia Solutions mają tu jakieś nieruchomości, na razie jednak jadę prosto do Anchor Bay. Nie jest to żadna metropolia, więc jeśli Mertz mieszka gdzieś w pobliżu, ktoś z miejscowych powinien o tym wiedzieć.

Dojeżdżając do Cloverdale, telefonuję do Shofflera. Liczę na to, że zna kogoś z tutejszego posterunku - kogoś, kto będzie mógł mi pomóc.

- Jak tam było we Francji? - pytam, gdy detektyw odbiera telefon.

- Ekstrażarcie. Po prostu nie do wiary. - Przerwa. - Kto mówi? Czy to ty, Alex? Gdzie ty się podziewasz, do cholery? Brzmisz, jakbyś dzwonił z księżycy.

- Jestem w Kalifornii. Pomyślałem, że może byś mi pomógł w jednej sprawie.

- Wiesz, że tak, jeśli tylko będę mógł.

- Znasz kogoś w północnej Kalifornii? Na wybrzeżu powyżej San Francisco?

- A co? Trafiłeś na coś?

- Sądzę, że moje dzieci są tutaj.

- Czyli gdzie?

- Koło Anchor Bay.

- A gdzie to jest?

- Jakies czterdzieści mil na południe od Mendocino.

- Hm. - Wzdycha ciężko. - Lepiej mi o tym opowiedz. Dlaczego sądzisz, że twoje dzieci tam są?

Waham się.

- To długa historia, nie wyjaśnię ci wszystkiego przez komórkę. Najważniejsze, że wiem, kto ich porwał.

- Naprawdę?!

- Facet nazywa się Byron Boudreaux. Ray, musisz mi obiecać, że gdyby coś mi się stało, dobierzesz mu się do dupy. Ma bogatego protektora, który nazywa się Mertz. Luc Mertz. - Przeliterowuję nazwisko. - To Belg.

- Hm. - Kolejne ciężkie westchnienie. - Dobrze wiesz, Alex, że jeśli mam ci dać wsparcie, muszę znać całą historię.

- Słuchaj, znasz tu kogoś czy nie? Znów wzdycha.

- Chyba nie. Znałem kiedyś jednego gościa z Healdsburga, ale zginął podczas obławy na kłusowników nielegalnie poławiających małże.

W słuchawce rozlegają się szumy i trzaski.

- Gdyby coś mi się stało, skontaktuj się z Pinkym Streiberem, prywatnym detektywem z Nowego Orleanu. On ci wszystko opowie.

- Alex, nie podoba mi się to. Nie pomożesz swoim dzieciom, jeśli dasz się załatwić. Wstrzymaj

się dzień albo dwa. Znam paru ludzi w San Francisco. Daj mi chwilę, żebym coś zorganizował.

Skrecając w stronę wybrzeża, uświadamiam sobie, że tylko tracę czas. Stróże prawa nie przyjdą mi z pomocą. Poszlaki są zbyt słabe. Papierowe króliki i pogrzeb voodoo, pocztówka i sztuczka ze sznurem... A ich związek z Mertzem oparty jest na jeszcze wątlejszych przesłankach.

Na podstawie moich informacji żaden sędzia nie wystawi nakazu przeszukania, zwłaszcza przeszukania nieruchomości należącej do Luca Mertza - multimilionera, który lubi się procesować.

- Pinky Streiber - powtarzam Shofflerowi. - Decatur Street, Nowy Orlean. Zapisałeś?

- Alex, posłuchaj mnie i weź na wstrzymanie. Ja... Wciskam klawisz przerywający połączenie i jadę w stronę wybrzeża.

Bez problemu znajduję Sequoia Solutions. Firma mieści się w stylizowanym na Dzikie Zachód drewnianym budynku, razem z dziesiątkami innych małych biur. Dochodzi dziesiąta wieczorem, więc już od dawna nikogo tam nie ma, oprócz wyraźnie zmęczonego faceta w uniformie Coastal Chiropractics.

Ostrożnie otwiera drzwi, zsuwa okulary do czytania i przygląda mi się uważnie.

- Słucham?

- Zna pan faceta spod dwieście dziesięć, na końcu korytarza? Sequoia Solutions.

Kręci głową.

- Nie. W tym biurze to ja chyba nigdy nikogo nie widziałem - odpowiada.

- A mówi coś panu nazwisko Mertz? Znowu zaprzecza ruchem głowy.

- Wie pan, biur mamy tu od cholery, a nie wszyscy pracują codziennie. Ja jestem wyjątkiem.

Przykro mi.

Na moją prośbę podaje mi numer agencji wynajmującej biura w tym budynku. Muszą mieć umowę wynajmu, a zatem więcej informacji na temat Mertza. Skontaktuję się z nimi jutro.

Tymczasem jednak muszę znaleźć jakiś nocleg.

Jest z tym pewien kłopot. W okolicy nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie można się zatrzymać, a jak to w sierpniu, wszystkie są zajęte. W Anchor Bay nie ma nic wolnego. Jadę więc do Point Arena, ale tam też nic nie mają. Po drodze wszędzie rozpytuję o Mertza i Sequoia Solutions. Na tym polu także ponoszę porażkę. Nikt o nim nie słyszał.

Recepcjonista z Buena Vista Cottages w Point Arena lituje się nade mną i dzwoni w kilka miejsc.

- Mam! - oznajmia w końcu. - Breakers Inn w Gualala. Ktoś właśnie odwołał rezerwację.

- Gdzie to jest?

- Trzeba jechać autostradą sto jeden na południe. To następne miasteczko za Anchor Bay.

- Wielkie dzięki. Bardzo mi pan pomógł.

- Nie ma sprawy, przyjdzie czas na rewanż.

Kiedy zajeżdżam na parking przed Breakers Inn, dochodzi dwudziesta trzecia. Młody chłopak w recepcji informuje mnie, że mam wielki pokój z wychodzącym na morze balkonem.

Hotel tonie w kwiatach, łukowate przejścia porastają róże. Za spokojnym ujściem rzeki grmią morskie fale. Całe otoczenie, wraz ze stojącą za mną w kolejce szczęśliwą parą, świadczy

O tym, że hotel jest ulubionym miejscem romantycznych schadzek. Moja wizyta raczej nie mieści się w tej kategorii.

Recepcjonista bierze ode mnie kartę kredytową i przeciąga przez czytnik. Postanawiam od razu przejść do rzeczy.

- Znasz może faceta, który nazywa się Mertz? - pytam. - Mieszka gdzieś tutaj. Niski, łysy,

niesamowicie nadziany. Właściwie on nie jest stąd. Ma tutaj dom, ale w ogóle jest Belgiem.

- Przykro mi, stary. Przyjechałem tu, żeby popływać na desce.

- A nie wiesz, kto mógłby go znać? - naciskam, odbierając klucz.

Chłopak zastanawia się przez chwilę.

- Może w tym małym sklepie spożywczym, tu obok. Są otwarci do północy i pracuje tam sporo ludzi. No i może pan popytać agentów od nieruchomości, tutaj jest ich od groma i ciut, ciut. Oni wiedzą, co w trawie piszczy. Poza tym w mieście jest kilka restauracji, które nie są nastawione tylko na turystów. Niech pan spróbuje w Cliff House.

Dziękuję mu i nagle spostrzegam, że na kluczu nie ma numeru.

- A właściwie w którym pokoju ja mieszkam?

- W Kanadzie - odpowiada chłopak. - Tym korytarzem, trzecie drzwi po lewej.

- W Kanadzie?

- Tutaj każdy pokój ma jakąś geograficzną nazwę - wyjaśnia. - I stosowny wystrój. Wie pan, jeden z tych genialnych pomysłów. Ktoś sobie wykombinował, że numery są nudne.

I zbyt hierarchiczne.

- To właśnie cała Kalifornia - odzywa się stojąca za mną kobieta. - I jak tu jej nie kochać?

W sklepie spożywczym przepuszczam stojącą za mną starszą panią, która dziękuje mi wylewnie. Kupuje paczkę salemów lightów, puszkę pringles i pół galona chudego mleka.

Urzędująca za kasą młoda kobieta jest olbrzymia, ale z okrągłą twarzą cherubinka wygląda jak kolosalna dzidzia. Stawiam na taśmie butelkę wody Zephyrhills i mówię:

- Szukam kogoś. Być może pani go zna. Wprawnym ruchem zgina rękę w nadgarstku i przesuwa butelkę pod czytnikiem.

- Dolar dwanaście - rzuca.

- Ten człowiek nazywa się Luc Mertz. To...

- Żabojad jebany, ot co! - wybucha kasjerka. - Mówi, że nie jest żabojadem, tylko Belgiem, ale to jedna zaraza. - Kręci głową. - I jedni, i drudzy nas nie znoszą. Zdaje się, że oni byli aliantami, no nie?

- A więc pani go zna?

Głupota mojego pytania nie uchodzi uwagi dzidzi.

- No - przytakuje. - Jasne, że znam.

Stoję tam, oniemiały z zaskoczenia. Przez chwilę napawam się nieznanym mi poczuciem, że wreszcie dopisało mi szczęście. A już myślałem, że będę ją musiał ciągnąć za język.

- Mieszka gdzieś tutaj?

- A jakże. Pracowałam u niego raz na imprezie, za barem. Wielka chałupa, zaraz za Sea Ranch. Nazywa się jakoś tak po ichniemu... - Koncentruje się niczym kalkulek, w skupieniu wykrzywając twarz. - Mystere! - oznajmia triumfalnie, jakby brała udział w teleturnieju. - Wie pan, u żabojadów to znaczy „tajemnica”.

Pakuje moją wodę do plastikowej torby, wkłada do środka paragon i podaje mi ją.

- Jak trafić do Sea Ranch? - pytam.

- Pan nie wie, gdzie jest Sea Ranch?! - Dziewczyna wywraca oczami. Wyraźnie nadużywam jej ciepłości. - To chyba największa inwestycja budowlana stąd do San Francisco. Pan pojedzie drogą sto jeden na południe. Choćbyś pan był formalnie ślepy, i tak jej pan nie przegapi. Ma z milion akrów, albo i lepiej. Zobacz pan takie wielkie rogi barana, to jest... - spogląda na sufit, szukając w

pamięci słowa - logo Sea Ranch. Mają tam biuro wynajmu i w ogóle. Portiernię, restaurację... A kilka mil za Sea Ranch odchodzi w prawo taka mała droga, Estate Road. Pan w nią skręci, pojedzie do samego końca i tam jest Mystere. Żelazna brama z wielkim staroświeckim „M” na środku. Strażnicy i inne bajery.

Przed wyjazdem z hotelu rzucam walizkę na łóżko i wyciągam pistolet z aluminiowego kokonu. Skoro już mam broń, dlaczego jej nie wziąć? W samochodzie chowam ją pod fotelem pasażera.

Zostawiam za sobą hrabstwo Mendocino i wjeżdżam do hrabstwa Sonoma. A zatem wyprawa do sądu w Ukiah nic by mi nie dała.

Dziesięć minut później mijam Sea Ranch i skręcam w Estate Road. Jest już całkiem ciemno, więc mijając posiadłość Mertza, widzę jedynie jasno oświetloną budkę strażników oraz ogólny zarys terenu. Pofałdowane wzgórza opadają w kierunku morza, które jest na tyle daleko, że nie słyszę szumu fal. Nie, nagle dobiega mnie odległy głuchy odgłos, przywodzący na myśl bicie serca. Księżyc wysuwa się zza chmury i na moment oświetla usłane głazami wybrzeże oceanu. W jego poświacie guzowate skały wyglądają niczym gromada przybyszów z obcej planety, zmierzających w stronę brzegu. Fale rozbijają się o nie, wyrzucając w górę białą pianę. A potem księżyc znów zachodzi za chmury i widzę tylko niewyraźny zarys terenu.

Posiadłość jest olbrzymia. Dostępu do niej broni z jednej strony morze, z drugiej wysokie żelazne ogrodzenie, z ostro zakończonych pionowych prętów. Mniej więcej co dwadzieścia jardów świecą czerwone diody, zdradzając, gdzie zamontowano kamery obserwacyjne.

Gdzieś w głębi tej posiadłości stoi dom.

A gdzieś w tym domu są moje dzieci.

Mam wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi.

Co oni robią... Sean i Kevin? Czy jeden z nich powtarza sobie kwestie przed występem? Czy drugi ćwiczy swoje końcowe wyjście z kosza, z szerokim uśmiechem skierowanym do publiczności?

Wyobrażam sobie ich razem, widzę, jak Sean nabija się z Kevina, który wyskakuje z kosza z triumfalnie uniesionymi rękami, niczym gimnastyk po zwycięskim występie. Widzę, jak chichoczą, uradowani, że biorą udział w takim oszustwie, w sztuczce z bliźniakami. Co Boudreaux powie temu z nich, którego wybrał, by triumfalnie powrócił do życia? Jak wyjaśni spadające na niego zakrwawione części ciała, gdy będzie siedział skulony w koszu, czekając na sygnał, by wyskoczyć? Przychodzi mi na myśl, że kosz musi mieć specjalną konstrukcję - taką jak opisywana przez Karla Kavanaugh klatka dla gołębi - by nie narażać czekającego chłopca na kontakt z odrąbanymi kończynami i odciętą głową jego brata.

W żółtym tempie przejeżdżam obok ogrodzenia; tylko obecność kamer powstrzymuje mnie przed przeskoczeniem na drugą stronę. Nagle droga kończy się zwirowym zaułkiem na samym skraju klifu. Stąd wyraźnie widzę kraniec posiadłości. Metalowe ogrodzenie zakręca i ciągnie się jeszcze ze sto stóp wzdłuż płaskiej krawędzi klifu, a potem, gdy teren gwałtownie zmienia się w skaliste urwisko, granice Mystere wytycza wielowarstwowa siatka z drutu kolczastego, ciągnąca się daleko w dół, ku morzu. Jej szczyt, na wysokości około dziewięciu stóp, zakończony jest ostrym jak brzytwa drutem, który błyszczy w świetle księżyca. Nawet tu, na terenie, po którym mógłby się poruszać tylko specjalista od wspinaczki skałkowej, jak okiem sięgnąć, w dole mniej więcej co dwadzieścia jardów sterczą kamery, osadzone na metalowych wysięgnikach przymocowanych do drutu kolczastego. Widok tych obracających się z szumem elektronicznych oczu, nieustannie wpatrujących się w mglistą noc, sprawia niesamowite wrażenie. Mam nadzieję, że nie wszedłem w ich zasięg.



Siadam za kierownicą, zawracam i jadę w kierunku autostrady.

Przez głowę przelatują mi rozmaite pomysły, w jaki sposób mógłbym się dostać na teren posiadłości... Rozbroić strażników, przeskoczyć przez ogrodzenie, wynająć łódź i podpłynąć od strony morza, przeciąć drut kolczasty, pojawić się w przebraniu dostawcy... Jednak po kilku sekundach namysłu odrzucam je po kolei.

Wszystkie wiążą się z tym samym ryzykiem. Co będzie, jeśli mnie złapią? Skoro posiadłość jest tak dobrze strzeżona od zewnątrz, jestem pewien, że i w środku są odpowiednie zabezpieczenia. A dom, w którym uwięzieni są moi synowie? Na pewno przypomina fortecę.

Jeśli wejdem tam teraz i dam się złapać, Boudreaux nie zawaha się mnie zabić. Schowa gdzieś ciało do czasu zakończenia pokazu, a potem pozbędzie się mnie razem ze zwłokami dzieci. Prawdopodobnie gdzieś daleko stąd. Być może po prostu wrzuci nas do morza.

Minąłem już bramę i budkę strażników i właśnie biorę zakręt, gdy w polu widzenia pojawia się wóz policyjny. Przypuszczam, że to zwyczajny patrol, lecz nagle radiowóz rozbłyskuje światłami jak choinka i zakręca poślizgiem, blokując mi drogę.

Czekam za kierownicą, jak przystało na dobrego obywatela. Przypominam sobie, żeby odetchnąć głęboko. Dawniej pyskowałem gliniarzom z drogówki, gdy zatrzymywali mnie za przekroczenie szybkości. Ale po dziesięciu latach spędzonych na frontach rozmaitych wojen nauczyłem się, żeby nie stawiać się władzy. Czasami gówniarze na punktach kontroli są tak zdenerwowani, naćpani albo mają cudze życie w takiej pogardzie, że byle co może ich sprowokować do otwarcia ognia.

Sięgam do tylnej kieszeni, wyciągam prawo jazdy i wyjmuję ze schowka papiery z wypożyczalni. Gliniarz ociąga się z wysiadaniem z radiowozu. W końcu stuka w szybę mojego samochodu. Opuszczam ją. Policjant jest młody, ledwie po dwudziestce. Ma pryszczę na twarzy, a na głowie policyjny kapelusz z szerokim rondem.

- O co chodzi?

- Prawo jazdy i papiery wozu - mówi.

Jeden z tych! Z westchnieniem podaję mu dokumenty. Przegląda je uważnie i idzie do radiowozu. Siedzi w nim długo, może z dziesięć minut, po czym niespiesznie wraca do mnie. Oddaje mi papiery.

- Co pan tu robi?

- Pomyliłem drogę.

- Pomylił pan drogę? - Przygląda mi się. - Hm. Powstrzymuję cisnący mi się na usta słowotok. W takiej sytuacji lepiej powiedzieć za mało niż za dużo. Policjant jednak posiadał dar cierpliwości, a ja nie potrafię utrzymać języka za zębami.

- Chciałem popatrzeć na ocean - wyjaśniam. - Zdaje się, że to nie najlepsza pora na podziwianie widoków. Noc. A swoją drogą, którądy dojechać na plażę publiczną? Chyba jest tu jakaś w pobliżu?

Policjant przekrzywia głowę.

- Zatrzymał się pan tutaj?

- W Breakers Inn - odpowiadam, zadowolony, że zadał mi to pytanie. Mój hotel należy do tych z górnej półki, tam mieszkają tylko porządni obywatele.

Kiwa głową.

- Wie pan, dlaczego pana zatrzymałem? Zaprzeczam ruchem głowy.

- Mieszkańcy Mystere - wymawia obce słowo jak „mister” - złożyli skargę, że przed bramą przejeżdża jakiś samochód, bardzo wolno. Pomyślałem, że to pewnie kłusownik albo włamywacz, który sprawdza, kogo by tu obrobić.

- Niestety - odpowiadam z uśmiechem. - Jestem tylko turystą. - Sięgam po pas bezpieczeństwa i zamierzam go zapiąć, lecz przerywam, słysząc polecenie policjanta:

- Proszę wysiąść z samochodu.

- Słucham?

- Na ocean może pan sobie popatrzeć z Breakers Inn.

- Ale nie można pochodzić po plaży - protestuję. - Ja tylko chciałem się przejść nad morzem. Niech pan posłucha...

- Coś mi tutaj nie gra. - Wyrzuca z siebie te słowa jak karabin maszynowy. - Proszę wysiąść z wozu.

Wypełniam polecenie. Policjant każe mi położyć ręce na masce i przeszukuje mnie. Każe mi pozostać w tej pozycji, a sam idzie do radiowozu, by wezwać „wsparcie”.

Dwadzieścia minut później przyjeżdża drugi radiowóz, z włączonym kogutem i na syrenie. Następuje krótka wymiana zdań, w wyniku której obaj policjanci dochodzą do wniosku, że mają dostateczne podstawy do przeszukania mojego samochodu. „Na wszelki wypadek” zakuwają mnie w plastikowe kajdanki.

W ciągu czterdziestu sekund, jakie mijają od czasu, gdy zaczynają przeszukiwać mój wynajęty samochód, do chwili gdy znajdują broń, walczę z pokusą, by wyskoczyć z radiowozu i dać nogę. Zmuszam się, żeby myśleć o chłopcach. Jeśli dostanę kulkę w plecy, do czego niechybnie by doszło, gdybym próbował zwać, z całą pewnością im nie pomogę. Jak mogłem dopuścić do takiej sytuacji? Sam mam ochotę palnąć sobie w łeb za to, że wziąłem pistolet na tę wyprawę. Co ja sobie wyobrażałem? Ile można dostać za nielegalne posiadanie broni? Jakie są przepisy dotyczące posiadania broni palnej w Kalifornii?

Dwie i pół godziny później, cztery minuty po drugiej nad ranem, jest już po wszystkim. Siedzę przebrany w pomarańczowy kombinezon w areszcie tymczasowym w Santa Rosa, gdzie mieści się siedziba władz hrabstwa Sonoma. Odczytano mi moje prawa. Stanę przed sądem pod zarzutem nielegalnego posiadania broni palnej. Pistolet jest przedmiotem odrębnego śledztwa. Mam tylko nadzieję, że nikogo z niego nie zastrzelono. Męczyłem się z podjęciem decyzji, do kogo zadzwonić, w końcu jednak zdecydowałem się zawiadomić ojca. Wprawdzie obudziłem go i przeraziłem, ale wiem, że znajdzie mi dobrego adwokata.

- Tato?

- Co jest, Alex?

- Mam pilną sprawę. Zostało mi bardzo mało czasu.

- O czym ty mówisz? - pyta ojciec; w jego głosie słychać paniczny strach. Ale zaraz wycofuje się z tego pytania. - Nieważne. Czego ci potrzeba?

Noc wlecze się w nieskończoność. Na początku potrafię myśleć jedynie o tym, co jeszcze może się nie udać i jak strasznie szybko biegnie czas. Z tego, czego się dowiedziałem o sztuczce ze sznurem, przypuszczam, że przedstawienie odbędzie się dziesiątego sierpnia z samego rana, zanim jeszcze mgła się rozejdzie. Dzisiaj jest dziewiąty sierpnia. O której zbiera się sąd? Pewnie o dziewiątej. A kiedy zaczniesz rozpatrywać moją sprawę? Bóg raczy wiedzieć.

Krażę po celi. Nie potrafię usiedzieć na miejscu. Czy kiedy publiczność zasiądzie w oczekiwaniu na legendarną sztuczkę ze sznurem, kiedy jeden z moich synów dołączy do Byrona Boudreaux na scenie jako jego asystent (a drugi będzie ukryty w koszu do czasu triumfalnego powrotu do życia), czyja wciąż będę siedział tutaj, w więzieniu hrabstwa Sonoma?

A jeśli nawet adwokatowi uda się wyciągnąć mnie z mamra, to w jaki sposób dostanę się do Mystere?

## Rozdział 46

Adwokat kręci głową.

- Wybrał pan sobie kiepską okolicę na taki numer - mówi. - To miasto japiszonów plus kilku twardzieli, których staramy się trzymać pod kontrolą. Chcę przez to powiedzieć, że japiszony z północnego wybrzeża krzywym okiem patrzą na broń palną. Pański ojciec będzie musiał wybulić kawał grosza, żeby pana wyciągnąć.

- Więc jest pan przekonany, że sąd wyznaczy kaucję?

- O, tak. No chyba że sędzia Upshaw wstał dziś lewą nogą. Na szczęście to pańskie pierwsze wykroczenie. Przyjaciele wystawili panu doskonałą opinię... musiałem zerwać ich z łóżka w środku nocy, ale mam kilka świadectw. I bądźmy szczerzy, sytuacja, w jakiej się pan znalazł, przemawia na pańską korzyść. Gdyby ktoś uprowadził moje dzieci, też pewnie chodziłbym ze spluwą. Pytanie tylko, dlaczego nie załatwił jej pan sobie legalnie?

Bez słowa kręcę głową.

- Jedyne problem to ten pistolet. Kupił go pan w parku od jakiegoś nielegalnego imigranta? - Mruży oczy i krzywi się. - A kto to sprawdzi?

O dziesiątej piętnaście stoję przed obliczem sędziego.

- Wysoki sędzie, uważam, że pan Callahan w niczym nie zagrozi obywatelom naszego stanu, jeżeli zostanie zwolniony za kaucją.

- Nasze pojęcie na temat bezpieczeństwa bardzo się różni, panie Doncaster. Pan Juarez - sędzia wskazuje zastępcę prokuratora okręgowego - podkreślił, że pan Callahan w żaden sposób nie jest związany z naszą społecznością. Nie pracuje tutaj, nie ma tu żadnych kontaktów. W tej sytuacji istnieje ryzyko, że ucieknie.

- Jednakże jest to jego pierwsze wykroczenie. Pomijając ten incydent, pan Callahan jest wzorowym obywatelem. Proszę też wziąć pod uwagę, wysoki sędzie, osobistą tragedię, jaka go niedawno spotkała. Wystarczającą karą byłoby pouczenie go, w jaki sposób ma sobie radzić z jakże zrozumiałym gniewem i żalobą...

- Zanim się pan zagalopuje, panie Doncaster, powinien pan wiedzieć, iż pański klient może być zamieszany w morderstwo popełnione w hrabstwie San Diego.

- Kiedy rzekomo dokonał tej zbrodni? Sędzia przez okulary spogląda w papiery.

- W ubiegły wtorek, trzeciego sierpnia. Doncaster naradza się ze mną.

- Byłem... zdaje się, że wtedy byłem w Las Vegas. Albo w Nowym Orleanie.

- Wysoki sędzie, mój klient w owym czasie nie przebywał na terenie hrabstwa San Diego.

- Sąd weźmie to pod uwagę podczas rozprawy. Kaucja wynosi sto tysięcy dolarów.

- Ależ wysoki sędzie...

- Następna sprawa.

Załatwienie formalności związanych z wpłatą kaucji trwa aż półtorej godziny, więc dochodzi południe, kiedy odebrawszy portfel, komórkę i drobne, wychodzę przed gmach sądu w Santa Rosa jako - powiedzmy! - wolny człowiek. Mój samochód z wypożyczalni odholowano na policyjny parking w Guerneville, trzydzieści mil na południe od Gualala. Przez chwilę nie mogę podjąć decyzji. Czy powinienem pojechać po samochód taksówką? Czy lepiej wynająć nowy tutaj, w Santa Rosa?

Najpierw jednak, choć nie mam na to najmniejszej ochoty, dzwonię do rodziców, żeby podziękować ojcu i zawiadomić, że wszystko w porządku. Z ulgą witam głos automatycznej sekretarki.

Zamiast pędzić od razu na wybrzeże, wracam do gmachu sądu, gdzie uprzejma kobieta w okienku informacji podaje mi drogę do urzędu miasta. Dziesięć minut później siedzę przed komputerem i oglądam mapę interesującej mnie części wybrzeża. Nieruchomość należąca do Sequoia Solutions ma powierzchnię pięciuset dwudziestu jeden akrów i prawie milę linii brzegowej morza. Jeden wielki romb i kilka mniejszych wskazują, gdzie mieści się główna rezydencja i budynki pomocnicze. Zwracam uwagę na to, że wszystkie stoją z dala od oceanu.

Dokładnie na północ od posiadłości Mertza leży olbrzymia parcela, będąca własnością Sea Ranch. Teren na południe od niej zajmuje kilka działek rozciągających się od autostrady po ocean, należących do różnych właścicieli.

Pytam urzędniczkę, czy w mieście można gdzieś kupić sprzęt sportowy. Podaje mi namiary na sklep w centrum handlowym na peryferiach i na moją prośbę zamawia mi taksówkę.

Każę taksówkarzowi poczekać przed sklepem. Osiem minut później wychodzę z wysokimi traperkami, skarpetami, plecakiem, wełnianą kurtką i wielką latarką Maglite. Latarka jest ciężka. Nie mam już jednak pistoletu, a jak mi kiedyś tłumaczył pewien gliniarz w Waszyngtonie, stróże prawa nie bez powodu najchętniej używają latarek tej firmy - są lepsze od pałek policyjnych.

Każę taksówkarzowi zawieźć się do wypożyczalni samochodów. Dwadzieścia minut później wyjeżdżam z firmy Santa Rosa Executive Rentals srebrnym bmw.

Z Santa Rosa do Gualala jest raptem siedemdziesiąt mil, lecz droga jest wyjątkowo kręta i najeżona ograniczeniami szybkości. Mimo że dociskam gaz, gdzie tylko mogę, jazda zabiera mi dwie godziny. Wprawdzie miałem zamiar wstąpić do Breakers Inn po walizkę, a zwłaszcza laptopa, w tej sytuacji jednak jadę prosto do biura wynajmu Sea Ranch.

Blondynka w biurze nie rozumie mojej niecierpliwości. Gdy decyduję się na nadmorski domek na południowym skraju Sea Ranch, upiera się, żeby pokazać mi inne możliwości.

- Nie, dziękuję, Housel Hut zupełnie mi odpowiada.

- Cena wynosi trzysta dwadzieścia dziewięć dolarów za noc, minimum dwie noce. - Wystukuje coś na klawiaturze. - Właściwie to od poniedziałku mam rezerwację, więc mogę tylko...

- Świetnie się składa, mam akurat dwa dni.

Podaję jej kartę Visa. Kobieta daje mi mapkę terenu, karty wstępu do rozmaitych obiektów, nalepkę na samochód, program odbywających się tu imprez i, na samym końcu, klucze.

O piątej dwadzieścia parkuję przed moim domkiem. Wchodzę do środka tylko na chwilę, żeby porwać dwie butelki dostarczonej gratis wody i dwa biszkopty w opakowaniach. Wodę, ciastka, portfel, latarkę, telefon komórkowy i wełnianą kurtkę pakuję do plecaka. W ostatniej chwili coś sobie przypominam, przetrząsam szuflady w kuchni i znajduję wodoszczelne torebki foliowe. Do jednej wkładam komórkę, do drugiej portfel. Biorę też kuchenny nóż.

Schodzę na plażę, graniczącą z posiadłością Luca Mertza. Po drodze mijam siwowłosą parę o tak wysportowanych ciałach, że wyglądają na dziewiętnastolatków. Kobieta ma piękny uśmiech. Przechodząc, machają do mnie przyjaźnie.

Wokół mnie roztacza się dziki krajobraz. Uderzające od stuleci fale uformowały archipelag skalistych występów, których kształty określił stopień twardości kamienia w danym miejscu. Wyrzeźbione przez wodę, wyglądają jak minarety albo kopuły rosyjskich cerkwi. Między nimi co

pewien czas trafia się olbrzymi kamienny monolit i garstka otoczków, przypominających gigantyczne kule do kręgli. Woda wściekle wiruje wokół nich. Przy brzegu unosi się na fali zbity dywan wodorostów. Huk odpływu ogłusza jak grzmot. Wpadające na skały grzywacze dają zapierający dech w piersiach efekt, wzbijając na dobre pięćdziesiąt stóp, albo i więcej, gejzery rozpryskującej się wody.

Linia przyływu jest wyraźnie widoczna, zaznaczona ciemnym nieregularnym pasmem wodorostów, drewna i innych odpadów naniesionych przez odpływające fale. Patrząc dalej w stronę łądu, aż po samo urwisko, widać, że skały na brzegu nie zawsze były poza zasięgiem wody. Niesamowite formacje ciągną się jeszcze ze dwieście jardów w górę i kończą na poszarpanej krawędzi urwiska, nad którym błyszczą jasnozielone łąki.

Nagle dostrzegam błysk - błysk ostrego jak brzytwa drutu, który biegnie w dół przez łąki i wytycza granicę między terenem Sea Ranch i posiadłością Mystere. Korzystając z tego, że jest odpływ, podchodzę bliżej, uważając, żeby nie wejść w zasięg kamer obserwacyjnych Mertza. Tak jak podejrzewałem, drucziana siatka opada po skałach, lecz kończy się kilka stóp nad linią przyływu.

Podobnie jak w większości stanów, mieszkańcy Kalifornii mają konstytucyjnie zagwarantowane prawo do korzystania ze wszystkich plaż - obszar pomiędzy liniami przyływu i odpływu uważany jest za teren publiczny. Sęk w tym, że nie wszędzie można się dostać. Niedawno kręciliśmy reportaż o sporze na temat tego, co prywatne, a co publiczne, gdy jakaś organizacja zorganizowała protest na plażach w Malibu. Rzecznicy szerszego publicznego dostępu do plaż przewieźli motorówkami setki plażowiczów, którzy przez kilka godzin pomiędzy przyływem i odpływem masowo okupowali piasek przed rezydencjami sław i bogaczy.

Przyznaję, że kiedy na mapie Sea Ranch ujrzałem słowo „plaża”, przyszedł mi na myśl piasek, a nie kamienie. Włożyłem więc spodnie khaki, a kupując wełnianą kurtkę, zdecydowałem się na kolor beżowy, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Zły wybór. Tutaj nie ma piasku. Same skały, a w dodatku te mokre są prawie czarne.

Do wyboru mam dwie możliwości. Jedna to poczekać do nocy i spróbować wśliznąć się do Mystere. Tyle że musiałbym zacząć stąd, przedrzeć się przez kamienie, co na tym wyboistym terenie praktycznie jest niewykonalne. Być może pomogłoby mi światło księżyca, gdyby się przejaśniło, ale na razie niebo zasnuwa gruba warstwa niskich chmur.

Druga możliwość to wejść do wody i przechodzić ze skały na skałę, aż wyjdę poza zasięg kamer. Kamery przemysłowe zwykle mają niewielką głębię ostrości. Potem musiałbym się posuwać równoległe do brzegu, dopóki nie uznałbym, że mogę bezpiecznie wyjść na łąd. Mertz mógł oczywiście zainstalować zabezpieczenia także od strony plaży, ale wątpię. Przy takiej fali ani łodzią, ani kajakiem raczej nie dałoby się przepłynąć między skałami i się nie roztrzaskać. Natomiast rezydencję Mertza prawie na pewno chroni system alarmowy.

Mój zegarek wskazuje szóstą trzydzieści pięć. O której zapada zmrok? O wpół do dziewiątej? W najlepszym wypadku zostały mi dwie godziny dziennego światła.

Muszę oddalić się od brzegu, żeby nie wyłapały mnie kamery. A zatem przedostać się za linię przyboju, która przez te wszystkie skały jest strasznie nierówna. Drugi problem polega na tym, że poszczególne formacje skalne nie przylegają do siebie.

Widzę, że raczej nic nie uchroni mnie przed zamoczeniem. Woda jest zimna, niemal lodowata. Sprawdzam temperaturę ręką. Dziesięć, góra dwanaście stopni. W każdym razie po trzydziestu sekundach pod wodą palce mam całkiem zdrętwiałe. Powinienem mieć skafander. I buty do

wspinaczki skałkowej. Rękawice. Haki i liny.

Próbuję zaplanować, po których skałach przeskakiwać, żeby dotrzeć za przybój. Naciągam i zawiązuję kaptur, wsuwam nogawki spodni w skarpety, pochylam głowę i ruszam.

Trasa jest ryzykowna, ale w sumie nie najgorsza. Moje buty nie nadają się do takiej wyprawy, na szczęście skały są tak wyszczerbione, że bez trudu znajduję oparcie dla stóp. W pewnym momencie moknę, nie mogąc uniknąć rozbryzgów fal, w końcu jednak muszę wejść do wody, jeśli nie chcę wracać po własnych śladach i tracić pół godziny.

Trudno, nie mam wyboru. Zanurzam się po pas, przyciskając plecak do piersi, i niezdarnie brnę przez zimną wodę. Napór cofających się fal zmusza mnie do poruszania się bokiem, jak krab, w kierunku najbliższych skał.

Kiedy do nich docieram, nogi mam już całkiem zdrętwiałe. Temperatura powietrza wynosi najwyżej szesnaście stopni, w dodatku wieje wiatr, tak że po wyjściu z wody nie jest mi wiele lepiej. Ale grunt, że posuwam się do przodu, a związany z tym wysiłek pomaga mi się rozgrzać.

Słońce zachodzi i temperatura spada, więc będzie coraz zimniej. Muszę uważać, żeby nie spaść ze skał.

Zanim chłopcy przyszli na świat, często uprawiałem wspinaczkę skałkową. Podobało mi się, że wymaga tyle energii, precyzji i koncentracji. Przede wszystkim jednak lubiłem się sprawdzać... i dzielić ryzyko na takie porcje, by utrzymać je w ryzach.

W pewnym sensie było to przeciwieństwo tego, co robiłem zawodowo. Pracując na terenach ogarniętych wojną, za wszelką cenę należy minimalizować ryzyko, ale nie sposób go kontrolować. Niebezpieczeństwo spada zniecka i nie jest poporcjowane.

Ze wspinaczką skałkową jest odwrotnie - sam wybierasz, gdzie położyć rękę czy postawić stopę. Tylko ty jeden wiesz, czy jesteś dostatecznie silny i zręczny, by wykonać kolejny ruch. Zawsze można mieć pecha, trafić na obluzowaną skałę, głównie jednak działa się w granicach swoich możliwości i strachu. To właśnie mi się podobało.

Tym razem jest inaczej. Po pierwsze, nigdy nie wspinałem się na mokre skały. Po drugie, nie wspinałem się na szczyt, lecz wchodzę i schodzę po kamieniach w taki sposób, by pokonać w poprzek jak największą część rumowiska. Poza tym, w odróżnieniu od wspinaczki rekreacyjnej, teraz się śpieszę i nie mogę się zatrzymać z powodu skurczu mięśni czy zmęczenia. No i zamiast specjalnych butów na gumowej podeszwie, bez trudu zahaczaj ących o naj mniej szą szczelinę czy występ skalny, mam na nogach ciężkie traperki, w których można się oprzeć tylko na wielkich wyźłobieniach i krawędziach. Zdjąłbym je - i kto wie, czy nie będę musiał tak zrobić - tyle że po chwili miałbym stopy zdarte do krwi. Ale i tak są lodowate, właściwie prawie ich nie czuję.

Mimo to wciąż prę do przodu. Zanim zszedłem z plaży przed Sea Ranch, wybrałem najwyższą formację skalną w granicach Mystere. Nie jestem pewien, ale gdy zerkam na dwie iglice, odnoszę wrażenie, że odszedłem dostatecznie daleko od siatki, by móc już skrócić w stronę brzegu.

Przystaję na skale, skąd rozciąga się dobry widok, i patrzę przed siebie, próbując wybrać najlepszą trasę na drugą stronę przyboju. Tu jednak fale nie załamują się równo jak na plaży - z powodu skał i ukształtowania dna linia przyboju jest szeroka, chaotyczna. Tam gdzie woda wręcz kipi wokół głazów i kamieni, nie uda mi się wejść do oceanu. Muszę znaleźć duże, przylegające do siebie skały.

Powoli przedzieram się na drugą stronę przyboju, gdy w końcu następuje nieuniknione. Przeskakuję z jednego kamienia na drugi i chociaż to prosty manewr, źle ląduję na mokrej skale,

skręcam kostkę i ni stąd, ni zowąd wpadam do wody.

Powiedzenie, że zabrakło mi tchu, zupełnie nie oddawałoby istoty rzeczy. Zimna woda nie tylko wypiera powietrze z moich płuc - moje płuca w ogóle przestają funkcjonować. Tak się szczęśliwie złożyło, że wpadłem w dolinę między falami, tuż przed załamującym się grzywaczem, i w pierwszej chwili myślę, że mam szczęście, że uda mi się wydostać.

Zaczynam gramolić się na skałę, zanim jednak znajduję punkt zaczepienia dla rąk, spada na mnie fala. Niczym na zwolnionym filmie obserwuję, jak odrywa mnie od skały i koziółkuje w ogłuszającym huku.

Próbuję się jakoś przytrzymać, drapię kamień paznokciami, chcę zaprzeć się o podstawę głazu. Prawie mi się udaje, lecz fala zaczyna się cofać. Przy wtórze głośnego, przypominającego zasysanie powietrza dźwięku i zgrzytu przesuwanych kamyków tracę uchwyt i sekundę później woda znów ciska mną o skałę.

Po raz pierwszy sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Wciąż jeszcze nie mogę oddychać, w dodatku odnoszę wrażenie, że mam zmiądzoną lewą łydkę. Nie czuję bólu, na to jest za zimno. Noga po prostu mnie pali.

Wiem, że jeśli zaraz, natychmiast, nie wyjdę z wody, zanim dopadnie mnie kolejna fala, to już mi się nie uda.

Coś dodaje mi sił. Czyżby to myśl o moich synach i o tym, co ich czeka? Tak. A może podsuwany mi przez wyobraźnię widok mojego ciała roztrzaskanego o skały? Owszem, to też. Człowiek tak już jest skonstruowany, że w obliczu poważnego zagrożenia wyzwalają się w nim dodatkowe pokłady energii, więc pewnie to ten potężny zastrzyk adrenaliny pomaga mi wydostać się z morza. Tak czy owak, wdrapuję się na skałę niczym człowiek pajak, dostatecznie wysoko, by objąć szczyt rękami i nogami. Woda szarpie mną, ciągnie za nogi, ale teraz nawet bomba nie dałaby rady oderwać mnie od tej skały.

Zbliżam się do brzegu, ale jestem w kiepskim stanie. Ściemnia się, temperatura spada, boli mnie kostka i łydka, a do tego koszmarnie trzęsę się z zimna. Plecak jest za ciężki. Zastanawiam się, czy nie wyrzucić latarki - słona woda i tak pewnie zniszczyła już baterie - ale szkoda mi czasu. Powoli brnę do przodu, z jednego kamienia na drugi, wypatrując czerwonych ślepi kamer obserwacyjnych. Albo przejawów ruchu. Nic jednak nie widzę. W końcu docieram na suchy ląd.

Znajduję sobie jakieś osłonięte miejsce i wypijam nieco wody z plecaka. Ściągam traperki, wylewam z nich wodę, wyżymam wełniane skarpety. Moja kostka przypomina wielkością grejpfruta. Wkładam skarpety i buty i sznuruję je jak najciaśniej. Pobieżnie oglądam ranę na łydce. Wygląda jak rozdziawione usta, powiew powietrza szczypie mnie w różowe ciało, ale w sumie nie jest aż tak źle. Zdaje się, że słona woda dobrze podziałała na ranę.

Ściągam kurtkę, sweter i T-shirt. Wyżymam je, wkładam z powrotem, ale nie przestaję dygotać z zimna.

Kuchenny nóż zniknął - pewnie wysunął się z plecaka, kiedy wpadłem do wody. Latarka nie działa, lecz postanawiam ją zatrzymać - teraz to już jedyna broń, jaka mi została. Sprawdzam komórkę, ale niestety - do foliowej torebki dostała się woda. Już po niej.

Mam wrażenie, że przydałby się podnośnik, żeby postawić mnie na nogi, lecz jakoś z trudem wstaję. Jest zmierzch, słońce właśnie zaszło. Muszę odszukać miejsce, gdzie ma się odbyć przedstawienie.

Z powodu otaczających mnie skał i ciemności nie widzę dwóch skalnych iglic, które wcześniej

wytypowałem. Byłem pewien, że tam właśnie odbędzie się pokaz, kiedy jednak potykając się, brnę przez rumowisko - czy aby nie byłem już w tym miejscu? - opadają mnie wątpliwości. Może jednak powinienem skierować się do rezydencji?

I nagle trafiam na miejsce.

Sam nie wiem, czego się spodziewałem, w każdym razie widok teatru zapiera mi dech w piersiach.

Płaską, wysypaną żużlem scenę otaczają olbrzymie betonowe urny pełne kwiatów, między nimi zaś wiszą girlandy ozdobnych roślin. W tym to wyjątkowym miejscu, frontem do sceny, a tyłem do morza, zbudowano malutki amfiteatr - trzy półkola z wypolerowanego granitu, osadzone w naturalnym wzniesieniu terenu zaledwie kilka stóp od sceny.

Uroda teatrzyku jedynie podkreśla grozę tego, co ma się tu wydarzyć. Po prawej stronie sceny stoi ażurowy parawan, udrapowany winoroślą i kwiatami, za którym schowane są zamknięte na kłódki skrzynie, a także przykryty wielką płachtą brezentu olbrzymi kosz.

Chętnie bym się rozejrzał po okolicy i zobaczył coś więcej. Chętnie bym się wypuścił na rekonesans, na przykład ścieżką prowadzącą do amfiteatru, ale już dawno porzuciłem pomysł, żeby zaatakować tych, którzy przyjdą tu szykować wszystko na poranne przedstawienie. Z lektury na temat sztuczki ze sznurem wiem, że Boudreaux będzie miał asystenta, może nawet dwóch. Przeciwnicy mieliby więc nade mną przewagę liczebną, a także uzbrojenia, skoro została mi tylko latarka.

Swojej jedynej szansy upatruję w zaskoczeniu. A skoro prawie nie ma już światła, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wejść na jedną ze skalnych iglic, zanim będzie całkiem ciemno. Są naprawdę wysokie, na oko mają ponad sześćdziesiąt stóp. Nie są identyczne - w końcu to naturalne formacje skalne - ale bardzo podobne. Dzieli je odległość nieco ponad stu jardów. Te nieregularne kamienne wieże, grube u podstawy, pną się tak wysoko, że nawet teraz ich szczyty giną we mgle.

W normalnych warunkach wspinaczka nie przedstawiałaby większych trudności nawet dla kogoś średnio doświadczonego, jestem jednak tak skonany, że przychodzi mi to z wielkim trudem. Ciemności nie ułatwiają zadania. Księżyc nade mną zasnuwają grube chmury, a padające od czasu do czasu rozwodnione i rozproszone światło nic nie daje.

Kilka razy noga mi się osuwa i obolałe mięśnie z trudem ratują mnie z opresji. W połowie drogi jestem już tak skrajnie wyczerpany, że o mały włos odpadłbym od ściany. Napędza mi to takiego stracha, że na kilka minut zwalniam tempo wspinaczki, mimo iż z każdą chwilą jest coraz ciemniej. Posuwam się powoli, odpoczywając co kilka stóp. W końcu docieram do czegoś, co musiało tam być: do drewnianej platformy.

Podciągam się na nią i padam na twarz.

Platforma ma zaledwie cztery stopy kwadratowe, ale czuję się jak w pałacu. Cóż za ulga, nie musieć się stale przytrzymywać i podciągać! Po kilku minutach odpoczynku wyciągam z plecaka butelkę wody i wypijam połowę tego, co zostało.

Światła już prawie nie ma, ale moje oczy zdążyły przyzwyczać się do ciemności. Widzę dwa kable, przerzucone na szczyt drugiej skały. Tam jednak nie ma drugiej platformy, a przynajmniej po ciemku jej nie widzę. Niemal płacząc z ulgi, że wybrałem właściwą iglicę. Nie dałbym już rady zejść i wspiąć się na tę drugą.

Jeden kabel wychodzi spod platformy, drugi wisi ze cztery stopy nade mną. Ten na dole przywiązany jest do jakiegoś urządzenia, złożonego z koła zamachowego i kołowrotu. Górny ma kilka dźwigni i drążków oraz pokaźny generator prądu, przybity nitami do skały.



Z dolnego kabla pod platformą zwisają ciemne pętle, opadając kilka stóp w otchłań między szczytami. Na górnym kablu wisi dziwna konstrukcja, mająca coś na kształt rozdziawionych „ust” z trójkątnymi metalowymi zębami, niczym gigantyczna wersja uchwytu wiertarki, w którym osadza się wiertło.

Przez kilka minut próbuję rozgryźć, jak to wszystko działa. Magik wyrzuca w górę sznur (tak by kilkakrotnie spadł na ziemię, dla większego efektu), który w końcu zaczepia o jedną z wiszących pętli, prawdopodobnie pokrytych rzepami albo klejem. W tym momencie stojący na platformie asystent - chyba że wszystko jest zdalnie sterowane przez radio - uruchamia urządzenie na drugim kablu, przesuwając je i opuszczając tak, by schwyciło zębami wolny koniec sznura. Następnie cały mechanizm podjeżdża pionowo w górę, a sznur się napina.

W pierwszej chwili z przerażeniem myślę, że Sean albo Kevin, w zależności od tego, który z nich ma się wspinać po linie, będzie musiał przejść po kablu, by bezpiecznie schronić się na platformie. Co za ryzyko! Ale nie. Z kabla nade mną zwisa na mosiężnej klamrze pętla, taka, jaką stosują alpiniści. Ten, kto wdrapie się po sznurze na górę, musi tylko włożyć w nią nogę i podciągnąć się na podest.

Siadam na platformie. Nie mam pojęcia, czy ten mechanizm obsługiwany jest przez asystenta, czy też działa na fale radiowe. Nie pozostaje mi nic innego, jak czekać.

Wciąż jeszcze jestem mokry, a parująca woda powoduje, że jest mi coraz zimniej. Próbuję się skupić na tym, by tracić jak najmniej ciepła. Wprawdzie nie wierzę, żebym mógł zasnąć, ale na wszelki wypadek nastawiam budzik w zegarku na piątą rano. Podciągam kolana pod brodę, mocniej zawiązuję kaptur, obejmuję się rękami, chowając dłonie pod pachy, i czekam.

## **Rozdział 47**

Rodzinna wycieczka. Harper's Feny nad Potomakiem. Liz, ja i dzieci płyniemy na wynajętych czarnych oponach, dryfując z prądem. Przez liście na konarach drzew prześwieca jasnoniebieskie niebo, a ciepła woda jest głęboka w sam raz na tyle, byśmy nie szorowali po kamieniach. Chłopcy próbują wiosłować, żeby nas wyprzedzić, ale skrzepowani kamizelkami ratunkowymi na ogromnych oponach, nie mogą dosięgnąć wody.

- A jeśli tu są ryby? - niepokoje się Sean.

- No, i jak mnie która ugryzie w pupę? - wtóruje mu Kevin.

- Nie sądzę, żeby w Potomacu żyły jakieś mięsożerne ryby - odpowiada Liz.

- Co to jest „miężerny”?

- Mięsożerny. To takie zwierzę, które żywi się mięsem.

- Nie jestem żadnym mięsem - protestuje Sean. - Faj! Obłeśne!

- Ja bym nie był tego taki pewny - zwracam się do Liz. - Słyszałem, że jakaś ryba zjadła tu jednego gościa, koło przystani.

- Taaatooo!

Nie jesteśmy sami. Przed nami dryfuje jakaś para, za nami grupka nastolatków, którzy próbują wypychać się z opon, krzycząc i wiwatując. To mi nie przeszkadza, oni po prostu się bawią, ale już natarczywy dzwonek czyjejs komórki wyprowadza mnie z równowagi.

- Nie do wiary - mówię do Liz. - Nie sposób uciec przed tym cholerstwem.

- Niedługo zaczną produkować wodoodporne - przytakuje żona, poprawiając okulary słoneczne.

Telefon wciąż dzwoni i już mam opieprzyć gówniarzy, żeby tak któryś był łaskaw odebrać, kiedy...

To dzwoni mój zegarek.

Budzę się raptownie, z jękiem. Wciąż jeszcze jest ciemno, a gęsta mgła ogranicza widoczność do kilku stóp. Zgrabiętymi z zimna palcami niezdarnie odkręcam nakrętkę i wypijam resztkę wody. Czuję się, jakbym miał sto lat, boli mnie każda część ciała. Czekaając, aż wzrok przywyknie do ciemności, próbuję się przeciągać.

Pół godziny później zaczyna się robić widno. Za platformą, po drugiej stronie iglicy, znajduje się małe zagłębienie, niewielka nisza. Ma może z osiemnaście cali głębokości, ale skalny nawis osłaniają od góry. Tyle że aby się tam zmieścić, musiałbym kucać, więc rezygnuję z tego pomysłu.

Wspinam się wyżej na skałę, rozglądając się za jakąś kryjówką. Znajduję ją bez trudu piętnaście stóp nad platformą. Jest na tyle duża, że mieszczę się w niej bez potrzeby balansowania czy podpierania się. Mam stamtąd widok na kable, platformę i środek przepaści, ale mnie nikt nie może dojrzeć.

Co kilka minut zerkam na zegarek. Po upływie godziny zaczynam się denerwować. Ziąb doskwiera mi coraz bardziej. Żeby nie szczekać zębami, wbijam je w wełnianą kurtkę.

Aż w końcu nareszcie ich słyszę, choć z powodu nieustającego huku fal dopiero wtedy, gdy są już przy amfiteatrze. Dobiega mnie szuranie i stukot butów na kamieniu. Rozróżniam głosy dwóch... nie, trzech mężczyzn. Dziwna intonacja jednego z nich świadczy o tym, że mówi w jakimś obcym języku. A potem do oczu napływają mi łzy, gdy pośród cichych męskich głosów rozlega się wysoki, słodki głos dzieci.

Sean się śmieje - jego charakterystyczny piskliwy chichot w niczym nie przypomina ochryplego rechotu Kevina. Serce mi rośnie. Ledwie mogę oddychać.

Słyszę głosy, ale nie rozróżniam słów. Dobiega mnie szcęk otwieranych klódek przy skrzyniach, odgłosy przesuwania jakichś ciężkich przedmiotów. Najwyraźniej szykują się do przedstawienia, ustawiają na miejscu niezbędne rekwizyty i meble. Ktoś pogwizduje.

Ze wszystkich sił próbuję powściągnąć niecierpliwość. W normalnych warunkach dobrze znoszę czekanie, jest to umiejętność, której nabywa się po latach spędzonych na lotniskach.

Teraz jednak bezczynność jest nie do zniesienia. Zastanawiam się, czy nie zejść ze skały i ich nie zaatakować. Tylko po co? Na ziemi sam przeciwko nim trzem nie miałbym najmniejszych szans. Szansę mam tylko jedną - tutaj, na górze.

Ktoś zaczyna się wspinać na skałę. Nie próbuje zachować ciszy, posuwa się w górę jak szarżujący słoń. Cieszy mnie to, bo dzięki temu łatwiej mogę śledzić jego postępy.

Mnie wczorajszej nocy wspinaczka zajęła jakieś pół godziny. Jemu zabiera to może z dziesięć minut. Zauważam go, kiedy wynurza się z mgły tuż pod platformą i podciąga się na nią bez wysiłku - łysy, wielki i najwyraźniej silny facet; spod kołnierza wiatrówki wystaje mu fragment tatuażu w stylu maorysów. Facet otwiera metalową pokrywę skrzynki, przymocowanej do skały pod górnym kablem, przesuwa dźwignię i wyciąga krótkofalówkę.

- W porządku - rzuca. - Start!

A zatem przeprowadzają próbę generalną.

Rzucony z dołu sznur zaczepia o jedną z pętli. Konstrukcja na górnym kablu przesuwa się, najwyraźniej sterowana z ziemi drogą radiową. Na końcu sznura musi być jakiś mechanizm naprowadzający na cel, bo nagle opuszcza się półkolistą zakończoną rurką, znajduje sznur i zaciska się na nim. Wówczas urządzenia napinające po obu stronach przepaści idą w ruch, naciągając kabel - oraz przymocowany do niego sznur - niczym strunę fortepianową. Wszystkie mechanizmy działają

niemal bezszelestnie, słycać jedynie nieznaczny szum.

- Wszystko gra - szepcze łysy wielkolud do krótkofalówki. - Schodzę do was.

Przesuwa dźwignię w szarej skrzynce i cała konstrukcja się cofa, kabel zwisa bezwładnie, a szczęki trzymające koniec sznura rozwierają się i puszczają go. Sznur opada na ziemię. Z ulgą patrzę, że wielkolud też schodzi.

Dwadzieścia minut później z dołu dobiega mnie muzyka. Bębny i sitar. Po chwili przybywają goście. Hałasują co niemiara, zbliżając się do sceny.

Słyszac brzek szklanek i pomruk głosów, próbuję nie myśleć o tej „publiczności”.

Nagle coś drapie mnie w gardle; oczy zachodzą mi łzami, gdy usiłuję powstrzymać się od kaszlu. Z bezruchu całkiem zeszywniałem i obawiam się, że kiedy nadejdzie pora, będę zbyt zdrętwiały, żeby się poruszyć.

Zaczyna się przedstawienie. Słyszę, jak Boudreaux żartuje, prezentując kolejne sztuczki, a od czasu do czasu dobiega mnie głos Kevina... a może Seana? Ze strony widowni dolatują kaskady śmiechu, gorące brawa i okrzyki zdumienia.

Szczurołap popisuje się swoimi sztuczkami.

W końcu następuje główny punkt programu. Szczurołap rzuca sznur w górę.

- Siedź tam! - rozkazuje, lecz sznur z płaskiem opada na ziemię. - Nie rozumiem, co się dzieje - mówi magik. - Zdaje się, że nie mam co liczyć na przychylność niebios.

Widownia wybucha śmiechem.

- Wygląda na to, że muszę się porządnie skupić. Po raz drugi sznur opada na żwir.

Szczurołap znowu narzeka i wzywa publiczność, by pomogła mu zmusić sznur, żeby „zawisł na niebie”.

Dziecięcy głosik mówi coś, czego nie mogę dosłyszeć, ale widownia z uznaniem nagradza go wybuchem śmiechu.

Kolejna próba. Nagle sznur pojawia się w moim polu widzenia, wynurza się z mgły. Jak wysoko Boudreaux musiał go rzucić? Nie lada wyczyn!

Tym razem mu się udaje - sznur zahacza o pętlę. Publiczność wiwatuje.

Mechanizm na kablu przesuwają się i chwytają sznur szczękami.

Urządzenie napinające natychmiast naciąga kabel z obu stron, tak że sznur jest naprężony jak struna.

- Przekonajmy się, czy naprawdę zawisł w powietrzu - mówi Szczurołap i trzęsie sznurem, sprawdzając, czy nie spadnie z nieba. Po chwili zwraca się do mojego syna: - Mały, może byś tak wlaź po nim? Zobaczysz, jak tam jest na górze.

- Boja wiem? - waha się Kevin. - To strasznie wysoko.

- Rób, co ci każe! - mówi groźnie Boudreaux.

- Dobrze, już dobrze.

Gdy Kevin zaczyna wspinaczkę, rozlegają się gromkie brawa.

Szczurołap przez cały czas coś mówi, ale ja go nie słucham, patrzę na kołyszący się rytmicznie sznur.

Obserwuję go... i nagle widzę błysk jasnych włosów Kevina, gdy jego główka wynurza się z mgły.

Kevin ma przepaskę na biodrach i szarfę na piersi. Jest tak skupiony, że ani razu nie patrzy w górę, podnosi wzrok dopiero wtedy, gdy jest tuż pod platformą. Na mój widok - kiedy przez ły

przytykam palec do ust i ostrzegawczo kręcę głową - w jego oczach odbija się zaskoczenie, skrajne niedowierzanie. Przez krótką, straszliwą chwilę obawiam się, że z wrażenia puści sznur i spadnie.

Kevin wprawnie wsuwa się w pętlę i przyciąga się do mnie.

W mgnieniu oka staje na platformie. Rozkładam ręce, żeby go uściskać, lecz nagle dostrzegam mikrofon, przypięty krokodylkiem do jego szarfy. Przytykam więc palec do ust, odpinam mikrofon, owijam go połą wełnianej kurtki i zaciskam w pięści.

- Tato! - rzuca szeptem Kevin; na jego twarzy zachwyty walczy o lepsze z osłupieniem. - Co ty tutaj robisz?

Nie wiem, co powiedzieć. Kevin gorączkowo szepcze dalej:

- On powiedział, że zobaczymy cię dopiero na Gwiazdkę. Że przyjechali po ciebie na jarmark, no wiesz, ci ze stacji, bo musiałeś wyjechać gdzieś na reportaż, i że to on nas zabierze do domu, a potem przyjedzie po nas mamusia. Kupił nam precele. I naprawdę zawiózł nas do domu, ale tylko na chwilę. Próbowaliśmy do ciebie zadzwonić... on mówił, że jesteś w drodze na lotnisko. To ja dzwoniłem, ale powiedziałaś tylko „halo” i coś nas rozłączyło. A potem on powiedział, że miałaś wypadek samochodowy i jesteś bardzo, bardzo ciężko ranny, więc mamusia musi się tobą opiekować i nie może się nami zająć, dlatego... - Jego głos zamiera, mina mu rzednie.

Z pewnością zdawał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Na pewno z grubsza rozumiał, że jest w niewoli. A jednak przez cały ten czas jakoś się trzymał, kupował bajeczki, którymi go karmiono, godził się z tym dziwnym życiem, jakie musieli prowadzić z bratem, wmawiając sobie, że wszystko jest w porządku, że to normalne. Ale w głębi duszy musiały go niepokoić dziury w historii Szczurołapa. Na pewno zastanawiał się, dlaczego nie zajęli się nimi dziadkowie. Musiał się zastanawiać nad milionem rzeczy.

A teraz znów jest moim małym synkiem. Zaczyna płakać.

W końcu rzuca mi się w ramiona, a ja tulę go z całej siły.

Nie potrafię opisać, co czułem w tej chwili, tego niewysłowionego szczęścia z odzyskania syna.

Ale nie trwa to długo. Odsuwam go na odległość wyciągniętych rąk.

- Kevin, posłuchaj mnie uważnie. Co miałaś teraz zrobić? - Wskazuję w dół, w kierunku sceny. - Musisz zrobić teraz dokładnie to, co było w planie.

Kevin kręci głową. Jest przerażony.

- Nic. Aha, mam to zdjąć. - Strząsa pętlę liny, która wraca na środek kabla. - Teraz mam czekać.

- Jak długo? Wzrusza ramionami.

- Aż mnie zawoła.

- Słuchaj, Kev... - Kładę dłoń na jego ramieniu. - Musisz zrozumieć, że...

- Myślałem, że to przeze mnie się rozbiłeś - przerywa mi szeptem przez łyzy, cieniutkim głosem. - Mamusia mówiła, że rozmawianie przez komórkę w samochodzie jest niebezpieczne.

- Kevin... ja nie miałem wypadku. Pan Boudreaux was okłamał.

- Kto?

- Pan Carrefour.

- Doktor Carrefour - poprawia mnie. - Doc.

- Zgoda, nieważne. On was porwał. Ja wcale nie byłem ranny ani chory. Mamusia i ja odchodziliśmy od zmysłów, szukając was. Myślisz, że mamusia mogłaby was opuścić, bez względu na to, co się stało?

- Ale on powiedział, że my pomożemy, że... - Głos mu się łamie, znowu zaczyna płakać.

- Kevin... - Przerywam, zamykam oczy. - On chce cię zabić... na tym ma polegać jego magiczna sztuczka. To część tego przedstawienia. A potem zabiłby Seana.

- Dlaczego?! Kręcę głową.

- Musisz mi teraz pomóc.

- Tato? Powiedz, że wszystko będzie dobrze.

- Oczywiście, że tak. Ale teraz posłuchaj. Musisz robić dokładnie to, co było w planie. A potem, kiedy on zacznie wchodzić po sznurze, musisz się schować. - Biorę go za rękę, odwracam i pokazuję mu maleńką niszę za platformą.

- A jeśli spadnę? Tato... ja mogę spaść!

- Nie spadniesz. Masz wspaniałe poczucie równowagi. Pamiętasz drabinę Jakubowa? Tylko tobie udało się na nią wejść.

Nagle słyszymy wzmocniony przez mikrofon głos Szczurołapa:

- No i co tam widzisz, mały?

- Tato - szepcze Kevin. - Na tej drabinie to był Sean, nie ja...

Może i brzmi to głupio, ale przez chwilę brakuje mi słów. Mylenie dzieci to kardynalny błąd popełniany przez rodziców bliźniaków.

- Kev, dasz radę. Miejsca jest pod dostatkiem. Musisz. Słuchaj, dam ci swój plecak. Popilnujesz mi go. - Podaję mu plecak, głównie po to, żeby go czymś zająć, ale najpierw wyciągam latarkę i wsadzam ją sobie za pasek.

I znowu rozlega się wzmocniony głos Szczurołapa:

- Co z tobą, mały, zasnąłeś? Kevin jest sparaliżowany ze strachu.

- Pytam się, chłopcze, co ty tam widzisz?

Otwieram zaciśniętą pięść, wyciągam mikrofon z poły kurtki i przypinam go do szarfy Kevina.

- Odpowiedz mu - szepczę.

- Niebo - mówi Kevin rozedrganym głosem. Z dołu dobiega śmiech.

- I co jeszcze?

- Chmury. - Wciąż mówi takim głosem, jakby miał się rozplakać.

Kolejny śmiech.

- Schodź tu zaraz, potrzebuję cię tutaj! - pada wypowiedziane beznamiętnym głosem polecenie.

- Ale mnie się tu podoba. Nie chcę schodzić.

Jeszcze przez jakiś czas toczą ten dialog - irytacja Szczurołapa rośnie, w miarę jak dziecko coraz bardziej się buntuje.

Zostawiam Kevina samego i wspinam się do kryjówki.

- Złaż natychmiast, bo inaczej sam tam po ciebie przyjdę! - grozi Szczurołap surowo.

- Proszę bardzo, staruchu. Spróbuj. Pewnie nawet nie potrafisz się wspinać po linie! - natrzęsa się z niego Kevin.

Ja tymczasem siedzę już skulony w kryjówce ponad platformą. Kevin patrzy na mnie w górę. Ruchem ręki pokazuję mu, że ma się już schować.

Sznur zaczyna się kołysać - Szczurołap rozpoczął wspinaczkę.

Publiczność bije brawo.

No, nareszcie! Widzę, jak jego błyszczące kasztanowe włosy wynurzają się z mgły. Tak jak Kevin, jest przebrany za fakira, i tak jak mój syn, pochłonięty wspinaczką. W jego przypadku wspinanie się utrudnia fakt, że - na piracką modłę - trzyma w zębach wielki kindżał o zakrzywionym

ostrzu.

Zaczynam schodzić... powoli, ostrożnie.

Tymczasem on dociera do pętli, wsuwa w nią ramię, spogląda na platformę i marszczy brwi. Potrafię odczytać jego myśli: Gdzie się podział Kevin?

Podciąga się na platformę i bierze kindżał do ręki.

- Gdzie jesteś, mały? - woła, nie wypadając z roli. - Nie chowaj się przede mną, mam cię już serdecznie dość! Żarty się skończyły!

Z dołu dobiegają śmiechy.

Magik wstaje i zaczyna się odwracać.

Nie potrafię się bić. Wcale nie dlatego, że unikam konfrontacji. Po prostu nie miałem okazji do walki wręcz. Tam gdzie dorastałem, nikt się nie bił, pochłonięci innymi zajęciami, nie mieliśmy czasu na bójki. Mordobicie nie było w modzie, nikt się nie wdawał w bijatyki. Owszem, raz przywaliłem chłopakowi, który mnie sfaulował na meczu piłki nożnej, chociaż właściwie fakt, że mi się to udało, zawdzięczam szczęśliwemu przypadkowi. W rezultacie wyrzucono mnie z boiska, dwa kolejne mecze obejrzałem z ławki rezerwowych i musiałem wysłuchać całej masy bzdur o tym, jak to należy panować nad sobą.

Nie trenowałem też karate ani boksu.

Krótko mówiąc, moje dotychczasowe życie nie przygotowało mnie do tego, co właśnie miałem zrobić.

A jednak spadam na niego jak drapieżne zwierzę.

Zanim Szczurołap zdążył się odwrócić czy zorientować, że tam jestem, walę go latarką z taką siłą, że słyszę chrzęst odpryskującej z tyłu jego głowy kości. I nagle wszędzie jest pełno krwi... na mnie, na skałach, w powietrzu, na nim.

Szczurołap zatacza się, ale - o dziwo! - nie pada. Wydaje straszliwy ryk rannego zwierza, wzmocniony przez mikrofon, po czym odwraca się z pałającymi oczami i kindżałem w ręku. Przysiągłbym, że się uśmiecha. Znienacka wyprowadza cios w bok. Kindżał najpierw mnie omija, lecz w drodze powrotnej trafia, przecinając mi rękaw kurtki i ramię.

Z moich ust wyrывa się jęk i widzę, że Boudreaux zamierza poderżnąć mi gardło. Zapada niewiarygodna, kompletna cisza... no, może prawie. Nabuzowany adrenaliną, jak na zwolnionym filmie oglądając scenę, w której prawdopodobnie zostanę zamordowany, słyszę grzmot fal i szepty zastygłej w oczekiwaniu - a może zaskoczony? - publiczności za mgłą, na dole.

Biorę szeroki zamach latarką, nie trafiam go, ale blokuję kolejny cios kindżału. Ostrze ześlizguje się po latarce i przecina mi palce tak, że krew tryska mi w oczy.

Boudreaux cofa się o krok, zbierając siły. Przez chwilę zatacza się i dyszy, z kindżałem opuszczonym u boku. Wygląda, jakby w każdej chwili miał się przewrócić. To mnie podnosi na duchu. Ruszam na niego, lecz cofam się, gdy rzuca się na mnie z wściekłym rykiem. Niczym pogrążony w amoku dyrygent, wymachuje rękami i warczy jak wściekłe zwierzę. Szaleństwo bucha z niego jak żar z rozpalonego pieca.

Za plecami słyszę jęk Kevina - ni to krzyk, ni szloch. Ten dźwięk przeszywa mnie jak prąd. Słaby, lecz rozjuszony, przerażony, lecz wściekły, rzucam się na magika i padamy, splątani, na platformę, pośród krwi, jęków i warczenia.

To nie do wiary, a jednak jestem na górze i przedramieniem przyciskam jego gardło, a prawą przytrzymuję jego rękę z nożem. Boudreaux daremnie usiłuje uderzyć mnie drugą ręką, ale nie ma już

siły. Po chwili jego mięśnie wiotczeją, a wzrok staje się szklisty.

- No i co teraz? - pyta.

Serce łomocze mi w piersi, przez dłuższy czas nie mogę złapać tchu. W końcu wstaję, chwytam Boudreaux za włosy i podrywam go na nogi.

Uśmiecha się do mnie szyderczo.

- Ciekawe, jak ściągniesz mnie na dół? Jak to sobie wyobrażasz?

Mój ochryply głos przypomina warkot.

- To akurat jest proste, pojebańcu - mówię, chwytam go za kark, odwracam, po czym jednym silnym pchnięciem zrzucam go ze skały. Boudreaux, koziołkując w powietrzu i wrzeszcząc, spada sześćdziesiąt stóp w dół, do swojej publiczności.

W amfiteatrze wybucha pandemonium, wszyscy piszczą, krzyczą i wrzeszczą. Kevin wypęła do mnie z niszy, łkając z przerażenia. Cała platforma skąpana jest w mojej krwi. Ale choć chwieję się na nogach, a krwotok jest bardzo silny, to przecież stoję. Będzie dobrze.

Wiem, że musimy działać szybko. Chwilowo ludzie na dole mogą sądzić, że upadek Boudreaux to zwykły wypadek, ale kto wie, jak długo to potrwa?

Nie wiem, dlaczego uważam, że o dzieciach, które miały być głównym punktem programu, na razie wszyscy zapomnieli. Możliwe, że Sean zaczął się zastanawiać, co się dzieje, i wyszedł z kosza, żeby to sprawdzić. Ale nie sądzę. Przypuszczam, że nadal siedzi w koszu, czekając na sygnał.

- Kevin, musimy zejść po Seana. Otwiera szeroko oczy, ale nie protestuje.

- Tato, okropnie krwawisz.

- Nic mi nie jest.

Kevin to urodzony alpinista. Bez trudu schodzimy ze skały. W połowie drogi wynurzamy się z mgły i każę mu się zatrzymać.

- Musimy być bardzo ostrożni. Staraj się trzymać od strony oceanu, żeby nas nie zobaczyli.

- Dobrze.

Kevin schodzi z gracją i zręcznością małpki. Co chwila musi nawet na mnie poczekać. To ja mam kłopoty. W ręce, którą przeciął mi Boudreaux, zupełnie straciłem siłę. Dłonie mam zmasakrowane. W dodatku krew jest śliska.

Mimo to schodzimy na ziemię w niecałe pięć minut.

Muszę odpocząć, więc opieram się o skałę. Od strony amfiteatru dobiegają odgłosy kłótni. Niezbyt wiele głosów. Widocznie część widzów postanowiła już wyjść. Pozostali sprzeczzają się, co robić.

- Cóż za rozczarowanie! - mówi kobiecy głos.

- Po prostu inne *denouement* i tyle - odpowiada jakiś Brytyjczyk. - Na swój sposób równie dramatyczne.

- Nie wzywamy policji - oświadcza głos z silnym cudzoziemskim akcentem. - Nie życzę sobie, żeby mi się plątali po całej posiadłości.

- Tam można się dostać od tyłu - odzywa się Kevin. - Dam radę się przekraść. Porozmawiam z Seanem. Usłyszysz mnie przez ściany kosza.

Podkradamy się na tył sceny - Kevin przodem, ja za nim. Huk fal działa na naszą korzyść, bo z osłabienia jestem tak niezdarzy, że kilkakrotnie potykam się.

Z naszego punktu obserwacyjnego widzę małą grupkę ludzi oraz jedną nogę Boudreaux, wygiętą w kolanie pod nieprawdopodobnym kątem.

Kosz stoi na samym środku sceny, straszliwie wyeksponowany.

Tymczasem, zanim zdążyłem go zatrzymać, Kevin się odczołgał. Teraz widzę, jak podkrada się do kosza, który trzęsie się lekko. Nie mogę uwierzyć, że Sean wydostanie się z niego przez nikogo niezauważony.

Nagle doznaję przeblysku olśnienia: trzeba odwrócić ich uwagę. Wyciągam latarkę z plecaka i w chwili, gdy wieko kosza zaczyna się unosić, z całej siły ciskam ją jak najdalej w prawo. Latarka koziółkuje w powietrzu i z donośnym łoskotem uderza o skałę.

Oczy wszystkich kierują się w tamtą stronę, a jednocześnie Sean wyskakuje z kosza. Patrę, jak grupa widzów rusza w kierunku, skąd dobiegł hałas, a tymczasem moi synowi pędzą do mnie.

Amfiteatr dzieli od plaży Sea Ranch najwyżej pół mili. Tym razem nie czeka nas wchodzenie do wody - mamy przed sobą prosty marsz po twardym piachu, pomiędzy skałami. Wiem, że prędzej czy później ktoś zacznie nas ścigać, więc staram się iść najszybciej, jak tylko mogę. Ale i tak mam wrażenie, że minęła wieczność, zanim ujrzałem ten ostry jak brzytwa drut, wytyczający granicę między posiadłością Mystere a Sea Ranch.

Po kamienistej plaży spaceruje inna - a może ta sama? - para siwowłosych ludzi. Skręcam ku nim, wspierając się z obu stron na synach. Poruszam się tak powoli, że dzieci praktycznie mnie ciągną. Aż w końcu nie dają rady zrobić ani kroku dalej.

- Wszystko w porządku - uspokajam chłopców, zmuszając nogi do ruchu. - Wszystko będzie dobrze. - Po czym potykam się i padam.

Kevin puszcza się pędem jak strzała. Widzę trzy postacie, patrę, jak elegancka para nachyla się, słuchając mojego syna. Kevin wyciąga rękę i ich oczy zwracają się w naszą stronę.

Sean kurczowo ściska mnie za rękę.

Teraz Kevin i starsza para biegną; mężczyzna trzyma przy uchu telefon komórkowy.

Zamykam oczy.

- Tato! - słyszę głos Kevina.

- Sea Ranch - rzuca mężczyzna do telefonu. - Na plaży. Meg, zaczekaj, podjadę jeepem.

- O mój Boże! - mówi kobieta. Owija czymś moją ranną dłoń. - Chłopcy, przyciskajcie tutaj. W ten sposób, widzicie?

- Tak.

- Stan! Weź płaszcz! - Teraz bandażuje moje ramię i uciska ranę. - Chłopcy, naciskajcie z całej siły, właśnie tak.

- Czy nic mu nie będzie? - pyta Kevin drżącym głosem.

- Nic - odpowiada kobieta z niezachwianą pewnością w głosie. - Teraz już wszystko będzie dobrze.

I chociaż podejrzewam, że mówiąc te słowa, chciała jedynie uspokoić chłopców, to jednak wiem, że ma rację.